ALEXIS DE TOCQUEVILLE

O DEMOKRACJI W AMERYCE

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Tytuł oryginału:
"De la démocatie en Américque"

Tekst skrócony. Konsultacja koncepcji wyboru:
JERZY SZACKI

Przełożył:
MARCIN KRÓL

Wstępem opatrzył:
JAN BASZKIEWICZ

Konsultacja naukowa:
WOJCIECH SOKOLEWICZ

Okładkę i strony tytułowe projektował:
BARTŁOMIEJ KUŹNICKI

LCCN JK216. T65165 1976

Printed in Poland

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976 r. Wydanie pierwsze. Nakład 10 000+290 egz. Ark. wyd. 31,7. Ark. druk. 30,5. Papier druk. mat. kl. III, 60×86/70. Oddano do składania 5 I 1976 r. Podpisano do druku 5 VII 1976 r. Druk ukończono we wrześniu 1976 r. Drukarnia Wydawnicza w Krakowie. Nr zam. 81/76. P-03(2325)

Cena zł 100,—

Wstęp

Kwiecień 1831 roku. Na podróż do Stanów Zjednoczonych zaokrętowało się właśnie dwóch młodych Francuzów. Jeden nazywa się Gustave de Beaumont; jego przyjaciel to Alexis Clérel de Tocqueville. Oficjalnym motywem podróży są studia nad amerykańskim systemem penitencjarnym. Owszem, raport z tej misji zostanie później opublikowany, lecz nie będzie miał praktycznego znaczenia: utonie on w biurokratycznych szufladach.

Tocqueville ma lat dwadzieścia sześć, od czterech lat pełni — bez entuzjazmu — funkcje zastępcy sędziego przy Trybunale w Wersalu. Jest potomkiem arystokratycznej rodziny normandzkiej, która korzenie swego genealogicznego drzewa lokuje w epoce wypraw krzyżowych. Jej przywiązanie do tradycji monarchicznej i do bourbońskiej dynastii było nieposzlakowane. Pradziad Tocqueville'a po kądzieli to postać wybitna: Chrétien-Guillaume Lamoignon de Malesherbes, liberalny szef królewskiej cenzury, przyjaciel Encyklopedystów, obrońca w procesie Ludwika XVI. Zginął na gilotynie wiosną 1794 roku zachowując do końca wielkopańską dezynwolturę (po wyjściu z katowskiego wózka potknął się na nierównym bruku: «O, to zły znak — oświadczył. — Rzymianin wróciłby do domu!»). Ojciec Tocqueville'a tylko szczęśliwym przypadkiem uniknął gilotyny. Był to wysoki dygnitarz administracji i utalentowany historyk. Król Karol X mianował go parem Francji; po rewolucji lipcowej 1830 roku Ludwik Filip odebrał mu ten piękny tytuł.

Rodzina Tocqueville'ów ma więc powody, aby się dąsać na nowego króla, «uzurpatora», dla którego stopniem tronu były lipcowe barykady. Alexis de Tocqueville dąsać się wszakże nie chciał: zdecydował się służyć «uzurpatorowi» na swym sędziowskim stanowisku. Jego stosunek do nowego régime'u był jednak chłodny. I wzajemnie: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych długo kazało mu czekać na decyzję w sprawie urlopu, który mu umożliwiał amerykańską podróż. Tak więc zarówno jego własne środowisko, jak i sfery rządowe spoglądały na Tocqueville'a dość nieufnie. Sytuacja to niezbyt komfortowa: podróż do Stanów Zjednoczonych, gdzie Tocqueville spędzi prawie cały rok, wypadła w bardzo stosownym momencie.

Możemy dziś odtworzyć dokładnie przebieg tej zaoceanicznej wyprawy. Tuż przed drugą wojną światową G. W. Pierson opublikował ogromne dzieło, które podróż tę rekonstruuje (*Tocqueville and Beaumont in America*). Tocqueville pozostawił też interesujący dziennik podróży ogłoszony niedawno w zbiorze jego wszystkich dzieł przez J. P. Mayera.

Badania nad amerykańskimi więzieniami stały się ostatecznie czymś w rodzaju tego drewnianego kołka, na którym żołnierz ze znanej bajki gotuje niezmiernie pożywną zupę. Alexis de Tocqueville nie spoglądał na Amerykę okiem prawnika-penitencjarysty, lecz ogarniał ją bystrym spojrzeniem socjologa i badacza polityki. Interesowało go całe społeczeństwo: jego mechaniźmy ustrojowe, prawa, życie ekonomiczne, obyczaje, wyznawane wartości... Odwiedził wielki szmat Północnej Ameryki, od Quebeku aż po Nowy Orlean. Rozmawiał z najwybitniejszymi politykami i działaczami, takimi jak Andrew Jackson, John Quincy Adams, Daniel Webster.

Można by wprawdzie przypuszczać, że dla człowieka pasjonującego się socjologią i polityką podróż z Francji do Stanów Zjednoczonych wiosną 1831 roku nie obiecywała szczególnych atrakcji. To przecież właśnie Francja była wielkim kotłem, w którym ciśnienie konfliktów politycznych i socjalnych rozsadzało ściany. Zupełnie świeża była tu jeszcze pamięć «trzech sławnych dni» — lipcowej rewolucji 1830 roku. Wnet staną znowu w Paryżu barykady republikanów, a w Lyonie robotnicy podejmą próbę zbrojnego oporu przeciw kapitalistycznemu zniewoleniu. Cóż tymczasem w Stanach Zjednoczonych? Pomiędzy ostrą batalią o poprawki do konstytucji u schyłku XVIII stulecia a ogólnonarodowym dramatem wojny secesyjnej zdaje się tam panować z górą pół wieku politycznego spokoju. Całą energię kraju, jak można sądzić, absorbuje the Great West, Wielki Zachód. Kilkanaście lat po wizycie Tocqueville'a granica Stanów oprze się już na Pacyfiku.

Sprawy nie przedstawiają się jednak aż tak prosto. Francja po rewolucji lipcowej zaczęła krzepnąć w konserwatyzmie liberalnego systemu rządzenia. Tendencja ta była najzupełniej wyraźna już wówczas, gdy Tocqueville powrócił do domu z wielką masą notat w swych podróżnych kufrach i gdy przystąpił do pracy nad *Demokracją w Ameryce*.

Król Ludwik Filip, syn kokietującego Wielką Rewolucję księcia Orleanu (Filipa Égalité), w wieku 17 lat był członkiem klubu jakobinów; nie miał jeszcze lat dwudziestu, gdy wyróżnił się pod Valmy jako oficer demokratycznej Pierwszej Republiki. Po upływie lat czterdziestu nie wracał nawet we wspomnieniach do tej heroicznej młodości. Jakobiński książę doskonale wszedł w rolę Króla-Mieszczanina. Francuska burżuazja rozpoznawała się w tym otyłym starszym panu z gęstymi bokobrodami, fałszywą czuprynką i legendarnym parasolem. Wcieliły się w nim wybornie burżuazyjne cnoty i słabości: systematyczna pracowitość, zręczność w działaniu, upór, chciwość, dość przyziemny rozsądek, intelektualna przeciętność i przede wszystkim głębokie przekonanie, że gwarancją racjonalności rządu jest skonfiskowanie praw politycznych dla wąskiej grupy zamożnych i wykształconych. Trzydziestopięciomilionowa Francja Ludwika Filipa przyznawała pełnię praw politycznych stu kilkudziesięciu tysiącom, pod koniec ćwierci miliona bogaczy. Ministrowie i teoretycy tego cenzusowego rządu, z Franciszkiem Gui-

zotem na czele, przekonani byli, że dzień powszechnego głosowania i równości praw politycznych stałby się dniem powszechnej katastrofy: załamania całego ładu społecznego, rządu, własności... Wielkoburżuazyjna partia sterująca po lipcu 1830 r. Francją otrzymała wnet miano parti de la résistance, stawiała bowiem uparty, obsesyjny opór wszelkim projektom reformy Politycznej, demokratyzacji systemu, rozszerzenia praw politycznych choćby tylko na całą średnią i drobną burżuazję. Ruch demokratyczny mógł się dobijać coraz głośniej do drzwi tego klubu bogaczy, jakim się stała monarchia lipcowa; rząd Ludwika Filipa zdecydowany był trzymać demokrację na słomiance.

Tocqueville, od roku 1839 poseł do Izby Deputowanych z okręgu, w którym się znajdowała jego normandzka «kasztelania», w jednym ze swych wystąpień parlamentarnych trafnie przepowiadał, że ów upór sfer rządzących doprowadzi Francję do nowej politycznej rewolucji. W przeciwieństwie do mandarynów «partii oporu» był on od dawna przeświadczony o tym, że ewolucja ku demokracji politycznej, tj. ku równości praw, jest procesem nieuchronnym. Opór przeciw niej stanowi przedsięwzięcie beznadziejne: zbyt potężne, żarliwe, nieprzezwyciężone są dążenia do równości wielkich klas społecznych. A Tocqueville rozumie, że w ważnych procesach historycznych liczą się nie jednostki, lecz właśnie klasy («tylko one powinny Zajmować historię»). Do instytucji demokratycznych Tocqueville żywił, wedle własnego wyznania, jedynie «gust wyrozumowany» (un goût de tête). Nie spoglądał na demokrację bynajmniej «tak jak Izraelici na ziemię obiecaną». Jednakże w czerwcu 1835 roku — to rok publikacji pierwszego tomu *Demokracji* — Tocqueville pisał w liście do Johna Stuarta Milla, iż demokrację uważa za użyteczną i nieuniknioną. «Zmierzam do niej odważnie, bez wahania, bez entuzjazmu i, mam nadzieję, bez słabości.»

W tej perspektywie szczególnego znaczenia nabiera podróż Tocqueville'a do Stanów Zjednoczonych u progu lat trzydziestych XIX wieku. Właśnie bowiem dobiegła tam końca tzw. era dobrych sentymentów; wybór generała Andy Jacksona na prezydenta Unii w roku 1829 był wyrazem ożywienia politycznego i otworzył okres szybkiej demokratyzacji ustroju. «Demokracja jacksonowska» odwołała się do tradycji Jeffersona, do idei równości praw i do nieufności wobec wszelkich przywilejów, monopoli, hierarchii socjalnych. Zasady prawa wyborczego, określane przez władze stanowe, stwarzały dotąd przeróżne przywileje dla zamożności: teraz kolejno ulegać będą likwidacji te cenzusowe ograniczenia, prawo wyborcze zbliżać się będzie do wzorca powszechności. O, wzorzec to daleki od współczesnych wyobrażeń o powszechnym głosowaniu: otwierał dostęp do urn wyborczych tylko białym i tylko mężczyznom. Była to wszakże, na tle ówczesnej sytuacji w świecie, reforma niezwykle zaawansowana. Amerykańscy konserwatywni liberałowie, teoretycy rządów cenzusowych — tacy jak Fisher Ames czy James

Kent — będą lamentowali zupełnie podobnie jak ich kuzyni w Europie, Guizot we Francji czy Macaulay w Anglii: powszechne głosowanie wyda im się zapowiedzią ruiny społeczeństwa.

A demokracja jacksonowska to nie tylko powszechność praw wyborczych. To także wprowadzenie żywotnego do dziś tzw. systemu łupów (spoils system): wraz ze zmianą lokatora Białego Domu zmieniała się odtąd — zresztą nie w całości — federalna administracja. Czyli: wysokie funkcje państwowe stają się łupem zwycięskiej partii. Konserwatywni politycy i historycy dostrzegali w tym jedynie źródło urzędniczej korupcji: funkcjonariusz federalny podlegający takiej rotacji będzie wszak starał się wycisnąć ze swego urzędu maksimum dochodu. Jest jednak i druga strona medalu. Oto spoils system podważył zasiedziałych na urzędach notabli, zamożnych i wykształconych, którzy już zaczęli sądzić, że urzędy te są dziedziczną własnością ich grupy społecznej. Wśród reform okresu Jacksona jest też demokratyzacja politycznej procedury wiodącej do wyboru prezydenta Stanów. I są wreszcie istotne reformy ekonomiczne: wokół ich znaczenia historycy wiodą zacięte spory, wydaje się jednak, iż odpowiadały one aspiracjom ówczesnego prostego człowieka, a common man.

Wokół społecznej genezy demokracji jacksonowskiej również trwają ożywione dyskusje badaczy. Bez wątpienia podbój Wielkiego Zachodu był podówczas największą przygodą społeczeństwa Stanów Zjednoczonych. Warto przypomnieć, że nie wojna o niepodległość, lecz właśnie ekspansja na Zachód zajęła uprzywilejowane miejsce w XIX-wiecznej amerykańskiej świadomości zbiorowej: w folklorze, w klasycznej literaturze (James Fenimore Cooper, Washington Irving), w obyczaju... Tradycja ta trwa po dzień dzisiejszy, co poświadcza żywotność poetyki westernu. Tocqueville docenił wagę zjawiska: finezyjnie opisywał, jak epopeja Zachodu dynamizuje społeczeństwo amerykańskie. Najpełniej wątek ten rozwinie, u schyłku XIX wieku, znakomity amerykański historyk Frederick J. Turner w swojej «teorii granicy» (the Frontier thesis). Przesuwanie się na zachód granic północnoamerykańskiej Unii determinowało, jego zdaniem, życie polityczne i ekonomiczne kraju, jego kulturę i obyczaj, kształtowało amerykański charakter, indywidualistyczny i pragmatyczny, temperowało stan napięć socjalnych. W tej koncepcji również amerykańska demokracja nie była jakimś importem europejskich teorii ani wytworem intelektualistów z miast Wschodniego Wybrzeża, lecz przywędrowała prosto z lasów i prerii Wielkiego Zachodu. Wedle Turnera to właśnie farmerzy, kupcy i traperzy z Zachodu, zaradni, dynamiczni, egalitarni, nie chcieli tolerować przewagi konserwatywnych i oligarchicznych stanów wschodnich. Demokratyczne i egalitarne aspiracje Zachodu urzeczywistnili prezydenci Stanów, którzy sami byli ludźmi Zachodu: Andrew Jackson, syn ubogiego farmera i triumfator wojen z Indianami, a po nim Van Buren i Harrison.

Teoria Turnera, zborna i efektowna, przez kilkadziesiąt lat była powszechnie przyjmowana w amerykańskiej historiografii. Dopiero w latach trzydziestych naszego wieku zaczęła się reakcja: różne składniki teorii granicy poddane zostały bezlitosnej krytyce. M. in. zwracano uwagę, że Turner nie docenił roli, jaką już w czasach Jacksona odgrywał szybki rozwój przemysłowy Stanów Zjednoczonych. Bez wątpienia Tocqueville również popełniał ten błąd. Arthur M. Schlesinger, a po nim Walter Hugins ukazali związki pomiędzy demokracją jacksonowską a dążeniami i postawami politycznymi ubogiego ludu w miastach Wschodniego Wybrzeża. Aspiracje i kartki wyborcze robotników nowojorskich miałyby zatem dla rozwoju demokracji nie mniejsze znaczenie niż nacisk pionierów Zachodu... A przecież w swym zasadniczym trzonie teoria Turnera ciągle się broni. Nawiązują do niej współcześnie liczni, badacze: historycy tworzący syntezy (Vernon L. Parrington, Claude G. Bowers), ale i uczeni weryfikujący teorię granicy na materiale empirycznym (Merle E. Curti).

Nie rozstrzygniemy tu sporu o społeczną genezę jacksonowskiej demokracji. Możemy jednak mieć pewność, że podróż Tocqueville'a do Ameryki w samym środku jacksonowskiej ery była niezmiernie pouczająca. Na trzy lata przed śmiercią, w r. 1856, Tocqueville ujawnił swą idée fixe: «Wielki problem, który stanowi przyszłość naszych współczesnych społeczeństw — pisał w jednym z listów — nieustannie dręczy mój umysł. Nie pozwala mi Dostrzegać innych spraw i zająć się innym przedmiotem.» Ta obsesja nękała Tocqueville'a już w młodości. «Ku czemu zmierzamy?» — pytanie takie pada we wstępie do *Demokracji*. I zaraz potem przychodzi stwierdzenie, że nie można na nie odpowiedzieć, skoro się nie ma skali porównawczej (termes de comparaison). Otóż wyprawa do Ameryki pozwalała porównać Francję - z jej ustrojem liberalnym, lecz mocno niedemokratycznym — i Stany Zjednoczone, wyraźnie już zaawansowane na drodze rozwoju społeczeństwa egalitarnego. Analiza tego społeczeństwa mogła być wielce użyteczna w poszukiwaniach odpowiedzi na pytanie o przyszłość innych krajów — skoro marsz do demokracji uznany został za proces nieunikniony. «Przyznaję, że w Ameryce dostrzegłem coś więcej niż Amerykę, ponieważ dopatrywałem się w niej wizerunku demokracji jako takiej...» — pisał Tocqueville we wstępie do *Demokracji*.

Nieuchronny marsz ku równości... Jak rozumieć to pojęcie historycznej konieczności? Otóż Tocqueville doskonale rozumie, że nie wystarczy dużo dobrej woli i dobrych ustaw, aby kształtować historię społeczeństw. Wielu filozofów Oświecenia żywiło podobne złudzenia; nie ulegał im wszakże najbliższy Tocqueville'owi Monteskiusz, jego wielki poprzednik. Optymistyczny i naiwny woluntaryzm musi ponieść klęskę, jeśli się zderzy z nieuchronną prawidłowością historyczną. Trafnie jednak pisał Raymond Aron, iż «Tocqueville, tak jak Monteskiusz, pragnie uczynić historię zrozumiałą, lecz nie

chce znieść historii.» «Znieść historię» (supprimer l'histoire) to znaczyłoby — użyjmy słów samego Tocqueville'a z jego *Pamiętników* — «usunąć ludzi z historii rodzaju ludzkiego» (supprimer les hommes de l'histoire du genre humain). Fatalistyczne koncepcje historii, nie pozostawiające miejsca dla ludzkiego swobodnego działania, traktował Tocqueville z pogardą jako «doktryny fałszywe i tchórzliwe», które są w stanie ukształtować jedynie «słabych ludzi i małoduszne narody». Fatalizm taki przypisywał m. in. Heglowi: w heglowskiej formule, iż wszystko, co rzeczywiste, jest rozumne, dojrzał Tocqueville «puszkę Pandory, z której wypełzły wszystkie rodzaje ułomności moralnych». Tocqueville pragnie się ustrzec woluntaryzmu, ale jeszcze gwałtowniej odrzuca pokusy fatalizmu. Będzie nieprzejednanym wrogiem wszelkich mechanicznych determinizmów, które oferowała filozofia pozytywistyczna. Przekonany o istnieniu historycznych prawidłowości — nie zamierza jednak odbierać człowiekowi mocy twórczej wobec własnej historii. Zbliża to jego koncepcję dziejów do znanej tezy Marksa («Ludzie sami tworzą swoją historię, ale nie tworzą jej dowolnie.») Albert Salomon nazwał przed kilkunastu laty Tocqueville'a «konserwatywnym marksistą». Nie przesadzajmy: daleko mu do tej głębi spojrzenia na prawa historii, którą legitymuje się materializm historyczny Marksa i Engelsa.

Jeśli jednak w granicach zakreślonych przez prawidłowości dziejowe ludzie i narody są «potężne i wolne», to znaczy, że rewolucja demokratyczna jest nieuchronna, lecz ostateczny kształt demokratycznego społeczeństwa może być wymodelowany na różne sposoby. Możliwe jest, jak to Tocqueville określa, «wychowywanie demokracji». Książka o demokracji amerykańskiej nie jest jedynie próbą opisu egalitarnego społeczeństwa amerykańskiego. Ani tylko próbą — jak autor pisał w 1840 r. do Milla — «przedstawienia [na podstawie danych empirycznych] ogólnych cech społeczeństw demokratycznych, których wykończony model jeszcze nie istnieje». Autor nie poprzestał na określeniu celów, do których zmierza społeczeństwo egalitarne, i wartości, które ono wyznaje. Nie poprzestał na badaniu, czy te cele i wartości są rzeczywiście osiągane. Do swojej wizji społeczeństwa demokratycznego Tocqueville wnosi własną siatkę wartości. I wierzy, że możliwe jest «wychowanie demokracji», to znaczy zaadaptowanie jej do tych wartości, które są mu bliskie.

Pierwszy tom *Demokracji* ukazał się w r. 1835 i spotkał się z bardzo życzliwym przyjęciem. Drugi tom wydał Tocqueville w roku 1840. Od tomu pierwszego wcale nie jest on mniej świetny. Bardziej jednak abstrakcyjny, wzbudził znacznie mniejszy entuzjazm. Autor pisał do Johna Stuarta Milla, że usilnie szuka błędu, który popełnił; uznał, iż «tłum» nie pojął podstawowego założenia drugiego tomu — poszukiwania cech ogólnych demokracji. Cóż jednak mówić o tłumie, skoro finezyjny krytyk, Charles-Augustin Sainte-Beuve, który wychwalał tom pierwszy, przy drugim zaczął grymasić.

Zarzucił autorowi, że Ameryka jest tu dlań już «tylko pretekstem», że mu «w każdym miejscu brak przykładów, które by zilustrowały lub ożywiły jego wywody».

Łatwo nam dziś stwierdzać, że ówcześni krytycy nie docenili metody Tocqueville'a. Myślenie modelowe, którego dał on piękny przykład, było wtedy nowością. Dziś jest nam ono bliskie: Marks posługiwał się nim po mistrzowsku, Max Weber wypróbował i ochrzcił takie postępowanie badawcze nazywając je budowaniem typów idealnych. Otóż Tocqueville tworzył właśnie taki typ idealny demokracji, tj. społeczeństwa egalitarnego, którego zasadą jest «równość możliwości». Typowi idealnemu nie odpowiada oczywiście żadna rzeczywistość empiryczna. A przecież musi on być budowany na fundamencie rzetelnego badania faktów. I więcej jeszcze: typ idealny to nie cel naszego badania, lecz instrument badawczy. Należy go więc nieustannie konfrontować ze zmienną i bogatą rzeczywistością, weryfikować empirycznie.

Jednakże Tocqueville — jak pisze francuski socjolog Pierre Birnbaum — «chciał, zdaje się, uniknąć modyfikowania tak otrzymanego typu idealnego». «Tak otrzymanego» to znaczy: wspartego na dokumentacji rzetelnej i obszernej, nie pozbawionej wszakże luk, wypełnianych intuicjami i rozumowaniami apriorycznymi. Sainte-Beuve zarzucał zjadliwie Tocqueville'owi, że «zaczynał rozumować, zanim się jeszcze czegokolwiek dowiedział». To oczywiście złośliwa przesada; nie ma jednak dymu bez ognia... Sam Tocqueville przyznawał samokrytycznie, że odwoływał się często do analogii — jakże ryzykownych w socjologii i w historii! — oraz do dedukcji, a więc rozumowań pozbawionych empirycznego pokrycia. W r. 1836 pisał do Gustawa de Beaumont: «W Ameryce pracowałem tak, jak Cuvier nad zwierzętami przedpotopowymi, czyniąc co chwila użytek z filozoficznych dedukcji lub z analogii. Obawiałem się więc, że popełniam niebywałe błędy, i to na oczach mieszkańców kraju.»

Samokrytyka to nie bezzasadna. Ileż na przykład czystych dedukcji w rozważaniach Tocqueville'a na temat losów nauki, sztuki, literatury i teatru w społeczeństwie demokratycznym. Pasjonujące są te jego refleksje nad utylitaryzmem sztuki, traktowanej po kupiecku (jej dzieła, produkowane coraz bardziej masowo i sztampowo, służą uprzyjemnianiu życia lub podnoszeniu prestiżu nabywców). Efektowne są rozważania nad przeobrażeniami sztuki i literatury w egalitarnym społeczeństwie (moda na realizm i monumentalizm, wulgarność, opisowość, atrofia wyobraźni poetyckiej...). Można dojrzeć w tych wywodach Tocqueville'a proroczą zapowiedź współczesnej kultury masowej — i socjologowie amerykańscy nieraz tak je oceniali. Ale można również stwierdzić, że niektóre z tych dedukcji nie obroniłyby się po prostu przed empiryczną weryfikacją.

Nie ma powodu ukrywać podobnych słabości metody badawczej Tocqueville'a ani jego skłonności do traktowania typu idealnego demokracji jako definitywnego obrazu. A jednocześnie — jakże ukrywać uczucia podziwu dla intelektualnej świetności, przenikliwości, rozmachu, sugestywności, które cechują jego wizję społeczeństwa demokratycznego.

Tocqueville był przeświadczony, że stać go na całkowity obiektywizm w ocenie tej demokratycznej przyszłości świata. Zacytować z pewnością warto fragmenty jego listu do Reeve'a z 1837 roku: «Przypisuje mi się alternatywnie przesądy demokratyczne lub arystokratyczne: miałbym może jedne lub drugie, gdybym się urodził w innym wieku i w innym kraju. Ale okoliczności moich urodzin bardzo mi ułatwiły obronę przed jednymi i drugimi... Gdy zacząłem życie, arystokracja była już martwa, demokracja zaś jeszcze nie istniała; instynkt mój nie mógł więc pociągać mnie ślepo ani ku jednej, ani ku drugiej... Należałem do starej arystokracji mego kraju i nie żywiłem nienawiści czy też naturalnej zazdrości wobec arystokracji. Ale ta arystokracja była już zniszczona, więc nie czułem też wcale do niej naturalnej miłości, bo przywiązać się mocno można tylko do tego, co żyje. Byłem dość blisko, by ją dobrze poznać, i dość daleko, by ją oceniać beznamiętnie... Żaden rodzaj wspomnień rodzinnych ani osobisty interes nie stwarzał u mnie naturalnej i koniecznej skłonności do demokracji. Ale nie doznałem od niej osobiście żadnej krzywdy; nie miałem żadnych szczególnych motywów, by ją kochać lub nienawidzić... Nie wymagało więc ode mnie wielkiego wysiłku rzucanie spokojnych spojrzeń na obie strony.»

Nie należy chyba przeceniać tej bezstronności. Pouczające będzie skonfrontowanie dwóch wypowiedzi Tocqueville'a: z cytowanego wyżej listu do Reeve'a i z udostępnionego już polskiemu czytelnikowi dzieła *Dawny ustrój i rewolucja*. Cytat pierwszy: «Przypisuje mi się namiętności, a ja mam jedynie opinie.» I drugi: «Jest się przede wszystkim człowiekiem swojej klasy, a dopiero potem swojej opinii.» Alexis de Tocqueville był również «człowiekiem swojej klasy».

Widać to nie tylko w szczerości niemal naiwnej, z jaką ujawniał niekiedy swą pogardę dla ludu («Jestem z instynktu arystokratą: to znaczy, że pogardzam tłumem i obawiam się go»; «Z ludem francuskim należy postępować jak z obłąkanym, któremu nie można wiązać rąk z obawy, aby nie wpadł w szał»). Ważniejsze jest to, że Tocqueville zwraca się do tradycji arystokratycznej po system wartości, do którego przymierzać będzie społeczeństwo egalitarne.

Bo Tocqueville to nie tylko arystokrata, który zdecydował się zaakceptować demokrację «bez entuzjazmu i bez słabości». To także arystokrata, który ocenia demokrację ze swej klasowej perspektywy. Obraz społeczeństwa arystokratycznego, który można odtworzyć z rozsianych po całej książce refleksji autora, malowany jest ciepłymi barwami. Arystokracja była depo-

zytariuszem wolności i godności ludzkiej, kultury politycznej, doświadczeń w rządzeniu. Rozwijała wyrafinowane formy cywilizacji: naukę, sztukę, dobre maniery. Jej hierarchia społeczna rekompensowała nierówności między ludźmi i brak mobilności socjalnej poczuciem stabilizacji i bezpieczeństwa: każdy dobrze znał swe miejsce w społeczeństwie...

Jest to obraz ujmujący; Tocqueville sugeruje przy tym, iż takie społeczeństwo arystokratyczne było historyczną rzeczywistością. W istocie to już nie typ idealny arystokracji: obraz ten zbyt jest odległy od realiów. To już, jak pisze amerykański politolog Andrew Hacker, «utopia przebrana w historyczny kostium».

Arystokratyczny charakter wyliczanych wyżej wartości został bez wątpienia wyidealizowany. Ale przecież nie wynika z tego wcale, że same wartości były pozorne. Łatwo kwestionować ideę, że więzi społeczne właściwe «społeczeństwu arystokratycznemu» (rodzinne, korporacyjne, stanowe) dawały ludziom szczęście dzięki poczuciu tożsamości i bezpieczeństwa. Jednakże czy w nowym, burżuazyjnym porządku nie stawało się problemem to, co przeczuwał już Monteskiusz a konstatował Tocqueville: izolacja ludzi w zatomizowanym społeczeństwie? Czy nie odczuwano naprawdę ciężaru anonimowości i zastępowania więzi społecznych — jak to określali Marks i Engels — przez zimny rachunek pieniężny? Jeśli zaś dostrzeżemy nawet u Tocqueville'a arystokratyczną nostalgię, to przecież rozumiał on dobrze — i explicite to stwierdzał — iż problem nie może polegać na jakimś powrocie do arystokracji, lecz na przetransponowaniu pewnych «arystokratycznych» wartości do systemu demokratycznego.

Tocqueville należy do wielkiego nurtu liberalnego; szczególną jego troską jest zatem zachowanie wolności w warunkach równości. Dla republikańskich konspiratorów, dla radykalnych demokratów tamtego czasu nie do pomyślenia był konflikt tych dwóch zasad. Dziedzictwo Wielkiej Rewolucji, które pobudzało ich refleksję polityczną i ich żarliwy entuzjazm, nie dopuszczało wszak rozdziału pomiędzy wolnością, równością i braterstwem ludzi. Wystarczy przypomnieć sobie gorące dyskusje młodych radykałów, szlachetnych «Przyjaciół Abecadła», które tak świetnie potrafił ukazać Wiktor Hugo w trzeciej części *Nędzników*. Uznaliby oni za herezję jedną z idei naczelnych Tocqueville'a: tę mianowicie, że demokracja może, lecz wcale nie musi być ustrojem wolności.

«Społeczeństwa demokratyczne — czytamy w drugim tomie *Demokracji* — mają naturalne upodobanie do wolności. Pozostawione sobie samym poszukują jej, kochają ją i z bólem się z nią rozstają. Lecz dla równości żywią gwałtowną, nienasyconą, trwałą i nieprzezwyciężoną namiętność. Pragną równości w stanie wolności, a jeżeli nie mogą tego osiągnąć, to pragną jej także w zniewoleniu. Będą znosiły nędzę, jarzmo niewoli, barbarzyństwo, ale nie ścierpią arystokracji.»

O demokracji w Ameryce Tocqueville'a to próba zbilansowania nie tylko cnót i zalet demokracji, lecz także jej słabości i niebezpieczeństw. Niebezpieczeństw zagrażających wartościom, które autor koniecznie chciałby uchronić.

«Instytucje demokratyczne rozbudzają namiętność równości i schlebiają jej, nigdy jej w pełni nie zaspokajając» — pisał Tocqueville. Społeczeństwo egalitarne nie likwiduje oczywiście faktycznych nierówności pomiędzy ludźmi, jednakże upowszechnia mniemanie, że każdy jego członek jest tyleż wart co inny, a opinia każdego równie dobra jak opinia jego współobywatela. Trudno wątpić, że np. powszechność praw wyborczych oddziaływała potężnie na rozwój takich wyobrażeń. Z powszechnym głosowaniem łączono podówczas wiele nadziei i niemało złudzeń. Ruchy radykalno-demokratyczne, ale i wczesny ruch robotniczy, przypisywały mu cudowną moc rozwiązywania nie tylko problemów politycznych, lecz także nabrzmiałej «kwestii socjalnej». Tocqueville starał się rozwiać niektóre spośród tych iluzji. Ujawniał np., że wbrew oczekiwaniom powszechność praw wyborczych nie gwarantuje powierzania funkcji publicznych w najbardziej godne ręce. Ukazywał miernotę demokratycznie wybranych amerykańskich funkcjonariuszy, opisał wnikliwie ich skłonność do korupcji. Przecież jednak psychologiczne znaczenie powszechnego głosowania było potężne: to jedna z tych instytucji, które «rozbudzają namiętność równości i schlebiają jej».

Jakże bowiem ma nie wpływać na społeczną świadomość fakt, że każdy ma prawo do oddania głosu, jednego głosu — i że nikt tych głosów nie ma więcej! Jakże ma to nie umacniać przeświadczenia, że moja opinia jest równie dobra jak opinia sąsiada, choćby był on ode mnie bogatszy czy bardziej wykształcony. W dalszej konsekwencji rozpowszechniać się będzie w egalitarnym społeczeństwie np. nieufność do intelektualistów, ekspertów, którzy «wiedzą lepiej» lub przynajmniej tak twierdzą.

I oto Tocqueville konstatuje zdumiewający fenomen: to głębokie poczucie równowartości jednostek i ich opinii bynajmniej nie wyklucza zdominowania ludzi wraz i ich poglądami przez «tyranię większości» czy też «tyranię zbiorową». Gdy liberał z pierwszej połowy XIX wieku ze świętą zgrozą wyklinał «tyranię większości», to zazwyczaj miał na myśli perspektywę dominacji ignoranckiego i ubogiego «motłochu» nad zamożną i wykształconą mniejszością. U Tocqueville'a rozumowanie jest nieporównanie bardziej finezyjne.

Oto Amerykanie sądzą, że opinia każdego z nich jest równie dobra jak pogląd sąsiada. Ale właśnie dlatego, nie wierząc ślepo nikomu, skłonni są wierzyć powszechnej opinii. Większość nie może się mylić; musi być racja w tym, czego chcą «wszyscy» (to znaczy praktycznie: większość). «Moralne panowanie większości — pisze Tocqueville — opiera się po części na założeniu, że wielu ludzi zebranych razem posiada więcej wykształcenia i ro-

zumu niż jeden człowiek, że liczba prawodawców jest ważniejsza niż ich dobór. Tak wygląda idea równości zastosowana do rozumu ludzkiego.»

Presja większości narzuca się jednostkom z niebywałą siłą; jest to wszechwładza, od której właściwie nie ma do nikogo apelacji. Zjawisko takie występuje nie tylko w sferze polityki: jego przejawem będzie także np. standaryzacja norm moralnych albo estetycznego smaku. Z «tyranii większości» wynika oczywiście dyskryminowanie mniejszości. To nie była, rzecz jasna, żadna nowość pojawiająca się dopiero w amerykańskim społeczeństwie egalitarnym. Jakże długą tradycję w Starym Świecie miała dyskryminacja mniejszości religijnych, etnicznych, rasowych... Taka, jeśli można ją w ten sposób określić, «tradycyjna» dyskryminacja mniejszości nie była obca również Stanom Zjednoczonym. Oto w rozmowie z mieszkańcem Pensylwanii Tocqueville dowiaduje się, że w tym tolerancyjnym, kwakierskim stanie ustawa przyznaje wprawdzie prawo głosu wyzwolonym Murzynom, żaden jednak z nich nie pojawia się w lokalu wyborczym ze strachu przed zmaltretowaniem. Tyrania większości może więc działać skutecznie również i wbrew obowiązującym prawom!

Nie taka wszakże prymitywna tyrania jest charakterystycznym fenomenem demokracji, lecz zupełnie inny rodzaj tyranii zbiorowej. A mianowicie presja większości, która nie posługuje się przemocą fizyczną. Ta tyrania gwałci nie ciała, lecz umysły. Nonkonformiści, którzy nie chcą ulec «opinii powszechnej», nie są prześladowani, lecz tracą wszelkie szanse wpływania na bieg spraw społecznych. Natomiast inni po prostu nie są świadomi działania «tyranii zbiorowej». Ulegają jej biernie, nie chcą być wolni w wyborze swych celów i poglądów. Dają je sobie narzucać i nawet nie odczuwają swego zniewolenia. Można by użyć formuły wymyślonej w naszym stuleciu i nazwać to zjawisko ucieczką od wolności.

A zjawisko takie jest groźne nie tylko dla swobody ludzi w sferze gustów czy obyczajów, ale także dla wolności politycznej. Skoro w demokracji wszyscy są równi, te same reguły muszą odnosić się jednakowo do wszystkich: sprzyja to jednolitości i centralizacji rządu. Centralizację władzy uważał zresztą Tocqueville za proces «naturalny», występujący żywiołowo we współczesnym mu świecie. Że zaś społeczeństwo egalitarne wierzy w słuszność tego, czego chcą «wszyscy», więc też wyznaje «bezbożną i godną pogardy maksymę, która głosi, że w sferze rządzenia większość ma prawo czynić, co zechce». W konsekwencji jeśli rząd wiernie wyraża wolę większości, ludzie godzą się potulnie z jego nieustannym umacnianiem.

W egalitarnym społeczeństwie Ameryki brak ostrych konfliktów socjalnych czy religijnych; sprzeczności interesów nie zarysowały się bardzo wyraźnie. Tym łatwiej, wedle Tocqueville'a, ulega się tu woli większości, a jej autorytet jest ogromny. Wsparty takim autorytetem rząd może zatem lekceważyć dążenia i opinie mniejszości. Ponad zatomizowanym i skonformizo-

wanym społeczeństwem równych jednostek wyrasta swego rodzaju demokratyczny despotyzm. Zgadza się nań, nie zawsze nawet świadoma jego istnienia, «milcząca większość». Wystarczy teraz, by tą potęgą zawładnęła biurokracja lub armia...

Jednakże demokracja amerykańska wytwarza, wedle Tocqueville'a, cały system barier, które nie pozwalają rządowi wykorzystać równości dla zniweczenia wolności. «Naturalna» tendencja wiedzie do centralizacji: można jej jednak zapobiec ludzkim wysiłkiem, poprzez odpowiednie mechanizmy ustrojowe (system federalny, decentralizację administracyjną, niezależność sądów). Można też zapobiegać atomizacji społeczeństwa, by nie było ono — użyjmy określenia Marksa — zwykłym «workiem kartofli». Sam Tocqueville przyznawał prywatnie, że jest człowiekiem niewierzącym. Uważał wszakże, iż demokracji są potrzebne wierzenia religijne: wśród społecznego rozproszkowania stwarzają one więzi moralne o niebłahej sile. Amerykańską wolność prasy oceniał Tocqueville bez zaślepionego entuzjazmu, ale sądził, że ma ona wielkie znaczenie dla organizowania więzi społecznych. Przede wszystkim zaś wysoko cenił skłonność Amerykanów do tworzenia licznych stowarzyszeń politycznych, społecznych, kulturalnych.

Gdy bowiem ludzkie lojalności podzielone są między wiele ośrodków, gdy «opinia powszechna» zostaje sfragmentaryzowana — słabnie i skuteczność rządowej centralizacji. Rząd czerpie wszak swą niebezpieczną siłę z wiernego wyrażania potężnej «opinii większości». Gdy zaś egalitarne społeczeństwo potrafi się organizować, gdy stowarzyszenia są liczne i wpływowe — większość staje się zmienną w składzie koalicją różnych sił. Każdy obywatel jest czasem członkiem większości, w innej zaś sytuacji należy do grupy mniejszościowej. Dlatego tak wielkie znaczenie przypisywał Tocqueville mnogości organizacji politycznych, korporacji wyznaniowych, związków abstynentów, pacyfistów, weterynarzy. Ta amerykańska specjalność wydawała mu się wyborną tarczą obrony wolności w warunkach równości. Mamy tu jakby nową wersję monteskiuszowskiej koncepcji corps intermédiaires, korporacji chroniących wolność jednostek przez pośredniczenie między nimi a skłonną do despotyzmu władzą.

Aktywność społeczna stwarza w Ameryce demokratyczne obyczaje, które zdaniem Tocqueville'a są jeszcze ważniejsze niż demokratyczne prawa dla utrwalenia zalet egalitarnego społeczeństwa i dla zapobiegania jego degeneracji. Oczywiście, wiemy dzisiaj, że wiele prognoz Tocqueville'a co do przyszłości amerykańskiej demokracji nie sprawdziło się. Koncentracja kapitalistyczna poddała demokrację kontroli wielkiego businessu; jej mechanizmy kontrolne zawiodły, demokratyczne obyczaje w znacznej mierze uległy politycznemu konformizmowi. Jednakże jego teza, że demokracja wymaga aktywności społecznej, nie wydaje się staroświecka, a zbiorowość

dynamiczna, aktywna jest nam sympatyczniejsza niż «samotny tłum» i «milcząca większość».

Jakież było jednak stanowisko Tocqueville'a wobec tej «tyranii większości», która budziła największy popłoch rówieśnych mu liberałów, tzn. wobec groźby zdominowania przez masy ludowe mniejszości bankierów, fabrykantów, obszarników? Zauważmy najpierw, że Tocqueville kwestionuje idealistyczne teorie o państwie jako gwarancie «interesu powszechnego». Nie była mu obca myśl o klasowym charakterze państwa. «Nie odkryto dotąd — pisał — ustroju politycznego, który jednako sprzyjałby powodzeniu i rozkwitowi wszystkich warstw społeczeństwa. [...] Gdy rządzą wyłącznie bogaci, interes biednych jest zawsze zagrożony. Gdy prawa dyktują biedni, narażony zostaje interes bogatych. Na czym zatem polega wyższość demokracji? Rzeczywistym osiągnięciem demokracji nie jest, jak twierdzą niektórzy, sprzyjanie interesom wszystkich, ale służenie dobrobytowi możliwie największej liczby ludzi.»

Czemu jednak przypisać to «osiągnięcie demokracji»? Otóż wedle Tocqueville'a demokracja (dziś powiemy: kapitalizm, który burżuazyjną demokrację wytworzył) jest zarażona nieustanną pogonią za korzyściami materialnymi. To nie tylko kwestia bezpieczeństwa ekonomicznego, wygody życia, lecz i społecznego prestiżu: opinia większości (tu widać jej wszechmoc) gromadzenie dóbr materialnych narzuca ludziom jako wzorzec postępowania. Ma to różne niepożądane społecznie następstwa. Ale demokracja amerykańska daje też ludziom szanse sukcesu w realizowaniu owego wzorca. W efekcie Ameryka jest krajem, «w którym nie ma proletariuszy»; tutaj «przemożna większość obywateli to posiadacze». Obserwacja taka nie była własnością Tocqueville'a. Dla przykładu: właśnie w tym roku, w którym wyruszał on do Stanów, angielski liberał Thomas Attwood twierdził, nie bez zdziwienia, że «w Ameryce co najmniej dziewięciu ludzi zainteresowanych jest we własności, gdy tylko jeden wyłącznie w pracy».

No cóż, na Wielkim Zachodzie czekały ogromne obszary ziemi oraz naturalne bogactwa (zauważmy, że nie pominął Tocqueville okrucieństwa i hipokryzji, z jakimi traktowano tam Indian). Ameryka jest więc krajem wielkiej szansy i niezwykłej ruchliwości społecznej. Koło fortuny jest tu w ciągłym ruchu: «większość bogaczy była kiedyś biedna», człowiek ubogi ma szanse wzbogacenia się. Nie przychodzi to oczywiście za darmo, sukces jest nagrodą wysiłków. Istnieje wszakże równość możliwości. To już oczywista idealizacja; nawet w tamtej epoce takiej równości nie było.

Eksploatacja Wielkiego Zachodu nie miała zresztą jednoznacznych społecznie efektów. Nie tylko umacniała drobnych posiadaczy, farmerów, kupców — ale także powiększała fortuny spekulantów i bankierów. Potem, gdy już zabraknie ziemi na Zachodzie, Stany Zjednoczone rozwiną na wielką skalę imperialistyczną politykę i kolonialną eksploatację swych amerykań-

skich sąsiadów. Sprzyjać to będzie umacnianiu kapitalistycznej oligarchii i osłabianiu tych sił, na których się wspierała demokracja amerykańska.

Tocqueville był i jest popularny w Stanach Zjednoczonych: jak można się temu dziwić, skoro Amerykanie odnajdują u niego tak im sympatyczną mitologię sukcesu! Jest tu i model kraju, w którym ludzie żyją niezależnie, kraju drobnych właścicieli; jest idea równych szans dla każdego, jest pochwała społecznej mobilności: pucybut może zostać milionerem, dzieci milionerów muszą często zaczynać od nowa... Bez wątpienia w czasach Tocqueville'a taki obraz społeczeństwa bliższy był realiów niż pół wieku później, gdy się już zaczął the Gilded Age, Złoty Wiek kapitalistycznej koncentracji. Zresztą są też u Tocqueville'a jawne błędy analizy: gdy przeciwstawiał demokrację systemom klasowym, gdy kwestionował możliwość ukonstytuowania się w demokracji «klasy bogaczy». «Jakkolwiek są tam [w Ameryce] ludzie bogaci, nie istnieje klasa bogatych, ponieważ nie łączy ich wspólny duch ani wspólne cele, ani też tradycje czy widoki na przyszłość. Są więc poszczególne członki, ale nie ma organizmu.» A w innym miejscu: «Bogaci [...] są nieliczni i słabi. [...} Nie tworzą klasy, którą łatwo można wyodrębnić, po czym wyzuć z majątków.»

Tu Tocqueville mylił się na całej linii... Potęga klasy bogaczy, która istniała już wówczas, a wzrosnąć miała jeszcze niepomiernie, zaciążyła na losach całej amerykańskiej demokracji. Trafnie jednak oceniał Tocqueville znaczenie, jakie miało upowszechnienie własności (jako fakt społeczny i jako przedmiot fascynacji Amerykanów). A jego wywód o konserwatyzmie drobnych posiadaczy jest rzeczywiście mistrzowski: «Ludzie, którzy żyją w stanie zamożności równie dalekim od bogactwa jak od nędzy, przywiązują do swego majątku ogromne znaczenie. Dobrze pamiętają biedę, znają jej dotkliwość i obawiają się jej. Dzieli ich od niej tylko niewielka fortunka, z którą wiążą wszystkie lęki i nadzieje. [...] Równość możliwości stale mnoży zastępy niespokojnych i lękliwych drobnych właścicieli.»

Konkluzja jest prosta: «Ludzie demokracji nie tylko nie życzą sobie rewolucji, ale również się ich obawiają.» I dalej : «Nie ma na świecie kraju, w którym instynkt własności byłby bardziej żywy i niespokojny niż w Stanach Zjednoczonych i w którym większość byłaby bardziej niechętna doktrynom niosącym ze sobą niebezpieczeństwo jakichkolwiek zmian w prawie własności.» Budziło to najżywsze sympatie Tocqueville'a. W r. 1836 pisał on szczerze do E. Stoffelsa: «Myślę, że nie ma we Francji człowieka mniej rewolucyjnego niż ja ani takiego, który by żywił głębszą nienawiść do tak zwanego rewolucyjnego ducha.»

Jednakże nie tylko w Stanach Zjednoczonych demokracja z jej powszechnym głosowaniem nie grozi obaleniem własności prywatnej. To samo odnosił Tocqueville do Anglii (choć koncentracja własności była tam znaczna) i zwłaszcza do Francji. Docenił siłę konserwatyzmu tkwiącego w masach

chłopskich drobnych posiadaczy, a rok 1848 potwierdził jego prognozy. Gdy rewolucja lutowa przyniosła Francji powszechne głosowanie, wieś francuska głosowała konserwatywnie. *Pamiętniki* Tocqueville'a zawierają smakowity opis, jak w kwietniu 1848 r. «jego» wieś korzystała z prawa głosu. To właśnie chłopscy wyborcy głosujący na notabli stworzyli podstawy zachowawczej «partii porządku» (w której i Tocqueville się znalazł, wybrany na posła do Konstytuanty).

Tego, że demokracja i powszechne głosowanie nie podważą systemu własności prywatnej, nie rozumieli jednak uparci leaderzy liberalni z czasów monarchii lipcowej. Usiłowali — beznadziejnie! — zahamować postęp demokracji, co właśnie rodziło rewolucyjne napięcie. «W Ameryce — czytamy u Tocqueville'a — istnieją demokratyczne idee i namiętności, w Europie natomiast mamy na razie namiętności i idee rewolucyjne»...

Czy jednak zwycięska demokracja jest już naprawdę wolna od obaw przed rewolucją? Otóż to nie takie proste. Tocqueville przyznaje więc np., iż demokracji może grozić przewrót wojskowy. Stany Zjednoczone — ale to już ich specyfika — zagrożone są również rewoltami na tle rasowym. «Jeżeli Ameryka kiedykolwiek doświadczy wielkich rewolucji, stanie się to za sprawą obecności czarnych w Stanach Zjednoczonych. Zostaną one zatem wywołane nie przez równość możliwości, lecz — przeciwnie — przez ich nierówność.» Co do perspektyw harmonijnej koegzystencji białej i czarnej rasy Tocqueville był sceptyczny.

Jednakże pochylić się warto przede wszystkim nad inną przestrogą Tocqueville'a. Przyjechał on do Ameryki z kraju, który większą część rewolucji przemysłowej miał jeszcze przed sobą. Bez wątpienia poświęcił zbyt mało uwagi fenomenom amerykańskiej industrializacji i urbanizacji. Nie przewidywał koncentracji kapitalistycznej, mniemał, iż «zastępy drobnych właścicieli» wciąż się będą mnożyć. A jednak przenikliwość Tocqueville'a stwarza niespodzianki.

Oto demokracja upowszechnia tendencję do gromadzenia dóbr: popyt na nie jest potężnym impulsem dla przemysłu. Przemysł chce produkować coraz więcej i taniej, pogłębia więc podział pracy. Robotnicy stają się «zręcznymi obrabiaczami łebków od szpilek»; apatyczni i zdegradowani wykonywaną pracą ulegają władzy nowej «arystokracji przemysłowej», twardej i bezlitosnej. Ruchliwość społeczna wśród robotników zostaje zahamowana, w łonie egalitarnego społeczeństwa utrwalają się stosunki arystokratyczne (tj. trwała zależność jednych ludzi od drugich). Tak więc «arystokracja, którą wygnano z życia politycznego, ujawniła się w pewnych dziedzinach gospodarki i tam na nowo, choć w odmienny sposób, zapanowała». To prawda, Tocqueville sądzi, iż «arystokracja stworzona przez przemysł» stanowi wyjątek, sprzeczny ze wszystkim, co się dzieje dookoła. Nie lekceważy wszakże niebezpieczeństwa. Wśród powszechnej mobilności trudno bowiem utrzy-

mać w stanie bierności całą klasę, trudno sprawić, by robotnicy «cierpliwie znosili swoje nie zaspokojone potrzeby i pragnienia».

Jeden z komentatorów (Jean-Pierre Peter) pisał, że obraz opresji robotników u Tocqueville'a «godny jest najmocniejszych stronic Proudhona albo Marksa». Nigdzie jednak Tocqueville nie oskarżył kapitalistycznej własności jako źródła tej opresji. Samo zjawisko uznał za wyjątek od reguły. Owszem, polecał prawodawcom troskę o «nie zaspokojone potrzeby i pragnienia» robotników w obawie, że się wyczerpie ich cierpliwość. Ale bywa się bardziej człowiekiem swej klasy niż swej opinii... Gdy w czerwcu 1848 r. robotnicy paryscy stracili wreszcie cierpliwość, Tocqueville popierał drakońskie represje zastosowane wobec nich. Jako poseł do Konstytuanty — czyli właśnie jeden z «prawodawców» — sprzeciwiał się, we wrześniu 1848 r., zagwarantowaniu przez państwo prawa do pracy. Socjalizm uważał za chimerę, za pomysł stworzenia z ludzi «społeczeństwa pszczół lub bobrów». A przecież i tutaj Tocqueville rezerwuje nam niespodziankę. W pisanych u schyłku życia *Pamiętnikach* stawia pytanie, czy socjalizm zostanie «pogrzebany w pogardzie». Ale nie odpowiada na nie. «Nie wątpię, że w dłuższej perspektywie podstawowe zasady naszego nowoczesnego społeczeństwa ulegną wielkim przemianom. Uległy im już w wielu zasadniczych punktach. Czy jednak dojdzie kiedykolwiek do ich zniweczenia i zastąpienia przez inne? Nic o tym więcej nie powiem, bo w miarę jak studiuję dokładniej dawny stan świata i obserwuję bardziej szczegółowo świat współczesny, gdy zastanawiam się nad spotykaną w świecie niebywałą różnorodnością nie tylko praw, lecz i zasad systemów prawnych, gdy rozważam rozmaite formy, jakie na naszej ziemi przyjęło i zachowuje (także i dzisiaj, cokolwiek by kto mówił) prawo własności — jestem skłonny wierzyć, że instytucje nazywane koniecznymi są często jedynie instytucjami, do których ludzie się przyzwyczaili ; że w sferze ustroju społecznego pole możliwości jest dużo szersze, niż to sobie wyobrażają ludzie żyjący w jakimkolwiek społeczeństwie.» To długie, skomplikowane zdanie wystawia świadectwo przenikliwości i rzetelności intelektualnej Tocqueville'a.

Można by długo wyliczać wszystkie wielkie tematy *Demokracji*. Wielu komentatorów skupiało uwagę na prekursorstwie tej książki i jej profetycznej sile. Wydobywano z niej zapowiedzi typów idealnych Maxa Webera, organicyzmu Spencera, teorii solidarności Durkheima, koncepcji strukturofunkcjonalistów... W rozdziale *O początkach Stanów Zjednoczonych* dopatrzono się pierwszego zarysu teorii Freuda! Siłę proroczą przypisywano Tocqueville'owi cytując jego wywody o światowym przeznaczeniu dwóch narodów, amerykańskiego i rosyjskiego; jego przepowiednie wielkich konfliktów rasowych w Ameryce; jego opis wszędobylskiego, «opiekuńczego» państwa jako zapowiedź *Welfare State* czy *Managerial State*... Chętnie też wyłuskiwano z tekstu *Demokracji* rzeczywiście wyborne formuły i błyskotliwe bons

mots. Chyba jednak nie warto skupiać uwagi na takim wydobywaniu rodzynków z ciasta: jest ono w całości smakowite i pożywne.

Czytelnik polski otrzymuje dzieło Tocqueville'a z pewnymi skrótami. Niektórych opuszczeń można żałować. Niech nas pocieszy to, że przeznaczone dla szerokiego kręgu czytelników edycje francuskie czy amerykańskie są z reguły znacznie bardziej skrócone. Niektórzy wydawcy pozwalają sobie przy tym na wywracanie zaplanowanej przez autora kolejności wywodów.

Czy jednak książka ta może dziś jeszcze, po blisko półtora wieku, budzić zainteresowanie nie tylko socjologów, historyków, politologów? Z pewnością tak. Jest to tekst doskonale napisany, ujmujący świetną inteligencją i wnikliwością obserwacji: rzadki mariaż traktatu naukowego i błyskotliwego reportażu. W niejednym się z autorem nie zgodzimy; niekiedy będzie nas może irytował, np. brakiem precyzji czy niejakimi sprzecznościami w wywodach. Ale przecież jest to piękny przykład humanistyki przemawiającej do czytelnika ludzkim głosem. I nie zwiedzie nas pozorny chłód tej narracji. Bo spoza takiej konwencji pisarskiej przeziera pasja, z jaką autor, w trudnym czasie wielkich przemian, poszukiwał — nie bez omyłek i złudzeń — miejsca dla wartości do dziś nie przebrzmiałych. Miejsca dla wolności i godności człowieka; dla bezinteresowności ludzkich działań; dla więzi społecznych niweczących apatię i egoizm, dających ludziom poczucie rzeczywistego zadomowienia w ich historii i w ich teraźniejszości.

JAN BASZKIEWICZ

TOM PIERWSZY

PRZEDMOWA DO DWUNASTEGO WYDANIA

Jakkolwiek wielkie i niespodziewane były wydarzenia, które dopiero co przetoczyły się przed naszymi oczami, autor niniejszego dzieła ma prawo powiedzieć, że bynajmniej go nie zaskoczyły.[*] Książka ta została napisana przed piętnastu laty pod wpływem jednej myśli: o bliskim, nieuchronnym i powszechnym nadejściu demokracji. Wszystkim, którzy przeczytają ją dziś na nowo, każda jej strona przyniesie poważne ostrzeżenie, które przypomina o tym, że kształt społeczeństwa ulega zmianie, a ludzkość dąży ku nowym przeznaczeniom.

Na początku umieszczono słowa następujące:

«Stopniowy rozwój równości jest dziełem opatrznościowym. Jest powszechny, trwały i nieustannie wymyka się ludzkiej władzy. Służą mu wszystkie wydarzenia i wszyscy ludzie. Czyż byłoby rzeczą rozsądną wyobrażać sobie, że jedno pokolenie może powstrzymać ruch społeczny, sięgający tak odległej przeszłości? Sądzić, że demokracja, obaliwszy feudalizm i zwyciężywszy królów, ugnie się przed mieszczanami i bogaczami? Zatrzyma się teraz, gdy stała się tak silna, a jej przeciwnicy tak słabi ?»

Człowiek, który za czasów wzmocnionej raczej niż zachwianej przez rewolucję lipcową monarchii napisał te słowa, potwierdzone później przez wydarzenia jako słowa prorocze, może dziś śmiało ponownie zwrócić uwagę publiczności na swoje dzieło.

Ma również prawo powiedzieć, iż obecne okoliczności nadają jego książce aktualne znaczenie oraz praktyczną użyteczność, której nie posiadała w chwili ukazania się po raz pierwszy.

Wówczas istniała monarchia. Dziś już jej nie ma. Instytucje amerykańskie, które we Francji monarchicznej mogły stanowić jedynie przedmiot zaciekawienia, we Francji republikańskiej muszą stać się dzisiaj przedmiotem studiów. Nowe rządy umacniają się nie tylko dzięki sile, ale i dzięki dobrym prawom. Po bojownikach przychodzą prawodawcy. Pierwsi burzą, drudzy budują. Każdy ma własne zadanie. Skoro już nie chodzi o to, czy będziemy mieli we Francji monarchię czy też republikę, pozostaje zdecydować, czy będziemy mieli republikę pełną zamętu czy republikę, w której panuje spokój, republikę ustabilizowaną czy republikę nieustabilizowaną, republikę pokojową czy republikę wojowniczą, republikę wolnościową czy republikę

[*] XII wydanie *O demokracji w Ameryce*, które posłużyło za podstawę do niniejszego tłumaczenia, ukazało się we Francji w r. 1848, po rewolucji lutowej i obaleniu monarchii Ludwika Filipa (przyp. red.).

ucisku, republikę, która zagraża uświęconemu prawu własności i istnieniu rodziny, czy republikę, która je uznaje i utwierdza. Dramatyczny to problem, którego rozwiązanie ma znaczenie nie tylko dla Francji, ale i dla całego cywilizowanego świata. Jeżeli zbawimy siebie samych, zbawimy jednocześnie wszystkie inne narody. Jeżeli zgotujemy sobie zgubę, zgubimy wszystkie zarazem. Zależnie od tego, czy będziemy mieli demokratyczną wolność czy też demokratyczną tyranię, los świata będzie odmienny i można powiedzieć, że od nas dziś zależy, czy republika zostanie ustanowiona wszędzie, czy też wszędzie obalona.

Otóż Ameryka ponad sześćdziesiąt lat temu rozwiązała problem, który my dzisiaj zaledwie stawiamy. Od sześćdziesięciu lat panuje tam niepodzielnie zasada suwerenności ludu, którą my zastosowaliśmy wczoraj.* Została tam wprowadzona w życie w sposób najbardziej bezpośredni, najbardziej nieograniczony, najbardziej bezwzględny. Naród, który z niej uczynił jedyne źródło wszelkich praw, od sześćdziesięciu lat nieustannie pomnaża swą ludność, ziemię, bogactwo, doświadczając podczas tego okresu, co zasługuje na uwagę, nie tylko najpomyślniejszego, lecz i najbardziej ustabilizowanego losu ze wszystkich narodów ziemi. Podczas gdy wszystkie kraje Europy pustoszyła wojna lub rozdzierały wewnętrzne waśnie, naród amerykański, jedyny w świecie cywilizowanym, żył w spokoju. Niemal cała Europa przeszła wstrząsy rewolucji, podczas gdy w Ameryce nie było nawet zamieszek. W Ameryce republika nie próbowała nastawać na prawa, lecz starała się prawa zachować. Indywidualna własność była tam bardziej chroniona niż w jakimkolwiek innym kraju świata, anarchia zaś była równie mało znana co despotyzm.

Skąd moglibyśmy zaczerpnąć więcej nadziei i więcej nauk? Nie przyglądajmy się Ameryce po to, by niewolniczo naśladować jej instytucje, lecz po to, by lepiej zrozumieć, jakie nam przystoją. Zaczerpnijmy z niej raczej nauki niż przykłady i zapożyczajmy od niej raczej zasady niż szczegóły praw. Prawa francuskiej republiki w większości wypadków mogą i muszą być różne od praw panujących w Stanach Zjednoczonych, lecz zasady porządku, równowagi władz, prawdziwej wolności, szczerego i głębokiego poszanowania prawa, na których opierają się konstytucje amerykańskie, muszą stanowić podstawę każdej republiki i być we wszystkich przyjęte, można bowiem z góry przesądzić, że republika przestanie niebawem istnieć tam, gdzie tych zasad zabraknie.

1848

* Mowa o Drugiej Republice, powstałej we Francji w lutym 1848 r. (przyp. tłum.).

WSTĘP

Spośród wszystkich nowych zjawisk, jakie przyciągnęły moją uwagę podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych, najbardziej uderzyła mnie panująca tam powszechna równość możliwości. Spostrzegłem szybko nadzwyczajny wpływ, jaki ten podstawowy fakt wywiera na rozwój społeczeństwa, nadając pewien kierunek powszechnemu sposobowi myślenia i pewien bieg prawom, podsuwając rządzącym nowe idee i określone obyczaje rządzonym.

Zauważyłem wkrótce, że następstwa tego faktu wykraczają daleko poza domenę obyczajów politycznych i praw oraz że w równym stopniu wpływają na cywilną społeczność i na rząd: kształtują poglądy, rodzą emocje, podpowiadają praktyczne rozwiązania oraz zmieniają wszystko, co nie jest ich własnym dziełem.

Tak więc, im głębiej badałem społeczeństwo amerykańskie, tym silniej utwierdzałem się w przekonaniu, że równość możliwości jest tym podstawowym zjawiskiem, z którego wszystkie inne zdają się wywodzić; i natrafiałem nań nieustannie jako na punkt, do którego prowadziły wszystkie moje spostrzeżenia.

Myślałem wówczas o naszej półkuli i przyszło mi na myśl, że dostrzegam tu jakieś podobieństwo do obrazu, jaki ukazał mi Nowy Świat. Ujrzałem mianowicie równość możliwości, która nie osiągając jeszcze, jak w Ameryce, swych ostatecznych granic, przybliża się jednak do nich każdego dnia. Odniosłem wrażenie, że ta sama demokracja, która zawładnęła społeczeństwami amerykańskimi, pospiesznie zmierza ku władzy w Europie.

Wówczas powziąłem myśl napisania tej książki.

Wielka rewolucja demokratyczna dokonuje się wśród nas. Wszyscy ją widzą, lecz nie wszyscy jednakowo oceniają. Jedni, uważając ją za zjawisko nowe, a przy tym przypadkowe, mają nadzieję, że można ją będzie jeszcze powstrzymać, dla innych natomiast jest ona nieodwracalna, ponieważ uważają ją za najbardziej ciągłą, najdawniejszą i najtrwalszą tendencję w historii.

Wracam na chwilę do Francji sprzed siedmiuset lat; oto widzę ją podzieloną między niewielką liczbę rodzin, które posiadają ziemię i rządzą jej mieszkańcami, a prawo rządzenia wraz z dziedzictwem przechodzi z pokolenia na pokolenie. Jedynym sposobem oddziaływania jednych ludzi na drugich jest siła. Jedno jest źródło potęgi: własność ziemska.

Ale dostrzegam oto i siłę polityczną duchowieństwa, która właśnie się narodziła i wzrasta. Stan duchowny staje otworem dla wszystkich: dla biednego i bogatego, dla nieszlachcica i dla pana. Za pośrednictwem kościoła zasa-

da równości przenika do samej władzy i ten, kto jako poddany żył dotąd w wiecznym niewolnictwie, jako ksiądz zdobywa teraz miejsce wśród szlachty i zdarza się, że zasiądzie ponad królami.

W miarę jak społeczeństwo cywilizuje się i umacnia, mnożą się i komplikują różnorakie związki między ludźmi. Dotkliwie daje się odczuć potrzeba prawa. Z mroków trybunałów i z zakurzonych kancelarii sądowych wyjdą więc legiści, by zasiąść na dworze władcy obok baronów okrytych gronostajami i żelazem.

Wielkie przedsięwzięcia rujnują królów, zajazdy zubożają szlachtę, handel wzbogaca mieszczan. Wpływ pieniądza na sprawy państwa jest już dostrzegalny. Handel staje się nowym źródłem dochodów władcy, a finansiści siłą polityczną, którą się pogardza i której się schlebia.

Oświata zatacza coraz szersze kręgi. Budzi się upodobanie do literatury i sztuki, intelekt staje się czynnikiem sukcesu, nauka środkiem rządzenia, bystrość umysłu społeczną siłą. Człowiek wykształcony dochodzi do głosu w sprawach państwa.

W miarę jak odkrywane są nowe drogi do władzy, maleje wartość urodzenia. W jedenastym wieku szlachectwo było bezcenne, w trzynastym się je kupuje. W 1270 roku miało miejsce pierwsze uszlachcenie i w ten sposób, dzięki samej arystokracji, równość przeniknęła do rządu.

W ciągu tych siedmiuset lat kilkakrotnie zdarzyło się, że panowie dawali ludowi pewną siłę polityczną, po to by przeciwstawić się władzy królewskiej lub osłabić rywali.

Jeszcze częściej bywało, że królowie dopuszczali niższe warstwy do udziału w rządach, po to by zmniejszyć znaczenie arystokracji.

Właśnie królowie z największą energią i uporem dokonywali we Francji dzieła zrównania. Ambitni i silni władcy starali się podnieść lud do poziomu szlachty; łagodni i słabi pozwalali, by lud zajął miejsce ponad nimi. Talenty jednych, przywary drugich — wszystko sprzyjało demokracji. Ludwik XI i Ludwik XIV trudzili się, by zrównać wszystko u stóp swych tronów, Ludwik XV sam ze swym dworem zstąpił w proch.

Z chwilą gdy narodziły się inne formy posiadania ziemi niż feudalne lenno, a majątek ruchomy stał się źródłem wpływów i władzy, każde odkrycie w dziedzinie rzemiosła, każde ulepszenie w handlu i przemyśle przynosiło nowe zadatki równości między ludźmi. Począwszy od tej chwili wszystkie nowe zjawiska, wszystkie powstające potrzeby, wszystkie pragnienia domagające się zadośćuczynienia stały się stopniami wiodącymi ku powszechnemu zrównaniu. Upodobanie do luksusu, zamiłowanie do wojny, dyktat mody, najbłahsze i najgłębsze namiętności ludzkiego serca zgodnie pracowały nad zubożeniem bogatych i wzbogaceniem biednych.

Odkąd wysiłki ludzkiej inteligencji stały się źródłem bogactwa i siły, wszelki postęp nauki, każda nowa myśl i każda nowa dziedzina wiedzy za-

mieniały się w ziarno potęgi złożone w ręce ludu. Poezja, wymowa, pamięć, dary ducha, płomień wyobraźni i głębia umysłu, wszystkie te łaski, którymi niebo hojnie szafuje, obróciły się na korzyść demokracji i nawet wtedy, gdy znalazły się w rękach jej przeciwników, służyły w istocie jej sprawie, uwydatniając przyrodzoną wielkość człowieka. Wraz z osiągnięciami cywilizacji i wiedzy rozszerzały się więc podboje demokracji, a literatura stała się dla wszystkich dostępnym arsenałem, w którym słabi i biedni zawsze znajdowali dla siebie oręż.

Przebiegając karty naszej historii, od siedmiuset lat nie natrafiamy właściwie na ani jedno wydarzenie, które nie obróciłoby się na korzyść równości.

Wyprawy krzyżowe i wojna stuletnia dziesiątkują szlachtę i rozdrabniają jej włości; ustanowienie komun wiejskich wprowadza wolność demokratyczną w łono monarchii feudalnej; odkrycie broni palnej czyni równymi na polu bitwy chłopa i pana; druk daje równe szanse ich umysłom; poczta przynosi oświatę zarówno do pałacowych podwojów, jak i na próg chatki biedaka; protestantyzm ogłasza wszystkich ludzi jednakowo godnymi zbawienia. Odkrycie Ameryki stwarza tysiąc nowych szans, a nieznanemu poszukiwaczowi przygód ofiarowuje bogactwo i władzę.

Jeżeli przyjrzymy się temu, co w każdym półwieczu, począwszy od jedenastego stulecia, dzieje się we Francji, zauważymy niechybnie, że w porządku społecznym odbywa się podwójna rewolucja. Szlachcic schodzi na niższe szczeble drabiny społecznej, nieszlachcic po niej wstępuje, jeden idzie w dół, drugi wchodzi do góry. Każde półwiecze ich zbliża i niebawem się spotkają.

Nie jest to bynajmniej osobliwość Francji. Gdziekolwiek skierujemy wzrok, zobaczymy, że ta sama rewolucja dokonuje się w całym świecie chrześcijańskim.

Przeróżne wydarzenia w życiu narodów wszędzie służą sprawie demokracji. Wspierają ją wysiłki wszystkich ludzi; zarówno tych, którzy świadomie działają na jej rzecz, jak i tych, którzy bynajmniej nie mieli zamiaru jej służyć; wysiłki ludzi, którzy o nią walczą, i nawet tych, którzy ogłosili się jej wrogami. Wszyscy oni bez różnicy zostali pchnięci na jedną drogę, gdzie jedni nieświadomie, inni wbrew własnym przekonaniom, pracowali — ślepe narzędzia w rękach Boga — nad dziełem demokracji.

Stopniowy rozwój równych możliwości jest więc dziełem opatrznościowym. Jest powszechny, trwały i nieustannie wymyka się ludzkiej władzy. Służą mu wszystkie wydarzenia i wszyscy ludzie.

Czyż byłoby rzeczą rozsądną wyobrażać sobie, że jedno pokolenie może powstrzymać ruch społeczny sięgający tak odległej przeszłości? Sądzić, że demokracja, obaliwszy feudalizm i zwyciężywszy królów, ugnie się przed mieszczanami i bogaczami? Zatrzyma się teraz, gdy stała się tak silna, a jej przeciwnicy tak słabi?

Ku czemu więc zmierzamy? Nikt nie potrafi tego powiedzieć, ponieważ nie mamy do czego porównać obecnego stanu rzeczy. W krajach chrześcijańskich panuje dziś większa równość niż w jakiejkolwiek innej epoce i w jakimkolwiek innym kraju. A wielkość tego, co już się stało, nie pozwala przewidzieć, co jeszcze stać się może.

Cała książka, którą przedstawiam czytelnikowi, została napisana pod naciskiem jakiegoś religijnego lęku, powstałego w duszy autora na widok tej nieuchronnej rewolucji, która kroczy od tylu wieków przez wszelkie przeszkody i która jeszcze na naszych oczach postępuje naprzód wśród zniszczeń, będących jej własnym dziełem.

Nie musimy czekać na to, by Bóg sam przemówił, możemy bowiem odczytać niewątpliwe znaki jego woli. Wystarczy uważnie się przyjrzeć biegowi spraw świata i określić kierunek, w którym toczą się zdarzenia. Wiem, i Bóg nie musi sam mi o tym mówić, że gwiazdy biegną w przestworzach po szlakach wyznaczonych jego dłonią.

Gdyby długie badania i głębokie rozważania przekonały ludzi naszych czasów, iż stopniowy rozwój równości stanowi zarazem przeszłość i przyszłość historii wówczas to proste odkrycie pozwoliłoby im w rozwoju równości rozpoznać znaki woli bożej. Powstrzymywanie rozwoju demokracji nabrałoby wtedy znaczenia walki z samym Bogiem i narodom pozostawałoby tylko przyjęcie układu społecznego, narzuconego przez Opatrzność.

Narody chrześcijańskie przedstawiają dziś straszliwy obraz: prąd, który je unosi, jest już dostatecznie wartki, by nie można go było zawrócić, lecz jeszcze nie tak silny, by nie mogły budzić się nadzieje, że uda się go opanować. Los tych narodów jest jeszcze w ich własnych rękach, lecz niebawem się z nich wymknie.

Wychowywanie demokracji, ożywianie, na ile to możliwe, jej przekonań, oczyszczanie jej obyczajów, panowanie nad jej odruchami, stopniowe zastępowanie jej niedoświadczenia przez znajomość spraw publicznych, a jej ślepych instynktów przez świadomość prawdziwych interesów, dostosowanie jej rządów do czasu i miejsca, zmienianie ich stosownie do okoliczności i ludzi — oto pierwszy spośród obowiązków nałożonych w naszych czasach na tych, którzy rządzą społeczeństwem.

Nowemu światu potrzebna jest nowa wiedza polityczna.

Ale o to właśnie nie dbamy. Umieszczeni pośrodku wartkiej rzeki, uporczywie zatrzymujemy wzrok na ruinach widocznych jeszcze na brzegu, podczas gdy prąd znosi nas ku otchłani.

W żadnym z krajów europejskich rewolucja, którą opisałem, nie zrobiła szybszych postępów niż u nas, ale jej rozwojem kierował zawsze przypadek.

Rządzący nigdy nie pomyśleli o tym, by się przygotować na jej przyjęcie, i dlatego dokonała się bez ich zgody i bez ich wiedzy. Najsilniejsze, najrozumniejsze i najbardziej moralne warstwy narodu nie próbowały nią zawład-

nąć i pokierować. Demokrację pozostawiono więc jej dzikim instynktom. Wzrosła jak dzieci pozbawione opieki rodzicielskiej, które wychowują się same na ulicach naszych miast, mając do czynienia tylko z nędzą i występkiem. Nie zdawano sobie jeszcze sprawy z jej istnienia, gdy niespodziewanie zagarnęła władzę. Wszyscy poddali się wtedy służalczo jej najdrobniejszym kaprysom. Uwielbiono ją jako bożka siły. Gdy potem osłabiły ją własne wybryki, prawodawcy, zamiast ją pouczyć i poprawić, powzięli nieostrożny zamiar zniszczenia jej. Nie chcąc uczyć jej rządzenia, marzyli tylko o tym, by ją od rządów odepchnąć.

W rezultacie nie nastąpiło konieczne przeobrażenie praw, idei, zwyczajów i obyczajów, dzięki któremu rewolucja demokratyczna dokonująca się w społeczeństwie mogłaby przynieść pożytek. Mamy więc demokrację pozbawioną tego wszystkiego, co mogło zmniejszyć jej ułomności i uwydatnić naturalne zalety. Tak też, widząc już zło, które rewolucja przynosi, nie znamy jeszcze dobra, które mogłaby przynieść.

W czasach gdy władza królewska oparta na arystokracji spokojnie rządziła europejskimi narodami, społeczeństwo doznawało wśród swych utrapień wielu odmian szczęśliwości, które trudno nam dzisiaj zrozumieć i oszacować.

Znaczenie i siła niewielu spośród poddanych stanowiły wówczas nieprzekraczalną barierę dla tyranii władcy; dla królów zaś szacunek oraz boska niemal cześć, jakie budzili wśród ludu, stanowiły zarazem zobowiązanie do właściwego używania władzy.

Szlachta, która tak wysoko wznosiła się nad ludem, darzyła jednak jego los swego rodzaju rozważnym i życzliwym zainteresowaniem, jakim pasterz otacza swą trzodę, i nie uważając bynajmniej tych biednych ludzi za sobie równych, czuwała nad ich losem jak nad skarbem, który Opatrzność oddała na jakiś czas w jej ręce.

Lud, który nigdy nie roił o innej sytuacji społecznej niż jego własna i nie spodziewał się, by mógł kiedykolwiek dorównać panom, korzystał z dobrodziejstw, którymi go darzyli, nie roztrząsając ich praw. Kochał ich, gdy byli łaskawi i sprawiedliwi, bez oporu i bez służalczości poddając się ich nakazom jako koniecznemu złu zesłanemu przez Boga. Tradycja i zwyczaje zakreślały ponadto granice tyranii, tworząc coś na kształt prawa w samym łonie przemocy.

Między dwoma klasami, tak różnie obdzielonymi przez los, powstać mogła jakby wzajemna życzliwość, skoro panu nie przychodziło do głowy, że ktoś może mu odebrać należne jego zdaniem przywileje, i skoro poddany znosił swą niższość, jako że wynikała z nienaruszalnego porządku rzeczy. W społeczeństwie istniała i nierówność, i nędza, a jednak dusze nie były poniżone.

Ludzi nie deprawuje ani władza, ani posłuszeństwo, lecz użycie siły, którą uważają za bezprawną, i posłuszeństwo władzy, którą uważają za przywłaszczoną i ciemięską.

Po jednej stronie było bogactwo, siła i zabawa, a wraz z nimi subtelne gusta, pogoń za zbytkiem, rozkosze ducha, kult sztuki. Po drugiej praca, prostactwo i ciemnota.

Lecz w tym ciemnym i grubiańskim tłumie trafiały się żywe namiętności i szlachetne uczucia, głęboka wiara i surowe cnoty.

Tak skonstruowany organizm społeczny mógł szczycić się trwałością i siłą, a nade wszystko chwałą.

Lecz oto porządek się burzy: bariery dzielące ludzi opadają, bogactwa ulegają rozbiciu, władza staje się udziałem wielu, rozszerza się oświata, zrównują się umysły. Układ społeczny przybiera cechy demokracji i jej władza obejmuje nareszcie panowanie nad instytucjami i obyczajami.

Myśląc o demokracji, wyobrażam sobie społeczeństwo, w którym wszyscy, uważając prawo za swe własne dzieło, kochaliby je i szanowali, w którym władza rządu byłaby szanowana jako niezbędna, lecz nie jako boska, zaś głowę państwa darzoną nie ślepą, lecz rozumną i umiarkowaną miłością. Z chwilą gdy każdy posiadałby prawa oraz pewność ich zachowania, między wszystkimi warstwami mogłaby zrodzić się rzetelna ufność i pewna wzajemna pobłażliwość, równie daleka od pychy jak od służalczości.

Lud, pouczony o swych prawdziwych interesach, rozumiałby, że należy, poddać się obowiązkom nałożonym przez społeczeństwo, by korzystać z jego dobrodziejstw. Swobodny związek obywateli mógłby wtedy zastąpić indywidualną władzę arystokratów, a państwo znalazłoby ochronę przed tyranią i samowolą.

Wiem, że w państwie demokratycznym pomyślanym w ten sposób społeczeństwo nie będzie trwało w bezruchu, ale ruch społeczny mógłby tam być regulowany i rozwijany. I jeśli nawet takie społeczeństwo będzie miało mniej blasku jak w czasach rządów arystokracji, to będzie w nim mniej nędzy. Skromniejsze będą uciechy, lecz powszechniejszy dobrobyt, nauki nie tak kwitnące, lecz nieuctwo rzadsze, namiętności mniej wybujałe, lecz łagodniejsze obyczaje. Ujawni się więcej ludzkich ułomności, ale będzie mniej zbrodni.

Kiedy zabraknie wielkich uniesień i żarliwej wiary, można będzie skłonić obywateli do poważnych ofiar odwołując się do ich rozumu i doświadczenia. Ludzie zrównani w słabości szukać będą wsparcia u swych bliźnich, zaś wiedząc, że na pomoc liczyć mogą jedynie pod warunkiem udzielenia pomocy wzajemnej, łatwo zrozumieją, że ich interes osobisty splata się z interesem powszechnym.

Naród jako całość będzie zapewne mniej wspaniały i być może mniej potężny, lecz większość obywateli zazna pomyślniejszego losu, lud zaś będzie

usposobiony łagodniej nie dlatego, że nie będzie miał nadziei na lepsze życie, ale dlatego, że jego życie będzie znośne.

Gdyby nawet nie wszystko było dobre i pożyteczne w podobnym porządku rzeczy, społeczeństwo przyswoiłoby sobie przynajmniej to, co może w nim być dobre i pożyteczne, i rezygnując na zawsze z zalet systemu arystokratycznego, zyskałoby wszystkie korzyści, jakie może mu ofiarować demokracja.

Cóż jednak my zyskaliśmy w zamian za instytucje, idee i obyczaje naszych przodków, tak bezmyślnie porzucone?

Znikł autorytet królewskiej władzy i nie został zastąpiony przez majestat prawa. Dzisiaj lud pogardza władzą, lecz boi się jej i strach wymusza na nim więcej, niż kiedykolwiek mogły sprawić szacunek i miłość.

Sądzę oto, że zniszczyliśmy te wszystkie indywidualne siły, które były w stanie samodzielnie walczyć z tyranią, i rządowi wyłącznie przypadły przywileje, które odebraliśmy rodom, cechom i jednostkom. Władza niewielkiej grupy ludzi, która wprawdzie czasem opierała się na przemocy, ale często umożliwiała ciągłość układu społecznego, została zastąpiona przez powszechną słabość.

Podział majątków zmniejszył dystans dzielący bogacza i biedaka, lecz oni zbliżając się do siebie, zdają się teraz wyszukiwać nowe powody do wzajemnej niechęci i spoglądając na siebie ze strachem i zawiścią bronią sobie wzajem dostępu do władzy. Dla jednych i drugich idea prawa przestała istnieć, a siła wydaje im się zarówno jedynym prawem teraźniejszości, jak i jedyną gwarancją jutra.

Biedak zachował większość przesądów swych przodków, nie zachowując jednak ich wiary; zachował ich ciemnotę, nie zachowując ich cnoty. Jako zasadę działania nieświadomie przyjął doktrynę egoizmu, a jego sobkostwo jest równie ciemne, jak ślepe było kiedyś jego oddanie.

Spokój społeczeństwa nie pochodzi bynajmniej ze świadomości siły i dobrobytu, lecz przeciwnie, z przekonania o własnej słabości i niedołęstwie. Obawia się ono wysiłku, który mógłby okazać się śmiertelny: wszyscy widzą zło, lecz nikt nie ma siły i odwagi, by podjąć dzieło naprawy; wszyscy mają pragnienia i żale, zmartwienia i radości, lecz one nie są w stanie zrodzić zauważalnych ni trwałych wartości, podobne starczej namiętności, której rezultatem może być tylko niemoc.

Tak oto odrzuciliśmy wszystkie zalety dawnego państwa, nie zyskując żadnej spośród możliwych korzyści stanu obecnego. Zburzyliśmy społeczeństwo arystokratyczne i z upodobaniem kontemplując jego ruiny zdajemy się zadowalać możliwością utkwienia w nich na zawsze.

Równie godne pożałowania jest to, co dzieje się w świecie ducha.

Już to zwalczana, już to pozostawiona swym nieokiełznanym namiętnościom, demokracja francuska stratowała lub podważyła wszystko, co stało na

jej drodze. Nie próbowała stopniowo opanować społeczeństwa, aby powoli ustanowić w nim swoje rządy. Kroczyła wciąż w zamęcie i bitewnym zgiełku. Rozgorączkowani walką, przez skrajności przeciwników zmuszeni do wykroczenia poza naturalne granice swoich przekonań, ludzie tracą wreszcie z pola widzenia właściwy cel swych wysiłków i zaczynają posługiwać się językiem, który jest daleki od ich prawdziwych uczuć i głębokich odruchów.

Stąd dziwne pomieszanie, którego — chcąc nie chcąc — jesteśmy świadkami.

Darmo szukam w pamięci, i nie znajduję doprawdy niczego, co zasługiwałoby na większą litość i budziło więcej bólu niż to, co dzieje się na naszych oczach. Wydaje się, że zerwana została naturalna więź łącząca nasze poglądy z upodobaniami i nasze działania z przekonaniami. Harmonia, która zawsze istniała między uczuciami i myślami ludzi, została zniszczona i można powiedzieć, że wszelkie prawo moralnego odniesienia przestało istnieć.

Zdarza się spotkać jeszcze wśród nas gorliwych chrześcijan, których religijny duch żywi się prawdami przyszłego żywota. Gotowi oni są żyć dla sprawy wolności ludzkiej, którą pojmują jako źródło wszelkiej moralności. Chrześcijaństwo, które ogłosiło wszystkich ludzi równymi wobec Boga, nie zawaha się uznać, iż wszyscy obywatele są równi wobec prawa. Lecz skutkiem splotu osobliwych wydarzeń religia stanęła w tej chwili po stronie sił obalanych przez demokrację i zdarza się często, że wyrzeka się równości, którą uwielbiła oraz przeklina wolność jako swego wroga, gdy tymczasem podawszy wolności rękę mogłaby uświęcić jej wysiłki.

Obok chrześcijan są i inni ludzie, którzy wzrok swój obracają raczej ku ziemi niż ku niebu. Są oni obrońcami wolności, ponieważ uważają, że nie tylko rodzi najszlachetniejsze cnoty, ale że jest również źródłem największych dóbr. Szczerze pragną zapewnić wolności panowanie i pozwolić ludziom zasmakować w jej dobrodziejstwach. Sądzę, że pospieszą oni wezwać na pomoc religię, ponieważ muszą wiedzieć, że wolność nie może zostać ustanowiona bez moralności, a moralność bez wiary. Spostrzegli jednak religię w szeregach przeciwników i to im wystarcza; jedni na nią napadają, drudzy zaś nie ośmielają się jej bronić.

Minione stulecia były świadkami, jak ludzie podli i sprzedaj ni zachwalali niewolę, podczas gdy niezależne umysły i szlachetne serca toczyły beznadziejną walkę o uratowanie wolności. Dzisiaj jednak spotyka się ludzi Szlachetnych i pełnych godności, których poglądy są całkowicie sprzeczne ze skłonnościami i którzy wynoszą służalczość i podłość, jakiej sami nigdy nie zaznali. Inni natomiast mówią o wolności tak, jakby wyczuwali; co w niej jest wielkie i święte, ale w imię dobra ludzkości hałaśliwie głoszą prawa, których sami nigdy nie uznawali.

Istnieją ludzie prawi i rozważni, których czyste obyczaje, umiarkowanie, wykształcenie i majątek sprawiają, iż wybijają się oni na czoło swojej Spo-

łeczności. Pełni szczerej miłości ojczyzny, są gotowi ponieść dla niej wielkie poświęcenia. Często jednak stają się wrogami cywilizacji, ponieważ mylą jej nadużycia z dobrodziejstwami, a idea zła nierozerwalnie łączy się w ich umysłach ze wszystkim, co nowe.

Lecz są jeszcze inni, którzy w imię postępu, starając się sprowadzić człowieka do jego czysto materialnej natury, szukają tylko tego, co pożyteczne, nie dbając o to, co słuszne. Szukają więc wiedzy bez wiary i dobrobytu bez cnoty. Mienią się obrońcami współczesnej cywilizacji i zuchwale stają na jej czele, przywłaszczając sobie miejsce, które pozwolono im zająć, a którego wcale nie są godni.

Do czego więc doszliśmy?

Ludzie wierzący walczą z wolnością, a przyjaciele wolności atakują religię; wzniosłe i szlachetne umysły opowiadają się za niewolnictwem, a dusze niskie i służalcze za swobodą; prawi i światli obywatele są wrogami wszelkiego postępu, podczas gdy ludzie wyzbyci patriotyzmu i zasad głoszą się apostołami cywilizacji i oświecenia!

Czy wszystkie stulecia podobne były naszemu? Czy człowiek zawsze miał przed oczami, tak jak dzisiaj, świat, w którym nic nie wiąże się z niczym, w którym cnota pozbawiona jest talentu, a talent nie ma czci, w którym zamiłowanie do porządku nie odróżnia się od zamiłowania do tyranii, a święty kult wolności od znienawidzenia prawa, w którym sumienie rzuca tylko wątpliwe światło na ludzkie działanie, w którym nic nie jest już zabronione ani przyzwolone, uczciwe ani haniebne, prawdziwe ani fałszywe?

Nie uwierzę, że Stwórca po to stworzył człowieka, by opuścić go w nie kończącej się walce z nędzą duchową, jaka nas otacza. Bóg gotuje społecznościom europejskim trwalszą i spokojniejszą przyszłość. Nie znam Jego zamiarów, lecz nie przestanę im ufać tylko dlatego, że nie mogę ich zgłębić, i będę zawsze wolał zwątpić raczej w swoją wiedzę niż w Jego sprawiedliwość.

Istnieje na świecie kraj, w którym wielka rewolucja społeczna, o jakiej mówię, wydaje się niemal osiągać swe naturalne granice. Odbyła się tam w sposób prosty i łatwy i można powiedzieć raczej, że kraj ten zbiera owoce rewolucji demokratycznej, która odbywa się w Europie, nie doświadczywszy samej rewolucji.

Emigranci, którzy na początku XVII wieku przybyli do Ameryki, by się tam osiedlić, uwolnili niejako istotę demokracji od wszystkiego, z czym zmagała się w starych społeczeństwach Europy, i przenieśli ją nietkniętą na wybrzeża Nowego Świata. Tam, na wolności, mogła się wzmocnić i rozwijając się wraz z obyczajami kształtować spokojnie swe prawa.

Wydaje mi się rzeczą niewątpliwą, że wcześniej czy później osiągniemy, jak Amerykanie, prawie pełną równość możliwości. Nie wynika z tego wcale, że będziemy zmuszeni z podobnego układu społecznego wyciągnąć w

przyszłości takie same konsekwencje polityczne, jakie wyciągnęli Amerykanie. Jestem daleki od myśli, że znaleźli oni jedyną formę rządów, jaka może być właściwa demokracji. Wystarczy jednak, że w obu krajach prawa i obyczaje pochodzą z tego samego źródła, by żywo zainteresowało nas pytanie, co mianowicie demokracja przyniosła każdemu z nich.

Poznawałem Amerykę nie tylko gwoli zaspokojenia uzasadnionej skądinąd ciekawości. Chciałem znaleźć tam nauki, z których moglibyśmy skorzystać. Bardzo myliłby się ktoś, kto by uważał, że w moich intencjach leżało pisanie panegiryku. Każdy, kto przeczyta tę książkę, zrozumie, że nie takie było moje zamierzenie. Nie było nim także przekonywanie do tej formy rządów w ogóle, ponieważ zaliczam się do ludzi przeświadczonych o zasadniczej niedoskonałości praw. Nie było też moim celem osądzanie, czy rewolucja społeczna, której rozwój wydaje mi się nieuchronny, jest korzystna czy też zgubna dla ludzkości. Przyjąłem tę rewolucję za fakt dokonany lub dokonania bliski i poszukiwałem narodu, w którym osiągnęła najpełniejszy i w miarę niezakłócony rozwój. Czyniłem to, by jasno zdać sobie sprawę ze skutków demokracji oraz dowiedzieć się, w jaki sposób można ją uczynić pożyteczną dla ludzkości. Przyznaję, że w Ameryce dostrzegłem coś więcej niż Amerykę, ponieważ dopatrywałem się. w niej wizerunku demokracji jako takiej, jej skłonności, jej charakteru, jej przesądów i jej namiętności. Chciałem ją poznać po to, by wiedzieć przynajmniej, czego się możemy po niej spodziewać i czego z jej strony obawiać.

W pierwszej części tej książki próbuję więc ukazać kierunek, jaki demokracja w naturalny sposób nadała prawom, z chwilą gdy została pozostawiona sobie samej i nieomal całkowicie wydana na pastwę swych instynktów; ukazać sposoby działania, jakie narzuciła rządowi, oraz w ogóle kontrolę, jaką sprawowała nad wszystkimi sprawami społecznymi. Analizowałem gwarancje, przy pomocy których Amerykanie zapewnili sobie możliwość kierowania nią, zastanawiałem się nad tymi, których zaniedbali, i starałem się zrozumieć, co pozwala demokracji rządzić społeczeństwem.

W drugiej części postanowiłem opisać wpływ, jaki równość możliwości i rządy demokracji wywierają na społeczeństwo, jego idee, zwyczaje i obyczaje. Mam jednak coraz mniej zapału dla tego tematu. Zanim skończę pracę, którą postanowiłem wykonać, moje wysiłki okażą się prawie zbyteczne. Zapewne wkrótce ktoś inny zabierze się do sportretowania najbardziej wyrazistych rysów amerykańskiego charakteru i łagodząc ostrość wizerunku doda prawdzie uroków, którymi ja nie potrafiłem jej przyozdobić.

Nie wiem, czy udało mi się opisać to, co zobaczyłem w Ameryce, lecz taki był mój szczery zamiar i jestem pewien, że nigdy świadomie nie uległem potrzebie naginania faktów do teorii, miast teorię dostosowywać do faktów.

Zawsze wtedy gdy mogłem wyjaśnić jakąś kwestię za pomocą dokumentów, starałem się sięgać do tekstów oryginalnych oraz do dzieł najbardziej

wiarygodnych i cenionych. [...] Gdy szło o poglądy, o zwyczaje polityczne i o obyczaje, starałem się zasięgać opinii osób najbardziej światłych. Gdy zdarzało się, że sprawa była wątpliwa lub wyjątkowej wagi, opierałem się na zespole świadectw, nie zadowalając się jednym.

Teraz jednak czytelnik musi mi uwierzyć na słowo. Na poparcie moich wywodów mogłem nieraz cytować poważne nazwiska, które są mu znane lub przynajmniej poznania godne, lecz wystrzegałem się tego. W gościnnym domu cudzoziemiec nieraz dowiaduje się rzeczy, które gospodarz chciałby ukryć nawet przed przyjacielem. W rozmowie z przyjezdnym zdarza mu się bowiem uchybić obowiązującej dyskrecji, ponieważ nie obawia się, że jego słowa zostaną wykorzystane. Każde takie zwierzenie skrupulatnie zapisałem, lecz nigdy nie opuści ono mego notatnika. Wolę już, by relacja moja miała mniejsze powodzenie, niżbym miał dołączyć swe nazwisko do listy tych podróżników, którzy za wspaniałomyślną gościnność wywdzięczają się przysporzeniem przykrości i kłopotów swoim gospodarzom.

Wiem, że choć nie szczędziłem trudów, książkę tę będzie bardzo łatwo skrytykować, jeżeli w ogóle ktoś zechce się tego podjąć.

Jednak ci czytelnicy, którzy uważnie ją przeczytają, odnajdą, jak sądzę, w całym dziele myśl przewodnią, która niejako wiąże wszystkie jego części. Jednocześnie różnorodność przedmiotów, którymi się zajmowałem, jest ogromna i nietrudno będzie, gdyby ktoś zechciał, przeciwstawić jakiś odosobniony fakt zespołowi faktów, które przytaczam, lub odosobnioną myśl zespołowi myśli.

Chciałbym, by czytano mą książkę w tym samym duchu, w jakim została ona napisana, i by osądzono ją wedle ogólnego wrażenia, jakie pozostawia, jako że sąd mój sformułowałem opierając się nie na pojedynczej przesłance, lecz na ogromnej liczbie przesłanek.

Nie należy zapominać i o tym, że autor, który pragnie być zrozumiany, zmuszony jest doprowadzać swą myśl do jej ostatecznych teoretycznych konsekwencji, nieraz do progu fałszu i niepodobieństwa. O ile bowiem czasem niezbędne jest porzucenie reguł logiki w działaniu, niepodobna tego uczynić w wywodzie i niemal równie trudno jest być niekonsekwentnym w słowach, jak konsekwentnym w działaniu.

Kończąc, sam pragnę zwrócić uwagę na to, co wielu czytelników uzna za główną wadę tej książki. Nie staje ona po niczyjej stronie. Nie pisałem jej z zamiarem służenia jakiejś partii lub bronienia kogokolwiek. Chciałem sięgnąć wzrokiem dalej, niż czynią to partie. Kiedy one myślą o jutrze, ja chciałbym myśleć o przyszłości.

Część pierwsza

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ukształtowanie powierzchni Ameryki Północnej

Ogólne cechy ukształtowania powierzchni Ameryki Północnej są łatwe do uchwycenia na pierwszy rzut oka.

Swego rodzaju metodyczny porządek panuje tu nad rozdziałem ziem i wód, łańcuchów górskich i dolin. Pośród mieszaniny tworów i krańcowej różnorodności obrazów ujawnia się proste i majestatyczne założenie.

Kraj ten jest niemal równo podzielony na dwie rozległe części. Na północy obszar arktyczny, ze wschodu zaś i zachodu dwa wielkie oceany wyznaczają jedną z nich. Idąc ku południowi tworzy ona trójkąt, którego nieregularnie wykreślone boki spotykają się poniżej wielkich jezior Kanady. Druga rozpoczyna się tam, gdzie się kończy pierwsza, i rozciąga się na pozostałe obszary kontynentu.

Jedna chyli się z lekka ku biegunowi, druga ku równikowi.

Obszary pierwszej krainy schodzą ku północy pochyłością tak nieznaczną, że można prawie powiedzieć, iż tworzą równinę. Na tej ogromnej płaszczyźnie nie ma ani wysokich gór, ani głębokich dolin.

Wody wiją się tu w sposób jakby przypadkowy. Rzeki się przeplatają, spotykają i oddalają od siebie, by odnaleźć się znowu, giną w wielkich bagnach, błądzą w wilgotnym labiryncie swych zakoli, by po niezliczonych meandrach znaleźć ujście w polarnych morzach. Wielkie jeziora ograniczające tę krainę nie są uwięzione, jak większość jezior starego świata, między wzgórzami lub skałami. Ich brzegi są płaskie i wznoszą się tylko o kilka stóp nad poziom wody. Każde z nich jest niby wielka misa napełniona po brzegi. Najlżejsze zmiany w strukturze globu rozlałyby ich wody ku biegunowi lub ku morzom tropikalnym.

Druga kraina jest bardziej zróżnicowana i lepiej przystosowana do tego, by stać się stałą siedzibą człowieka. Dwa długie łańcuchy górskie przecinają ją na całej przestrzeni: jeden, zwany Apallachami, ciągnie się wzdłuż wybrzeży Oceanu Atlantyckiego, drugi biegnie równolegle do Pacyfiku.

Obszar zamknięty pomiędzy dwoma łańcuchami gór liczy 228 343 mile kwadratowe. Jego powierzchnia jest więc około sześciu razy większa od powierzchni Francji.

Ta rozległa ziemia stanowi jedną wielką dolinę, która schodzi z zaokrąglonych szczytów Apallachów, by następnie wznieść się, nie napotykając przeszkód, aż ku wierzchołkom Gór Skalistych.

Po dnie doliny płynie ogromna rzeka. Ku niej właśnie zbiegają się ze wszystkich stron wody spływające z gór.

Na pamiątkę dalekiej ojczyzny nazwali ją niegdyś Francuzi rzeką Św. Ludwika, a Indianie w swym barwnym języku dali jej imię Ojca Wód, czyli Missisipi.

Missisipi ma swe źródła na granicy dwóch krain, o których mówiłem, w górnej części dzielącego je płaskowyżu.

W pobliżu bierze początek inna rzeka, która uchodzi potem do mórz polarnych. Sama Missisipi wydaje się czasem niepewna drogi, którą ma obrać: wielokrotnie kluczy po własnych śladach i dopiero zwolniwszy biegu pośród jezior i rozlewisk decyduje się statecznie płynąć na południe.

To spokojna w gliniastym leżu, które wyrzeźbiła dla niej natura, to znów wezbrana przez burze, Missisipi nawadnia ziemie na długości ponad tysiąca mil.

Już w odległości sześciuset mil od ujścia Missisipi osiąga średnią głębokość piętnastu stóp, a trzystutonowe statki wpływają w głąb lądu na odległość około dwustu mil.

Pięćdziesiąt siedem wielkich spławnych rzek przynosi jej swe wody. Wśród dopływów Missisipi jest jedna rzeka licząca tysiąc trzysta mil długości, jedna licząca dziewięćset, jedna — sześćset, jedna — pięćset i cztery po dwieście mil, nie mówiąc już o niezliczonej mnogości strumieni zbiegających się zewsząd, by zgubić się w jej nurcie.

Dolina, którą nawadnia Missisipi, wydaje się stworzona dla niej samej. Rzeka wedle woli rozdziela zło i dobro, jest w swej dolinie bogiem. Przyroda roztoczyła wokół niej swą nieprzebraną płodność, w miarę zaś oddalania się od brzegów ulegają wyczerpaniu urodzajne siły, ziemia ubożeje, wszystko marnieje lub ginie. Wielkie konwulsje globu nigdzie nie zostawiły tak wyraźnych śladów jak w dolinie Missisipi. Wygląd tego kraju świadczy o pracy wód. Jego jałowość i jego obfitość są dziełem rzek. Fale pierwotnego oceanu zgromadziły na dnie doliny wielkie złoża urodzajnej ziemi i zdołały je jeszcze wyrównać. Na prawym brzegu rzeki spotyka się ogromne równiny, gładkie niby powierzchnia pola, przez które oracz przeszedł z broną. Bliżej gór ziemia staje się natomiast coraz bardziej nierówna i jałowa: teren jest jakby podziurawiony w wielu miejscach, a pierwotne skały sterczą tu i tam, podobne kościom szkieletu, którego ciało i mięśnie pochłonął już czas. Granitowy żwir i kamienie przeróżnych rozmiarów pokrywają ziemię, a skroś tych przeszkód nieco roślin zdołało wypuścić swe pędy — wygląda to jak pole uprawne pokryte szczątkami potężnej budowli. Przyglądając się tym kamieniom i piaskowi łatwo zauważyć analogię między ich substancją a materią, która posłużyła za budulec suchym i spękanym wierzchołkom Gór Skalistych. Zepchnąwszy ziemię w głąb doliny wody uniosły zapewne ze so-

bą odłamy skał i toczyły je obok siebie, by wreszcie, pokruszywszy jedne o drugie, usłać podnóże gór szczątkami oderwanymi ze szczytów.

Zważywszy to wszystko, dolina Missisipi jest najwspanialszą z siedzib, jakie Bóg kiedykolwiek przygotował człowiekowi do zamieszkania, a jednak można powiedzieć, że stanowi ona dotąd ogromną ziemię dziewiczą.

Na wschodnim stoku Apallachów, pomiędzy podnóżem gór a Oceanem Atlantyckim, rozciąga się długa wstęga skał i piasku, których morze, zda się, cofając się zaniechało. Teren ten ma średnio jedynie czterdzieści osiem mil szerokości, lecz liczy sobie trzysta dziewięćdziesiąt mil długości. W tej części kontynentu amerykańskiego ziemia z trudem poddaje się zabiegom rolnika. Roślinność jest tu marna i monotonna.

Na tym właśnie niegościnnym brzegu skupiły się z początku wysiłki ludzkiej przemyślności. Na tym pasku jałowej ziemi powstały i wzrosły angielskie kolonie, które miały stać się kiedyś Stanami Zjednoczonymi Ameryki. Tam właśnie jeszcze do dzisiaj tkwi centrum władzy, podczas gdy na zachodzie gromadzą się niezauważalnie najprawdziwsze zaczątki wielkiego narodu, do którego bez wątpienia należy przyszłość kontynentu.

Europejczycy, którzy przybili do brzegów Antyli, a później do wybrzeży Ameryki Południowej, odnieśli wrażenie, że zostali przeniesieni do bajecznej krainy opiewanej przez poetów. Morze skrzyło się ogniami tropików, a niezwykła przezroczystość wód ukazywała po raz pierwszy oczom żeglarzy głębię jego otchłani. Gdzieniegdzie widać było małe wonne wyspy, które zdawały się płynąć niby kosze kwiatów po spokojnej powierzchni oceanu. Wszystko, co w tych zaczarowanych miejscach ukazywało się oku, zdawało się być stworzone dla człowieka i dla jego uciech. Większość drzew uginała się pod ciężarem pokrzepiających owoców, mniej zaś użyteczne czarowały wzrok blaskiem i różnorodnością swych barw. W lesie pachnących drzew cytrynowych, dzikich figowców, okrągłolistnych mirtów, akacji, oleandrów, wśród drzew obwieszonych kwitnącymi pnączami lian mnogość nieznanych w Europie ptaków lśniła skrzydłami z purpury i lazuru i wplatała koncert swych głosów w muzykę natury wypełnionej ruchem i życiem.

Pod tym olśniewającym płaszczem kryła się śmierć, lecz wcale jej nie dostrzegano. W powietrzu tropików unosił się nieokreślony, podniecający fluid, który wiążąc ludzi z dniem dzisiejszym, pozwalał beztrosko zapomnieć o przyszłości.

Całkiem inne wrażenie sprawiała Ameryka Północna: wszystko w niej było poważne, uroczyste i budzące szacunek. Wydawać się mogło, że została stworzona, by stać się siedliskiem rozumu, tak jak Ameryka Południowa — pomieszkaniem zmysłów.

Niespokojny i mglisty ocean okalał jej wybrzeża, spinał ją pas granitowych skał i piaszczystych brzegów; pokrywające je lasy posępnie i melan-

cholijnie szumiały listowiem, a rosły w nich jedynie sosny, modrzewie, wiązy, dzikie drzewa oliwne i laurowe.

Po przebyciu tej pierwszej strefy wędrowiec zanurzał się w cienistą puszczę wnętrza kraju. Spotykał tu największe drzewa, jakie rosną na obu półkulach. Platany, surmie, klony cukrowe, topole kanadyjskie splatały swe gałęzie z konarami dębów, buków i lip.

Podobnie jak w zamieszkałych lasach Starego Świata, śmierć dokonywała tu nieustannych zniszczeń, lecz nikt nie starał się usunąć pozostawionych przez nią szczątków. Gromadziły się więc jedne na drugich; czas nie nadążał zamieniać ich w proch i przygotować miejsca dla następnych. Lecz w samym środku zniszczeń wysiłek odradzania trwał nieprzerwanie. Poprzez obumarłe złoża przedostawały się ku światłu pnące rośliny i najróżniejsze trawy i ścieląc się po powalonych pniach wciskały się zwinnie w ich próchno, podważając i krusząc zbutwiałą korę, by torować drogę swym młodym pędom. Tak więc śmierć spieszyła poniekąd na pomoc życiu. Życie i śmierć mierzyły się ze sobą i, zda się, pragnęły połączyć i splątać ze sobą swe dzieła.

Tysiące strumieni, których biegiem nie pokierowała jeszcze ludzka przemyślność, utrzymywało wieczną wilgoć w głębokim mroku lasów. Widać było zaledwie nieco kwiecia, trochę dzikich owoców i ptactwa.

Ciszę przyrody zakłócał jedynie odgłos upadku powalonego wiekiem drzewa, szum wodospadu, porykiwanie bawołów.

Na wschód od wielkiej rzeki lasy częściowo znikały, zastąpione przez bezkresne łąki. Czyżby natura w swej bezgranicznej różnorodności zaprzestała wysiewu drzew na tych urodzajnych polach, czy może raczej las, który je pokrywał, został niegdyś zniszczony ręką człowieka? Ani legendy, ani naukowe badania nie zdołały tego dotąd wyjaśnić.

Te ogromne pustkowia nie były jednak zupełnie pozbawione obecności człowieka. W cieniu lasów i wśród pastwisk prerii koczowały od wieków nieliczne plemiona. Dzikie ludy żyjące na przestrzeniach od ujścia rzeki Św. Wawrzyńca aż do delty Missisipi, od Oceanu Atlantyckiego aż do Pacyfiku, wykazywały wiele cech wspólnych, które dowodziły ich jednolitego pochodzenia. A przy tym różniły się wielce od wszystkich znanych ras: ludzie ci nie byli ani biali jak Europejczycy, ani żółci jak większość Azjatów, ani czarni jak Murzyni. Skóra ich była czerwona, włosy długie i błyszczące, wargi wąskie, a kości policzków niezwykle wydatne. Języki, którymi mówiły dzikie plemiona tego kraju, różniły się między sobą słowami, lecz stosowały te same reguły gramatyczne. Reguły te znacznie różniły się od zasad, które uważano wówczas za rządzące powstawaniem ludzkich języków.

Narzecze Amerykanów zdawało się być wynikiem zupełnie nowych związków słownych i dowodziło u swych twórców wysiłku inteligencji, do którego Indianie teraźniejsi nie byliby chyba zdolni.

Układ społeczny tych ludów różnił się także pod wieloma względami od stosunków znanych w Starym Świecie; wyglądało na to, że mnożyły się one swobodnie w swych ostępach nie zaznając kontaktu z bardziej cywilizowaną rasą. A więc nie spotykało się u nich tych wątpliwych i niespójnych pojęć dobra i zła oraz tego głębokiego zepsucia, jakie u ogładzonych narodów, które powróciły do stanu barbarzyństwa, zwykło łączyć się z ciemnotą i prymitywnością obyczajów. Indianin wszystko zawdzięczał sobie; jego cnoty, ułomności i przesądy były jego własnym dziełem, rósł zgodnie z surową niezależnością swej natury.

W krajach cywilizowanych grubiaństwo człowieka z ludu nie bierze się jedynie stąd, że jest on ciemny i biedny, lecz stąd, iż będąc ciemnym i biednym styka się na co dzień z ludźmi oświeconymi i bogatymi.

Obraz własnej niedoli i słabości, porównywany stale ze szczęściem i siłą innych ludzi, budzi w jego sercu jednocześnie gniew i strach. Poczucie niższości i zależności drażni go i upokarza. Ten stan duszy znajduje odbicie w obyczajach oraz w sposobie wyrażania się, a człowiek taki staje się bezczelny i uniżony zarazem.

Prawdę tych słów potwierdza prosta obserwacja. W krajach rządzonych przez arystokrację lud jest bardziej ordynarny niż gdziekolwiek indziej, w zasobnych miastach bardziej niż na wsi.

Tam, gdzie zdarzają się ludzie możni i bogaci, biedni i słabi czują się jakby przytłoczeni własną niższością i nie znajdując sposobu na zdobycie równości tracą całkowicie wiarę w siebie oraz ludzką godność.

To rozdrażnienie, wynikłe z nierówności, nie istnieje w stanie dzikim: Indianie, będąc ciemnymi i biednymi, są wszyscy równi i wolni.

W chwili przybycia Europejczyków krajowiec z Ameryki Północnej nie znał jeszcze ceny bogactwa i okazywał obojętność wobec dobrobytu, jaki przynosi ono człowiekowi cywilizowanemu. Nie było w nim wówczas nic gruboskórnego, przeciwnie, w jego sposobie zachowania panowała powściągliwość i rodzaj arystokratycznej uprzejmości.

Łagodny i gościnny w czasie pokoju, w czasie wojny bezlitosny na sposób przekraczający granice ludzkiego okrucieństwa, gotów był Indianin wystawić się na ryzyko śmierci głodowej dla ratowania obcego, który z wieczora zapukał do jego drzwi; i potrafił także własnymi rękami rozdzierać drgające członki jeńca. Najsłynniejsze starożytne republiki nie oglądały większej odwagi, dumniejszych serc, bardziej nieugiętego umiłowania swobody od tych, które kryły wówczas dzikie lasy Nowego Świata.

Przybicie Europejczyków do brzegów Ameryki Północnej nie uczyniło wielkiego wrażenia, a ich obecność nie wzbudziła zawiści ni strachu. Jakiż wpływ mogli oni wywrzeć na tych ludzi? Indianin umiał żyć nie mając co jeść, cierpieć nie skarżąc się i umrzeć śpiewając. Jak wszyscy inni członkowie wielkiej ludzkiej rodziny, ci dzicy ludzie wierzyli w istnienie lepszego

świata i wielbili pod różnymi imionami Boga, stworzyciela wszechświata. Pojęcia, jakie mieli o wielkich prawdach rozumu, były proste i filozoficzne.

Jakkolwiek prymitywny wydawałby się lud, który tu opisujemy, przed nim żył niewątpliwie w tym kraju inny, bardziej cywilizowany i doskonalszy pod każdym względem.

Niejasne, choć rozpowszechnione u wszystkich indiańskich plemion wybrzeży Atlantyku podanie poucza nas, iż siedziba tego ludu znajdowała się niegdyś na zachód od Missisipi. Wzdłuż wybrzeży Ohio oraz w całej wewnętrznej dolinie kontynentu spotyka się do dziś pagórki wzniesione ręką człowieka. W środku można podobno znaleźć ludzkie kości, dziwne narzędzia, broń i wszelkiego rodzaju metalowe przybory przywodzące na myśl praktyki nie znane obecnie żyjącym plemionom.

Dzisiejsi Indianie nie potrafią nic powiedzieć na temat historii tego nieznanego ludu. Indianie zaś, którzy żyli trzysta lat temu, w czasach odkrycia Ameryki, również nie przekazali niczego, co mogłoby posłużyć choćby do sformułowania hipotezy. Nietrwałe, ale wciąż odradzające się dokumenty pierwotnego świata, jakimi są legendy, również nie rzucają na to światła. Na tej ziemi żyły jednak tysiące naszych bliźnich i nie sposób w to wątpić. Kiedy przybyli, skąd pochodzili, jakie były ich losy i historia, jak wreszcie zginęli? Nikt nie jest w stanie tego powiedzieć.

Rzecz dziwna! Są ludy, które tak bez reszty zniknęły z powierzchni ziemi, że nawet ich imię zostało zapomniane. Ich języki zanikły, chwała rozpłynęła się niby dźwięk pozbawiony echa, lecz każdy z nich pozostawił przynajmniej grób na pamiątkę swego istnienia. Tak więc pośród wszystkich dokonań człowieka najtrwalszym jeszcze okazuje się to, które stanowi najlepsze świadectwo jego nicości i jego nędzy!

Choć wielki kraj, który opisałem, był zamieszkany przez liczne plemiona krajowców, można nie bez racji powiedzieć, że w czasach swego odkrycia stanowił jeszcze pustkowie. Indianie zajmowali go, lecz go nie posiadali. Człowiek przywłaszcza sobie ziemię uprawiając ją, pierwsi zaś mieszkańcy Ameryki Północnej żyli z łowów. Ich nieprzejednane przesądy, nieposkromione namiętności, ich ułomności, a jeszcze bardziej może ich surowe cnoty, skazywały ich na nieuchronną zagładę. Proces zagłady tych ludów rozpoczął się w dniu, w którym Europejczycy przybili do brzegów Ameryki, i postępował odtąd, dobiegając końca w naszych czasach. Opatrzność, umieściwszy je pośród bogactw Nowego Świata, powierzyła im ten kraj na krótko; przebywali tam poniekąd tymczasowo. Wybrzeża, tak dobrze przysposobione do handlu i przemysłu, głębokie rzeki i niewyczerpane skarby doliny Missisipi sprawiały, że cały ten kontynent wyglądał wówczas jak pusta jeszcze kołyska wielkiego narodu.

Właśnie na tej ziemi mieli ludzie cywilizowani rozpocząć budowę społeczeństwa opartego na nowych zasadach oraz, stosując po raz pierwszy teorie

dotąd nieznane lub uważane za niemożliwe do wprowadzenia w życie, dać światu widowisko, do którego nie przygotowała go historia czasów minionych.

ROZDZIAŁ DRUGI

O początkach Stanów Zjednoczonych i o ich znaczeniu dla przyszłości Angloamerykanów

Narodził się człowiek. Pierwsze lata jego życia mijają niezauważalnie wśród zabaw i zatrudnień dzieciństwa. Człowiek rośnie, dojrzewa, wreszcie świat staje przed nim otworem. Nawiązuje kontakt z innymi ludźmi. Wówczas po raz pierwszy przyglądamy mu się baczniej i wydaje nam się, iż Dostrzegamy kształtujący się zalążek ułomności i zalet jego wieku dojrzałego.

I tutaj, jeśli się nie mylę, tkwi wielki błąd.

Zatrzymajmy się na chwilę i przyjrzyjmy bacznie dziecku, kiedy jest jeszcze w ramionach matki. Spójrzmy, jak świat zewnętrzny odbija się po raz pierwszy w mętnym jeszcze lustrze jego umysłu, zauważmy pierwsze zjawiska, które rzucają się mu w oczy, przysłuchajmy się pierwszym słowom rozbudzającym jego uśpioną zdolność myślenia, bądźmy świadkami pierwszej walki, jakiej będzie musiało sprostać, a wtedy dopiero zrozumiemy, skąd wzięły się przesądy, nawyki i namiętności, które zawładną jego życiem. Człowiek bowiem, by tak rzec, formuje się już w kołysce.

W wypadku narodów rzeczy mają się podobnie. Noszą one zawsze ślady swych początków. Okoliczności, jakie towarzyszyły ich narodzinom i umożliwiły ich rozwój, wpływają potem na ich dalsze dzieje.

Gdybyśmy mogli dotrzeć do początków społeczeństw i zapoznać się z pierwszymi dokumentami ich historii, nie wątpię, iż dałoby się w nich odczytać pierwszą przyczynę przesądów, zwyczajów i głównych namiętności, słowem wszystkiego, co składa się na całość zwaną charakterem narodowym. Udałoby się wówczas wyjaśnić praktyki, które dzisiaj wydają się przeciwne panującym obyczajom, i prawa sprzeczne z ogólnie przyjętymi zasadami, zrozumieć pojawiające się niekiedy w społeczeństwie niespójne poglądy, podobne resztkom porwanego łańcucha zwisającym ze sklepienia dawnej budowli, które niczego już dziś nie dźwigają. Wyjaśnilibyśmy w ten sposób losy pewnych narodów, które nieznana siła zdaje się wlec ku nieodgadnionym przeznaczeniom. Dotąd jednak badania takie były niemożliwe z powodu braku faktów. Zmysł analizy rozwijał się u narodów w miarę ich starzenia się i kiedy pochylały się wreszcie nad własną kołyską, czas okrywał ją już mgłą, ciemnota zaś i duma baśniami, poza którymi ukrywała się prawda.

Ameryka jest jedynym krajem, w którym udało się śledzić spokojny i naturalny rozwój społeczeństwa a także określić piętno, jakie pochodzenie Stanów wycisnęło na ich dalszych losach.

. . . . . .

Emigranci, którzy przybywali w różnych okresach, by osiedlić się na terytorium należącym dziś do Stanów Zjednoczonych, różnili się między sobą pod wieloma względami. Mieli odmienne cele i rządzili się wedle odmiennych zasad.

Mieli jednak pewne cechy wspólne i wszyscy znajdowali się w podobnej sytuacji.

Wspólnota języka jest zapewne najsilniejszym i najtrwalszym ze związków, jakie mogą łączyć ludzi. Wszyscy emigranci mówili tym samym językiem, byli wszyscy dziećmi jednego narodu. Urodzeni w kraju, w którym od stuleci toczyła się walka między stronnictwami i w którym poszczególne frakcje zmuszone były kolejno chronić się pod opiekę prawa, odebrali polityczną edukację w twardej szkole, a pojęcie prawa oraz zasad prawdziwej wolności było wśród nich bardziej rozpowszechnione niż u większości narodów Europy. W czasach pierwszych emigracji system gmin miejskich, ten płodny zalążek wolnych instytucji, przeniknął już głęboko do angielskich obyczajów, a dogmat suwerenności ludu legł u podstaw monarchii Tudorów.

W świecie chrześcijańskim toczyły się wówczas walki religijne. Anglia ze szczególnym zapamiętaniem rzuciła się w ich nurt. Jej mieszkańcy zawsze odznaczali się powagą i rozsądkiem, teraz jednak stali się surowi i doktrynerscy. Podczas tych ideowych walk ludzie zdobywali wiedzę, pogłębiali swą kulturę umysłową. Ponieważ wiele rozprawiano o religii, obyczaje stały się czystsze. Wszystkie te cechy narodu znalazły odbicie w charakterze jego synów, którzy przybyli na przeciwległy brzeg oceanu w poszukiwaniu nowych losów.

A oto pewne spostrzeżenie, do którego jeszcze wrócimy, a które odnosi się nie tylko do Anglików, lecz do Francuzów, Hiszpanów i wszystkich Europejczyków, kolejno urządzających się na wybrzeżach Nowego Świata. Wszystkie kolonie europejskie zawierały w sobie jeżeli nie w pełni rozwiniętą demokrację, to w każdym razie jej zarodek. Złożyły się na to dwie przyczyny: już w chwili opuszczenia ojczyzny emigranci nie żywili w zasadzie przekonania o wyższości jednych ludzi nad innymi. Na wygnanie nie udają się bynajmniej ludzie możni i szczęśliwi, bieda zaś i nieszczęście są najskuteczniejszą, jaką znamy, rękojmią równości. Potem zdarzyło się jednak wielokrotnie, że w następstwie walk politycznych czy religijnych wielcy panowie również docierali do Ameryki. Stworzono prawa mające na celu ustanowienie hierarchii społecznej, lecz szybko stało się jasne, że arystokracja ziemska nie przyjmie się na kontynencie amerykańskim. Przekonano się, iż karczowanie tej opornej ziemi wymaga stałych i skupionych wysiłków samego jej właściciela. Bywało, że nawet wykarczowana już ziemia nie rodziła dostatecznej ilości płodów, by wzbogacić jednocześnie i swego właściciela, i pracującego na niej rolnika. Skutkiem tego ziemia uległa podziałowi

na małe posiadłości, które były uprawiane rękami samych właścicieli. Otóż arystokracja chwyta się właśnie ziemi, do ziemi się przywiązuje i ziemia stanowi jej oparcie. Nie same przywileje i nie urodzenie stanowią o arystokracji, lecz dziedzicznie przekazywana własność ziemska. W jakimś kraju mogą współistnieć ogromne fortuny i wielka nędza, lecz jeżeli te fortuny nie są oparte na własności ziemskiej, to nie ma tam arystokracji we właściwym sensie tego słowa, chociaż są biedni i bogaci.

W okresie swego powstawania wszystkie kolonie angielskie tworzyły więc jakby jedną rodzinę. Zasada, na której opierało się ich istnienie, zdawała się je predestynować do rozwijania wolności, lecz nie arystokratycznej wolności ojczystej, tylko wolności burżuazyjnej i demokratycznej, której doskonały wzór nie istniał jeszcze w historii świata.

To ogólne zabarwienie składało się jednak z wielu odrębnych odcieni, których nie można pominąć.

W wielkiej rodzinie angloamerykańskiej należy odróżnić dwie główne gałęzie, które do dziś się rozrastają i dotychczas całkowicie się jeszcze ze sobą nie splotły. Jedna z nich rozwija się na południu, druga na północy.

Pierwsza kolonia angielska powstała w Wirginii. Emigranci przybyli tam w 1607 roku. W Europie panowało wówczas przekonanie, iż kopalnie złota i srebra stanowią o bogactwie narodów. Ta zgubna myśl bardziej zubożyła pochłonięte nią narody i zniszczyła więcej istnień ludzkich w Ameryce niż wojna i wszystkie niesprawiedliwe prawa razem wzięte. Wysyłano więc do Wirginii poszukiwaczy złota; byli to ludzie biedni i nieokrzesani, których niespokojny i nieokiełzany duch zakłócił dziecięce lata kolonii i czynił niepewnym jej rozkwit. Za nimi napływali rzemieślnicy i rolnicy, a więc ludzie spokojniejsi i wyższej próby, lecz pod żadnym względem nie wznoszący się ponad poziom niższych klas angielskich. Ani jedna szlachetniejsza myśl, ani jeden zamysł pozbawiony motywu korzyści materialnej nie przyświecał powstającym koloniom. Ledwie założono kolonię, już wprowadzano niewolnictwo, i był to właśnie podstawowy fakt, który miał wywrzeć ogromny wpływ na charakter, prawa i całą przyszłość Południa.

Niewolnictwo, jak pokażemy w dalszych rozważaniach, bezcześci pracę i wprowadza do społeczeństwa próżniacze obyczaje, a wraz z nimi ciemnotę i pychę, nędzę i luksus. Niewolnictwo osłabia siłę umysłu i usypia ludzką aktywność. Jego wpływ, skojarzony z cechami angielskiego charakteru, pozwala wytłumaczyć obyczaje i układ społeczny Południa.

Na Północy, na tej samej angielskiej kanwie, powstawały inne całkiem odcienie. Niech mi będzie wolno przytoczyć kilka szczegółów.

Właśnie w angielskich koloniach Północy, lepiej znanych pod nazwą stanów Nowej Anglii, skojarzone zostały ze sobą dwie lub trzy idee o zasadniczym znaczeniu, które dziś stanowią podstawę dla społecznej myśli Stanów Zjednoczonych.

Zasady właściwe Nowej Anglii rozprzestrzeniły się najpierw na stany sąsiednie, później stopniowo docierały do najdalszych, by w końcu, jeżeli można tak się wyrazić, przeniknąć całą federację. Obecnie wywierają wpływ poza jej granicami, w całym świecie amerykańskim. Cywilizacja Nowej Anglii była jak ogniska zapalone na wierzchołkach gór, które promieniując wokół siebie ciepłem, blaski swe rzucają na kresy horyzontu.

Założenie Nowej Anglii było zjawiskiem zupełnie nowym; wszystko było w nim szczególne i niepowtarzalne.

Pierwszymi mieszkańcami niemal wszystkich kolonii byli albo ludzie niewykształceni i biedni, których nędza i niepowodzenie wygnały z rodzinnego kraju, albo chciwi spekulanci i przedsiębiorcy. Są na świecie kolonie, które nie mogą się poszczycić nawet takimi początkami: San Domingo zostało założone przez piratów, a zaludnianiem Australii do dziś dnia zajmują się angielskie sądy.

Emigranci zaś, którzy osiedlili się w Nowej Anglii, w swej ojczyźnie należeli wszyscy do klas zamożniejszych. Zgromadzenie się ich na ziemi amerykańskiej spowodowało już od samego początku powstanie szczególnego zjawiska, jakim było społeczeństwo bez wielkich panów i bez ludu oraz właściwie bez biednych ani bogatych. Jeżeli wziąć pod uwagę odpowiednie proporcje, było to społeczeństwo bardziej oświecone od któregokolwiek ze współczesnych narodów europejskich. Wszyscy ci ludzie, być może bez wyjątku, odebrali dość znaczną edukację, a wielu z nich dało się poznać już w Europie dla swej wiedzy i talentów. Podczas gdy inne kolonie były zakładane przez bezdomnych poszukiwaczy przygód, emigranci Nowej Anglii przywieźli ze sobą podziwu godne podstawy porządku i moralności i na nie zamieszkaną ziemię udawali się wraz ze swymi żonami i dziećmi. Tym jednak, co najbardziej różniło ich od pozostałych osadników, był sam cel przedsięwzięcia. Nie konieczność bowiem zmusiła ich do opuszczenia kraju, gdyż pozostawiali tam godną pozazdroszczenia pozycję społeczną i zapewnione środki do życia. Do Nowego Świata nie przybywali także po to, by poprawić swą sytuację lub pomnożyć swe bogactwa. Odmówili sobie łaski życia w ojczyźnie po to, by zaspokoić potrzebę czysto duchową. Narażając się na nieuchronne niedole wygnania, pragnęli doprowadzić do tryumfu pewnej idei.

Ci emigranci, lub jak sami siebie najlepiej nazwali, pielgrzymi (pilgrims), należeli do angielskiej sekty, której dla surowości zasad nadano nazwę purytańskiej. Purytanizm nie był jedynie doktryną religijną; w wielu poglądach zbliżał się do najbardziej skrajnych teorii demokratycznych a republikańskich. Najniebezpieczniejszych wrogów zyskał sobie właśnie z tego powodu. Prześladowani przez ojczysty rząd purytanie, których surowe zasady były nieustannie obrażane przez codzienne praktyki rodzimego społeczeństwa, poszukiwali ziemi dostatecznie barbarzyńskiej i zapomnianej od świata, by można było na niej żyć po swojemu i swobodnie chwalić Boga.

. . . . . .

Nie należy sądzić, że pobożność purytanów miała czysto doktrynerski charakter ani że była obca codziennym ludzkim sprawom. Purytanizm, jak się rzekło, był w niemal równym stopniu polityczną teorią co doktryną religijną. Pierwszą troską emigrantów, zaledwie przybili do niegościnnego brzegu, było zorganizowanie się w społeczeństwo. Sporządzili natychmiast następujący dokument:

«My, niżej podpisani, którzy dla chwały bożej, dla rozkwitu wiary chrześcijańskiej i dla honoru naszej ojczyzny przedsięwzięliśmy założenie pierwszej kolonii na tych odległych wybrzeżach, za wzajemną i uroczystą zgodą postanawiamy niniejszym wobec Boga, że utworzymy z siebie Społeczeństwo polityczne w celu rządzenia się i pracy nad wypełnianiem naszych celów. Na mocy tej umowy postanawiamy ogłosić prawa, ustawy i zarządzenia oraz w miarę potrzeby powołać urzędników, którym przyrzekamy poddanie i posłuszeństwo.»

Działo się w to w 1620 roku. Począwszy od tej chwili emigracja już nie ustała. Namiętności religijne i polityczne, które rozdzierały królestwo brytyjskie podczas panowania Karola I, dostarczały corocznie Ameryce nowych gromad sekciarzy. Ognisko purytanizmu w dalszym ciągu znajdowało się w Anglii wśród klas średnich, i z klas średnich pochodziła większość emigrantów. Ludność Nowej Anglii wzrastała w liczbę i podczas gdy w starej ojczyźnie hierarchia społeczna wciąż jeszcze dzieliła ludzi w sposób bezwzględny, kolonia stawała się niepowtarzalnym przykładem jednolitego społeczeństwa. Ze starego feudalnego społeczeństwa wyłoniła się w całej wielkości i sile demokracja, o jakiej starożytność nie śmiała marzyć.

Rząd angielski, rad pozbyć się zalążków niepokoju i nowych rewolt, bez trudności zgadzał się na liczne emigracje. Sprzyjał im nawet ze wszystkich sił i zdawał się niemal nie interesować losem ludzi, którzy udawali się do Ameryki w poszukiwaniu schronienia przed jego twardym prawem. Rzekłbyś, iż rząd traktował Nową Anglię jako ziemię oddaną rojeniom wyobraźni, którą należy pozostawić swobodnym próbom nowatorów.

Kolonie angielskie cieszyły się zawsze większą wolnością wewnętrzną i większą niezależnością polityczną od kolonii zakładanych przez inne narodowości i to był jeden z głównych powodów ich pomyślnego rozwoju. Ta zasada wolności nigdzie nie była jednak stosowana równie konsekwentnie jak w stanach Nowej Anglii.

. . . . . .

Przyglądając się pierwszym dokumentom historycznym i prawnym Nowej Anglii, niełatwo jest dopatrzeć się więzów, które łączyły emigrantów z krajem przodków. Sporządzają oni akty suwerenności, mianują urzędników,

zawierają pokój i wypowiadają wojnę, wydają porządkowe zarządzenia i nadają sobie prawa tak, jakby byli zależni wyłącznie od Boga.

Nie ma nic bardziej szczególnego i zarazem bardziej pouczającego od prawodawstwa tego okresu i tutaj przede wszystkim należy szukać rozwiązania wielkiej zagadki społecznej, jaką Stany Zjednoczone są dzisiaj.

Jednym z najbardziej charakterystycznych wśród tych dokumentów jest kodeks prawny, który mały stan Connecticut nadał sobie w 1650 roku.

Prawodawcy z Connecticut zajęli się najpierw prawem karnym i wpadli na szczególny pomysł, by zaczerpnąć jego przepisy z Pisma Świętego:

«Ktokolwiek chwalił będzie innego Boga nad Pana Naszego — rozpoczynają — będzie skazany na śmierć.»

Następuje dziesięć lub dwanaście podobnych artykułów zapożyczonych dosłownie z Księgi Powtórzonego Prawa, z Księgi Wyjścia i z Księgi Kapłańskiej.

Bluźnierstwo, czarnoksięstwo, cudzołóstwo i gwałt są również karane śmiercią. Znieważenie rodziców przez syna zasługuje na tę samą karę. Tak oto prawa prymitywnego i na wpół cywilizowanego ludu zastosowano do oświeconego społeczeństwa, w którym panowały łagodne obyczaje. Toteż nie było nigdy prawa, które by w równym stopniu szafowało śmiercią i stosowało tę karę do równie małej liczby winnych.

Formułując takie artykuły prawa karnego prawodawcy troszczyli się przede wszystkim o podtrzymanie moralności i dobrych obyczajów w społeczeństwie. Dlatego zajmowali się stale sprawami sumienia i nie było prawie grzechów, których by w końcu nie poddali urzędowej karze. Czytelnik mógł zauważyć, z jaką surowością to prawo traktowało cudzołóstwo i gwałt. Przestawanie ludzi nie związanych małżeństwem było surowo piętnowane. Sędzia miał prawo zastosować w stosunku do winnych jedną z trzech kar: grzywnę, chłostę lub małżeństwo, i jeżeli wierzyć rejestrom dawnych sądów w New Haven, procesy tego rodzaju nie należały do rzadkości. Pod datą 1 maja 1650 roku znajdujemy tam wyrok grzywny i nagany zastosowany do młodej dziewczyny, którą oskarżono o kilka zbyt swobodnych słów oraz o to, że pozwoliła się pocałować. Kodeks z 1650 roku obfituje w środki prewencyjne. Lenistwo i pijaństwo są w nim surowo karane. Oberżystom nie wolno sprzedawać żadnemu klientowi więcej niż pewną określoną ilość wina. Grzywna i chłosta oczekują winnego zwykłego kłamstwa, jeżeli okazało się ono szkodliwe. W innych zaś stanach prawodawcy, zapomniawszy całkowicie o wielkich zasadach religijnej wolności, które sami głosili w Europie, pod karą grzywny zmuszają ludzi do uczestnictwa w mszy i posuwają się do ścigania surowymi karami, a często i karą śmierci, chrześcijan, którzy pragną chwalić Boga w innym obrządku niż ich własny. Gorliwość prawodawców w dziedzinie zakazów doprowadziła ich nieraz do zajmowania się sprawami nie licującymi z ich godnością. W tym samym kodeksie znajdujemy

prawo zabraniające używania tytoniu. Nie należy przy tym zapominać, że te dziwaczne i tyrańskie prawa nie były przez nikogo narzucone, że zostały przegłosowane przy swobodnym udziale wszystkich zainteresowanych oraz że obyczaje były wówczas jeszcze surowsze i bardziej purytańskie od praw. W 1649 roku w Bostonie powstaje szacowne stowarzyszenie przyjmujące za cel zapobieganie modnemu obyczajowi noszenia długich włosów.

Takie odchylenia przynoszą niewątpliwie wstyd ludzkiemu rozumowi i świadczą o niskości naszej natury, która będąc niezdolną do jasnego pojęcia sprawiedliwości i prawdy, skazana jest najczęściej na dokonywanie wyboru pomiędzy dwiema skrajnościami.

Obok tego prawodawstwa karnego, tak silnie naznaczonego ograniczonym duchem sekciarskim i wszelkimi religijnymi namiętnościami, wzmożonymi jeszcze przez prześladowania i fermentującymi ciągle w głębi serc ludzkich, istnieje, związany z nimi w pewien sposób, zespół praw politycznych, które choć ustanowione dwieście lat temu, wydają się wciąż jeszcze wyraźnie wyprzedzać ducha wolności naszych czasów.

Główne zasady, na których opierają się współczesne konstytucje, zasady, które z trudem były pojmowane przez większość Europejczyków XVII wieku i dopiero częściowo dochodziły do głosu w Wielkiej Brytanii, zostały wszystkie bez wyjątku uznane i utwierdzone w prawach Nowej Anglii. Wpływ ludu na sprawy publiczne, prawo wyborcze nie ograniczone cenzusem majątkowym, odpowiedzialność wykonawców władzy, wolność osobista i sąd przysięgłych — wszystkie te zasady zostały tam przyjęte bez sporów.

Te podstawowe zasady znalazły tam zastosowanie i rozwinięcie, jakiego nie ośmielił się jeszcze im dać żaden naród europejski.

Zrozumiałą jest rzeczą, że w Connecticut prawo wyborcze przysługiwało od początku wszystkim obywatelom. W tym rodzącym się społeczeństwie panowała w owym czasie niemal doskonała równość majętności, a w większym jeszcze stopniu równość umysłów.

W Connecticut wszyscy funkcjonariusze władzy wykonawczej, włącznie z gubernatorem stanu, byli wówczas wybieralni.

Obywatele od szesnastego roku życia byli zobowiązani do noszenia broni. Tworzyli oni milicję narodową, która mianowała swych oficerów i winna była pozostawać w stałej gotowości do obrony kraju.

W prawodawstwie Connecticut, jak i w prawodawstwie wszystkich stanów Nowej Anglii, rodzi się i rozwija niezależność gmin, która do dziś stanowi podstawę amerykańskiej wolności.

U większości narodów europejskich życie polityczne rozpoczynało się w wyższych warstwach społeczeństwa i dopiero stamtąd, stopniowo i w sposób cząstkowy, docierało do innych warstw.

O Ameryce natomiast można powiedzieć, że gmina powstała tam, zanim istniało hrabstwo, hrabstwo — zanim istniał stan, stan zaś był wcześniejszy od Unii.

Gminy ostatecznie i całkowicie ukonstytuowały się w Nowej Anglii począwszy od 1650 roku. Obowiązki i prawa, ludzkie interesy i namiętności skupiły się wokół gminy i silnie związały z jej życiem. W obrębie gminy panowało rzeczywiste życie polityczne, w pełni demokratyczne i republikańskie. Kolonie uznawały jeszcze zwierzchność metropolii i monarchia była ustrojem stanu, lecz w obrębie gminy republika żyła już pełnym życiem.

Gmina mianuje wszelkiego rodzaju urzędników oraz określa rozmiary całości należnego jej podatku, sama ustala wysokość podatków płaconych przez poszczególnych obywateli oraz je ściąga. W gminie Nowej Anglii nie istnieje jeszcze system przedstawicielski. Jak w Atenach, sprawy, które dotyczą wszystkich, są rozpatrywane na placu publicznym przez ogólne zgromadzenie obywateli.

Przy dokładniejszym badaniu praw wydanych w tym pierwszym okresie istnienia amerykańskich republik uderza inteligencja polityczna i śmiałe koncepcje prawodawcy.

Oczywistym się staje, iż pojmował on obowiązki społeczeństwa wobec własnych obywateli na sposób doskonalszy i pełniejszy niż ówcześni prawodawcy europejscy oraz że potrafił narzucić społeczeństwu zobowiązania, od których było ono jeszcze wolne w Europie. W stanach Nowej Anglii od początku zajmowano się losem biednych; surowe przepisy regulowały utrzymywanie dróg publicznych — mianowano urzędników, którzy czuwali nad ich wykonywaniem; w gminach prowadzone były oficjalne rejestry, w których notowano wyniki debat publicznych, zgony, związki małżeńskie i narodziny: zajmowali się tym specjalnie do tego przeznaczeni sekretarze gmin; inni urzędnicy zobowiązani byli do administrowania majątkami, jeszcze inni zaś do administrowania spadkami; wielu urzędników czuwało nad porządkiem publicznym w gminie.

Prawo wdawało się w tysiące drobnych spraw po to, by wyjść naprzeciw ogromnej liczbie społecznych potrzeb i zaspokajać je. Dziś we Francji istnieje zaledwie niejasne odczucie tych potrzeb.

Dopiero jednak przepisy dotyczące szkolnictwa w pełni ujawniają nowatorski charakter cywilizacji amerykańskiej.

«Zważywszy — powiada prawo — że Szatan, nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego, w ciemnocie człowieka znajduje swoje najpotężniejsze oręże oraz że należy zapobiec temu, by wiedza naszych ojców zeszła wraz z nimi do grobu; zważywszy, że wychowywanie i kształcenie dzieci jest jednym z najważniejszych interesów państwa, w obliczu Boga...» Po czym następują zarządzenia powołujące szkoły we wszystkich gminach i pod karą pokaźnych grzywien zobowiązujące mieszkańców do ich utrzymywania. Na tej samej

zasadzie powołane zostały również szkoły wyższe w najbardziej zaludnionych regionach. Ustalono, że urzędnicy miejscy winni czuwać nad tym, by rodzice posyłali swe dzieci do szkoły, oraz że mają oni prawo ściągania grzywny od obywateli, którzy uchylają się od tego obowiązku. Jeżeli zaś opór trwa nadal, społeczeństwo, zastępując w ten sposób rodzinę, odbiera rodzicom dziecko oraz prawa dane im przez naturę, z których uczynili tak zły użytek. Czytelnik zwrócił bez wątpienia uwagę na wstęp, który poprzedził te zarządzenia: to religia wskazuje w Ameryce drogę do oświaty, a przestrzeganie praw boskich prowadzi człowieka do wolności.

Kiedy, przyjrzawszy się w ten sposób pobieżnie amerykańskiemu społeczeństwu z 1650 roku, rozpatrujemy sytuację panującą w tym samym czasie w Europie, a w szczególności na kontynencie, doświadczamy uczucia głębokiego zdziwienia. Na kontynencie europejskim początku XVII wieku, na szczątkach oligarchicznej i feudalnej wolności średniowiecznej, panowały wszędzie monarchie absolutne. Być może nigdy idea prawa nie była równie zapoznana jak w tej świetnej i wykształconej Europie, nigdy życie polityczne społeczeństw nie było słabsze, a idea prawdziwej wolności prawdopodobnie nigdy w mniejszym stopniu nie zaprzątała umysłów. Właśnie wtedy owe zasady, nieznane lub pogardzane w społeczeństwach europejskich, zostały proklamowane na dziewiczej ziemi Nowego Świata, by stać się przyszłym symbolem wielkiego narodu. W tym tak skromnie prezentującym się społeczeństwie, którym żaden mąż stanu nie zechciałby się wtedy zapewne zajmować, zostały wprowadzone w czyn najśmielsze idee ludzkiego umysłu. Wyobraźnia ludzka, czując się autentycznie swobodną, improwizowała tu prawodawstwo nie mające sobie podobnych. Z tej dziwnej demokracji, która nie wydała jeszcze ani generałów, ani filozofów, ani wielkich pisarzy, wyszedł człowiek, który wobec wolnego społeczeństwa i przy powszechnym uznaniu wygłosił tę piękną definicję wolności:[*]

«Nie popełniajmy błędu w rozumieniu naszej niezależności. Istnieje bowiem rodzaj wolności zepsutej, która jest właściwa zarówno ludziom jak i zwierzętom i która polega na robieniu wszystkiego, co się nam podoba. Wolność ta jest wrogiem wszelkiej władzy i w swej niecierpliwości gotowa jest naruszyć wszelkie zasady. Ona sprawia, że stajemy się niegodni siebie samych. Jest wrogiem prawdy i pokoju i Bóg postanowił jej się sprzeciwić. Lecz istnieje wolność społeczna i moralna, która czerpie siły w jedności i którą ochraniać winna władza. Jest to wolność czynienia bez lęku wszystkiego, co jest dobre i sprawiedliwe. Tej świętej wolności winniśmy bronić we wszystkich okolicznościach; dla niej, jeśli zajdzie potrzeba, winniśmy narazić nasze życie.»

Tyle wystarczy, by ukazać prawdziwy charakter angloamerykańskiej cywilizacji. Jest ona wynikiem — i ten punkt wyjścia należy mieć stale na

[*] Mowa o gubernatorze Vintropie.

uwadze — dwóch absolutnie różnych elementów, które w innych krajach nierzadko ze sobą walczyły, lecz które w Ameryce udało się wcielić niejako w siebie nawzajem i doskonale połączyć. Mam na myśli ducha religii i ducha wolności.

Założyciele Nowej Anglii byli jednocześnie żarliwymi sekciarzami i zapalonymi nowatorami. Ich umysły, skrępowane ciasnymi więzami pewnych poglądów religijnych, pozostawały wolne od wszelkich przesądów politycznych.

Stąd dwie różne, lecz bynajmniej nie sprzeczne tendencje, których ślad daje się odnaleźć we wszystkim — zarówno w obyczajach, jak i w prawach.

Dla poglądów religijnych ludzie gotowi są poświęcić przyjaciół, rodzinę i ojczyznę. Wydaje się, że są bez reszty oddani sprawie tych duchowych wartości, za które płacą tak wysoką cenę. A jednak z równą niemal żarliwością oddają się poszukiwaniu dóbr materialnych jak i wartości moralnych, w wiecznym życiu — nieba, w doczesnym — dobrobytu i wolności.

Zasady polityczne, prawa i instytucje społeczne w ich rękach wydają się giętkie; ulegają dowolnym kombinacjom i przeobrażeniom.

Opadają przed nimi bariery dzielące społeczeństwo, w którym się narodzili; rozpraszają się stare idee, które od wieków kierowały sprawami świata; otwierają się niemal nieograniczone możliwości i bezkresne widoki; korzystając z tego umysły rozwijają się wszechstronnie. Lecz dotarłszy do granic rzeczywistości politycznej same nakładają sobie więzy z obawy przed nadużyciem swych potężnych zdolności, wyrzekają się zwątpienia, powstrzymują wrodzoną potrzebę wprowadzania zmian i nie próbują nawet uchylić zasłon tego sanktuarium; z szacunkiem chylą głowę przed prawdami, które przyjmują bez zastrzeżeń i dyskusji.

Tak więc w dziedzinie moralności wszystko jest uporządkowane, powiązane ze sobą, przewidziane i z góry zdecydowane. W rzeczywistości zaś politycznej wszystko jest zmienne, niepewne, podawane w wątpliwość. W pierwszej panuje bierne choć dobrowolne posłuszeństwo, w drugiej niezależność, niechęć do korzystania z cudzych doświadczeń i zazdrość w stosunku do wszelkiej władzy.

Te dwie z pozoru tak sprzeczne tendencje zgodnie idą w parze i miast sobie szkodzić zdają się popierać siebie nawzajem.

Religia upatruje w wolności człowieka szlachetne ćwiczenie dla jego zdolności, a rzeczywistość polityczną pojmuje jako teren powierzony przez Stwórcę wysiłkom jego inteligencji. Wolna i potężna w swojej sferze działania, zadowala się tym miejscem w społeczeństwie, jakie dla niej zastrzeżono, i jest świadoma tego, że większą władzę posiada wtedy, gdy korzysta tylko z własnych sił i panuje nad sercami bez pomocy dodatkowych zabiegów.

Wolność natomiast traktuje religię jako towarzyszkę swych walk i zwycięstw, kolebkę swego dzieciństwa, boskie źródło swych praw. Uważa religię za strażniczkę obyczajów, obyczaje zaś za rękojmię prawa i gwarancję własnego przetrwania.

O pochodzeniu pewnych szczególnych cech, jakie posiadają prawa i obyczaje Angloamerykanów

Czytelnik nie powinien wyciągnąć z powyższego zbyt ogólnych i zbyt dosłownych wniosków. Warunki społeczne, religia i obyczajowość pierwszych emigrantów wywarły bez wątpienia ogromny wpływ na los ich nowej ojczyzny. A jednak nie oni sami dokonali dzieła utworzenia społeczeństwa, które im zawdzięczało swe początki. Nikt nie jest w stanie całkowicie się odciąć od przeszłości. Do swych własnych idei i obyczajów ludzie ci dodali inne idee i inne obyczaje, które zaczerpnęli z wychowania i z tradycji narodowej swych krajów.

Jeżeli mamy zamiar poznać i osądzić dzisiejszych Angloamerykanów, musimy pieczołowicie odróżnić elementy purytańskiej i angielskiej proweniencji.

W Stanach Zjednoczonych niejednokrotnie napotyka się prawa i obyczaje kontrastujące z całą otaczającą rzeczywistością. Odnosi się wrażenie, że prawa te zostały sformułowane w duchu przeciwnym temu, który dominuje w całym amerykańskim prawodawstwie, obyczaje zaś stoją w sprzeczności z istniejącym układem społecznym. Sprawy tej nie udałoby się wyjaśnić, gdyby kolonie angielskie powstały w czasach nieoświeconych lub gdyby ich początki gubiły się w pomroce dziejów. Aby ułatwić zrozumienie mojej myśli, podam tylko jeden przykład. Amerykańskie prawo cywilne i karne zna jedynie dwa środki działania: więzienie lub kaucję. Pierwszą czynnością w procedurze sądowej jest przyjęcie od pozwanego kaucji lub w wypadku odmowy, uwięzienie go. Dopiero potem rozważa się prawomocność oskarżenia i ciężar zarzutów.

Rzecz oczywista, że podobne prawo jest skierowane przeciwko biednemu i faworyzuje bogatego.

Biedaka nie zawsze stać na kaucję, nawet w sprawie cywilnej, i jeżeli każą mu oczekiwać sprawiedliwości w więzieniu, przymusowa bezczynność wkrótce robi z niego nędzarza.

Człowiekowi bogatemu natomiast zawsze udaje się uniknąć więzienia w procesie cywilnym; co więcej, popełniwszy przestępstwo łatwo uchyla się od kary, albowiem po zapłaceniu kaucji po prostu znika. Można więc powiedzieć, że wszystkie kary wyznaczone przez prawo sprowadzają się dla niego do grzywny. Trudno o bardziej arystokratyczne prawodawstwo.

Tymczasem w Ameryce prawa tworzą ludzie biedni, którzy zwykli dla siebie zachowywać największe uprawnienia.

Wytłumaczenia tego zjawiska należy szukać w Anglii, wymienione prawo jest bowiem prawem angielskim. Amerykanie nie zmienili go, choć było sprzeczne z całością prawodawstwa i idei amerykańskich.

Poza zwyczajami, prawo cywilne jest tą dziedziną, którą życie społeczne najmniej przeobraża. Dobrze znają je tylko prawnicy jako ludzie bezpośrednio zainteresowani w jego niezmienności, niezależnie od tego, czy jest ono dobre, czy złe. Większość ludzi zaledwie się z nim styka, ma z nim do czynienia jedynie w poszczególnych wypadkach i z trudem pojmując jego intencje poddaje mu się bez wnikania w nie.

Do tego przykładu można by dodać wiele innych.

Wizerunek amerykańskiego społeczeństwa jest, że się tak wyrażę, pokryty demokratycznym pokostem, pod którym tu i ówdzie ujawniają się dawne barwy arystokratycznego porządku świata.

ROZDZIAŁ TRZECI

Układ społeczny Angloamerykanów

Układ społeczny jest zazwyczaj wytworem okoliczności, czasem praw, najczęściej zaś obu tych czynników jednocześnie. Lecz gdy już zaistnieje, może z kolei sam zostać uznany za pierwszą przyczynę większości praw, obyczajów i idei, które stanowią o sposobie życia narodów. To zaś, co nie jest bezpośrednim wytworem układu społecznego, jest przezeń modyfikowane.

Aby więc poznać prawa i obyczaje określonego narodu, trzeba zacząć od rozpatrzenia jego układu społecznego.

O tym, że podstawową tendencją układu społecznego Angloamerykanów jest dążenie ku istocie demokracji

Układ społeczny Amerykanów można określić różnie, niemniej jedna spośród jego cech jest najistotniejsza.

Układ społeczny Amerykanów jest wybitnie demokratyczny. Cechowało go to od momentu założenia kolonii, dziś ma ten charakter w jeszcze większym stopniu.

Powiedziałem w poprzednim rozdziale, że wśród emigrantów przybyłych do Nowej Anglii panowała wielka równość. W tej części Unii nie pojawiły się nawet zarodki systemu arystokratycznego. Nowa Anglia przyjęła jedynie pewne wpływy duchowe. Społeczeństwo przywykło do szanowania pewnych nazwisk, symbolizujących oświecenie i cnotę. Zdanie kilku ludzi miało nad nim władzę, którą śmiało można by nazwać arystokratyczną, gdyby tylko mogła niezmiennie przechodzić z ojca na syna.

Tak było na terenach położonych na wschód od rzeki Hudson, natomiast na południowy zachód, aż do Florydy, rzeczy przedstawiały się zgoła inaczej.

W większości stanów położonych na południowy zachód od rzeki Hudson osiedlali się wielcy właściciele ziemscy z Anglii. Przeniknęły tu arystokratyczne zasady, a wraz z nimi angielskie prawo spadkowe. Mówiłem już o powodach, które stanęły na przeszkodzie temu, by w Ameryce powstała potężna arystokracja. Działały one w całej Ameryce, a jednak nie miały tu tej samej mocy co na terenach położonych na wschód od Hudson. Na Południu jeden człowiek, posługujący się niewolnikami, mógł uprawiać wielkie obszary ziemi. W tej części kontynentu byli więc wielcy właściciele ziemscy, lecz

władza ich nie, miała charakteru władzy arystokratycznej na wzór europejski, ponieważ nie posiadali oni żadnych przywilejów, a system uprawiania ziemi przy pomocy niewolników obywał się bez dzierżawców, a co za tym idzie, nie wytworzył instytucji patronatu. Ci wielcy właściciele stanowili jednak klasę wyższą, posiadającą właściwe sobie poglądy i upodobania i w zasadzie skupiającą w swym ręku działanie polityczne. Był to rodzaj arystokracji mało odróżniającej się od ogółu mieszkańców, nad których namiętnościami i interesami z łatwością panowała nie budząc miłości ani nienawiści. W sumie była to warstwa słaba i o małej sile żywotnej. To ona właśnie stanie na Południu na czele powstania i amerykańska rewolucja jej będzie zawdzięczała swych najwybitniejszych ludzi.

Całe społeczeństwo dozna wówczas wstrząsu. Lud, w imię którego walczono i który stał się potęgą, zapragnie działać sam; obudzą się demokratyczne instynkty; po zrzuceniu jarzma metropolii ludzie zasmakują we wszelkiej wolności; stopniowo zanikną indywidualne wpływy; obyczaje i prawa będą odtąd zmierzać do wspólnego celu.

Dopiero jednak dzięki prawu spadkowemu zwyciężająca równość uczyniła ostateczny krok.

Dziwi mnie to, iż dawni i współcześni pisarze nie przypisują prawu spadkowemu większego wpływu na bieg ludzkich spraw. Należy ono co prawda do kodeksu cywilnego, niemniej powinno zostać wypisane na frontonie wszystkich politycznych instytucji, wywiera bowiem przemożny wpływ na układ społeczny narodów, którego wyrazem są prawa polityczne. Co więcej, posiada ono niezawodny i jednolity sposób oddziaływania na społeczeństwo i decyduje o losie pokoleń, zanim przyjdą na świat. Dzięki niemu człowiek zdobywa niemal boską władzę nad przyszłością swych bliźnich. Prawodawca, raz ustanowiwszy prawo spadkowe, może odpoczywać potem całe wieki: nadawszy ruch swemu dziełu może się usunąć, a mechanizm będzie działał samodzielnie i sam z siebie zmierzał ku z góry wyznaczonemu celowi. Ten mechanizm, skonstruowany w odpowiedni sposób, gromadzi i skupia wokół kilku osób majątek, a wkrótce potem i władzę, sprawiając, że arystokracja niejako wyrasta z ziemi. Działanie jego jest jeszcze szybsze, jeżeli opiera się na innych zasadach i jest skierowane na inny tor; wtedy dzieli, rozdrabnia, rozprasza majątki i potęgę, a jego szybkość jest czasem przerażająca. Straciwszy nadzieję na powstrzymanie tego pędu, ludzie starają się przynajmniej stawiać mu przeszkody i piętrzyć trudności, chcąc zrównoważyć jego działanie przez usiłowania dążące w przeciwnym kierunku. Daremne starania! Mechanizm miażdży i rozbija na drzazgi wszystko, co znajdzie na drodze, cofa się, by jeszcze raz uderzyć, dopóki nie pozostawi po sobie tylko tego ruchomego i nieuchwytnego pyłu, na którym osadza się demokracja.

Wtedy gdy prawo umożliwia lub wręcz nakazuje równy podział dóbr ojca między wszystkie dzieci, skutki jego działania są dwojakie. Należy je starannie odróżnić, mimo że zmierzają do jednego celu.

Na mocy takiego prawa spadkowego śmierć właściciela sprowadza na majątek rewolucję; dobra zmieniają nie tylko pana, ale i, jeżeli można tak powiedzieć, swą naturę; odtąd rozpadać się będą na coraz mniejsze cząstki.

Jest to bezpośredni i poniekąd materialny efekt działania tego prawa. W krajach, w których prawo opowiada się za równym podziałem spadku, dobra, a w szczególności ziemskie fortuny, muszą stale się kurczyć. Gdyby jednak działało tu wyłącznie prawo spadkowe, skutek wywierany przez jego przepisy dawałby się odczuć dopiero po upływie dłuższego czasu. Załóżmy, że rodzina składa się tylko z dwojga dzieci (średnia, w kraju zaludnionym tak jak Francja, wynosi podobno jedynie troje). Dzieci po podzieleniu majątku rodziców między siebie nie staną się biedniejsze od każdego z rodziców wziętego osobno.

Lecz prawo równego podziału majątków wywiera wpływ nie tylko na los dóbr. Oddziaływa także na duszę właściciela, wykorzystując jej skłonności. Na tym polegają właśnie pośrednie skutki działania tego prawa, które w krótkim czasie doprowadzają do rozbicia wielkich majątków, a w szczególności wielkich posiadłości ziemskich.

W krajach, w których prawo spadkowe wyznaje zasadę primogenitury, posiadłości ziemskie przechodzą zazwyczaj z pokolenia na pokolenie nie ulegając podziałowi. Duch rodu materializuje się wówczas niejako w ziemi; ród oznacza ziemię, a ziemia oznacza ród; ziemia uwiecznia nazwisko rodziny, jej pochodzenie i chwałę, jej potęgę i cnoty; ziemia jest niezniszczalnym świadkiem przeszłości, a zarazem drogocenną rękojmią przyszłości.

Tymczasem prawo spadkowe ustanawiające równy podział majątku niszczy intymny związek, który istnieje między duchem rodu a faktem zachowania ziemi. Ziemia przestaje być tożsama z rodziną. Musi zostać podzielona w przeciągu jednego lub dwóch pokoleń, majątek więc stale się zmniejsza, by wreszcie całkowicie się rozpaść. Jeżeli synowie wielkiego właściciela nie są zbyt liczni lub jeżeli sprzyja im szczęście, mogą mieć nadzieję na to, że nie będą biedniejsi od ojca, lecz nie na to, że będą posiadali ten sam co on majątek; na ich bogactwo składać się będą na pewno inne już elementy.

Z chwilą zaś odebrania właścicielom ziemskim potrzeby związków uczuciowych z ziemią, wspomnień, dumy i ambicji jej zachowania, można być pewnym, że wcześniej czy później ją sprzedadzą, ponieważ sprzedaż leży w ich interesie. Kapitał ruchomy daje przecież więcej zysku i pozwala z większą łatwością zaspokajać doraźne pragnienia.

Wielki majątek ziemski, raz już podzielony, nie może się nigdy odrodzić, ponieważ drobny właściciel osiąga proporcjonalnie większy dochód ze swego pola niż wielki posiadacz z całego majątku. Sprzedaje więc to pole znacz-

nie drożej niż je kupił. Tak więc ten sam rachunek ekonomiczny, który doprowadził bogatego posiadacza do sprzedaży rozległych dóbr, przeszkodzi mu w zakupieniu niewielkich majątków celem ponownego ich połączenia.

To, co zwykliśmy nazywać duchem rodu, oparte bywa często na złudzeniach indywidualnego egoizmu. Człowiek stara się przedłużyć swoje istnienie i uwiecznić się przez potomków. Tam, gdzie nie działa już duch rodu, egoizm porzuca te złudzenia. Kiedy rodzina staje się dla człowieka czymś mglistym, nieokreślonym i niepewnym, skupia się on na zapewnieniu sobie doraźnych wygód i myśli najwyżej o tym, by urządzić jakoś pokolenie, które przyjdzie po nim.

Nie próbuje już zapewnić rodzinie nieśmiertelności, a w każdym razie czyni to przy pomocy innych środków niż własność ziemska.

Takie prawo spadkowe nie tylko utrudnia rodzinie zachowanie wystanie nienaruszonym tej samej posiadłości, lecz odbiera jej nawet pragnienie zachowania ziemi, wciągając ją do współpracy nad dziełem własnego upadku.

Prawo równego podziału funkcjonuje w dwu kierunkach: oddziałując na rzeczy martwe, działa tym samym na ludzi, działając zaś na ludzi, dociera do rzeczy.

Na dwa sposoby narusza głęboko własność ziemską sprawiając, że szybko zanikają rody, a wraz z nimi i fortuny.

Na pewno nie my, dziewiętnastowieczni Francuzi, codzienni świadkowie politycznych i społecznych przeobrażeń wprowadzanych przez prawo spadkowe, będziemy podawali w wątpliwość jego potęgę. Widzimy ją każdego dnia, jak przetacza się po naszej ziemi, burząc mury naszych domów i obalając ogrodzenia pól. O ile jednak prawo spadkowe wiele już dokonało, niemało pozostało mu jeszcze u nas do zrobienia. Nasze wspomnienia, nasze poglądy i nasze obyczaje stawiają mu potężne przeszkody.

W Stanach Zjednoczonych dokonane przezeń dzieło zniszczenia jest niemal ukończone. Możemy więc na tym przykładzie zbadać jego najważniejsze konsekwencje.

W niemal wszystkich stanach angielskie prawo spadkowe oparte na zasadzie primogenitury zostało obalone w okresie rewolucji.

Prawo podstawienia zostało zmienione w taki sposób, by stanowiło możliwie najmniejszą przeszkodę dla swobodnego przechodzenia majątków z rąk do rąk.

Przeminęło pierwsze pokolenie i ziemię zaczęto dzielić, a w miarę upływu czasu proces ten przybierał na sile. Dziś, gdy upłynęło zaledwie sześćdziesiąt lat, trudno już rozpoznać zarysy tamtego społeczeństwa. Prawie wszystkie rodziny wielkich właścicieli ziemskich rozproszyły się w zbiorowości. W stanie Nowy Jork, gdzie było ich wiele, jeszcze tylko dwie utrzymują się na powierzchni, bliskie są już jednak roztopienia się w anonimowej masie.

Synowie tych zamożnych obywateli są dziś kupcami, adwokatami i lekarzami, większość jednak została skazana na bezimienność. Ostatnie ślady pozycji i dziedzicznych wyróżnień uległy zatarciu. Prawo spadkowe zrównało wszystkich.

Nie znaczy to, iż w Stanach Zjednoczonych nie ma, jak gdzie indziej, ludzi bogatych. Nie znam wręcz kraju, w którym miłość pieniądza zajmowałaby więcej miejsca w ludzkich sercach i w którym żywiono by głębszą niechęć do idei całkowitej równości majątkowej. Lecz koło fortuny toczy się tu z niewiarygodną szybkością i z doświadczenia wynika, że zazwyczaj przed upływem dwóch pokoleń można odzyskać jej względy.

Wizerunek ten, nawet gdyby wydawał się przesadny, daje jednak niepełne pojęcie o tym, co dzieje się w nowych stanach na zachodzie i południowym zachodzie.

Pod koniec poprzedniego wieku zuchwali poszukiwacze przygód zaczęli wdzierać się do doliny Missisipi. Było to jakby ponowne odkrycie Ameryki i wkrótce znaczna część emigrantów tam się osiedliła. Na dzikiej ziemi nagle wyrastały nowe społeczności. W Unii amerykańskiej pojawiły się stany, których sama nazwa nie istniała przed kilku laty. Właśnie na Zachodzie demokracja osiągnęła swe ostateczne granice. Mieszkańcy tych stanów, zaimprowizowanych jakby przez los, zaledwie wczoraj przybyli na zajmowaną dziś ziemię; nie znają się nawzajem i nikomu nie są wiadome dzieje najbliższego sąsiada. Wielkie nazwiska i wielkie majątki, a także naturalna arystokracja, która powstaje w wyniku powszechnego uznania wartości oświecenia i cnót moralnych, nie posiadają znaczenia dla ludności tej części amerykańskiego kontynentu. Nikt nie sprawuje owej szacownej władzy, którą ludzie zwykli przyznawać tym, co całe swe życie poświęcili czynieniu dobra. Nowe stany zachodnie są już zamieszkane, lecz to, co nazywamy społeczeństwem, jeszcze w nich nie istnieje.

Nie tylko majątki są w Ameryce równe. Równość rozciąga się do pewnego stopnia także i na umysły.

Nie sądzę, aby istniał na świecie drugi kraj, w którym proporcjonalnie do stopnia zaludnienia, byłoby równie mało analfabetów i równie niewielu uczonych.

Podstawowe wykształcenie dostępne jest każdemu, wyższego zaś nie ma prawie nikt.

Wynika to wyraźnie ze wszystkiego, co powiedzieliśmy przedtem, i jest całkowicie zrozumiałe.

Prawie wszyscy Amerykanie posiadają wystarczające środki do życia, a więc bez trudu mogą zdobyć podstawy wiedzy.

Ponieważ jednak w Ameryce jest niewielu bogaczy, prawie wszyscy obywatele muszą uprawiać jakiś zawód. Wszelako każdy zawód wymaga nauki i dlatego ogólnej kulturze umysłowej mogą Amerykanie poświęcić jedynie

pierwsze lata życia, bowiem już w wieku piętnastu lat rozpoczynają pracę zawodową. Tak więc ich edukacja najczęściej dobiega końca w chwili, w której nasza się zaczyna. Jeżeli zaś jest kontynuowana, to jedynie po to, by umożliwić zdobycie dochodowego zawodu. Amerykanie studiują nauki w taki sposób, by dawały im zawód, i czerpią z nich jedynie wiedzę praktyczną, której przydatność jest powszechnie uznawana.

Większość bogatych w Ameryce to ludzie, którzy kiedyś byli biedni; większość ludzi, którzy dziś próżnują, to tacy, którzy w młodości musieli pracować. Stąd wniosek, że kiedy jest ochota do nauki, nie ma czasu, żeby się jej poświęcić; kiedy zaś jest już na to czas — nie staje ochoty.

Nie istnieje wiec w Ameryce warstwa ludzi, u których upodobanie do radości umysłu oraz szacunek dla trudów intelektu byłyby przekazywane z pokolenia na pokolenie wraz z zamożnością oraz pozycją uwalniającą człowieka od troski o byt.

Brakuje więc zarówno woli, jak i możliwości poświęcenia się pracom umysłu.

W dziedzinie wiedzy ustalił się w Ameryce pewien poziom średni. Wszystkie umysły zbliżyły się do niego: jedne obniżając swój poziom, inne — podwyższając go.

Istnieje więc ogromna liczba ludzi, którzy posiadają zbliżone pojęcia w dziedzinie religii, historii, nauki, ekonomii politycznej, prawa i polityki.

Nierówność umysłów jest dziełem Boga i człowiek nie jest w stanie tego zmienić.

Lecz z tego, co powiedzieliśmy wyżej, wynika także, że umysły, choć nierówne z woli Stwórcy, dysponują jednakowymi możliwościami.

Tak więc czynnik arystokratyczny, zawsze o niewielkim w Ameryce znaczeniu, jeżeli nie jest tam dziś całkowicie zniszczony, to jest przynajmniej tak osłabiony, że trudno przypisywać mu jakikolwiek wpływ na bieg rzeczy.

Czas, okoliczności i prawa sprawiły natomiast, że czynnik demokratyczny stał się nie tylko przeważający, ale wręcz jedyny. Trudno doszukać się wpływów jakiejś rodziny czy grupy, a zazwyczaj nie można nawet wyśledzić trwalszych wpływów wywieranych przez jednego człowieka.

Układ społeczny Ameryki jest więc najdziwniejszym zjawiskiem. Z punktu widzenia majątku i umysłu ludzie są tam bardziej równi lub innymi słowy, obdarzeni bardziej równymi siłami niż we wszystkich innych krajach i epokach znanych historii.

Polityczne konsekwencje układu społecznego Angloamerykanow

Konsekwencji politycznych podobnego układu społecznego nietrudno się domyślić.

Łatwo zrozumieć, że równość musiała przeniknąć także i do rzeczywistości politycznej. Niepodobna bowiem wyobrazić sobie ludzi wiecznie nierównych w jednej dziedzinie, a zarazem równych w innej. Zawsze w swoim czasie osiągną równość we wszystkich dziedzinach życia.

Otóż znam tylko dwa sposoby ustanowienia politycznej równości: dać prawa wszystkim albo nie dać ich nikomu.

Społeczeństwom, które osiągnęły układ społeczny podobny amerykańskiemu, z trudem przychodzi znalezienie formuły pośredniej między suwerennością wszystkich a absolutną władzą jednego człowieka.

Nie będziemy ukrywać, że opisany układ społeczny poddaje się z prawie równą łatwością zarówno pierwszemu, jak i drugiemu z tych zabiegów.

Istnieje bowiem mężna i prawa namiętność równości, która daje wszystkim ludziom pragnienie siły i poszanowania. Namiętność ta ma to do siebie, że małych podnosi ku wielkim. Lecz istnieje także w ludzkim sercu skażone zamiłowanie do równości, które sprawia, że słabi starają się ściągnąć silnych do swego poziomu i które doprowadza ludzi do tego, że zaczynają przedkładać równość w niewoli nad nierówność w wolności. Nie należy z tego wnioskować, iż narody, których układ społeczny jest demokratyczny, organicznie nienawidzą wolności. Przeciwnie, znajdują w niej instynktowne upodobanie. Lecz wolność nie jest podstawowym i stałym przedmiotem ich pragnień, bowiem tym, co kochają nade wszystko, jest równość. Ku wolności dążą w nagłych zrywach i wysiłkach, a jeśli nie osiągną celu — rezygnują. Jeżeli natomiast brakuje równości, nic nie jest w stanie ich zadowolić i gotowe są raczej zgodzić się na śmierć niż na jej utratę.

Z drugiej strony, trudno jest obywatelom, którzy wszyscy są mniej więcej równi, obronić swą niezależność przed zakusami władzy. Żaden z nich nie jest bowiem dostatecznie silny na to, by skutecznie prowadzić samotną walkę, i tylko połączenie sił wszystkich obywateli może zapewnić utrzymanie wolności. Otóż taka jedność nie jest częstym zjawiskiem.

Układ społeczny, o którym mowa, może więc prowadzić społeczeństwa do dwóch politycznych konsekwencji; różnią się one wybitnie między sobą, lecz wynikają z tych samych okoliczności.

Angloamerykanie, którzy jako pierwsi doświadczyli tej groźnej alternatywy, mieli na tyle szczęścia, że udało im się uniknąć władzy absolutnej. Tym, co pozwoliło im ustanowić i utrzymać zasadę suwerenności ludu, były okoliczności, rodowód społeczeństwa, oświata, a nade wszystko obyczaje.

ROZDZIAŁ CZWARTY

O zasadzie suwerenności ludu w Ameryce

Zamierzamy omówić prawa polityczne Stanów Zjednoczonych, musimy zatem rozpocząć od zasady suwerenności ludu.

Zasada suwerenności ludu, zawsze tkwiąca u podstaw wszystkich niemal instytucji ludzkich, pozostaje tam zazwyczaj niejako w ukryciu. Ludzie są jej posłuszni nie wiedząc nawet o jej istnieniu, jeżeli zaś wyjdzie kiedykolwiek na światło dzienne, czym prędzej pogrążają ją na nowo w mrokach, którymi zwykli otaczać rzeczy święte.

«Wola społeczeństwa» należy do słów najczęściej nadużywanych przez intrygantów i despotów wszystkich czasów. Jedni z nich widzą jej objawy w kupionym poparciu kilku funkcjonariuszy władzy, inni w głosowaniu interesownej lub bojaźliwej mniejszości, a są nawet tacy, którzy z milczenia narodu wnioskują o jej niezaprzeczonym istnieniu i którzy uznali, że z faktu posłuszeństwa wynika ich prawo do rządzenia.

Zasada suwerenności ludu nie jest w Ameryce ani ukryta, ani tylko formalna, jak to ma miejsce w pewnych krajach. Jest widoczna w obyczajach i głoszona przez prawa. Rozprzestrzenia się swobodnie i bez przeszkód można z niej wyciągnąć najskrajniejsze konsekwencje.

Ameryka jest krajem, w którym można ocenić rzeczywistą wartość zasady suwerenności i na przykładzie którego można zbadać jej zastosowanie oraz oszacować zalety i niebezpieczeństwa.

Powiedziałem już poprzednio, że zasada suwerenności ludu legła od początku u podstaw życia społecznego w większości angielskich kolonii w Ameryce.

Nie opanowała jednak wówczas życia publicznego w tym stopniu co obecnie.

Dwie przeszkody, jedna zewnętrzna, druga zaś wewnętrzna, opóźniały jej postępy.

Zasada suwerenności ludu nie mogła się w sposób wyraźny ujawnić w prawach, ponieważ kolonie były jeszcze zależne od metropolii. Musiała więc ukrywać się w prowincjonalnych zgromadzeniach, nade wszystko zaś w gminie. Tam rozwijała się w skrytości.

Ówczesne społeczeństwo amerykańskie nie było jeszcze przygotowane na przyjęcie tej zasady wraz z jej wszystkimi konsekwencjami. Kult oświecenia w Nowej Anglii i bogactwo niektórych mieszkańców południowych stanów długo jeszcze wywierały, jak to poprzednio opisywałem, pewien wpływ typu

arystokratycznego, który zmierzał do koncentracji władzy w rękach niewielkiej liczby ludzi. Wiele jeszcze brakowało do tego, aby wszyscy urzędnicy publiczni byli wybieralni, a wszyscy obywatele stali się wyborcami. Prawo wyborcze było wszędzie ograniczone i związane z określonym cenzusem. Cenzus ten miał nikłe znaczenie na Północy, większe zaś na Południu.

Wybuchła amerykańska rewolucja. Zasada suwerenności ludu opuściła granice gminy i zawładnęła rządem. Wszystkie warstwy społeczne połączyły się w jej obronie; walczono i zwyciężano w jej imieniu; stała się prawem praw.

Niemal równie szybkie przeobrażenie dokonało się w społeczeństwie. Prawo spadkowe zniweczyło ostatecznie wpływy lokalne.

Z chwilą gdy ten rezultat działania prawa oraz rewolucji ujawnił się w pełni, szala zwycięstwa nieodwołalnie przechyliła się na korzyść demokracji. Władza znalazła się w jej rękach. Nie wolno już nawet było jej się przeciwstawiać. Warstwy wyższe bez szemrania i bez walki poddały się nieuniknionemu złu. Stało się to, co zazwyczaj przydarza się upadającej potędze: członkowie wyższych warstw zaczęli kierować się osobistym interesem. Skoro wyrwanie władzy z rąk ludu stało się niepodobieństwem, a nienawiść do pospólstwa nie była tak silna, by w zwalczaniu go znajdowano przyjemność, myślano już wyłącznie o zapewnieniu sobie jego przychylności. Najbardziej demokratyczne prawa zostały więc skwapliwie przegłosowane przez ludzi, których interesom zagrażały w największym stopniu. Dzięki temu warstwy wyższe nie wzbudziły przeciw sobie ludowych namiętności, lecz same przyspieszyły zwycięstwo nowego porządku. Tym sposobem, rzecz szczególna, poryw demokratyczny okazał się gwałtowniejszy w stanach, w których porządek arystokratyczny głębiej zapuścił korzenie.

Stan Maryland, założony przez wielkich panów, pierwszy ogłosił powszechne wybory i przyjął najbardziej demokratyczne formy ustrojowe.

Gdy lud zaczyna podważać cenzus wyborczy, należy przewidywać, że wcześniej czy później całkowicie go zniesie. Jest to jedna z najbardziej niezmiennych zasad rządzących społeczeństwami. W miarę jak rozszerzane są granice praw wyborczych, rośnie potrzeba dalszego ich rozszerzania, bowiem demokracja ma to do siebie, że przybiera na sile wraz z każdym nowym ustępstwem, a wymagania jej rosną wraz z pozyskiwaną przewagą. Im większa liczba ludzi dopuszczona zostaje do wyborów, tym bardziej podrażniona jest ambicja tych, którzy nie spełniają wymagań cenzusu. Wyjątki stają się w końcu regułą; ustępstwa prowadzą do dalszych ustępstw, i tak aż do chwili ustanowienia głosowania powszechnego.

Zasada suwerenności ludu osiągnęła dziś w Stanach Zjednoczonych wszelkie praktyczne zastosowania. Wyzwoliła się ze wszystkich fikcji, jakimi postarano się ją otoczyć w innych krajach. Zależnie od okoliczności przybiera kolejno wszystkie możliwe formy. Albo cały naród bierze udział w tworze-

niu praw, tak jak to było w Atenach, albo też robią to przedstawiciele ludu wybrani w powszechnym głosowaniu. Działają oni w imieniu ludu i pod jego bezpośrednią niemal kontrolą.

Są kraje, w których władza, stojąc niejako na zewnątrz społeczeństwa, oddziaływa nań i zmusza je do obrania określonej drogi.

W wielu innych krajach władza jest podzielona, pozostając jednocześnie wewnątrz społeczeństwa i poza nim. W Stanach Zjednoczonych bynajmniej tak nie jest; społeczeństwo samodzielnie rozwiązuje tu swe problemy; siła i władza istnieje tylko w jego łonie. Trudno nawet spotkać człowieka, który ośmielałby się myśleć, a zwłaszcza głosić, że jakakolwiek siła mogłaby działać na społeczeństwo z zewnątrz. Wybierając prawodawców lud uczestniczy tym samym w kształtowaniu praw a wybierając urzędników sprawujących władzę wykonawczą — w ich stosowaniu. Udział administracji w rządzeniu jest tak mały, tak bardzo czuje się ona ludową, tak bardzo jest posłuszna sile, która ją powołała do życia, że można powiedzieć, iż lud rządzi sam. Lud rządzi amerykańską rzeczywistością polityczną tak, jak Bóg rządzi wszechświatem; jest zarazem racją i kresem wszystkich rzeczy; wszystko pochodzi od niego i wszystko do niego powraca.

ROZDZIAŁ PIĄTY

O tym, że zanim przejdziemy do rządu Unii, niezbędne jest omówienie życia publicznego w obrąbie stanów

Rozdział ten ma na celu rozważenie amerykańskiego systemu rządów, opartych o zasadę suwerenności ludu, jego środków działania, jego trudności, jego zalet i niebezpieczeństw.

Wyłania się pierwsza trudność: Stany Zjednoczone są organizmem o złożonej budowie, składają się nań bowiem dwa różne społeczeństwa wcielone, jeżeli można tak powiedzieć, w siebie nawzajem; istnieją tu dwa całkowicie rozdzielone i niemal niezależne rządy, z których jeden, podejmujący bieżące sprawy i nie posiadający precyzyjnie wyznaczonych zadań, wychodzi naprzeciw codziennym potrzebom społeczeństwa, drugi zaś, działający jedynie wyjątkowo i w ramach ograniczonych kompetencji, zajmuje się wyłącznie pewnymi sprawami natury ogólnej. Innymi słowy, wielki organizm Unii składa się z dwudziestu czterech małych suwerennych społeczeństw.

Rozważanie, czym jest Unia, bez uprzedniego rozważenia życia stanu byłoby bardzo utrudnione. Formuła rządu federalnego pojawiła się bowiem w Stanach Zjednoczonych jako ostatnia i stanowiła jedynie pewną modyfikację republiki oraz podsumowanie zasad politycznych obowiązujących w całym społeczeństwie już przedtem i trwających niezależnie od niej. Rząd federalny jest zresztą, jak już powiedziałem, jedynie wyjątkiem, podczas gdy regułą pozostaje zawsze rząd stanowy. Pisarz, który zechciałby ukazać całość takiego obrazu przed opisaniem jego szczegółów, nie uniknąłby powtórzeń i niejasności.

Wielkie zasady polityczne rządzące dziś amerykańskim społeczeństwem niewątpliwie narodziły się i rozwinęły w obrębie stanu. By zdobyć klucz do całej reszty, należy więc poznać w pierwszym rzędzie zasadę funkcjonowania stanu.

Z punktu widzenia zewnętrznych form instytucji stany tworzące dziś Unię amerykańską nie różnią się między sobą. Życie polityczne i administracyjne skupione jest w trzech ośrodkach, które można przyrównać do ośrodków nerwowych wprawiających w ruch ciało człowieka.

Są to kolejno: gmina, następnie hrabstwo, wreszcie stan.

O systemie gminnym w Ameryce

Nieprzypadkowo rozpoczynam od gminy.

Gmina to jedyny związek, który posiada tak bardzo naturalny charakter, że powstaje samorzutnie wszędzie tam, gdzie gromadzą się ludzie.

Społeczność gminna pojawia się więc u wszystkich ludów, niezależnie od ich zwyczajów i praw. Człowiek stworzył monarchię i ustanowił republiki, gmina zaś zdaje się pochodzić wprost od Boga. O ile jednak gminy istnieją od czasu pojawienia się człowieka, swobody gminne są zjawiskiem rzadkim i kruchym. Naród zawsze może powołać wielkie zgromadzenia polityczne, ponieważ zawsze znajdzie się w nim pewna liczba ludzi, u których rozum zastępuje do pewnego stopnia praktyczne umiejętności. Na gminę jednak składają się ludzie prości, którzy opierają się nieraz woli prawodawcy. Trudność zachowania niezawisłości gminy, zamiast maleć, rośnie w miarę cywilizowania się narodów. Społeczeństwo bardziej cywilizowane niełatwo toleruje praktykowanie swobód gminnych, buntuje się przeciw wynikającym z nich nadużyciom i przestaje wierzyć w sukces eksperymentu, nie doczekawszy jego ostatecznych rezultatów.

Swobody gminne, tak trudne do osiągnięcia, są także najbardziej ze wszystkich swobód narażone na naciski władzy. Instytucje gminne pozostawione samym sobie nie umieją walczyć z przedsiębiorczym i silnym rządem. Aby przetrwać, muszą rozwinąć się wszechstronnie oraz przeniknąć do obyczajów i sposobu myślenia narodu. Dlatego łatwo jest zniszczyć swobody gminne, dopóki nie przenikną do obyczajów, nie mogą one jednak zadomowić się wśród obyczajów, zanim na długo nie zaistnieją w prawach.

Swobody gminne wymykają się więc, by tak rzec, z ludzkich rąk. Toteż rzadko bywają stworzone przez człowieka — powstają raczej niejako samorzutnie, rozwijając się tajemnie w na wpół barbarzyńskim społeczeństwie. Dopiero trwałe działanie praw, obyczajów, okoliczności, a nade wszystko czasu, doprowadza do ich umocnienia. Można powiedzieć, że nie zaznał ich żaden z narodów kontynentu europejskiego.

A przecież właśnie w gminie tkwi siła wolnych społeczeństw. Instytucje gminne są dla wolności tym, czym dla nauki są szkoły podstawowe: sprawiają, że wolność staje się dostępna dla ludu, pozwalają mu zasmakować w swobodnym jej praktykowaniu i przyzwyczajają go do posługiwania się nią. Bez pomocy instytucji gminnych naród może stworzyć sobie wolny rząd, lecz nie będzie w nim ducha wolności. Przelotne namiętności, chwilowe potrzeby czy przypadkowe okoliczności mogą mu dać zewnętrzne formy niezależności, lecz despotyzm ukryty we wnętrzu organizmu społecznego wcześniej czy później wyjdzie na jaw.

Aby lepiej wytłumaczyć czytelnikowi główne zasady, na jakich opiera się polityczna organizacja gminy i hrabstwa w Stanach Zjednoczonych, postanowiłem posłużyć się przykładem jednego stanu i dokładnie przyjrzeć się temu, co się w nim dzieje, a potem rzucić okiem na resztę kraju.

Wybrałem w tym celu jeden ze stanów Nowej Anglii.

Co to fest gmina

Gmina w Nowej Anglii (township) jest czymś pośrednim między kantonem a gminą we Francji. Gmina liczy sobie zazwyczaj dwa do trzech tysięcy mieszkańców, jest więc dostatecznie mała na to, by wszyscy mieszkańcy mogli mieć wspólne interesy, a z drugiej strony dostatecznie duża, by można było znaleźć w niej zadatki dobrej administracji.

Władze gminne w Nowej Anglii

W gminie — jak i wszędzie — lud jest źródłem władz społecznych, nigdzie jednak nie rządzi w sposób równie bezpośrednią Lud jest w Ameryce panem, któremu należy przypodobać się za wszelką cenę.

W ogólnych sprawach stanu większość wypowiada się w Nowej Anglii przez swoich przedstawicieli. Jest to po prostu konieczność. Wszakże w gminie, w której działalność prawodawcza i administracyjna odbywa się w bezpośredniej bliskości rządzonych, zasada przedstawicielstwa nie istnieje. Nie istnieje także rada miejska, wyborcy zaś, po mianowaniu urzędników, sami kierują wszystkimi tymi ich posunięciami, które nie sprowadzają się do zwykłego wykonywania praw stanowych.

Ten porządek rzeczy jest do tego stopnia sprzeczny z naszymi wyobrażeniami i obcy naszym przyzwyczajeniom, że zrozumiemy go może lepiej na podstawie kilku przykładów.

Funkcje publiczne w gminie, jak się przekonamy, są nader liczne i bardzo zróżnicowane, natomiast większa część władzy administracyjnej skupioną jest w rękach małej liczby osób wybieranych co roku i nazywanych selectmenami.

Prawa stanowe nakładają na selectmenów pewną liczbę zobowiązań. Do ich wypełniania nie potrzebują upoważnienia swoich wyborców, gdy się zaś od ich wykonywania uchylają, zostają pociągnięci do osobistej odpowiedzialności. Prawo stanowe obarcza ich na przykład obowiązkiem sporządzania list wyborczych gminy; selectman, który tego zaniedba, winny jest przestępstwa. We wszystkich jednak sprawach powierzonych władzy gminnej selectmeni są wykonawcami woli ludu, podobnie jak u nas mer jest wykonawcą postanowień — rady miejskiej. Selectmeni są najczęściej osobiście odpowiedzialni za swoje działania, a w praktyce postępują wedle zasad uprzednio ustanowionych przez większość. Jeżeli chcą wprowadzić jakąkolwiek zmianę do ustalonego porządku lub poświęcić się jakiemuś nowemu przedsięwzięciu, muszą zwrócić się o pozwolenie do tych, którzy dali im władzę. Załóżmy, że chodzi o zbudowanie szkoły: selectmeni zwołują pewnego dnia wszystkich wyborców w miejscu do tego celu przeznaczonym, przedstawia-

ją im zaistniałą potrzebę, zapoznają wyborców ze sposobami jej zaspokojenia, z wysokością sumy, którą należy wydać, oraz z miejscem, którego wybór wydaje się dogodny. Zgromadzenie, poinformowane o tym wszystkim, podejmuje decyzję, ustala miejsce budowy, przegłosowuje wysokość podatku i powierza selectmenom wykonanie swej woli.

Tylko selectmeni posiadają prawo zwoływania zgromadzenia gminnego (town meeting), lecz obywatele mogą ich do tego nakłonić. Wyobraźmy sobie, że dziesięciu właścicieli ziemskich chce wystąpić z nowym projektem i przedstawić go gminie. Mają oni wtedy prawo domagać się zwołania zgromadzenia gminnego. Selectmeni zobowiązani są to uczynić i zachowują tylko prawo do przewodniczenia zgromadzeniu.

Takie obyczaje polityczne i praktyki społeczne są dalekie od naszych. Nie chcę w tej chwili ich oceniać ani zajmować się ukrytymi przyczynami ich występowania oraz żywotności. Ograniczam się do opisu.

Selectmeni są wybierani co roku, w kwietniu lub maju. Zgromadzenie gminne wybiera wraz z nimi mnóstwo innych urzędników miejskich, którzy mają się zajmować wieloma drobnymi, aczkolwiek ważnymi sprawami administracyjnymi. Tak więc wybierani są urzędnicy, do których należy szacowanie majątków w celach podatkowych, oraz poborcy podatków. Obowiązkiem urzędnika policyjnego, zwanego constable, jest utrzymywanie porządku w miejscach publicznych i czuwanie nad wykonywaniem prawa. Obowiązkiem innego urzędnika, zwanego sekretarzem gminy, jest sporządzanie protokołów wszystkich obrad oraz prowadzenie archiwum. Skarbnik czuwa nad funduszami gminy. Jest jeszcze urzędnik do spraw ubogich, którego trudne zadanie polega na tym, by dopilnować wykonywania prawa dotyczącego opieki nad biednymi. Inspektorzy szkół kierują sprawami oświaty, a inspektorzy dróg zajmują się wszystkimi sprawami związanymi z zarządem dróg. Oto spis najważniejszych funkcjonariuszy administracji gminy. Lecz podział funkcji na tym się nie kończy: są jeszcze inspektorzy parafialni, powołani do kontroli spraw finansowych związanych z życiem religijnym, oraz wszelkiego rodzaju inspektorzy nadzorujący akcje pożarowe, żniwa, stan ogrodzeń, pomiary drewna oraz stosowanie miar i wag.

W gminie jest dziewiętnaście podstawowych funkcji. Każdy obywatel zobowiązany jest pod karą grzywny do przyjęcia dowolnej spośród tych funkcji, a większość z nich jest płatna, po to by umożliwić ubogim obywatelom poświęcenie się jej bez uszczerbku dla dochodów. System amerykański nie polega zresztą na zapewnieniu urzędnikom stałego wynagrodzenia. Każde działanie, jakie wykonują podczas urzędowania, ma swoją cenę, a więc urzędnicy opłacani są proporcjonalnie do tego, czego dokonali.

O życiu w gminie

Powiadałem poprzednio, że zasada suwerenności ludu rzutuje na całość systemu politycznego Angloamerykanów. Każda kolej na strona tej książki będzie dostarczała nowych przykładów zastosowania tej doktryny w Ameryce.

W społeczeństwach, które przyjmują zasadę suwerenności ludu, każdy człowiek dysponuje taką samą częścią suwerennej władzy i na równi z innymi bierze udział w rządzeniu państwem.

Wynika z tego, iż wszyscy ludzie zostają uznani za jednakowo światłych, cnotliwych i silnych.

Dlaczego więc są posłuszni społeczeństwu i gdzie znajdują się granice tego posłuszeństwa ?

Człowiek podporządkowuje się społeczeństwu nie dlatego, że jest gorszy od ludzi, którzy nim rządzą, oraz mniej od innych zdolny do rządzenia się samodzielnie. Człowiek jest posłuszny społeczeństwu, ponieważ sojusz z innymi ludźmi uważa za pożyteczny, jego zaś trwanie bez władzy utrzymującej porządek za niemożliwe.

We wszystkim więc, co się tyczy wzajemnych stosunków obywateli, Człowiek jest bez reszty uzależniony, we wszystkim zaś, co dotyczy tylko jego własnego życia, pozostaje panem: jest wolny i za swoje czyny odpowiada jedynie przed Bogiem. Stąd bierze się maksyma głosząca, że człowiek jest najlepszym sędzią swoich prywatnych spraw i że społeczeństwo nie ma prawa wtrącać się do jego postępowania, chyba że musi bronić dobra ogółu przed zakusami jednostki lub potrzebuje współdziałania.

Maksyma ta jest powszechnie przyjęta w Stanach Zjednoczonych. Później zajmę się wpływem, jaki wywiera ona nawet na codzienny bieg życia, teraz jednak pozostanę przy gminach.

Gmina rozpatrywana jako całość jest w stosunku do rządu centralnego właśnie tym, czym pojedynczy człowiek w stosunku do społeczeństwa, a więc powyższa maksyma stosuje się i do niej.

Swobody gminne wynikają zatem w Stanach Zjednoczonych z samego dogmatu suwerenności ludu. We wszystkich republikach amerykańskich uznano niezależność gminy, lecz w Nowej Anglii okoliczności pozwoliły na jej szczególny rozkwit.

W tej części Unii życie polityczne narodziło się w samym sercu gminy. Można niemal powiedzieć, że na początku każda z gmin stanowiła niezawisły naród. Kiedy potem królowie angielscy zażądali swej części władzy, ograniczyli się do objęcia władzy centralnej, gminę zaś pozostawili taką, jaką ją zastali. Obecnie gminy Nowej Anglii są co prawda podporządkowane władzy centralnej, lecz w zasadzie pozostały niezależne lub zależne w niewielkim tylko stopniu. Nie otrzymały swej władzy z zewnątrz — przeciwnie, sa-

me zrezygnowały z części swej niezależności na korzyść stanu. Jest to ważna różnica, na którą zwracam szczególną uwagę czytelnika.

Gminy podporządkowały się stanom właściwie tylko w dziedzinie spraw, które nazwałbym społecznymi, to znaczy w sprawach wspólnych dla wszystkich gmin.

We wszystkim, co się tyczy samych gmin, pozostały one niezależnymi organizmami i sądzę, że żaden mieszkaniec Nowej Anglii nie przyzna rządowi stanowemu prawa wnikania w wewnętrzne sprawy gminy.

. . . . . .

O duchu gminy w Nowej Anglii

W Ameryce istnieją nie tylko instytucje gminne, ale istnieje również coś, co można by nazwać duchem gminy. To on umacnia je i ożywia.

Gmina w Nowej Anglii posiada dwie cechy, które zawsze budzą żywe zainteresowanie ludzi, a mianowicie niezależność i siłę. Gmina ma wprawdzie ograniczone pole działania, ale jest w jego obrębie całkowicie wolna. Gmina, bez względu na liczbę mieszkańców i obszar, posiada faktyczne znaczenie choćby dzięki temu, że stanowi niezależny organizm.

Pamiętajmy także, że człowiek zazwyczaj umieszcza swe uczucia tam, gdzie istnieje siła. Miłość ojczyzny nie przetrwa długo w podbitym kraju. Mieszkaniec Nowej Anglii przywiązuje się do swojej gminy nie tyle dlatego, że się w niej urodził, ile dlatego, że widzi w niej wolny i silny związek, do którego on sam należy i który w pełni jest wart trudu wkładanego w rządzenie nim.

W Europie często się zdarza, że sami rządzący ubolewają nad brakiem poczucia obywatelskiego, gdyż wiedzą, że stanowi ono najlepszą rękojmię porządku publicznego; nie potrafią go jednak wzbudzić. Obawiają się, że dając gminie siłę i niezależność, musieliby zrezygnować z części swej władzy i naraziliby państwo na anarchię. Wszelako w gminach pozbawionych niezależności i siły zamiast obywateli znajdujemy już tylko poddanych.

. . . . . .

Amerykanie po to włożyli tyle starań w podział funkcji sprawowanych w gminie, aby możliwie największą liczbę ludzi zainteresować sprawami publicznymi. Oprócz tego, że gmina powołuje od czasu do czasu wyborców do udziału w życiu publicznym, ileż tam jeszcze rozmaitych funkcji, ilu różnych urzędników, działających w imieniu tej potężnej korporacji! Ilu ludzi, którzy czerpią zyski z siły swej gminy i którym zależy na tym, by była ona silna.

System amerykański, dzieląc władzę w gminie między wielu obywateli, nie wzdraga się przed mnożeniem obowiązków wobec gminy. W Stanach Zjednoczonych rozpowszechnione jest słuszne przekonanie, że miłość ojczyzny jest rodzajem kultu, do którego ludzie przywiązują się dzięki stałym praktykom.

Tak więc życie gminy jest zawsze widoczne; przejawia się w codziennym wypełnianiu obowiązków i w wykonywaniu prawa. Taki system polityczny wprawia społeczeństwo w nieustanny ruch, jest to jednak ruch miarowy, który ożywia ludzi oszczędzając im wstrząsów.

Amerykanie przywiązują się do swojej małej społeczności tak samo jak mieszkańcy gór do swych stron: kraj ojczysty posiada w ich oczach cechy odrębne i szczególne oraz więcej wyrazu od innych okolic.

Gminy w Nowej Anglii żyją na ogół szczęśliwie. Same wybierają swoją władzę i są z niej zadowolone. Ponieważ w Ameryce panuje trwały pokój i materialny dobrobyt, życie gminy rzadko ulega zakłóceniom. Kierowanie sprawami gminy nie nastręcza trudności. Lud już od dawna jest uformowany politycznie — edukację tę odebrał jeszcze w kraju przodków. W Nowej Anglii różnice pozycji społecznych nie pozostawiły po sobie nawet wspomnienia, nie ma więc w gminie grupy ludzi, którą nęciłoby uciskanie innych, niesprawiedliwość zaś godzi tu jedynie w poszczególne jednostki i niknie wśród powszechnego ukontentowania. Jeżeli rząd ma wady (a nietrudno byłoby je wskazać), nie kłują one bynajmniej w oczy, ponieważ w dosłownym sensie został powołany przez obywateli i wystarczy, że funkcjonuje jako tako, aby chroniło go coś na kształt rodzicielskiej dumy ludu. Lud nie ma zresztą okazji do porównań. Całością kolonii rządziła niegdyś Anglia, ale sprawami gminy kierował zawsze lud. Władza ludu w gminach jest więc nie tylko od dawna istniejącym, ale wręcz pierwotnym stanem rzeczy.

Mieszkaniec Nowej Anglii przywiązuje się do gminy dzięki jej sile i niezależności; interesuje się jej życiem, ponieważ bierze udział w rządzeniu; kocha ją, ponieważ nie ma powodu uskarżać się na swój los; z nią wiąże ambicje i nadzieje na przyszłość, uczestniczy w każdym wydarzeniu jej życia. W tym dostępnym mu, choć ograniczonym zakresie uczy się rządzić społeczeństwem i przyswaja sobie formy, bez których wolność może realizować się jedynie drogą rewolucji; myśli w ich duchu, znajduje upodobanie w porządku, pojmuje potrzebę równowagi władz; posiada wreszcie jasne i praktyczne wyobrażenie o swoich obowiązkach, połączone ze świadomością granic swych uprawnień.

O hrabstwie w Nowej Anglii

Amerykańskie hrabstwo przypomina francuskie arrondissement. Granice jednego i drugiego są sztuczne. Poszczególne części hrabstwa nie są ze sobą

związane w sposób konieczny; ludzie nie żywią względem niego żadnych uczuć, nie wiążą ich z nim żadne tradycje. Nie spaja go także poczucie wspólnoty. Organizm ten powołany został dla celów czysto administracyjnych.

Gmina była zbyt mała, by posiadać własną instytucję wymiaru sprawiedliwości. Sądy najniższego stopnia ulokowano więc w hrabstwie. Każde Hrabstwo ma własny sąd, szeryfa, który zajmuje się wykonywaniem jego orzeczeń, oraz więzienie dla przestępców.

Istnieją potrzeby wspólne wszystkim gminom hrabstwa i wobec tego naturalną koleją rzeczy zajmują się nimi władze centralne. W Massachusetts obowiązki te wypełnia pewna liczba urzędników mianowanych przez gubernatora stanu na podstawie sugestii jego rady.

Administratorzy hrabstwa dysponują władzą o ograniczonym zasięgu, która obejmuje tylko niewiele z góry przewidzianych przypadków. Władze gminne i stanowe w zupełności wystarczają, by życie toczyło się normalnie. Władze hrabstwa opracowują tylko jego budżet, który przegłosowuje dopiero stanowe ciało prawodawcze. Hrabstwo nie jest, pośrednio ani bezpośrednio, reprezentowane przez żadne zgromadzenie. Hrabstwo w gruncie rzeczy nie posiada więc własnej egzystencji politycznej. W większości amerykańskich konstytucji dostrzegamy dwie tendencje: tendencję do podziału władzy wykonawczej z jednej strony i do skupiania władzy ustawodawczej z drugiej. Gmina w Nowej Anglii posiada własną niezniszczalną zasadę istnienia, podczas gdy w wypadku hrabstwa należałoby ją stworzyć sztucznie — potrzeba jej nie była wyraźnie odczuwana. Związek wszystkich gmin ma tylko jedno przedstawicielstwo — stan, ośrodek wszystkich władz narodowych. Poza działaniem gminy i stanu istnieją tylko indywidualne działania obywateli.

O administracji w Nowej Anglii

Zjawiskiem, które najbardziej uderza Europejczyka przemierzającego Stany Zjednoczone, jest brak tego, co w Europie nazywamy zarządem lub administracją. W Ameryce można stwierdzić obecność praw pisanych oraz fakt ich codziennego wykonywania. Wszystko dookoła znajduje się w ciągłym ruchu, ale nigdzie nie udaje się dostrzec jego źródła. Ręka, która kieruje maszyną społeczną, jest niewidzialna.

Wszelako, tak jak my wszyscy dla wyrażenia swych myśli musimy odwoływać się do pewnych form gramatycznych, stanowiących podstawę języka, podobnie i społeczeństwa, by przetrwać nie popadając w anarchię, muszą podporządkować się pewnej władzy. Władza ta może być podzielona na różne sposoby, ale istnieć musi.

Są dwa sposoby, które pozwalają narodowi zmniejszyć potęgę władzy.

Pierwszy polega na osłabieniu władzy u jej podstaw, a więc pozbawieniu społeczeństwa prawa i możliwości obrony w pewnych wypadkach. Tego rodzaju osłabienie władzy zwykło nazywać się w Europie ustanowieniem wolności.

Istnieje drugi sposób na zmniejszenie zasięgu władzy, sposób, który nie polega na odebraniu społeczeństwu pewnej liczby uprawnień bądź na sparaliżowaniu jego wysiłków, lecz na rozdzieleniu prawa do eksploatowania sił społeczeństwa między wielu ludzi, na pomnożeniu liczby urzędników, którym przyznana byłaby cała władza potrzebna do wykonywania tego, co im powierzono. Są narody, które taki podział władz społecznych może doprowadzić do anarchii, ale sam w sobie bynajmniej nie jest on anarchiczny. Dzieląc w ten sposób władzę czyni się wprawdzie jej działanie mniej nieodpartym i groźnym, lecz bynajmniej się jej nie unicestwia.

U źródeł rewolucji amerykańskiej było dojrzałe i rozważne upodobanie do wolności, nie zaś chwiejny i nieokreślony instynkt niezależnością Rewolucja nie wspierała się tam na pasji niszczycielskiej — przeciwnie, szła w parze z umiłowaniem porządku i legalności.

W Stanach Zjednoczonych nigdy nie uważano, że w wolnym kraju człowiek ma prawo czynić, co zechce — przeciwnie, obarczono go znacznie bardziej różnorodnymi niż gdzie indziej społecznymi obowiązkami. Nie próbowano podważać władzy społecznej u jej podstaw i pozbawiać jej uprawnień; ograniczono się tylko do tego, by rozdzielić jej wykonywanie. Chodziło bowiem o to, by władza była silna, a jej funkcjonariusze słabi — aby społeczeństwo było dobrze rządzone i wolne zarazem.

Nie ma na świecie kraju, w którym prawo przemawiałoby tak bezwzględnie jak w Ameryce, ani kraju, w którym byłoby tak wielu ludzi uprawnionych do jego wykonywania.

. . . . . .

W Ameryce nie ma ośrodka, który skupiałby wszystkie władze administracyjne.

Jak więc się to dzieje, że społeczeństwo kierowane jest w sposób prawie jednolity? Jak się to dzieje, że hrabstwa i ich administratorzy, że gminy i ich urzędnicy podporządkowują się władzy centralnej?

Władza ustawodawcza obejmuje w Nowej Anglii znacznie więcej spraw niż u nas. Prawodawca wnika niejako do samego serca administracji, a prawo zajmuje się nawet najdrobniejszymi szczegółami; prawodawca wydaje przepis i określa zarazem sposoby ich stosowania, wyznaczając w ten Sposób niższym instancjom oraz urzędnikom publicznym ogromną liczbę szczegółowych i ściśle sprecyzowanych obowiązków.

Jeżeli wszystkie niższe instancje i wszyscy urzędnicy podporządkowują się prawu, całe społeczeństwo postępuje według jednolitych zasad. W jaki

jednak sposób niższe instancje oraz urzędnicy zostają zmuszeni do podporządkowania się prawu?

Ogólnie można powiedzieć, że społeczeństwo dysponuje tylko dwoma sposobami zmuszenia urzędników do posłuszeństwa wobec prawa.

Może powierzyć jednemu urzędnikowi władzę kierowania pozostałymi i zwalniania ich w razie nieposłuszeństwa.

Może też zobowiązać trybunały do stosowania kar sądowych w wypadku wykroczeń administracyjnych.

Społeczeństwo nie zawsze może swobodnie wybierać między tymi dwoma sposobami.

Prawo do kierowania urzędnikiem pociąga za sobą prawo do zwalniania go w wypadku nieposłuszeństwa oraz prawo do awansowania gorliwego wykonawcy poleceń. Tymczasem urzędnik wybieralny nie może być ani zwalniany, ani awansowany. Istota funkcji pełnionych z wyboru polega na tym, że ich wykonawca nie może być odwołany aż do wygaśnięcia mandatu. Taki urzędnik nie ma w gruncie rzeczy powodu obawiać się kogokolwiek poza wyborcami. Wszystkie inne funkcje publiczne są także wybieralne, nie ma więc miejsca na hierarchię urzędniczą tam, gdzie jeden i ten sam człowiek nie może posiadać prawa wydawania rozporządzeń oraz prawa piętnowania nieposłuszeństwa, gdzie nie da się połączyć władzy rozkazywania z władzą wynagradzania i karania.

Społeczeństwa, w których niższe urzędy są wybieralne, zmuszone są do szerokiego stosowania kar sądowych jako środka administracyjnego.

Tego właśnie zjawiska nie sposób dostrzec na pierwszy rzut oka. Rządzący uważają za ustępstwo zarówno tworzenie urzędów wybieralnych, jak i podporządkowanie urzędnika wyrokom sądu. Jednakowo obawiają się obu tych innowacji, ponieważ jednak w pierwszym wypadku wywierana jest na nich większa presja, zgadzają się na wybory urzędników, pozostawiając ich niezależnymi od władzy sądowej.

Tymczasem jedno z tych posunięć stanowi jedyną skuteczną przeciwwagę drugiego. Trzeba bowiem wiedzieć, iż wybieralna władza wykonawcza nie podporządkowana władzy sądowniczej wcześniej czy później albo wymyka się wszelkiej kontroli, albo upada. Tylko sądy mogą spełniać rolę arbitra między władzą centralną i ciałami administracyjnymi pochodzącymi z wyboru. Tylko one mogą zmusić wybranego urzędnika do posłuszeństwa, nie naruszając jednocześnie uprawnień wyborców.

Tak więc w życiu politycznym zakres władzy sądowniczej musi odpowiadać zakresowi wybieralnej władzy wykonawczej. Jeżeli te dwie instytucje nie idą w parze, społeczeństwo popada w anarchię lub ulega zniewoleniu.

Dawno już zauważono, że nawyki mentalności sądowej niezbyt dobrze przygotowują ludzi do sprawowania władzy wykonawczej.

Od swych angielskich przodków przyjęli Amerykanie ideę instytucji, która nie ma odpowiednika w kontynentalnej Europie. Jest to instytucja sędziów pokoju.

Sędzia pokoju jest kimś pośrednim między człowiekiem z towarzystwa a urzędnikiem, między administratorem a sędzią. Sędzia pokoju jest obywatelem wykształconym, choć niekoniecznie biegłym w dziedzinie prawa. Toteż obowiązany jest jedynie do utrzymywania porządku w społeczeństwie, czyli do czynności, która wymaga więcej zdrowego rozsądku i uczciwości niż wiedzy. Sędzia pokoju wnosi do systemu administracyjnego, w którym działa, tendencję do przestrzegania przyjętych form oraz jawności, co powoduje, że nie można zeń uczynić narzędzia despotyzmu. Ale sędzia pokoju nie jest też niewolnikiem prawniczej skrupulatności, która sprawia, że sędziowie nie bardzo nadają się do rządzenia.

Amerykanie przyswoili sobie instytucję sędziów pokoju, pozbawiając ją jednak całkowicie arystokratycznego charakteru, jaki miała w Anglii.

. . . . . .

Jeżeli urzędnik publiczny w Nowej Anglii popełnia przestępstwo w trakcie wykonywania swoich funkcji, zwykłe sądy wymierzają mu odpowiednią karę.

Jeżeli popełnia wykroczenie administracyjne, karze go sąd administracyjny, gdy sprawa jest ważna lub nagląca, sędzia wykonuje to, czego zaniedbał urzędnik.

Jeżeli wreszcie urzędnik popełnia jedno z tych nieuchwytnych przestępstw, których ludzki wymiar sprawiedliwości nie jest w stanie ani określić, ani oszacować, to wówczas także może zostać ukarany. Musi corocznie stawić się przed trybunałem wyborców, od którego decyzji nie ma odwołania, a który może go pozbawić wszelkiego znaczenia — wraz z mandatem urzędnik traci bowiem władzę.

. . . . . .

Ogólne uwagi na temat administracji w Stanach Zjednoczonych

. . . . . .

W każdym stanie istnieją gminy i w każdej z nich toczy się publiczne życie, w żadnym jednak ze skonfederowanych stanów nie ma takich gmin, jakie istnieją w Nowej Anglii.

Im dalej na południe, tym mniej aktywne staje się życie publiczne w gminach; posiadają one mniej urzędników, uprawnień i obowiązków, a ludność

nie wywiera już tak bezpośredniego wpływu na sprawy publiczne; zgromadzenia gminne są rzadsze i zajmują się mniejszą liczbą problemów. Władza wybieralnego urzędnika staje się więc odpowiednio większa, wyborcy zaś — mniejsza. Duch gminy jest mniej rozbudzony i słabszy.

Różnica ta zauważyć się daje już w stanie Nowy Jork, bardzo wyraźna jest w Pensylwanii, zmniejsza się natomiast w miarę posuwania się na północny zachód. Większość emigrantów, którzy zakładają stany północno-zachodnie, pochodzi z Nowej Anglii i przenosi do przybranej ojczyzny tamtejsze obyczaje administracyjne. Gmina w Ohio ma więc na przykład wiele wspólnego z gminą w Massachusetts.

W Massachusetts, jak wiemy, gmina jest sercem administracji publicznej. Jest ona ośrodkiem, wokół którego skupiają się ludzkie interesy i uczucia. Odmienna sytuacja jest jednak w stanach, w których wykształcenie nie bywa zjawiskiem tak powszechnym i w których wobec tego instytucja gminy nie gwarantuje już obywatelom tak mądrej i sprawnej administracji. W miarę więc oddalania się od Nowej Anglii życie publiczne gminy przenosi się jakby do hrabstwa. Hrabstwo staje się ważnym ośrodkiem administracji oraz pośrednikiem między rządem a zwykłymi obywatelami.

. . . . . .

O stanie

Mówiłem już o gminach i o administracji, pozostaje mi jeszcze do omówienia stan oraz rząd centralny.

Mogę tu nieco skrócić swą relację nie obawiając się nieporozumień, to bowiem, co mam do powiedzenia, jest zawarte w konstytucjach i każdy może do nich zajrzeć. Konstytucje zaś opierają się na prostej i racjonalnej zasadzie.

Formy te są nam bliskie, ponieważ większość z nich została przyjęta przez wszystkie państwa konstytucyjne.

Oto ich pobieżny wykład. Później będę się starał ocenić to, co teraz tylko opiszę.

O władzy ustawodawczej stanu

Władza ustawodawcza stanu powierzona została dwóm zgromadzeniom: pierwsze z nich nosi zazwyczaj nazwę Senatu.

Senat jest zasadniczo ciałem prawodawczym, ale w niektórych wypadkach staje się ciałem wykonawczym i sądowniczym.

Senat uczestniczy w administracji w różny sposób, zależnie od konstytucji danego stanu, przede wszystkim jednak wywiera wpływ na władzę wykonawczą przez współudział w wyborze urzędników.

Bierze także udział we władzy sądowniczej przez wyrokowanie w sprawie pewnych przestępstw politycznych, a czasem przez wydawanie orzeczeń w niektórych sprawach cywilnych.

Senat zawsze liczy niewielu członków.

Izba Reprezentantów, drugie ramię stanowego ciała prawodawczego, nie ma żadnego udziału w administracji i jedyna forma jej uczestnictwa we władzy sądowniczej polega na oskarżaniu urzędników publicznych przed Senatem.

Członkowie obu izb są prawie wszędzie wybierani wedle jednakowych zasad. Są wybierani w ten sam sposób i przez tych samych obywateli.

Jedyna różnica polega na tym, że mandaty senatorów są zazwyczaj dłuższe od mandatów reprezentantów. Ci ostatni rzadko spełniają swe funkcje dłużej niż przez jeden rok; senatorzy zasiadają zwykle przez dwa lub trzy lata.

Przyznając senatorom przywilej wybieralności na kilka lat i wymieniając co roku tylko część Senatu, prawo zatroszczyło się o utrzymywanie w ciele prawodawczym zespołu ludzi zaznajomionych już ze sprawami publicznymi i mogących wywierać pożyteczny wpływ na nowo wybranych.

Zamiarem Amerykanów, dzielących ciało prawodawcze na dwie izby, nie było utworzenie jednej izby dziedzicznej i drugiej wybieralnej, jednej arystokratycznej i drugiej demokratycznej. Celem ich nie było także uczynienie z Senatu oparcia dla władzy, a z Izby Reprezentantów przedstawiciela interesów i namiętności ludu.

Jedyne zalety aktualnej organizacji dwuizbowego ciała prawodawczego polegają na podziale władzy ustawodawczej, na wynikającym stąd swobodniejszym działaniu zgromadzeń politycznych oraz na stworzeniu trybunału odwoławczego, ponownie rozpatrującego prawa uchwalone przez niższą izbę.

Upływ czasu oraz doświadczenie nauczyły Amerykanów, że podział władzy ustawodawczej, choć legitymuje się takimi tylko zaletami, jest koniecznością pierwszorzędną. Pensylwania, jako jedyna spośród zjednoczonych republik, powołała początkowo zgromadzenie jednoizbowe. Sam Franklin był orędownikiem tej sprawy, wiedziony logicznymi konsekwencjami wynikającymi z zasady suwerenności ludu. Niebawem jednak musiano dokonać zmiany prawa i wprowadzić system dwuizbowy. Zasada podziału władzy ustawodawczej została w ten sposób ostatecznie uświęcona. Konieczność podziału władzy ustawodawczej między większą liczbę organizmów można było odtąd uznać za udowodnioną. Idea ta, prawie całkiem nie znana republikom starożytności, jak większość wielkich prawd wprowadzona w życie prawie na mocy przypadku, niedoceniona przez wiele nowoczesnych narodów, stała się pewnikiem wiedzy politycznej naszych czasów.

O władzy wykonawczej stanu

Reprezentantem wykonawczej władzy stanu jest gubernator.

Nie na darmo użyłem słowa: reprezentant. Gubernator rzeczywiście reprezentuje władzę wykonawczą, lecz przysługują mu tylko niektóre jej uprawnienia.

Najwyższy urzędnik, zwany gubernatorem, działa u boku ciała prawodawczego jako doradca i pośrednik. Przysługuje mu prawo weta, które pozwala mu dowolnie zatrzymywać lub przynajmniej opóźniać działanie ciała prawodawczego. Gubernator przedstawia ciału prawodawczemu potrzeby kraju oraz środki, których zastosowanie wydaje mu się słuszne dla ich zaspokojenia. Jest wykonawcą jego woli odnośnie do wszystkich przedsięwzięć dotyczących całego stanu. W przerwach między posiedzeniami ciała prawodawczego gubernator zobowiązany jest zastosować wszystkie konieczne środki, żeby ustrzec stan od gwałtownych wstrząsów i nieprzewidzianych niebezpieczeństw.

Gubernator skupia w swych rękach całą władzę wojskową stanu. Jest komendantem milicji i głównodowodzącym sił zbrojnych. W wypadku wyraźnego lekceważenia autorytetu prawa staje na czele sił zbrojnych stanu, łamie opór i przywraca porządek.

Poza tym gubernator nie zajmuje się administracją gmin i hrabstw, a jeżeli, to na sposób nader pośredni, mianując sędziów pokoju, których zresztą nie wolno mu odwoływać.

Gubernator jest urzędnikiem wybieralnym i najczęściej wybierany jest nie na dłużej niż rok czy dwa lata. Dzięki temu gubernator pozostaje zawsze ściśle uzależniony od większości, która go wyniosła na stanowisko.

O politycznych skutkach decentralizacji administracyjnej w Stanach Zjednoczonych

Centralizacja jest słowem, które każdy dziś powtarza, lecz nikt nie stara się sprecyzować jego znaczenia.

Istnieją dwa zasadniczo odmienne rodzaje centralizacji i należy je dobrze rozróżnić.

Pewne sprawy, jak na przykład ustanawianie podstawowych praw oraz polityka zagraniczna, interesują wszystkich. Inne, jak na przykład przedsięwzięcia poszczególnych gmin, interesują jedynie jakąś część narodu.

Skupienie w jednym miejscu i w jednej osobie władzy prowadzenia spraw pierwszego rodzaju nazwałbym centralizacją rządową.

Podobne skupienie władzy prowadzenia spraw drugiego rodzaju nazwałbym centralizacją administracyjną.

Oba typy centralizacji przenikają się w pewnych punktach. Łatwo jednak je odróżnić biorąc pod uwagę całość spraw, które w szczególniejszy sposób należą do jednej lub drugiej dziedziny.

Centralizacja rządowa oczywiście niezmiernie zyskuje na sile, jeśli jest połączona z centralizacją administracyjną. Ludzie uczą się wtedy całkowitej rezygnacji z własnej woli oraz posłuszeństwa, nie raz jeden i w jednym tylko wypadku, lecz zawsze i we wszystkim. Taka władza nie tylko ujarzmia ludzi, ale także wdziera się do ich obyczajów oraz dzieli ich po to, by potem łatwiej podporządkować sobie każdego z osobna.

Te dwa typy centralizacji wspomagają się i przyciągają nawzajem. Nie sądzę jednak, aby nie dawały się rozłączyć.

W czasach panowania Ludwika XIV centralizacja rządowa we Francji osiągnęła największe możliwe rozmiary, albowiem ten sam człowiek wydawał wówczas prawa oraz je interpretował, a przy tym prowadził politykę zagraniczną Francji i działał w jej imieniu. «Państwo to ja» — mawiał, i to była prawda.

A jednak w czasach Ludwika XIV centralizacja administracyjna była słabsza niż dziś.

I dzisiaj istnieje mocarstwo — Anglia — w którym centralizacja rządowa osiągnęła bardzo wysoki stopień. Państwo wydaje się działać tak jak pojedynczy człowiek. Podporządkowuje swej woli wielkie masy ludzi, skupia całą swą potęgę i dowolnie jej używa.

Anglia, która dokonała tak wielkich rzeczy podczas ostatnich pięćdziesięciu lat, nie posiada centralizacji administracyjnej.

Naród nie może, w moim przekonaniu, istnieć — a zwłaszcza rozwijać się pomyślnie — bez silnej centralizacji rządowej.

Myślę natomiast, że centralizacja administracyjna służy wyłącznie temu, by pozbawiać energii podporządkowanych jej ludzi, ponieważ usilnie się stara osłabić ich obywatelskiego ducha. To prawda, że centralizacja administracyjna jest w stanie spowodować koncentrację sił narodu w określonym czasie i miejscu, lecz ogromnie utrudnia regenerację tych sił. Doprowadza naród do tryumfu w dniu walki, lecz na dłuższą metę wycieńcza go. Może więc przyczynić się do przelotnej chwały jednego człowieka, lecz nie zapewnia trwałej pomyślności narodu.

Pamiętajmy, że mówiąc, iż państwo nie jest zdolne do działania bez centralizacji, ludzie mają prawie zawsze na myśli centralizację rządową. Powtarza się często, że Cesarstwo Niemieckie nigdy w pełni nie wykorzystało swych sił. Zgoda. Lecz dlaczego tak się stało? Ponieważ siły narodowe nie były tam nigdy centralnie kierowane, ponieważ państwo nigdy nie zdołało narzucić ludziom posłuszeństwa wobec swych podstawowych praw, ponieważ odrębne części tego wielkiego organizmu miały zawsze prawo lub możliwość odmówić współdziałania z przedstawicielami władzy centralnej, na-

wet gdy chodziło p sprawy interesujące ogół obywateli. Innymi słowy — ponieważ nie było centralizacji rządowej. To samo spostrzeżenie odnosi się do średniowiecza: powodem wszystkich nieszczęść społeczeństwa feudalnego był fakt, że władza, nie tylko administracyjna, ale i rządowa, była podzielona między tysiące osób i rozbita na tysiączne sposoby. Brak wszelkiej centralizacji rządowej nie pozwalał wówczas narodom Europy na skuteczne dążenie do jakiegokolwiek celu.

Wiemy, że w Stanach Zjednoczonych nie istniała centralizacja administracyjna. Z trudem przyszłoby doszukać się choćby śladów hierarchii urzędniczej. Decentralizacja posunęła się tak daleko, że, jak sądzę, żaden europejski naród nie byłby w stanie tego przetrzymać bez wielkiej dla siebie szkody. Nawet w Ameryce decentralizacja pociągnęła za sobą pewne złe skutki. Za to centralizacja rządowa osiągnęła tam najwyższy poziom. Łatwo dowieść, że żadna dawna monarchia europejska nigdy nie osiągnęła takiego stopnia koncentracji sił narodowych. Nie tylko w każdym stanie jest tylko jedno ciało prawodawcze i jedna tylko władza może skupiać wokół siebie życie Polityczne, ale w ogóle unikano łączenia licznych organizmów na poziomie hrabstw, z obawy by nie pokusiły się o przekroczenie swych administracyjnych kompetencji i nie krępowały działań rządu. W Ameryce stanowe ciało prawodawcze jest najwyższą siłą. Ani przywileje, ani lokalne immunitety, ani wpływy osobiste, ani nawet autorytet rozumu nie są w stanie jej przeszkodzić, ponieważ reprezentuje ona większość, która ma się za jedynego nosiciela racji rozumu. Granice władzy ciała prawodawczego określa tylko jego wola. Obok niego i pod jego kontrolą znajduje się reprezentant władzy wykonawczej, którego zadaniem jest zmuszanie opornych do posłuszeństwa.

. . . . . .

Decentralizacja administracyjna pociągnęła za sobą w Ameryce wiele różnorodnych następstw.

Jak wiemy, Amerykanie niemal całkowicie oddzielili administrację od rządu. Zdaje mi się, że przekroczyli tu granice zdrowego rozsądku, ponieważ utrzymanie porządku, nawet w drugorzędnych sprawach, ma znaczenie dla całego narodu.

Jeżeli państwo nie ma do dyspozycji urzędników administracji zajmujących określone stanowiska w różnych częściach kraju, urzędników, którym mogłoby narzucić jednolity kierunek działania, rzadko może się pokusić o wprowadzenie ogólnych zasad porządkowych. A przecież zasady takie są na pewno potrzebne. Ich brak nieraz rzuca się w oczy Europejczykowi. Wrażenie bezładu prowadzi go do wniosku, że w społeczeństwie panuje kompletna anarchia. O pomyłce można się dopiero przekonać, gdy dogłębnie zbadamy sprawę.

Pewne przedsięwzięcia interesujące cały stan nie mogą dojść do skutku z braku ogólnonarodowej administracji zdolnej je przeprowadzić. Z przedsięwzięć pozostawionych trosce gmin i hrabstw, oddanych w ręce wybieralnych i czasowo działających urzędników, nie może wyniknąć nic trwałego lub zgoła nic.

Europejscy stronnicy centralizacji utrzymują, że władze rządowe lepiej administrują poszczególnymi częściami kraju, niż mogłyby to czynić one same. Jest to być może prawdziwe wtedy, kiedy rząd jest światły, a władze lokalne prymitywne, kiedy rząd jest czynny, a władze lokalne bierne, kiedy rząd wreszcie nawykł do działania, a władze lokalne do posłuszeństwa. Wiadomo nawet, że w miarę wzmacniania centralizacji ten rozziew się pogłębia i sprawność rządu z jednej strony, nieporadność zaś władz lokalnych z drugiej stają się coraz bardziej wyraźne.

Uważam jednak, że nie jest to prawdziwe w odniesieniu do społeczeństwa oświeconego, które ma świadomość swych interesów i nauczyło się o nie dbać, tak jak to się dzieje w Ameryce.

Jestem wręcz przekonany, że w tym wypadku zbiorowa siła obywateli będzie zawsze skuteczniej działała na rzecz społecznego dobrobytu niż władza rządowa.

Przyznaję, że trudno byłoby wskazać niezawodne sposoby rozbudzenia społeczeństwa, które pogrążone jest w letargu, sposoby wpojenia mu uczuć i kultury, których nie posiada. Wytłumaczenie ludziom, że powinni sami zająć się swym losem to — nie wątpię — przedsięwzięcie trudne. Nieraz łatwiej byłoby zainteresować ich szczegółami dworskiej etykiety niż zająć ich umysły problemem odbudowy wspólnego domu.

Lecz myślę zarazem, że jeżeli administracja centralna mniema, iż potrafi całkowicie zastąpić swobodne współdziałanie bezpośrednio zainteresowanych, to sama jest w błędzie lub zamierza wprowadzić w błąd społeczeństwo.

Władza centralna, jakkolwiek by była oświecona i przemyślna, nie jest w stanie sama objąć wszystkich szczegółów życia wielkiego społeczeństwa. Nie jest w stanie, ponieważ podobne przedsięwzięcie przekracza ludzkie Siły. Jeżeli usiłuje sama stworzyć i puścić w ruch tyle różnych sprężyn, zadowala się bardzo miernymi rezultatami lub wyczerpuje w daremnych wysiłkach.

Centralizacja rzeczywiście łatwo może doprowadzić zewnętrzne działania ludzkie do pewnego ujednolicenia, które samo w sobie jest potem przez ludzi uważane za godne podziwu, niezależnie od sprawy, której ma służyć — podobnie jest z dewotami, którzy uwielbili figurę, zapomniawszy boga, którego ta figura przedstawia. Centralizacji bez trudu udaje się nadać różnym sprawom bieżącym pozory porządku, umiejętnie doglądać szczegółów publicznego ładu, poskramiać niewielkie zaburzenia i drobne wykroczenia, utrzy-

mywać społeczeństwo w pewnym status quo, które nie oznacza ani upadku, ani postępu, wreszcie zachowywać pewną ospałość życia publicznego, którą administratorzy zwykli nazywać ładem i spokojem. Krótko powiedziawszy, centralizacja celuje w zapobieganiu, nie zaś w działaniu. Kiedy chodzi o to, by głęboko poruszyć społeczeństwo, by spowodować jego przyspieszony rozwój — jej siły zawodzą. Gdy ta ogromna machina musi odwołać się do pomocy jednostek, ujawnia natychmiast swą słabość — ze zdumieniem stwierdzamy, że jest bezsilna.

Zdarza się niekiedy, że scentralizowana władza próbuje, nie mając innego wyjścia, przyzywać obywateli na pomoc, lecz wtedy przemawia do nich tak: «Będziecie działać tak, jak chcę, dopóty, dopóki będę chciała, i dokładnie w tym kierunku, który wyznaczę. Zajmiecie się szczegółami, nie dążąc do kierowania całością przedsięwzięcia. Będziecie pracowali w nieświadomości, a potem osądzicie moje dzieło wedle jego rezultatów.» Nie w taki sposób uzyskuje się współdziałanie ludzkiej woli. Potrzebuje ona swobody i odpowiedzialności za podejmowane zadania. Człowiek jest istotą, która przenosi bierność nad zniewolone dążenie ku nie znanemu sobie celowi.

Nie przeczę, że w Stanach Zjednoczonych często żałowano, iż nie udało się wprowadzić tych jednolitych zmian, które zdają się nieustannie kierować naszym postępowaniem.

Można tam spotkać się z przykładami wielkiej lekkomyślności i społecznego niedbalstwa. Tu i ówdzie pojawiają się brudne plamy, kontrastujące z otaczającą je cywilizacją.

Pożyteczne przedsięwzięcia, wymagające nieprzerwanych starań i dokładności w szczegółach, bywają nieraz porzucane, ponieważ w Ameryce, tak samo jak wszędzie, lud działa na zasadzie krótkotrwałych wysiłków i doraźnych impulsów.

Europejczyk, przyzwyczajony do stałej obecności mieszających się do wszystkiego urzędników, z trudnością przyzwyczaja się do złożonego mechanizmu administracji gminnej w Ameryce. Detale społecznego ładu, które ułatwiają życie i czynią je wygodnym, są w Ameryce lekceważone, lecz jednocześnie ludzie korzystają tu z tych samych istotnych gwarancji, jakie zapewniają inne społeczeństwa. W Ameryce władza, która administruje stanem, działa mniej regularnie, jest mniej oświecona oraz mniej uczona, lecz sto razy większa niż w Europie. W żadnym kraju na świecie ludzie nie dokonują tylu wysiłków, by zapewnić sobie dobrobyt. Nie znam społeczeństwa, któremu udałoby się stworzyć tak rozbudowane i tak skuteczne szkolnictwo, wznieść świątynie tak odpowiadające religijnym potrzebom obywateli, mądrzej poprowadzić i lepiej utrzymywać drogi publiczne. Nie należy więc szukać w Stanach Zjednoczonych ani jednolitych i trwałych poglądów, ani pedantycznej dbałości o szczegóły życia publicznego, ani doskonałości administracyjnych zabiegów. Znaleźć tam można natomiast objawy prymitywnej

może, lecz potężnej siły oraz życia, w którym zdarzają się zakłócenia, lecz które tętni ruchem i pracą.

Gotów jestem przyznać, jeżeli komuś na tym zależy, że miasta i hrabstwa Stanów Zjednoczonych byłyby skuteczniej administrowane przez obcą im centralną władzę, działającą z pewnej odległości, niż przez własnych urzędników. Gotów jestem nawet przyznać, że jeżeli administracja skupiona byłaby w jednym ręku, można by w Ameryce bezpieczniej żyć i robić lepszy użytek z zasobów sił społecznych. Lecz korzyści natury politycznej, które Amerykanie czerpią z decentralizacji, wystarczają im, by ten system przenosić nad przeciwny.

Ostatecznie cóż mi z tego, że władza jest wszechobecna, że czuwa zawsze nad tym, bym bezpiecznie zażywał przyjemności, że wyprzedza każdy mój krok, by usunąć mi z drogi niebezpieczeństwa, zanim zdążę o nich pomyśleć, jeżeli ta sama władza, która tak usilnie oszczędza mi przykrości, jest zarazem absolutną panią mojej wolności i mojego życia, monopolizuje wszelki ruch i wszelkie istnienie do tego stopnia, że wszystko usycha, kiedy ona marnieje, i wszystko usypia, kiedy ona zapada w sen — że wszystko umiera razem z nią?

Są w Europie kraje, których mieszkańcy uważają się jakby za osadników obojętnych na losy ziemi, na której żyją. Największe zmiany dokonują się w kraju bez ich udziału. Nie wiedzą nawet dokładnie, co się dzieje, zaledwie się czegoś domyślają i przypadkowo dowiadują się o niektórych wydarzeniach. Co więcej, stan ich miasta, spokój ich ulicy, los ich kościoła i plebanii wcale ich nie zajmują. Sądzą, że wszystkie te sprawy w żadnej mierze ich nie dotyczą i że należą do potężnego nieznajomego, zwanego rządem. Ludzie ci cieszą się swymi dobrami tak, jak cieszą się nimi przejściowi użytkownicy, albowiem wyzbyci są zmysłu posiadania oraz chęci ulepszania czegokolwiek. Ich obojętność w stosunku do własnego życia posuwa się tak daleko, że gdy w końcu ich własne bezpieczeństwo lub bezpieczeństwo ich dzieci zostaje narażone, miast wyjść zagrożeniu naprzeciw, czekają z założonymi rękami na to, by cały naród przyszedł im z pomocą. Ludzie ci, którzy tak całkowicie wyzbyli się wolnej woli, nie kochają zresztą poddaństwa bardziej niż inni. Ulegają, to prawda, samowoli najmarniejszego urzędnika, lecz gdy tylko ustąpi siła, pastwią się nad prawem jak nad pokonanym przeciwnikiem. Nieustannie wahają się między służalczością a rozpasaniem.

Jeżeli naród dojdzie do takiego stanu, musi zmienić swe prawa i obyczaje lub zginąć, ponieważ wyschło w nim źródło cnót publicznych. Ma jeszcze poddanych, ale nie ma obywateli.

. . . . . .

W Ameryce podziwiam najbardziej nie tyle administracyjne skutki decentralizacji, ile jej skutki polityczne. Zainteresowanie sprawami ojczyzny jest

tu powszechne. Od małej miejscowości aż po całą Unię — wszędzie los ojczyzny jest przedmiotem troski. Mieszkańcy uważają interesy kraju za swoje własne. Chwała narodu jest ich chwałą, w jego sukcesach rozpoznają swe własne dzieło i to ich uszlachetnia. Raduje ich powszechny dobrobyt, z którego zresztą korzystają. Wobec ojczyzny żywią te same uczucia, jakie ludzie zwykli żywić dla rodziny, a i sprawami stanu interesują się z osobistych pobudek.

Europejczyk widzi w urzędniku publicznym jedynie siłę, Amerykanin — prawo. Można powiedzieć, że w Ameryce człowiek nie jest posłuszny nigdy człowiekowi, lecz sprawiedliwości i prawu.

Amerykanin posiada często przesadną, lecz zbawienną zazwyczaj opinię o sobie samym. Bezgranicznie ufa własnym siłom, które wydają mu się wystarczające, by podołać wszystkiemu. Przychodzi mu do głowy projekt jakiegoś przedsięwzięcia i jeśli nawet ma ono bezpośredni związek z ogólnym dobrobytem, ani myśli zwracać się o pomoc do władz publicznych. Ogłasza po prostu swój zamiar, podejmuje się go wykonać, wzywa innych ludzi do pomocy i stawia czoło wszystkim przeciwnościom. Dochodzi częstokroć do gorszego rezultatu niż ten, jaki na jego miejscu uzyskałoby państwo, lecz na dłuższą metę suma wszystkich indywidualnych przedsięwzięć daleko przekracza to, co mógłby uczynić rząd.

Władze administracyjne nie wywołują ani zazdrości, ani nienawiści, ponieważ są blisko ludzi i reprezentują niejako ich samych. Ponieważ środki działania tych władz są ograniczone, wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że nie mogą całkowicie na nich polegać.

Toteż władze administracyjne, działając w granicach swych kompetencji, nie są zdane, jak w Europie, wyłącznie na własne siły. Nikt nie sądzi, że jest zwolniony ze swoich obowiązków dlatego tylko, że do akcji wkracza urzędnik publiczny. Przeciwnie, każdy udziela mu wskazówek i go wspiera.

Kiedy wysiłki indywidualne łączą się z działaniem sił społecznych, powstają rezultaty, których najbardziej skoncentrowana i aktywna administracja nie będzie nigdy w stanie osiągnąć.

Wiele przykładów może służyć potwierdzeniu tej tezy, ograniczę się jednak do tego, który jest mi najbardziej znany.

W Ameryce władze dysponują niewieloma środkami do wykrywania zbrodni i ścigania przestępców.

Nie istnieje wydział policji, zajmujący się sprawami administracyjnymi, nie ma też paszportów. Amerykańskiej policji kryminalnej nie można nawet porównać z naszą. Agenci policyjni są nieliczni i nie zawsze wszczynają śledztwo; dochodzenie trwa krótko i odbywa się ustnie. Wątpię jednak, by w jakimś innym kraju zbrodnia rzadziej uchodziła kary.

Wynika to stąd, że wszyscy są zainteresowani w dostarczaniu dowodów zbrodni i w ujęciu przestępcy.

Podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych miałem okazję obserwować mieszkańców hrabstwa, w którym popełniono zbrodnię; spontanicznie tworzyli oni komitety mające na celu ściganie winnego i oddanie go w ręce sądu.

W Europie kryminalista jest nieszczęśnikiem, który walczy z agentami policji o uratowanie własnej głowy, i ludność poniekąd towarzyszy mu w tej walce. W Ameryce jest on wrogiem rodzaju ludzkiego i ma wszystkich przeciwko sobie.

Myślę, że instytucje lokalne są potrzebne w każdym społeczeństwie, najbardziej jednak w takim, którego układ społeczny jest demokratyczny.

W systemie arystokratycznym zawsze można utrzymać porządek w obrębie istniejących swobód. Rządzący, którzy mają wiele do stracenia, są w tym osobiście zainteresowani.

W systemie arystokratycznym lud znajduje również schronienie przed ekscesami despotyzmu, ponieważ istnieją zorganizowane siły, które są gotowe oprzeć się despocie.

Demokracja pozbawiona instytucji lokalnych nie posiada żadnych gwarancji zabezpieczających ją przed podobnym złem. Jeśli lud nie nauczył się jeszcze korzystać z wolności w niewielkich sprawach, to czyż można spodziewać się, że będzie umiał ją utrzymać w sprawach poważnych ?

Jak oprzeć się tyranii w kraju, w którym każdy człowiek wzięty z osobna jest słaby i w którym ludzi nie łączy żaden wspólny interes?

Zarówno więc ci, którzy obawiają się rozpasania, jak i ci, których lękiem napawa władza absolutna, powinni życzyć sobie rozwoju swobód lokalnych.

Przekonany jestem, że narody demokratyczne najbardziej wystawione są na niebezpieczeństwo centralizacji administracyjnej.

Dzieje się tak między innymi z następujących powodów. Stałą tendencją takich społeczeństw jest skupianie całej siły rządowej w rękach jednego Organu władzy, bezpośrednio reprezentującego lud, ponieważ poza ludem jako całością istnieje już tylko masa równych sobie nawzajem jednostek.

Otóż jeśli ta właśnie władza posiada już wszystkie atrybuty rządu, trudno uniknąć jej wtrącania się w szczegóły administracji i na dłuższą metę znajduje zawsze po temu okazję, czego byliśmy świadkami we Francji.

W czasie Rewolucji Francuskiej istniały dwie przeciwne tendencje, których nie należy mylić; jedna sprzyjała wolności, druga despotyzmowi.

W dawnej monarchii król sam wydawał prawa. Na niższym piętrze władzy istniały jakieś na wpół rozbite resztki instytucji prowincjonalnych. Instytucje te były nieudolne, źle kierowane, często absurdalne. W rękach arystokracji stawały się niekiedy narzędziem ucisku.

Rewolucja opowiedziała się jednocześnie przeciw monarchii i przeciw instytucjom prowincjonalnym. Kierowana ślepą nienawiścią niszczyła wszyst-

ko, co było przed nią, zarówno władzę absolutną, jak i to, co mogło łagodzić jej siłę. Rewolucja była jednocześnie republikańska i centralistyczna.

Zwolennicy władzy absolutnej skwapliwie usiłują wykorzystać fakt tej podwójnej tendencji Rewolucji Francuskiej. Myślicie może, że gdy bronią centralizacji administracyjnej, opowiadają się za despotyzmem? Bynajmniej. Bronią jednego z wielkich osiągnięć rewolucji. W ten sposób można zostać jednocześnie demokratą i wrogiem praw ludu, ukrytym sługą tyranii i oddanym miłośnikiem wolności.

Widziałem dwa narody, które wspaniale rozwinęły system swobód prowincjonalnych, i wysłuchałem głosów ich stronnictw.

W Ameryce spotkałem ludzi, którzy knuli zniszczenie demokratycznych instytucji swojego kraju. W Anglii widziałem ludzi, którzy zwalczali system arystokratyczny. Nie widziałem jednak człowieka, który nie traktowałby swobód prowincjonalnych jako wielkiego dobra.

W obu krajach zło dziejące się w państwie przypisywano wielu różnym przyczynom, ale nigdy swobodom gminnym.

Wielkość lub pomyślność ojczyzny wiązano z wieloma przyczynami, lecz zawsze w pierwszym rzędzie wymieniano swobody prowincjonalne.

Czy można wierzyć w nieprawdziwość faktu, co do którego zgadzają się ludzie tak sobie dalecy, że nie są w stanie porozumieć się ani w sprawach religijnych, ani politycznych? Zgadzają się, ponieważ fakt ten jest im najbliższy i codziennie mają go przed oczami.

Tylko przedstawiciele społeczeństw, które nie mają instytucji prowincjonalnych lub w których są one słabe, przeczą ich użyteczności. Tylko ci, którzy ich nie zaznali, rzucają na nie oszczerstwa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O władzy sądowniczej w Stanach Zjednoczonych oraz o jej oddziaływaniu na życie publiczne

Władzy sądowniczej postanowiłem poświęcić osobny rozdział. Polityczne znaczenie władzy sądowniczej jest tak wielkie, że nie chciałbym, wspominając o niej przelotnie, pomniejszyć go w oczach czytelnika.

Zarówno konfederacje, jak i republiki istniały na świecie poza Ameryką, system przedstawicielski został przyjęty w wielu krajach Europy, ale żaden naród świata po dziś dzień nie stworzył takiej władzy sądowniczej jak Amerykanie.

Tym, co najtrudniej zrozumieć cudzoziemcowi w Stanach Zjednoczonych, jest organizacja wymiaru sprawiedliwości. Nie ma właściwie wydarzeń politycznych, w których władza sędziowska nie odgrywałaby jakiejś roli. Europejczyk wyciąga stąd wniosek, iż sędzia jest w Stanach Zjednoczonych jedną z pierwszych potęg politycznych. Kiedy jednak zaczyna badać sposób działania sądów, znajduje tam jedynie powszechnie znane obyczaje sądownictwa. Wydaje mu się tedy, że sędziowie tylko przez przypadek biorą udział w sprawach publicznych — takie przypadki zdarzają się jednak codziennie.

Gdy parlament paryski protestował i odmawiał zarejestrowania jakiegoś edyktu, gdy wzywał przed swe oblicze urzędnika-przeniewiercę, wówczas polityczne działanie władzy sądowniczej widać było jak na dłoni. Nic podobnego nie da się jednak zauważyć w Stanach Zjednoczonych.

Amerykanie dali władzy sądowniczej wszystkie cechy, z którymi zwykliśmy ją kojarzyć. Zamknęli ją także w kręgu, w którym się zawsze porusza.

We wszystkich krajach pierwszą właściwością władzy sądowniczej jest to, że spełnia ona rolę arbitra. Aby sądy mogły rozpocząć działanie, musi nastąpić pogwałcenie prawa. Aby był sąd — musi być proces. Dopóki prawo nie zostanie pogwałcone, władza sądownicza nie ma okazji do działania. Prawo istnieje, ale sędzia go nie dostrzega. Jeżeli w związku z jakimś procesem sędzia poddaje krytyce odnośne prawo, rozszerza wtedy krąg swych uprawnień, ale go nie przekracza, ponieważ musi niejako osądzić prawo, by móc sądzić w procesie. Jeżeli jednak osądzałby prawo bez związku z określonym procesem, wychodziłby wtedy całkowicie poza swą sferę działania i wkraczałby w kompetencje władzy ustawodawczej.

Drugą właściwością władzy sądowniczej jest osądzanie poszczególnych przypadków, nie zaś ogólnych zasad. Jeżeli sędzia, rozważając jakiś przypa-

dek, postępuje wbrew ogólnej zasadzie i wydaje wyrok prowadzący do odrzucenia wszystkich konsekwencji tej zasady prawnej, a więc i do odrzucenia jej samej — pozostaje w sferze swych uprawnień. Jeżeli natomiast bezpośrednio i poza określonym przypadkiem atakuje zasadę prawną — wykracza poza swoje kompetencje. Staje się wówczas kimś ważnym, może nawet bardziej użytecznym niż zwykły sędzia, ale przestaje reprezentować władzę sądowniczą.

Trzecią właściwością władzy sądowniczej jest to, że może ona działać jedynie w wypadku, gdy ktoś się do niej odwoła, czyli według prawniczego określenia — gdy zostaje powiadomiona. Ta właściwość występuje rzadziej od dwóch pozostałych. Myślę jednak, że mimo wyjątków można ją uznać za zasadniczą. Władza sądownicza z natury jest bierna i należy ją wprawić w ruch, by zaczęła działać. Zostaje powiadomiona o fakcie zbrodni i wtedy karze przestępcę, odwołuje się do niej ktoś, kto doświadczył niesprawiedliwości, i wtedy ona tę niesprawiedliwość usuwa, zostaje jej przedstawiony jakiś czyn i wtedy ona go interpretuje. Lecz sama z siebie nie ściga przestępców, nie szuka niesprawiedliwości i nie bada faktów. Władza sądownicza zadawałaby gwałt swej biernej naturze, gdyby sama podejmowała inicjatywę i narzucała się jako kontroler prawa.

Amerykanie zachowali te trzy właściwości wyróżniające władzę sądowniczą. Sędzia amerykański wyrokuje tylko w sytuacji pogwałcenia prawa, zajmuje się wyłącznie poszczególnymi przypadkami, a po to, by działać, musi zawsze czekać, dopóki sprawa nie zostanie wniesiona przed sąd w sposób zgodny z procedurą.

W Ameryce sędzia jest więc w takiej samej sytuacji jak sędziowie w innych krajach. A jednak posiada ogromną władzę polityczną.

Jak to się dzieje? Jego czynności mają ten sam zasięg i dostępne mu są te same środki działania co gdzie indziej. Skąd więc ma władzę, której nie posiadają sędziowie w innych krajach?

Jedyną przyczyną tego jest fakt, że Amerykanie dali sędziemu prawo opierania orzeczeń raczej na konstytucji niż na ustawach. Innymi słowy, pozwolili sędziemu nie stosować ustaw, które wydają mu się sprzeczne z konstytucją.

Wiem, że takich uprawnień żądały kilkakrotnie sądy w innych krajach, ale nigdy nie zostały im one przyznane. W Ameryce uznają je wszystkie władze i nikt ich nie kwestionuje. Przyczyny tego zjawiska leżą w samej istocie Konstytucji amerykańskich. We Francji konstytucja jest tworem niezmiennym lub uważanym za niezmienny. Żadna władza nie może jej modyfikować.

Parlament angielski posiada prawo wprowadzania zmian do konstytucji. Konstytucja może zmieniać się tam nieustannie, a więc właściwie nie ist-

nieje. Parlament, będąc ciałem ustawodawczym, jest jednocześnie konstytuantą.

Amerykańska myśl polityczna jest prostsza i bardziej racjonalna.

W Ameryce konstytucja nie jest, tak jak we Francji, uważana za niezmienną, ale nie może też być zmieniana, jak w Anglii, przez zwykłe władze ustawodawcze. Stanowi akt samodzielny, który reprezentując wolę całego ludu, obowiązuje zarówno ustawodawców, jak i zwyczajnych obywateli. Konstytucja ta może zostać zmieniona na mocy woli ludu, z zastosowaniem ustalonej procedury oraz w przewidzianych z góry okolicznościach.

W Ameryce konstytucja może się więc zmieniać, ale póki istnieje w określonej formie, stanowi źródło wszelkiej władzy. Największą władzę posiada bowiem sama konstytucja.

Różnice te określają wyraźnie pozycję i uprawnienia sądów we wszystkich trzech krajach, o których była mowa.

Gdyby trybunały francuskie mogły odmówić podporządkowania się ustawom, wychodząc z założenia, że są one sprzeczne z konstytucją, posiadałyby realną władzę konstytuanty, wynikającą z uprawnień do interpretowania konstytucji, której nikt nie mógłby zmienić. Zastąpiłyby więc naród i zawładnęły społeczeństwem, przynajmniej na tyle, na ile by im pozwoliła słabość właściwa władzy sądowniczej.

Zdaję sobie sprawę z tego, iż odmawiając sędziom uprawnień do orzekania o sprzeczności ustaw z konstytucją, w pośredni sposób oddajemy władzę zmieniania konstytucji ciału ustawodawczemu, ponieważ znosimy barierę prawną, która stała mu na przeszkodzie. Władzę zmieniania konstytucji narodu lepiej jest jednak przyznać ludziom, którzy — choć może w sposób daleki od doskonałości — reprezentują wolę narodu, niż ludziom, którzy reprezentują wyłącznie siebie samych.

Byłoby rzeczą jeszcze bardziej nonsensowną dać sędziom angielskim prawo przeciwstawiania się woli ciała ustawodawczego, skoro parlament, który wydaje ustawy, tworzy także konstytucję i skoro wobec tego niemożliwe jest uznanie za sprzeczne z konstytucją ustawy będącej dziełem trzech władz.

Żaden z tych dwóch sposobów rozumowania nie znajduje zastosowania w Ameryce.

W Stanach Zjednoczonych konstytucji podporządkowani są zarówno prawodawcy, jak i zwyczajni obywatele. Stanowi więc ona najwyższe prawo i nie może być przez żadne inne prawa zmieniana. Słuszne jest więc, by sądy kierowały się raczej konstytucją niż jakimikolwiek ustawami. Wiąże się to z samą istotą władzy sądowniczej: naturalnym przywilejem sędziego jest wybieranie spośród przepisów prawnych tych, które najściślej wyznaczają pole jego decyzji.

We Francji konstytucja jest również najwyższym prawem, a sędziowie są uprawnieni do przyjmowania jej za podstawę swych orzeczeń. Korzystając

jednak z tych uprawnień, sędziowie francuscy musieliby naruszyć inne, jeszcze bardziej uświęcone prawo — prawo społeczeństwa, w imieniu którego działają. Zwyczajne racje muszą tu ustąpić przed racją stanu.

W Ameryce, gdzie naród może zawsze podporządkować sobie sędziów zmieniając konstytucję, podobne niebezpieczeństwo nie istnieje. Polityka pozostaje tu w zgodzie z logiką, lud zaś na równi z sędzią zachowuje swoje przywileje.

Jeżeli przed amerykańskim sądem ktoś powoła się na ustawę, która jest, zdaniem sędziego, sprzeczna z konstytucją, sędzia może odmówić zastosowania jej. Jest to wprawdzie jedyna władza, która przysługuje amerykańskiemu sędziemu, lecz daje mu ona poważne wpływy polityczne.

Mało jest w gruncie rzeczy ustaw, którym na dłuższą metę udaje się uniknąć oceny sądów, ponieważ bardzo mało jest takich, które nie naruszają czyichś interesów i których strony procesowe nie mogłyby lub wręcz nie musiały wnieść przed trybunał.

Otóż jeśli sędzia odmówi zastosowania jakiejś ustawy w trakcie procesu, natychmiast traci ona część swej siły moralnej. Ludzie zagrożeni przez tę ustawę dowiadują się wówczas, że istnieje sposób wymknięcia się spod jej mocy. Mnożą się procesy, ustawa staje się bezsilna. I wówczas albo naród zmienia konstytucję, albo ciało prawodawcze odwołuje przestarzałą ustawę.

Amerykanie powierzyli więc sądom ogromną władzę polityczną, lecz pozwalając im na podważanie praw wyłącznie przy pomocy środków sądowych znacznie zmniejszyli ewentualne jej niebezpieczeństwa.

Gdyby sędzia mógł kwestionować ustawę na podstawie teoretycznych i ogólnych rozumowań, gdyby mógł działać z własnej inicjatywy i krytykować ustawodawcę, wtargnąłby wtedy gwałtownie do życia politycznego, stając się zwolennikiem lub przeciwnikiem jakiegoś stronnictwa, starałby się rozniecić wszystkie dzielące kraj namiętności, by wykorzystać je w walce politycznej. Jeżeli jednak sędzia krytykuje prawo podczas zamkniętej debaty oraz w odniesieniu do konkretnego przypadku, jego atak jest mniej widoczny. Orzeczenie odnosi się tylko do danej osoby, a prawo zostaje podważone jakby przypadkowo.

Tak skrytykowana ustawa nie jest jeszcze bynajmniej zniesiona: jej siła moralna ulega osłabieniu, lecz rzeczywiste działanie nie jest wcale zawieszone. Może zostać obalone jedynie stopniowo, w wyniku ponawiających się ataków wymiaru sprawiedliwości.

Co więcej, w sytuacji, w której tylko czyjś indywidualny interes może stać się powodem krytyki ustawy, w której proces wytaczany ustawie wiąże się ściśle z procesem wytoczonym człowiekowi, powstaje pewność, iż prawodawstwo jako takie nie zostanie zakwestionowane. Taki system chroni je przed ciągłymi atakami stronnictw politycznych. Sygnalizując błąd prawo-

dawcy, sędzia daje wyraz rzeczywistej potrzebie zmiany: punktem wyjścia jest rzeczywisty i istotny fakt, który stanowi przedmiot procesu.

Skłonny jestem sądzić, ze praktyka amerykańskich sądów sprzyja zarówno porządkowi publicznemu, jak i sprawie wolności.

Gdyby sędzia mógł atakować prawodawców tylko otwarcie i bezpośrednio, zdarzałyby się sytuacje, w których obawiałby się tego czynić, oraz takie, w których czyniłby to nieustannie, powodowany interesem stronnictwa Politycznego. Skończyłoby się na tym, że prawa krytykowano by bez przerwy przy słabej władzy, a poddawano by się im bez szemrania wtedy, kiedy władza jest silna. Innymi słowy: prawo często podlegałoby krytyce w sytuacji wymagającej respektowania go, budziłoby zaś szacunek wtedy, gdy można bez przeszkód ciemiężyć ludzi w jego imieniu.

Sędzia amerykański wkracza jednak na teren polityki niezależnie od swej woli. Osądza prawo jedynie wtedy, gdy sądzi w procesie — od sądzenia zaś nie może się uchylić. Problem polityczny, przed którym staje, związany jest z interesem stron procesowych i sędzia nie może odmówić rozstrzygnięcia go bez obrazy sprawiedliwości. Spełniając swoje ściśle określone obowiązki sędzia wykonuje zarazem zadanie obywatelskie. Dodajmy, że sądowa krytyka prawodawstwa nie może rozciągać się na wszystkie ustawy bez wyjątku, ponieważ istnieją takie przypadki, które nigdy nie będą podlegały swobodnemu osądzaniu. Może się też zdarzyć, że nie znajdzie się nikt, kto zechciałby wnieść je przed trybunał.

Niedogodność tę Amerykanie wielokrotnie odczuwali, lecz woleli poprzestać na niedoskonałych zabezpieczeniach, z obawy przed groźną skutecznością ostrych środków zaradczych.

Władza orzekania o sprzeczności ustaw z konstytucją, którą przyznano amerykańskim trybunałom, choć zamknięta w narzuconych jej granicach, stanowi mimo to jedną z najskuteczniejszych barier, jakie kiedykolwiek wzniesiono przed tyranią zgromadzeń politycznych.

O innych uprawnieniach przysługujących sędziom amerykańskim

Nie wiem, czy trzeba przypominać, że w społeczeństwie wolnym, takim jak amerykańskie, wszyscy obywatele mają prawo oskarżać urzędników publicznych przed zwykłym sędzią i że wszyscy sędziowie mają prawo ich skazywać.

Przyznanie sądom prawa karania funkcjonariuszy władzy wykonawczej, którzy gwałcą prawo, nie oznacza żadnego przywileju. Odebranie im takich uprawnień byłoby jednoznaczne z pozbawieniem ich naturalnego prawa.

Nie wydaje mi się, żeby w Stanach Zjednoczonych działanie władz rządowych zostało osłabione w wyniku uczynienia wszystkich urzędników odpowiedzialnymi przed sądem.

Przeciwnie, wydaje mi się, że Amerykanie wzmocnili przez to szacunek należny władzy, ponieważ urzędnicy, aby uniknąć krytyki, muszą dokładać większych starań w wykonywaniu swych funkcji.

Nie zauważyłem także, by w Stanach Zjednoczonych było wiele procesów urzędników i z łatwością mogę to zrozumieć. Każdy proces jest przedsięwzięciem trudnym i kosztownym. Osobę publiczną łatwo jest oskarżać na łamach prasy, lecz trzeba mieć poważne motywy, by pozwać ją przed sąd. Aby więc pozwać urzędnika publicznego, trzeba mieć solidne podstawy do skargi, urzędnicy zaś, obawiając się oskarżeń, nie dostarczają po temu sposobności.

Nie wynika to z faktu, że w Ameryce panuje system republikański, ponieważ podobnie jest w Anglii.

Oba narody dopuszczając możliwość oskarżenia najważniejszych funkcjonariuszy władzy przed sądem nie poprzestały na tej gwarancji wolności. Postanowiły zapewnić ją sobie raczej dzięki drobnym procesom, które mogliby zawsze wytaczać najskromniejsi nawet obywatele, niż przez wielkie procesy, które albo są nie do przeprowadzenia, albo są przeprowadzane za późno.

W średniowieczu bardzo trudno było dosięgnąć przestępcę; dlatego sędziowie, raz dostawszy winnego w ręce, wymierzali nieszczęśnikowi straszliwe kary, co wcale nie wpływało na zmniejszenie liczby przestępstw. Od tamtych czasów przekonano się, że wymiar sprawiedliwości staje się bardziej skuteczny wtedy, gdy jest bardziej niezawodny i łagodniejszy zarazem.

Amerykanie i Anglicy uważają, że przemoc i tyranię należy traktować tak samo jak złodziejstwo: ułatwiać ściganie i łagodzić karę.

W VIII roku Republiki Francuskiej wydano konstytucję, której 75 artykuł tak był ujęty: «Funkcjonariusze rządowi, poza ministrami, mogą być ścigani za czyny związane z ich funkcjami tylko na mocy decyzji Rady Stanu, a proces winien odbywać się przed zwykłym sądem.»

Konstytucja roku VIII przeminęła, lecz ten artykuł pozostał do dzisiaj, mimo słusznych skarg obywateli.

Starałem się nieraz wytłumaczyć sens tego artykułu Amerykanom lub Anglikom, lecz zadanie okazało się niezmiernie trudne.

Rozumieli przede wszystkim tyle, że Rada Stanu była we Francji wielkim sądem umieszczonym w centrum monarchii i że panował rodzaj tyranii, polegający na wstępnym odsyłaniu doń wszystkich ludzi, którzy wnosili skargi.

Gdy jednak próbowałem im wytłumaczyć, że Rada Stanu nie była wcale organem sądowniczym w normalnym sensie tego słowa, lecz ciałem administracyjnym, którego członkowie zależni byli od króla, i że wobec tego

król, rozkazawszy jednemu ze swych urzędników, zwanemu prefektem, popełnienie niesprawiedliwości, mógł rozkazać innemu ze swych urzędników, członkowi Rady Stanu, aby uniemożliwił ukaranie pierwszego; gdy przedstawiałem im tę sytuację obywatela, poszkodowanego przez rozkaz władcy, który musiał prosić tego samego władcę o pozwolenie ubiegania się o sprawiedliwość — odmawiali wiary w podobne potworności i oskarżali mnie o kłamstwo oraz nieznajomość sprawy.

W dawnej monarchii zdarzało się często, że parlament uchwalał nałożenie aresztu na urzędnika publicznego winnego przestępstwa. Zdarzało się również, że władza królewska wkraczała w sprawę, unieważniając całe postępowanie. Despotyzm ujawniał się wówczas w pełni, ludzie zaś poddając mu się czynili to wyłącznie z uwagi na jego siłę.

Bardzo więc cofnęliśmy się w stosunku do tego, co udało się osiągnąć naszym przodkom, ponieważ pod pozorem sprawiedliwości oraz w aureoli prawa pozwalamy czynić rzeczy, które dawniej czyniono tylko gwałtem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

O sądownictwie politycznym w Stanach Zjednoczonych

Przez sądownictwo polityczne rozumiem czasowe uprawnienie do wydawania orzeczeń prawnych, w które może zostać wyposażony jakiś organizm polityczny.*

W systemach absolutnych bezużyteczne byłoby przyjmowanie jakichś nadzwyczajnych form postępowania sądowego. Władca, w imieniu którego ściga się oskarżonego, będąc panem sądów, tak jak jest panem wszystkiego, nie potrzebuje innych gwarancji poza samym wrażeniem wywieranym przez jego potęgę na poddanych. Obawiać się może jedynie tego, że nie będą zachowane choćby zewnętrzne formy sprawiedliwości, a jego władza zostanie pozbawiona szacunku w wyniku zbyt drastycznych zabiegów prowadzących do jej umocnienia.

Lecz w wielu wolnych krajach, w których większość nie posiada takiej władzy nad sądami jak władca absolutny, zdarzało się, że władza sądownicza była na pewien czas oddawana w ręce przedstawicieli społeczeństwa. Uważano, że słuszniej będzie zakłócić chwilowo podział władz niż pogwałcić niezbędną zasadę jedności rządu.

Anglia, Francja i Stany Zjednoczone wprowadziły do swych praw instytucję sądu politycznego — interesującą jest rzeczą badanie korzyści, jakie z tego wyciągnęły te trzy wielkie społeczeństwa.

W Anglii Izba Lordów i we Francji Izba Parów stanowią najwyższy sąd karny w kraju. Mogą one — choć nie muszą — sądzić wszystkie przestępstwa polityczne.

Inna władza polityczna wyposażona jest w prawo oskarżania przed Izbą Lordów lub Izbą Parów. Jedyna różnica, jaka istnieje w tej dziedzinie między oboma krajami, to fakt, że w Anglii deputowani mogą oskarżać przed Izbą Lordów kogo zechcą, podczas gdy we Francji przed Izbą Parów mogą oni oskarżać jedynie ministrów króla.

W obu krajach izba wyższa ma zresztą do dyspozycji przeciwko przestępcom całe prawo karne.

W Stanach Zjednoczonych, podobnie jak w Europie, jednej z dwóch izb ustawodawczych przysługuje prawo oskarżania, drugiej prawo sądzenia. Reprezentanci oskarżają winnego, Senat wymierza mu karę.

---

* Termin „sądownictwo polityczne" nie jest stosowany w polskim języku prawniczym, ponieważ w Polsce nigdy nie było odpowiednich instytucji. Wydaje się jednak, że dobrze oddaje on problematykę omawianą w tym rozdziale (przyp. tłum.).

Lecz tylko reprezentanci mogą wnosić oskarżenie do Senatu, a oskarżenie może dotyczyć tylko urzędników publicznych. Kompetencje Senatu są przez to bardziej ograniczone od kompetencji Izby Parów, a reprezentanci mają szersze prawo oskarżania niż francuscy deputowani.

Lecz największa różnica między Ameryką i Europą polega na czym innym: w Europie sądom politycznym wolno stosować wszystkie przepisy kodeksu karnego, w Ameryce zaś, po odebraniu winnemu jego publicznego urzędu i po ogłoszeniu go niegodnym piastowania jakichkolwiek funkcji politycznych w przyszłości, uprawnienia sądu politycznego zostają wyczerpane i rozpoczyna się działanie sądu zwyczajnego.

Załóżmy, że prezydent Stanów Zjednoczonych popełnił zbrodnię zdrady stanu.

Oskarża go Izba Reprezentantów, a senatorowie wyrokują utratę władzy. Prezydent staje następnie przed sądem przysięgłych i tylko ten sąd może mu odebrać wolność lub życie. Rzuca to światło na przedmiot naszych rozważań.

Europejczycy, wprowadzając do swych praw instytucję sądów politycznych, chcieli dosięgnąć wielkich zbrodniarzy niezależnie od ich urodzenia, pozycji i władzy. Aby to uzyskać, nadali czasowo wszystkie uprawnienia sądów potężnemu organizmowi politycznemu.

Ustawodawca zmienił się więc w sędziego; mógł udowodnić popełnienie zbrodni, zakwalifikować ją i ukarać. Prawo nadając mu uprawnienia sędziego narzuciło mu także wszystkie jego zobowiązania, łącznie z przestrzeganiem wszelkich form wymiaru sprawiedliwości.

Jeżeli przed francuskim lub angielskim sądem politycznym staje w charakterze podsądnego urzędnik publiczny i jeżeli sąd ogłasza wyrok skazujący, pozbawia go tym samym jego urzędu i może ogłosić go niegodnym piastowania jakiegokolwiek urzędu w przyszłości, ale w tym wypadku złożenie z urzędu oraz pozbawienie prawa pełnienia funkcji politycznych są konsekwencją orzeczenia, nie zaś jego treścią.

W Europie wyrok sądu politycznego stanowi więc raczej decyzję prawną niż administracyjną.

Przeciwnie w Stanach Zjednoczonych — łatwo się przekonać, iż tam sąd polityczny podejmuje raczej decyzje o charakterze administracyjnym niż sądowym.

Orzeczenie Senatu ma co prawda pod względem formy charakter orzeczenia sądowego. Senatorowie muszą dostosować się do przyjętych Uroczystych zwyczajów proceduralnych. Sądowy charakter takiego orzeczenia wynika także z motywów, na jakich jest oparte. Senat musi najczęściej opierać swą decyzję na stwierdzeniu przestępstwa podlegającego prawu karnemu. Orzeczenia Senatu mają jednak charakter administracyjny ze względu na swoją treść.

Gdyby głównym celem amerykańskiego prawodawstwa było rzeczywiście wyposażenie organizmu politycznego w silną władzę o charakterze sądowniczym, nie ograniczano by tej władzy do urzędników publicznych, gdyż najniebezpieczniejsi wrogowie państwa mogą przecież nie piastować żadnej funkcji. Bywa tak zwłaszcza w republikach, gdzie największą siłę daje poparcie stronnictwa politycznego i gdzie większe wpływy można osiągnąć właśnie wcale nie sprawując żadnej oficjalnej władzy.

Gdyby amerykańscy prawodawcy zamierzali dać samemu społeczeństwu prawo zapobiegania wielkim zbrodniom w sposób, w jaki czyni to sędzia, czyli przez wzbudzanie strachu przed karą — oddaliby do dyspozycji sądów politycznych wszystkie możliwości, jakimi dysponuje kodeks karny. Prawodawcy jednak nie uzbroili trybunałów w tę potężną broń, która pozwalałaby im dosięgnąć najniebezpieczniejszych przestępców politycznych. Przecież ktoś, kto pragnie obalić prawo jako takie, niewiele traci wtedy, gdy zostaje pozbawiony urzędu.

Zasadniczym celem sądownictwa politycznego w Stanach Zjednoczonych jest więc tylko odebranie władzy ludziom, którzy źle jej używają, oraz uniemożliwienie im sprawowania władzy w przyszłości. Jest to, jak widać, jedynie akt administracyjny, któremu nadano wagę orzeczenia sądowego.

Amerykanie wprowadzili więc w tej dziedzinie pewną formę pośrednią. Administracyjnemu aktowi złożenia z urzędu nadali moc sądowego wyroku, pozbawiając zarazem wyrok polityczny jego najsurowszych konsekwencji.

Teraz już wszystko staje się logiczne. Rozumiemy, dlaczego konstytucje amerykańskie podporządkowują wszystkich urzędników publicznych jurysdykcji Senatu, wyłączając z tego wojskowych, których przestępstwa mogą być przecież groźniejsze. W Ameryce żaden urzędnik publiczny nie może być odwołany na podstawie decyzji czysto administracyjnej — urzędnicy są albo powołani raz na zawsze, albo wybrani na określony czas, którego nie można skrócić. Aby odebrać władzę urzędnikowi, trzeba go osądzić. Wojskowi natomiast zależni są od przywódcy państwa, który sam jest urzędnikiem publicznym. Godząc w przywódcę państwa, godzi się zarazem we wszystkich wojskowych.

Jeżeli teraz porównamy skutki działania systemu europejskiego i amerykańskiego, różnice okażą się nie mniej wyraźne.

W Anglii i we Francji sąd polityczny jest pojmowany jako forma nadzwyczajnej obrony społeczeństwa, którą ma ono prawo zastosować jedynie w sytuacji wielkiego zagrożenia.

Wiadomo powszechnie, że sądownictwo polityczne, pojmowane tak jak w Europie, narusza zasadę podziału władz i zagraża stale wolności i życiu ludzi.

Tymczasem sąd polityczny w rozumieniu amerykańskim jedynie pośrednio godzi w zasadę podziału władz, nie zagraża zupełnie egzystencji obywa-

teli i nie wisi ciągle, jak w Europie, nad głowami wszystkich ludzi. Dzieje się tak, ponieważ zagraża on tylko tym, którzy przyjmując funkcje publiczne zdecydowali się tym samym podporządkować jego władzy.

Amerykański system sądów politycznych budzi mniej obaw, ale jest mniej skuteczny.

Toteż prawodawcy Stanów Zjednoczonych nie uważają go za ostateczne lekarstwo na wszelkie zło społeczne, ale za jeden ze zwyczajnych środków rządzenia.

Amerykańskie sądownictwo polityczne, rozpatrywane z tego punktu widzenia, wywiera może większy rzeczywisty wpływ na życie społeczne, niż to ma miejsce w Europie. Nie należy bowiem dać się zwieść pozornej łagodności amerykańskiego prawodawstwa w dziedzinie sądownictwa politycznego. Przede wszystkim należy pamiętać, że w Stanach Zjednoczonych trybunał wydający wyroki polityczne składa się z tych samych ludzi i jest poddany tym samym wpływom co organizm formułujący oskarżenie, a to stanowi nieodpartą pokusę dla mściwych zapędów stronnictw politycznych. Sędziowie polityczni w Stanach Zjednoczonych nie mogą wprawdzie nakładać tak surowych kar jak sędziowie europejscy, ale mniejsze są szanse na to, że uniewinnią przestępcę. Wyroki są łagodniejsze, ale pewniejsze.

Ustanawiając sądy polityczne Europejczycy mieli przede wszystkim na względzie ukaranie winnych, Amerykanie zaś odebranie im władzy. Wyrok sądu politycznego w Stanach Zjednoczonych to środek poniekąd prewencyjny i wobec tego sędziowie polityczni nie są ograniczeni ścisłymi kategoriami prawa karnego.

Trudno o coś bardziej niepokojącego niż niejasność amerykańskiego prawa definiującego przestępstwa polityczne: «Prezydent, wiceprezydent i każdy funkcjonariusz cywilny Stanów Zjednoczonych zostaje usunięty z urzędu w razie postawienia przez Izbę Reprezentantów w stan oskarżenia i skazania za zdradę, przekupstwo lub inne ciężkie przestępstwa lub przewinienia» — mówi konstytucja Stanów Zjednoczonych (art. II, sekc. 4).[*] Konstytucje stanowe są jeszcze bardziej w tym punkcie niejasne.

«Urzędnicy publiczni — głosi konstytucja Massachusetts — będą ukarani za przestępcze postępowanie i złą administrację.» «Wszyscy urzędnicy, którzy narażą stan na niebezpieczeństwo swym złym administrowaniem, przekupstwem i innymi przestępstwami — powiada konstytucja Wirginii — Mogą być oskarżeni przez Izbę Posłów.» Niektóre konstytucje nie wyszczególniają żadnej zbrodni, składając w ten sposób na barki urzędników publicznych nieograniczoną odpowiedzialność.

Lecz to, co sprawia, że prawo amerykańskie jest jednak w tej dziedzinie groźne, wynika, powiedziałbym, z samej jego łagodności.

---

[*] Przekład St. GEBERTA, według zbioru *Konstytucje Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Belgii, Szwajcarii* pod red. A. BURDY, Ossolineum 1970 (przyp. red.).

Wiemy, że złożenie z urzędu oraz pozbawienie prawa wykonywania funkcji politycznych jest w stosunku do urzędnika europejskiego jedną z konsekwencji kary, w stosunku zaś do amerykańskiego — jej treścią. Wynika stąd, że europejskie trybunały polityczne posiadają straszliwą moc, którą czasem nie potrafią się posługiwać; zdarza im się nie wymierzać kary z obawy przed zbyt surowym ukaraniem winnego. Tymczasem w Ameryce nikt nie cofnie się przed wymierzeniem kary, która nie obraża człowieczeństwa: skazać wroga politycznego na śmierć tylko po to, by odebrać mu władzę, to w oczach wszystkich potworne morderstwo; ogłosić przeciwnika niegodnym piastowania władzy i odebrać mu ją, zostawiając mu wolność i życie, to godny sposób zwyciężania w walce.

Wyrok ten, który tak łatwo wydać, jest jednak prawdziwym nieszczęściem dla większości spośród tych, którzy mu podlegają. Wielki przestępca na pewno nic sobie nie będzie robił z jego surowości, ale dla normalnego człowieka będzie to cios, który niszczy jego pozycję, odbiera mu honor i skazuje na haniebną bezczynność gorszą niż śmierć.

Sądownictwo polityczne Stanów Zjednoczonych wywiera więc na życie społeczne wpływ tym większy, im mniej groźne się ono wydaje. Nie oddziałuje bezpośrednio na rządzonych, ale sprawia, że większość jest absolutnym panem rządzących. Sądownictwo to nie daje władzy ustawodawczej ogromnej potęgi możliwej do użycia jedynie w chwili kryzysu, ale przyznaje jej umiarkowaną i stałą władzę, której można używać na co dzień. Gdy siła jest mniejsza, łatwiej ją stosować, ale i łatwiej jej nadużyć.

Wydaje mi się, że nie dając sądom politycznym prawa wymierzania takich kar, jakie wymierzają sądy powszechne, Amerykanie zapobiegli raczej najgorszym konsekwencjom tyranii ustawodawczej niż tyranii jako takiej. Zważywszy wszystko sądzę jednak, że amerykańskie sądownictwo polityczne jest najwspanialszą bronią, jaką oddano kiedykolwiek do dyspozycji większości.

Myślę, że łatwo będzie rozpoznać moment, w którym republiki amerykańskie zaczną się degenerować: wystarczy sprawdzić, czy nie wzrasta liczba wyroków politycznych.

ROZDZIAŁ ÓSMY

O konstytucji federalnej

Rozważałem dotąd każdy stan jako osobną całość i ukazywałem rozmaite sprężyny, które działają tam pod naciskiem społeczeństwa, oraz sposoby działania, jakimi się ono posługuje. Wszystkie owe stany, rozważane dotąd jako niezależne, muszą jednak w pewnych przypadkach podporządkować się władzy zwierzchniej, czyli władzy Unii. Nadszedł czas, by rozważyć tę część suwerenności, która przysługuje Unii, oraz przyjrzeć się pokrótce konstytucji federalnej.

. . . . . .

Ogólny wizerunek konstytucji federalnej

Pierwsza trudność, na jaką natrafili Amerykanie, polegała na tym, że suwerenność należało tak podzielić, aby różne stany, tworzące razem Unię, same rządziły dalej wszystkim, co dotyczy ich wewnętrznego funkcjonowania, ale aby cały naród, reprezentowany przez Unię, pozostał przy tym jednym organizmem i był w stanie zaspokajać swe ogólne potrzeby. Był to skomplikowany i trudny problem.

Ustalenie z góry ostatecznego i precyzyjnego sposobu podziału władzy między dwa rządy było niemożliwe. Któż bowiem potrafi przewidzieć wszystkie szczegóły społecznej egzystencji?

Obowiązki i prawa rządu federalnego były proste i dosyć łatwe do określenia, ponieważ Unia została utworzona w celu zaspokojenia pewnych ogólnie odczuwalnych potrzeb. Natomiast obowiązki i prawa rządów stanowych pozostały wielorakie i skomplikowane, ponieważ one właśnie zajmowały się wszystkimi szczegółami życia społecznego.

Określono więc pieczołowicie uprawnienia rządu federalnego oraz postanowiono, że wszystko, czego te uprawnienia nie obejmują, należy do kompetencji rządów stanowych. Tak więc zasady funkcjonowania rządów stanowych określały normę, a rząd federalny stanowił wyjątek.

Ponieważ jednak przewidywano, że praktyka może stworzyć problemy wymagające ściślejszego określenia granic kompetencji rządu federalnego i że nie byłoby bezpiecznie pozostawić te problemy do rozstrzygnięcia zwykłym sądom powołanym w poszczególnych stanach przez same te stany, powołano Najwyższy Sąd Federalny, do którego zadań należało strzeżenie

ustalonego przez konstytucję podziału władzy między dwa rywalizujące rządy.

Uprawnienia rządu federalnego

Naród potrzebuje jednego rządu przede wszystkim po to, by korzystniej ułożyć sobie stosunki z obcymi.

Unii przyznano więc wyłączne prawo zawierania pokoju i wypowiadania wojny, zawierania umów handlowych, tworzenia i utrzymywania armii i marynarki.

Konieczność istnienia rządu ogólnonarodowego nie jest tak wyraźna w dziedzinie kierowania wewnętrznymi sprawami społeczeństwa.

Istnieją jednak pewne ogólne interesy, o które tylko ogólnonarodowa władza może skutecznie dbać.

Staraniom Unii powierzono sprawy monetarne, pocztę oraz drogi, które miały połączyć różne części kraju.

Ogólnie rzecz biorąc, rządy poszczególnych stanów zostały uznane za niezależne na swoim terenie. Mogły jednak nadużyć tej niezależności i przez nieostrożne posunięcia sprowadzić niebezpieczeństwo na całą Unię. Z myślą o tych rzadkich i z góry określonych wypadkach pozwolono rządowi federalnemu na interwencję w wewnętrzne sprawy stanów. Przyznając każdej ze skonfederowanych republik prawo modyfikowania i zmieniania własnych praw, zabroniono im jednak uchwalania praw obowiązujących wstecz oraz powoływania ciała politycznego o charakterze arystokratycznym.

Wreszcie, aby rząd federalny mógł wypełniać nałożone nań zobowiązania, dano mu nieograniczone prawo ściągania podatków.

Przyglądając się podziałowi władz ustanowionemu przez konstytucję federalną i porównując część suwerenności, którą zastrzegały sobie poszczególne stany, z częścią władzy, która przypadła Unii, przekonujemy się szybko, że prawodawcy federalni posiadali jasne i słuszne wyobrażenie o tym, co nazwałem poprzednio centralizacją rządową.

Stany Zjednoczone są nie tylko republiką, ale i konfederacją. A jednak władza narodowa była tam bardziej scentralizowana niż w wielu europejskich monarchiach absolutnych. Przytoczę tylko dwa przykłady.

We Francji było trzynaście niezależnych sądów, których interpretacje prawa nie podlegały apelacji. Było także kilka prowincji nazywanych pays d'Etats, które mogły odmówić posłuszeństwa władzy suwerennej reprezentującej naród, gdy ta zarządziła ściągnięcie jakiegoś podatku.

Unia ma tylko jeden sąd uprawniony do interpretowania prawa oraz jedno ciało prawodawcze, które je wydaje. Podatek przegłosowany przez reprezentantów narodu obowiązuje wszystkich obywateli. W tych dwóch istotnych

dziedzinach jest więc Unia bardziej scentralizowana niż monarchia francuska, choć jest jedynie zespołem skonfederowanych republik.

W Hiszpanii pewne prowincje posiadały władzę uchwalania własnych ceł, czyli władzę, która z samej swej istoty należy do suwerenności ogólnonarodowej.

W Ameryce jedynie kongres ma prawo ustalania stosunków handlowych między poszczególnymi stanami. Rząd konfederacji jest pod tym względem silniej scentralizowany od rządu królestwa Hiszpanii.

Prawdą jest, iż władza królestwa we Francji i w Hiszpanii mogła zawsze wymagać — w razie potrzeby używając siły — tego, na co konstytucja królestwa jej nie pozwalała, oraz że osiągała koniec końców to samo. Lecz mówimy teraz o założeniach teoretycznych.

Władze federalne

Ograniczywszy ściśle kompetencje rządu federalnego należało jeszcze ustalić, w jaki sposób będzie funkcjonował.

Władze ustawodawcze

Organizując władze Unii Amerykanie naśladowali w wielu sprawach zasady przyjęte uprzednio w poszczególnych konstytucjach stanowych.

Powołano federalne ciało ustawodawcze, składające się z Senatu i Izby Reprezentantów.

W uformowaniu każdego z tych zgromadzeń zastosowano inne reguły, a było to wynikiem swoistego kompromisu.

W chwili formułowania konstytucji federalnej ujawniły się dwa sprzeczne interesy. Te dwa interesy stały się źródłem dwóch koncepcji. Jedni chcieli widzieć w Unii ligę niezależnych stanów, coś w rodzaju kongresu, w którym przedstawiciele różnych społeczeństw omawialiby pewne wspólne sprawy.

Inni chcieli zjednoczyć wszystkich mieszkańców dawnych kolonii w jeden naród i dać im rząd posiadający co prawda ograniczone pole działania, lecz będący jedynym i wyłącznym reprezentantem narodu. Praktyczne konsekwencje tych dwóch koncepcji mogły być bardzo różne.

Gdyby więc zorganizowano ligę, a nie rząd narodowy, prawo tworzyłaby większość wynikła z głosowania stanami, a nie większość mieszkańców Unii. Każdy bowiem stan, duży czy mały, zachowywał wówczas charakter niezależnej siły i wchodził do Unii na prawach idealnej równości.

Gdyby zaś uznano mieszkańców Stanów Zjednoczonych za jeden i ten sam naród, prawa tworzyłaby jedynie większość obywateli Unii.

Oczywiście małe stany, godząc się na tę propozycję, musiałyby się zrzec całkowicie swego udziału w suwerenności federalnej, ponieważ straciwszy władzę współdecydowania, którą zapewniała im druga możliwość, stałyby

się nic nie znaczącą cząstką wielkiego narodu. Pierwszy system przyznawał im zbyt dużą władzę, drugi je unicestwiał.

Wtedy stało się to, co dzieje się zawsze, gdy interesy stoją w sprzeczności z rozsądkiem: logika przegrała. Prawodawcy zastosowali wyjście pośrednie, które na siłę pogodziło oba systemy, teoretycznie — wydawałoby się — nie do pogodzenia.

Zasada niezależności stanów zatryumfowała w Senacie, dogmat suwerenności ogólnonarodowej — w Izbie Reprezentantów.

Każdy stan musiał wysłać do Kongresu dwóch senatorów oraz pewną liczbę reprezentantów, proporcjonalną do liczby mieszkańców.

W wyniku tego stan Nowy Jork ma obecnie w Kongresie czterdziestu reprezentantów i tylko dwóch senatorów, stan Delaware zaś dwóch senatorów i tylko jednego reprezentanta. W Senacie więc stan Delaware jest równy stanowi Nowy Jork, podczas gdy w Izbie Reprezentantów stan Nowy Jork posiada czterdzieści razy większe wpływy. Może się zatem zdarzyć, że mniejszość zdominuje Senat i sparaliżuje całkowicie wolę większości, reprezentowanej przez drugą izbę, to zaś jest sprzeczne z duchem rządów konstytucyjnych.

To wszystko dowodzi, jak trudno jest w sposób logiczny i racjonalny powiązać ze sobą wszystkie organy władzy ustawodawczej.

Upływ czasu ujawnia zawsze w społeczeństwie istnienie różnych interesów i sankcjonuje rozmaite uprawnienia. Jeżeli przychodzi potem do sformułowania ogólnie obowiązującej konstytucji, to uprawnienia i interesy stają się naturalnymi przeszkodami w konsekwentnym stosowaniu zasad politycznych. Tylko w chwili narodzin społeczeństwa można zbudować system prawny całkowicie zgodny z logiką. Opinia głosząca mądrość narodu, który cieszy się takim właśnie systemem prawnym, jest pochopna, należy raczej przypuszczać, że jest on młody.

W czasach kiedy powstała konstytucja federalna, pewna sprawa rozdzielała społeczeństwo amerykańskie: jedni chcieli zachować odrębność poszczególnych stanów, inni zaś pragnęli zjednoczyć cały naród amerykański. Tylko kompromis mógł dostarczyć rozwiązania.

Trzeba jednak przyznać, że ta formuła konstytucji nie stała się do dziś powodem zła, którego można się było obawiać.

Wszystkie stany są młode i podobne do siebie — mają niemal takie same obyczaje, idee i potrzeby. Różnice wynikające z większych lub mniejszych rozmiarów ich terytoriów są zbyt mało znaczące, by stać się źródłem naprawdę sprzecznych interesów. Nie zdarzało się więc dotąd, by małe stany przeciwstawiły się w Senacie zamiarom wielkich. Zresztą możliwość instytucjonalnego przejawiania się woli całego społeczeństwa stanowi tak wielką siłę, że Senat okazuje się słaby wobec większości wypowiadającej się za pośrednictwem Izby Reprezentantów.

Co więcej, nie należy zapominać, że nie od prawodawców zależało w Ameryce to, czy uda się połączyć w jeden naród społeczeństwo, któremu nadawali prawa. Celem konstytucji federalnej nie było zniszczenie niezależności stanów, lecz ograniczenie jej zakresu. Pozostawiając więc na zawsze rzeczywistą władzę niższym instytucjom stanowym z góry zrezygnowano ze stosowania wobec nich przymusu w celu podporządkowania ich woli większości. W tej sytuacji wprowadzenie odrębnych sił stanowych do machiny rządu federalnego było całkowicie naturalne. Potwierdzono w ten sposób istnienie rzeczywistej siły, którą należało kierować, miast ją zniewalać.

Inne różnice między Senatem a Izbą Reprezentantów

Senat różni się od Izby Reprezentantów nie tylko dlatego, że istnieje w oparciu o inną zasadę przedstawicielstwa. Senatorzy są inaczej wybierani niż reprezentanci, ich mandat trwa dłużej i inne są ich uprawnienia.

Izbę Reprezentantów powołują obywatele, Senat — ciała prawodawcze poszczególnych stanów.

Izba Reprezentantów powstaje w wyniku wyborów bezpośrednich, Senat zaś — w wyniku wyborów dwustopniowych.

Mandat reprezentanta trwa dwa lata; mandat senatora — sześć lat.

Izba Reprezentantów pełni wyłącznie funkcje ustawodawcze, a jedyna forma jej udziału we władzy sądowniczej polega na oskarżaniu urzędników publicznych.

Senat współtworzy prawa, sądzi przestępstwa polityczne przedstawione mu przez Izbę Reprezentantów i stanowi ponadto wielką radę wykonawczą narodu. Traktaty międzynarodowe zawierane przez prezydenta muszą być ratyfikowane przez Senat, a decyzje personalne prezydenta zyskują ostateczną ważność na mocy zgody Senatu.

O władzy wykonawczej

Prawodawcy amerykańscy stanęli wobec trudnego zadania chcąc stworzyć władzę wykonawczą zależną od większości, ale zarazem dostatecznie silną, by mogła swobodnie działać w granicach swych uprawnień.

Zachowanie ustroju republikańskiego wymagało, by przedstawiciel władzy wykonawczej był podporządkowany woli narodu.

Prezydent jest urzędnikiem wybieralnym. Jego honor, majątek, wolność i życie są zastawem, który dla narodu stanowi gwarancję dobrego użycia władzy. W trakcie wykonywania swej władzy prezydent nie jest zresztą całkowicie niezależny: Senat czuwa nad jego posunięciami w zakresie polityki zagranicznej oraz nad jego decyzjami personalnymi, nie dopuszczając do tego, by prezydent mógł być przekupiony lub by sam przekupywał.

Prawodawcy Unii uznali, że władza wykonawcza nie może w sposób godny i użyteczny spełniać swoich obowiązków, jeżeli nie będzie silniejsza i bardziej stabilna od władzy wykonawczej poszczególnych stanów.

Prezydent jest wybierany na cztery lata i może być wybrany ponownie. Ta szansa na przyszłość ma dodawać mu otuchy w pracy nad dobrem publicznym oraz dostarczać dodatkowych środków działania.

Prezydent został uznany za jedynego i wyłącznego przedstawiciela władzy wykonawczej Unii. Wstrzymano się nawet przed tym, by podporządkować jego decyzje woli gabinetu — to niebezpieczne posunięcie, osłabiając działanie rządu, zmniejsza odpowiedzialność rządzących. Senat ma prawo Anulowania niektórych decyzji prezydenta, lecz nie może go zmusić do działania ani dzielić z nim władzy wykonawczej.

Oddziaływanie ciała ustawodawczego na władzę wykonawczą może być bezpośrednie. Jak widzimy, Amerykanie postarali się do tego nie dopuścić. Oddziaływanie to może być także pośrednie.

Pozbawiając urzędnika publicznego pensji, ciało ustawodawcze odbiera mu tym samym część niezależności. Ponieważ izby mogą swobodnie wydawać ustawy, istnieją powody do obaw, że stopniowo odbiorą urzędnikowi publicznemu tę część władzy, którą przyznała mu konstytucja.

Tego rodzaju zależność władzy wykonawczej jest jedną z wad ustroju republikańskiego. Amerykanie nie mogą zniweczyć właściwej zgromadzeniom ustawodawczym tendencji do owładnięcia rządem, zdołali jednak nałożyć jej hamulce.

Wysokość pensji prezydenta zostaje ustalona na cały okres jego kadencji w chwili objęcia przezeń urzędu. Ponadto prezydent posiada prawo weta zawieszającego, które pozwala mu na wstrzymywanie praw godzących w przyznaną mu przez konstytucję część suwerenności.

Walka prezydenta z ciałem ustawodawczym nie jest jednak równa — jeśli legislatura konsekwentnie do czegoś dąży, to zawsze jest władna przezwyciężyć stawiany jej opór. Weto zawieszające zmusza ją jednak do cofnięcia się, do rozważenia problemu na nowo. W takim wypadku ciało ustawodawcze może podjąć uchwałę dopiero większością dwóch trzecich głosów. Weto stanowi również akt odwołania się do ludu. Władza wykonawcza, którą bez weta można byłoby gnębić po cichu, broni w ten sposób swej sprawy, osiągając przynajmniej to, że jej racje zostają wysłuchane. Czyż jednak uporczywie trzymając się swoich zamierzeń ciało ustawodawcze nie może przezwyciężyć i tego oporu? Odpowiem na to, iż w konstytucjach wszystkich narodów — bez względu na ich zawartość — znajduje się zawsze punkt, który zmusza ustawodawcę do odwołania się do zdrowego rozsądku oraz cnoty obywateli. Punkt ten jest bardziej widoczny w konstytucjach republikańskich, a pieczołowicie ukryty w konstytucjach monarchicznych — zawsze jednak gdzieś można go odnaleźć. Nie ma kraju, w którym prawo byłoby

w stanie przewidzieć wszystkie sytuacje, a instytucje polityczne zastąpić bez reszty rozum i obyczaje.

W czym pozycja prezydenta Stanów Zjednoczonych różni się od pozycji króla konstytucyjnego we Francji

Władza wykonawcza ma tak wielkie znaczenie dla losów narodów, że chciałbym się jeszcze nieco przy tej sprawie zatrzymać, aby lepiej zrozumieć, jakie miejsce zajmuje ona u Amerykanów.

Aby powziąć jasne i precyzyjne wyobrażenie o pozycji prezydenta Stanów Zjednoczonych, warto ją porównać z pozycją króla w jednej z europejskich monarchii konstytucyjnych.

Nie chcę się tutaj zajmować zewnętrznymi oznakami władzy, ponieważ uważam je raczej za mylące.

Gdy monarchia stopniowo przekształca się w republikę, władza wykonawcza długo jeszcze po utracie rzeczywistej władzy zachowuje tytuły, honory, nawet bogactwa, oraz cieszy się poszanowaniem. Anglicy, uciąwszy głowę jednemu ze swych królów i wygnawszy drugiego z tronu, padali jeszcze potem na kolana, kiedy mówili o potomkach tych władców.

Z drugiej strony, kiedy republika dostaje się pod jarzmo jedynowładcy, władza pozostaje prosta i skromna, tak jakby wcale nie panowała nad wszystkim. Cesarze rzymscy już od dawna despotycznie szafowali majątkiem i życiem swoich współobywateli, a jeszcze zwracając się do nich nazywano ich cezarami, a oni bywali u przyjaciół i zasiadali z nimi do stołu w nader familiarnej atmosferze.

Nie należy więc kierować się zbytnio zewnętrznymi oznakami władzy. W Stanach Zjednoczonych suwerenność podzielona jest między Unię i poszczególne stany, podczas gdy u nas jest jednolita i zwarta. Wynika stąd podstawowa różnica, jaka istnieje między prezydentem Stanów Zjednoczonych i królem Francji.

W Stanach Zjednoczonych władza wykonawcza ma ograniczony zasięg i wyjątkowy charakter, podobnie jak suwerenność, w imię której działa. We Francji zaś jest wszechmocna, podobnie jak wszechmocna jest suwerenność.

Amerykanie mają rząd federalny, my mamy rząd narodowy.

Oto pierwszy, lecz nie jedyny powód niższości, która wynika z samego porządku rzeczy. Drugi powód jest następujący: suwerenność polega na tym, że posiada się moc tworzenia praw.

Ponieważ prawa nie mogą obowiązywać, zanim nie uzyskają sankcji królewskiej, król rzeczywiście posiada część suwerennej władzy; król jest także wykonawcą prawa.

Prezydent również jest wykonawcą praw, lecz nie bierze udziału w ich tworzeniu, ponieważ nawet odmawiając im swego poparcia nie może prze-

szkodzić, by obowiązywały. Nie posiada więc żadnej części suwerennej władzy, jest tylko i wyłącznie urzędnikiem.

Królowi Francji przysługuje nie tylko jedna część władzy suwerennej; uczestniczy on również w tworzeniu praw, czyli w pozostałej części tej władzy. Jego udział w tworzeniu praw polega na mianowaniu członków jednej izby i rozwiązywaniu — jeżeli taka jego wola — drugiej. Prezydent Stanów Zjednoczonych nie bierze udziału w mianowaniu członków ciała ustawodawczego i nie może go również rozwiązać.

Król dzieli z izbami prawo zgłaszania nowych uchwał. Prezydentowi nie przysługują takie uprawnienia.

Króla reprezentują w izbach ministrowie, którzy przedstawiają jego opinie, bronią jego koncepcji i dążą do utrzymania zasad ustrojowych. Prezydent oraz jego ministrowie nie mają prawa wstępu do Kongresu. Jego wpływy i poglądy mogą tu przeniknąć tylko pośrednimi drogami.

Król Francji posiada więc równorzędną pozycję w stosunku do ciała ustawodawczego, które nie może działać bez niego, podobnie jak i on nie może działać bez legislatury.

Prezydent ma swe miejsce obok ciała ustawodawczego, jako władza niższa i zależna.

Wydaje się, że domeną, w której władza prezydenta jest najbardziej zbliżona do królewskiej, jest sprawowanie władzy wykonawczej jako takiej, choć i tutaj uprawnienia prezydenta są mniejsze.

Król francuski ma przede wszystkim tę wyższość nad prezydentem, że władzę sprawuje dłużej. Trwałość zaś jest jednym z naczelnych czynników siły. Ludzie przywiązują się do tego, co ma długo istnieć, i tylko tego się lękają.

Prezydent Stanów Zjednoczonych jest urzędnikiem wybieranym na cztery lata. We Francji król jest władcą dziedzicznym.

W sprawowaniu władzy wykonawczej prezydent stale podlega zazdrosnej czujności innych władz. Przygotowuje traktaty, lecz ich nie zawiera, wyznacza obsady stanowisk, lecz nie mianuje. Król francuski w dziedzinie władzy wykonawczej jest jedynym panem.

Prezydent odpowiada za swoje czyny. Prawo francuskie zaś głosi, że osoba króla jest nietykalna.

A jednak ponad jednym i drugim istnieje zwierzchnia władza — władza opinii publicznej. We Francji władza ta jest mniej oczywista niż w Stanach Zjednoczonych, jest także mniej uznawana i słabiej przejawia się w prawach, ale niewątpliwie istnieje. W Ameryce władza opinii publicznej oddziałuje przez powszechne wybory oraz przez orzeczenia sądów politycznych, we Francji zaś przez rewolucje. Francja i Stany Zjednoczone mają więc, mimo różnic konstytucyjnych, tę wspólną cechę, że najwyższą władzę sprawuje w nich właściwie opinia publiczna. Zasada sprawcza praw jest

więc, prawdę rzekłszy, ta sama w obu krajach, choć bardziej lub mniej swobodnie może się rozwijać, a jej konsekwencje są niejednokrotnie odmienne. W istocie jest to zasada republikańska. Myślę więc, że Francja ze swym królem bardziej przypomina republikę niż Stany Zjednoczone ze swym prezydentem — monarchię.

Starałem się ukazać tylko zasadnicze różnice. Kontrast byłby jeszcze silniejszy, gdybym mógł zagłębić się w szczegóły.

Podkreślałem fakt, iż władza prezydenta Stanów Zjednoczonych jest sprawowana w ramach przyznanej mu części suwerenności, podczas gdy władza króla Francji jest całkowita.

Mógłbym także wykazać, że władza rządowa króla przekracza swoje naturalne — nawet tak rozległe — granice i wnika w prywatne sprawy obywateli.

Wpływy króla są jeszcze większe z uwagi na liczbę urzędników publicznych, którzy w olbrzymiej większości zawdzięczają mandaty władzy wykonawczej. Ich liczba przekroczyła u nas wszelkie znane granice i wynosi sto trzydzieści osiem tysięcy. Każda z tych stu trzydziestu ośmiu tysięcy nominacji zwiększa siłę władzy wykonawczej. Prezydent natomiast nie posiada wyłącznego prawa obsadzania urzędów publicznych, a ich liczba nie przekracza dwunastu tysięcy.

Okoliczności, które mogą powiększyć wpływy władzy wykonawczej

Fakt, że władza wykonawcza w Ameryce jest słabsza niż we Francji, wynika w większym stopniu z okoliczności niż z prawa. Władza wykonawcza narodu ma sposobność wykazać się zręcznością i mocą przede wszystkim w polityce zagranicznej.

Władza wykonawcza Unii urosłaby w oczach opinii publicznej, gdyby istnienie Unii było zagrożone i gdyby jej interesy ścierały się stale z interesami innych potężnych narodów. Oczekiwano by po niej więcej i miałaby poważniejsze zadania do spełnienia.

Prezydent Stanów Zjednoczonych jest co prawda głównodowodzącym armii, ale armia ta liczy sześć tysięcy żołnierzy. Jest dowódcą floty, ale flota składa się z kilku okrętów. Prezydent zajmuje się polityką zagraniczną Unii, ale Stany Zjednoczone nie mają sąsiadów. Oddzielona oceanem od reszty świata, zbyt słaba jeszcze na to, by pretendować do dominacji na morzu, Unia nie posiada wrogów i jej interesy rzadko stykają się z interesami innych narodów świata.

Dowodzi to, że o praktycznym znaczeniu rządu nie należy wnosić z teoretycznych przesłanek jego władzy.

Prezydent Stanów Zjednoczonych posiada niemal królewskie prerogatywy, ale siłą rzeczy korzysta jedynie z niewielu spośród swoich uprawnień. Prawa dają mu siłę, a okoliczności czynią go słabym.

Natomiast właśnie raczej okoliczności niż prawa stanowią o potędze władzy królewskiej we Francji.

Władza wykonawcza we Francji walczy nieustannie z wielkimi przeszkodami i dysponuje w tym celu wielkimi zasobami. Znaczenie jej wzrasta — bez potrzeby zmieniania konstytucji — wraz z wagą spraw, którymi się zajmuje, i wydarzeń, którymi kieruje.

Gdyby prawa powołały we Francji do życia władzę wykonawczą równie słabą i ograniczoną jak w Stanach Zjednoczonych, jej wpływy i tak szybko przerosłyby wpływy władzy wykonawczej w Unii.

Dlaczego prezydent Stanów Zjednoczonych, aby kierować państwem, nie musi mieć po swojej stronie większości w izbach

W Europie jest przyjęte jako pewnik, że monarcha konstytucyjny nie może rządzić, kiedy opinia izb ustawodawczych jest sprzeczna z jego własną.

Wielokrotnie się zdarzało, że prezydent Stanów Zjednoczonych tracił poparcie większości w ciele ustawodawczym, co wcale nie zmuszało go do porzucenia władzy ani nie spowodowało złych skutków dla życia społeczeństwa.

Słyszałem, jak posługiwano się tym argumentem w celu udowodnienia niezależności i siły władzy wykonawczej w Ameryce. Wystarczy chwilę pomyśleć, by się przekonać, że jest przeciwnie i że fakt ten dowodzi właśnie jej słabości.

Aby wykonać swe konstytucyjne zadania, monarcha potrzebuje w Europie poparcia ciała ustawodawczego. Zadania te są bowiem ogromne. Monarcha konstytucyjny nie jest jedynie wykonawcą prawa — skoro jemu i tylko jemu powierzono dbałość o wykonywanie prawa, może on pozbawić je siły, gdyby było mu przeciwne. Aby tworzyć prawa, król potrzebuje współdziałania izb, izby zaś potrzebują współdziałania króla, by je wykonać. Są to dwie siły, które nie mogą bez siebie funkcjonować, a mechanizm rządzenia zatrzymuje się z chwilą, gdy zapanuje między nimi niezgoda.

W Ameryce prezydent nie może przeszkodzić tworzeniu praw i nie może się uchylić od obowiązku ich wykonywania. Jego gorliwy i szczery udział w tworzeniu praw jest bez wątpienia pożyteczny, lecz bynajmniej nie niezbędny dla funkcjonowania rządu. We wszystkich istotnych posunięciach prezydent jest pośrednio lub bezpośrednio uzależniony od ciała ustawodawczego. Tam, gdzie pozostaje całkowicie odeń niezależny, nie może prawie nic. A

więc to jego słabość — nie siła — pozwala mu na trwanie w opozycji wobec Kongresu.

W Europie zgoda pomiędzy królem a ciałem ustawodawczym jest niezbędna, ponieważ w przeciwnym razie może dojść między nimi do groźnej walki. W Ameryce zgoda nie jest konieczna, ponieważ walka jest niemożliwa.

O wyborach prezydenckich

Zasada wybieralności zwierzchnika władzy wykonawczej stosowana w wielkim kraju może prowadzić do niebezpieczeństw, których dowiodła wieloletnia praktyka i o których mówili historycy.

Zajmę się sprawą wyłącznie na przykładzie amerykańskim.

Niebezpieczeństwa systemu wyborczego są mniejsze lub większe zależnie od miejsca władzy wykonawczej i jej znaczenia w państwie, zależnie od sposobu przeprowadzania wyborów i od okoliczności, jakie wyborom towarzyszą.

Najpoważniejszym argumentem przeciwko elekcji głowy państwa jest ten, że tak bardzo roznieca ona indywidualne ambicje i roznamiętnia ludzi w pogoni za władzą, że skłania ich do posługiwania się siłą, kiedy legalnych środków już nie staje.

Jasne jest, że im więcej prerogatyw posiada władza wykonawcza, tym bardziej jest ponętna, tym silniej pobudza ambicje pretendentów do władzy i tym większe znajduje oparcie w ambicji mnóstwa ludzi, mających nadzieję uczestniczyć w rządzeniu po zwycięstwie własnego kandydata.

Niebezpieczeństwa systemu wyborczego wzrastają więc wprost proporcjonalnie do wpływu, jaki władza wykonawcza wywiera na sprawy państwa.

Rewolucji w Polsce nie można przypisywać wyłącznie zasadzie elekcji, ale faktowi, że wybrany urzędnik stawał się władcą wielkiej monarchii.

Zanim zastanowimy się nad bezwzględnie pozytywnymi stronami systemu wyborczego, musimy przede wszystkim odpowiedzieć na zasadnicze pytanie, czy mianowicie położenie geograficzne, prawa, obyczaje, poglądy i zwyczaje społeczeństwa, w którym mają być wprowadzone wybory głowy państwa, pozwalają na to, by powołać w nim władzę wykonawczą słabą i zależną; intencja posiadania silnej władzy wykonawczej jest bowiem moim zdaniem logicznie sprzeczna z intencją uczynienia jej wybieralną. Znam tylko jeden sposób przekształcenia władzy dziedzicznej w elekcyjną: należy z góry zawęzić jej pole działania, stopniowo zmniejszyć jej prerogatywy i powoli przyzwyczaić społeczeństwo do obywania się bez niej. Lecz europejscy republikanie ani o tym myślą. Wielu z nich nienawidzi tyranii tylko dlatego, że są narażeni na jej surowość, a szeroki zakres władzy wykonawczej wcale im nie przeszkadza. Atakują więc tylko źródło władzy, nie bacząc, jak bardzo te dwie rzeczy łączą się ze sobą.

Nie było jeszcze człowieka, który zgodziłby się narazić swój honor i życie po to, by zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Prezydent posiada bowiem tylko przejściową, ograniczoną i zależną władzę. Aby znaleźli się gracze zdecydowani na wszystko, gra musi toczyć się o wielką stawkę. Dotychczas żaden kandydat na prezydenta nie zdołał wzniecić dla swej sprawy gorących sympatii i niebezpiecznych namiętności ludu. Powody tego są proste: stanąwszy na czele rządu, nie jest on w stanie rozdzielić między swych popleczników ani wielkiej władzy, ani wielkich bogactw, ani wielkiej chwały, a jego znaczenie w państwie jest zbyt małe na to, by frakcje polityczne upatrywały swój sukces lub klęskę w wyniesieniu go na stanowisko prezydenta.

Wyższość monarchii dziedzicznych polega na tym, że interesy poszczególnych rodów są w nich zawsze wielostronnie związane z interesem państwa i nie zdarza się nigdy, by dobro państwa zostało pozostawione swemu losowi. Nie wiem, czy monarchia lepiej sprawuje rządy, ale wiem, że zawsze jest tu ktoś, kto dobrze czy źle, wedle swoich umiejętności, zajmuje się kierowaniem sprawami państwa.

Natomiast w państwach, w których władza jest wybieralna, w okresie poprzedzającym wybory i na długo przed nimi mechanizmy rządowe funkcjonują już tylko na zasadzie inercji. Na pewno można tak sformułować prawo, by wybory odbywały się szybko i niejako za jednym zamachem, a fotel prezydenta nigdy nie zostawał pusty. Prawodawca jest jednak bezsilny, jeżeli puste są umysły.

Wobec zbliżających się wyborów przywódca władzy wykonawczej myśli wyłącznie o nadchodzącej walce; nie ma już przed sobą przyszłości, nie Może nic przedsięwziąć; biernie kontynuuje sprawy, które może ktoś inny doprowadzi do końca. «Jestem tak bliski momentu opuszczenia stanowiska — pisał prezydent Jefferson 21 stycznia 1809 roku, na sześć tygodni przed wyborami — że mój udział w sprawach państwowych ogranicza się teraz do wyrażania opinii. Wydaje mi się słusznym pozostawienie memu następcy inicjatywy co do przedsięwzięć, które będzie musiał wykonywać, biorąc za nie odpowiedzialność.»

Naród ze swej strony zajęty jest tylko jednym — śledzi przygotowania do porodu, który ma nastąpić.

Im większy jest wpływ władzy wykonawczej na sprawy państwa, im potężniejsze i bardziej niezbędne jest jej działanie, tym niebezpieczniejsza jest sytuacja. W kraju, który przywykł do rządów władzy wykonawczej, a tym bardziej do jej drobiazgowej administracji, wybory muszą głęboko wstrząsnąć porządkiem społecznym.

W Stanach Zjednoczonych działanie władzy wykonawczej może bezkarnie ulec osłabieniu, ponieważ w ogóle jest słabe i ograniczone.

Wybory głowy państwa niemal zawsze powodują zachwianie równowagi w wewnętrznej i zewnętrznej polityce państwa. Jest to jedna z podstawowych wad systemu wyborczego.

Lecz wada ta jest bardziej lub mniej dotkliwa zależnie od władzy przyznawanej wybieralnemu urzędnikowi. W starożytnym Rzymie zasady rządzenia były stałe, mimo że konsulowie zmieniali się co roku, a działo się tak, ponieważ władzę kierowniczą sprawował senat, a senat był izbą dziedziczną. W większości monarchii europejskich wprowadzenie elekcji sprawiłoby, że królestwo zmieniałoby całkowicie swe oblicze wraz z każdym nowo wybranym monarchą.

W Ameryce prezydent wywiera dosyć znaczny wpływ na sprawy państwa, ale bynajmniej ich nie prowadzi. Rozstrzygającą władzę posiada przedstawicielstwo całego narodu. Aby więc zmienić zasady polityczne, trzeba zmienić cały naród, a nie wyłącznie prezydenta. System wyborów prezydenckich nie może więc szczególnie szkodzić tam stałości rządów.

Zresztą brak stałości jest złem do tego stopnia sprzężonym z systemem wyborczym, że daje się wyraźnie odczuć w działaniu prezydenta, niezależnie od tego, na ile ograniczona byłaby jego władza.

Amerykanie słusznie przyjęli, że zwierzchnik władzy wykonawczej musi, na ile tylko jest to możliwe, mieć swobodę wybierania swoich urzędników oraz ich odwoływania, ponieważ to umożliwia mu spełnienie stojących przed nim zadań i przyjęcie ciężaru pełnej odpowiedzialności. Ciało ustawodawcze raczej więc nadzoruje prezydenta, niż nim kieruje. W każdych nowych wyborach los wszystkich urzędników federalnych zostaje zatem jakby zawieszony.

W europejskich monarchiach konstytucyjnych wielokrotnie skarżono się na to, że los drobnych urzędników administracji zależy często od losu ministrów. Sytuacja jest jeszcze gorsza w krajach, w których przywódca rządu jest wybieralny. Powód tego jest prosty: w monarchiach konstytucyjnych ministrowie często się zmieniają, ale zwierzchnik władzy wykonawczej nie zmienia się nigdy, co ogranicza w pewnej mierze nowatorskie zamysły. Pojawiają się więc raczej nowe detale niż zasady systemów administracyjnych i nie można nagle przekształcić całych systemów nie powodując czegoś w rodzaju rewolucji. W Ameryce rewolucja taka odbywa się w imieniu prawa co cztery lata.

Takie prawodawstwo staje się oczywiście powodem niedoli jednostek, ale należy przyznać, że chwiejność losu urzędników nie sprawia w Ameryce zła, którego można by się spodziewać w innych krajach. W Stanach Zjednoczonych tak łatwo jest stworzyć sobie niezależne źródło dochodu, że pozbawienie urzędnika stanowiska może oznaczać odebranie mu dobrobytu, ale nigdy środków do życia.

Powiedziałem na początku, że niebezpieczeństwa wybierania zwierzchnika władzy wykonawczej są mniejsze lub większe zależnie od okoliczności, w których znajduje się wybierające go społeczeństwo.

Próżne są wysiłki mające na celu zmniejszenie znaczenia władzy wykonawczej, ponieważ istnieje dziedzina, w której jej wpływ jest duży niezależnie od tego, jakie miejsce pozostawiło jej tu prawo. Jest to dziedzina polityki zagranicznej — tylko jeden człowiek może wszcząć i owocnie prowadzić negocjacje.

W im bardziej niepewnej i niebezpiecznej sytuacji znajduje się społeczeństwo, tym bardziej daje się odczuć potrzeba ciągłości i stabilności w dziedzinie stosunków zagranicznych, tym bardziej też niebezpieczna staje się zasada wyboru głowy państwa.

Polityka zagraniczna Amerykanów jest nader prosta. Można niemal powiedzieć, że nikt ich nie potrzebuje i oni nie potrzebują nikogo. Ich niezależność nie bywa zagrożona.

Rola władzy wykonawczej jest więc równie ograniczona przez okoliczności jak przez prawa. Prezydent może często zmieniać zapatrywania bez uszczerbku dla państwa i bez zagrożenia jego egzystencji.

Niezależnie od tego, jakie są prerogatywy władzy wykonawczej, okres bezpośrednio poprzedzający wybory i okres wyborów należy zawsze uważać za moment kryzysu narodowego.

Ten moment kryzysu jest tym niebezpieczniejszy dla kraju, im bardziej zawikłana jest jego wewnętrzna sytuacja i im większe są zewnętrzne niebezpieczeństwa. Niewiele jest narodów w Europie, które mogą nie obawiać się podboju lub anarchii w chwili wybierania nowego przywódcy państwa.

W Ameryce społeczeństwo jest tak zorganizowane, że może dać sobie radę bez niczyjej pomocy. Niebezpieczeństwa zewnętrzne nie są tu nigdy poważne. Wybory prezydenckie są więc powodem poruszenia, ale nie ruiny.

. . . . . .

Kryzys wyborczy

. . . . . .

Mimo wszystko jednak czas wyborów prezydenta w Stanach Zjednoczonych można uważać za okres kryzysu narodowego.

Wpływ, jaki prezydent wywiera na bieg spraw państwowych, jest bez wątpienia słaby i pośredni, lecz obejmuje sprawy obchodzące cały naród. Choć więc elekcja prezydenta jest aktem małej wagi dla życia poszczególnych ludzi, to jednak dotyczy wszystkich obywateli jako zbiorowości. Najdrobniejsza nawet sprawa nabiera ogromnego znaczenia w chwili, gdy staje się interesem powszechnym.

Prezydent, w porównaniu z europejskim monarchą, ma niewątpliwie mniejsze możliwości zdobywania sobie popleczników; posady, które Rozdziela, są jednak dostatecznie liczne, by tysiące wyborców było pośrednio lub bezpośrednio zainteresowanych przeforsowaniem jego kandydatury.

Co więcej, stronnictwa polityczne w Stanach Zjednoczonych, tak samo jak na całym świecie, muszą skupiać się wokół jednego człowieka, aby w ten sposób uzyskać łatwiejszy dostęp do świadomości tłumu. Zwykły więc posługiwać się nazwiskiem kandydata na prezydenta jako symbolem, który ucieleśnia ich idee. Stronnictwa polityczne są więc bardzo zainteresowane w zwycięstwie wyborczym, nie tyle po to, by ich doktryna święciła tryumfy dzięki poparciu wybranego prezydenta, ile w celu wykazania, że ich teorie zdołały zdobyć większość.

Na długo przed wyznaczonym dniem wybory stają się najważniejszą i właściwie jedyną sprawą, która zaprząta umysły. Frakcje podwajają wtedy swą gorliwość. Wszystkie sztuczne namiętności, jakie wyobraźnia jest w stanie powołać do życia w spokojnym i szczęśliwym kraju, ujawniają się wówczas i rozpalają.

Prezydent zaś zajęty jest wyłącznie obroną swego stanowiska. Nie rządzi już w interesie państwa, lecz w interesie swej następnej kadencji. Płaszczy się przed większością i nieraz spełnia jej kaprysy, zamiast, jak nakazują mu obowiązki, opierać się jej namiętnościom.

Im bliższe są wybory, tym bardziej ożywiają się intrygi, podniecenie się wzmaga i obejmuje coraz szersze kręgi społeczeństwa. Obywatele dzielą się na wiele obozów, z których każdy przybiera imię swego kandydata. Cały naród popada w stan rozgorączkowania, wybory stają się tematem dnia prasy i prywatnych rozmów, celem wszystkich przedsięwzięć, przedmiotem wszystkich myśli, jedyną sprawą chwili.

Natychmiast jednak po ogłoszeniu wyników gorączka słabnie, wszystko się uspokaja i rzeka, przed chwilą występująca z brzegów, spokojnie powraca do swego łożyska. Jednak trudno nie dziwić się temu, że taka burza w ogóle mogła się rozpętać.

O ponownym wyborze prezydenta

Czy prawodawcy Stanów Zjednoczonych mieli rację, zgadzając się na to, by prezydent mógł być ponownie wybrany na stanowisko?

Niedopuszczenie tej możliwości wydaje się sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Wiadomo, jaki wpływ na los całego narodu, zwłaszcza w okolicznościach trudnych i niepewnych, może wywrzeć talent lub charakter jednego człowieka. Prawo, które zabraniałoby społeczeństwu ponownie wybrać Pierwszego urzędnika, pozbawiłoby go środka zachowania pomyślności państwa czy nawet uratowania go. Powstałaby dziwaczna sytuacja, w której człowiek

byłby wykluczony z rządu wtedy, gdy zdołał udowodnić, że umie dobrze rządzić.

Racje te są bez wątpienia poważne. Czyż jednak nie można im przeciwstawić racji jeszcze poważniejszych?

Intryga i przekupstwo to naturalne wady rządów wybieralnych. Wady te jednak rozrastają się w sposób nieograniczony i narażają samo istnienie kraju, jeśli istnieje możliwość ponownego wybierania głowy państwa. Jeżeli jakiś zwyczajny kandydat chce dojść do celu przy pomocy intryg, może przeprowadzić je na ograniczonym tylko terenie. Jeżeli natomiast przywódca państwa decyduje się na udział we współzawodnictwie, używa do swoich prywatnych celów siły rządu. W pierwszym wypadku działa człowiek, dysponujący nikłymi tylko środkami, w drugim w grę wchodzi państwo wraz ze swymi ogromnymi możliwościami. To ono samo intryguje wówczas i demoralizuje.

Zwykły obywatel stosując w celu uzyskania władzy niegodne zabiegi Może jedynie w sposób pośredni szkodzić dobru publicznemu. Gdy w szranki wkracza przedstawiciel władzy wykonawczej, troska o rządzenie odsunięta zostaje na dalszy plan, wybór zaś staje się sprawą główną. Układy i prawa służą mu tylko do wyborczych manipulacji, posady stają się nagrodami za usługi oddane nie narodowi, ale osobie prezydenta. Jeśli nawet działanie rządu nie jest wówczas sprzeczne z interesami kraju, to na pewno im nie służy. A przecież rząd został powołany do życia właśnie na użytek społeczeństwa.

Trudno zrozumieć bieg spraw publicznych w Stanach Zjednoczonych nie pamiętając o tym, że pragnienie uzyskania ponownego mandatu dominuje w sposobie myślenia prezydenta, że cała polityka jego administracji zmierza w tym kierunku, że każde jego drobne posunięcie jest temu celowi podporządkowane, że wreszcie w miarę zbliżania się krytycznego momentu prywatny interes wypiera z myśli prezydenta troskę o dobro publiczne.

Zasada powtórnego wyboru powoduje więc szerzenie się demoralizującego wpływu rządów wybieralnych, które przez to stają się bardziej jeszcze niebezpieczne. Zasada ta obniża poziom moralności społecznej, patriotyzm zastępując sprytem.

W Ameryce zasada ta bezpośrednio narusza korzenie egzystencji narodowej. Każdy rząd nosi w sobie wrodzone ułomności, które wiążą się z samą zasadą jego istnienia; geniusz prawodawcy polega na tym, by umiał je wyszukać. Państwo jest w stanie przezwyciężyć wiele złych praw i często przecenia się negatywne skutki, jakie mogą one powodować. Lecz każde prawo, które pozwala rozwijać się tym zalążkom śmierci, na dłuższą metę staje się dla społeczeństwa zgubne, choć jego złe skutki niełatwo od razu zauważyć.

W monarchiach absolutnych zarodek upadku społeczeństwa ukrywa się w nieograniczonym i bezsensownym rozciągnięciu władzy królewskiej. Groźny więc byłby każdy zabieg zmierzający do likwidacji konstytucyjnej prze-

ciwwagi władzy królewskiej, nawet jeśli jego skutki długo pozostałyby niezauważalne.

Podobnie w krajach demokratycznych, gdzie lud nieustannie zagarnia wszystko dla siebie, prawodawstwo, które czyni tę tendencję coraz potężniejszą i trudniejszą do zahamowania, uderza bezpośrednio w podstawy egzystencji rządu.

Największą zasługą amerykańskich prawodawców jest to, że jasno uświadomili sobie tę prawdę i mieli odwagę wyciągnąć z niej wnioski praktyczne.

Uznali, że poza ludem powinna istnieć pewna liczba władz, które nie będąc całkowicie od niego niezależnymi, korzystają jednak w swej dziedzinie z dosyć pokaźnego zakresu swobód. Dzięki temu, zmuszone zasadniczo do podporządkowania się zwierzchnictwu większości, mogą jednak przeciwstawiać się jej kaprysom i odmawiać zaspokojenia jej najbardziej niebezpiecznych wymagań.

Skoncentrowali w tym celu całą władzę wykonawczą narodu w jednym ręku, dali prezydentowi rozległe prerogatywy oraz uzbroili go w prawo weta, by mógł się oprzeć roszczeniom ciała ustawodawczego.

Lecz wprowadziwszy zasadę reelekcji, zburzyli w części swe dzieło. Dali prezydentowi wielką władzę i jednocześnie odebrali mu ochotę czynienia z niej użytku.

Prezydent, który nie mógłby rządzić w drugiej kadencji, nie stawałby się tym samym niezależny od narodu, ponieważ byłby dalej przed nim odpowiedzialny. Lecz nie potrzebowałby poparcia narodu aż tak bardzo, by we wszystkim uginać się przed jego wolą.

Jest prawdą obowiązującą szczególnie w dzisiejszych czasach rozluźnienia moralności społecznej i zaniku wielkich charakterów, że powtórnie wybieralny prezydent Stanów Zjednoczonych staje się jedynie powolnym narzędziem w rękach większości. Kocha to, co ona kocha, nienawidzi wszystkiego, czego ona nienawidzi; uprzedza jej zachcianki i jej skargi; ugina się przed jej najdrobniejszymi żądaniami. Prawodawcy pragnęli, by jej przewodził, tymczasem to większość przewodzi jemu.

W ten sposób, nie chcąc pozbawiać państwa korzyści płynących z talentów jednego człowieka, sprawili, że talenty te stały się niemal bezużyteczne, a chcąc stworzyć środki działania potrzebne w nadzwyczajnych okolicznościach, wystawili kraj na codzienne niebezpieczeństwa.

. . . . . .

O zaletach systemu federacyjnego w ogóle oraz o jego szczególnej przydatności w warunkach amerykańskich

W niewielkich krajach nic nie uchodzi uwagi społeczeństwa i zmysł ulep-

szania obejmuje najdrobniejsze zjawiska. Ambicja narodowa, ograniczona wskutek słabości kraju, skierowana jest niemal wyłącznie na sprawy związane z zapewnieniem wewnętrznego dobrobytu i nie interesują jej miraże chwały. Co więcej, skoro ludzkie możliwości są tam w zasadzie niewielkie, niewygórowane są także i pragnienia. Majątki są małe, a więc warunki życia ludzi stają się podobne sobie, obyczaje zaś skromne i łagodne. Zważywszy nadto różnice poziomu moralności społecznej i wykształcenia, można powiedzieć, że małe narody cieszą się większym dobrobytem i spokojem.

Tyrania, jeżeli opanuje mały naród, jest bardziej niż gdzie indziej dotkliwa, ponieważ działając w węższym kręgu, zagarnia każdy element rzeczywistości. Wobec braku spraw wielkiej wagi dobiera się do drobiazgów życia i jest przez to bardziej dokuczliwa i okrutna. Z życia politycznego, które jest właściwą jej dziedziną, przenika do prywatnego życia obywateli. Zapanowawszy już nad działaniem ludzi, dąży do panowania nad myślami; rządząc już państwem, chce jeszcze rządzić każdym domem. Taka sytuacja jest jednak wyjątkiem, ponieważ w zasadzie naturalnym stanem małych społeczeństw jest wolność. Władza stanowi poślednią atrakcję dla ambicji, indywidualne możliwości są ograniczone — i dlatego jedynowładztwo nie natrafia tu na dobry grunt. Jeżeli jednak zapanuje, rządzonym łatwo jest się zjednoczyć i wspólnymi siłami obalić jednocześnie i tyrana, i tyranię.

Małe narody były więc zawsze kołyską wolności politycznej. Większość z nich straciła tę wolność rozrastając się, co dowodzi, że wolność związana jest z niewielkimi rozmiarami kraju, a nie z charakterem samego narodu.

Historia świata nie dostarcza przykładu wielkiego narodu, który pozostałby republiką przez dłuższy czas, co sprawiło, iż uznano to za niemożliwe. Myślę jednak, że popełniamy nieostrożność oceniając z góry, co jest, a co nie jest możliwe, i decydując o przyszłości, ponieważ różnica między tym, co możliwe, i tym, co rzeczywiste, wymyka się nam stale i nieustannie skazani jesteśmy na zaskoczenia w najlepiej nam znanych dziedzinach rzeczywistości. W sposób pewny da się zatem powiedzieć jedynie tyle, że trwanie wielkiej republiki jest zawsze nieskończenie bardziej zagrożone od istnienia małej.

Wszystkie zgubne dla republik namiętności wzrastają wraz z wielkością terytorium, natomiast chroniące je cnoty bynajmniej nie rosną równie szybko.

Wraz ze wzrostem siły państwa potęgują się indywidualne ambicje, wraz ze znaczeniem celów politycznych rośnie siła stronnictw, lecz miłość ojczyzny, która walczy z tymi niszczącymi namiętnościami, w wielkiej republice nie jest wcale silniejsza niż w małej. Byłoby nawet łatwo udowodnić, że jest mniej rozwinięta i słabsza. Wielkie bogactwa, głęboka nędza, duże miasta, zepsucie obyczajów, indywidualny egoizm, złożoność interesów to także niebezpieczeństwa, które zawsze mają swoje źródło w rozległości kra-

ju. Większość tych niebezpieczeństw nie zagraża bynajmniej istnieniu monarchii, a niektóre z nich mogą nawet przyczynić się do jej trwałości. W monarchiach zresztą rząd posiada własną siłę; posługuje się społeczeństwem nie będąc od niego zależnym. Im społeczeństwo jest większe, tym silniejszy jest władca. Tymczasem rząd republikański może przeciwstawić tym zagrożeniom jedynie poparcie ze strony większości. Ten zaś czynnik siły nie jest w wielkiej republice odpowiednio większy niż w małej. Możliwości ataku mnożą się i potężnieją, a siła oporu pozostaje ta sama. Można nawet powiedzieć, że się zmniejsza, ponieważ im naród jest liczniejszy a umysły oraz potrzeby bardziej zróżnicowane, tym trudniej jest o skonsolidowaną większość.

Nieraz dało się zauważyć, że namiętności ludzkie potężnieją nie tylko w zależności od wielkości celu, jaki pragną osiągnąć, lecz także odpowiednio do liczby ludzi odczuwających je jednocześnie. Ludzie doznają większego uniesienia wśród podnieconego tłumu, który dzieli ich uczucia, niż w osamotnieniu. W wielkiej republice pasje polityczne stają się przemożne nie tylko dlatego, że dotyczą wielkich spraw, ale i dlatego, że miliony ludzi odczuwają je jednocześnie w podobny sposób.

Wolno więc powiedzieć, że nic tak nie staje na przeszkodzie dobrobytowi i wolności ludzi jak wielkie państwa.

Mają one jednak zalety, z których należy zdawać sobie sprawę.

Wśród prostych ludzi napotkać tutaj można gorętsze pragnienie władzy, ale i umiłowanie sławy znajduje w niektórych sercach podatniejszy grunt. W poklasku wielkiego narodu widzą ludzie cel godny zabiegów, a dążenie do niego sprawia, że niejako przewyższają siebie samych. Myślenie znajduje tu więcej potężnych impulsów, swobodniej rozprzestrzeniają się idee, a miasta spełniają rolę wielkich ośrodków życia umysłowego, w których skupiają się wszystkie dążenia ludzkiego ducha. To pozwala zrozumieć, dlaczego wielkie narody bardziej przyczyniają się do postępu wiedzy i cywilizacji. Należy też pamiętać, że ważne odkrycia wymagają nieraz takiego rozwoju sił narodowych, do jakiego rządy małych narodów nie są zdolne. W wielkich krajach rządzący myślą szerzej i łatwiej zrywają z rutyną poprzedników oraz lokalnym egoizmem. W ich koncepcjach jest więcej polotu, w ich poczynaniach więcej rozmachu.

Mały naród cieszy się większym i powszechniejszym dobrobytem, dopóki trwa pokój, lecz w stanie wojny jest bardziej zagrożony od wielkiego. W wielkich krajach już sama rozległość granic pozwala ludziom żyć nieraz całe wieki z dala od niebezpieczeństwa. Dla krajów tych wojna bywa raczej przyczyną niepokoju niż ruiny.

Jak w wielu innych sprawach, rozważania nasze prowadzą do stwierdzenia konieczności.

Gdyby istniały tylko małe narody, ludzkość byłaby z pewnością swobod-

niejsza i szczęśliwsza. Lecz nie sposób doprowadzić do tego, by nie było wielkich narodów.

One dają światu nowy czynnik pomyślności narodowej, jakim jest siła. Cóż z tego, że naród żyje w dostatku i wolności, skoro czuje się nieustannie wystawiony na niebezpieczeństwa spustoszenia i podboju? Cóż z tego, że naród jest uprzemysłowiony i rozwija handel, jeżeli inny panuje na morzach i dyktuje prawa na wszystkich rynkach? Małe narody bywają biedne nie w wyniku swych niewielkich rozmiarów, ale słabości, wielkim zaś powodzi się nie dlatego, że są wielkie, ale dlatego, że są silne. Siła jest więc często jednym z pierwszych warunków szczęścia narodu, a nawet samego jego istnienia. Dlatego małe narody zawsze albo zostają w końcu gwałtem przyłączone do dużych, albo same się do nich przyłączają, z wyjątkiem szczególnych wypadków. Nie znam sytuacji bardziej pożałowania godnej niż sytuacja narodu, który nie może sam się obronić ani sam sobie wystarczyć.

System federalny został wymyślony po to, by połączyć zalety wynikające z faktu istnienia małych narodów z zaletami, które są właściwe wielkim.

Wystarczy spojrzeć na Stany Zjednoczone Ameryki, by zdać sobie sprawę ze wszystkich korzyści, jakie im dało zastosowanie tego systemu.

W wielkich i scentralizowanych państwach prawodawca musi nadać prawom jednolity charakter, nie licząc się z różnorodnością regionów i obyczajów. Ponieważ nie posiada wiedzy o poszczególnych wypadkach, musi posługiwać się tylko ogólnymi regułami. Skoro zaś prawodawstwo nie potrafi dostosować się do potrzeb i obyczajów ludzi, ludzie muszą naginać się do konieczności narzuconych przez prawodawstwo, co jest przyczyną wielkiego zamieszania i niedoli.

Niedogodności tej nie znają państwa federacyjne: Kongres zajmuje się podstawowymi sprawami społecznej egzystencji, pozostawiając wszelkie szczegóły prowincjonalnemu prawodawstwu.

Trudno wręcz pojąć, do jakiego stopnia ten podział suwerenności służy dobrobytowi poszczególnych stanów, z których składa się Unia. Te małe społeczeństwa, zwolnione z troski o obronność i ekspansję, kierują wszelkie wysiłki władzy i wszelką indywidualną energię na ulepszenie wewnętrznego życia kraju. Centralny rząd każdego ze stanów, działając wśród rządzonych, w bezpośredniej ich bliskości, stale informowany jest o zaistniałych potrzebach; corocznie powstają też nowe projekty przedsięwzięć, które przedyskutowane na zgromadzeniach gminnych czy w stanowych ciałach prawodawczych i następnie opublikowane w prasie, wzbudzają powszechne zainteresowanie i zapał obywateli. Potrzeba ulepszania ożywia republiki amerykańskie, ale nie wprowadza do nich niepokoju; ambicja posiadania władzy ustępuje tu miejsca umiłowaniu dobrobytu — namiętności bardziej przyziemnej, lecz bezpieczniejszej. Jest opinią powszechnie przyjętą w Ameryce, że istnienie i trwałość form republikańskich zależą od istnienia i trwałości

systemu federacyjnego. Niedole, w jakich pogrążone są nowe państwa Ameryki Południowej, przypisuje się temu, że usiłowano stworzyć tam wielkie republiki, zamiast podzielić suwerenność.

Nie sposób zresztą zaprzeczyć, że upodobanie do ustroju republikańskiego narodziło się w gminach oraz w łonie zgromadzeń prowincjonalnych. W małym stanie, jak na przykład Connecticut, gdzie wielkim problemem politycznym jest otwarcie kanału lub wytyczenie drogi, gdzie nie ma armii, którą trzeba by utrzymać, ani wojny, którą trzeba by prowadzić, gdzie władza nie daje ani wielkich bogactw, ani wielkiej chwały, trudno wyobrazić sobie system bardziej odpowiadający rzeczywistości niż system republikański. Otóż ten właśnie duch republikański, te obyczaje i przyzwyczajenia wolnego społeczeństwa, narodziwszy się i rozwinąwszy w poszczególnych stanach, zostały potem bez trudu zastosowane do całego kraju. Duch publiczny Unii jest niejako jedynie podsumowaniem stanowego patriotyzmu. Każdy obywatel Stanów Zjednoczonych przenosi, by tak rzec, zainteresowanie sprawami swej małej republiki na uczucia, które żywi dla wspólnej ojczyzny. Broniąc Unii broni rosnącego dobrobytu swego regionu, prawa kierowania jego życiem, nadziei na ulepszenia, które wzbogacą jego samego — broni więc tych wszystkich rzeczy, które w większym stopniu dotyczą codziennego życia niż ogólnych spraw kraju i chwały narodu.

Pomyślny rozwój wielkiej republiki jest możliwy z jednej strony dzięki duchowi i obyczajom jej mieszkańców, z drugiej zaś — dzięki systemowi federacyjnemu. Konfederacja wszystkich stanów Ameryki uniknęła niebezpieczeństw, jakie zazwyczaj pociąga za sobą istnienie wielkich skupisk ludzkich. Pod względem rozmiarów Unia jest wielką republiką, lecz z uwagi na niewielki zakres spraw, którymi zajmuje się jej rząd, można ją w pewnym sensie zaliczyć do małych republik. Działania rządu Unii mają duże znaczenie, lecz nie są częste. Ponieważ władza rządu Unii jest skrępowana i niepełna, użycie jej nie zagraża wolności. Nie budzi także owego nieumiarkowanego pragnienia siły i nie powoduje zakłóceń tak zgubnych dla wielkich Republik. Ponieważ wszystkie sprawy nie muszą docierać do centralnego ośrodka władzy, nie ma ani wielkich miast, ani ogromnych bogactw, ani wielkiej nędzy, ani nieoczekiwanych rozruchów. Pasje polityczne, miast obejmować na kształt pożogi całą powierzchnię kraju, rozbijają się o indywidualne interesy i o namiętności poszczególnych stanów.

A jednak na terenie Unii dobra i idee krążą swobodnie, tak jak w jednolitym społeczeństwie. Nic nie hamuje tutaj ludzkiej przedsiębiorczości. Rząd Unii skupia wokół siebie talenty i wiedzę. Wewnątrz granic Unii istnieje głęboki spokój, tak jak w kraju poddanym jednolitym rządom. Na zewnątrz zaś Unia stoi w szeregu najpotężniejszych narodów świata. Dysponując dla potrzeb handlu zagranicznego wybrzeżem o długości ponad ośmiuset mil i trzymając w ręku klucze całego świata, budzi poszanowanie dla swej bandery na

najodleglejszych morzach.

Unia jest wolna i szczęśliwa jak mały naród, pełna zaś chwały i silna jak wielki.

Co sprawia, że system federacyjny nie nadaje się dla wszystkich społeczeństw, i co pozwoliło Amerykanom go zastosować

W wyniku wielkich wysiłków udaje się czasem prawodawcy wywrzeć pośredni wpływ na los narodów — i wtedy ludzie sławią jego geniusz. Tymczasem zdarza się często, że położenie geograficzne kraju, na które nie ma on wpływu, układ społeczny, powstały bez jego udziału, obyczaje i idee, których pochodzenie nie jest mu znane, początki narodu, o których nic nie wie, rodzą w społeczeństwie przemożne tendencje, z którymi prawodawca walczy na próżno i które w końcu wchłaniają i jego samego.

Prawodawca przypomina żeglarza: może kierować okrętem, którym płynie, lecz nie może zmienić jego budowy, wezwać sprzyjających wiatrów ani uspokoić fal.

Pokazałem, co Amerykanie zyskali na przyjęciu systemu federacyjnego. Należy jeszcze wyjaśnić, co pozwoliło im go zastosować — nie wszystkim bowiem społeczeństwom dane jest szczęście korzystania z jego dobrodziejstw.

System federacyjny nie jest pozbawiony ułomności wywodzących się z praw: te mogą być usunięte przez prawodawców. Posiada jednak i takie wady, które jako właściwe samemu systemowi, nie mogą zostać usunięte. Trzeba więc, by naród znajdował w sobie siły, pozwalające mu na sprostanie naturalnej niedoskonałości rządów.

Najbardziej rzucającą się w oczy wadą wszelkich systemów federacyjnych jest złożoność środków, jakimi się posługują. W systemie federacyjnym musząc istnieć dwa rodzaje władzy: władza ogólnofederalna i władza stanu czy prowincji. Prawodawca może uprościć ich działanie i uczynić je możliwie równymi oraz zamknąć każdą z nich w ściśle określonej sferze wpływów, ale nie może sprowadzić ich do wspólnego mianownika ani wykluczyć stykania się ich zakresów.

Tak czy inaczej, system federacyjny opiera się na złożonej koncepcji, której praktykowanie wymaga od społeczeństwa, by czyniło stały użytek z własnej rozwagi.

W zasadzie jedynie proste idee są w stanie zawładnąć umysłem ludu. Idea fałszywa, lecz jasna i precyzyjna, będzie miała zawsze większą siłę oddziaływania niż idea prawdziwa, lecz skomplikowana. Dlatego też stronnictwa polityczne, które są jakby małymi społeczeństwami wewnątrz narodu, przyjmują sobie zawsze za symbol jakieś nazwisko lub hasło, które częstokroć w

sposób wielce niedoskonały oddaje ich cele oraz metody, lecz bez którego nie mogłyby utrzymać się i działać. Rządy, które opierają się na jednej idei lub odwołują się do jednego prostego uczucia, nie są może lepsze, ale na pewno są silniejsze i trwalsze.

Kiedy badamy konstytucję Stanów Zjednoczonych, najdoskonalszą ze wszystkich znanych konstytucji federacyjnych, zdumiewa nas rozległość wiedzy i rozwagi, jaką zakłada ona u rządzonych. Rząd Unii niemal bez reszty opiera się na prawnych fikcjach. Unia jest idealnym narodem, który istnieje, by tak rzec, jedynie w umysłach, i jedynie umysł jest w stanie uchwycić jego zakres i granice.

Jeżeli nawet ogólna koncepcja jest zrozumiała, pozostają jeszcze trudności powstałe w trakcie jej stosowania. Są one niezliczone, ponieważ suwerenność Unii jest do tego stopnia związana z suwerennością stanów, że trudno na pierwszy rzut oka je rozgraniczyć. W takim rządzie wszystko jest umowne i sztuczne i może on odpowiadać tylko społeczeństwu, które od dawna przywykło do samodzielnego zajmowania się własnymi sprawami i w którym wiedza polityczna dociera do najniższych warstw. Zdrowy rozsądek i praktyczną inteligencję Amerykanów najbardziej podziwiałem obserwując, jak udaje im się uniknąć niezliczonych trudności, które wynikają z konstytucji federalnej. Nie spotkałem w Ameryce człowieka z ludu, który ze zdumiewającą łatwością nie odróżniałby obowiązków wynikających z praw nadanych przez Kongres i z praw jego własnego stanu oraz który, odróżniwszy dziedzinę należącą do ogólnych uprawnień Unii od dziedziny powierzonej lokalnemu prawodawstwu, nie potrafiłby wskazać miejsca, w którym zaczynają się kompetencje sądów federalnych, a kończą kompetencje trybunałów stanowych.

Konstytucja Stanów Zjednoczonych należy do tych wspaniałych dzieł ludzkiej przemyślności, które chwałą i dobrem obdarzają tych, którzy je wymyślili, w cudzych rękach zaś stają się jałowe. Za naszych czasów dowodów w tej mierze dostarcza historia Meksyku. Mieszkańcy Meksyku, pragnąc zastosować u siebie system federacyjny, przyjęli za wzór i prawie skopiowali konstytucję federalną Angloamerykanów, swych sąsiadów. Lecz przenosząc do siebie literę prawa nie zdołali jednocześnie przenieść jego ducha. Pogubili się wśród mechanizmów swego podwójnego rządu. I władza stanów, i władza Unii przekraczają tam stale granice nakreślone przez konstytucję i krzyżują się ze sobą nieustannie. Jeszcze dziś Meksyk miota się od anarchii do wojskowej dyktatury i od wojskowej dyktatury do anarchii.

Drugą i najbardziej groźną ze wszystkich wad, których dopatruję się w systemie federacyjnym, jest względna słabość rządu Unii.

Zasadą, na której opierają się wszystkie konfederacje, jest podział suwerenności. Prawodawcy starają się uczynić go mniej odczuwalnym. Udaje im się nawet na pewien czas go ukryć, lecz nie są w stanie go zlikwidować.

Otóż suwerenność podzielona będzie zawsze słabsza od suwerenności jednolitej.

Wstęp do konstytucji Stanów Zjednoczonych dowodzi, z jakim mistrzostwem Amerykanie, ograniczając siłę Unii w zamkniętym kręgu rządu federalnego, zdołali jednocześnie nadać jej pozory, a nawet w pewnym stopniu i siłę rządu narodowego.

Postępując w ten sposób prawodawcy Unii zmniejszyli niebezpieczeństwa właściwe systemowi federacyjnemu, nie mogli jednak ustrzec się ich całkowicie.

Rząd amerykański, jak zwykło się sądzić, nie zwraca się wcale do władz stanowych i swoje rozporządzenia kieruje bezpośrednio do obywateli, łatwiej zmuszając ich, jako odosobnione jednostki, do podporządkowania się powszechnej woli.

Gdyby jednak prawo federalne gwałtownie naruszało stanowe interesy i uroszczenia, czyż nie należałoby się obawiać, że obywatele stanu wypowiedzą mu posłuszeństwo? Gdyby obywatele stanu poczuli się jednocześnie i w ten sam sposób krzywdzeni przez władze Unii, rząd federalny na próżno starałby się ich rozdzielić, by dać sobie z nimi radę. Czuliby instynktownie, że muszą zjednoczyć się w celu obrony, i w ramach pozostawionej stanowi części suwerenności znaleźliby odpowiednie instytucje. Rzeczywistość zajęłaby wtedy miejsce fikcji i zorganizowana siła części kraju rozpoczęłaby walkę z centralną władzą.

To samo mógłbym powiedzieć o federalnym wymiarze sprawiedliwości. Gdyby sądy Unii pogwałciły w jakimś procesie istotne prawa stanowe, między Unią, reprezentowaną przez sąd, i pokrzywdzonym stanem, reprezentowanym przez jednego obywatela, wywiązałaby się, choć może nie jawna, to jednak rzeczywista walka.

Małe mają doświadczenie w sprawach tego świata ci, którzy sądzą, że oddawszy do dyspozycji ludzkich namiętności sposoby ich zaspokojenia, za pomocą prawnych fikcji przeszkodzą ludziom w dostrzeżeniu tych sposobów i posłużeniu się nimi.

Prawodawcy amerykańscy utrudniając walkę między władzą federalną a władzą stanową nie zniszczyli jednak jej potencjalnych przyczyn.

Posuwając się jeszcze dalej można powiedzieć, że nie udało im się nawet zapewnić rządowi federalnemu przewagi na wypadek takiej walki.

Dali Unii pieniądze i żołnierzy, ale stany zatrzymały przy sobie miłość ludzi i ich przeświadczenia.

Suwerenność Unii jest abstrakcją i istnieje realnie jedynie w odniesieniu do niewielu problemów polityki zagranicznej. Suwerenność stanowa jest namacalna, łatwo zrozumiała, zawsze widoczna. Pierwsza jest czymś nowym, druga powstała razem z narodem.

Suwerenność Unii jest sztuczna. Suwerenność stanowa jest naturalna —

istnieje bez wysiłku, sama z siebie, jak władza ojca rodziny.

Suwerenność Unii dotyczy ludzi tylko w wypadku kilku wielkich spraw. Ucieleśnia ojczyznę nieograniczoną i daleką, mgliste i nieokreślone uczucia. Suwerenność stanowa dotyczy każdego obywatela i interesuje się szczegółowo jego sprawami. Bierze na siebie gwarancję jego własności, jego wolności, jego życia; może w każdej chwili stać się przyczyną jego dobrobytu lub nędzy. Suwerenność stanowa opiera się na wspomnieniach, nawykach, lokalnych przeświadczeniach, na prowincjonalnym i rodzinnym egoizmie, czyli na wszystkich tych rzeczach, które instynkt ojczyzny czynią w sercu człowieka tak potężnym. Jakże więc wątpić o jej wyższości?

Skoro prawodawcy nie mogą przeszkodzić niebezpiecznym kolizjom między dwiema suwerennościami istniejącymi w systemie federacyjnym, trzeba, by nie tylko starali się odstręczyć od wojny skonfederowane narody, ale także by podjęli szczególne środki skłaniające je do utrzymania pokoju.

Wynika stąd, iż aby cały system federacyjny był trwały, w społeczeństwach, które wchodzą w skład federacji, muszą istnieć warunki sprzyjające zjednoczeniu, ułatwiające zarówno życie we wspólnocie, jak i rządzenie nią.

System federacyjny potrzebuje więc nie tylko dobrych praw, ale i sprzyjających okoliczności.

Wszystkie społeczeństwa, które kiedykolwiek tworzyły konfederację, miały zawsze pewne wspólne interesy, spełniające jakby rolę spoiwa.

Lecz poza materialnymi potrzebami człowiek posiada jeszcze myśli oraz uczucia. Jednolitość cywilizacyjna jest dla trwałości konfederacji nie mniej istotna od jednolitości potrzeb społeczeństw, które się na konfederację składają.

Różnica między cywilizacyjnym poziomem kantonu Vaud i kantonu Uri odpowiada różnicy między XIX i XV wiekiem i dlatego w Szwajcarii nigdy naprawdę nie istniał rząd federalny. Unia kantonów istnieje tylko na mapie i przekonalibyśmy się o tym natychmiast, gdyby władze centralne postanowiły narzucić całej federacji te same prawa.

W Stanach Zjednoczonych istnienie systemu federacyjnego jest ułatwione dlatego, że poszczególne stany mają nie tylko te same interesy, to samo pochodzenie i ten sam język, lecz także ten sam stopień ucywilizowania, co sprawia, że łatwo dochodzi między nimi do zgody. Żaden z małych narodów Europy nie jest chyba bardziej jednorodny od narodu amerykańskiego, zamieszkującego terytorium równe połowie Europy.

Odległość między stanem Maine i stanem Georgia wynosi około czterystu mil. Różnice między tymi stanami są jednak mniejsze od różnic między cywilizacjami Normandii i Bretanii. Maine i Georgia, leżące na dwóch krańcach wielkiej krainy, mają więcej podstaw do stworzenia konfederacji niż Normandia i Bretania, rozdzielone jedynie małą rzeczką.

Amerykańscy prawodawcy mieli ułatwione zadanie nie tylko dzięki oby-

czajom i przyzwyczajeniom społeczeństwa, ale również dzięki geograficznemu położeniu kraju. Temu ostatniemu należy w zasadzie zawdzięczać możliwość wprowadzenia oraz utrzymania systemu federacyjnego.

Najlepszym sprawdzianem żywotności narodu jest wojna. W czasie wojny naród działa jak jeden człowiek — walczy o życie.

Dopóki chodzi jedynie o utrzymanie wewnątrz kraju spokoju i dobrobytu, sprawne rządy, obywatelska rozwaga oraz zwykłe przywiązanie ludzi do ojczyzny wystarczają, by sprostać zadaniu. Kiedy jednak naród walczy, obywatele muszą zdobyć się na liczne i wielkie poświęcenia. Otóż przypuszczenie, że wielka liczba ludzi jest skłonna poddać się takim wymaganiom, dowodzi nieznajomości rodzaju ludzkiego.

Dlatego wszystkie narody, które angażowały się w wielkie wojny, doprowadziły, być może wcale nieumyślnie, do wzmocnienia własnego rządu. Narody, którym to się nie udało, zostały podbite. Długotrwała wojna prawie zawsze zmusza narody do smutnego wyboru pomiędzy klęską, przynoszącą ruinę, a zwycięstwem, przynoszącym despotyzm.

Słabość rządu objawia się na ogół w sposób szczególnie widoczny i szczególnie niebezpieczny właśnie w czasie wojny; dowodziłem już zresztą, że wadą rządów federacyjnych jest ich słabość.

W systemie federacyjnym nie tylko nie ma centralizacji administracyjnej ani niczego, co by ją przypominało; nawet centralizacja rządowa istnieje tu jedynie częściowo, co zawsze osłabia naród w chwili, gdy musi się bronić przed innym narodem, posiadającym pełną centralizację rządową.

Nawet w konstytucji federalnej Stanów Zjednoczonych, która rządowi centralnemu powierza stosunkowo dużą władzę, ta ułomność daje wyraźnie znać o sobie.

Czytelnikowi wystarczy zapewne jeden przykład. Konstytucja daje Kongresowi prawo powoływania milicji stanowych do czynnej służby, gdy trzeba zdławić powstanie lub odeprzeć najazd. Inny artykuł głosi, że prezydent Stanów Zjednoczonych staje się wówczas głównodowodzącym milicji.

Podczas wojny 1812 roku prezydent wydał milicjom północnych stanów rozkaz marszu ku granicom; Connecticut i Massachusetts, których interesom wojna zagrażała, odmówiły wysłania swoich oddziałów.

Stany owe powoływały się na ten sam punkt konstytucji, który upoważnia rząd federalny do posłużenia się stanowymi milicjami w razie powstania lub najazdu. Otóż wtedy nie mogło być — ich zdaniem — mowy ani o powstaniu, ani o najeździe. Dodatkowo przypominały, że konstytucja, która dawała Unii prawo powoływania milicji stanowych do służby czynnej, pozostawiała jednocześnie stanom prawo mianowania oficerów. Wynikało z tego — ich zdaniem — że nawet podczas wojny żaden urzędnik Unii, poza prezydentem, nie ma prawa dowodzić milicjami stanowymi. Tymczasem w grę wchodziła służba w armii nie dowodzonej przez prezydenta.

Te absurdalne i szkodliwe racje zostały usankcjonowane nie tylko przez gubernatorów oraz stanowe legislatury, ale również przez sądy obu stanów. Rząd federalny gdzie indziej musiał szukać oddziałów, których potrzebował.

Jak się więc dzieje, że Unia amerykańska, tak chroniona przez relatywną doskonałość swych praw w czasie pokoju, nie rozprzęgnie się całkowicie w wyniku wielkiej wojny? Nie dochodzi do tego, ponieważ wielkie wojny jej nie zagrażają.

Położona w środku wielkiego kontynentu, w krainie, która daje ogromne szanse ludzkiej przedsiębiorczości, Unia jest prawie tak odizolowana od świata, jakby ze wszystkich stron otaczał ją ocean.

Kanada ma tylko milion mieszkańców; jej ludność dzieli się na dwa wrogie narody. Surowy klimat sprawia, że obszar kraju w gruncie rzeczy jest mniejszy niż na mapie, a jej porty pozostają zamknięte przez sześć miesięcy w roku.

Między Kanadą a Zatoką Meksykańską tuła się jeszcze kilka na wpół wyniszczonych dzikich plemion, z którymi może sobie dać radę sześć tysięcy żołnierzy.

Na południu Unia styka się z państwem meksykańskim i być może kiedyś tam zaczną się wielkie wojny, na razie jednak zapóźniony rozwój, zepsucie obyczajów oraz nędza długo jeszcze nie pozwolą Meksykowi na zdobycie wyższej pozycji wśród narodów świata. Co zaś do potęg europejskich, nie są one dla Stanów Zjednoczonych groźne, ponieważ są daleko.

Wielkie szczęście Stanów Zjednoczonych nie polega na znalezieniu takiej formy konstytucji federalnej, która pozwalałaby pomyślnie prowadzić wielkie wojny, lecz na takim usytuowaniu geograficznym, które pozwala ich się nie obawiać.

Trudno o bardziej zdecydowanego zwolennika systemu federacyjnego ode mnie. Upatruję w nim bowiem jeden z najskuteczniejszych zabiegów, który może służyć dobrobytowi i wolności. Zazdroszczę narodom, którym dane było go zastosować. Nie wierzę jednak, by narody skonfederowane mogły długo się opierać narodowi posiadającemu scentralizowaną władzę rządową.

Narodowi, który znajdując się u boku wielkich monarchii militarnych Europy zdecydowałby się podzielić swą suwerenność, przepowiadałbym, iż będzie musiał wyrzec się swej potęgi, a być może również swego istnienia oraz samego imienia.

Podziwu godna jest siła nowego świata, która pozwala człowiekowi obawiać się jedynie siebie samego! Aby był szczęśliwy i wolny, wystarcza, że tego chce.

Część druga

Badałem dotąd instytucje Stanów Zjednoczonych, dokonałem przeglądu tamtejszego prawodawstwa oraz opisałem formy politycznej organizacji.

Wszelako ponad instytucjami i ponad wszystkimi formami organizacji społecznej istnieje suwerenna władza, władza ludu, który może swobodnie zmieniać ją lub burzyć.

Pozostaje mi wytłumaczyć, w jaki sposób oddziałuje ta władza — zwierzchniczka praw, jakie powodują nią instynkty i namiętności, jakie tajemne przyczyny nią kierują i przyspieszają lub opóźniają jej niepowstrzymany pochód, jakie są skutki jej wszechmocy i jaka czeka ją przyszłość.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dlaczego można niezaprzeczalnie stwierdzić, że w Stanach Zjednoczonych rządzi lud

W Ameryce lud powołuje tych, którzy dyktują prawa, i tych, którzy je wykonują; lud też powołuje sądy, które skazują za wykroczenia przeciw prawu. Nie tylko sama zasada instytucji jest demokratyczna, ale również ich działanie, toteż lud bezpośrednio mianuje swoich przedstawicieli. Przeważającą ich część wybiera co roku na nowo, aby ich tym bardziej od siebie uzależnić. Lud więc jest rzeczywistym władcą i chociaż rząd opiera się na zasadzie przedstawicielstwa, oczywiste jest, że przeświadczenia, uprzedzenia, interesy i nawet namiętności ludu nie mogą napotykać na żadne trwałe przeszkody, które utrudniałyby mu wywieranie wpływu na bieg spraw publicznych.

W Stanach Zjednoczonych, jak we wszystkich krajach, w których lud stanowi najwyższą władzę, w jego imieniu rządzi większość.

Większość ta zasadniczo składa się ze zwykłych obywateli, którzy — bądź dlatego, że takie są ich przekonania, bądź dlatego, że widzą w tym prywatny interes — szczerze pragną dobra kraju. Wokół nich trwają nieustanne zabiegi stronnictw politycznych, które pragną zdobyć ich dla siebie lub uzyskać ich poparcie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Stronnictwa polityczne w Stanach Zjednoczonych

Istnieją dwa rodzaje stronnictw.

Niektóre kraje są tak duże, że interesy zamieszkujących je różnych grup ludności są ze sobą sprzeczne. Mimo że połączone pod wspólną władzą, grupy te żyją w stałym antagonizmie. W takiej sytuacji różne odłamy społeczeństwa winny być raczej uważane za coś w rodzaju odrębnych narodów niż za stronnictwa polityczne. Kiedy wybucha wojna domowa, walka toczy się jakby między rywalizującymi państwami, nie zaś między frakcjami istniejącymi w obrębie tego samego państwa.

Kiedy natomiast obywatele różnią się w poglądach na sprawy interesujące wszystkich — jak na przykład ogólne zasady rządzenia — możemy mówić o stronnictwach we właściwym sensie.

Stronnictwa polityczne są złem nieuniknionym w kraju, w którym panuje wolność, ale nie zawsze mają ten sam charakter i te same tendencje.

Zdarzają się okresy, w których narody są udręczone tak wielkimi niedolami, że gotowe są zdecydować się na całkowitą zmianę politycznej organizacji. Zdarzają się także epoki straszniejszych jeszcze doświadczeń, kiedy zagrożone jest samo istnienie społeczeństwa. Są to czasy wielkich rewolucji i wielkich stronnictw politycznych.

Między epokami nieszczęść i zamieszania istnieją okresy, w których społeczeństwa odpoczywają, a ludzkość jakby nabiera oddechu. Spokój ten jest w gruncie rzeczy pozorny, czas bowiem nie zatrzymuje się dla narodów, tak samo jak nie zatrzymuje się dla człowieka. Narody i ludzie każdego dnia postępują ku nieznanym przeznaczeniom. Wydaje się nam, że stoją w miejscu, a to tylko ich ruch uchodzi naszej uwagi, tak jak biegnącym nieruchomi wydają się ci, którzy idą.

Bywają jednak epoki, w których zmiany organizacji politycznej i układu społecznego narodów są tak powolne i słabo widoczne, że ludzie łudzą się, iż osiągnęli ostateczne cele. W takich czasach ludzie kurczowo trzymają się pewnych sposobów myślenia i nie sięgają poza określone horyzonty.

Jest to czas intryg i małych stronnictw politycznych.

Wielkimi stronnictwami politycznymi nazywam takie, które bardziej przywiązane są do zasad niż do ich konsekwencji, bardziej do ogólnych zagadnień niż do poszczególnych wypadków, bardziej do idei niż do ludzi. Stronnictwa te mają na ogół szlachetniejsze rysy, bardziej wspaniałomyślne namiętności, silniejsze przekonania; działają śmielej i bardziej otwarcie.

Prywatny interes, który w namiętnościach politycznych odgrywa zawsze największą rolę, jest tu zręczniej ukryty pod osłoną sprawy publicznej, a zdarza się nawet niekiedy, że pozostaje ukryty przed wzrokiem ludzi, którymi powoduje.

Natomiast małe partie obywają się zazwyczaj bez prawdziwych przekonań politycznych. Ich duch, nie inspirowany przez wielkie cele, naznaczony jest egoizmem, wyraźnie przebijającym z każdego ich działania. Ich pasje są sztuczne; posługują się gwałtowną mową, lecz ich postępowanie jest nieśmiałe i niepewne. Środki, których używają, są równie ubogie jak cele, do których dążą. Dlatego, gdy po gwałtownych przewrotach nadchodzi czas spokoju, wydaje się, że wielcy ludzie nagle zniknęli, a wszelkie życie duchowe przestało istnieć.

Wielkie stronnictwa poruszają społeczeństwo, małe zaś je podburzają. Wielkie je rozdzierają, małe deprawują. Pierwsze, wstrząsając społeczeństwem, ratują je czasem — drugie niepokoją je tylko bez żadnej korzyści.

Ameryka miała kiedyś wielkie partie, które dzisiaj już nie istnieją. Osiągnęła dzięki temu dobrobyt, lecz nie zyskała na moralności.

Gdy po zakończeniu wojny o niepodległość należało określić podstawy nowego rządu, naród podzielił się na dwa obozy. Podział ten jest stary jak świat — w różnych formach i pod różnymi nazwami istnieje zawsze w wolnych społeczeństwach. Jedna tendencja zmierzała do ograniczenia władzy ludu, druga do nieskończonego jej rozszerzenia.

Walka tych dwóch obozów nie przybrała nigdy w Ameryce tak gwałtownego charakteru, jaki cechował ją w innych krajach. Oba stronnictwa zgadzały się w sprawach największej wagi. Żadne z nich nie musiało zburzyć dawnego porządku ani podważyć całego układu społecznego po to, by wziąć górę. Tryumf ani klęska stronnictwa nie pociągały za sobą gwałtownej odmiany losu ludzi mu oddanych. Niemniej walka stronnictw dotykała najważniejszych potrzeb duchowych, takich jak umiłowanie równości i niezależności. To wystarczało, by wzbudzać gwałtowne namiętności.

Stronnictwo, które dążyło do ograniczenia władzy ludu, chciało przede wszystkim ukształtować na swój sposób konstytucję Unii, czemu zawdzięcza nazwę stronnictwa federalnego.

Partia, która głosiła się jedyną miłośniczką wolności, przybrała nazwę republikańskiej.

Ameryka jest krajem demokracji. Federaliści byli więc zawsze w mniejszości, skupiali jednak w swych szeregach niemal wszystkich wielkich ludzi wsławionych podczas wojny o niepodległość — ich oddziaływanie moralne było zatem duże. Sprzyjały im zresztą okoliczności. Po upadku pierwszej federacji, gdy lud obawiał się anarchii, federaliści skorzystali z tego przejściowego nastroju. Kierowali sprawami państwa przez dziesięć czy dwanaście lat; mieli wtedy okazję zastosować jedynie niektóre spośród swoich zasad,

ponieważ przeciwny nurt z dnia na dzień przybierał na sile i nikt nie ośmielał się z nim walczyć.

W 1801 roku doszli wreszcie do władzy republikanie. Thomas Jefferson został wybrany na prezydenta, a jego sławne nazwisko, wielki talent i ogromna popularność wzmocniły pozycję stronnictwa.

Federaliści zawsze utrzymywali swoją pozycję tylko dzięki sztucznym zabiegom oraz wykorzystywaniu dobrej koniunktury, władzę zaś zdobyli dzięki cnocie i talentom swych przywódców oraz w wyniku szczęśliwego zbiegu okoliczności. Kiedy przyszła kolej na republikanów, stronnictwo zostało całkowicie pogrążone. Zdecydowana większość wyborców opowiedziała się przeciwko federalistom. W jednej chwili poczuli się tak przegrani, że stracili wszelką nadzieję. Od tego czasu partia republikańska albo demokratyczna kroczyła od zwycięstwa do zwycięstwa i zawładnęła całym społeczeństwem.

Pokonani, pozbawieni zaplecza i osamotnieni wewnątrz narodu, federaliści podzielili się. Jedni przyłączyli się do zwycięzców, inni złożyli sztandary i zmienili nazwę. Minęło już wiele lat od chwili, kiedy przestali całkowicie istnieć jako stronnictwo.

Niemniej dojście federalistów do władzy jest, moim zdaniem, jednym z najpomyślniej szych wydarzeń, jakie towarzyszyły narodzinom wielkiej unii amerykańskiej. Federaliści przeciwstawiali się nieubłaganej tendencji swych czasów i swego kraju. Ich teorie, niezależnie od swych zalet i wad, posiadały tę ułomność, że jako całość nie nadawały się do zastosowania w społeczeństwie, którym miały kierować. Wcześniej czy później musiało stać się to, co stało się za Jeffersona. Lecz rządy federalistów pozwoliły przynajmniej nowo powstałej republice okrzepnąć i dzięki temu łatwiej znieść gwałtowny rozwój przeciwnych doktryn politycznych. Wiele spośród ich zasad przeniknęło zresztą do politycznego myślenia przeciwników, a konstytucja federalna, która obowiązuje do dzisiaj, jest trwałym pomnikiem ich patriotyzmu i mądrości.

W Stanach Zjednoczonych nie ma dzisiaj wielkich stronnictw politycznych. Jest wiele stronnictw, które zagrażają przyszłości Unii, lecz nie ma takich, które podważałyby przyjęte formy ustrojowe i zasady organizacji społecznej. Stronnictwa, które zagrażają Unii, działają nie w imię zasad, lecz w imię konkretnych interesów. W różnych prowincjach tego wielkiego państwa interesy te powołują do istnienia raczej coś w rodzaju rywalizujących narodów niż polityczne stronnictwa. I tak ostatnio Północ opowiedziała się za systemem reglamentacji handlu, Południe zaś chwyciło za broń w obronie wolności handlu. Jedyną tego przyczyną był fakt, że Północ jest przemysłowa, a Południe rolnicze, zatem system reglamentacji działa na korzyść Północy i na niekorzyść Południa.

Wobec braku wielkich stronnictw politycznych w Stanach Zjednoczonych roi się od małych ugrupowań, a opinia publiczna jest nieskończenie podzie-

lona w kwestiach szczegółowych. Trudno wyobrazić sobie trud, jaki ludzie sobie tu zadają, by tworzyć te ugrupowania; w naszych czasach nie jest to rzeczą łatwą. W Stanach Zjednoczonych nie istnieje nienawiść religijna, ponieważ religia jest powszechnie szanowana i żadna sekta nie panuje nad pozostałymi. Nie ma nienawiści klasowej, ponieważ lud jest wszechmocny i nikt nie ośmiela się z nim walczyć. Nie ma wreszcie nędzy społecznej, którą można by wykorzystywać jako polityczny pretekst, ponieważ materialna sytuacja kraju daje tak olbrzymie szanse ludzkiej przemyślności, że wystarczy zostawić człowieka samemu sobie, by uczynił cuda. Ludzka ambicja musi jednak znaleźć sposób na utworzenie stronnictw politycznych, nie można bowiem obalić człowieka dzierżącego władzę z tego jedynego Powodu, że chce się zająć jego miejsce. Cała zręczność polityków polega więc na umiejętności tworzenia stronnictw politycznych. Polityk w Stanach Zjednoczonych stara się najpierw rozpoznać własne interesy oraz poszukać ludzi o podobnych interesach, którzy mogliby skupić się wokół niego. Potem rozgląda się za dogodną teorią lub zasadą, która nadaje się do wypisania na sztandarze nowego stowarzyszenia i która może dać mu rację istnienia oraz zapewnić popularność. Taka zasada przypomina królewskie imprimatur, które nasi ojcowie umieszczali niegdyś na pierwszych stronach swych dzieł i które włączali do książki, chociaż nie miało z nią nic wspólnego.

Dokonawszy tego, polityk wprowadza nową siłę w rzeczywistość polityczną.

Prawie wszystkie domowe spory Amerykanów na pierwszy rzut oka wydają się cudzoziemcowi dziecinne lub niezrozumiałe. Nie wiadomo, czy litować się nad narodem, który poważnie traktuje tego rodzaju niedole, czy też zazdrościć mu tego szczęścia, że ma czas się nimi zajmować.

Kiedy jednak zbadamy ukryte instynkty, które w Ameryce rządzą działaniem frakcji, przekonamy się, że większość spośród nich w mniejszym lub większym stopniu wiąże się z istnieniem dwóch wielkich obozów, które dzielą ludzi, odkąd istnieją wolne społeczeństwa. Wnikając zaś głębiej w wewnętrzne mechanizmy myślenia tych stronnictw widzimy, że jedne z nich próbują ograniczyć zakres władzy publicznej, inne natomiast próbują go rozszerzyć.

Nie twierdzę bynajmniej, że stronnictwa amerykańskie, w sposób bardziej lub mniej ukryty, mają zawsze na celu zwycięstwo czynnika arystokratycznego lub demokratycznego w Ameryce. Utrzymuję jedynie, że demokratyczne lub arystokratyczne namiętności dają się łatwo wyśledzić pod zewnętrznymi objawami działania wszystkich stronnictw i choć umykają powierzchownej obserwacji, stanowią ich charakterystyczną cechę oraz określają ich ducha.

Oto niedawny przykład: prezydent przypuszcza atak na bank Stanów Zjednoczonych; cały kraj jest poruszony, opinie są podzielone — warstwy wyk-

sztalcone opowiadają się zasadniczo po stronie banku, lud zaś po stronie prezydenta. Nie sądźmy, że w ogólnym zamieszaniu, jakie powstało wokół tej sprawy, lud umiał odnaleźć swe własne racje, skoro wahali się nawet ludzie w tych sprawach doświadczeni. Lecz bank jest wielką, niezależną instytucją; lud, który panuje nad wszelką władzą, nie może wywierać nań wpływu. Ta sytuacja go niepokoi. Zdumiewa go istnienie tego nieruchomego punktu w społeczeństwie, którego instytucje nieustannie się zmieniają. Lud chce sprawdzić, czy nie uda mu się wprawić w ruch i tego elementu rzeczywistości.

O pozostałościach stronnictwa arystokratycznego w Stanach Zjednoczonych

W krajach, w których poglądy na sprawy publiczne są podzielone, zdarza się, że jedno ze stronnictw zdobywa zdecydowaną przewagę w chwili, gdy zachwiana zostaje równowaga między partiami. Zwycięskie stronnictwo przełamuje wszelkie przeszkody, przytłacza przeciwnika i wykorzystuje całe społeczeństwo do swoich własnych celów. Zwyciężeni, straciwszy wiarę w sukces, kryją się lub milkną. Następuje ogólny bezruch i zapada cisza. Naród jednoczy się na pozór we wspólnym sposobie myślenia. Zwycięskie stronnictwo zdaje się mówić: «Przyniosłem spokój państwu i należy mi się wdzięczność.»

Wszelako pod pozorami jedności ukrywają się głębokie podziały i trwa rzeczywista opozycja.

Tak właśnie było w Ameryce. Gdy partia demokratyczna zyskała przewagę, objęła wyłączne prowadzenie wszelkich spraw. Od tej chwili nie przestała kształtować na swoją modłę obyczajów i praw.

Można powiedzieć, że zamożne warstwy społeczeństwa są dziś niemal całkowicie wyłączone z życia politycznego oraz że bogactwo nie tylko nie daje żadnych uprawnień, ale wręcz stanowi przyczynę niełaski i przeszkodę w zdobyciu władzy.

Bogaci wolą wycofać się z gry niż prowadzić nierówną walkę z najbiedniejszymi współobywatelami. Nie mogąc zdobyć w życiu publicznym pozycji analogicznej do tej, jaką zajmują w życiu prywatnym, przestają interesować się pierwszym i skupiają wyłącznie na drugim. Tworzą wewnątrz państwa jakby specjalną społeczność, która posiada własne upodobania oraz własne sposoby korzystania z życia.

Bogaty człowiek godzi się z podobnym stanem rzeczy jako ze złem koniecznym i nawet starannie unika okazywania, że jest to dla niego dotkliwe. Można więc usłyszeć, jak publicznie wychwala zalety rządu republikańskiego i wyższość form demokratycznych. Czyż jest bowiem — oprócz nienawiści — bardziej naturalny odruch wobec wroga jak pochlebstwo?

Przyjrzyjmy się temu zamożnemu obywatelowi: czyż nie wygląda tak jak średniowieczny Żyd, który chce uniknąć podejrzenia o bogactwo? Ubiór jego jest prosty, postępowanie skromne, w czterech ścianach jego domu panuje jednak uwielbienie luksusu — nie pozwala wchodzić do tego sanktuarium nikomu poza kilkoma wybranymi osobami, które bezczelnie nazywa swoimi bliźnimi. Trudno spotkać w Europie arystokratę oddającego się bardziej ekskluzywnym przyjemnościom i bardziej zazdrosnego o najmniejsze nawet korzyści, jakie daje uprzywilejowana pozycja. Ale oto wychodzi z domu, udając się do pracy w zakurzonej norze, którą zajmuje w centrum miasta i spraw publicznych. Tam wolno wejść każdemu. Po drodze spotyka swego szewca i obaj zatrzymują się na chwilę pogawędki. Cóż mogą sobie powiedzieć? Rozmawiają o sprawach państwowych jak dwaj równi obywatele i nie pożegnają się bez uścisku dłoni.

Pod tym konwencjonalnym entuzjazmem i pogrzebowo uroczystymi formami szacunku dla panującej władzy łatwo dostrzec u ludzi zamożnych wielkie obrzydzenie do demokratycznych instytucji swego kraju. Lud jest potęgą, której się boją i której nienawidzą. Gdyby kiedykolwiek złe rządy demokratyczne spowodowały w Ameryce polityczny kryzys, gdyby monarchia okazała się w Stanach Zjednoczonych rzeczą możliwą, wkrótce potwierdziłaby się prawdziwość moich słów.

W walce o zwycięstwo stronnictwa posługują się dwoma rodzajami broni o wielkim znaczeniu. Są to prasa oraz stowarzyszenia.

ROZDZIAŁ TRZECI

O wolności prasy w Stanach Zjednoczonych

Wolność prasy ma wpływ nie tylko na poglądy polityczne, ale na wszystkie poglądy ludzi. Kształtuje nie tylko prawa, ale i obyczaje. Na innym miejscu będę starał się w tej książce zastanowić, w jakim stopniu wolność prasy wywarła wpływ na społeczeństwo amerykańskie, spróbuję odczytać kierunek, jaki nadała sposobowi myślenia Amerykanów, oraz rozpoznać nawyki, jakie wpoiła w ich umysły i serca. Teraz jednak chcę zbadać wyłącznie skutki, jakie istnienie wolności prasy wywołuje w życiu politycznym.

Przyznaję, że nie żywię dla wolności prasy tego pełnego i spontanicznego zachwytu, jaki odczuwamy dla rzeczy, które są dobre z samej swej natury i niezależnie od okoliczności. Znacznie bardziej podziwiam ją dla zła, któremu zapobiega, niż dla dobra, które czyni.

Gdyby ktoś wskazał mi owo pośrednie miejsce między całkowitą wolnością i całkowitym zniewoleniem myśli, miejsce, którego można by się na zawsze trzymać — być może uznałbym je za swoje własne. Któż jednak jest w stanie je znaleźć? Powiedzmy, że pragniemy ograniczyć wolność prasy i przywrócić elementy porządku. Jak zatem postępujemy? Stawiamy pisarzy przed sądami przysięgłych. Lecz przysięgli wydają wyrok uniewinniający i to, co było dotąd opinią odosobnionego człowieka, staje się opinią kraju. Zrobiliśmy więc jednocześnie za dużo i za mało — trzeba posunąć się dalej. Stawiamy autorów przed zwyczajnymi sądami. Lecz sędziowie, zanim wydadzą wyrok, muszą ich wysłuchać — to, co budziło nasze obawy na stronicach książki, jest teraz bezkarnie głoszone przez obrońcę; to, co w sposób niejasny było powiedziane w jednym utworze, zostaje teraz powtórzone w tysiącu innych. Forma, w jakiej myśl została wyrażona, jest tylko, by tak rzec, jej cielesną powłoką, nie zaś samą myślą. Sąd wyrokuje przeciw owej powłoce, lecz dusza wymyka mu się i wyślizguje z rąk. Zrobiliśmy więc jednocześnie za dużo i za mało — trzeba posunąć się dalej. Oddajemy pisarzy we władzę cenzorów. Świetnie — zbliżamy się nareszcie do celu. Czyż jednak trybuna polityczna nie pozostała wolna? A więc i tym razem nie udało się nam zapobiec złu. Gorzej — powiększyliśmy je nawet. Wzięliśmy myśl za jedną z tych materialnych potęg, które rosną wraz z liczbą wyznawców. Liczymy pisarzy tak, jak liczy się żołnierzy wrogiej armii. Tymczasem w przeciwieństwie do siły materialnej siła myśli rośnie często dzięki małej liczbie tych, którzy je głoszą. Jedno słowo posiadającego autorytet człowieka, który sam staje pośród milczącego zgromadzenia, ma więcej siły od prze-

krzykiwania się tysiąca mówców. Jeżeli można swobodnie przemawiać w jednym miejscu publicznym, to jest tak, jakby przemawiać naraz wszędzie. Musimy więc znieść nie tylko wolność pisania, ale i wolność mówienia. Tym razem jesteśmy u celu — wszyscy milkną. Do czego jednak doszliśmy? Chcieliśmy tylko ograniczyć nadużywanie wolności, tymczasem znaleźliśmy się u tronu despoty.

Przeszliśmy całą drogę od krańcowej wolności do całkowitego zniewolenia, nie napotkawszy miejsca, w którym moglibyśmy się na stałe zatrzymać.

Są narody, które niezależnie od przytoczonych tu ogólnych powodów mają szczególne powody po temu, by pragnąć wolności prasy.

. . . . . .

Pierwsze pismo, jakie wpadło mi w rękę po przyjeździe do Ameryki, zawierało następujący artykuł, który wiernie tłumaczę:

«Język, którym posługiwał się w całej tej sprawie Jackson (prezydent), był językiem despoty bez serca, zajętego wyłącznie utrzymaniem własnego stanowiska. Jego zbrodnią jest ambicja i ta zbrodnia nie ujdzie kary. Intryga jest jego powołaniem i ona sama pomiesza mu szyki i pozbawi go władzy. Rządzi za pomocą przekupstwa i jego przestępcze kombinacje przyniosą mu wstyd i hańbę. Na arenie politycznej okazał się być bezwstydnym i pozbawionym hamulców graczem. Na razie mu się udało. Ale niedługo wybije godzina sprawiedliwości. Będzie musiał zwrócić wygraną i odrzucić swe fałszowane karty; skończy w jakimś odosobnionym miejscu, gdzie będzie mógł do woli przeklinać własną głupotę, ponieważ skrucha jest cnotą nie znaną jego sercu.» («Vincennes Gazette».)

We Francji wielu ludzi wyobraża sobie, że gwałtowność prasy jest związana z niestabilnością układu społecznego, z politycznymi namiętnościami oraz z powszechnym niezadowoleniem, które z tego wynika. Oczekują więc ciągle, że nadejdzie czas, kiedy społeczeństwo się uspokoi, a wraz z nim i prasa. Co do mnie, chętnie przyznam, iż powyższe przyczyny sprawiają, że prasa wywiera na nas tak ogromny wpływ. Nie sądzę jednak, by te przyczyny wpływały szczególnie na język, jakim się posługuje. Wydaje mi się, że prasa posiada własne odruchy i namiętności, które istnieją niezależnie od okoliczności, w jakich funkcjonuje. Dowodzi tego rzeczywistość amerykańska.

Ameryka jest w tej chwili być może tym krajem na świecie, który nosi w sobie najmniej zarodków rewolucji społecznej. Jednocześnie prasa w Ameryce ma te same niszczycielskie skłonności co we Francji i tę samą gwałtowność, choć nie ma równych powodów do gniewu. W Ameryce, tak samo jak we Francji, prasa jest tą niezwykłą potęgą, w której zło i dobro splecione są ze sobą w tak przedziwny sposób, że bez niej wolność nie mogłaby istnieć, a przy niej ledwie da się utrzymać elementarny porządek.

Należy podkreślić, że w Ameryce prasa posiada daleko mniejszą władzę niż u nas. Do rzadkości należy tam jednak sądowy proces skierowany przeciw niej. Przyczyna tego jest prosta: Amerykanie, raz przyjąwszy zasadę suwerenności ludu, zastosowali ją prostolinijnie. Skoro wszystko w społeczeństwie miało się zmieniać, wcale nie zamierzali stworzyć konstytucji, których istnienie byłoby wieczne. Atakowanie istniejących praw nie jest więc tam zbrodnią, pod warunkiem że nie używa się do tego przemocy.

Amerykanie uważają zresztą, że sądy są bezsilne wobec prasy, ponieważ elastyczność ludzkiego języka jest zjawiskiem, które wymyka się sądowej analizie i przestępstwa tej natury są nieuchwytne. Myślą, że na prasę skutecznie oddziaływałby wyłącznie taki trybunał, który będąc oddanym istniejącemu porządkowi, mógłby być jednak umieszczony ponad opinią publiczną, który sądziłby przy drzwiach zamkniętych, orzekał bez konieczności uzasadniania wyroku oraz skazywał raczej za intencję niż za słowa. Lecz gdyby ktokolwiek był władny powołać i utrzymać taki trybunał, traciłby jedynie czas na walkę z wolnością prasy, ponieważ będąc wtedy absolutnym panem samego społeczeństwa, mógłby uwolnić się od pisarzy razem z ich pisaniną. W dziedzinie wolności prasy nie istnieje więc złoty środek między poddaństwem a samowolą. By zdobyć bezcenne dobro, które uzyskać można właśnie dzięki wolności prasy, trzeba się zgodzić na nieuniknione zło, jakie ona niesie. Chcąc zaś uzyskać dobro unikając zła padamy ofiarą jednego z tych złudzeń, jakimi żywią się narody chore, kiedy to, zmęczone walką i wyczerpane, poszukują sposobu, który pozwoliłby współżyć na jednej ziemi wrogim ideom i sprzecznym zasadom.

A oto główne spośród przyczyn niewielkiej siły prasy w Ameryce:

Wolność pisania, jak wszystkie inne, jest wtedy najgroźniejsza, gdy jest zjawiskiem nowym. Społeczeństwo, które nigdy nie przysłuchiwało się wywodom na temat spraw państwowych, wierzy pierwszemu mówcy, który przed nim stanie. U Amerykanów wolność pisania jest równie stara jak powstanie kolonii. Zresztą prasa, która tak dobrze umie rozdmuchiwać polityczne namiętności, nie może jednak sama ich stwarzać. Otóż amerykańskie życie polityczne jest aktywne, zróżnicowane i nawet gorączkowe, lecz rzadko bywa zakłócane przez głębokie namiętności. Nieczęsto zdarza im się ujawniać, jeśli nie są narażone materialne interesy obywateli, a w Stanach Zjednoczonych interesy te idą dobrze. By ocenić różnicę, jaka w tej mierze istnieje między Stanami Zjednoczonymi a Francją, wystarczy rzucić okiem na gazety obu krajów. We Francji ogłoszenia handlowe zajmują niewiele miejsca i nawet wiadomości są nieliczne. Najżywsze strony gazety to te, które poświęcone są politycznym dyskusjom. W Ameryce trzy czwarte ogromnego dziennika zajmują ogłoszenia, resztę uzupełniają wiadomości polityczne lub zwykłe historyjki -i tylko w najmniej ważnej rubryce można czasami na-

potkać jedną z tych płomiennych dyskusji, które u nas są codzienną strawą czytelników.

Każda władza powiększa swe oddziaływanie, w miarę jak udaje jej się nadać jednolity kierunek swoim wpływom. Jest to ogólne prawo natury, o którego istnieniu doświadczenie poucza obserwatora, a pewniejszy jeszcze instynkt — najmarniejszego despotę.

Prasa francuska jest podwójnie scentralizowana.

Niemal cała jej władza skupiona jest w jednym miejscu, a także poniekąd w jednym ręku, ponieważ jej organy są bardzo nieliczne.

W narodzie, którego cechą charakterystyczną jest postawa sceptyczna, oddziaływanie tak zorganizowanej prasy winno być niemal nieograniczone. Staje się ona przeciwnikiem, z którym rząd przez pewien czas może się układać, wobec którego jednak trudno mu jest dłużej przetrwać.

Żaden z tych rodzajów centralizacji prasy nie istnieje w Ameryce.

Stany Zjednoczone nie posiadają stolicy — ludzie wpływowi i wykształceni rozproszeni są po całym wielkim kraju, a promieniowanie życia intelektualnego, miast rozchodzić się z jednego miejsca, przecina się tu we wszystkich kierunkach. Amerykanie nie skupili nigdzie ośrodka myśli, tak samo jak i nie stworzyli ośrodka, który kierowałby interesami.

Wynika to ze specyficznych okoliczności, na które ludzie nie mają żadnego wpływu, oraz — po części — także z praw.

W Stanach Zjednoczonych nie trzeba mieć zezwolenia na druk, nie istnieją opłaty stemplowe ani konieczność rejestracji dzienników. Kaucja finansowa także nie jest znana.

Założenie gazety jest wobec tego przedsięwzięciem prostym i łatwym. Wystarcza niewielu prenumeratorów, by właścicielowi dziennika zwróciły się wydatki. Toteż liczba pism periodycznych przekracza w Ameryce wszelkie wyobrażenie. Temu wielkiemu rozproszeniu sił przypisują wykształceni Amerykanie małe znaczenie prasy w Stanach Zjednoczonych. Zasada głosząca, iż najlepszym sposobem zneutralizowania siły gazet jest powiększenie ich liczby, należy w Stanach Zjednoczonych do pewników wiedzy politycznej. Trudno wprost pojąć, że tak oczywista sprawa nie jest u nas powszechnie rozumiana. Pojmuję, że ludzie, którzy zamierzają spowodować rozruchy przy pomocy prasy, starają się ograniczyć ją do kilku potężnych organów, lecz nie mogę doprawdy pojąć, dlaczego oficjalni wyznawcy istniejącego systemu oraz ludzie będący podporą przyjętego prawa liczą na osłabienie wpływów prasy przez jej skoncentrowanie. W Europie rządzący wydają mi się postępować wobec prasy tak, jak wobec swych wrogów postępowali średniowieczni rycerze: ponieważ z własnego doświadczenia wiedzą, że centralizacja stanowi o potędze, chcą zapewnić ją także i przeciwnikowi, zapewne po to, by zwyciężywszy go zdobyć więcej chwały.

W Stanach Zjednoczonych nie ma prawie mieściny, która nie posiadałaby własnej gazety. Jasną jest rzeczą, że wśród tylu walczących nie da się utrzymać ani dyscypliny, ani jedności działania. Każdy walczy pod własnym sztandarem. Nie znaczy to, by pisma polityczne Unii nie opowiadały się za istniejącą administracją lub przeciw niej; bronią jej jednak i atakują ją na sto różnych sposobów. Gazety nie mogą więc sprzyjać rodzeniu się w Stanach Zjednoczonych tych wielkich nurtów ideowych, które potrafią obalić lub przekroczyć najpotężniejsze zapory. Ten podział sił prasy ma natomiast inne jeszcze zalety: skoro stworzenie pisma jest tak łatwe, wszyscy mogą tego próbować. Z drugiej strony, konkurencja sprawia, że gazeta nie może liczyć na wielkie zyski — dlatego też potęgi przemysłowe nie mieszają się do tego rodzaju przedsięwzięć. Gdyby zresztą gazety mogły być źródłem wielkich dochodów, nie starczyłoby zdolnych dziennikarzy, by nimi kierować. Pozycja dziennikarzy w Stanach Zjednoczonych jest więc w zasadzie niezbyt wysoka, wykształcenie pobieżne, a sposób myślenia często pospolity. W każdej dziedzinie wszystkie prawa dyktuje większość, powołując do życia formy, do których każdy potem się dostosowuje, a duchem danej grupy ludzi (esprit de corps) nazywamy właśnie całość tak powstałych nawyków — i tak istnieje na przykład esprit de corps adwokatury, esprit de corps sądu itp. Esprit de corps dziennikarzy we Francji polega na gwałtownym, aczkolwiek dystyngowanym i elokwentnym dyskutowaniu spraw państwa. Jeżeli nawet nie jest tak zawsze, to dlatego że każda reguła ma wyjątki. Natomiast esprit de corps amerykańskiego dziennikarstwa polega na prostackim i prymitywnym wykorzystywaniu namiętności czytelnika, na rezygnowaniu z idei, po to by łatwiej dobrać się do ludzi, na wyciąganiu na jaw faktów z ich prywatnego życia, na demaskowaniu ich słabości i wad.

Nad takim nadużyciem należy ubolewać. Będę miał jeszcze okazję mówić o wpływie, jaki gazety wywierają na gusta oraz na moralność amerykańskiego społeczeństwa, teraz jednak ograniczam się do życia politycznego. Nie można zaprzeczyć, że polityczne skutki samowoli prasy pośrednio sprzyjają utrzymaniu publicznego spokoju. Ludzie posiadający duży autorytet nie ośmielają się pisać do gazet, tracąc w ten sposób najgroźniejszą broń, jaką mogliby się posłużyć w celu pozyskania namiętności ludu. Osobisty punkt widzenia dziennikarza nie ma właściwie także żadnej wagi dla czytelnika, który w gazecie spodziewa się znaleźć przede wszystkim informacje na temat faktów. Dziennikarz może propagować swoje poglądy jedynie przeinaczając fakty oraz wyolbrzymiają je.

Mimo iż ograniczona do tych sposobów oddziaływania, prasa ciągle jeszcze posiada w Ameryce pewne znaczenie. To ona powoduje, że życie polityczne toczy się we wszystkich zakątkach wielkiego kraju. To jej czujne oko potrafi wyśledzić tajemne sprężyny polityki. Ona stawia publiczne osobistości przed trybunałem opinii. Ona doprowadza do skupiania się interesów

wokół pewnych teoretycznych formuł i precyzuje symbolikę stronnictw. To dzięki niej stronnictwa mogą porozumiewać i pojmować się na odległość. Kiedy wiele organów prasowych zaczyna zmierzać ku jednemu politycznemu celowi, ich wpływy stają się po pewnym czasie przemożne, a opinia publiczna, atakowana stale z jednej strony, poddaje się w końcu sugestiom prasy.

Każde pismo wzięte z osobna ma w Ameryce niewielką władzę, lecz prasa pozostaje tam jednak — obok ludu — jedną z pierwszych potęg.

Ponieważ w Stanach Zjednoczonych demokracja powołuje stale nowych ludzi do władzy, rządowi z trudnością przychodzi utrzymać konsekwencję i ład w swym działaniu. Wszelako główne zasady rządzenia mają tu więcej stałość niż w wielu innych krajach, a zasadnicze idee, które regulują życie społeczne — więcej trwałości. Jeżeli jakaś idea opanuje umysły w amerykańskim społeczeństwie, nie ma nic trudniejszego nad jej wykorzenienie, niezależnie od tego czy jest ona słuszna, czy niedorzeczna.

Podobne zjawisko zauważono w Anglii — w kraju, który w przeciągu całego stulecia wyróżniał się największą wolnością myśli i niezwalczonymi przeświadczeniami.

Przyczyną tego zjawiska jest, jak sądzę, właśnie wolność prasy, choć na pierwszy rzut oka wydaje się, że powinna mu ona zapobiegać. Narody korzystające z tej wolności przywiązują się do swych przeświadczeń zarówno z przekonania, jak i z dumy. Pielęgnują je dlatego, .że wydają się im słuszne, ale i dlatego, że same je wybrały i trzymają się ich nie tylko jako prawdziwych, ale i jako własnych.

Istnieją i inne powody.

Pewien wielki człowiek powiedział, że ignorancja stanowi dwa bieguny wiedzy. Kto wie, czy nie można by powiedzieć z większą jeszcze słusznością, że głębokie przeświadczenia znajdują się jedynie na obu krańcach, w środku zaś jest zwątpienie. Koleje ludzkiego ducha sprowadzają się w końcu do tych trzech różnych, a częstokroć następujących po sobie stanów.

Człowiek najpierw wierzy mocno, ponieważ przyjmuje przekonania za swoje nie zgłębiając ich. Wątpi, gdy pojawiają się zastrzeżenia. Często udaje mu się przezwyciężyć wątpliwości i wtedy zaczyna na powrót wierzyć. Tym razem jednak nie przyjmuje prawdy przypadkowo i po omacku, lecz widzi ją wyraźnie i kieruje się wprost ku jej światłu.

Jeżeli wolność prasy zastaje ludzi w tym pierwszym stadium, nawyk silnego i ślepego wierzenia pozostaje im jeszcze na długo; ona zaś co chwila każe im wierzyć w coś innego. Umysł ludzki w dalszym ciągu dostrzega wtedy tylko jeden punkt, lecz punkt ten wciąż się zmienia. Są to czasy nagłych przewrotów. Nieszczęsne pokolenia, którym jako pierwszym przychodzi z nagła doświadczyć wolności prasy!

Wkrótce jednak wyczerpany jest już prawie cały zasób nowych idei. Przychodzi doświadczenie i człowiek pogrąża się w zwątpienie i wszechogarniającą nieufność.

Większość ludzi zatrzymuje się na zawsze w jednym z tych dwóch stadiów. Wierzą nie wiedząc dlaczego lub nie znajdują nic, co warte byłoby wiary.

Nielicznym tylko udaje się dotrzeć do stadium świadomych i niezależnych przekonań, które rodzą się z wiedzy i wyrastają w samym ognisku zwątpienia.

Otóż zauważono, że ludzie nieraz zmieniali wiarę w czasach wielkich namiętności religijnych, natomiast w czasach zwątpienia każdy uporczywie tkwił przy swojej. To samo zdarza się w dziedzinie polityki w czasach wolności prasy. Kiedy wszystkie teorie społeczne zostały kolejno zakwestionowane, ludzie trzymają się tej, przy której się opowiedzieli, nie dlatego, by byli przekonani o jej słuszności, ale dlatego, że nie spodziewają się natrafić na lepszą.

W takich czasach ludzie nie spieszą się oddawać życia za swoje przekonania, ale ich nie zmieniają. Jest mniej męczenników, ale i mniej apostatów.

Wspomnijmy o jednej jeszcze, potężniejszej racji: kiedy żaden pogląd nie jest uważany za niewątpliwie słuszny, ludzie zaczynają kierować się w większym stopniu instynktami i interesami materialnymi, które z natury są bardziej widoczne, uchwytne i trwałe od poglądów.

Bardzo trudno byłoby zdecydować, który system jest lepszy — demokratyczny czy arystokratyczny. Jedno jest pewne: pierwszy utrudnia życie jednych ludzi, drugi zaś uciska innych.

Ty jesteś bogaty, a ja jestem biedny — oto prawda, która narzuca się sama i nie wymaga uzasadnień.

ROZDZIAŁ CZWARTY

O stowarzyszeniach politycznych w Stanach Zjednoczonych

Ameryka jest krajem, w którym najlepiej wykorzystano ideę stowarzyszeń i w którym najpełniej zastosowano ten potężny środek oddziaływania. Oprócz stałych stowarzyszeń, powołanych do życia przez prawo pod nazwą gmin, miast oraz hrabstw, istnieje mnóstwo innych, które swe istnienie i rozwój zawdzięczają woli pojedynczych ludzi.

Mieszkaniec Stanów Zjednoczonych od dzieciństwa uczy się tego, że w walce ze złem i życiowymi przeciwnościami należy liczyć przede wszystkim na siebie. Na władze publiczne patrzy nieufnie, odwołując się do nich tylko wtedy, gdy jest to niezbędne. Dzieje się tak już w szkole, gdzie dzieci nawet w zabawie podporządkowują się regułom, które same ustanowiły, i same określają wykroczenia domagające się kary. Podobnie dzieje się w życiu Społecznym. Oto ruch na drodze publicznej ulega zakłóceniu — okoliczni mieszkańcy natychmiast powołują radę i z tego zaimprowizowanego zgromadzenia wyłoniona zostaje siła wykonawcza, która zaradzi złu, zanim komukolwiek z zainteresowanych przyjdzie do głowy zwrócić się do władz. Ta sama reguła obowiązuje, gdy chodzi o rozrywki. Powołuje się radę, której zadaniem jest nadanie splendoru świętom oraz utrzymanie porządku w czasie ich trwania. Stowarzyszenia organizuje się także po to, by przeciwstawić się złu o charakterze moralnym — wszelkie nieumiarkowanie zwalczane jest wspólnymi siłami. W Stanach Zjednoczonych stowarzyszenia służą obronie bezpieczeństwa publicznego, rozwijaniu handlu i przemysłu, rozkwitowi moralności i religii. Nie ma bowiem takiej rzeczy, której wola ludzka nie byłaby zdolna osiągnąć przez dobrowolne działania jednostek połączonych we wspólnym wysiłku.

Będę miał jeszcze okazję mówić o wpływie stowarzyszeń na życie społeczeństwa, teraz poprzestaję na opisie rzeczywistości politycznej.

Mając prawo zakładania stowarzyszeń, obywatele mogą wykorzystywać je na wiele sposobów.

Stowarzyszenie polega jedynie na fakcie publicznej akceptacji, jakiej pewna grupa ludzi udziela określonym ideom, oraz na tym, że podejmują się oni współdziałać w celu zapewnienia im rozkwitu. Prawo zakładania stowarzyszeń jest poniekąd tożsame z wolnością słowa, stowarzyszenie posiada jednak większą potęgę niż prasa. Pogląd, jaki reprezentuje stowarzyszenie, musi zostać sformułowany jaśniej i wyraźniej. W ten sposób zdobywa on

zwolenników. Zwolennicy łączą się, a ich zapał rośnie wraz z liczbą. Stowarzyszenie jednoczy rozbieżne wysiłki wielu umysłów i stawia przed nimi jasno określony cel.

Drugim stopniem działalności stowarzyszenia jest organizowanie zgromadzeń. Aktywność oraz wpływy stowarzyszenia wzrastają, kiedy może ono stworzyć ośrodki działania w różnych ważnych rejonach kraju. W ośrodkach tych spotykają się ludzie, wzbogacają się metody postępowania, idee zaś rozkwitają z siłą i żarliwością, których nie mogłoby osiągnąć słowo drukowane.

Z prawa zakładania stowarzyszeń wynikają wreszcie i konsekwencje ściśle polityczne, i to jest trzeci stopień ich działalności. Zwolennicy tej samej idei mogą się mianowicie łączyć w komitety wyborcze oraz mianować kandydatów, którzy będą następnie reprezentować stowarzyszenie w zgromadzeniu centralnym. W gruncie rzeczy mamy tu do czynienia z systemem przedstawicielskim zastosowanym do stronnictw politycznych.

W pierwszym wypadku ludzie żywiący te same przekonania tworzą związki o charakterze czysto intelektualnym, w drugim łączą się w małe zgromadzenia, stanowiące odłam stronnictwa. W trzecim wreszcie tworzą coś w rodzaju narodu wewnątrz narodu, rządu wewnątrz rządu. Ich delegaci, podobnie jak delegaci większości, reprezentują całą zjednoczoną siłę swoich zwolenników. Oni też są niby przedstawiciele pewnej narodowości, posiadający całą jej siłę moralną. Nie mają uprawnień prawodawczych przysługujących delegatom większości, ale są władni krytykować istniejące prawo oraz formułować projekty takiego prawa, które ich zdaniem powinno zająć miejsce dotychczasowego.

Wyobraźmy sobie naród, który nie nawykł jeszcze do czynienia użytku z wolności lub w łonie którego fermentują głębokie namiętności polityczne. Obok większości ustanawiającej prawa załóżmy istnienie mniejszości, która ogranicza się do ich krytykowania oraz zgłaszania propozycji nowych praw. Trudno mi powstrzymać się od refleksji, że ład społeczny byłby tam narażony na poważne niebezpieczeństwa.

Od stwierdzenia, że jakieś prawo jest lepsze od innego prawa, daleko jest do udowodnienia, iż winno je ono zastąpić. Wszelako tam, gdzie oświecony umysł upatruje wielką różnicę, wyobraźnia tłumu nie dostrzega jej wcale. Zdarza się zresztą, że narody niemal równo dzielą się między dwa stronnictwa, z których każde uważa, że reprezentuje większość. Jeżeli pod bokiem władzy rządzącej powstaje druga potęga o równie dużym autorytecie moralnym, to czyż można się łudzić, że miast działać, ograniczy się tylko do słów?

Czyż zdolna ją będzie powstrzymać ta abstrakcyjna zasada, która twierdzi, że celem stowarzyszeń jest oddziaływanie na poglądy, a nie ich opano-

wywanie, zdobycie doradczego głosu w kwestii prawa, nie zaś dyktowanie praw?

Im głębiej rozważam rezultaty, jakie przynosi niezależność prasy, tym bardziej się utwierdzam w przekonaniu, iż jest ona dzisiaj podstawowym i, by tak rzec, konstytutywnym elementem wolności. Społeczeństwo, które chce pozostać wolnym, ma prawo żądać utrzymania wolności prasy za wszelką cenę. Ale nieograniczona wolność stowarzyszeń politycznych nie może być rozumiana jako jednoznaczna z wolnością słowa. Pierwsza z tych swobód jest mniej konieczna i niebezpieczniejsza zarazem. Naród może nakreślić jej granice nie przestając być panem samego siebie; nieraz jest to nawet niezbędne, by mógł przetrwać.

Wolność zakładania stowarzyszeń politycznych jest w Ameryce nieograniczona. Przykład pokaże to lepiej niż jakiekolwiek wywody.

Pamiętamy, jak bardzo problem ceł wewnętrznych czy też wolności handlu poruszył swego czasu amerykańskie społeczeństwo. System ceł faworyzował: lub podważał nie tylko poglądy, ale i potężne interesy materialne. Północ uważała go za główną przyczynę swego dobrobytu, Południe obarczało go winą za swe niepowodzenia. Można powiedzieć, że sprawa ceł przez długi czas pozostawała jedynym źródłem politycznych namiętności, które ożywiały Unię.

W 1831 roku, gdy spory osiągnęły swój szczyt, pewien nie znany nikomu obywatel Massachusetts wpadł na pomysł, by za pośrednictwem gazet zaproponować wszystkim przeciwnikom ceł wewnętrznych, by przysłali swych delegatów do Filadelfii, gdzie wspólnie mieli oni obradować nad sposobami zapewnienia wolności handlu. Dzięki wynalazkowi druku propozycja ta w krótkim czasie dotarła wszędzie — od Maine do Nowego Orleanu. Przeciwnicy ceł przyjęli ją z entuzjazmem. Zebrali się i wyznaczyli delegatów. Większość delegatów stanowili ludzie znani, a niektórzy z nich stali się nawet sławni. Południowa Karolina, która później w tej samej sprawie chwyciła za broń, przysłała sześćdziesięciu trzech delegatów. Pierwszego października 1831 roku zgromadzenie, które zgodnie z amerykańskim zwyczajem przyjęło miano konwencji, ukonstytuowało się w Filadelfii. Liczyło ono ponad dwustu członków. Obrady toczyły się publicznie i od pierwszego dnia przybrały charakter prawodawczy. Dyskutowano zakres władzy Kongresu, koncepcje wolności handlu oraz różne elementy systemu ceł wewnętrznych. Po upływie dziesięciu dni zgromadzenie rozjechało się, wystosowawszy adres do narodu amerykańskiego. Adres ów głosił, że: 1) Kongres nie ma prawa narzucać ceł wewnętrznych i istniejący system ceł jest niekonstytucyjny. 2) W interesie żadnego społeczeństwa, a w szczególności społeczeństwa amerykańskiego, nie leży brak wolności handlu.

Trzeba przyznać, że nieograniczona wolność stowarzyszania się nie spowodowała do dziś w Stanach Zjednoczonych zła, którego można by ocze-

kiwać w innym kraju. Prawo zakładania stowarzyszeń przejęte zostało z Anglii i istnieje w Ameryce od początku. Posługiwanie się nim weszło już w obyczaje.

Wolność stowarzyszania się jest w naszych czasach niezbędną gwarancją zabezpieczającą społeczeństwo przed tyranią większości. W Stanach Zjednoczonych partia, która zdobywa przewagę, przejmuje całą władzę w swoje ręce. Jej poplecznicy zajmują wszystkie urzędy i dysponują całą siłą administracji. Najwybitniejsi przedstawiciele partii opozycyjnej nie mogą przekroczyć bariery, która dzieli ich od władzy, muszą więc znaleźć sobie miejsce poza nią. Mniejszość musi mieć szansę przeciwstawienia całej swej moralnej siły materialnej potędze, która ją gnębi. Wolność stowarzyszania się jest więc niebezpieczeństwem, które chroni przed jeszcze większym niebezpieczeństwem.

Wszechwładza większości przedstawia, moim zdaniem, tak wielkie niebezpieczeństwo dla amerykańskich republik, że ów groźny środek, który Amerykanie stosują w celu jej ograniczenia, wydaje mi się wręcz dobroczynny.

Wyrażę teraz myśl, która przypomni to, co podkreślałem przy okazji omawiania swobód gminnych: w krajach o demokratycznym układzie społecznym istnienie stowarzyszeń stanowi konieczną przeciwwagę despotyzmu stronnictw politycznych lub samowoli władcy. W krajach o systemie arystokratycznym istnieją bowiem stanowe i cechowe zgromadzenia, które są jakby naturalnymi stowarzyszeniami stojącymi na przeszkodzie nadużywaniu władzy. Natomiast w krajach, w których tego rodzaju zgromadzenia w ogóle nie istnieją, nie istnieje żadna tama zdolna powstrzymać tyrana, jeżeli pojedyncze osoby nie potrafią sztucznie i na użytek chwili powołać organizmów spełniających ich funkcję. Wielki naród może być wówczas bezkarnie gnębiony przez garstkę ekstremistów lub przez jednego człowieka.

Zgromadzenie wielkiej konwencji politycznej (istnieją konwencje różnego rodzaju), będące częstokroć koniecznym środkiem interwencji, nawet w Ameryce jest zawsze poważnym wydarzeniem, które budzi obawy prawdziwych patriotów.

Pokazało się to wyraźnie podczas konwencji z 1831 roku. Wysiłki ludzi wybitnych biorących udział w zgromadzeniu zmierzały wówczas do powściągnięcia zapałów i ograniczenia zasięgu rozważań. Można przypuszczać, że konwencja z 1831 roku wywarła wielki wpływ na sposób myślenia tych, którzy byli niezadowoleni, i przygotowała ich do otwartego buntu przeciw handlowym prawom Unii, który wybuchł w 1832 roku.

Nieograniczona wolność działania stowarzyszeń o charakterze politycznym jest najbardziej niebezpieczną ze swobód zagrażających życiu Społeczeństwa. Jeżeli bowiem wolność ta nie prowadzi nawet do anarchii, to na pewno sprawia, że naród nieustannie się o anarchię ociera. Ta niebezpieczna

wolność daje jednak pewne gwarancje: mianowicie w krajach, w których wolno się stowarzyszać, nie istnieją tajne związki. W Ameryce są buntownicy, ale nie ma konspiratorów.

Obok swobody indywidualnego działania, najbardziej naturalną potrzebą człowieka jest wolność łączenia swoich wysiłków z wysiłkami innych ludzi i wspólnego z nimi działania. Jest więc równie trudno odebrać ludziom prawo zakładania stowarzyszeń jak indywidualną wolność. Prawodawca, który chce pozbawić człowieka tej wolności, mierzy tym samym w życie społeczeństwa. A jednak obok narodów, dla których wolność jednoczenia się jest dobroczynna i obfituje w szczęśliwe rezultaty, są narody, które doprowadzają do jej wynaturzenia, z życiodajnej siły czyniąc przyczynę zniszczenia. Myślę, że byłoby pożytecznym zarówno dla rządów, jak i dla stronnictw politycznych porównanie różnych dróg obieranych przez stowarzyszenia w tych krajach, w których wolność jest pojmowana prawidłowo, oraz w tych, w których zmienia się w samowolę.

Większość Europejczyków widzi jeszcze w stowarzyszeniach coś w rodzaju wojennego oręża, które przygotowuje się w pośpiechu i natychmiast wypróbowuje na polu walki.

Ludzie stowarzyszają się u nas w celu wymiany myśli, lecz zaprzęta ich przede wszystkim idea bliskiego działania. W naszych stowarzyszeniach, tak jak w wojsku, dyskutuje się po to, by obliczyć siły i wzbudzić zapał, potem zaś wyrusza się na wroga. Środki legalne mogą mieć pewne znaczenie dla członków naszych stowarzyszeń, ale w gruncie rzeczy nie uważa się ich za wystarczające do zwycięstwa.

W Stanach Zjednoczonych prawo zakładania stowarzyszeń pojmowane jest całkowicie odmiennie. Obywatele tworzący mniejszość stowarzyszają się tam przede wszystkim po to, by udowodnić, jak są liczni, i przez to osłabić moralne panowanie większości. Drugim celem stowarzyszonych jest gromadzenie argumentów i wybranie spośród nich takich, które mogą najskuteczniej przekonać większość; nie tracą oni bowiem nadziei na zdobycie jej dla siebie, by potem w jej imieniu zdobyć także i władzę.

Stowarzyszenia polityczne w Stanach Zjednoczonych mają więc umiarkowane założenia i działają legalnie, jeżeli zaś utrzymują, że pragną zwyciężyć jedynie na drodze prawa, to zasadniczo nie mijają się z prawdą.

Z wielu powodów różnimy się tutaj bardzo od Amerykanów.

W Europie istnieją stronnictwa polityczne tak dalekie w swych poglądach od poglądów większości, że nie mogą nigdy mieć nadziei na zdobycie jej poparcia. Te same stronnictwa uważają się jednocześnie za dostatecznie silne, by z większością walczyć. Jeżeli tego rodzaju stronnictwo powołuje stowarzyszenie, to nie ma zamiaru przekonywać, lecz zwalczać. W Ameryce natomiast ludzie, których poglądy są równie dalekie od poglądów większości,

nie mają żadnych szans na podważenie jej władzy. Wszyscy inni natomiast liczą na jej zdobycie.

Stosowanie prawa do stowarzyszania się jest więc tym niebezpieczniejsze, im trudniej przychodzi wielkim stronnictwom zdobyć większość. W takim kraju jak Stany Zjednoczone, gdzie poglądy nieznacznie tylko różnią się od siebie, prawo zakładania stowarzyszeń może pozostać nieograniczone.

Nasz brak doświadczenia w czynieniu użytku z wolności doprowadza nas do tego, że w wolności stowarzyszeń widzimy tylko prawo do wypowiadania wojny rządowi. Pierwszą rzeczą, o której z chwilą zdobycia siły myśli zarówno stronnictwo, jak pojedynczy człowiek, jest przemoc: myśl o perswazji przychodzi później, rodzi ją bowiem doświadczenie.

Anglicy, którzy są narodem tak głęboko podzielonym, rzadko nadużywają, prawa stowarzyszania się, ponieważ dłużej je praktykują.

U nas jednak panuje namiętne zamiłowanie do wojaczki i nie masz tak bezsensownego przedsięwzięcia — choćby miało wstrząsnąć krajem — w którym śmierci z bronią w ręku nie uznano by za chwalebną.

Lecz najpotężniejszym ze wszystkich środków, które hamują w Stanach Zjednoczonych zapędy stowarzyszeń politycznych, jest powszechne głosowanie. W krajach, w których głosowanie jest powszechne, większość zostaje stwierdzona niepodważalnie, skoro żadna partia nie może pretendować do reprezentowania tych, którzy wcale nie głosowali. Stowarzyszenia są więc świadome — i świadomi są tego wszyscy — że bynajmniej nie reprezentują większości. Wynika to z samego faktu ich istnienia, ponieważ reprezentując większość mogłyby same zmienić prawa, miast ubiegać się o ich reformę.

Zatem siła moralna atakowanego przez nie rządu rośnie, podczas gdy ich własna ulega osłabieniu.

W Europie nie ma prawie stowarzyszenia, które nie chciałoby reprezentować woli większości lub nie wierzyło, że ją reprezentuje. Ta pretensja czy też wiara w cudowny sposób dodaje im sił i znakomicie służy do usprawiedliwienia ich czynów. Cóż bowiem bardziej wybaczalnego nad gwałt zadany w imię gwałconego prawa?

Tak oto, przy całej wieloznaczności praw tworzonych przez człowieka, zdarza się, że krańcowa wolność zapobiega nadużyciu wolności, a krańcowa demokracja zapobiega niebezpieczeństwom demokracji.

W Europie stowarzyszenia uważają się za prawodawcze i wykonawcze rady narodu, który sam musi milczeć. Działają i rozkazują w imię tego przekonania. W Ameryce, gdzie powszechnie są utożsamiane z mniejszością, przemawiają jedynie i ślą petycje.

Środki, jakimi posługują się stowarzyszenia w Europie, są zgodne z ich celami.

Ponieważ ich naczelnym celem nie jest przemawianie, lecz działanie, nie przekonywanie, lecz zwalczanie, tracą charakter cywilny i w ich postępowa-

niu pojawiają się zwyczaje i zasady wojskowe. Centralizują, na ile to możliwe, swoje siły i władzę przysługującą wszystkim oddają w ręce małej grupy ludzi.

Członkowie tych stowarzyszeń przyjmują rozkazy jak żołnierze w czasie kampanii oraz wyznają zasadę biernego posłuszeństwa czy też raczej z chwilą przyłączenia się do grupy czynią ofiarę ze swych własnych sądów i wolnej woli. Dlatego w stowarzyszeniach tych często panuje tyrania, jeszcze bardziej nieznośna od tyranii gnębiącej społeczeństwo za sprawą zwalczanego właśnie rządu.

Pomniejsza to znacznie moralną siłę stowarzyszeń. Tracą mianowicie ową cechę świętości, jaka uszlachetnia walkę ciemiężonych przeciw ciemiężycielom. Na jakiej bowiem podstawie człowiek, który zgadza się być w pewnych wypadkach służalczo posłuszny komuś innemu, który oddaje innym swoją wolę i podporządkowuje swe myśli, może twierdzić, że pragnie być wolny?

W Ameryce stowarzyszenia też wyłaniają z siebie zarząd, ale jest to zarząd o charakterze administracyjnym. W amerykańskich stowarzyszeniach jest więc miejsce dla indywidualnej niezależności. Tak jak i w społeczeństwie, wszyscy ludzie zmierzają jednocześnie ku wspólnemu celowi, ale nie muszą obierać tej samej drogi. Nie muszą rezygnować ze swej woli ani ze swego rozumu, lecz czynią z nich użytek dla dokonania wspólnego dzieła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

O rządach demokracji w Ameryce

O powszechnym głosowaniu

Mówiłem już o tym, że we wszystkich stanach Unii obowiązują powszechne wybory. Wprowadzono je w społecznościach stojących na bardzo różnym stopniu rozwoju. Rezultaty przyjęcia zasady powszechnych wyborów miałem okazję obserwować w różnych miejscowościach, wśród ludzi, których język, religia i obyczaje czynią niemal obcymi sobie nawzajem — w Luizjanie i w Nowej Anglii, w stanie Georgia i w Kanadzie. Przekonałem się, że powszechne wybory nie pociągnęły za sobą w Ameryce tych samych dobrych i złych skutków, których się po nich spodziewamy w Europie, oraz że rezultaty ich wprowadzenia są w zasadzie inne, niż zwykło się przypuszczać.

O wyborze, jakiego dokonuje społeczeństwo oraz o instynkcie wyborczym amerykańskiej demokracji

Wielu ludzi w Europie wierzy — choć o tym nie mówią i że jedną z zalet powszechnych wyborów jest powoływanie do władzy osób godnych społecznego zaufania. Wielu ludzi z kolei głosi tę zasadę, nie wierząc w nią naprawdę. Ludzie ci uważają, że lud nie potrafi co prawda rządzić się sam, zawsze jednak szczerze pragnie dobra państwa, a instynkt wskazuje mu osoby najbardziej zdatne do sprawowania władzy.

Co do mnie, muszę przyznać, że to, co widziałem w Ameryce, nie upoważnia mnie do głoszenia takiej opinii. Kiedy przyjechałem do Stanów Zjednoczonych, ze zdziwieniem stwierdziłem, do jakiego stopnia cnoty są tam częste u rządzonych, a rzadkie u rządzących. Stwierdzony jest fakt, że ludzie najbardziej wybitni są rzadko powoływani do pełnienia funkcji publicznych, i należy uznać, że zaczęło tak się dziać od chwili, gdy demokracja osiągnęła pełny rozwój. Nie ulega wątpliwości, że rasa amerykańskich mężów stanu szczególnie skarlała w ciągu ostatniego półwiecza.

To zjawisko ma wiele przyczyn.

Cokolwiek by się uczyniło, podniesienie poziomu wykształcenia społeczeństwa powyżej pewnej granicy jest niemożliwe. Na próżno będziemy uła-

twiać dostęp do wiedzy, ulepszać metody nauczania czy obniżać opłaty — nigdy nie osiągniemy bowiem stanu, w którym ludzie kształciliby się i rozwijali swą inteligencję nie poświęcając na to dużej ilości czasu.

Pewna łatwość życia bez pracy jest warunkiem intelektualnych postępów. W niektórych krajach jest ona większa, w innych mniejsza. Aby rozwój intelektualny był w pełni możliwy, trzeba, by lud nie musiał zajmować się materialnymi troskami, to znaczy, by przestał być ludem. Jest więc równie trudno wyobrazić sobie społeczeństwo, w którym wszyscy ludzie byliby wykształceni, jak państwo, w którym wszyscy ludzie byliby bogaci. Chętnie przyznam, że obywatele szczerze pragną dobra swego kraju, powiem — co więcej — że niższe warstwy społeczeństwa zdają się łączyć z tym pragnieniem mniej osobistych interesów niż warstwy wyższe. Tym jednak, czego im zawsze w mniejszym lub większym stopniu brakuje, jest umiejętność oceny środków prowadzących do osiągnięcia pożądanego celu. Iluż mozolnych badań, ilu rozmaitych pojęć trzeba, by poznać charakter jednego człowieka! To, czego nie udało się dokonać geniuszom, ma się udać masom? Lud nie ma czasu ani sposobności, by poświęcić się takiej pracy. Jest zawsze skazany na pospieszne osądzanie na podstawie najbardziej widocznych cech. Dlatego właśnie wszelkiego rodzaju szarlatani tak dobrze znają sekret przypodobania się ludowi, podczas gdy często nie udaje się to jego prawdziwym przyjaciołom.

Demokracja zresztą nie tylko nie może wybierać ludzi wartościowych, lecz również nie chce ich wybierać.

Nie należy taić, że instytucje demokratyczne skutecznie rozwijają w ludzkim sercu uczucie zawiści. Dzieje się tak nie dlatego, że dają one każdemu człowiekowi możliwość dorównania innym, lecz dlatego, że możliwości te nie są w stanie ludziom wystarczyć. Instytucje demokratyczne rozbudzają namiętność równości i schlebiają jej, nigdy w pełni jej nie zaspokajając. Całkowita równość wymyka się zawsze z rąk ludu, w chwili gdy zdawał się ją wreszcie uchwycić, i ucieka, jak mówi Pascal, wieczną ucieczką. Poszukiwane dobro jest tym bardziej drogocenne, że znajduje się dostatecznie blisko, aby można je było ujrzeć, i na tyle daleko, że nie można go zakosztować. Lud roznamiętnia się w pogoni za nim. Szansa wygranej go ożywia, niepewność sukcesu drażni. Ludzie ekscytują się, męczą, jątrzą. Wszystko, co w jakiś sposób ich przerasta, wydaje się przeszkodą na drodze do zaspokojenia pragnień i niczyja wyższość nie jest uznana w sposób tak bezwzględny, by jej widok nie drażnił ludzkiego wzroku.

Wielu ludzi wyobraża sobie, że tajemny instynkt, który popycha u nas niższe warstwy do odsuwania, na ile to możliwe, warstw wyższych od władzy, ujawnia się tylko we Francji. To wyobrażenie jest błędne — instynkt, o którym mowa, nie jest bynajmniej francuski, jest demokratyczny. Polityczne

okoliczności mogły mu nadać smak szczególnej goryczy, niemniej nie one go zrodziły.

W Stanach Zjednoczonych lud nie żywi nienawiści do wyższych warstw społeczeństwa, ale nie ma dla nich wiele życzliwości i skrupulatnie utrzymuje je z dala od władzy. Nie boi się wielkich talentów, ale i nie ma do nich szczególnego upodobania. Odnosi się wrażenie, że wszystko, co zostaje wyniesione nie za sprawą ludu, z trudnością zdobywa sobie jego łaski.

Podczas gdy naturalne instynkty demokracji sprawiają, że lud nie dopuszcza ludzi wybitnych do władzy, równie silny instynkt każe tym ostatnim zaniechać kariery politycznej, w której tak trudno jest im pozostać sobą i uniknąć spodlenia. Tę właśnie myśl w sposób naiwny wyraził kanclerz Kent. Znany ten autor, wielce wychwalając część konstytucji przyznającą władzy wykonawczej prawo mianowania sędziów, dodaje: «Możliwe przecież, że ludzie najbardziej powołani do zajęcia tych stanowisk mieliby zbyt wiele rezerwy w sposobie bycia i zbyt surowe zasady na to, by mogli kiedykolwiek zdobyć większość głosów w powszechnych wyborach.» (*Kent's Commentaries*, t. I, s. 272). Oto co bez zastrzeżeń wydrukowano w Ameryce w roku 1830.

Przekonałem się, że ludzie, którzy uważają powszechne głosowanie za gwarancję dokonania słusznego wyboru, oddają się kompletnej iluzji. Powszechne wybory mają inne zalety, ale nie tę.

O czynnikach, które mogą częściowo uzdrawiać instynkty demokracji

Kiedy państwu zagrażają wielkie niebezpieczeństwa, lud dokonuje często szczęśliwego wyboru obywateli zdolnych je uratować.

Wielokrotnie spostrzeżono, że w krytycznych okolicznościach człowiek rzadko utrzymuje się na swym zwykłym poziomie; zazwyczaj wznosi się ponad ten poziom lub upada poniżej. Podobnie bywa ze społeczeństwami. Skrajne niebezpieczeństwa, miast je poderwać, pogrążają je nieraz. Wzbudzają w narodzie ślepe namiętności i miast go oświecać, utrudniają rozpoznanie sytuacji. Żydzi mordowali się nawet wśród dymiących ruin Świątyni. Wszelako zbliżające się niebezpieczeństwo częściej jeszcze ujawnia nadzwyczajne cnoty ludzi i narodów. Podobne pomnikom, których sylwetka, dotychczas niewidoczna pośród nocnych ciemności, zaczyna nagle wyraźnie rysować się w świetle pożaru, wielkie charaktery pojawiają się wtedy w całej swej okazałości. Ludzie genialni nie wahają się ukazać publicznie, a przerażony niebezpieczeństwem lud zapomina na pewien czas o zawiści. W wyborach często zwyciężają wówczas wielkie nazwiska. Mówiłem już o tym, że dzisiejsi amerykańscy mężowie stanu zdają się karłami w porównaniu z ludźmi, którzy stali na czele państwa przed pięćdziesięciu laty. Wynika to

nie tylko z charakteru amerykańskich praw, ale i z okoliczności. Kiedy Ameryka walczyła o najsłuszniejszą ze spraw, o sprawę narodu usiłującego wyswobodzić się z jarzma innego narodu, kiedy dokonywało się wprowadzanie w porządek świata nowego narodu, wszyscy stawali na wysokości zadania. W tym ogromnym powszechnym uniesieniu wielcy obywatele przewodzili ludowi, lud zaś, biorąc ich w ramiona, stawiał ponad sobą. Wydarzenia takie są jednak rzadkie, my zaś powinniśmy oceniać zjawiska na podstawie normalnego biegu rzeczy.

Przemijające wydarzenia pohamowują czasem namiętności demokracji, lecz wiedza, a nade wszystko obyczaje wywierają na nią wpływ równie potężny i zarazem trwalszy. Widać to dobrze w Stanach Zjednoczonych.

W Nowej Anglii, gdzie oświata i wolność są dziećmi moralności i religii, gdzie stare i zasiedziałe społeczeństwo stworzyło już sobie zasady i obyczaje, lud nie znając przywilejów, które daje ludziom bogactwo i urodzenie, przywykł do szanowania wyższości umysłowej i moralnej, i uznaje ją bez przykrości. Dlatego w Nowej Anglii demokracja dokonuje lepszych wyborów niż gdzie indziej.

W miarę posuwania się na południe widzimy przeciwne zjawisko. W stanach, w których więź społeczna jest młodsza i słabsza, oświata mniej Rozpowszechniona, a współżycie zasad moralności, religii i wolności mniej szczęśliwe, talenty i cnoty stają się coraz rzadsze u rządzących.

Posuwając się dalej ku nowym stanom południowego zachodu, gdzie ledwie powstały organizm społeczny skupia jedynie poszukiwaczy przygód oraz spekulantów, z niepokojem obserwujemy, w jakie ręce dostała się władza publiczna, i zadajemy sobie pytanie, dzięki jakiej niezależnej od prawa i ludzi sile stan może się tam rozwijać, a społeczeństwo prosperować.

Istnieją prawa, które będąc z natury demokratycznymi, mogą jednocześnie uzdrawiać te niebezpieczne instynkty demokracji.

Gdy wchodzimy do sali Izby Reprezentantów w Waszyngtonie, uderza nas pospolity wygląd tego zgromadzenia. Na próżno szukamy tam sławnych postaci. Wszyscy niemal członkowie zgromadzenia to ludzie nieznani, których nazwisko z niczym się nie kojarzy. Zazwyczaj są to prowincjonalni adwokaci, kupcy, a nawet ludzie należący do najniższych warstw. W kraju, w którym tak powszechna jest oświata, reprezentanci ludu podobno nie zawsze potrafią pisać ortograficznie.

O dwa kroki znajduje się sala Senatu, gdzie w jednym miejscu zebrała się większość sławnych ludzi Ameryki. Niełatwo tam znaleźć człowieka, którego nazwisko nie przywodziłoby na myśl świetnej kariery. Zasiadają tam wymowni adwokaci, znakomici generałowie, wybitni urzędnicy, znani mężowie stanu. Każde słowo wypowiadane na tym zgromadzeniu przyniosłoby zaszczyt największym debatom parlamentarnym Europy.

Skąd ten dziwny kontrast? Dlaczego elita narodu zasiada w tej właśnie sali, a nie w tamtej? Dlaczego Izba Reprezentantów gromadzi tylu ludzi prostych, gdy tymczasem Senat wydaje się monopolizować talent i wykształcenie? Przecież oba te zgromadzenia zostały powołane przez lud, oba są wynikiem powszechnego głosowania i w Ameryce nikt jeszcze, jak dotąd, nie oskarżył Senatu o to, że jest wrogiem interesów ludu. Skąd więc tak Olbrzymia różnica? Wyjaśnia to, moim zdaniem, jedyny fakt: wybory do Izby Reprezentantów są bezpośrednie, Senat natomiast jest wybierany dwustopniowo. Ogół obywateli wybiera w każdym stanie ciało prawodawcze, które na mocy konstytucji federalnej zmienia się z kolei w ciało wyborcze, wybierające spośród siebie członków Senatu. Wybór senatorów jest więc, choć pośrednio, wynikiem powszechnego głosowania, ponieważ ciało prawodawcze mianujące senatorów nie jest wcale uprzywilejowanym zgromadzeniem o charakterze arystokratycznym, posiadającym samodzielne prawo wybierania. Jest ono w sposób zasadniczy uzależnione od ogółu obywateli i jest wybierane przez nich każdego roku, dzięki czemu obywatele mogą zawsze wpłynąć na wybór senatorów, dokonywany przez ciało prawodawcze, zmieniając skład izb prawodawczych. Wystarczy jednak, że wola ludu przejdzie przez to wybrane zgromadzenie, by niejako ukształtowała się w jego łonie i wyszła zeń przybrana w szlachetniejsze i piękniejsze kształty. Ludzie wybrani w ten sposób reprezentują więc faktycznie rządzącą większość narodu. Reprezentują oni jednak tylko to, co wyższe w jej sposobie myślenia i co szlachetniejsze w jej instynktach, nie zaś niskie namiętności i ułomności, które przynoszą jej hańbę.

Nietrudno przewidzieć, że nadejdzie moment, kiedy amerykańskie republiki będą zmuszone do pomnożenia stopni systemu wyborczego, by się nie zgubić wśród raf demokracji.

Przyznaję od razu, że w dwustopniowym systemie wyborczym upatruję jedyny środek umożliwiający wszystkim warstwom społeczeństwa korzystanie z wolności. W moim przekonaniu w błędzie są zarówno ci, którzy chcieliby uczynić z niego wyłącznie oręż jednego stronnictwa, jak i ci, którzy się go obawiają.

Wpływ, jaki demokracja amerykańska wywarła na prawo wyborcze

Jeżeli wybory odbywają się rzadko, państwo za każdym razem wystawione jest na ryzyko wstrząsu.

Stronnictwa zdobywają się wtedy na niewiarygodne wysiłki, by schwytać szansę, która tak rzadko się trafia. Ponieważ kandydaci przegrywający nie mogą liczyć na rychłą odmianę losu, należy się obawiać ich do ostateczności

doprowadzonych ambicji. Jeśli natomiast ta sama walka ma się niebawem powtórzyć, zwyciężonych stać na cierpliwość.

Jeżeli wybory następują szybko jedne po drugich, w społeczeństwie utrzymuje się gorączkowe podniecenie, a stan spraw publicznych podlega nieustannym wahaniom.

Częste wybory narażają państwo na osłabienie, rzadkie na rewolucję. Jeden system zagraża dobremu działaniu rządu, drugi — jego istnieniu.

Amerykanie woleli narazić się na to pierwsze zło. Kierowali się tu raczej instynktem niż rozumem, ponieważ upodobanie do zmian staje się w demokracji namiętnością. Rezultatem tego jest szczególna niestabilność prawodawstwa.

Wielu Amerykanów uważa niestabilność praw za konieczną konsekwencję systemu, który w zasadzie dobrze służy społeczeństwu. Żaden z nich jednak nie zaprzecza, że niestałość taka istnieje i że jest wielkim złem.

Udowodniwszy konieczność istnienia władzy, która mogłaby uniemożliwić lub przynajmniej opóźnić wydawanie złych praw, Hamilton dodaje: «Być może ktoś mi odpowie, że władza zapobiegania złym prawom pociąga za sobą władzę zapobiegania dobrym. Ten argument nie wystarczy jednak tym, którzy mogli sobie zdać sprawę z całego zła, jakie wynika u nas z niestałości i zmienności prawa. Niestabilność prawodawcza jest największą skazą na naszych instytucjach (form the greatest blemish in the character and genius of our government)». («Federalist», nr 73).

Madison zaś powiada: „Najniebezpieczniejszą chorobą, jaka zagraża naszemu rządowi, jest łatwość zmieniania praw i nadużywanie władzy prawodawczej.» («Federalist», nr 62).

Największy spośród demokratów, jakich wydała demokracja amerykańska, sam Jefferson, sygnalizował identyczne niebezpieczeństwo: «Niestałość naszych praw jest doprawdy bardzo poważną ułomnością. Sądzę, że moglibyśmy ją przezwyciężyć ustanawiając roczną przerwę dzielącą poddanie projektu ustawy pod dyskusję od ostatecznego nad nią głosowania. Byłaby ona dyskutowana i przegłosowana bez prawa zmiany jednego słowa, a gdyby okoliczności wymagały szybkiej decyzji, projekt ustawy nie mógłby zostać przegłosowany przez zwykłą większość, lecz przez kwalifikowaną większość izb.» (List do Madisona z 20 grudnia 1787.)

O urzędnikach w demokracji amerykańskiej

Urzędnicy publiczni w Stanach Zjednoczonych nie odróżniają się od zwykłych obywateli — nie mają ani pałaców, ani straży przybocznej, ani paradnych strojów. Ta zewnętrzna prostota rządzących nie wynika wyłącznie ze szczególnego amerykańskiego stylu, lecz jest zgodna z fundamentalnymi zasadami, na których opiera się życie społeczeństwa.

Z punktu widzenia demokracji rząd nie jest dobrem, lecz koniecznym złem. Urzędnicy muszą posiadać jakąś władzę, bo do czegóż mogliby służyć, gdyby jej nie mieli? Lecz zewnętrzne oznaki władzy nie są bynajmniej niezbędne do tego, by sprawy publiczne posuwały się naprzód. Niepotrzebnie tylko rażą ludzi.

Urzędnicy są świadomi tego, że otrzymali prawo wywyższenia się ponad innych ludzi za sprawą swej władzy pod tym tylko warunkiem, iż nie zechcą górować manierami.

Trudno wyobrazić sobie człowieka bardziej stałego w swym sposobie zachowania, bardziej przystępnego, życzliwego i uprzejmego od amerykańskiego urzędnika.

Podoba mi się ten naturalny styl demokratycznych rządów. W tej wewnętrznej sile, która wiąże się raczej z urzędem niż z urzędnikiem i raczej z człowiekiem niż z zewnętrznymi oznakami władzy, jest coś męskiego, co budzi mój podziw.

Myślę, że przeceniamy znaczenie strojów urzędowych w naszych czasach. Nie zauważyłem, by urzędnik sprawujący władzę w Ameryce był mniej szanowany dlatego, że legitymuje się wyłącznie swoją ludzką wartością.

Wątpię przede wszystkim w to, by jakiś szczególny ubiór wzbudzał w ludziach pełniących władzę szacunek dla siebie samych, jeżeli nie mieli go przedtem, nie przypuszczam bowiem, by mogli bardziej poważać swój strój niż siebie samych.

Gdy widzę, jak nasi sędziowie lekceważąco traktują strony, jak pozwalają sobie na żarty, jak wzruszają ramionami, kiedy ktoś usiłuje się bronić, i uśmiechają się złośliwie, gdy wymieniane są zarzuty, chciałbym się przekonać, czy pozbawieni swoich strojów i ubrani jak zwyczajni obywatele nie przypomnieliby sobie o ludzkiej godności.

W Stanach Zjednoczonych urzędnicy nie mają żadnych urzędowych strojów, ale za to otrzymują pensje.

Wynika to z zasad demokratycznych. System demokratyczny mógłby otoczyć splendorem i przybrać w jedwabie i złoto swych urzędników, nie naruszając jednocześnie własnych zasad. Przywileje te są bowiem przemijające, wiążą się ze stanowiskiem, a nie z człowiekiem. Lecz tworzenie niepłatnych funkcji jest jednoznaczne z tworzeniem warstwy bogatych i niezależnych urzędników, a więc zalążka arystokracji. Jeżeli nawet lud zachowuje w dalszym ciągu prawo wybierania urzędników, wybiera już spośród ograniczonego kręgu ludzi.

Gdy republika demokratyczna zaczyna zamieniać funkcje płatne na honorowe, oznacza to, jak sądzę, iż zmierza ku monarchii. Jeżeli natomiast monarchia zaczyna płacić za urzędy sprawowane dotąd honorowo, jest to nieomylny znak, iż zdąża albo ku despotyzmowi, albo ku republice.

Już sama zmiana urzędów honorowych na płatne oznacza prawdziwą rewolucję.

Całkowity brak urzędów honorowych uważam za jedną z najwybitniejszych oznak wyłącznego panowania demokracji w Ameryce. Każda służba społeczna jest tu opłacana. Dzięki temu wszyscy mają nie tylko prawo, ale i możliwość jej pełnienia.

W demokratycznych państwach wszyscy obywatele mogą otrzymać urzędy, ale nie wszyscy są skłonni się o nie ubiegać. Możliwości wyboru są ograniczone nie przez warunki stawiane kandydatom, lecz przez ich liczbę oraz zdatność do pełnienia odpowiednich funkcji.

W krajach, w których do wszystkiego stosowana jest zasada wybieralności, nie istnieje praktycznie zjawisko publicznej kariery. Ludzie zdobywają posady poniekąd na mocy przypadku i nic nie daje im gwarancji utrzymania się na nich. Dotyczy to przede wszystkim tych krajów, w których wybory ponawiane są co roku. Dlatego pełnienie funkcji publicznych w spokojnych czasach nie stanowi atrakcji dla ludzkiej ambicji. W labirynty polityki angażują się w Stanach Zjednoczonych ludzie o umiarkowanych ambicjach osobistych. Wielkie talenty i wielkie umiejętności, zajęte zdobywaniem bogactwa, uchylają się w zasadzie od władzy; często się zdarza, że ktoś decyduje się poświęcić sprawom państwowym tylko dlatego, że nie jest zdolny do prowadzenia własnych interesów.

Tym to powodom, na równi ze złym wyborem, jakiego dokonuje demokracja, należy przypisać fakt, że urzędy publiczne w Ameryce piastowane są przez wielu ludzi pospolitych. Nie wiem, czy w Stanach Zjednoczonych lud wybrałby ludzi wybitnych, którzy zabiegaliby o jego głosy, ale wiem na pewno, że ludzie wybitni o te głosy nie zabiegają.

. . . . . .

Niestabilność administracji w Stanach Zjednoczonych

Ponieważ w Ameryce ludzie sprawują władzę jedynie przejściowo, by potem na nowo zgubić się w tłumie obywateli, który również zmienia z dnia na dzień swe oblicze, społeczne działanie pozostawia po sobie częstokroć mniej śladów niż życie i działanie jednej rodziny. Administracja publiczna odbywa się, jeżeli można tak powiedzieć, ustnie oraz posługuje się tradycyjnymi metodami. Niczego się tu nie zapisuje albo też to, co bywa zapisane, unoszone jest z wiatrem jak przepowiednie Sybilli i znika bezpowrotnie.

Jedynymi historycznymi dokumentami Stanów Zjednoczonych są gazety. Jeżeli zabraknie któregoś numeru, łańcuch czasu zostaje zerwany — teraźniejszość na zawsze zostaje oddzielona od przeszłości. Jestem przekonany, że za pięćdziesiąt lat trudniej będzie zgromadzić autentyczne dokumenty ży-

cia społecznego współczesnych Amerykanów niż dokumenty średniowiecznej administracji francuskiej. I gdyby najazd barbarzyńców zalał kiedyś Stany Zjednoczone, trzeba byłoby odwołać się do historii innych narodów, aby dowiedzieć się czegoś o dzisiejszym społeczeństwie Ameryki.

Administracyjna niestabilność przeniknęła przede wszystkim do zwyczajów. Można niemal powiedzieć, że każdy obywatel znajduje w niej upodobanie. Nikt nie troszczy się o to, co zrobiono przed nim. Nikt nie stosuje żadnej metody, nikt nie zakłada archiwów. Nikt nie gromadzi dokumentów, nawet gdyby mógł to czynić bez trudu. Jeżeli ktoś je przypadkowo posiada, bynajmniej ich nie ceni. W swoich papierach mam oryginały dokumentów, które administracja publiczna dała mi w odpowiedzi na moje zapytania. Społeczeństwo amerykańskie wydaje się żyć z dnia na dzień, podobnie jak armia podczas wojennej kampanii. Wszelako sztuka administracji jest na pewno wiedzą, a wszelka wiedza, aby czynić postępy, musi łączyć w całość odkrycia kolejnych pokoleń. W przeciągu krótkich dni swego życia jeden człowiek zauważa jakieś zjawisko, inny wpada na jakąś myśl, jeden odkrywa jakiś sposób, drugi znajduje dlań formułę, a ludzkość zbiera te różne owoce indywidualnego doświadczenia i tworzy z nich nauki. Amerykańscy urzędnicy właściwie nie uczą się niczego jedni od drugich. Dają społeczeństwu swą pracę, nie przekazując mu własnych doświadczeń. Demokracja posunięta do ostatecznych granic nie przyczynia się więc do postępów sztuki rządzenia. Pod tym względem bardziej nadaje się dla społeczeństwa, które ma już za sobą administracyjną edukację, niż dla społeczeństwa niedoświadczonego jeszcze w dziedzinie spraw publicznych.

Nie odnosi się to zresztą wyłącznie do sztuki administracji. System demokratyczny oparty o tak proste i tak naturalne zasady zakłada jednak istnienie bardzo cywilizowanego i bardzo wykształconego społeczeństwa. Na pierwszy rzut oka demokracja wydaje się formacją właściwą pierwszym doświadczeniom ludzkości. Głębsza obserwacja przekonuje, iż mogła nadejść dopiero jako ostatnia.

O kosztach publicznych demokracji amerykańskiej

Czy system demokratyczny jest systemem oszczędnym? Odpowiedź zależy od tego, z czym będziemy go porównywać.

Sprawa byłaby prosta, gdybyśmy chcieli porównać republikę demokratyczną z monarchią absolutną. Okazałoby się wówczas, że wydatki republiki na cele publiczne są większe. Dotyczy to jednak wszystkich krajów, w których panuje wolność, jeżeli je porównywać z krajami pozbawionymi wolności. To pewne, że despotyzm bardziej rujnuje ludzi dlatego, że nie pozwala im produkować dóbr, niż dlatego, że odbiera im owoce pracy. Respektując często istniejący majątek, zamyka źródła dochodów. Natomiast wolność ro-

dzi znacznie więcej dóbr, niż ich pochłania; w krajach wolnych dochody rosną szybciej od podatków.

Teraz jednak chciałbym porównać ze sobą społeczeństwa wolne i stwierdzić, jaki wpływ na finanse państwowe wywiera ich demokratyczny system.

Społeczeństwa, jak wszelkie zorganizowane grupy ludzi, podporządkowane są pewnym ścisłym regułom, od których trudno odstąpić. Społeczeństwa składają się z pewnych elementów, które występują zawsze i wszędzie.

Społeczeństwo można zawsze podzielić na trzy warstwy.

Pierwsza składa się z ludzi bogatych. Druga z ludzi, którzy nie będąc bogatymi żyją jednak w dostatku i mogą zaspokoić swoje potrzeby. Trzecia składa się z ludzi, którzy wcale lub prawie wcale nie mają własnego majątku i którzy żyją z pracy dostarczanej im przez dwie poprzednie warstwy.

Liczebność tych trzech grup zmienia się zależnie od układu społecznego, lecz nie sposób doprowadzić do tego, by ich nie było.

Oczywiście, że rządząc, każda z tych warstw będzie prowadziła finanse państwa zgodnie ze swoimi instynktami.

Załóżmy, że pierwsza dyktuje prawa: będzie najpewniej umiarkowanie dążyła do ograniczenia wydatków publicznych, ponieważ podatek wymierzony w pokaźną fortunę ujmuje z niej tylko pewien nadmiar i nie przynosi jej większego uszczerbku.

Załóżmy teraz, że prawa dyktowane są przez klasy średnie: możemy liczyć na to, że nie będą szafować podatkami, ponieważ nie ma nic groźniejszego od dużego podatku wymierzonego w mały majątek. Rządy klas średnich nie są, jak myślę, najbardziej oświecone ani wielkoduszne ze wszystkich rządów, lecz są najbardziej oszczędne.

Przyjmijmy wreszcie, że trzecia warstwa tworzy prawa: wydatki publiczne prawdopodobnie wzrosną, miast się zmniejszyć, a to z następujących przyczyn:

Ponieważ przeważająca część ludzi, którzy wtedy przegłosowują ustawy, nie posiada żadnej własności podlegającej opodatkowaniu, wszystkie pieniądze wydane w interesie społeczeństwa mogą im przynieść jedynie korzyść, nie czyniąc żadnej szkody. Ci zaś, którzy mają niewielki majątek, łatwo znajdą sposoby na stworzenie takiej formuły podatkowej, która ugodzi tylko w bogatych, a biednym przyniesie wyłącznie korzyści — czego nie przeprowadziliby bogaci, gdyby mieli władzę w rękach.

Toteż kraje, w których tworzenie praw należy wyłącznie do biednych, nie mogą się spodziewać wielkich oszczędności w dziedzinie publicznych wydatków. Koszta publiczne pozostaną zawsze znaczne — już to dlatego, że podatki nie mogą obciążyć tych, którzy je przegłosowują, już to dlatego, że są tak ujęte, by ich nie obciążały. Innymi słowy, rządy demokratyczne są jedynym systemem, który pozwala człowiekowi głosującemu za podatkiem uniknąć obowiązku jego płacenia.

Na próżno ktoś usiłowałby przeciwstawiać temu argument, iż w dobrze pojmowanym interesie ludu leży szczędzenie fortun bogatych obywateli, ponieważ kraj traci na ich ogołoceniu. Wszelako czyż w interesie królów nie leży szczęście poddanych, a w interesie arystokracji — otwarcie dostępu do swych szeregów? Gdyby ogólny interes mógł przeważyć nad namiętnościami i potrzebami chwili, nie byłoby nigdy tyranów arii niedostępnej arystokracji.

Ktoś inny mógłby jednak zapytać: któż zamierza pozostawić tworzenie praw wyłącznie biednym? Otóż odpowiem, że ci, którzy wprowadzili powszechne wybory. Kto sporządza prawa — mniejszość czy większość? Oczywiście większość. Jeżeli więc dowiodę, że biedni stanowią zawsze większość, czyż nie będę mógł powiedzieć, że w kraju, w którym zostają dopuszczeni do głosowania, sami tworzą prawa?

Jest rzeczą pewną, że — jak dotychczas — we wszystkich społeczeństwach świata najwięcej było zawsze ludzi nie mających wcale majątku lub posiadających majątek tak niewielki, że nie pozwalał on żyć dostatnio bez pracy. Powszechne wybory faktycznie oddają rządy w ręce biednych.

Szkodliwy wpływ, jaki władza ludu może czasem wywierać na stan finansów państwa, wychodził wyraźnie na jaw w niektórych demokratycznych republikach starożytności, gdzie skarb państwa był zużywany na pomoc dla ubogich obywateli lub na igrzyska i widowiska ludowe.

Co prawda system przedstawicielski był niemal nie znany starożytności. W naszych czasach ludowe namiętności trudniej ujawniają się w życiu publicznym, można jednak przypuszczać, że człowiek obdarowany mandatem na dłuższą metę dostosuje się zawsze do poziomu umysłowego swych wyborców oraz że zawsze będzie dążył do zadośćuczynienia ich skłonnościom oraz zaspokojenia ich potrzeb.

Nadużycia demokracji stają się zresztą rzadsze, w miarę jak lud się bogaci, ponieważ z jednej strony mniej potrzebuje wówczas pieniędzy ludzi bogatych, z drugiej zaś napotyka na więcej przeszkód w próbach uchylenia się od płacenia podatków. Dlatego powszechne wybory mogą być mniej niebezpieczne we Francji niż w Anglii, gdzie prawie całe bogactwo podlegające opodatkowaniu jest skupione w rękach niewielu ludzi. Ameryka zaś, w której przemożna większość obywateli to posiadacze, znajduje się pod tym względem w jeszcze lepszej sytuacji niż Francja.

Istnieją też inne przyczyny, które mogą powiększyć wydatki publiczne demokracji.

Gdy rządzi arystokracja, ludzie będący u władzy już samej swej pozycji zawdzięczają zaspokojenie wszystkich potrzeb. Są zadowoleni ze swego losu i od społeczeństwa żądają przede wszystkim siły oraz chwały. Umieszczeni ponad anonimowym tłumem obywateli, nie zawsze jasno zdają sobie sprawę z tego, na ile ich własna wielkość zależy od ogólnego dobrobytu. Nie

znaczy to, że bezlitosnym okiem patrzą na cierpienia biednych, ale nie są w stanie im współczuć, skoro sami nie doświadczyli niedoli. Byleby tylko lud pogodził się z ich bogactwem, są zadowoleni i niczego więcej nie wymagają od rządów. Arystokracja bowiem stara się raczej utrzymać stan istniejący niż go ulepszać.

Jeżeli natomiast lud ma władzę, za wszelką cenę stara się poprawić sytuację, ponieważ sam tego potrzebuje. Zmysł ulepszania obejmuje więc wszystko, przenika do najdrobniejszych szczegółów życia, a przede wszystkim poszukuje drogi do osiągnięcia dóbr, które można zyskać tylko za pieniądze — chodzi bowiem o to, by poprawić sytuację biedaka, który sam sobie nie poradzi.

W demokratycznych społeczeństwach stale utrzymuje się stan ogólnego podniecenia, przy czym ludzie nie mają żadnych precyzyjnie określonych celów. Panuje coś w rodzaju nieustającej powszechnej gorączki, która obraca się we wszelkiego rodzaju innowacje — a innowacje prawie zawsze są kosztowne.

W systemie monarchicznym czy też arystokratycznym ludzie ambitni potrafią schlebiać tym skłonnościom władcy, które każą mu dążyć do zapewnienia sobie chwały oraz potęgi, i w ten sposób nakłaniają go częstokroć do wielkich wydatków.

W demokracji, która ma to do siebie, że sprawujący władzę jest sam w potrzebie, nie można zdobyć jego życzliwości inaczej jak powiększając jego dobrobyt. A dokonać tego można jedynie przy pomocy pieniędzy.

Co więcej, gdy lud zaczyna zdawać sobie sprawę ze swej własnej sytuacji, pojawia się mnóstwo potrzeb wcześniej nie odczuwanych, które mogą zostać zaspokojone jedynie przy pomocy zasobów państwowych. Stąd pochodzi zjawisko powiększania się kosztów publicznych wraz z postępem cywilizacji i wzrastania podatków w miarę szerzenia się oświaty.

Jest jeszcze jeden, ostatni powód, który sprawia, że rządy demokracji są bardziej kosztowne od innych. Zdarza się czasem, że demokracja pragnie oszczędzić na wydatkach, lecz nie może tego osiągnąć, ponieważ nie potrafi być oszczędna.

Często zmienia zapatrywania, a jeszcze częściej urzędników, i dlatego zdarza się, że jej przedsięwzięcia są prowadzone nieumiejętnie albo zarzucane. W pierwszym wypadku państwo ponosi wydatki nieproporcjonalne do znaczenia przedsięwzięcia, w drugim zaś ponosi wydatki na próżno.

. . . . . .

Trudność ustalenia przyczyn, które skłaniają rząd amerykański do oszczędności

Ten, kto chce dopatrzeć się w faktach rzeczywistego wpływu, jaki prawa wywierają na los ludzki, naraża się na wielkie pomyłki, ponieważ nie ma nic trudniejszego nad ocenę faktów.

Jeden naród jest z natury niefrasobliwy i skłonny do entuzjazmu, inny rozważny i wyrachowany. Związane to jest z samą biologiczną konstytucją narodu lub z jakimiś ukrytymi przyczynami, których nie znam.

Są narody, które kochają się w okazałości, wrzawie i radości i gotowe są bez żalu przepuszczać miliony. Są i inne, które cenią sobie tylko prywatne przyjemności i wydają się wstydzić objawów ukontentowania.

W pewnych krajach wielką wagę przykłada się do piękna oraz okazałości budowli publicznych. Dla innych dzieła sztuki nie posiadają żadnej wartości i pogardza się nimi tak samo jak wszystkim, co nie przynosi pożytku. Pewne narody wysoko cenią sobie sławę, inne przede wszystkim pieniądze.

Pominąwszy charakter praw, wszystkie te tendencje w bardzo istotny sposób wpływają również na gospodarowanie finansami państwa.

Jeżeli Amerykanom nigdy nie przyszło do głowy wydawać pieniędzy na święta publiczne, nie dzieje się to wyłącznie z tej przyczyny, że lud sam przegłosowuje podatki, ale i dlatego, że nie lubi się bawić.

Jeżeli Amerykanie nie stosują ozdób w swojej architekturze oraz cenią tylko rzeczowe i materialne korzyści, to dzieje się tak nie dlatego tylko, że są społeczeństwem demokratycznym, ale i dlatego, że są narodem kupców.

Zwyczaje życia prywatnego przenikają do życia publicznego i dlatego należy dobrze odróżnić oszczędności wynikające z charakteru instytucji od tych, które są następstwem zwyczajów i obyczajów.

. . . . . .

O przekupstwie i wadach ludzi, którzy rządzą w demokracji, i co z tego wynika dla moralności publicznej

System demokratyczny i arystokratyczny oskarżają się wzajemnie o ułatwianie przekupstwa. Należy jednak pamiętać o tym, że pod tym względem różnią się między sobą.

W systemach arystokratycznych ludzie zajmujący się sprawami publicznymi są bogaci i pożądają jedynie władzy. W demokracji mężowie stanu są biedni i chcą się dorobić.

Wynika z tego, iż w państwach o systemie arystokratycznym rządzący są mało podatni na przekupstwo i ich upodobanie do pieniędzy jest umiarkowane, podczas gdy w demokracji rzeczy mają się odwrotnie.

Wszelako w systemie arystokratycznym władza jest niejako wystawiona na licytację, ponieważ ubiegający się o nią dysponują wielkimi majątkami, a liczba ludzi, którzy mogą im pomóc w zdobyciu władzy, jest ograniczona. Odwrotnie w demokracji, gdzie ubiegający się o władzę nigdy prawie nie są ludźmi bogatymi, a liczba ludzi biorących udział w jej rozdzielaniu jest ogromna. W demokracji jest może więcej ludzi sprzedajnych, ale nie ma na nich nabywców. Trzeba by zresztą kupić zbyt wielu ludzi jednocześnie, aby osiągnąć cel.

Wielu spośród ludzi, którzy sprawowali władzę we Francji w ciągu ostatnich czterdziestu lat, zostało oskarżonych o zrobienie majątku na skarbie państwa oraz na fortunach swoich sprzymierzeńców. Zarzut taki rzadko bywał wytaczany przeciw ludziom sprawującym władzę w dawnej monarchii. Atoli we Francji nie zdarza się prawie, by głos wyborczy kupowano za pieniądze, podczas gdy notorycznie i na sposób publiczny robi się to w Anglii.

Nie słyszałem nigdy o wypadku, by w Stanach Zjednoczonych posługiwano się pieniędzmi w celu zdobycia wyborców, ale nieraz spotkałem się z podawaniem w wątpliwość uczciwości urzędników. Częściej jeszcze słyszałem, jak przypisywano ich sukcesy niskim intrygom i nielegalnym kombinacjom.

O ile więc ludzie rządzący w systemie arystokratycznym próbują nieraz przekupywać, o tyle przywódcy demokracji sami bywają przekupni. W Pierwszym wypadku moralność społeczeństwa atakowana jest bezpośrednio, w drugim na społeczne sumienie wywierany jest wpływ pośredni, który jest jeszcze groźniejszy.

Ponieważ ci, którzy w demokracji stoją na czele państwa, są niemal zawsze narażeni na podejrzenia, autorytet rządu zostaje zaangażowany po stronie przestępstw, o które są oskarżani. Dają w ten sposób niebezpieczny przykład cnocie, która usiłuje jeszcze się bronić, oraz dostarczają chwalebnego usprawiedliwienia dla zła, które się maskuje.

Na próżno dowodziłby ktoś, że nieuczciwe skłonności spotyka się we wszystkich warstwach społecznych, że niegodziwe namiętności nieraz dochodzą do władzy dzięki prawu urodzenia i że dlatego ludzie godni pogardy stają na czele zarówno demokratycznych, jak i arystokratycznych społeczeństw.

Ten argument mnie nie przekonuje. W zepsuciu tych, którzy przez przypadek dochodzą do władzy, jest coś wulgarnego i pospolitego, co czyni ich zło zaraźliwym dla tłumu. W zdeprawowaniu wielkich panów istnieje natomiast pewne arystokratyczne wyrafinowanie, pewien pozór pańskości, który sprawia, że nie udziela się ono tak łatwo.

Lud nigdy nie potrafi wniknąć w niedostępny labirynt dwornych obyczajów, nie umie odkryć podłości ukrytej pod eleganckimi manierami, wyszukanym smakiem i wdzięczną mową. Natomiast pierwszy lepszy nędzarz od

razu pojmie, czym jest kradzież mienia publicznego lub sprzedawanie za pieniądze względów państwowego urzędu, i będzie zadowolony, mogąc czynić to samo.

Należy się zresztą obawiać nie tyle widoku zepsucia ludzi możnych, ile widoku niemoralnych czynów prowadzących do osiągnięcia władzy. W ustroju demokratycznym ludzie mają do czynienia z prostym człowiekiem, który wyszedł spośród nich i w krótkim czasie zdobył bogactwo oraz władzę. To ich zdumiewa, dziwi i wzbudza ich zawiść. Chcą więc zrozumieć, jak doszło do tego, że człowiek, który wczoraj był im równy, dzisiaj ma nimi rządzić. Niechętnie będą przypisywać tę karierę jego talentom lub cnotom, ponieważ byłoby to jednoznaczne z uznaniem, że sami są mniej cnotliwi i utalentowani. Zaczynają więc poszukiwać przyczyn wśród jego wad, i rzadko się w tym mylą. W jakiś nikczemny sposób zostają wtedy pomylone pojęcia podłości i władzy, niegodziwości i sukcesu, użyteczności i hańby.

Do jakich wysiłków zdolna jest demokracja

Uprzedzam czytelnika, że będę mówił o rządzie, który wykonuje rzeczywistą wolę ludu, nie zaś o takim, który ogranicza się do rządzenia w jego imieniu.

Tyrańskiej władzy, która rządzi w imieniu ludu, najtrudniej jest się oprzeć, ponieważ taka władza, będąc wyposażoną w siłę moralną właściwą większości, działa jednocześnie ze zdecydowaniem, szybkością i uporem jednego człowieka.

Dosyć trudno jest powiedzieć, do jakiego wysiłku może być zdolny rząd demokratyczny w chwili narodowego kryzysu.

Dotychczas nie istniała żadna wielka republika demokratyczna. Obrazilibyśmy pojęcie republiki określając tym mianem oligarchię, jaka panowała we Francji w 1793 roku. Stany Zjednoczone jako jedyne dostarczają odpowiedniego przykładu.

Otóż w czasie pięćdziesięciu lat istnienia Unii egzystencja jej tylko jeden raz została zagrożona, a miało to miejsce podczas wojny o niepodległość. Na początku tej długiej wojny obywatele spełniali obowiązek służby ojczyźnie z nadzwyczajnym entuzjazmem. Ale w miarę przedłużania się walki zwykły egoizm znowu brał górę: do skarbu państwa nie wpływały już pieniądze, mężczyźni przestali zgłaszać się do armii; lud dalej pragnął niezależności, ale cofał się przed środkami, dzięki którym można było ją uzyskać. Hamilton pisał: «Na próżno pomnożyliśmy podatki i próbowali nowych sposobów ich ściągania. Oczekiwania społeczeństwa dalej były zawiedzione i skarb państwa pozostawał pusty. Demokratyczne formy administracji, właściwe demokratycznej naturze naszego rządu, oraz brak pieniędzy w obiegu, spowodowany przez zastój w handlu, sprawiły, że wszystkie wysiłki podjęte do-

tąd w celu zdobycia odpowiednich sum spełzły na niczym. Poszczególne stanowe ciała prawodawcze zrozumiały beznadziejność tych zabiegów.» («Federalist», nr 12).

Od tego czasu Stany Zjednoczone nie musiały już sprostać żadnej większej wojnie.

Aby ocenić poświęcenia, do jakich może być zdolna republika demokratyczna, trzeba więc poczekać do czasu, gdy naród amerykański będzie zmuszony oddać rządowi, jak to się dzieje w Anglii, połowę dochodów lub gdy Ameryka będzie musiała wysłać, jak Francja, dwudziestą część narodu na pole walki.

W Ameryce nie istnieje przymusowy pobór do wojska — ludzi werbuje się za pieniądze. Pobór przymusowy jest tak przeciwny zapatrywaniom i tak obcy zwyczajom tego narodu, że wątpię, by kiedykolwiek ośmielono się go tam wprowadzić. To, co nazywa się we Francji poborem do wojska, jest na pewno najcięższym z podatków; nie wiem jednak, jak moglibyśmy dać sobie bez niego radę, gdyby przyszło do wielkiej wojny w Europie.

Amerykanie nie zastosowali u siebie przymusowego poboru do floty, obowiązującego w Anglii. Nie mają też nic, co przypominałoby nasz pobór do marynarki. Marynarka wojenna, tak samo jak marynarka handlowa, opiera się na zaciągu dobrowolnym.

Trudno jednak zrozumieć, w jaki sposób naród może sprostać wielkiej wojnie morskiej, nie odwołując się do takich środków. Toteż Unia, której zdarzyło się już chwalebnie zwyciężać na morzu, nie miała jednak nigdy licznej floty, a wyposażenie niewielkiej liczby okrętów, jakie posiadała, zawsze bardzo drogo ją kosztowało.

Spotkałem się z tym, że amerykańscy mężowie stanu przyznawali, iż Unii trudno będzie utrzymać pozycję na morzu bez wprowadzenia poboru do marynarki. Trudność jednak polega na zmuszeniu ludu, który rządzi, do zaakceptowania przymusowego poboru.

W obliczu zagrożenia wolne społeczeństwa wykazują bezsprzecznie nieskończenie większą energię od społeczeństw, w których nie ma wolności. Doszedłem jednak do wniosku, że prawda ta stosuje się przede wszystkim do takich wolnych społeczeństw, w których dominuje czynnik arystokratyczny. Demokratyczny rząd wydaje mi się powołany raczej do kierowania spokojnym społeczeństwem lub do uczynienia w razie potrzeby nagłego i gwałtownego wysiłku niż do długotrwałego stawiania czoła wielkim zawieruchom politycznym. Przyczyna tego jest prosta: ludzie narażają się na niebezpieczeństwa i godzą się na wyrzeczenia pod wpływem entuzjazmu, ale wytrwać mogą tylko dzięki rozsądkowi. W tym, co nazywamy instynktowną odwagą, jest więcej wyrachowania, niż przypuszczamy, i choć pasja wystarczy, by dokonać pierwszych wysiłków, następne są już tylko rezultatem rachuby. Coś poświęcamy, by uratować resztę.

Otóż demokracji brakuje nieraz tego jasnego wyobrażenia o przyszłości, opartego na wiedzy i doświadczeniu. Lud w znacznie większym stopniu odczuwa, niż rozumuje, i kiedy znajduje się pod naciskiem wielkiego zła, należy się obawiać, że nie potrafi pojąć większego jeszcze zła, które go czeka w wypadku porażki.

Istnieje jeszcze jedna przyczyna, która sprawia, że wysiłek demokratycznego społeczeństwa może być mniej trwały od wysiłków państwa arystokratycznego.

W porównaniu z warstwami wyższymi lud nie tylko mniej wyraźnie zdaje sobie sprawę z rzeczy, których może się spodziewać lub obawiać w przyszłości, ale również całkiem odmiennie odczuwa aktualne zło. Wystawiając swoją osobę na niebezpieczeństwo, arystokrata ryzykuje tyleż samo zła co i chwały. Oddając państwu większą część swoich dochodów pozbawia się chwilowo niektórych przyjemności, jakie daje bogactwo. Biedakowi zaś śmierć nie przynosi chwały, a podatek, który bogatego tylko ogranicza, jemu odbiera często szansę utrzymania się przy życiu.

Ta relatywna słabość demokratycznych republik w chwili kryzysu jest być może największą przeszkodą po temu, by taka republika mogła powstać w Europie. Aby republika demokratyczna utrzymała się tu w jednym kraju, we wszystkich innych musiałby jednocześnie zapanować ten sam ustrój.

Przypuszczam, że w demokratycznym kraju faktyczna siła społeczeństwa powinna w ciągu dłuższego czasu wzrastać. Sądzę jednak, że kraj demokratyczny nie potrafi się zdobyć na taką kumulację siły w oznaczonym czasie i miejscu, do jakiej są zdolne rządy arystokratyczne lub monarchia absolutna. Gdyby jakiś kraj demokratyczny pozostawał przez jedno stulecie pod rządami republikańskimi, można by się spodziewać, że u kresu tego stulecia byłby bardziej bogaty, ludny i zasobny niż sąsiednie państwa despotyczne. Wszelako wielokrotnie byłby w tym czasie narażony na utratę niepodległości.

O polityce zagranicznej w demokracji amerykańskiej

. . . . . .

Unia, jako kraj wolny od jakichkolwiek dawniejszych zaangażowań politycznych, korzysta z doświadczenia starych społeczeństw Europy, nie będąc jak one zmuszoną do uwzględniania obciążeń przeszłości w aktualnej Polityce. Nie jest też jak one zmuszona do przyjęcia całego wielkiego dziedzictwa czasów minionych, owej mieszaniny chwały i nędzy, przyjaźni i nienawiści dla innych narodów. Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych ma charakter wybitnie wyczekujący i polega raczej na powstrzymywaniu się od działania niż na działaniu.

Trudno więc dzisiaj wiedzieć, jak daleko posuniętą zręczność w polityce zagranicznej wykaże kiedyś amerykańska demokracja. Zarówno jej przeciwnicy, jak i zwolennicy muszą jeszcze poczekać, by to ocenić.

Co do mnie, powiem tyle, że właśnie w dziedzinie spraw zagranicznych rządy demokratyczne wykazują niższość. Doświadczenie, obyczaje oraz oświata rozwijają prawie zawsze w demokracji tę praktyczną i codzienną mądrość, tę wiedzę o małych problemach życia, którą nazywamy zdrowym rozsądkiem. Zdrowy rozsądek wystarcza do normalnego biegu życia społeczeństwa i jeżeli edukacja tego społeczeństwa jest już faktem dokonanym, demokratyczna wolność zastosowana do wewnętrznych spraw państwa wytwarza ilość dóbr przewyższającą zło, które mogą spowodować wady demokratycznych rządów. Wszelako nie zawsze się to sprawdza w odniesieniu do spraw zagranicznych.

Polityka zagraniczna nie wymaga czynienia użytku z żadnej niemal zalety demokracji, przeciwnie — wymaga rozwijania wszystkich tych cech, których jej właśnie brakuje. Demokracja sprzyja powiększaniu wewnętrznych źródeł społecznego dobrobytu; rozpowszechnia dostatek, rozwija publicznego ducha, utwierdza poszanowanie prawa w różnych warstwach społecznych; wszystko to ma jedynie pośredni wpływ na pozycję społeczeństwa w stosunku do innego społeczeństwa. Jednocześnie z wielką trudnością przychodzi demokracji skoordynowanie szczegółów wielkiego przedsięwzięcia i uparte dążenie do raz obranego celu mimo wszystkich przeszkód. Nie potrafi skrycie obmyślać taktyki i cierpliwie oczekiwać na rezultaty. Takie zalety są właściwe raczej poszczególnym ludziom lub systemowi arystokratycznemu. One jednak sprawiają, że jakiś człowiek lub jakieś społeczeństwo zdobywa przewagę nad innymi.

Jeżeli natomiast zaczniemy się przyglądać ułomnościom rządów arystokracji, odkryjemy, że nie wpływają one wcale na tok polityki zagranicznej państwa. Rządom arystokratycznym zarzuca się przede wszystkim to, iż dbają one o siebie, nie zaś o wszystkich. Otóż w polityce zagranicznej nader rzadko się zdarza, by interesy arystokracji były odmienne od interesów ludu.

Skłonność demokracji do powodowania się w polityce raczej uczuciami niż rozumem, do porzucania długo dojrzewających celów dla zaspokojenia chwilowej namiętności, dała się w Ameryce zaobserwować w chwili wybuchu Rewolucji Francuskiej. Zwyczajny zdrowy rozsądek wystarczał wówczas, jak i dziś, by zrozumieć, że angażowanie się w walkę, która miała utopić Europę we krwi i która nie mogła przynieść żadnych szkód Stanom Zjednoczonym, nie leżało bynajmniej w interesie Amerykanów.

Ludowe sympatie dla Francji ujawniły się jednak z taką gwałtownością, że tylko dzięki nieugiętemu charakterowi Waszyngtona oraz ogromnej popularności, jaką się cieszył, udało się uniknąć wypowiedzenia wojny Anglii. Wysiłki, jakie ten wielki człowiek o trzeźwym umyśle podjął, by zwyciężyć

szlachetne, acz nieprzemyślane namiętności swoich współobywateli, omal nie kosztowały go w dodatku utraty jedynej nagrody, na jakiej mu zależało — miłości narodu. Większość wypowiedziała się przeciw jego polityce. Obecnie cały naród ją pochwala.

Gdyby zasady konstytucji i przychylność ludu nie były oddały właśnie w owym okresie rządów w ręce Waszyngtona i gdyby nie od niego zależała zagraniczna polityka państwa, naród uczyniłby dokładnie to, co dziś potępia.

Prawie wszystkie społeczeństwa, którym dane było tak bardzo wpłynąć na bieg świata, społeczeństwa, które poczęły, prowadziły i wykonały wielkie dzieła, były — poczynając od Rzymian, a kończąc na Anglikach — rządzone przez arystokrację; i czyż można się temu dziwić?

Nie ma na świecie grupy ludzi, która miałaby bardziej nieprzejednane poglądy niż arystokracja. Lud może oddawać się złudzeniom, ponieważ jest ciemny i powodują nim namiętności; nad umysłem króla można zapanować, niwecząc jego plany; król zresztą jest śmiertelny. Ale arystokracja jest zbyt liczna na to, by mogła zostać zjednana, i zbyt nieliczna, by mogły ją upoić bezmyślne namiętności. Arystokracja podobna jest człowiekowi stanowczemu i światłemu, który nigdy nie umiera.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jakie faktyczne korzyści przynoszą amerykańskiemu społeczeństwu rządy demokracji

Zanim rozpocznę ten rozdział, chcę zwrócić uwagę czytelnika na myśl, którą wielokrotnie już powtarzałem.

Polityczna konstytucja Stanów Zjednoczonych wydaje mi się jedną z form, jaką demokracja może nadać swym rządom, nie uważam jednak amerykańskich instytucji za jedyne ani za najlepsze spośród wszystkich, jakie może zastosować demokratyczne społeczeństwo.

Kiedy więc mówię o dobrodziejstwach, jakie Amerykanom przyniosły rządy demokratyczne, jestem daleki od przekonania, że mogą one być osiągnięte wyłącznie przy pomocy tych samych praw.

O ogólnej tendencji praw w amerykańskiej demokracji oraz o instynktach tych, którzy je stosują

Wady i słabości demokratycznych rządów łatwo dają się zauważyć, ponieważ mówią o nich rzucające się w oczy fakty, podczas gdy zbawienny wpływ tych rządów działa w sposób nieodczuwalny, by tak rzec, tajemny. Ich wady widzimy od razu, ich zalety ujawniają się dopiero po dłuższym czasie.

Prawa demokracji amerykańskiej są często wadliwe lub nieprecyzyjne. Zdarza się, że gwałcą czyjeś nabyte uprawnienia lub sankcjonują prawa niebezpieczne dla społeczeństwa. Gdyby nawet były dobre, już sama ich zmienność byłaby wielkim złem. Wszystko to widać na pierwszy rzut oka.

Dlaczego zatem amerykańskie republiki utrzymują się i prosperują?

W prawach należy dobrze odróżniać cel, jaki im przyświeca, od sposobu, w jaki do tego celu zmierzają; ich wartość bezwzględną od wartości relatywnej.

Załóżmy, że celem prawodawcy jest uprzywilejowanie interesów mniejszości kosztem interesów wielkiej liczby ludzi oraz że zamierza on osiągnąć rezultat w możliwie najkrótszym czasie i przy pomocy najmniejszego wysiłku. Prawo będzie wówczas dobrze pomyślane, ale jego cel będzie zły i będzie tym niebezpieczniejsze, im bardziej skuteczne.

Prawa demokratyczne mają na celu dobro większości, nie zaś małej grupy ludzi, tworzy je bowiem większość obywateli, która może się mylić, ale nie będzie występowała przeciw sobie samej.

W systemie arystokratycznym prawa zmierzają natomiast do skupienia bogactw i władzy w rękach niewielu ludzi, ponieważ arystokracja z natury zawsze jest w mniejszości.

Ogólnie można więc powiedzieć, że cele prawodawstwa demokratycznego są bardziej pożyteczne dla ludzkości niż cele prawodawstwa arystokratycznego. Wszelako na tym kończą się jego zalety.

W dziedzinie sztuki prawodawczej system arystokratyczny zręcznością swą nieskończenie przerasta demokrację. Będąc panem siebie nie ulega przypadkowym tendencjom. Posiada dalekosiężne cele, którym pozwala dojrzewać w oczekiwaniu na sprzyjającą okazję. Postępuje mądrze i posiada sztukę skupiania całej siły swoich praw w jednym czasie i dla jednej sprawy.

Demokracja nie ma tych zalet — jej prawa są niemal zawsze wadliwe lub niewczesne.

Środki, którymi posługuje się demokracja, są więc mniej doskonałe. Częstokroć mimo woli działa przeciw sobie. Lecz jej cele są bardziej pożyteczne.

Wyobraźmy sobie społeczeństwo tak pomyślane przez naturę lub przyjętą w nim konstytucję, że zdoła znieść przejściowe działanie złych praw i bezpiecznie oczekiwać rezultatów, jakie przyniesie mu w przyszłości ogólna tendencja praw, a bez trudu zrozumiemy, że rządy demokratyczne, mimo swoich wad, najlepiej służą pomyślnemu rozwojowi tego społeczeństwa.

Tak właśnie dzieje się w Stanach Zjednoczonych i wypada mi jeszcze raz powtórzyć, iż wielkim przywilejem Amerykanów jest możność popełniania błędów, które dają się naprawić.

To samo powiedziałbym o urzędnikach publicznych.

Z łatwością dostrzegamy, że demokracja amerykańska myli się nieraz w wyborze ludzi, którym ma powierzyć władzę, ale trudniej jest powiedzieć, dlaczego w rękach tych urzędników państwo tak dobrze funkcjonuje.

Przypomnijmy przede wszystkim, że o ile w państwie demokratycznym rządzący są mniej uczciwi lub mniej kompetentni, o tyle rządzeni są bardziej wykształceni i lepiej dbają o swoje interesy.

W demokracji lud, nieustannie zajęty swymi potrzebami i zazdrosny o swe prawa, nie pozwala swoim reprezentantom na oddalenie się od ogólnego kierunku wyznaczonego przez jego interesy.

Przypomnijmy także, że urzędnik w systemie demokratycznym robi gorszy użytek ze swojej władzy, ale najczęściej krócej ją sprawuje.

Istnieje jednakże jeszcze inna i bardziej istotna przyczyna ogólniejszej natury.

Dobro narodów na pewno wymaga, by rządzący posiadali cnoty i talenty, jednak jeszcze ważniejsze jest to, by ich interesy nie były przeciwne interesom ogółu obywateli. Gdyby bowiem tak było, cnoty rządzących okazałyby się bezużyteczne, a talenty zgubne.

Powiadam, że rządzący nie powinni mieć interesów odmiennych ani sprzecznych z interesami obywateli. Nie oznacza to bynajmniej, że powinni mieć te same interesy co wszyscy obywatele, ponieważ nie słyszałem, by taka sytuacja kiedykolwiek zaistniała.

Nie odkryto dotąd ustroju politycznego, który jednako sprzyjałby powodzeniu i rozkwitowi wszystkich warstw społeczeństwa. Warstwy te ciągle tworzą jakby osobne narody w łonie tego samego narodu i doświadczenie uczy, że powierzenie jednej z nich losu wszystkich pozostałych jest niemal równie niebezpieczne co zgodzenie się na to, by jeden naród rozstrzygał o losach innego. Gdy rządzą wyłącznie bogaci, interes biednych jest zawsze zagrożony. Gdy prawa dyktują biedni, narażony zostaje interes bogatych. Na czym zatem polega wyższość demokracji? Rzeczywistym osiągnięciem demokracji nie jest, jak twierdzą niektórzy, sprzyjanie interesom wszystkich, lecz służenie dobrobytowi możliwie największej liczby ludzi.

Ludzie, którym w Stanach Zjednoczonych powierzono kierowanie sprawami publicznymi, pod względem moralności i kompetencji stoją często niżej od ludzi, których wybrałby system arystokratyczny, lecz ich interesy splatają się i utożsamiają z interesami większości współobywateli. Mogą więc popełniać odstępstwa i poważne błędy, nigdy jednak nie będą systematycznie dążyli do zrealizowania celów wrogich większości. Nie będą się także starali nadać swoim rządom formy zamkniętej i niebezpiecznej.

Fakt złego wykonywania funkcji przez pojedynczego urzędnika pozostaje zresztą w demokracji wydzielony i ma znaczenie społeczne tylko w okresie jego krótkiej kadencji. Przekupstwo i nieudolność nie mogą, jak wspólne interesy, trwale połączyć ludzi.

To, że dwaj urzędnicy są równie przekupni i nieudolni, nie wystarcza za powód do powstania między nimi przymierza. Ci dwaj ludzie nigdy nie będą wspólnie pracowali nad rozkwitem przekupstwa i nieudolności. Przeciwnie, ambicje i zabiegi jednego przyczynią się do zdemaskowania drugiego. W demokracji wady urzędnika są, ogólnie rzecz biorąc, czysto indywidualne.

Ludzi sprawujących władzę w krajach arystokratycznych łączy natomiast interes klasowy, który choćby się czasem łączył z interesem większości, pozostaje jednak często odrębny. Interes klasowy ustanawia między nimi trwałe więzy oraz nakłania do połączenia wysiłków dla osiągnięcia celu, który nie zawsze bywa dobroczynny dla większości. Interes ten nie tylko jednoczy ze sobą rządzących, ale i łączy ich z pokaźną liczbą rządzonych, ponieważ wielu spośród obywateli, którzy nie piastują żadnych urzędów, także należy do arystokracji.

Urzędnik systemu arystokratycznego znajduje więc stałe oparcie w społeczeństwie, mając je jednocześnie w rządzie.

Ten wspólny cel, jaki w systemie arystokratycznym łączy urzędników z interesami pewnej części społeczeństwa, wiąże ich z interesami przyszłych

pokoleń i, by tak rzec, oddaje w ich służbę. Urzędnicy pracują w równym stopniu dla przyszłości jak i dla teraźniejszości. Są więc popychani ku temu samemu celowi przez trzy czynniki jednocześnie: namiętności rządzonych, namiętności własne i — chciałoby się rzec — namiętności potomnych.

Jak tu się dziwić, że urzędnicy nie opierają się tym namiętnościom? Toteż poczucie klasowe powoduje nawet tymi, których jeszcze nie zdeprawowało, i sprawia, że nieświadomie dostosowują społeczeństwo do swoich potrzeb i przygotowują je dla swoich następców.

Nie wiem, czy istniał kiedykolwiek równie liberalny ustrój arystokratyczny jak w Anglii, ustrój, który jednocześnie potrafił dostarczać społeczeństwu ludzi tak światłych i tak godnych władzy.

Łatwo jednak się zorientować, że w angielskim prawodawstwie dobro biednych jest całkowicie poświęcone dla dobra bogatych, a prawa większości — dla przywilejów nielicznych. Dlatego też dzisiejsza Anglia nosi w sobie wszystkie odmiany ludzkich losów i są tam ludzie, których nędza jest równie wielka jak potęga i chwała tego narodu.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie urzędnicy nie mają w ogóle takich interesów klasowych, które chcieliby zaspokoić wbrew większości, ogólne i stałe działanie rządu jest dobroczynne, choć rządzący są nieraz nieudolni, a nawet niegodziwi.

U podstaw instytucji demokratycznych istnieje więc ukryta tendencja, która sprawia, że mimo swoich ułomności i błędów ludzie często działają tam wspólnie dla ogólnego dobra, podczas gdy w instytucjach arystokratycznych daje się nieraz wykryć jakąś tajemną skłonność, która mimo talentów i cnót prowadzi do powiększenia ludzkich niedoli. Dlatego zdarza się, że w krajach arystokratycznych ludzie rządzący wywołują zło, wcale tego nie chcąc, zaś w demokracji nieświadomie przyczyniają się do powstawania dobra.

O duchu publicznym w Stanach Zjednoczonych

Istnieje rodzaj miłości ojczyzny, która bierze się z tego spontanicznego, bezinteresownego i nieokreślonego uczucia, jakie przywiązuje człowieka do miejsca, gdzie się urodził. Ta instynktowna miłość splata się z upodobaniem do dawnych obyczajów, z szacunkiem dla przodków i pamięcią przeszłości. Ludzie, którzy jej doświadczają, kochają swój kraj tak, jak kocha się dom rodzinny; kochają spokój, jaki daje ten dom, i cenią nabyte w nim łagodne obyczaje. Przywiązują się do wspomnień, jakie im zostawił, i znajdują nawet radość w podporządkowaniu się jego rygorom. Taką miłość ojczyzny Roznieca jeszcze bardziej religijna żarliwość — i wtedy czyni ona cuda. Sama jest jakby religią: nie rachuje — wierzy, odczuwa, działa. Były narody, które w osobie władcy widziały symbol ojczyzny. Ku niemu kierowały zatem część patriotycznych uczuć: pyszniły się jego tryumfami, dumne były z jego

potęgi. W czasach dawnej monarchii bywało, że świadomość całkowitej zależności od despotyzmu monarchy sprawiała Francuzom swoistą radość, powiadali więc z dumą: «Jesteśmy poddanymi najpotężniejszego króla na świecie.»

Jak wszystkie bezrefleksyjne namiętności, owa miłość rodzinnego kraju skłania ludzi raczej do wielkich i doraźnych niż długotrwałych wysiłków. Zbawiwszy kraj w chwili przesilenia, pozwala mu niejednokrotnie zginąć w czasach pokoju.

Tej instynktownej miłości ojczyzny dane jest panować wtedy, gdy obyczaje narodu są jeszcze proste, wiara niepodważona, a społeczeństwo spokojnie żyje wedle dawnego porządku rzeczy, w którego prawowitość nikt nie wątpi.

Istnieje i inne, bardziej racjonalne uczucie. Jest ono może mniej wspaniałomyślne i mniej żarliwe, ale za to płodniejsze i trwalsze. To uczucie ma swoje źródło w oświeceniu, rozwija się poprzez prawa, wzrasta w miarę ich praktykowania i staje się w końcu osobistą potrzebą człowieka. Ludzie pojmują wpływ, jaki dobrobyt kraju wywiera na ich własny dobrobyt, wiedzą, że prawo pozwala im go współtworzyć, i interesują się pomyślnością swego kraju jako czymś, co wydaje im się pożyteczne, a także jako własnym dziełem.

Atoli w życiu narodów przychodzi czasem chwila, kiedy stare obyczaje się zmieniają, upadają zwyczaje, wiara się chwieje, zanika siła wspomnień, a jednocześnie stopień oświecenia społeczeństwa jest jeszcze niewystarczający, a prawa polityczne obywateli niepewne lub ograniczone. Pojęcie ojczyzny jawi się wtedy ludziom w słabym i wątpliwym świetle. Ojczyzną nie jest już dla nich ani ziemia, która stała się martwa, ani obyczaje przodków, które nauczono ich traktować jako jarzmo, ani religia, w którą zwątpili, ani prawa, na które nie mają wpływu, ani prawodawca, którego się boją i którym pogardzają. Ludzie, nie znajdując nigdzie ojczyzny, zamykają się w ograniczonym i ciemnym egoizmie. Porzucili już przesądy, a jeszcze nie poznali, czym jest rozum. Nie mają ani instynktownego patriotyzmu monarchii, ani świadomego patriotyzmu republiki. Zatrzymali się gdzieś pośrodku w pomieszaniu i niedoli.

Cóż można wtedy zrobić? Zawrócić? Lecz narody nie wracają do uczuć swej młodości, tak jak ludzie nie wracają do zabaw wieku dziecięcego — mogą ich żałować, lecz nie zechcą ich wskrzesić. Trzeba więc iść naprzód i starać się spiesznie, by interes osobisty splótł się w pojęciu ludu z interesem kraju, ponieważ bezinteresowna miłość ojczyzny umarła na zawsze.

Jestem daleki od przekonania, że należy w tym celu przyznać nagle prawa polityczne wszystkim ludziom. Powiadam jednak, że najskuteczniejszym i być może jedynym sposobem zainteresowania ludzi losem ich kraju jest dopuszczenie ich do udziału w rządzeniu. Rozwój ducha obywatelskiego

wydaje mi się nieodłączny dziś od posiadania praw politycznych i myślę, że liczba ludzi, których można nazwać obywatelami, będzie się odtąd zwiększała lub zmniejszała w Europie proporcjonalnie do upowszechnienia tych praw.

W Stanach Zjednoczonych przybysze niedawno osiedlili się na zamieszkiwanej dziś ziemi, nie łączą ich z nią zwyczaje ani wspomnienia. Spotkali się tam ludzie, którzy wcześniej się nie znali. Instynktowna miłość ojczyzny nie miała więc tam dobrego gruntu. Jakże więc doszło do tego, że każdy człowiek interesuje się sprawami swojej gminy, hrabstwa i całego stanu tak jak swymi własnymi? Otóż dzieje się tak dlatego, że każdy w swoim zakresie bierze żywy udział w rządzeniu społeczeństwem.

W Stanach Zjednoczonych człowiek z ludu zrozumiał wpływ, jaki dobrobyt kraju wywiera na jego własne szczęście — zrozumiał tę prostą prawdę, tak słabo zazwyczaj znaną ludowi. Co więcej, przywykł do pojmowania tego dobrobytu jako swego własnego dzieła. W zamożności kraju widzi więc własną zamożność i pracuje dla dobra państwa nie tylko z obowiązku i dumy, ale powiedziałbym nawet z chciwości.

Aby przekonać się o prawdzie tych słów, nie trzeba studiować instytucji i historii Amerykanów — ich obyczaje przekonują o tym dostatecznie. Amerykanin, biorąc udział we wszystkim, co dzieje się w kraju, czuje się zarazem zobowiązany do obrony wszystkiego, co się w nim krytykuje, ponieważ każda krytyka mierzy nie tylko w kraj, ale i w niego samego. Toteż jego narodowa duma gotowa jest odwołać się do wszystkich sztuczek i zniżyć do wszystkich dziecinnych odruchów osobistej próżności.

Do tego drażliwego patriotyzmu Amerykanów, który przejawia się na każdym kroku, bardzo trudno jest się przyzwyczaić. Cudzoziemiec chętnie wychwalałby wiele rzeczy w ich kraju, pod warunkiem jednak, by pozwolono mu coś zganić — ale to właśnie jest bezwzględnie zabronione.

Ameryka jest więc krajem swobody, w którym cudzoziemiec nie może swobodnie mówić ani o ludziach, ani o państwie, ani o rządzonych, ani o rządzących, ani o przedsięwzięciach publicznych, ani o prywatnych, o niczym spośród tego, z czym się styka — wyjąwszy może jedynie ziemię i klimat — ponieważ musiałby zawsze kogoś zranić. Zresztą nawet ziemi i klimatu Amerykanie gotowi są bronić tak, jakby sami je stworzyli.

W naszych czasach zmuszeni jesteśmy opowiedzieć się po jakiejś stronie i mieć odwagę wyboru między patriotyzmem wszystkich a rządami małej grupy ludzi, ponieważ połączenie siły oraz społecznego ożywienia, jakie przynosi pierwszy, z gwarancją spokoju, jakiej dostarczają czasem te drugie, jest niemożliwe.

O pojmowaniu praw człowieka w Stanach Zjednoczonych

Wyjąwszy pojęcie cnoty, nie znam piękniejszej idei jak idea praw człowieka — być może zresztą oba te pojęcia się przenikają. Idea praw nie jest w istocie niczym innym jak ideą cnoty zastosowaną do życia politycznego.

Za pomocą pojęcia praw człowieka ludziom udało się określić, czym jest samowola i tyrania. Dzięki niemu każdy człowiek może zachować niezależność nie popadając w sobiepaństwo i podporządkować się unikając upodlenia. Podporządkowując się przemocy człowiek płaszczy się i poniża, ale podporządkowując się prawu do władzy, które sam przyznał bliźniemu, staje nawet w pewnym sensie ponad tym, który nim rządzi. Bez cnoty nie ma wielkich ludzi, bez poszanowania praw człowieka nie ma wielkich narodów, a nawet społeczeństwa. Cóż jest bowiem warta wspólnota istot rozumnych i inteligentnych, które spaja jedynie siła?

Znajduję tylko jedną odpowiedź na pytanie, jakim sposobem można dziś ludziom wpoić ideę praw człowieka oraz sprawić, by ją sobie uzmysłowili: należy przyznać im wszystkim pewne prawa. Przyjrzyjmy się dzieciom, które są jakby dorosłymi, tylko jeszcze bez siły i doświadczenia: Gdy dziecko zaczyna poruszać się wśród otaczających go przedmiotów, instynktownie dąży do uczynienia użytku ze wszystkiego, czego może dotknąć. Brak mu jeszcze pojęcia cudzej własności, a nawet nie wie o jej istnieniu, lecz w Miarę jak dowiaduje się o wartości rzeczy oraz o tym, że inni mogą odebrać mu jego własność, staje się bardziej podejrzliwe i jednocześnie zaczyna szanować własność cudzą.

Zachowanie dziecka w stosunku do zabawek odnaleźć można później w zachowaniu dorosłego względem wszystkiego, co posiada. Dlaczegóż w Ameryce, kraju tak demokratycznym, nie słychać tylu co w Europie narzekań na istnienie własności? Czyż trzeba to wyjaśniać? Otóż w Ameryce nie ma proletariuszy. Skoro każdy posiada własność, którą pragnie zachować, każdy uznaje prawo własności.

Podobnie rzeczy się mają w dziedzinie życia politycznego. Człowiek z ludu wysoko ceni prawa polityczne, ponieważ je posiada. Nie odmawia ich innym, ponieważ życzy sobie, by nie gwałcono jego własnych. I podczas gdy w Europie ludzie nie uznają nawet najwyższej władzy, Amerykanin bez szemrania poddaje się zwierzchnictwu najniższego urzędnika.

Prawidłowość ta daje znać o sobie nawet w najmniejszych szczegółach życia narodów. We Francji nie ma wielu przyjemności, które byłyby dostępne wyłącznie wyższym warstwom społeczeństwa. Człowiek biedny, będąc dopuszczanym niemal wszędzie tam, gdzie może wejść bogaty, zachowuje się jak należy i szanuje wszystko, co służy przyjemnościom, w których bierze udział. W Anglii, gdzie bogactwo daje przywilej zabawy, tak samo jak i monopol na sprawowanie władzy, słyszy się ubolewania nad postępo-

waniem ludzi biednych, którym udało się dostać do miejsca rozrywek bogatych, a mianowicie, że zachowują się tam po grubiańsku. Jak tu się dziwić, skoro postarano się o to, by nie mieli nic do stracenia?

Rządy demokracji sprawiają, że pojęcie praw politycznych znane jest najskromniejszemu nawet obywatelowi, podobnie jak podział dóbr pozwala wszystkim ludziom zaznać prawa własności. Jest to, moim zdaniem, jedna z największych zasług demokracji.

Nie twierdzę bynajmniej, że ludzi można łatwo nauczyć korzystania z praw politycznych. Powiadam tylko tyle, że jeżeli to jest możliwe, przynosi wielkie rezultaty.

Trzeba dodać, że jeżeli kiedykolwiek należałoby zrealizować to zadanie, to za naszych dni.

Czy nie widzicie, że słabnie wpływ religii i zanika pojmowanie prawa jako pochodzącego od Opatrzności? Czy nie dostrzegacie zepsucia obyczajów i zaniku moralnego pojmowania praw?

Czy nie zauważyliście, że wiara powszechnie ustępuje miejsca rozumowi, a uczucia — rachubie? Jeżeli pośród tego powszechnego zamieszania nie uda się wam połączyć idei prawa z osobistym interesem ludzi, który okazuje się być jedyną rzeczą trwałą w ludzkim sercu, będziecie mogli rządzić już tylko przy pomocy strachu.

Gdy więc słyszę, że prawa są bezsilne a rządzeni niesforni, że namiętności potężnieją, a cnota nie ma żadnej władzy i że wobec tego nie sposób myśleć o rozszerzeniu demokracji, odpowiadam, że właśnie dlatego należy o tym myśleć. I sądzę w gruncie rzeczy, że rządzącym demokracja jest jeszcze bardziej potrzebna niż społeczeństwu, ponieważ rządy schodzą z tego świata, a społeczeństwo żyje dalej.

Nie mam zresztą wcale zamiaru przeceniać tu przykładu Ameryki.

W Ameryce przyznano ludowi prawa polityczne w okresie, w którym niełatwo było jeszcze o ich nadużywanie, ponieważ obywatele byli nieliczni i prostych obyczajów. Wraz z powiększaniem się liczby obywateli Amerykanie nie wzmocnili właściwie władzy demokracji, a raczej rozszerzyli jej zakres.

W momencie przyznania praw politycznych społeczeństwu, które dotąd było ich pozbawione, musi nastąpić kryzys, często konieczny, ale zawsze niebezpieczny.

Dziecko zadaje śmierć, gdy nie zna jeszcze ceny życia, nie szanuje cudzego prawa własności, gdy nie przekonało się jeszcze o tym, że jego własne może zostać naruszone. W momencie przyznania mu praw politycznych człowiek z ludu traktuje swoje prawa tak samo jak dziecko otaczające je przedmioty i można do niego zastosować znane powiedzenie: «Homo puer robustus.»

Widać to w samej Ameryce. Obywatele stanów, w których najwcześniej przyznano prawa polityczne, najlepiej potrafią się również nimi posługiwać.

Nigdy nie dość powtarzać, że nie istnieje nic bardziej obfitującego we wspaniałe rezultaty od sztuki wolności i że jednocześnie nie ma nic trudniejszego niż uczenie się jej. Inaczej dzieje się w wypadku despotyzmu. Despotyzm często obiecuje, że naprawi istniejące zło, że wzmocni prawo, zaopiekuje się prześladowanymi i wprowadzi społeczny ład. Narody dają się uśpić krótkotrwałemu dobrobytowi, jaki despotyzm przynosi, aby potem obudzić się wśród niedoli. Natomiast wolność rodzi się zwykle wśród burz, utrwala z trudem wśród waśni, a swe dobrodziejstwa pozwala ocenić dopiero wtedy, gdy się zestarzeje.

O poszanowaniu prawa w Stanach Zjednoczonych

Nie zawsze można powołać cały naród do bezpośredniego lub pośredniego uczestnictwa w tworzeniu praw, lecz jeżeli jest to możliwe, autorytet praw bardzo na tym zyskuje. Ludowy rodowód prawodawstwa, który nie sprzyja zazwyczaj jego szczególnej wartości, wpływa ogromnie na jego siłę.

W sformułowaniu woli całego narodu tkwi cudotwórcza siła. Kiedy wola ta ujawnia się w pełni, nawet nadzieje ludzi, którzy chcieliby z nią walczyć, są nią przytłoczone. Prawda ta dobrze jest znana stronnictwom politycznym. Gdzie tylko mogą, starają się więc sprzeciwiać większości. Twierdzą na przykład, że prawdziwa większość to ludzie, którzy powstrzymali się od głosu. Jeżeli zaś i tutaj chcą jej zaprzeczyć, utrzymują, że prawdziwa większość to ci, którzy nie mają praw wyborczych.

W Stanach Zjednoczonych prócz niewolników, służby domowej i ubogich utrzymywanych przez gminy wszyscy są wyborcami, a więc pośrednio współtworzą prawa. Dlatego ci, którzy chcą podważyć prawo, muszą dokonać jawnego wyboru między dwoma sposobami działania: muszą albo zmienić wolę narodu, albo ją zdeptać.

Prawo amerykańskie zawdzięcza swą siłę jeszcze jednemu, bardziej bezpośrednio działającemu i potężnemu czynnikowi — mianowicie w Stanach Zjednoczonych każdy jest w jakiś sposób osobiście zainteresowany w powszechnym posłuszeństwie wobec prawa, ponieważ każdy człowiek, który dziś nie zalicza się do większości, jutro może znaleźć się w jej szeregach i niebawem będzie miał okazję wymagać dla swej prawodawczej woli tego samego szacunku, który żywi obecnie dla woli aktualnego prawodawcy. Niezależnie od tego, jak trudne do zniesienia byłoby prawo, mieszkańcy Stanów Zjednoczonych poddają mu się bez oporu, nie tylko jako dziełu większości, lecz również jako własnemu dziełu; pojmują je jako wynik pewnej umowy, do której dobrowolnie przystąpili.

W Stanach Zjednoczonych nie widać więc tego wielkiego i wrzaskliwego tłumu ludzi, którzy traktując prawo jako naturalnego wroga, boją się go i są wobec niego podejrzliwi. Wprost przeciwnie — trudno nie zauważyć, że wszystkie warstwy społeczeństwa okazują prawu zaufanie i żywią dla niego coś w rodzaju ojcowskiego uczucia.

Nie mam jednak racji, mówiąc «wszystkie warstwy». Ponieważ europejska hierarchia praw jest w Ameryce odwrócona, bogaci znajdują się w tej samej sytuacji co biedni w Europie i oni właśnie często nie dowierzają prawu. Mówiłem już o tym, że prawdziwym osiągnięciem demokratycznej formy rządzenia nie jest, jak się czasem sądzi, ochrona interesów wszystkich ludzi, lecz ochrona interesów możliwie największej liczby ludzi. W Stanach Zjednoczonych rządzą biedni, zatem bogaci mogą zawsze się obawiać, że władza zostanie nadużyta przeciwko nim.

Takie nastawienie ludzi bogatych może stać się przyczyną milczącego niezadowolenia, które jednak nie zakłóca życia społecznego w sposób gwałtowny, bowiem ta sama przyczyna, która nie pozwala bogatemu zaufać prawodawcy, nie pozwala mu także przeciwstawić się jego zarządzeniom. Człowiek bogaty nie tworzy praw, ponieważ jest bogaty, i ze względu na swoje bogactwo nie ośmiela się także ich gwałcić. W krajach cywilizowanych buntują się w zasadzie tylko ci, którzy nie mają nic do stracenia. Prawa demokratyczne, nie zawsze będąc godnymi poszanowania, są prawie zawsze szanowane. Dzieje się tak, ponieważ ci, którzy zazwyczaj przeciwstawiają się prawom, muszą być posłuszni temu prawu, które sami stworzyli i z którego korzystają, natomiast ci, którzy mogliby być zainteresowani w utrąceniu niektórych praw, mają taki charakter i taką pozycję społeczną, że dobrowolnie poddają się każdej woli prawodawcy. Zresztą w Ameryce lud nie tylko dlatego jest posłuszny prawom, że są one jego własnym dziełem, lecz także dlatego, że może je zmienić, jeśli naruszają jego interesy. Lud podporządkowuje się prawom jako złu, które sam sobie narzucił, a również jako złu, które jest przejściowe.

Ożywienie, jakie panuje w życiu politycznym Stanów Zjednoczonych, oraz jego wpływ na społeczeństwo

Gdy opuszczamy kraj, w którym panuje wolność, udając się do innego, w którym wolności nie ma, uderza nas niezwykły kontrast: tam wszystko było ruchliwe i ożywione — tutaj wydaje się spokojne i nieruchome. W kraju, który opuściliśmy, wszystko zmierza do ulepszenia i postępu. Tutaj zaś odnosimy wrażenie, że społeczeństwo, osiągnąwszy już wszelkie dobra, Pragnie jedynie odpoczywać i cieszyć się nimi. Tymczasem kraj, który wykazuje tyle niepokoju i ożywienia, jest zasadniczo bogatszy i lepiej funkcjonuje od tego, który wydaje się być zadowolony ze swego losu. Porównując je, trudno

pojąć, jak to jest, że w pierwszym pojawia się nieustannie tyle nowych potrzeb, a w drugim tak niewiele. Spostrzeżenie to odnosi się do krajów, w których panuje wolność, i to zarówno do tych, które zachowały ustrój Monarchiczny, jak i do tych, w których panuje arystokracja, wszelako jest jeszcze bardziej trafne w odniesieniu do republik demokratycznych. Tutaj nie mamy już do czynienia z jakąś częścią narodu, która stara się poprawić sytuację społeczeństwa: zadanie to przyjmuje na siebie cały naród. Chodzi nie o to, by zaspokoić potrzeby i zapewnić wygody jednej warstwy, ale wszystkich jednocześnie.

Można sobie wyobrazić rozmiary wolności, jaką cieszą się Amerykanie, można stworzyć sobie obraz panującej u nich skrajnej równości, lecz aktywności politycznej, jaka ożywia tamtejsze społeczeństwo, nie można pojąć nie zobaczywszy jej na własne oczy.

Ledwie zejdziemy na ziemię amerykańską, już znajdujemy się w samym centrum wielkiego podniecenia: ze wszystkich stron dochodzi wrzawa, dociera do nas jednocześnie tysiąc głosów, a każdy z nich wyraża jakieś społeczne potrzeby. Wszystko dokoła znajduje się w ciągłym ruchu: tutaj mieszkańcy jakiejś dzielnicy zebrali się, by radzić nad kwestią budowy kościoła, tam odbywają wybory jakiegoś delegata, dalej deputowani z całego hrabstwa zjeżdżają się pospiesznie do miasta, by rozważyć pewne lokalne ulepszenia, ówdzie miejscowi rolnicy porzucają swe pola, by omówić projekt drogi lub szkoły. Jedni obywatele zbierają się tylko po to, by oświadczyć, że nie zgadzają się na jakieś posunięcia rządu, inni zaś po to, by ogłosić, że ich zdaniem ludzie stojący aktualnie u steru są ojcami narodu. A oto jeszcze inni, którzy uważając pijaństwo za źródło wszelkiego zła, uroczyście zobowiązują się do dawania przykładu wstrzemięźliwości.

Cudzoziemcy zauważają tu jedynie wielką ruchliwość polityczną, która nieustannie ożywia amerykańskie ciała prawodawcze, tymczasem ona jest tylko epizodem i jakby przedłużeniem tego powszechnego poruszenia, które rodzi się w najniższych warstwach narodu, by stopniowo objąć swym zasięgiem wszystkich obywateli. Trudno z większym oddaniem pracować dla własnego szczęścia.

Nie sposób wręcz powiedzieć, jakie miejsce zajmują polityczne czynności w życiu obywatela Stanów Zjednoczonych. Najważniejszą sprawą i, rzekłbyś, największą przyjemnością, jaką zna Amerykanin, jest mieszanie się do rządzenia oraz dyskutowanie na ten temat. Jest to widoczne w najmniejszych drobiazgach codziennego życia: nawet kobiety udają się nieraz na zgromadzenia publiczne, by podczas politycznych dysput odpocząć od domowych trosk. Kluby zastępują im do pewnego stopnia teatr. Amerykanin nie umie rozmawiać — on dyskutuje. Nie gawędzi, lecz rozprawia. Mówi zawsze w taki sposób, jakby przemawiał do zgromadzenia, i jeżeli się zacietrzewi, to zwracając się do rozmówcy gotów powiedzieć: «Panowie!».

W niektórych krajach ludzie z pewnym wstrętem przyjmują przyznane im prawa polityczne i są jakby niezadowoleni, że zabiera im się czas, zawracając głowę interesami zbiorowości. Lubią zamykać się w ciasnym egoizmie obudowanym czterema ścianami własnego domu.

Amerykaninowi odebralibyśmy połowę życia, gdybyśmy go zmusili do zajmowania się wyłącznie własnymi sprawami. Czułby wtedy, że wypełnia go wielka pustka, i byłby niewiarygodnie nieszczęśliwy.

Jestem przekonany, że gdyby kiedykolwiek despotyzm zawładnął Ameryką, miałby więcej trudności ze zwalczeniem nawyków powstałych wskutek praktykowania wolności niż z przezwyciężeniem samego do niej przywiązania.

Owo stale odradzające się ożywienie, jakie demokracja wprowadziła do politycznej rzeczywistości, rzutuje z kolei na życie cywilnego społeczeństwa. Zważywszy wszystko sądzę, że to właśnie jest największym osiągnięciem demokracji, i znacznie bardziej pochwalam ją dla dobra, które pośrednio powoduje, niż dla wszystkiego, co daje bezpośrednio.

Nie da się zaprzeczyć, że lud często bardzo źle kieruje sprawami publicznymi. Ale mieszając się do spraw publicznych lud poszerza swoje horyzonty umysłowe i wyzwala swoje myślenie z ciasnych ram codziennego doświadczenia. Człowiek z ludu, który zostaje powołany do rządzenia społeczeństwem, zaczyna szanować samego siebie. Ponieważ posiada władzę, ma na swoje usługi wysoce oświecone umysły. Ludzie światli zwracają się ze wszystkim do niego, a chcąc pozyskać w nim oparcie i starając się go zwieść na tysiąc sposobów — kształcą go. Bierze udział w politycznych przedsięwzięciach, których sam nie wymyślił, ale które pozwalają mu się przekonać, czym jest takie przedsięwzięcie. Codziennie zwracają mu uwagę na nowe ulepszenia, które można by wprowadzić do zarządzania wspólną własnością, on zaś zaczyna wówczas odczuwać pragnienie ulepszenia swych własnych interesów. Nie staje się może przez to cnotliwszy ani szczęśliwszy, lecz na pewno bardziej oświecony i bardziej czynny od swoich przodków. Nie wątpię, iż demokratyczne instytucje, zważywszy dodatkowo naturalne warunki kraju, nie są bezpośrednią, jak się powszechnie uważa, lecz pośrednią przyczyną rozwoju inicjatywy ludzkiej w Stanach Zjednoczonych. Nie sprawiają tego same prawa, lecz ludzie, oświeceni dzięki praktyce prawodawczej.

Mam wrażenie, że słuszność jest po stronie przeciwników demokracji, kiedy powiadają, że jeden człowiek lepiej wywiązuje się z powierzonego mu zadania niż rządy wszystkich. W rządach jednego człowieka — przyjmując, że stopień wykształcenia jest w obu wypadkach równy — jest więcej konsekwencji niż w rządach mas; więcej jest wytrwałości, całościowego obejmowania spraw, perfekcji w szczegółach i rozeznania w doborze ludzi. Ci, którzy temu przeczą, albo nigdy nie oglądali demokratycznej republiki, albo też osądzili sprawę na podstawie zbyt małej liczby przykładów. Prawdą jest,

że demokratyczna administracja nie celuje w regularności i w metodycznym porządku, nawet jeśli lokalne okoliczności i charakter mieszkańców pozwalają jej dobrze funkcjonować. Wolność demokratyczna nie wszystkie swoje przedsięwzięcia wykonuje z perfekcją właściwą inteligentnemu despotyzmowi. Często porzuca je, zanim zbierze ich owoce, lub ryzykuje przedsięwzięcia niebezpieczne, lecz na dłuższą metę daje więcej niż despotyzm — każdą rzecz wykonuje gorzej, lecz jej dokonania są liczniejsze. W demokracji nie to jest wielkie, co jest wykonywane przez administrację publiczną, lecz to, co dokonuje się poza nią i bez niej. Demokracja nie daje narodowi rządu najbardziej sprawnego, lecz dokonuje tego, czego najzręczniejszy rząd dokonać nie jest w stanie: rodzi w całym organizmie społecznym niespokojne ożywienie, przemożną siłę i energię, które nie mogłyby bez niej zaistnieć i które — przy sprzyjających okolicznościach — mogą zdziałać cuda. Na tym polega jej prawdziwa wyższość.

W naszych czasach, kiedy losy chrześcijańskiego świata pozostają w zawieszeniu, jedni ludzie oskarżają demokrację jako wrogą potęgę, gdy tymczasem ona dalej wzrasta; inni uwielbili już w niej nowego boga, który pojawił się z nicości. Wszelako jedni i drudzy źle znają obiekt swojej nienawiści i swojego uwielbienia, toteż walczą w ciemności i uderzają na oślep.

Czego oczekujemy od społeczeństwa i jego rządu? Spróbujmy się porozumieć.

Czy pragniemy, by umysł ludzki się rozwijał i wspaniałomyślnie rozważał sprawy tego świata? Czy chcemy wszczepić ludziom coś w rodzaju pogardy dla dóbr materialnych? Czy pragniemy wzbudzić i podtrzymywać głębokie przekonania i sprawić, by ludzie byli zdolni do wielkich poświęceń?

Czy chodzi nam o ogładę obyczajów, o szlachetne maniery, o rozkwit sztuki ? Czy pragniemy poezji, rozgłosu, chwały?

Czy chcemy powołać do życia naród, który mógłby głęboko oddziaływać na inne narody? Przeznaczyć go do wielkich zadań oraz do tego, by niezależnie od rezultatów pozostawił po sobie trwały i wielki ślad w historii?

Jeżeli to uznamy za główny cel, który powinien przyświecać ludziom w życiu społecznym, nie obierajmy demokratycznego ustroju — z pewnością nie doprowadzi nas on do pożądanych rezultatów.

Jeżeli natomiast uważamy za słuszne skierować intelektualną i moralną aktywność człowieka ku potrzebom życia materialnego, jeżeli rozum wydaje nam się pożyteczniejszy dla ludzi od geniuszu, jeżeli naszym celem nie są bohaterskie cnoty, lecz roztropne obyczaje, jeżeli wolimy być świadkami ułomności niż przestępstw i nie stykać się z wielkimi czynami za cenę zmniejszenia liczby zbrodni, jeżeli zamiast życia w społeczeństwie świetnym wystarcza nam życie w społeczeństwie prosperującym, jeżeli wreszcie głównym celem rządów nie jest naszym zdaniem możliwie największa potęga i chwała narodu, lecz stworzenie każdemu człowiekowi możliwie najwię-

kszego dobrobytu i uchronienie go od niedoli — wprowadźmy ustrój demokratyczny i sprawmy, by możliwości ludzi stały się równe.

Jeżeli natomiast jest już zbyt późno na dokonanie wyboru i siła przewyższająca siły ludzkie unosi nas już, nie pytając, ku jednemu z tych ustrojów, starajmy się przynajmniej znaleźć w nim najwięcej dobra, jakie dać może, i poznawszy jego dobre oraz złe skłonności, usiłujmy ograniczyć te drugie, rozwinąć zaś pierwsze.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

O wszechwładzy większości w Stanach Zjednoczonych oraz o jej skutkach

W samej istocie demokratycznych rządów leży to, że władza większości jest bezwzględna, ponieważ nie ma w demokracji nikogo, kto mógłby się jej oprzeć.

W większości amerykańskich konstytucji naturalną siłę większości usiłowano jeszcze sztucznie powiększyć.

Spośród wszystkich władz społecznych najchętniej poddaje się woli większości ciało prawodawcze. Amerykanie życzyli sobie, by członkowie ciała prawodawczego byli mianowani bezpośrednio przez społeczeństwo i na bardzo krótki okres czasu, co daje gwarancję podporządkowania ich nie tylko stałym poglądom, ale i doraźnym namiętnościom wyborców.

Członkowie obu izb pochodzą z tych samych warstw i są mianowani w ten sam sposób. Działania ciała prawodawczego są dzięki temu niemal równie szybkie i nieodwołalne co decyzje jednej izby.

Tworząc takie ciało prawodawcze Amerykanie oddali mu właściwie w ręce niemal całą władzę.

Prawo, zwiększając jeszcze moc tych instytucji, które i tak były silne, osłabiało jednocześnie coraz bardziej inne, z natury słabe. Przedstawicielom władzy wykonawczej nie przyznawało ani stabilności, ani niezależności i poddając ich bez reszty kaprysom legislatury odbierało im nawet te niewielkie wpływy, jakimi powinni dysponować w systemie demokratycznym.

W wielu stanach prawo powierzyło większości wybór władzy sądowniczej i sprawiało, że była ona całkowicie zależna od władzy ustawodawczej, ponieważ reprezentanci mogli corocznie określać pobory sędziów.

Praktyka poszła jeszcze dalej niż prawo.

W Stanach Zjednoczonych coraz bardziej rozpowszechnia się obyczaj, który doprowadzi do tego, że gwarancje rządu przedstawicielskiego stracą w końcu wszelkie znaczenie. Otóż zdarza się bardzo często, że wyborcy, Mianując deputowanego, nakreślają mu plan działania i wyznaczają pewne zobowiązania, od których nie może się uchylić. Daje to ten sam skutek co roztrząsanie wszystkiego na placu publicznym przez samą większość, tyle że zamieszanie jest mniejsze.

W Ameryce rozmaite okoliczności przyczyniają się dodatkowo do tego, że władza większości staje się nie tylko przeważająca, ale wręcz przemożna.

Moralne panowanie większości opiera się po części na założeniu, że wielu ludzi zgromadzonych razem posiada więcej wykształcenia i rozumu niż jeden człowiek, że liczba prawodawców jest ważniejsza niż ich dobór. Tak wygląda idea równości zastosowana do rozumu ludzkiego. Teoria ta odbiera człowiekowi ostatni azyl, jakim jest godność umysłu. Mniejszość z trudem ją zatem akceptuje i trzeba długiego czasu, by do niej przywykła. Jak wszelkiej władzy, a może jeszcze bardziej niż innym, władzy większości trzeba czasu, by mogła zostać zaakceptowana jako prawowita. Początkowo zapewnia sobie posłuszeństwo przez przymus i dopiero żyjąc długo pod jej rządami ludzie zaczynają ją szanować.

Idea głosząca, że większość, jako najbardziej oświecona, ma prawo rządzić krajem, została przywieziona na ziemię amerykańską przez jej pierwszych mieszkańców. Ta jedna myśl, która sama wystarczyłaby, by stworzyć wolne społeczeństwo, przeniknęła dziś do obyczajów i można ją odnaleźć w najdrobniejszych nawykach życia codziennego.

Za czasów dawnej monarchii Francuzi mieli za pewnik, że król nie może się mylić, kiedy zaś uczynił coś złego, winę przypisywali jego doradcom. Ułatwiało to znakomicie utrzymanie ludzi w posłuszeństwie. Mogli oni szemrać przeciw prawu, ale nie przestawali kochać i szanować prawodawcy. Amerykanie podobnie odnoszą się do większości.

Moralne panowanie większości oparte jest również o zasadę głoszącą, iż interesy większej liczby ludzi winny być stawiane przed interesami niewielu ludzi. Łatwo z tego wnioskować, iż szacunek żywiony dla tych uprawnień większości rośnie lub zmniejsza się zależnie od tego, jakie znaczenie posiadają stronnictwa polityczne. Jeżeli naród dzielą liczne i wielkie interesy, które są nie do pogodzenia, przywilej większości często nie jest uznawany, ponieważ zbyt uciążliwe jest poddanie się jej władzy.

Gdyby w Ameryce istniała warstwa obywateli, których prawodawca usiłowałby pozbawić pewnych wyłącznych przywilejów, posiadanych od wieków, i sprowadzić z zajmowanych dotąd wyżyn do poziomu tłumu, owa mniejszość prawdopodobnie nie poddałaby się tak łatwo tworzonym przezeń prawom.

Ponieważ jednak Stany Zjednoczone zostały zamieszkane przez ludzi równych sobie, nie istnieją tam na razie naturalne i trwałe różnice między ludzkimi interesami.

Zdarza się taki układ społeczny, w którym członkowie mniejszości nie mogą mieć nadziei na pozyskanie dla siebie większości, ponieważ musieliby wtedy zrezygnować z samej racji prowadzonej z nią walki. Na przykład arystokracja nie mogłaby stać się większością zachowując jednocześnie swe wyłączne przywileje i nie mogłaby się ich wyrzec nie przestając być arystokracją.

W Stanach Zjednoczonych zagadnienia polityczne nie mogą być stawiane w sposób tak ogólny i tak bezwzględny, a wszystkie stronnictwa gotowe są uznać uprawnienia większości, ponieważ wszystkie mają nadzieję wykorzystać je kiedyś dla siebie.

Większość posiada więc w Stanach Zjednoczonych ogromną władzę faktyczną i niemal równie wielką potęgę moralną. Gdy już wyrobi sobie pogląd na jakąś sprawę, nie ma przeszkód, które mogłyby, nie powiem zatrzymać, ale choćby opóźnić jej działanie i pozostawić jej czas na wysłuchanie skarg ludzi, których miażdży na swej drodze. Konsekwencje tego stanu rzeczy mogą być niebezpieczne i zgubne na przyszłość.

. . . . . .

Tyrania większości

Maksymę, która głosi, że większość ma prawo czynić w sferze rządzenia krajem wszystko, co zechce, uważam za bezbożną i godną pogardy, a jednak przyznaję, że wszelka władza powinna wywodzić się z woli większości. Czy pozostaję w sprzeczności z sobą samym?

Istnieje pewne ogólne prawo, które zostało sformułowane czy też przyjęte nie przez większość takiego lub innego narodu, ale przez większość ludzi na świecie. Tym prawem jest sprawiedliwość.

Sprawiedliwość określa więc granice praw każdego społeczeństwa.

Naród jest jakby sądem przysięgłych, któremu powierzono reprezentowanie społeczeństwa ogólnoludzkiego i stosowanie sprawiedliwości stanowiącej prawo tego społeczeństwa. Czy sąd przysięgłych, reprezentujący społeczeństwo, powinien dysponować większą władzą od samego społeczeństwa, którego prawa wykonuje?

Kiedy więc ktoś odmawia posłuszeństwa niesprawiedliwemu prawu, nie odmawia wcale większości prawa do rządzenia. Odwołuje się jedynie od suwerenności ludu do suwerenności rodzaju ludzkiego.

Są ludzie, którzy nie wahają się powiedzieć, że lud nie może przekroczyć granic sprawiedliwości i rozumu w sprawach, które jego tylko dotyczą, i że z tego powodu nie należy się wzdragać przed oddaniem całej władzy w ręce reprezentującej go większości. Jest to sposób myślenia niewolnika.

Przecież większość pojęta kolektywnie jest po prostu jednostką, która żywi odmienne przeświadczenie niż inna jednostka, nazywana przez nas mniejszością, i ma najczęściej sprzeczne z nią interesy. Otóż jeżeli uważamy, że człowiek posiadający władzę może jej nadużyć w stosunku do swych przeciwników, dlaczego nie odnosimy tego do większości? Czyż ludzie jednocząc się zmieniają swój charakter? Czy ich cierpliwość w pokonywaniu przeszkód wzrasta razem z ich siłą? Nie potrafię w to uwierzyć i nie przyz-

nałbym nigdy większości władzy czynienia, co tylko zechce, skoro odmawiam jej któremukolwiek ze swoich bliźnich.

Nie sądzę wszakże, by w celu zachowania wolności można było połączyć w jednym systemie politycznym zasady tak, by pozostawały w rzeczywistej sprzeczności.

Ustrój zwany mieszanym zawsze wydawał mi się chimerą. Ustroje mieszane w gruncie rzeczy nie istnieją, ponieważ w każdym społeczeństwie w końcu zawsze ujawnia się zasada działania, która jest pierwsza w stosunku do wszystkich innych.

Anglia osiemnastego wieku, którą wielokrotnie przytaczano jako przykład ustroju mieszanego, była w istocie państwem o ustroju arystokratycznym, choć zawierała pewne istotne elementy demokracji. Panowały tam prawa i obyczaje, które na dłuższą metę zapewniały arystokracji władzę nad biegiem spraw publicznych.

Nieporozumienie polega na tym, że dostrzegając nieustanne konflikty interesów możnych i interesów ludu, myślimy tylko o samej walce, miast rozpatrywać jej rezultaty, które są ważniejsze. Kiedy społeczeństwem naprawdę kieruje rząd mieszany, to znaczy rząd oparty na dwóch sprzecznych zasadach, jego losem jest albo rewolucja, albo anarchia.

Uważam więc, że władza zwierzchnia wobec wszystkich innych zawsze musi istnieć, lecz sądzę zarazem, że wolność będzie zagrożona, jeżeli ta władza nie natrafi na żadne przeszkody, które by ją powstrzymywały i dawały jej w ten sposób czas na zastanowienie.

Wszechwładza wydaje mi się rzeczą złą i niebezpieczną. Wszechwładne panowanie przekracza, jak myślę, siły najwybitniejszego nawet człowieka i sądzę, że tylko Bóg może być wszechmocny, ponieważ jego mądrość i sprawiedliwość zawsze dorównują rozmiarom jego władzy. Na ziemi natomiast nie istnieje żadna władza, która byłaby tak godna szacunku lub posiadała tak uświęcone prawa, bym mógł się zgodzić na jej nie kontrolowane działanie i nie ograniczone panowanie. Kiedy więc widzę, że jakiejś potędze zostaje przyznane prawo do wszechwładzy, to bez względu na to, czy nosi ona miano ludu czy też króla, arystokracji czy demokracji, czy działa w Monarchii czy w republice, powiadam: «Oto zarodek tyranii», i szukam sobie miejsca gdzie indziej.

Tak więc moim największym zarzutem przeciw rządom takiej demokracji, jaką stworzono w Stanach Zjednoczonych, jest — w przeciwieństwie do tego, co sądzi wielu ludzi w Europie — nie jej słabość, lecz jej potęga. I tym, czego najbardziej obawiam się w Ameryce, jest nie nadmierna wolność, lecz brak zabezpieczenia przeciw tyranii.

Do kogo może się w Ameryce odwołać człowiek czy też stronnictwo, które cierpi niesprawiedliwość? Do opinii publicznej? Przecież to właśnie opinia publiczna decyduje o istnieniu większości. Do ciała ustawodawczego?

Przecież ono reprezentuje większość i jest jej ślepo posłuszne. Do władzy wykonawczej? Przecież ona jest mianowana przez większość i służy jej jako bierne narzędzie. Do armii? Przecież siły zbrojne nie są niczym innym jak uzbrojoną większością. Do sądu przysięgłych? Przecież sąd przysięgłych to większość wyposażona w prawo wydawania werdyktów. Nawet sędziowie zawodowi są w niektórych stanach wybierani przez większość. Człowiek musi więc cierpieć nawet najbardziej niesprawiedliwą i niedorzeczną krzywdę.

Wyobraźmy sobie teraz ciało ustawodawcze tak pomyślane, by reprezentując większość nie musiało być niewolnikiem jej namiętności, władzę wykonawczą dysponującą własną siłą i władzę sądowniczą niezależną od dwóch pozostałych. Będzie to dalej ustrój demokratyczny, lecz niebezpieczeństwo tyranii stanie się znikome.

Nie twierdzę bynajmniej, że obecnie w Ameryce często stosuje się formy działania właściwe tyranii. Powiadam jedynie, że nie ma tam żadnych przeciw niej zabezpieczeń, a przyczyn łagodności rządów demokratycznych należy doszukiwać się raczej w obyczajach i okolicznościach niż w prawach.

Wpływ wszechwładzy większości na despotyzm amerykańskich urzędników

Należy odróżniać tyranię od despotyzmu. Tyrania może działać w oparciu o prawo i wówczas nie jest despotyczna. Despotyzm zaś może działać w interesie rządzonych i wówczas nie jest tyrański.

Tyrania najczęściej posługuje się despotyzmem, lecz w razie konieczności może się bez niego obejść.

Wszechwładza większości w Stanach Zjednoczonych sprzyjając legalnemu despotyzmowi prawodawcy sprzyja także despotyzmowi urzędników. Większość, posiadająca całkowitą władzę tworzenia praw oraz nadzorowania ich wykonawstwa, kontroluje na równi rządzących i rządzonych. Wobec tego traktuje urzędników jako swe powolne narzędzia, powierzając im chętnie starania o realizowanie własnych celów. Nie wnika więc z góry w szczegóły ich obowiązków i nie trudzi się ścisłym określaniem uprawnień. Traktuje ich tak, jak pan traktuje swoją służbę — mając ich zawsze na oku, może w każdej chwili pokierować ich postępowaniem lub skorygować je.

Amerykańskie prawo daje urzędnikom znacznie więcej swobody niż prawo francuskie. Czasem większość zezwala im nawet na przekroczenie uprawnień. Są wówczas zabezpieczeni przez opinię oraz poparcie większości i odważają się dokonywać rzeczy, które zadziwiają przyzwyczajonego przecież do popisów despotyzmu Europejczyka. W ten sposób wolność rodzi zwyczaje, które pewnego dnia mogą ją zgubić.

O władzy, jaką większość sprawuje w Ameryce nad sposobem myślenia społeczeństwa

Kiedy zastanawiamy się nad życiem umysłowym Ameryki, widzimy, do jakiego stopnia władza większości przewyższa wszelką władzę znaną nam w Europie.

Myśl jest niewidzialną i niemal nieuchwytną potęgą, która drwi sobie z wszelkiej tyranii. Najbardziej despotyczni władcy Europy nie mogą w naszych czasach przeszkodzić temu, by pewne wrogie ich władzy myśli swobodnie krążyły w państwie, a nawet w obrębie ich własnych dworów. Inaczej w Ameryce. Dopóki większość się waha, można mówić o dyskusji. Kiedy jednak raz wypowie się ostatecznie, wszyscy milkną i wtedy zarówno jej zwolennicy, jak i przeciwnicy spotykają się w jednym zaprzęgu. Powód tego jest prosty. Nie ma monarchy, którego władza byłaby na tyle absolutna, by mógł we własnych rękach skupić wszystkie siły społeczne i sam przezwyciężyć wszelki opór. Tymczasem większość, wyposażona w prawo tworzenia praw oraz ich wykonywania, jest władna to uczynić.

Król posiada zresztą jedynie władzę fizyczną, która wpływa na działanie ludzi, ale nie może dosięgnąć ich woli, podczas gdy większość dysponuje siłą fizyczną i moralną zarazem, siłą, która oddziałuje jednocześnie na wolę i na czyny oraz staje na przeszkodzie zarówno działaniom, jak i chęci działania.

Spośród wszystkich znanych mi krajów w Ameryce jest najmniej intelektualnej swobody i faktycznej wolności wypowiadania się.

W europejskich państwach konstytucyjnych można swobodnie głosić i rozpowszechniać dowolną teorię polityczną czy religijną. W Europie nie ma bowiem państw do tego stopnia opanowanych przez jedną władzę, by człowiek, który chce mówić prawdę, nie znalazł oparcia zdolnego uchronić go przed skutkami własnej niezależności. Jeżeli ma nieszczęście żyć pod rządami absolutnymi, często ma za sobą naród. Jeżeli mieszka w wolnym kraju, może w razie potrzeby schronić się pod opiekę władzy królewskiej. W krajach demokratycznych wsparcia udziela mu arystokratyczny odłam społeczeństwa, w innych — demokratyczny. Natomiast w ustroju demokratycznym pomyślanym na sposób amerykański istnieje tylko jedna władza, jeden czynnik siły i sukcesu, i nic poza nim.

W Ameryce większość zakreśla granice wolności. Wewnątrz nich pisarz jest wolny, ale biada mu, jeśli ośmieli się poza nie wykroczyć. Nie grozi mu co prawda autodafé, ale naraża się na wszelkiego rodzaju przykrości i prześladowania na każdym kroku. Kariera polityczna jest dla niego zamknięta — obraził bowiem jedyną władzę, jaka otwiera do niej drogę. Odmówione mu jest wszystko i nie może dostąpić nawet chwały. Zanim opublikował swe poglądy, sądził, iż posiada zwolenników, teraz jednak, gdy się ujawnił, od-

nosi wrażenie, że już ich nie ma, bowiem ci, którzy go ganią, przemawiają pełnym głosem, ci zaś, którzy myślą jak on, milczą i odwracają się, nie mając jego odwagi. Ustępuje więc i łamie się pod ciężarem nadaremnych wysiłków, po czym milknie, jakby dręczyły go wyrzuty sumienia za to, że powiedział prawdę.

Kajdany i miecz katowski to instrumenty prymitywne i tyrania posługiwała się nimi dawno temu. Za naszych dni cywilizacja udoskonaliła nawet despotyzm, który przecież zdawał się umieć już wszystko.

Dawni władcy niejako materializowali przemoc, podczas gdy republiki demokratyczne naszych czasów uczyniły z niej siłę równie duchową jak ludzka wola, którą pragną za jej pomocą zdusić. Despotyzm absolutnych rządów jedynowładcy, chcąc trafić do duszy, w sposób prostacki dobierał się do ciała, a dusze, niedosiężne dla tortur, gardziły nim dalej. W demokratycznych republikach tyrania nie postępuje w ten sposób. Pozostawiając ciało w spokoju, zmierza prostą drogą do zawładnięcia duszą. Władca nie mówi już: «Będziesz myślał jak ja albo umrzesz.» Powiada: «Jesteś wolny, możesz myśleć inaczej; twoje życie i twoje dobra należą do ciebie, ale odtąd będziesz wśród nas obcy. Zachowasz twoje prawa polityczne, lecz staną ci się one bezużyteczne. Jeżeli bowiem będziesz się ubiegał o głosy twoich współobywateli, nie dadzą ci ich, a jeżeli będziesz od nich wymagał jedynie szacunku, będą udawać, że i tego ci odmawiają. Pozostaniesz między ludźmi, lecz utracisz prawo do człowieczeństwa. Gdy zbliżysz się do innych, będą od ciebie uciekać jak od nieczystego ducha i nawet ci, którzy wierzą w twoją niewinność, także cię opuszczą, ponieważ nie będą chcieli, by i przed nimi uciekano. Idź w pokoju, darowuję ci życie, ale będzie ci ono gorsze od śmierci.»

Monarchie absolutne skompromitowały despotyzm, uważajmy jednak, by demokratyczne republiki go nie zrehabilitowały i czyniąc go jeszcze trudniejszym do zniesienia dla jednostek, nie odebrały mu w oczach większości jego wstrętnych cech i upadlających dążeń.

Najbardziej dumne narody dawnego świata pozwalały wydawać dzieła wiernie malujące wady i śmieszności współczesnych; La Bruyère, kiedy pisał swój rozdział o możnych tego świata, mieszkał w pałacu Ludwika XIV, a Molier krytykował dwór w sztukach, które przed nim wystawiał. Ale władza panująca w Stanach Zjednoczonych nie pozwala stroić z siebie żartów. Najlżejszy zarzut ją rani, najmniejsza koląca prawda ją przeraża; wymaga, by wychwalano w niej wszystko — od manier po wielkie cnoty. Niezależnie od sławy, jaką się cieszy, żaden pisarz nie może uniknąć obowiązku kadzenia swym współobywatelom. Większość żyje więc w nieustannym uwielbieniu samej siebie i jedynie cudzoziemiec lub przykre doświadczenie mogą sprawić, by pewne prawdy dotarły do Amerykanów.

Nie gdzie indziej też należy szukać powodów tego, że Ameryka nie ma dotąd wielkich pisarzy. Geniusz literacki nie istnieje bez wolności umysłowej, a wolności umysłowej w Ameryce nie ma.

Inkwizycja nie zdołała nigdy przeszkodzić krążeniu w Hiszpanii książek przeciwnych religii wyznawanej przez większość społeczeństwa. W Stanach Zjednoczonych większość lepiej daje sobie radę: odbiera ludziom nawet myśl publikowania takich książek. W Ameryce spotyka się niewierzących, lecz ateizm nie może tu znaleźć trybuny.

Istnieją narody, które usiłują strzec obyczajów przy pomocy wydawania wyroków na autorów swawolnych książek. W Stanach Zjednoczonych nikogo się nie skazuje za takie dzieła, bo też nikt nie próbuje ich pisać. Nie znaczy to, że obyczaje są aż tak czyste, ale że większość przestrzega swoich własnych.

Ten przykład użycia władzy jest na pewno pozytywny — dlatego mówię jedynie o władzy jako takiej. Potężna władza większości jest zjawiskiem stałym, podczas gdy jej dobre użycie zdarza się przypadkowo.

Wpływ, jaki tyrania większości wywiera na charakter narodowy Amerykanów oraz esprit de cour w Ameryce

Wpływ opisywanych przed chwilą zjawisk jak dotąd nie daje się wyraźnie odczuć w życiu politycznym, ale jego złe skutki można już odczytać w charakterze narodowym Amerykanów. Myślę, że fakt, iż na amerykańskiej scenie politycznej ukazuje się niewielu ludzi wybitnych, należy przypisać działaniu stale potężniejącego despotyzmu większości.

W chwili wybuchu amerykańskiej rewolucji było bardzo wielu takich ludzi. Opinia publiczna kierowała wtedy wolą ludzką, ale jej nie tyranizowała. Wówczas wielcy ludzie z własnej woli przyłączali się do powszechnego ruchu, zachowując jednocześnie swą własną wielkość. Ich blask promieniował na cały naród, ale był ich własnym blaskiem.

W ustrojach absolutnych ludzie możni znajdujący się blisko tronu schlebiają namiętnościom władcy i chętnie ulegają jego kaprysom. Lecz masa narodu nie jest stworzona do służalstwa; ulega mu, nieraz ze słabości, z przyzwyczajenia lub ciemnoty, czasem zaś z miłości do władzy królewskiej lub do króla. Bywały narody, które znajdowały radość w poświęcaniu swej woli na rzecz woli władcy i były z tego dumne. Swą duchową niezależność zachowały mimo posłuszeństwa. W tych krajach znacznie mniej było poniżenia niż nędzy. Istnieje skądinąd wielka różnica między robieniem tego, czego się nie pochwala, a udawaniem, że pochwala się to, co się robi. W pierwszym wypadku mamy do czynienia ze słabością, w drugim zaś ze zgoła lokajskimi nawykami.

W krajach, w których panuje wolność, gdzie każdy człowiek jest w pewnym stopniu powołany do wyrażania opinii o sprawach państwowych, w demokratycznych republikach, gdzie życie polityczne stale przenika do życia prywatnego, gdzie każdy może dotrzeć do władcy i gdzie wystarczy tylko nieco głośniej przemówić, by to, co się ma do powiedzenia, dotarło do jego uszu, znacznie więcej ludzi niż w monarchiach absolutnych usiłuje robić interesy na słabościach władzy i żyć na koszt jej namiętności. Dzieje się tak nie dlatego, by ludzie byli tam gorsi, lecz dlatego, że pokusa jest większa i podlega jej jednocześnie więcej ludzi. Dlatego właśnie więcej ludzi stoi tam niżej pod względem moralności.

Esprit de cour obejmuje w republikach demokratycznych szeroki krąg ludzi, zagarniając wszystkie warstwy jednocześnie. Jest to jeden z najważniejszych zarzutów, jakie można wytoczyć przeciw demokracji.

Dotyczy to w szczególnym stopniu państw demokratycznych w rodzaju republik amerykańskich, w których większość panuje tak bezwzględnie, że aby oddalić się od wyznaczonego przez nią kierunku, trzeba poniekąd zrezygnować z obywatelskich praw i ludzkiej godności.

W ogromnym tłumie ludzi, którzy w Stanach Zjednoczonych cisną się do kariery politycznej, widziałem bardzo niewielu, którzy odznaczaliby się tą męską prostolinijnością i niezależnością myślenia, jaka częstokroć wyróżniała Amerykanów poprzedniej epoki i jaka wszędzie na świecie stanowi wybitną cechę wielkich charakterów. Można by niemal powiedzieć, że w Ameryce wszystkie umysły zostały uformowane według tego samego modelu, do tego stopnia ludzie myślą tam podobnie. Cudzoziemiec spotyka co prawda czasem Amerykanów, którzy odbiegają od wzorca, którzy boleją nad wadliwymi prawami, nad zmiennością demokracji, nad jej nieoświeceniem. Ludzie ci posuwają się nawet często do stwierdzenia wad, które deformują charakter narodowy, oraz do wskazywania sposobów naprawy, lecz nikt poza cudzoziemcem ich nie słucha, a ten, któremu powierzają swe sekretne myśli, jest tylko przybyszem i wkrótce odjedzie, wyznają mu chętnie prawdy, które dla niego są bezużyteczne, a kiedy znajdą się na placu publicznym, przemawiają zupełnie inaczej.

Jeżeli słowa moje dotrą kiedykolwiek do Ameryki, pewien jestem, iż staną się dwie rzeczy: po pierwsze, wszyscy czytelnicy podniosą przeciw mnie krzyk, po drugie, wielu z nich rozgrzeszy mnie w głębi sumienia.

Słyszałem w Stanach Zjednoczonych ludzi mówiących o ojczyźnie. Spotkałem się z prawdziwym patriotyzmem tego narodu. Na próżno jednak szukałem go u tych, którzy nim rządzą. Łatwo to zrozumieć na zasadzie Analogii: despotyzm w znacznie większym stopniu deprawuje tego, kto mu się poddaje, niż tego, kto go narzuca. W monarchii absolutnej król często posiada wielkie cnoty, natomiast dworzanie zawsze są nikczemni.

Dworzanie w Stanach Zjednoczonych nie mówią co prawda «Panie» ani «Wasza Wysokość», co stanowi różnicę ważną i podstawową, ale bez przerwy mówią o tym, jak światły jest ich władca, i nie starają się wcale dojść, która z jego cnót zasługuje na największy podziw, ponieważ są przekonani, że posiadł wszelkie cnoty wcale się o to nie starając ani nawet tego nie chcąc. Nie oddają mu swych żon i córek, aby zechciał podnieść je do rangi swych kochanek, lecz rezygnując na jego rzecz z własnych myśli sami się prostytuują.

Moraliści i filozofowie nie muszą w Ameryce owijać swych poglądów w bawełnę alegorii, lecz zanim zaryzykują wyjawienie przykrej prawdy, powiadają: «Jesteśmy świadomi, iż przemawiamy do narodu stojącego zbyt wysoko ponad ludzkimi słabościami, by nie był zawsze panem siebie. Nie mówilibyśmy tego, gdybyśmy nie zwracali się do ludzi, których cnoty i wykształcenie sprawiają, że jedynie oni są godni być wolnymi.»

Czyż pochlebcy Ludwika XIV mogli być bardziej gorliwi?

Co do mnie, sądzę, że podłość zawsze będzie towarzyszyła sile, a pochlebstwo władzy, niezależnie od charakteru rządów. Znamy tylko jeden Sposób uniknięcia deprawacji ludzi: nikomu nie przyznawać wszechwładzy, która posiada nieograniczone prawo poniżania.

O tym, ze wszechwładza większości jest największym niebezpieczeństwem amerykańskich republik

Rządy upadają zwykle w wyniku własnej niemocy lub zwycięstwa tyranii. W pierwszym wypadku władza im się wymyka, w drugim zostaje im wydarta.

Widząc, jak państwo demokratyczne popada w anarchię, wielu ludzi sądzi, że jego rządy cechowała słabość i niemoc. Prawda jest inna: gdy raz wybuchnie tam wojna między stronnictwami, rząd traci wpływ na społeczeństwo. Nie sądzę, by w naturze rządów demokratycznych leżał brak siły czy środków działania. Przeciwnie, myślę, że gubi je najczęściej nadużycie swej siły i złe używanie środków. Anarchia wynika prawie zawsze z tyranii władzy demokratycznej lub jej nieudolności, ale nie z jej słabości.

Nie należy mylić stabilności z siłą, a wielkości jakiegoś zjawiska z jego trwałością. W republikach demokratycznych władza kierująca społeczeństwem nie jest stabilna, ponieważ często zmienia swych wykonawców i swe cele. Lecz wszędzie, gdzie się skieruje, działa z nieodpartą siłą.

Rząd republik amerykańskich wydaje mi się równie scentralizowany jak rządy europejskich monarchii absolutnych i bardziej od nich energiczny. Nie sądzę więc, by miał upaść na skutek słabości.

Jeżeli kiedykolwiek wolność przestanie istnieć w Ameryce, trzeba będzie to przypisać wszechwładzy większości, która może doprowadzić mniejszość

do rozpaczy i zmusić ją do użycia siły fizycznej. Nastanie wtedy anarchia, i nastanie ona jako konsekwencja despotyzmu.

. . . . . .

ROZDZIAŁ ÓSMY

O tym, co w Stanach Zjednoczonych łagodzi tyranię większości. Brak centralizacji administracyjnej

Wyróżniłem poprzednio dwa rodzaje centralizacji: jedną nazwałem rządową, drugą administracyjną.

W Ameryce istnieje tylko centralizacja rządowa, natomiast centralizacja administracyjna jest tam prawie nieznana.

Gdyby władza, która rządzi w Ameryce, miała do dyspozycji te dwa systemy centralizacji, gdyby posiadając prawo kierowania wszystkim umiała i miała zwyczaj sama wykonywać swe zarządzenia, a określiwszy główne zasady rządzenia zajmowała się szczegółami wprowadzania ich w życie, gdyby wreszcie, uporawszy się z wielkimi sprawami całego kraju, ingerowała w prywatne sprawy obywateli — wolność zostałaby niebawem wygnana z Nowego Świata.

Lecz większość w Stanach Zjednoczonych, choć często przejawia skłonności i instynkty despoty, nie posiada na razie najskuteczniejszych narzędzi tyranii.

W amerykańskich republikach rząd centralny zajmował się zawsze niewielką liczbą spraw, które uważał za istotne. Nigdy nie interesował się sprawami drugorzędnymi. Nic nie wskazuje na to, by kiedykolwiek miał zamiar to robić. Amerykańska większość, w miarę jak zamieniała się stopniowo w większość absolutną, nie rozszerzała wcale przywilejów władzy centralnej; uczyniła ją tylko wszechwładną w wyznaczonej sferze działania. Dzięki temu despotyzm może być trudny do zniesienia w jednej dziedzinie, ale nie może objąć wszystkich.

Jakkolwiek zresztą ślepe byłyby namiętności większości narodowej, jakkolwiek uparte byłyby jej zamierzenia — nie jest ona. w stanie narzucić ich wszystkim, wszędzie, w ten sam sposób i w tym samym czasie. Rząd centralny reprezentujący większość decyduje suwerennie, ale w celu wykonania swych rozporządzeń musi odwołać się do urzędników, którzy częstokroć wcale nie są od niego zależni i którymi nie może powodować na każdym kroku. Rady miejskie i władze administracyjne hrabstw są jakby ukrytymi rafami, o które rozbijają się fale woli ludowej. Gdyby nawet prawo stało się ciemięskie, wolność przetrwałaby jeszcze w dziedzinie wykonywania prawa, a większość nie mogłaby wdawać się w szczegóły i — rzekłbym — w błahostki administracyjnej tyranii. Większość nie wie nawet, iż mogłaby to czy-

nić, ponieważ nie posiada wcale pełnej świadomości rozmiarów swojej władzy. Zdaje sobie sprawę jedynie ze swojej naturalnej siły i nie wie, jak bardzo za pomocą odpowiednich zabiegów mogłaby ją powiększyć.

Jest to problem wart zastanowienia. Gdyby kiedykolwiek republika demokratyczna podobna republikom Stanów Zjednoczonych powstała w kraju, w którym centralizacja administracyjna wprowadzona przez rządy jedynowładcy byłaby już ugruntowana w prawach i obyczajach, despotyzm stałby się tam jeszcze bardziej nieznośny niż w jakiejkolwiek europejskiej monarchii absolutnej. Tylko w Azji można by znaleźć przykłady podobnego despotyzmu.

O stylu myślenia i cechach właściwych prawnikom w Stanach Zjednoczonych oraz o tym, że stanowią one przeciwwagę dla demokracji

Zwiedzanie Ameryki i studiowanie jej praw przekonuje o tym, że władza, jaką Amerykanie dali prawnikom, oraz wpływy, jakie pozwolili im wywierać na rządy, stanowią dziś najpotężniejszą przeszkodę dla wybryków demokracji.

Jest to związane, jak się wydaje, z jeszcze innym czynnikiem ogólniejszej natury, który dobrze byłoby uchwycić, ponieważ może mieć duże znaczenie nie tylko dla Ameryki.

W Europie od pięciuset lat prawnicy brali udział we wszystkich sprawach publicznych. Raz służyli politycznym siłom jako narzędzie, kiedy indziej to one stawały się narzędziem w ich rękach. W średniowieczu legiści wielce przyczynili się do umocnienia władzy królewskiej, a potem z powodzeniem pracowali nad jej osłabieniem. W Anglii ściśle współdziałali z arystokracją, we Francji okazali się jej najbardziej niebezpiecznymi wrogami. Czy zatem prawnikami powodują wyłącznie przypadkowe czynniki, czy też bardziej lub mniej, zależnie od okoliczności, posłuszni są właściwym sobie, wiecznym instynktom? Chcę odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ być może właśnie prawnicy zostaną powołani do odegrania pierwszorzędnej roli w społeczeństwie, jakie się wkrótce narodzi.

Ludzie, którzy odbyli specjalne studia w dziedzinie prawa, nabierają przyzwyczajenia do porządku, pewnego upodobania do form oraz instynktownego umiłowania precyzyjnego formułowania myśli, co sprawia, że stają się przeciwnikami i rewolucyjnego ducha, i nieświadomych namiętności demokracji.

Wiedza, którą zdobywają studiując prawo, zapewnia im szczególną pozycję w społeczeństwie. Wśród ludzi wykształconych tworzą oni warstwę uprzywilejowaną. W toku codziennej praktyki zawodowej prawnicy utwierdzają się w poczuciu własnej wyższości. Są mistrzami niezbędnej wiedzy, której

znajomość bynajmniej nie jest nagminna. Służą obywatelom za rozjemców i nawyk wykorzystywania ślepych namiętności stron procesowych uczy ich pewnej pogardy dla poglądów tłumu. Dodajmy do tego, że siłą rzeczy stanowią oni pewien organizm. Nie dlatego, że rozumieją się między sobą i zgodnie zmierzają do tych samych celów, lecz dlatego, że posiadanie jednakowej wiedzy i posługiwanie się jednakowymi metodami wiąże ze sobą ich umysły tak, jak wspólny interes wiąże wolę różnych ludzi.

W głębi prawniczej duszy można więc odnaleźć pewne ukryte upodobania i nawyki właściwe arystokracji. Podobnie jak arystokracja prawnicy odznaczają się instynktowną skłonnością do porządku i naturalnym umiłowaniem form, podobnie jak ona brzydzą się zabiegami motłochu i w skrytości pogardzają rządami ludu.

. . . . . .

O sądzie przysięgłych w Stanach Zjednoczonych jako o instytucji politycznej

Skoro temat moich rozważań doprowadził mnie do problemu sprawiedliwości w Stanach Zjednoczonych, zajmę się od razu sądem przysięgłych.

W rozważaniach nad sądem przysięgłych należy rozróżnić dwa aspekty — aspekt sądowy i aspekt polityczny.

Gdyby chodziło o stwierdzenie, do jakiego stopnia sąd przysięgłych, a w szczególności sąd przysięgłych orzekający w sprawach cywilnych, służy dobrej organizacji wymiaru sprawiedliwości, przyznałbym, że jego użyteczność może być zakwestionowana.

Instytucja sądu przysięgłych powstała w mało rozwiniętym społeczeństwie, kiedy do trybunału odwoływano się w prostych sprawach dotyczących faktów, i nie jest łatwo dostosować ją do potrzeb wysoce cywilizowanego społeczeństwa, w którym stosunki panujące między ludźmi stały się nieskończenie bardziej złożone oraz przybrały bardziej oświecony i intelektualny charakter.

Zamierzam przyjrzeć się politycznym aspektom sądu przysięgłych, bowiem taki jest kierunek moich obecnych rozważań. Na temat sądu przysięgłych jako środka wymiaru sprawiedliwości powiem tylko kilka słów. Kiedy Anglicy wprowadzili instytucję sądu przysięgłych, stanowili jeszcze społeczeństwo na wpół barbarzyńskie. Od tamtego czasu stali się jednym z najbardziej oświeconych narodów świata, razem zaś z oświeceniem wydawało się wzrastać ich przywiązanie do tej instytucji. Opuścili swoją ziemię i rozpierzchli się po całym świecie. Jedni utworzyli kolonie, inni niezależne państwa. Trzon narodu zachował monarchię, a wielu emigrantów utworzyło potężne republiki. Wszędzie jednak Anglicy równie cenili instytucję sądu przy-

sięgłych. Wszędzie spieszyli powołać ją lub odnowić. Instytucja sądowa, którą wielki naród tak bardzo cenił w ciągu długich wieków, którą gorliwie wprowadzał we wszystkich epokach cywilizacji, we wszystkich rejonach świata i we wszystkich ustrojach, nie może być sprzeczna z duchem sprawiedliwości.

Pomińmy jednak tę sprawę. Ograniczanie się do pojmowania sądu przysięgłych jako instytucji wymiaru sprawiedliwości oznaczałoby zawężenie problemu, ponieważ sąd przysięgłych, wywierając wielki wpływ na wyniki procesu, wywiera wpływ jeszcze większy na losy społeczeństwa. Sąd przysięgłych jest więc przede wszystkim instytucją polityczną i aby go dobrze ocenić, trzeba przyjąć ten punkt widzenia.

Przez sąd przysięgłych rozumiem pewną liczbę przypadkowo dobranych obywateli, chwilowo wyposażonych w prawo orzekania o winie.

Sąd przysięgłych jako sposób wymierzania sprawiedliwości to instytucja par excellence republikańska. A oto dlaczego:

Instytucja sądu przysięgłych może mieć charakter demokratyczny lub arystokratyczny, zależnie od warstwy społecznej, z której wywodzą się sędziowie. Zachowuje ona jednak zawsze republikański charakter dzięki temu, że faktyczne kierowanie społeczeństwem oddaje w ręce rządzonych, nie zaś rządzących.

Siła jest tylko przelotnym czynnikiem sukcesu — po niej przyjść musi prawo. Rząd, który potrafiłby dosięgnąć przeciwnika tylko na polu bitwy, szybko zostałby obalony. Prawdziwą rękojmią praw politycznych jest prawo karne. Prawo wcześniej czy później traci siłę, jeżeli tej rękojmi nie zawiera. Panem społeczeństwa jest więc w gruncie rzeczy człowiek, który sądzi przestępstwa. Otóż instytucja sądu przysięgłych wprowadza na fotel sędziowski sam naród lub przynajmniej jakąś warstwę obywateli. Oddaje więc faktyczne rządy w ręce społeczeństwa lub w ręce tej warstwy.

W Anglii sąd przysięgłych składa się z przedstawicieli arystokracji. Arystokracja tworzy tam prawa, wykonuje je oraz sądzi wykroczenia. Wszystko się zgadza — Anglia, prawdę powiedziawszy, jest republiką arystokratyczną. W Stanach Zjednoczonych ten sam system rozszerzono na całe społeczeństwo. Każdy obywatel amerykański jest wyborcą, może być wybrany oraz może być przysięgłym. Amerykański system sądów przysięgłych wydaje mi się równie krańcową i równie bezpośrednią konsekwencją zasady suwerenności ludu co powszechne głosowanie. Oba te środki mogą zapewnić panowanie większości.

Wszyscy władcy, którzy sami chcieli być źródłem swojej potęgi i kierować społeczeństwem, zamiast poddać się woli sądu przysięgłych, znosili jego instytucję albo ją osłabiali. Tudorowie więzili przysięgłych, którzy nie chcieli skazywać, a Napoleon przy pomocy swych agentów wybierał takich, którzy mu odpowiadali.

Choć prawdy te są oczywiste, nie do wszystkich trafiają i często ludzie mają u nas bardzo mętne pojęcie o instytucji sądu przysięgłych. Jeżeli pojawia się u nas pytanie, z jakich ludzi powinien składać się sąd przysięgłych, rozważa się wyłącznie ich wykształcenie i zdolności, tak jakby chodziło o zwyczajny sąd. Jest to najmniej ważna strona zagadnienia. Sąd przysięgłych jest przede wszystkim instytucją polityczną i należy go rozumieć jako jedną z form przejawiania się suwerenności ludu. Jeżeli rezygnuje się z zasady suwerenności ludu, należy go całkowicie odrzucić, w odwrotnym zaś wypadku należy przyjąć go jako konsekwencję zasad określających tę suwerenność. Obie izby stanowią cząstkę narodu, której powierzono tworzenie praw, natomiast sąd przysięgłych jest tą cząstką narodu, której powierzono czuwanie nad wykonywaniem prawa. Aby społeczeństwo było rządzone w sposób stały i jednolity, niezbędne jest, by lista sędziów przysięgłych wydłużała się lub skracała wraz z listą wyborców. Prawodawca powinien moim zdaniem przyjąć taki punkt widzenia. Reszta jest tego konsekwencją.

Jestem przekonany o tym, że sąd przysięgłych jest przede wszystkim instytucją polityczną, i za taką uważam go również wtedy, kiedy orzeka o sprawach cywilnych.

Prawa są zawsze chwiejne, póki nie znajdą oparcia w obyczajach. Obyczaje są bowiem jedyną trwałą siłą społeczeństwa.

Jeżeli kompetencje sądu przysięgłych ograniczają się wyłącznie do spraw karnych, społeczeństwo obserwuje jego działanie rzadko i w sporadycznych wypadkach. Przyzwyczaja się obywać bez niego w codziennym życiu i nie uważa sądu przysięgłych za jedyny sposób zagwarantowania sprawiedliwości.

Jeżeli zaś sąd przysięgłych zajmuje się również sprawami cywilnymi, jego praktyka codzienna rzuca się w oczy i wiąże się z interesami wszystkich. Każdy człowiek współdziała wtedy z sądem przysięgłych, który dzięki temu wnika głęboko w bieg życia. Umysły naginają się do takiego sposobu myślenia i postępowania, który uwzględnia istnienie tej instytucji; sąd przysięgłych zostaje utożsamiony z ideą sprawiedliwości.

Sąd przysięgłych ograniczony do orzekania w sprawach karnych znajduje się więc stale w niebezpieczeństwie, natomiast rozszerzony na sprawy cywilne jest trwały i odporny na ataki. Instytucja sądu przysięgłych nie oparłaby się rządom Tudorów, gdyby w Anglii równie łatwo było usunąć go z obyczajów jak z praw. Wolność została w Anglii uratowana właśnie dzięki sądowi przysięgłych, orzekającemu w sprawach cywilnych.

Niezależnie od tego, w jakich sprawach sąd przysięgłych orzeka, wywiera on wielki wpływ na charakter narodowy, a wpływ ten jest tym większy, im rozleglejsze są jego kompetencje w sprawach cywilnych.

Sąd przysięgłych, zwłaszcza gdy sądzi sprawy cywilne, sprawia, że wszyscy obywatele nabierają nawyków przysięgłego. Właśnie te nawyki przygotowują naród do czynienia użytku z wolności.

Sąd przysięgłych upowszechnia poszanowanie idei prawa wśród wszystkich warstw społeczeństwa. Miłość wolności staje się namiętnością niszczącą, jeżeli nie towarzyszy jej ten szacunek.

Sąd przysięgłych uczy ludzi praktyki sprawiedliwości. Każdy człowiek, osądzając swego sąsiada, ma na względzie to, że i on sam może stanąć kiedyś przed sądem. W szczególności dotyczy to spraw cywilnych. Prawie żaden człowiek nie dopuszcza bowiem myśli, że może kiedyś zostać oskarżony w sprawie karnej; natomiast sprawę cywilną może mieć każdy.

Sąd przysięgłych uczy ludzi odpowiedzialności za własne czyny. Uczy więc odwagi cywilnej, bez której nie ma cnót społecznych.

Sąd przysięgłych obarcza niejako każdego człowieka obowiązkami sędziego, uczy wszystkich poczucia społecznego obowiązku i daje świadomość udziału w rządzeniu. Zmuszając ludzi do zajmowania się nie tylko własnymi prywatnymi sprawami zwalcza indywidualny egoizm, który jest rdzą społeczeństw.

Sąd przysięgłych niewiarygodnie wpływa na rozwijanie umiejętności oceny wydarzeń oraz kształci lud. Jest to, moim zdaniem, jego największa zaleta. Sąd przysięgłych jest jakby bezpłatną i dla wszystkich otwartą szkołą, w której każdy przysięgły uczy się swoich praw obywatelskich, w której na co dzień styka się z najbardziej wykształconymi i światłymi przedstawicielami warstw wyższych, w której śledząc wysiłki adwokatów, sposób myślenia sędziego i namiętności stron procesowych uczy się praktycznego zastosowania praw. Myślę, że praktyczną inteligencję i zdrowy rozsądek Amerykanie zawdzięczają w pierwszym rzędzie długiej tradycji cywilnych sądów przysięgłych.

Nie wiem, czy sąd przysięgłych jest użyteczny dla tych, którzy przed nim stają, ale wiem na pewno, że jest bardzo potrzebny tym, którzy sądzą. Upatruję w nim jeden z najskuteczniejszych sposobów wychowywania społeczeństwa.

Dotyczy to wszystkich narodów; niemniej Amerykanie i w ogóle demokratyczne społeczeństwa odznaczają się w tej dziedzinie pewną cechą szczególną.

Mówiłem już, że w krajach demokratycznych prawnicy, a wśród nich i sędziowie, tworzą jedyny organizm o charakterze arystokratycznym, który zdolny jest miarkować namiętności ludu. Arystokracja ta nie dysponuje żadną siłą fizyczną i jedynie na umysły wywiera swój zachowawczy wpływ. Otóż właśnie instytucja cywilnego sądu przysięgłych stanowi główne źródło jej władzy.

W procesie karnym, w którym społeczeństwo przeciwstawia się jednemu człowiekowi, przysięgli widzą w sądzie bierne narzędzie społecznej władzy i nie dowierzają jego ocenom. Co więcej, w procesach karnych chodzi wyłącznie o proste fakty, które zdrowy rozsądek łatwo może ocenić. Sędzia i przysięgli są tu równi.

W procesie cywilnym jest inaczej: sędzia jest tu bezinteresownym rozjemcą stron. Przysięgli ufają mu i słuchają go z szacunkiem, ponieważ jego rozum całkowicie góruje tutaj nad ich własnym. To on właśnie wyjaśnia im trudne do spamiętania racje, które przed nimi wytaczano, i prowadzi ich za rękę przez labirynt procedury, to on formułuje pytanie o fakt i poucza ich co do odpowiedzi, której muszą udzielić na pytanie prawne. Jego oddziaływanie na przysięgłych jest ogromne.

Czyż mam powiedzieć, dlaczego nie przekonuje mnie argumentacja, która powołuje się na niedostateczne umiejętności przysięgłych w sprawach cywilnych?

W procesach cywilnych, a przynajmniej w wypadkach, gdy nie chodzi o ocenę faktu, sąd przysięgłych ma tylko pozory sądu.

Przysięgli wydają werdykt zgodny z orzeczeniem sędziego. Udzielają temu orzeczeniu autorytetu społeczeństwa, które reprezentują, podczas gdy sędzia udziela mu autorytetu rozumu i prawa.

W Anglii i Ameryce, w przeciwieństwie do Francji, sędziowie wywierają duży wpływ na tok procesów karnych. Różnica pochodzi stąd, że sędzia angielski i amerykański zdobył swą władzę w dziedzinie spraw cywilnych i potem przenosi ją tylko na grunt spraw karnych.

Bywają wypadki, najczęściej o największym znaczeniu, w których sędzia amerykański ma prawo orzekać sam. Znajduje się wówczas w sytuacji sędziego francuskiego, lecz jego władza moralna jest znacznie większa: przysięgli bowiem i tutaj za nim stoją, dzięki czemu jego głos ma wagę głosu społeczeństwa, które oni reprezentują.

Jego wpływ sięga nawet znacznie dalej. W drobnych sprawach prywatnego życia, w wydarzeniach życia politycznego, na placu publicznym i w izbach ustawodawczych sędzia amerykański jest stale otoczony przez ludzi, którzy przywykli do jego intelektualnej wyższości. Sędzia, który użył swej władzy w toku procesu, dalej kształtuje umysły, a nawet oddziałuje na dusze ludzi, którzy osądzali wraz z nim.

Sąd przysięgłych, który na pozór wydaje się ograniczać siłę zwykłego sądu, staje się faktycznym źródłem jego władzy. Sędziowie są najpotężniejszą siłą w tych krajach, w których społeczeństwo dzieli ich uprawnienia.

Specyficzny styl myślenia prawników, o którym mówiłem, dociera do najniższych warstw społeczeństwa przede wszystkim właśnie dzięki instytucji sądu przysięgłych orzekającego w sprawach cywilnych.

Tak więc sąd przysięgłych, będąc najskuteczniejszym sposobem zapewnienia władzy ludu, jest także najlepszą szkołą sprawowania tej władzy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Główne przyczyny, które sprawiają, że ustrój demokratycznej republiki utrzymuje się w Stanach Zjednoczonych

Demokratyczna republika utrzymuje się w Stanach Zjednoczonych. Celem mojej książki jest wyjaśnienie przyczyn tego zjawiska.

Wielu spośród tych przyczyn zaledwie dotknąłem, ponieważ temat ponosił mnie częstokroć. Wieloma nie zdołałem się dotąd zająć. Te natomiast, które omawiałem, zostały pogrzebane w zalewie szczegółów.

Uznałem więc, że zanim posunę się dalej w moich rozważaniach, powinienem wymienić je wszystkie na jednym miejscu.

Podsumowanie nie będzie długie, ponieważ chcę tylko bardzo ogólnie przypomnieć czytelnikowi to, z czym się już zapoznał. Spośród zjawisk zaś, o których dotąd nie miałem okazji mówić, wybiorę jedynie najważniejsze.

Myślę, że wszystkie przyczyny, które powodują trwałość republiki demokratycznej w Stanach Zjednoczonych, można sprowadzić do trzech następujących: szczególne i przypadkowe okoliczności, jakimi Opatrzność obdarzyła Amerykę; prawa; zwyczaje i obyczaje.

O przypadkowych i opatrznościowych przyczynach, które sprawiają, że w Stanach Zjednoczonych utrzymuje się ustrój demokratycznej republiki

Mnóstwo okoliczności niezależnych od ludzkiej woli ułatwia utrzymanie republiki demokratycznej w Stanach Zjednoczonych. Jedne z nich są znane, inne zaś nietrudno wyśledzić. Ograniczę się do najważniejszych.

Amerykanie, nie mając sąsiadów, mogą nie obawiać się ani wielkich wojen, ani finansowych kryzysów. Ich kraj nie jest narażony na spustoszenia ani podboje. Nie potrzebują więc ani wysokich podatków, ani licznej armii, ani wielkich strategów. Nie zagraża im też plaga groźniejsza dla republik niż wszystkie poprzednie razem wzięte — namiętność wojennej chwały.

. . . . . .

Wielka szansa została dana Amerykanom już w chwili narodzin społeczeństwa; ojcowie ich przywieźli niegdyś na ziemię amerykańską równość możliwości i umysłów, która pewnego dnia miała stać się naturalnym źród-

łem amerykańskiej demokracji. Ale to jeszcze nie wszystko: wraz z republikańskim układem społecznym przekazali swym potomkom zwyczaje, idee i obyczaje, które najbardziej sprzyjają rozkwitowi republiki. Gdy myślę o wszystkim, co wyniknęło z tego podstawowego wydarzenia, wydaje mi się, że pierwszy purytanin, który zawitał do Nowego Świata, nosił w sobie cały przyszły los Ameryki, tak jak pierwsi rodzice nosili w sobie cały los ludzkości.

Najważniejszą spośród innych szczęśliwych okoliczności, dzięki którym można było założyć i utrzymać w Stanach Zjednoczonych demokratyczną republikę, był wybór krainy, w jakiej zamieszkali Amerykanie. Miłość równości i wolności dali im przodkowie, lecz ogromny kontynent, który pozwolił im na długo pozostać równymi i wolnymi, dał im sam Bóg.

Powszechny dobrobyt sprzyja trwałości wszystkich ustrojów, ale w szczególności dotyczy to ustrojów demokratycznych, które opierają się na woli większości mieszkańców kraju, a przede wszystkim na woli najbardziej potrzebujących. Kiedy rządzi lud, musi on być szczęśliwy, ponieważ w przeciwnym razie gotów wstrząsnąć państwem. Nędza ludu naraża państwo na te same niebezpieczeństwa, na które naraża je ambicja królów. Dobrobyt swój Ameryka zawdzięcza wielu czynnikom materialnym, które są niezależne od charakteru praw — i to wyróżnia ją spośród wszystkich innych krajów świata.

W Stanach Zjednoczonych nie tylko prawa są demokratyczne — sama natura pracuje tu na rzecz sprawy ludu.

To, co na naszych oczach dzieje się w Ameryce Północnej, nie ma odpowiednika w historii.

Wszystkie słynne społeczeństwa starożytności powstawały wśród wrogich ludów, które trzeba było pokonać, by zająć ich miejsce. Także współcześni musieli, podczas kolonizacji Ameryki Południowej, zmierzyć się z prymitywnymi ludami zamieszkującymi wielkie jej połacie, ludami, które objęły już w posiadanie ziemię, ponieważ ją uprawiały. Aby stworzyć nowe państwa, kolonizatorzy musieli więc zniszczyć lub zniewolić te liczne ludy, a ich tryumfy przyniosły wstyd cywilizacji.

Tymczasem w Ameryce Północnej mieszkały tylko wędrowne plemiona, które zupełnie nie wykorzystywały naturalnych bogactw ziemi. Była ona w gruncie rzeczy pustym kontynentem, dziewiczą ziemią, która oczekiwała dopiero na swych mieszkańców.

Od układu społecznego po prawa — wszystko jest u Amerykanów niezwykłe. Ale najbardziej niezwykła jest ziemia, po której stąpają.

Kiedy Stwórca dał ludziom ziemię, była ona młoda, a jej bogactwa niewyczerpane. Wszelako ludzie byli słabi i ciemni. Kiedy zaś nauczyli się korzystać ze skarbów, jakie nosiła w swym wnętrzu, było już ich tylu, że pokry-

wali całą jej powierzchnię i niebawem musieli walczyć o miejsce, w którym spokojnie mogliby zażywać wolności.

Wtedy właśnie odkryto Amerykę Północną. Zdawać by się mogło, że Bóg zatrzymał ją w rezerwie i pozwolił jej dopiero teraz wyłonić się spod fal potopu.

Jak za pierwszych dni stworzenia, ma ona rzeki o niewyczerpanych źródłach, zielone i wilgotne ustronia, bezkresne pola nie tknięte jeszcze lemieszem rolnika. W tym stanie ukazała się oczom człowieka, który nie był już ciemny, barbarzyński i samotny, lecz związany z innymi ludźmi i bogaty w doświadczenie pięćdziesięciu wieków, człowieka, który posiadł już najważniejsze tajemnice natury.

W chwili gdy piszę te słowa, trzynaście milionów cywilizowanych ludzi przybyłych z Europy zamieszkuje tę urodzajną ziemię, nie znając jeszcze w pełni jej zasobów i rozmiarów. Trzy czy cztery tysiące żołnierzy wygania z niej wędrowny lud krajowców, a za uzbrojonymi ludźmi posuwają się drwale, którzy przedzierają się przez puszczę, płoszą dzikie zwierzęta, badają bieg rzek i przygotowują tryumfalny marsz cywilizacji przez dziewiczą ziemię.

Niejednokrotnie wspominałem o materialnym dobrobycie Amerykanów, traktując go jako jedno z najważniejszych źródeł sukcesu ich praw. Wielu ludzi dostrzegło tę przyczynę przede mną, a ponieważ rzucała się w oczy Europejczykom, zapamiętano tylko ją. Nie będę więc rozwodził się na temat, który wszyscy znają, dodam tylko kilka nie znanych faktów.

Ludzie wyobrażają sobie powszechnie, że nie zamieszkane tereny w głębi Ameryki zaludniane są przez europejskich emigrantów, którzy stale napływają do Nowego Świata, podczas gdy dotychczasowa społeczność amerykańska rośnie i mnoży się na ziemi, którą kiedyś zajęli jej przodkowie. To przekonanie jest błędne. Europejczyk, który przybywa do Ameryki Północnej, nie ma tam przyjaciół i często jest pozbawiony źródeł utrzymania. Musi więc wynajmować się do pracy i dlatego rzadko opuszcza wielki rejon przemysłowy, który ciągnie się wzdłuż oceanu. Nie można przecież karczować puszczy nie posiadając kapitału lub kredytu. Organizm również musi przyzwyczaić się do nowego klimatu, zanim człowiek rozpocznie takie przedsięwzięcie. Na dalekich terenach osiedlają się więc Amerykanie, którzy porzucają w tym celu miejsce swego urodzenia. I tak, Europejczyk opuszcza swój dom, by zamieszkać na przeciwległym brzegu Atlantyku, natomiast urodzony na tym wybrzeżu Amerykanin przenosi się z kolei na pustkowia Ameryki centralnej. Ten podwójny ruch emigracji nie zatrzymuje się ani na chwilę: zaczyna się w głębi Europy, przekracza wielki ocean i trwa jeszcze na bezdrożach Nowego Świata. Miliony ludzi zmierzają jednocześnie w tym samym kierunku. Różne są ich języki, religia i obyczaje, lecz cel jest wspólny

wszystkim. Usłyszeli oto, że gdzieś na zachodzie znajduje się szczęście, i pospiesznie biegną na jego spotkanie.

Nic, poza być może skutkami, jakie przyniósł światu upadek Cesarstwa Rzymskiego, nie da się porównać z tą nieustanną wędrówką ludów. Jak i dzisiaj, widziano wówczas ludzi, którzy tłumnie dążyli do tych samych miejsc. Lecz inne były wyroki Opatrzności. Za przybyszami wszędzie szła wówczas śmierć i zniszczenie. Dziś każdy emigrant niesie ze sobą zalążek życia i dobrobytu.

Przyszłe konsekwencje tej migracji Amerykanów na zachód są jeszcze dla nas tajemnicą, wszelako widać już jej bezpośrednie skutki. Ponieważ część mieszkańców opuszcza corocznie stany, w których przyszli na świat, zaludniają się one bardzo powoli, starzejąc się jednocześnie. Dlatego w Connecticut, w którym tylko pięćdziesięciu dziewięciu obywateli przypada na milę kwadratową, ludność wzrosła od czterdziestu lat o jedną czwartą, podczas gdy w Anglii w tym samym czasie powiększyła się o jedną trzecią. Europejski emigrant przybywa więc do kraju w połowie tylko zaludnionego, w którym brakuje rąk do pracy. Zostaje dobrze opłacanym robotnikiem, a jego syn pójdzie już szukać szczęścia na nie zamieszkane ziemie i stanie się bogatym farmerem. Ojciec zbiera kapitał, który syn zainwestuje, a żaden z nich nie zazna biedy.

Prawo Stanów Zjednoczonych ogromnie sprzyja podziałowi własności, lecz siła potężniejsza niż prawo przeciwdziała jednocześnie dzieleniu własności ponad miarę. Widać to wyraźnie w stanach, które wreszcie zaczynają się zapełniać. Massachusetts jest najbardziej zaludnionym stanem Unii: osiemdziesięciu mieszkańców przypada tam na milę kwadratową. Jest to znacznie mniej niż we Francji, gdzie na tej samej przestrzeni żyje stu sześćdziesięciu dwóch ludzi.

A jednak w Massachusetts rzadko się zdarza, by dzielono małe majątki: w większości wypadków najstarszy syn dziedziczy ziemię, a młodsi idą szukać szczęścia i bogactwa wśród pustkowi.

W Ameryce odrzucono prawo primogenitury, a jednak można powiedzieć, że bez uszczerbku dla sprawiedliwości i bez niczyjej krzywdy przywróciła je tam Opatrzność.

. . . . . .

Trudno opisać łapczywość, z jaką Amerykanin rzuca się na ten wielki dar fortuny. W pogoni za nim gotów stawić czoło indiańskim strzałom i nieznanym chorobom, zamieszkać w niebezpiecznej ciszy lasów i wśród dzikich zwierząt. Namiętność silniejsza od miłości życia każe mu iść na pustkowia. Rozpościera się przed nim bezkresny kontynent, on zaś, jakby w obawie, że zabraknie tam dla niego miejsca, spieszy, by nie przybyć za późno. Mówiłem o tym, że Amerykanie emigrują ze stanów dawniej założonych. Cóż do-

piero mówić o opuszczaniu takich, które świeżo powstały? Od czasu założenia Ohio nie upłynęło pięćdziesiąt lat, a większość jego mieszkańców przyszła jeszcze na świat gdzie indziej. Stolica Ohio nie ma nawet trzydziestu lat, a ogromny obszar pustych połaci ziemi pokrywa powierzchnię stanu. Ludność Ohio rozpoczęła już jednak marsz na zachód — większość ludzi, którzy osiedlają się wśród żyznych łąk Illinois, pochodzi z Ohio. Pierwszą ojczyznę opuścili w poszukiwaniu lepszego losu, drugą opuszczają w pogoni za jeszcze lepszym. Wszędzie znajdują powodzenie, ale nie szczęście. Pragnienie dobrobytu stało się u nich niespokojną i żarliwą namiętnością, która rośnie w miarę zaspokajania. Raz zerwawszy więzy łączące ich z rodzinną ziemią, dotąd nie nałożyli sobie innych. Emigracja była początkowo ich potrzebą, z czasem stała się czymś w rodzaju hazardowej gry, której emocje cenią sobie równie wysoko jak wygraną.

Czasem człowiek posuwa się naprzód tak szybko, że puszcza odradza się za nim na nowo. Las tylko ugiął się pod stopą człowieka i po jego przejściu podnosi się znowu. Podróżując po nowych stanach Zachodu nierzadko można spotkać opuszczone szałasy w środku lasu. Na resztki ludzkich siedzib natrafia się w najodleglejszych ostępach, a przejeżdżając obok ledwie wykarczowanych, a już opuszczonych pól, trudno nie zadumać się nad ludzką potęgą i niestałością. Te porzucone pola i świeże ruiny domostw puszcza porasta gęstwą młodych pędów, a zwierzęta ponownie opanowują swoje królestwo. Zielenią i kwiatami pokrywa uradowana natura wszystko, co pozostało po człowieku, i stara się pospiesznie wymazać jego nietrwałe ślady.

. . . . . .

Najgłębsze namiętności Amerykanów mają charakter kupiecki, a nie polityczny. Można powiedzieć, że Amerykanie wnoszą kupieckie nawyki do życia politycznego. Lubią porządek, bez którego interesy nie mogłyby prosperować, i szczególnie cenią sobie stałość obyczajów, która stanowi o dobrej firmie. Zdrowy rozsądek, który tworzy wielkie majątki, przedkładają nad geniusz, który je nieraz roztrwania. Ich nawykłe do rachowania umysły są bezradne wobec idei ogólnych. Od wszelkiej teorii wyżej stawiają praktykę.

Aby przekonać się, jak potężny wpływ wywiera dobrobyt materialny na życie polityczne i nawet na same poglądy ludzi, które, zda się, powinny podlegać jedynie rozumowi — należy pojechać właśnie do Ameryki. Tę prawidłowość odkryć można zwłaszcza u przybyszów. Większość europejskich emigrantów przywozi ze sobą do Ameryki owo żywiołowe umiłowanie niezależności i zmian, które tak często rodzi się u nas pod wpływem naszych niedoli. W Stanach Zjednoczonych kilkakrotnie spotkałem Europejczyków, którzy ze względu na przekonania polityczne byli niegdyś zmuszeni do ucieczki ze swego kraju. Zadziwiało mnie to, co mówili, wszelako najbardziej

uderzyły mnie słowa jednego spośród nich. Gdy przejeżdżałem przez jeden z najodleglejszych rejonów Pensylwanii, zaskoczyła mnie noc, więc udałem się do domu bogatego plantatora, by szukać u niego schronienia. Był to Francuz. Posadził mnie przy kominku i zaczęliśmy rozprawiać, tak jak przystało na ludzi, którzy spotkali się w głębi lasu o dwa tysiące mil od rodzinnego kraju. Wiedziałem, że przed czterdziestu laty mój gospodarz był wielkim zwolennikiem równości i żarliwym doktrynerem. Jego nazwisko pozostało w historii.

Zdziwiłem się więc niepomiernie, gdy zaczął roztrząsać prawo własności tak, jak mógłby to robić ekonomista lub wielki posiadacz ziemski. Mówił o hierarchii, która musi istnieć i którą los narzucił ludziom, o posłuszeństwie prawu, które obowiązuje wszystkich, o znaczeniu dobrych obyczajów w życiu republik, o oparciu, jakiego idee religijne dostarczają porządkowi i wolności. Zdarzyło mu się nawet, na poparcie jakiegoś politycznego poglądu, niby to niechcący powołać się na autorytet Jezusa Chrystusa.

Słuchając go, podziwiałem ułomność ludzkiego umysłu. Nauka jest niepewna, doświadczenie wskazuje najróżniejsze tropy — jakże tu odróżnić prawdę od fałszu? Oto pojawia się nowy fakt, który rozprasza wszystkie moje wątpliwości: byłem biedny, teraz jestem bogaty. Gdybyż przynajmniej dobrobyt, oddziałując na mój sposób życia, pozwalał mi jednak myśleć niezależnie! Gdzie tam — wraz z odmianą losu zmieniłem poglądy i miłe wydarzenie życia stało się decydującą racją, której dotąd mi brakowało.

Dobrobyt w większym jeszcze stopniu wpływa na myślenie Amerykanów niż na poglądy przybyszów. Amerykanin zawsze miał przed oczami fakty, które przekonywały go o tym, że ład społeczny i pomyślność idą ręka w rękę. Nie wyobraża sobie, by mogły istnieć osobno. Nie musi więc, jak tylu Europejczyków, niczego odrzucić i o niczym zapomnieć spośród doświadczeń i nauk dotychczasowego życia.

. . . . . .

O wpływie obyczajów na utrzymywanie się ustroju demokratycznej republiki w Stanach Zjednoczonych

Jak powiedziałem, obyczaje uważam za jedną z najważniejszych przyczyn natury ogólnej, które pozwalają na trwanie republiki demokratycznej w Stanach Zjednoczonych.

Słowo «obyczaje» rozumiem tak, jak starożytni rozumieli słowo «mores», i odnoszę je nie tylko do obyczajów w dosłownym sensie, które można by inaczej nazwać przyzwyczajeniami serca, ale także do właściwych ludziom pojęć, do przekonań, jakie żywią, oraz do wszystkich idei, które składają się na ich sposób myślenia.

Słowem tym określam więc cały moralny i intelektualny stan społeczeństwa. Przedstawienie całości amerykańskich obyczajów nie jest moim celem. Poprzestaję na tych, które sprzyjają trwałości instytucji politycznych.

O religii pojmowanej jako instytucja polityczna oraz o tym, jak bardzo przyczyniła się ona do trwałości ustroju demokratycznej republiki w Ameryce

Każda religia odpowiada jakimś określonym przekonaniom politycznym.

Umysł ludzki posiada naturalną skłonność do porządkowania społeczeństwa według wzorca państwa bożego. Usiłuje on, jeżeli można tak się wyrazić, dopasować ziemię do nieba.

Przeważająca część angielskiej Ameryki została zamieszkana przez ludzi, którzy wyłamawszy się spod władzy papieskiej nie poddali się żadnemu religijnemu zwierzchnikowi. Przynieśli więc do Nowego Świata chrześcijaństwo, które najlepiej daje się określić jako demokratyczne i republikańskie. Fakt ten szczególnie sprzyjał wprowadzeniu republiki i demokracji jako form politycznej egzystencji kraju. Zgodziwszy się co do samej zasady, religia i polityka zawsze odtąd żyły w zgodzie.

Minęło około pięćdziesięciu lat, odkąd z Irlandii zaczęła napływać do Stanów Zjednoczonych ludność katolicka. Ze swojej strony amerykański katolicyzm także pozyskał wyznawców; na terenie Unii żyje dzisiaj ponad milion chrześcijan wyznających naukę kościoła rzymskiego.

Katolicy amerykańscy są bardzo wierni praktykom swego wyznania, wierzą z oddaniem i gorliwością, a jednak stanowią warstwę o najbardziej demokratycznych i republikańskich przekonaniach. Zjawisko zaskakujące, lecz po chwili namysłu łatwo zrozumieć, skąd pochodzi.

Myślę, że religię katolicką niesłusznie traktuje się jako naturalnego przeciwnika demokracji. Wśród wielu chrześcijańskich doktryn katolicyzm wydaje mi się właśnie jedną z najbardziej sprzyjających zrównaniu możliwości ludzkich. Społeczeństwo religijne składa się u katolików z dwóch elementów: kapłana i ludu. Jedynie kapłan wyniesiony jest ponad wiernych, poniżej wszyscy są równi.

Co do dogmatów, katolicyzm jednakowo traktuje wszystkie umysły. Zmusza on do uznania tych samych zasad wiary uczonego i analfabetę, geniusza i prostaka. Zarówno biednemu, jak i bogatemu narzuca te same praktyki, równie surowo traktuje silnego i słabego, nie układa się z żadnym spośród śmiertelnych i stosując tę samą miarę do wszystkich ludzi pragnie przemieszać wszystkie warstwy społeczeństwa u stóp jednego ołtarza w ten sposób, w jaki są przemieszane w oczach Boga.

Katolicyzm przyzwyczaja wiernych do posłuszeństwa, ale nie przygotowuje ich do zaakceptowania nierówności. Rzekłbym, iż jest tu odwrotnie niż

w protestantyzmie, który prowadzi ludzi raczej ku niezależności niż ku równości.

Katolicyzm przypomina monarchię absolutną, w której — pominąwszy osobę władcy — możliwości ludzi okazują się bardziej równe niż w republikach.

Zdarzało się niejednokrotnie, że katolicki ksiądz zdobywał sobie pozycję w życiu społecznym, wykorzystując swą władzę duchową dla sprawy trwałości porządku politycznego, do którego sam należał. W wyniku swoich przekonań religijnych bywali wtedy katolicy zwolennikami ustroju arystokratycznego.

Lecz kiedy kościół zostanie odsunięty lub — jak w Stanach Zjednoczonych — odsunie się od władzy, katolicy okazują się ludźmi najbardziej powołanymi do utrwalania w rzeczywistości społecznej zasady równych możliwości.

Choć więc, ze względu na naturę swej wiary, amerykańscy katolicy nie są szczególnie predestynowani do przyjęcia demokratycznych i republikańskich przekonań, to przynajmniej z tych samych powodów nie są im przeciwni, a pozycja, jaką zajmują w społeczeństwie, oraz mała liczebność skłaniają ich do przyjęcia tych przekonań za swoje.

Większość katolików to ludzie biedni, którzy mogą odgrywać jakąś rolę w rządzeniu krajem tylko wtedy, kiedy wszyscy obywatele dopuszczeni są do rządzenia. Dla katolików stanowiących mniejszość jedyną gwarancją zachowania własnych praw może być tylko powszechne respektowanie praw wszystkich ludzi. Obie te przyczyny skłaniają ich, być może nawet bez udziału ich świadomości, do przyjęcia poglądów politycznych, które akceptowaliby pewnie z mniejszym zapałem, gdyby byli bogaci i posiadali przewagę.

Kler katolicki Stanów Zjednoczonych nie próbował walczyć z tą tendencją polityczną; stara się raczej ją usprawiedliwiać. Amerykańscy księża katoliccy podzielili rzeczywistość duchową na dwie części: w jednej pomieścili prawdy objawione, które przyjmują bez zastrzeżeń, w drugiej zaś idee polityczne, co do których uznali, iż Bóg pozostawił je swobodnemu wyborowi ludzi. Tak więc katolicy amerykańscy są najbardziej posłusznymi wiernymi i najbardziej niezależnymi obywatelami jednocześnie.

Można więc powiedzieć, że w Stanach Zjednoczonych nie istnieje żadna doktryna religijna, która byłaby wrogiem instytucji demokratycznych i republikańskich. Wszyscy duchowni głoszą to samo. Przekonania pozostają w zgodzie z charakterem praw i wszystkie umysły są, by tak rzec, jednakowo nastawione.

Przebywałem kiedyś w jednym z wielkich miast Unii, gdzie zaproszono mnie na polityczne zgromadzenie, którego celem było zorganizowanie pomocy dla Polaków i wysłanie im broni oraz pieniędzy.

W wielkiej, specjalnie przygotowanej sali ujrzałem około trzech tysięcy ludzi. Wkrótce po moim przybyciu jakiś ksiądz ubrany w szaty liturgiczne wysunął się na przód estrady przeznaczonej dla mówców. Podczas gdy obecni, odkrywszy głowy, stali w milczeniu, on przemówił w te słowa: «Wszechmogący Boże! Boże żołnierzy! Ty, który dodawałeś otuchy sercom naszych ojców i wiodłeś ich, kiedy walczyli o święte prawa niepodległości narodu, który wyprowadziłeś ich zwycięsko spod ohydnego ucisku i dałeś naszemu narodowi dobrodziejstwo pokoju i wolności! O Panie, racz wejrzeć miłościwie na drugą półkulę, spójrz litośnie na bohaterski naród, który walczy dziś tak jak my niegdyś, w obronie tych samych praw! Panie, któryś wszystkich ludzi stworzył na jedno podobieństwo, nie pozwól, aby despotyzm niszczył twoje dzieło i wspierał nierówność na ziemi. Boże wszechmogący! czuwaj nad losem Polaków i uczyń ich godnymi wolności; niech twa mądrość króluje w ich radzie, niech twa siła będzie w ich ramieniu. Ześlij trwogę na ich wrogów, skłóć potęgi, które knują ich zgubę, i nie pozwól, aby dzisiaj spełniła się niesprawiedliwość, którą świat oglądał przed pięćdziesięciu laty. Panie, który trzymasz w swej mocarnej dłoni serca Narodów i serca ludzi, pobudź sprzymierzeńców dla świętego dzieła dobrego prawa, spraw, by naród francuski podniósł się wreszcie, i porzucając gnuśność, w której trwa za sprawą swoich władców, ruszył raz jeszcze walczyć o wolność świata. Panie! Nie odwróć od nas nigdy swego oblicza, pozwól nam na zawsze pozostać ludem najgłębiej wierzącym i najbardziej wolnym. Boże Wszechmogący, wysłuchaj dziś naszych próśb, zbaw Polaków. Prosimy Cię o to w imię Syna Twego Jedynego, Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, który umarł na krzyżu dla zbawienia wszystkich ludzi. Amen.» Całe zgromadzenie w skupieniu powtórzyło: «Amen.»

. . . . . .

O tym, jak oświecenie, zwyczaje i praktyczne doświadczenie Amerykanów przyczyniają się do sukcesu instytucji demokratycznych

. . . . . .

Ameryka miała dotąd bardzo niewielu wybitnych pisarzy. Nie ma również wielkich historyków i ani jednego poety. Amerykanie niełaskawie spoglądają na literaturę; trzeciorzędne europejskie miasto drukuje corocznie więcej utworów literackich niż dwadzieścia cztery stany Unii razem wzięte.

Amerykańska umysłowość nie interesuje się pojęciami ogólnymi i nie ceni teoretycznych odkryć. Ani polityka, ani wynalazczość Amerykanów nie rozwija się w tym kierunku. W Stanach Zjednoczonych ciągle powstają no-

we prawa, lecz nie pojawili się wielcy pisarze, którzy trudniliby się badaniem ich ogólnych zasad.

Amerykanie mają swoich prawoznawców i komentatorów prawa, lecz nie mają publicystów. W dziedzinie polityki dostarczają światu przykładu raczej niż lekcji.

To samo dotyczy umiejętności technicznych.

W Ameryce zręcznie stosuje się europejskie wynalazki, które udoskonalone na miejscu, świetnie służą potrzebom kraju. Ludzie są pomysłowi, lecz nie uprawiają nauk technicznych. Wielu jest fachowych robotników, ale mało wynalazców. Geniusz Fultona długo służył obcym narodom, zanim został uznany w Ameryce.

Aby osądzić stan wykształcenia Angloamerykanów, musimy uwzględnić dwa aspekty sprawy: jeżeli uwagę naszą skierujemy ku uczonym, ze zdziwieniem stwierdzimy, jak bardzo jest ich niewielu; jeżeli natomiast policzymy analfabetów, społeczeństwo amerykańskie wyda nam się najbardziej wykształcone na świecie.

Jak już powiadałem, wykształcenie wszystkich innych obywateli odpowiada stopniom pośrednim.

Każdy obywatel Nowej Anglii przyswaja sobie podstawowe elementy wiedzy i poznaje zasady swojej doktryny religijnej. Uczy się historii ojczyzny i podstaw jej konstytucji. W Connecticut i w Massachusetts trudno spotkać człowieka, który nie posiadł całości tej wiedzy, a wręcz fenomenem jest ktoś, kto nie ma o niej żadnego pojęcia.

Kiedy porównuję republikę grecką i rzymską z republikami amerykańskimi, rękopiśmienne biblioteki i prymitywny gmin tych pierwszych z potężną prasą i oświeconym ludem drugich, kiedy myślę o ogromnych wysiłkach, jakie się podejmuje, by podle Grecji i Rzymu osądzić Amerykę i za pomocą tego, co stało się dwa tysiące lat temu, przewidzieć, co może się stać dzisiaj, nachodzi mnie ochota, by spalić moje książki i oddać się poszukiwaniu całkiem nowych pojęć, które pozwoliłyby zrozumieć całkiem nową sytuację społeczną.

Tego, co mówię o Nowej Anglii, nie należy zresztą mechanicznie odnosić do całej Unii. Im dalej na zachód i na południe, tym mniej wykształcone jest społeczeństwo. W stanach sąsiadujących z Zatoką Meksykańską żyje, tak jak i u nas, pewna liczba ludzi, którym obce są podstawy wiedzy. Wszelako w całych Stanach Zjednoczonych nie znajdziesz gminy całkowicie pogrążonej w ciemnocie. Różnica między nami a Ameryką polega na tym, że społeczeństwa europejskie osiągnęły cywilizację i oświecenie wyszedłszy od stanu ciemnoty i barbarzyństwa. Ich postępy nie były jednolite — niektóre społeczeństwa pokonały tę drogę jakby biegiem, inne przemierzały ją normalnym krokiem, wiele zaś zatrzymało się na niej i do dziś tkwi w tym samym miejscu.

W Stanach Zjednoczonych było inaczej.

Angloamerykanie przybyli na swą ziemię jako ludzie w pełni cywilizowani. Nie musieli niczego się uczyć — wystarczyło, by nie zapomnieli tego, co już wiedzieli. Synowie tych ludzi przenoszą dziś swoją wiedzę oraz szacunek dla niej na dziewiczą ziemię w głębi kontynentu. Wychowanie wszczepiło im potrzebę kształcenia się, a zdobytą wiedzę pozwoliło przekazać potomkom. Społeczeństwo Stanów Zjednoczonych nie przeżywało więc okresu dzieciństwa — narodziło się jako dojrzałe.

Amerykanie nie znają słowa «chłop», ponieważ nie znają ludzi, których mogliby tak nazwać. Ciemnota odległych czasów, prostota wieśniaczego życia, gminna pospolitość, to zjawiska, które się u nich nie zachowały, i dlatego Amerykanie nie mają pojęcia ani o cnotach, ani o przywarach, ani o prymitywnych obyczajach, ani o pełnych prostoty urokach rodzącej się cywilizacji.

Na najodleglejszych kresach skonfederowanych stanów, na granicy pomiędzy cywilizacją a pustkowiem, żyje lud zuchwałych poszukiwaczy przygód, którzy uciekając przed ubóstwem rodzinnego domu nie wahali się zagłębić w dzikie ostępy Ameryki i w nich szukać nowej ojczyzny. Pionier, ledwie przybędzie na miejsce swego osiedlenia, pospiesznie ścina kilka drzew i buduje szałas o dachu z gałęzi. Trudno doprawdy o coś bardziej nędznego od tych samotnych domostw. Podróżny, który wieczorem zbliża się do nich, już z dala widzi światło ogniska przebłyskujące przez ścianę chaty, kiedy zaś zerwie się wiatr, słychać, jak dach z gałęzi porusza się i szumi razem z drzewami. Któż by nie przypuszczał, że ta biedna chata kryje w sobie grubiaństwo i ciemnotę? Nie należy jednak sądzić pioniera po jego domostwie. Wokół niego wszystko jest dzikie i prymitywne, natomiast on sam jest dzieckiem osiemnastu wieków wysiłków i doświadczeń. Nosi miejskie ubranie, mówi językiem miasta, zna przeszłość, ciekaw jest przyszłości, dyskutuje o dniu dzisiejszym. Jest człowiekiem cywilizowanym, który zgodził się przez pewien czas żyć na pustkowiu i który zapuszcza się w lasy Nowego Świata zaopatrzony w Biblię, siekierę i gazety.

Trudno sobie przedstawić, z jak niewiarygodną szybkością wśród tych ostępów przenoszą się myśli.

Nie sądzę, by tak żywy ruch umysłowy był możliwy w najbardziej oświeconych i najgęściej zaludnionych rejonach Francji.

Trudno wątpić, że w Stanach Zjednoczonych poziom wykształcenia społeczeństwa przyczynia się znacznie do trwałości republiki demokratycznej. Tak może być wszędzie, pod warunkiem wszakże, by wykształcenie, które oświeca umysły, szło w parze z wychowaniem, które wpaja obyczaje.

Nie przeceniam bynajmniej korzyści, jakie daje wykształcenie, i przeciwnie niż wielu ludzi w Europie daleki jestem od przekonania, że wystarczy nauczyć ludzi czytania i pisania, aby od razu zrobić z nich obywateli.

Prawdziwa wiedza pochodzi przede wszystkim z doświadczenia i gdyby Amerykanie nie nauczyli się stopniowo rządzić się sami, szkolna wiedza, którą posiadają, w niczym by im dzisiaj nie pomogła.

Długo żyłem wśród społeczeństwa amerykańskiego i trudno mi wręcz powiedzieć, jak bardzo podziwiałem ich doświadczenie i zdrowy rozsądek.

Kiedy spróbujecie mówić z Amerykaninem o Europie, prawie zawsze natraficie na dowody wielkiego zarozumialstwa i dość niemądrej pychy. Zadowoli się ogólnymi i nieokreślonymi pojęciami, które we wszystkich krajach świata zwykły stanowić punkt oparcia wszelkiej ignorancji. Kiedy jednak spytacie go o jego kraj, zobaczycie, jak rozprasza się mgła spowijająca jego umysł. Jego język, podobnie jak myśli, stanie się jasny, czysty i precyzyjny. Powie wam, jakie posiada prawa i jak z nich korzysta, oraz jakie obyczaje rządzą polityczną rzeczywistością. Okaże się, że dobrze zna zasady administracji i mechanizm praw. Mieszkaniec Stanów Zjednoczonych nie czerpie z książek swojej wiedzy praktycznej i swoich pojęć; szkolne wykształcenie przygotowało go być może do jej przyjęcia, ale nie ono wcale mu ją dało.

Amerykanin poznaje prawa uczestnicząc w ich sporządzaniu, a form rządzenia uczy się rządząc. Wielkie dzieło społeczne spełnia się co dzień na jego oczach i, by tak rzec, w jego rękach.

Wychowanie w Stanach Zjednoczonych ma ukierunkowanie społeczne, podczas gdy w Europie służy przygotowaniu człowieka do życia prywatnego. Zbyt rzadko bowiem zdarza się obywatelom brać udział w sprawach państwowych, by wychowawca z góry tę sytuację przewidywał.

Różnice między oboma społeczeństwami dają o sobie znać nawet w zewnętrznych przejawach życia.

W Europie do życia publicznego przenikają często nawyki życia prywatnego i jeżeli nagle komuś z nas zdarzy się przejść wprost od życia w rodzinie do rządzenia państwem, o ważnych sprawach społecznych rozmawiamy tak, jakbyśmy rozprawiali w gronie przyjaciół.

Przeciwnie u Amerykanów — tam do życia prywatnego przenosi się zwyczaje życia publicznego. Idea sądu przysięgłych znajduje wyraz w szkolnych zabawach dzieci, a formy parlamentarne w sposobie organizowania bankietu.

O tym, że do utrzymania ustroju republiki demokratycznej w Stanach Zjednoczonych bardziej od warunków naturalnych przyczyniają się prawa, a bardziej od praw — obyczaje

Powiedziałem, że trwałość ustroju republiki demokratycznej w Stanach Zjednoczonych należy przypisywać okolicznościom, prawom oraz obyczajom.

Większość Europejczyków zdaje sobie sprawę jedynie z pierwszej spośród tych przyczyn i przypisuje jej dominującą rolę, której ona nie odgrywa.

Faktem jest, że Angloamerykanie przywieźli do Nowego Świata równość możliwości. Nie spotkasz między nimi ani ludzi podłej kondycji, ani arystokracji, a przesądy dotyczące urodzenia były tam zawsze równie nieznane jak przesądy dające pierwszeństwo pewnym zawodom. Przy tak demokratycznym układzie społecznym demokracja łatwo mogła zapanować.

Nie jest to wszakże szczególną cechą Stanów Zjednoczonych. W Ameryce niemal wszystkie kolonie zostały założone przez ludzi równych lub przez ludzi, którzy z chwilą opuszczenia Europy stali się sobie równi. W żadnej części Nowego Świata nie udało się Europejczykom stworzyć arystokracji.

A tymczasem tylko w Stanach Zjednoczonych instytucje demokratyczne rozwijają się pomyślnie.

Unia amerykańska nie ma wrogów, którym musiałaby stawić czoło. Jest samotna jak wyspa na oceanie.

Hiszpanie w Ameryce Południowej byli wszakże równie oddzieleni od świata, a jednak utrzymywali armię. Gdy zabrakło obcych, zaczęli wypowiadać wojny sobie nawzajem. Jedynie demokracja amerykańska zdołała się do dziś utrzymać w stanie pokoju.

Terytorium Unii stanowi nieograniczone pole dla ludzkiej aktywności i dostarcza niewyczerpanego materiału pomysłowości i pracy. Toteż umiłowanie bogactwa zastępuje ludziom ambicje, a dobrobyt łagodzi niebezpieczne namiętności stronnictw politycznych.

Gdzież jednak jest więcej żyznej ziemi, gdzie są większe rzeki, równie nietknięte i niewyczerpane bogactwa jak w Ameryce Południowej? Pomimo to nie potrafiła ona przyswoić sobie demokracji. Gdyby do szczęścia Narodów wystarczało trochę miejsca w jakimś spokojnym zakątku świata i możliwość swobodnego rozprzestrzeniania się po nie zamieszkanej ziemi, Hiszpanie nie mogliby uskarżać się na swój los. I jeśliby nawet nie zaznali takiego szczęścia jak mieszkańcy Stanów Zjednoczonych, mogliby i tak pozostać przedmiotem zazdrości narodów Europy. Nie ma jednak na ziemi narodów bardziej nieszczęśliwych od narodów Ameryki Południowej.

Zatem warunki naturalne nie tylko nie mogą spowodować w Ameryce Południowej tych samych skutków co w Ameryce Północnej, ale nawet nie są w stanie zapewnić jej osiągnięcia tego, co ma Europa, w której skądinąd warunki naturalne są bez porównania gorsze.

Warunki naturalne nie wpływają więc w tym stopniu na los narodów, jak zwykło się przypuszczać.

W Nowej Anglii spotkałem ludzi gotowych opuścić zasobny rodzinny kraj, po to by szukać szczęścia na pustkowiach. Niedaleko stamtąd widziałem francuską ludność Kanady, która tłoczyła się na niewielkiej przestrzeni sąsiadującej z równie dziewiczymi terenami. Podczas gdy amerykański emi-

grant zdobywał wielką posiadłość za cenę kilku dni pracy, Kanadyjczyk płacił za swoją ziemię cenę dorównującą cenom ziemi we Francji.

Tak więc natura, powierzając Europejczykom dzikie ziemie Nowego Świata, daje im dobro, które nie zawsze potrafią wykorzystać.

Inne narody Ameryki dlatego są nieszczęśliwe, że mając tę samą szansę co Angloamerykanie nie posiadają ich praw i obyczajów. Prawa i obyczaje Angloamerykanów są więc przyczyną, której poszukujemy. One właśnie stanowią szczególny powód ich wielkości.

Jestem daleki od uznania praw amerykańskich za doskonałe; nie sądzę bynajmniej, by się dały zastosować we wszystkich społeczeństwach demokratycznych, oraz uważam, że jest wśród nich wiele takich, które nawet w Stanach Zjednoczonych są niebezpieczne.

Niemniej trudno zaprzeczyć, że prawodawstwo amerykańskie jako całość jest dobrze dostosowane do charakteru narodu i do warunków naturalnych.

Prawa amerykańskie są więc dobre i należy im przypisać wielką część sukcesu demokratycznych rządów. Nie myślę wszakże, by były najważniejszą przyczyną tego sukcesu. O ile wydaje mi się, że ich wpływ na społeczne szczęście Amerykanów jest większy od wpływu warunków naturalnych kraju, o tyle z drugiej strony znajduję powody, by sądzić, że prawa mają tu mniejsze znaczenie od obyczajów.

Najważniejszą część prawodawstwa Stanów Zjednoczonych stanowią niewątpliwie prawa federalne. Te same prawa przyswoił sobie Meksyk, który jest krajem równie szczęśliwie położonym jak Unia. Meksyk nie zdołał jednak przyswoić sobie demokratycznych rządów.

Istnieją więc jakieś niezależne od warunków naturalnych i praw racje, które sprawiają, że w Stanach Zjednoczonych może panować demokracja.

A oto jeszcze lepszy argument. W żyłach prawie wszystkich ludzi zamieszkujących terytorium Unii płynie ta sama krew. Mówią tym samym językiem, tak samo się modlą, żyją w tych samych warunkach naturalnych, podlegają tym samym prawom. Skąd zatem pochodzą różnice między nimi?

Dlaczego na wschodzie Unii rząd republikański jest silny, działa sprawnie, a jego postępowanie jest dojrzałe i pełne rozwagi? Co nadaje wszystkim jego działaniom cechy mądrości i trwałości?

Dlaczego na zachodzie władze społeczne wydają się działać przypadkowo? Dlaczego w sprawach publicznych panuje tam jakiś nieporządek, jakieś emocje, chciałoby się powiedzieć — jakaś gorączka, która nie wróży przyszłości?

Nie porównuję już teraz Angloamerykanów do innych narodów — porównuję ich między sobą, chcąc się dowiedzieć, dlaczego nie są do siebie podobni. Argumenty dotyczące warunków naturalnych i praw nie odgrywają w tym wypadku roli. Jeżeli zatem musimy szukać innej przyczyny, gdzież ją znajdziemy, jeżeli nie w obyczajach?

Właśnie na wschodzie rządy demokratyczne istnieją najdłużej, a zwyczaje i idee zawsze sprzyjały ich podtrzymywaniu. Demokratyczne zasady przeniknęły tu do codziennego życia i do poglądów obywateli i można je odnaleźć zarówno w najdrobniejszych przejawach życia społecznego, jak i w prawach. Właśnie na wschodzie najbardziej udoskonalono oświatę i wychowanie, a religia została w najpełniejszy sposób skojarzona z wolnością. Te nawyki, te przekonania, te formy życia, ta wiara, czymże są — jeśli nie obyczajami?

Na zachodzie natomiast brakuje jeszcze wielu spośród tych elementów demokracji. Wielu Amerykanów z zachodnich stanów urodziło się w lasach i cywilizacja, jaką odziedziczyli po rodzicach, łączy się u nich z przeświadczeniami i zwyczajami dzikiego życia. Ich namiętności są gwałtowniejsze, moralność religijna słabsza, poglądy mniej ustatkowane. Nie istnieje kontrola społeczna, ponieważ ludzie zaledwie się tam znają. Społeczeństwa zachodnie są w pewnej mierze bliskie, w swoim niedoświadczeniu i rozwichrzeniu obyczajów, powstającym narodom. Społeczeństwa zachodnie utworzone zostały wprawdzie z dawnych elementów, lecz kombinacja tych elementów jest nowa.

A więc to w szczególności obyczaje uczyniły Amerykanów ze Stanów Zjednoczonych — jako jedynych spośród wszystkich mieszkańców Ameryki — zdolnymi do sprostania ustrojowi demokratycznemu. Obyczaje sprawiają także, że różne demokracje angloamerykańskie są sobie mniej więcej równe pod względem stopnia stabilizacji i dobrobytu.

W Europie przecenia się więc wpływ warunków naturalnych na trwałość instytucji demokratycznych. Zbyt wielkie znaczenie przypisuje się również prawom, zbyt małe obyczajom. Te trzy wielkie przyczyny pozwalają z pewnością na panowanie demokracji w Ameryce, gdybym jednak miał je klasyfikować, powiedziałbym, że naturalne warunki mają mniejsze znaczenie od praw, prawa zaś — od obyczajów.

Jestem przeświadczony, że najlepsze warunki i najszczęśliwiej dobrane prawa nie zdołają utrzymać konstytucji wbrew obyczajom. Obyczaje natomiast są władne doprowadzić do pewnych rezultatów nawet wtedy, gdy prawa są jak najgorsze, a warunki niesprzyjające. Wielkiego znaczenia obyczajów nieustannie dowodzą badania i doświadczenie. Wydaje mi się, że ten właśnie pewnik jest punktem centralnym mojego myślenia i że wszystkie moje rozważania prowadzą mnie ku niemu.

Jeszcze tylko jedno słowo na ten temat.

Jeżeli nie udało mi się w tym dziele przekonać czytelnika o znaczeniu, jakie dla trwałości demokratycznych praw Ameryki posiadają doświadczenie praktyczne, zwyczaje i poglądy — jednym słowem właśnie obyczaje Amerykanów — nie osiągnąłem głównego celu, który przed sobą stawiałem.

Czy w innych krajach prawa i obyczaje wystarczyłyby dla zachowania instytucji demokratycznych.

Powiedziałem, że sukces instytucji demokratycznych w Stanach Zjednoczonych bardziej wiąże się z prawami i obyczajami niż z warunkami naturalnymi kraju.

Czy wynika z tego, że te same przyczyny, przeniesione gdzie indziej, mają taką samą moc? Innymi słowy: skoro warunki naturalne nie mogą zastąpić praw i obyczajów, czy prawa i obyczaje mogą z kolei zastąpić warunki naturalne?

Trudno tu cokolwiek udowodnić. W Nowym Świecie, w tych samych warunkach naturalnych, żyją i inne narody — dlatego mogłem je porównać. Poza Ameryką nie ma jednak narodów, które pozbawione tych samych co Angloamerykanie korzystnych warunków naturalnych, miałyby ich prawa i obyczaje.

Dlatego, nie mając sposobności porównania, możemy jedynie stawiać hipotezy. Uważam, iż przede wszystkim należy odróżniać instytucje Stanów Zjednoczonych od instytucji demokratycznych w ogóle.

Kiedy myślę o Europie, o jej wielkich narodach, ludnych miastach, potężnych armiach, o zawiłościach jej polityki, nie sądzę, by Amerykanie, przeniesieni na nasz kontynent wraz ze swymi poglądami, religią i obyczajami, mogli tu żyć nie wprowadziwszy znacznych zmian do swojego prawodawstwa.

Wszelako można sobie wyobrazić społeczeństwo demokratyczne zorganizowane na inny sposób niż społeczeństwo amerykańskie.

Czyż nie można sobie przedstawić systemu rządzenia opartego o faktyczną wolę większości, w którym jednak większość, zadając gwałt swemu naturalnemu dążeniu do równości, zgodziłaby się przyznać władzę wykonawczą jednemu rodowi lub jednemu człowiekowi, po to by zapewnić państwu ład i stabilność? Czyż nie można sobie przedstawić społeczeństwa demokratycznego, którego siły byłyby w większym stopniu scentralizowane niż w Stanach Zjednoczonych, w którym naród kierowałby sprawami państwa w sposób mniej bezpośredni i nie tak absolutny, a każdy obywatel posiadałby jednak określone prawa i brał udział w pracach rządu?

To, co widziałem w Ameryce, skłania mnie do przypuszczenia, że podobne instytucje demokratyczne, ostrożnie wprowadzane w życie społeczne, stopniowo przenikające do obyczajów i do poglądów społeczeństwa, mogłyby istnieć także i poza Ameryką.

Gdyby prawa Stanów Zjednoczonych były jedynymi prawami demokratycznymi, jakie można sobie wyobrazić, czy też najdoskonalszymi, jakie mogą istnieć w praktyce, wynikałby stąd wniosek, iż sukces praw amerykań-

skich nie dowodzi sukcesu prawodawstwa demokratycznego w ogóle, w wypadku innego kraju, wobec którego natura okazała się mniej łaskawa.

O ile prawodawstwo amerykańskie posiada, moim zdaniem, wiele braków i bez trudu mogę wyobrazić je sobie inaczej, o tyle szczególne naturalne wyposażenie tego kraju nie dowodzi bynajmniej, by instytucje demokratyczne nie mogły zostać z powodzeniem zastosowane w innym społeczeństwie, w którym przy mniej sprzyjających warunkach naturalnych prawa byłyby lepsze.

Gdyby w Ameryce ludzie byli inni niż na całym świecie, gdyby ich układ społeczny wytwarzał u nich zwyczaje i poglądy przeciwne tym, które ten sam układ społeczny wytwarza w Europie, dzieje demokracji amerykańskiej nie mogłyby nas niczego nauczyć o demokracji w ogóle.

Gdyby Amerykanie byli podobni do wszystkich innych społeczeństw demokratycznych, ale zarazem posiadali prawo odwołujące się do sprzyjających okoliczności oraz warunków naturalnych kraju, dobrobyt i rozwój Stanów Zjednoczonych musielibyśmy przypisać przyczynom czysto okolicznościowym i doświadczenie amerykańskie w niczym nie mogłoby posłużyć społeczeństwom pragnącym z niego skorzystać, a pozbawionym korzystnych warunków naturalnych Ameryki.

Fakty jednak nie potwierdzają żadnej z tych dwóch hipotez.

Spotkałem w Ameryce te same namiętności, które oglądamy w Europie. Są one po prostu właściwe ludzkiemu sercu albo też układowi społecznemu demokracji.

Toteż w Stanach Zjednoczonych odnalazłem ten sam niepokój serca, który jest właściwy ludziom posiadającym mniej więcej równe możliwości i równe szanse awansu społecznego. Odnalazłem demokratyczną zawiść wyrażającą się na tysiąc sposobów. Zauważyłem, że ludzkie poczynania pełne są tego samego zarozumialstwa pomieszanego z ignorancją. Wywnioskowałem z tego, że ludzie narażeni są w Ameryce na te same niedole i skazani na tę samą niedoskonałość co wszędzie.

Atoli uważnie przyglądając się organizacji społeczeństwa amerykańskiego stwierdziłem, że Amerykanie dokonali wielkich i powodzeniem uwieńczonych wysiłków, by zwalczyć te ludzkie słabości i naturalne wady demokracji.

Rozmaite prawa lokalne stanowią w Ameryce bariery utrzymujące w ryzach niespokojne ambicje obywateli i na korzyść gminy obracają te same demokratyczne namiętności, które mogłyby zagrozić istnieniu państwa. Zrozumiałem, że amerykańskim prawodawcom nie bez powodzenia udało się przeciwstawić ideę prawa — zawiści, niezmienność moralności religijnej — niepokojom politycznej rzeczywistości, praktyczne doświadczenie społeczeństwa — teoretycznej ignorancji, a umiejętność robienia interesów — zapalczywości ludzkich pożądań.

Aby odsunąć niebezpieczeństwa płynące z charakteru konstytucji i praw politycznych, Amerykanie nie odwołali się zatem do warunków naturalnych kraju. W celu zwalczenia zła, na jakie narażone są wszystkie społeczeństwa demokratyczne, użyli sposobów, które znaleźli dotychczas tylko oni; i choć wypróbowali je jako pierwsi, sposoby te okazały się skuteczne.

Obyczaje i prawa Amerykanów nie są jedynymi, które mogą służyć demokratycznemu społeczeństwu. Amerykanie pokazali jednak, że demokrację można opanować i uporządkować przy pomocy praw i obyczajów.

Nie ma powodu, by sądzić, że na niepowodzenie skazane są wysiłki innych narodów, które zapożyczywszy od Amerykanów ogólną i płodną ideę społeczną, a nie zamierzając bynajmniej niewolniczo naśladować jej tamtejszych zastosowań, zechciałyby przyswoić sobie układ społeczny, który Opatrzność dzisiaj narzuciła światu, i tym sposobem uniknąć zagrażającego im despotyzmu lub anarchii.

Ustanowienie demokracji w świecie chrześcijańskim to wielki problem polityczny naszych czasów. Amerykanie, rzecz jasna, nie rozwiązali go ostatecznie, lecz dostarczyli cennej wiedzy tym, którzy pragną go rozwiązać.

Istotne znaczenie, jakie wszystkie te zagadnienia posiadają dla Europy

Nietrudno odgadnąć, czemu służą moje rozważania. Problem, który podjąłem, ma znaczenie nie tylko dla Stanów Zjednoczonych, ale dla całego świata, nie dla jednego narodu, lecz dla wszystkich ludzi.

Gdyby narody o demokratycznym układzie społecznym jedynie pod warunkiem zamieszkiwania pustkowi mogły zachować u siebie wolność, należałoby zwątpić w przyszłe losy rodzaju ludzkiego, ludzkość bowiem szybko kroczy ku demokracji, a pustkowia się zapełniają.

Jaka ucieczka pozostałaby narodom prócz despotyzmu jedynowładcy, gdyby prawdą było, że prawa i obyczaje nie wystarczają do utrzymania demokratycznych instytucji?

Wiem, że jest dzisiaj wielu uczciwych ludzi, których ta perspektywa wcale nie przeraża, ponieważ zmęczeni wolnością, chcieliby wreszcie odpocząć z dala od jej burz.

Ludzie ci źle jednak znają przystań, do której zmierzają. Pogrążeni we wspomnieniach, władzę absolutną oceniają wedle tego, czym była niegdyś, nie zaś wedle tego, czym może być za naszych czasów.

Nie wątpię, że instytucja władzy absolutnej, na nowo wprowadzona do demokratycznych społeczeństw Europy, przyjęłaby nowe formy i ujawniła cechy nie znane naszym przodkom.

Były w Europie czasy, kiedy prawo i akceptacja społeczna oddawały w ręce królów nieograniczoną niemal władzę. Lecz oni prawie nigdy z niej nie korzystali.

Nie wspomnę już o szlacheckich prerogatywach, o władzy suwerennych sądów, o prawie cechowym, o lokalnych przywilejach, które łagodząc ciosy zadawane przez władzę, podtrzymywały w narodzie ducha oporu.

Niezależnie od tych instytucji politycznych, które wprawdzie krępowały czasem indywidualną swobodę, ale służyły jednak podsycaniu w duszach umiłowania wolności, i których użyteczność w tym względzie łatwo zrozumieć, przekonania ludzi i ich obyczaje wznosiły wokół władzy królewskiej bariery mało widoczne, ale niemniej potężne.

Religia, miłość poddanych, łaskawość władcy, honor, godność rodu, lokalne przeświadczenia, obyczaj i opinia publiczna ograniczały potęgę królów i zamykały ich władzę w niewidocznym kręgu.

Organizacja społeczeństw była wtedy despotyczna, ale obyczaje były niezależne. Władcy mieli prawo czynić wszystko, ale nie mogli i nie chcieli z niego korzystać.

Cóż pozostaje nam dzisiaj z tego, co niegdyś krępowało tyranię?

Odkąd religia straciła panowanie nad duszami, zatarła się najbardziej widoczna granica oddzielająca dobro od zła; w dziedzinie moralności wszystko wydaje się wątpliwe i niepewne; królowie i narody posuwają się na oślep i nikt nie jest w stanie określić granic despotyzmu i samowoli.

Długotrwałe rewolucje na zawsze zniszczyły szacunek, jaki dawniej otaczał rządzących. Uwolnieni od ciężaru społecznego szacunku, władcy mogą teraz bezkarnie upajać się władzą.

Kiedy królowie widzą, jak serca ludzkie garną się do nich, są łaskawi, ponieważ czują się silni, i dbają o miłość swych poddanych, miłość poddanych jest bowiem podporą tronu. Między władcą a narodem dochodzi do swoistej wymiany uczuć, która przywodzi na myśl atmosferę rodziny. Szemrząc przeciw władcy, poddani nie chcą się jednak mu narazić, władca zaś karze ich lekką ręką, podobnie jak ojciec karci dzieci.

Lecz teraz, kiedy prestiż królów rozproszył się we wrzawie rewolucji, a królowie kolejno wystawiają na widok publiczny słabość prawa i potęgę faktów, nikt nie upatruje już we władcy ojca narodu, a wszyscy widzą w nim zwierzchnika. Władcą słabym gardzą, silnego nienawidzą. On sam pełen jest gniewu i strachu, czuje się obcy we własnym kraju, a poddanych traktuje tak jak zwyciężonych przeciwników.

Kiedy miasta i prowincje tworzyły wiele różnych narodów w łonie jednej ojczyzny, w każdym z tych organizmów panowały odrębne obyczaje, które sprzeciwiały się duchowi poddaństwa. Dzisiaj jednak, kiedy wszystkie części państwa, utraciwszy swoje przywileje, obyczaje, przeświadczenia i nawet pamięć własnego imienia, przywykły do posłuszeństwa wobec tych samych

praw — równie łatwo jest gnębić je wszystkie razem jak którąś z nich osobno.

Kiedy arystokracja sprawowała władzę i długo jeszcze po tym, jak ją utraciła, arystokratyczny honor dostarczał nadzwyczajnej siły indywidualnego oporu. Bywali ludzie, którzy choć słabi, posiadali tak wysokie wyobrażenie o swojej wartości, że ośmielali się samotnie opierać władzy publicznej.

Lecz dziś, gdy wszystkie warstwy wymieszały się ze sobą, gdy jednostka coraz bardziej znika w tłumie i roztapia się w powszechnym mroku, dziś, gdy honor monarchy całkowicie stracił znaczenie i nie zastąpiła go cnota, nic nie ułatwia już człowiekowi wzniesienia się ponad siebie i któż zdoła powiedzieć, dokąd posunąć się mogą wymagania władzy i ustępliwość słabości?

Dopóki istniało poczucie rodzinnej więzi, człowiek walczący z tyranią nigdy nie pozostawał osamotniony, znajdował bowiem wokół siebie famulusów, przyjaciół domu, bliskich. Kiedy zabrakło tego oparcia, podtrzymywała go jeszcze myśl o przodkach i o dziedzicach. Lecz na czym ma się oprzeć więź rodzinna, kiedy majątki ulegają podziałom, a niewiele lat wystarcza, by zmieszana została krew?

Jakaż siła może jeszcze tkwić w obyczajach narodu, który całkowicie zmienił swoje oblicze i zmienia je dalej, w którym wszystkie akty tyranii mają już precedens, a wszystkie zbrodnie znajdują przykład, dla którego nie ma rzeczy tak dawnej, by jej nie można było zniszczyć, ani tak nowej, by nie ośmielono się jej wprowadzić?

Jakiż opór mogą stawić obyczaje, które poszły już na tyle ustępstw? Cóż może opinia publiczna, kiedy nie ma nawet dwudziestu osób połączonych trwałymi więzami, kiedy nie ma ani człowieka, ani rodziny, ani żadnego organizmu społecznego, ani żadnej warstwy, ani żadnego wolnego stowarzyszenia, które mogłoby ją reprezentować i pobudzać do działania? Kiedy wszyscy obywatele są równie słabi, równie biedni, równie osamotnieni i jedyną rzeczą, jaką mogą przeciwstawić zorganizowanej sile rządu, jest ich własna słabość?

Nie do historii Francji powinien odwołać się ten, kto zechciałby się dowiedzieć, co mogłoby wówczas nastąpić w naszym kraju. Powinien być może sięgnąć do dokumentów starożytności i szukać analogii w strasznych stuleciach rzymskiej tyranii, kiedy obyczaje były zepsute, wspomnienia zatarte, zwyczaje wytrzebione, przekonania chwiejne, a wolność, wygnana z kodeksów prawa, nie miała już gdzie się schronić; kiedy nic nie dawało ludziom gwarancji, a ludzie nie ręczyli za siebie, kiedy człowiek robił sobie kpiny z człowieczeństwa, a władcy szybciej tracili przychylność nieba niż cierpliwość poddanych.

Krótkowzroczni są ci, którzy oczekują, że będziemy mieli monarchię podobną monarchiom Henryka IV lub Ludwika XIV. Wystarczy wziąć pod

uwagę stan, w którym już się znalazło wiele narodów europejskich i do którego dążą wszystkie pozostałe, by dojść do przekonania, że w Europie niedługo nie będzie miejsca na nic oprócz demokratycznej wolności lub tyranii cezarów.

Czyż to nie zasługuje na zastanowienie? Czy przypuszczenie, że nie będzie wkrótce innego wyboru poza wolnością wszystkich lub powszechnym niewolnictwem, poza równymi prawami dla wszystkich lub powszechnym pozbawieniem praw, że rządzący staną przed alternatywą stopniowego podniesienia ludu do własnego poziomu lub dopuszczenia do upadku wszystkich obywateli poniżej ludzkiej godności — czy to przypuszczenie nie wystarczyłoby, by zwyciężyć wątpliwości, dostarczyć pewności sumieniom oraz przygotować każdego z nas do zdobycia się na wielkie poświęcenie?

Czyż nie należałoby wówczas uznać stopniowego rozwoju demokratycznych instytucji i obyczajów nie za najlepszy, ale wręcz za jedyny sposób zachowania wolności, i nawet nie znajdując upodobania w demokratycznych rządach, zastosować je jako najlepszy i najuczciwszy środek, jaki możemy przeciwstawić obecnemu złu społecznemu?

Niełatwo jest dopuścić lud do udziału w rządzeniu, trudniej jeszcze dać mu doświadczenie i wpoić uczucia, bez których nie będzie mógł rządzić dobrze.

Wola demokracji jest zmienna, jej urzędnicy prostaccy, jej prawa niedoskonałe — przyznaję. Lecz gdyby miało być prawdą, że niedługo nie pozostanie nam nic pośredniego między panowaniem demokracji a jarzmem jedynowładcy, czyż nie powinniśmy raczej zmierzać ku pierwszemu, miast dobrowolnie poddać się drugiemu? I jeżeli w końcu miałaby nastąpić całkowita równość, czyż nie lepiej dać się zrównać wolności niż despocie?

W wielkim błędzie będą ci, którzy przeczytawszy moją książkę uznają, że wszystkim społeczeństwom demokratycznym każę naśladować prawa i obyczaje angloamerykańskie. Znaczyłoby to, że dali się zwieść formie, niechając istoty moich myśli. Moim celem było pokazanie na przykładzie Ameryki, że odpowiednie prawa, a nade wszystko obyczaje, mogą pozwolić demokratycznemu społeczeństwu na zachowanie wolności. Nie uważam zresztą wcale, że powinniśmy zdążać za przykładem, jaki dała nam demokracja amerykańska, i naśladować sposoby, jakimi się posłużyła do osiągnięcia swego celu, ponieważ nie tracę z oczu znaczenia naturalnych warunków kraju oraz jego przeszłości dla sposobu jego politycznej organizacji. I uznałbym za wielkie nieszczęście dla rodzaju ludzkiego, gdyby wolność nosiła wszędzie te same rysy.

Myślę wszakże, że jeżeli nie zaczniemy powoli wprowadzać u nas demokratycznych instytucji i nie postaramy się umożliwić wszystkim obywatelom zdobycia idei i doświadczenia uczuć, które mogłyby najpierw ich przygotować do czynienia użytku z wolności, a potem umożliwić im korzystanie z

niej, nikt nie będzie wolny i mieszczanin czy szlachcic, biedak czy bogacz, wszyscy cierpieć będą tę samą tyranię. Przewiduję również, że jeżeli nie zdołamy na czas wprowadzić u siebie umiarkowanych rządów większości, wcześniej czy później dojdziemy do nieograniczonej władzy jednego człowieka.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Rozważania na temat obecnej sytuacji trzech ras ludzkich zamieszkujących terytorium Stanów Zjednoczonych oraz przyszłości, która prawdopodobnie je czeka

. . . . . .

Ameryka jest nie tylko krajem wielkiej i całkowitej demokracji. Na społeczeństwa zamieszkujące Nowy Świat można jeszcze spojrzeć inaczej.

W książce tej wielokrotnie wspominałem o Indianach i Murzynach, nie starczyło mi jednak dotąd czasu na rozważanie pozycji, jaką te dwie rasy zajmują w demokratycznym społeczeństwie, które opisuję. Mówiłem o tym, w jakim duchu i za pomocą jakich praw ukształtowała się konfederacja angloamerykańska, a tylko mimochodem wspominałem o niebezpieczeństwach, które jej zagrażają. Nie zdołałem też wyjaśnić szczegółowo, jakie są — niezależnie od gwarancji dostarczanych przez prawa i obyczaje — jej szanse przetrwania. Mówiąc o zjednoczonych republikach nie zaryzykowałem żadnej hipotezy co do trwałości form republikańskich w Nowym Świecie, a wspominając niejednokrotnie o handlowym ożywieniu panującym na terenie Unii nie zdołałem się zająć przyszłością Ameryki jako społeczeństwa kupców.

Kwestie te, choć wiążą się z moim przedmiotem, bezpośrednio do niego nie należą. Są problemami Ameryki, a nie problemami demokracji — ja natomiast zamierzałem przede wszystkim stworzyć wizerunek demokracji. Dlatego też pominąłem je, by dopiero teraz do nich powrócić.

Terytorium, które Unia amerykańska obecnie zajmuje czy też do którego w swoim pojęciu posiada prawa, rozciąga się od Oceanu Atlantyckiego do wybrzeży Oceanu Spokojnego. Jego granice na wschodzie i na zachodzie pokrywają się więc z granicami kontynentu, na południu sięgają niemal tropików, na północy przecinają krainę lodów.

Ludzie rozrzuceni po całym tym terytorium nie są, jak w Europie, potomkami jednego rodu. Żyją tam przede wszystkim trzy różne rasy ludzkie, które oddzieliła od siebie sama natura. I powiedziałbym nawet, że są one wrogie sobie nawzajem. Wychowanie, prawo, pochodzenie, a nawet wygląd zewnętrzny wzniosły między nimi nieprzekraczalne bariery. Choć przeznaczenie kazało im żyć na tej samej ziemi i poniekąd pomieszało je ze sobą, nie pozwoliło się im jednak połączyć. Każda z nich jest skazana na osobny los.

Wśród tych tak odmiennych ludzi zdecydowanie wyróżnia się człowiek biały. Jest najbardziej oświecony, najpotężniejszy i najszczęśliwszy, jest Europejczykiem, człowiekiem par excellence. Murzyn i Indianin stoją poniżej.

Te dwie nieszczęsne rasy nie mają ze sobą nic wspólnego. Dzieli je pochodzenie, wygląd, język i obyczaj — zbliża je tylko nieszczęście. Obie zajmują równie niską pozycję, obie zmuszone są znosić tyranię i choć ich cierpienia są odmienne, sprawcą tych cierpień jest ten sam biały człowiek.

Czyż z tego, co dzieje się na świecie, nie wynika wniosek, że Europejczyk jest wobec innych ras ludzkich tym samym czym człowiek wobec zwierząt? Posługuje się nimi, a kiedy nie może sobie ich podporządkować — niszczy je.

Za jednym niemal zamachem przemoc białych pozbawiła potomków Afrykańczyków wszystkich przywilejów człowieczeństwa. Murzyn ze Stanów Zjednoczonych stracił wszystko; odebrano mu nawet wspomnienie rodzinnego kraju. Nie zna już języka, którym mówili jego ojcowie, wyrzekł się ich religii i zapomniał o obyczajach. Przestał należeć do ziemi afrykańskiej, nie zyskując żadnych praw do dóbr europejskich, zatrzymał się między dwoma społeczeństwami, pozostał samotny między dwoma wspólnotami. Sprzedany przez Afrykę i odrzucany przez Europę, prócz domu swego pana nie ma już nic, co choćby częściowo mogło mu zastąpić wyobrażenie ojczyzny.

Murzyn nie ma rodziny. Żona jest dla niego jedynie towarzyszką przelotnych przyjemności, a jego synowie już w chwili przyjścia na świat stają się jemu równi.

Jakże nazwać — darem bożym czy też najgorszym przekleństwem nieba —owo usposobienie duchowe, które czyni człowieka niewrażliwym na skrajną nędzę, a czasem wywołuje w nim jakby zdeprawowane upodobanie do niewoli?

Pogrążony w otchłani zła, zaledwie odczuwa Murzyn swą nieszczęsną dolę. Gwałt uczynił go niewolnikiem, a nawyk służalstwa wywołuje w nim godne niewolnika myśli i ambicje. Murzyn podziwia więc raczej swego tyrana niż go nienawidzi, a w służalczym naśladowaniu gnębiciela znajduje radość i dumę.

Stan jego umysłu odpowiada stanowi jego duszy.

Murzyn jest niewolnikiem od chwili urodzenia, ba — ponieważ jest nieraz kupowany już w łonie matki, staje się niewolnikiem, zanim się urodzi.

Pozbawiony zarówno radości, jak i potrzeb, sobie samemu bezużyteczny, już w momencie wyrabiania sobie pierwszych pojęć o świecie Murzyn dowiaduje się, że jest własnością innego człowieka, który ma interes w tym, by go utrzymywać, czyli że dbanie o własny los nie należy do niego samego. Nawet myślenie wydaje mu się zbędnym darem Opatrzności i spokojnie korzysta ze wszystkich przywilejów siwej podłej kondycji.

Kiedy zostaje wyzwolony, wolność wydaje mu się brzemieniem cięższym od niewolnictwa, bo w ciągu całego życia nauczył się słuchać wszystkiego z wyjątkiem własnego rozumu. Kiedy więc rozum staje mu się jedynym przewodnikiem, nie potrafi rozpoznać jego głosu. Osaczają go niezliczone nowe potrzeby, a brak mu wiedzy i energii koniecznej do tego, by się im oprzeć. Potrzeby mają nad nami władzę i musimy z nimi walczyć. Murzyn zaś jest nauczony tylko uległości i posłuszeństwa. Doszedł więc do dna nieszczęścia, tam, gdzie niewola ogłupia, a swoboda unicestwia.

Przemoc białych okazała się równie zgubna dla rasy indiańskiej, lecz jej rezultaty są odmienne.

Przed przybyciem białych do Nowego Świata ludy zamieszkujące Amerykę Północną żyły spokojnie w puszczy. Indianie, poddani wszystkim niedogodnościom dzikiego życia, posiadali cnoty i przywary właściwe ludom niecywilizowanym. Zepchnąwszy indiańskie plemiona w głąb dzikich terytoriów, Europejczycy skazali je na życie wędrowne, pełne nędzy i nieszczęść.

Dzikimi narodami rządzą jedynie przeświadczenia i obyczaje. Osłabiając u Indian z Ameryki Północnej przywiązanie do ojczyzny, rozpraszając ich plemiona, zacierając tradycje, zrywając łańcuch wspomnień, przeobrażając wszystkie dawne przyzwyczajenia, powiększając zaś z drugiej strony potrzeby, tyrania Europejczyków uczyniła ich ludźmi bardziej zagubionymi i mniej cywilizowanymi, niż byli poprzednio. Ponieważ moralne i fizyczne warunki życia tych plemion stale się pogarszały, stawały się one bardziej barbarzyńskie, w miarę jak były bardziej nieszczęśliwe. Wszelako Europejczycy nie zdołali całkowicie zmienić charakteru Indian i w każdej chwili będąc w stanie ich zniszczyć, nie mogli ani podporządkować ich sobie, ani ogładzić.

Murzyn został zepchnięty do ostatnich granic niewolnictwa, Indianin do granic swobody, ale niewolnictwo jest równie zgubne dla Murzyna, jak wolność dla Indianina.

Murzyn stracił nawet prawo posiadania samego siebie i podejmując samodzielne decyzje dotyczące własnego losu popełnia coś w rodzaju kradzieży.

Indianin jest pozostawiony sobie samemu z chwilą uzyskania samodzielności. Ledwie poznał władzę, jaką nad człowiekiem sprawuje rodzina, woli bliźnich nie poddawał się nigdy, nikt nie nauczył go odróżniać dobrowolnego posłuszeństwa od haniebnego poddaństwa. Indianin nie zna nawet słowa «prawo». Wolność oznacza dla niego brak jakichkolwiek więzów społecznych. Znajduje upodobanie w swojej barbarzyńskiej niezależności i woli zginąć niż zrezygnować z najmniejszej nawet jej cząstki. Cywilizacja nie może wywrzeć większego wpływu na takiego człowieka.

Murzyn czyni mnóstwo bezcelowych wysiłków, by dostać się do społeczeństwa, które go odrzuca; nagina się do upodobań swych gnębicieli, przejmuje od nich poglądy i naśladując ich w ten sposób, próbuje dostać się do

ich świata. Ponieważ od dziecka powtarzano mu, że jego rasa jest gorsza od rasy białej, sam jest niedaleki tej myśli i wstydzi się siebie. We własnym zachowaniu widzi znamiona niewolnictwa i gdyby mógł, najchętniej wyrzekłby się siebie.

Indianin natomiast ma liczne wyobrażenia na temat swego szlachetnego urodzenia, żyje i umiera wśród rojeń dumy. Nie ma bynajmniej zamiaru Dostosować swoich obyczajów do naszych, trzyma się barbarzyństwa jako charakterystycznej cechy swojej rasy i odrzuca cywilizację nie tyle z nienawiści do niej, ile z obawy przed upodobnieniem się do Europejczyków. Rzemiosłom naszej cywilizacji chce przeciwstawić jedynie zasoby dzikiej ziemi, naszej taktyce — swą bezprzykładną odwagę, dalekowzroczności naszych zamysłów — tylko spontaniczny instynkt swojej dzikiej natury. Przegrywa w tej nierównej walce.

Murzyn chciałby utożsamić się z Europejczykiem, ale nie może tego dokonać. Indianin, któremu do pewnego stopnia mogłoby się to powieść, pogardza tym. Służalczość oddaje Murzyna na pastwę niewolnictwa, duma wydaje Indianina na śmierć.

Przypominam sobie, jak podróżując przez lasy porastające jeszcze stan Alabama dotarłem pewnego dnia do chaty pioniera. Nie chciałem wchodzić do jego domostwa, a pragnąłem jedynie wypocząć koło źródła, które znajdowało się nie opodal w lesie. Gdy tam siedziałem, nadeszła Indianka (znajdowaliśmy się w pobliżu terytorium zajmowanego wówczas przez Czerokesów), która trzymała za rękę białą, pięcio- lub sześcioletnią dziewczynkę, jak sądziłem córkę pioniera. Za nimi szła Murzynka. Strój Indianki był na swój barbarzyński sposób wytworny: metalowe obrączki tkwiły w jej nozdrzach i uszach, jej włosy przyozdobione szklanymi paciorkami opadały swobodnie na ramiona. Stwierdziłem, że nie była zamężna, ponieważ nosiła jeszcze naszyjnik z muszelek, który dziewice składają na weselnym posłaniu. Murzynka ubrana była w strój europejski będący niemal w łachmanach.

Usiadły na brzegu źródła i młoda dzikuska, wziąwszy dziecko w ramiona, pieściła je jak matka, podczas gdy Murzynka za pomocą niewinnych sztuczek próbowała przyciągnąć uwagę małej Kreolki. Dziewczynka zdradzała w najmniejszym geście poczucie wyższości, które dziwnie kontrastowało ze słabością dziecka. Rzec by można, że coś w rodzaju pobłażania towarzyszyło przyjmowaniu względów współtowarzyszek.

Murzynka, przykucnięta przed swoją panią i usiłująca odgadnąć wszystkie jej pragnienia, wydawała się rozdarta między macierzyńskim przywiązaniem ą strachem sługi, zaś w żywych pieszczotach dzikuski była jakby swoboda, duma i niemal szorstkość.

Zbliżyłem się i w milczeniu śledziłem tę scenę. Moja ciekawość wyraźnie nie spodobała się Indiance, która podniosła się nagle, nieco brutalnie odep-

chnęła dziecko od siebie i rzuciwszy mi rozdrażnione spojrzenie zniknęła w lesie.

Często zdarzało mi się widzieć zebranych w jednym miejscu przedstawicieli trzech ras Ameryki, w wielu sytuacjach stwierdzałem przewagę białej rasy, lecz w opisanej właśnie scenie było coś szczególnie poruszającego. Ciemięzców i ciemiężonych łączył tu związek uczuciowy, a natura, usiłując ich przybliżyć, uwydatniała jeszcze bardziej ogromną przepaść, jaką utworzyły między nimi przesądy oraz prawa.

Aktualny stan indiańskich plemion zamieszkujących terytorium Unii oraz przyszłość, jaką można dla nich przewidywać

Wszystkie plemiona indiańskie, które zamieszkiwały niegdyś terytorium Nowej Anglii, Narragansettowie, Mohikanie, Pecotowie, żyją już tylko we wspomnieniach. Lenapesi, którzy na brzegach Delaware witali Williama Penna przed stu pięćdziesięciu laty, już nie istnieją. Spotkałem ostatnich Irokezów; żebrali. Wszystkie te plemiona zajmowały kiedyś tereny sięgające brzegów Atlantyku, a dziś trzeba zrobić co najmniej sto mil w głąb kontynentu, aby spotkać Indianina. Indianie nie tylko się cofnęli, ale także zostali wyniszczeni. W miarę jak tubylcy cofają się i wymierają, na ich miejsce przychodzą przedstawiciele ogromnego społeczeństwa, które rośnie i rozwija się nieustannie. Żaden naród nie zaznał dotąd tak błyskawicznej zagłady, a żaden inny nie rozwinął się równie wspaniale.

Dzieło zagłady dokonuje się w bardzo prosty sposób. Kiedy Indianie byli jedynymi mieszkańcami terytoriów, z których są dzisiaj wypychani, potrzeby ich były skromne. Sami wyrabiali broń, woda z rzek była ich jedynym napojem, za okrycie służyły im skóry zwierząt, a ich mięso za pożywienie.

Europejczycy zapoznali ich z bronią palną, z żelazem i alkoholem, nauczyli ich tkaninami zastępować prymitywne ubrania, które im dotąd wystarczały. Wraz z nowymi potrzebami Indianie nie przyswoili sobie sztuki ich zaspokajania i musieli liczyć na białych. W zamian za dobra, których nie potrafili sami wyprodukować, nie byli w stanie ofiarować nic prócz wspaniałych futer, których dostarczała jeszcze puszcza. Od tej chwili polowanie musiało zaspokoić ,nie tylko ich własne potrzeby, ale i kaprysy Europejczyków. Indianin polował odtąd nie tylko po to, by zdobyć żywność, ale i po to, by zdobyć przedmioty wymiany.

Potrzeby tubylców wzrastały, natomiast ich zasoby wyczerpywały się nieustannie.

Z chwilą gdy nie opodal terytorium zajmowanego przez Indian założona zostaje europejska kolonia, zwierzyna łowna natychmiast ucieka. Tysiące Indian koczujących po lasach nigdy nie wystraszyło zwierząt; nieustająca

wrzawa europejskich kolonii każe im uciekać na zachód, gdzie, wiedzione instynktem, spodziewają się znaleźć dzikie tereny. 4 lutego 1829 roku panowie Cass i Clark pisali w raporcie dla Kongresu: «Stada bizonów, które przed kilkoma laty podchodziły jeszcze do stóp Apallachów, stale się oddalają i za kilka lat trudno je już będzie znaleźć na równinach rozciągających się wzdłuż Gór Skalistych.» Zapewniano mnie, że podobne skutki zbliżania się białych dają o sobie znać w promieniu dwustu mil. Biali wywierają więc w ten sposób wpływ na życie plemion, które znają tylko z nazwy, a Indianie cierpią nieszczęścia wynikłe z ich obecności na długo przed poznaniem sprawców niedoli.

Wkrótce potem do krainy Indian docierają pierwsi śmiałkowie. Oddalając się na piętnaście lub dwadzieścia mil od granic terenów zamieszkiwanych przez białych, zakładają siedziby cywilizowanego człowieka w samym środku dzikiej puszczy. Przychodzi im to łatwo, ponieważ granice terytorium ludu łowieckiego nie są dokładnie określone. Terytorium to należy zresztą do całego narodu i nie stanowi niczyjej prywatnej własności, obrona jakiejś jego części nie leży zatem w niczyim prywatnym interesie.

I oto kilka europejskich rodzin osiedlonych z dala od siebie ostatecznie przyczynia się do wyginięcia całej zwierzyny żyjącej na terenach oddzielających jedną siedzibę od drugiej. Indianie, którzy żyli dotąd w stanie obfitości, mają teraz kłopoty z wyżywieniem się, a jeszcze większe ze zdobyciem dobra nadającego się do wymiany. Przegnanie zwierzyny jest dla Indian tym, czym dla europejskich chłopów byłoby wyjałowienie pól. Wkrótce Indianom całkowicie brak środków do życia. Nieszczęśnicy krążą odtąd po opustoszałych lasach jak zgłodniałe wilki. Instynktowna miłość ojczyzny przywiązuje ich do ziemi, na której się urodzili, ale znajdują na niej już tylko nędzę i śmierć. Decydują się wreszcie i podążają śladem ucieczki łosia, bawołu, bobra. Ich nową ojczyznę obierają dla nich dzikie zwierzęta. Ściśle rzecz biorąc, to nie Europejczycy przepędzają Indian, lecz głód — oto subtelne rozróżnienie, nie znane średniowiecznym kazuistom, a wykryte przez nowożytnych doktorów.

Trudno sobie przedstawić straszliwe cierpienia towarzyszące tym przymusowym migracjom. Indianie są wyczerpani i zdziesiątkowani już w momencie opuszczania rodzinnych stron. Kraina, w której zechcą się osiedlić, jest zamieszkana przez plemiona niechętnie przyjmujące przybyszów. Za nimi jest głód, przed nimi wojna, wszędzie nędza. Chcąc uniknąć wszystkich tych klęsk, muszą się rozdzielić. Każdy z nich stara się na własną rękę i ukradkiem znaleźć środki do życia; żyje w dzikiej puszczy tak, jak w cywilizowanym społeczeństwie żyje skazaniec odtrącony przez wszystkich. Pękają i tak już osłabione więzy społeczne. Indianie stracili już ojczyznę; niedługo utracą i własne plemię; zostaną zaledwie rodziny. Ginie imię szczepu, zapomniany zostaje język, nikną ostatnie ślady pochodzenia. Naród przestał ist-

nieć. Żyje jeszcze we wspomnieniach amerykańskich zbieraczy starożytności i zna go jedynie kilku europejskich erudytów.

Nie chciałbym, żeby czytelnik sądził, iż rozmyślnie maluję ten obraz w czarnych kolorach. Na własne oczy widziałem cierpienia i nędzę, które staram się opisać, i byłem świadkiem zła, którego opisać nie potrafię.

Z końcem 1831 roku znalazłem się na lewym brzegu Missisipi, w miejscu zwanym przez Europejczyków Memphis. Pojawiła się tam wówczas duża grupa Indian Czokto. Indianie właśnie opuszczali swój kraj i chcieli się przedostać na prawy brzeg Missisipi, gdzie mieli nadzieję znaleźć schronienie obiecane im przez rząd amerykański. Był środek zimy, mróz był wyjątkowo silny, śnieg okrył ziemię twardą skorupą, a rzeką płynęły ogromne kry. Indianie, którzy wędrowali razem z rodzinami, ciągnęli ze sobą rannych, chorych, nowo narodzone dzieci i umierających starców. Nie mieli ani namiotów, ani wozów, tylko trochę zapasów i broni. Widziałem, jak wsiadali na statek, aby przepłynąć przez wielką rzekę, i ten pełen patosu widok na zawsze zostanie w mojej pamięci. Nie było słychać ni płaczu, ni skarg — wszyscy milczeli. Ich nieszczęścia były nienowe i Indianie wiedzieli, że są nieodwracalne. Wszyscy weszli już na statek i tylko psy zostały na brzegu. Zobaczywszy, że ich panowie oddalają się na zawsze, zaczęły przeraźliwie wyć i wszystkie naraz rzuciły się do lodowatej wody Missisipi, by popłynąć za statkiem.

Wywłaszczanie Indian odbywa się za naszych czasów regularnie i w sposób, by tak rzec, całkowicie legalny.

Kiedy ludność europejska zbliża się do dzikich terenów zajmowanych przez jakieś plemię, rząd Stanów Zjednoczonych najpierw wysyła zazwyczaj uroczyste poselstwo. Biali zbierają Indian na wielkiej równinie, jedzą z nimi i piją, a potem powiadają: «Cóż możecie jeszcze robić w kraju waszych ojców? Niedługo będziecie musieli odgrzebywać ich kości, by mieć coś do zjedzenia. W czym zamieszkiwana przez was kraina jest lepsza od którejkolwiek innej? Czyż lasy, błota i łąki są tylko w waszym kraju? Czyż możecie żyć tylko pod waszym słońcem? Za tymi górami, które widzicie na horyzoncie, i za jeziorem, które z zachodu ogranicza wasze terytorium, są rozległe tereny obfitujące jeszcze w dziką zwierzynę. Sprzedajcie nam waszą ziemię i przenieście się tam, a będziecie żyli szczęśliwie.» Po czym biali rozkładają przed Indianami broń palną, ubrania z wełny, baryłki wódki, naszyjniki ze szklanych paciorków, cynowe bransoletki, kolczyki i lusterka. Jeśli mimo widoku wszystkich tych bogactw Indianie jeszcze się wahają, biali tłumaczą, że nie powinni odmawiać zgody, ponieważ za pewien czas nawet rząd nie będzie już w stanie zagwarantować im korzystania z przysługujących im praw. Cóż mają czynić? Na poły przekonani, na poły zmuszeni, Indianie odchodzą, by zamieszkać na innej ziemi, gdzie biali nie dadzą im zresztą przeżyć w spokoju nawet dziesięciu lat. W ten sposób Amerykanie nabywają za

bezcen ogromne prowincje, których nawet najbogatsi władcy Europy nie byliby w stanie kupić.

Obawiam się, że zło, które opisałem, jest nie do naprawienia. Myślę, że w Ameryce Północnej rasa indiańska jest skazana na wymarcie, i jestem przekonany, że kiedy Europejczycy osiedlą się na wybrzeżach Oceanu Spokojnego, przestanie ona istnieć.

Indianie z Ameryki Północnej mieli tylko dwie drogi ratunku: wojnę lub cywilizację. Innymi słowy musieli albo zniszczyć Europejczyków, albo stać się im równymi.

Na początku kolonizacji mogli byli, jednocząc swe siły, pozbyć się niewielkiej liczby cudzoziemców, którzy przybili do brzegów kontynentu. Próbowali kilkakrotnie to uczynić i niemal im się powiodło. Dziś taka jest dysproporcja sił, że nie mogą nawet marzyć o podobnym przedsięwzięciu. Są wśród Indian ludzie wybitni, którzy przewidując los oczekujący dzikie plemiona, próbują je wszystkie zjednoczyć we wspólnej nienawiści do Europejczyków. Są jednak bezsilni. Plemiona sąsiadujące z białymi są zbyt osłabione, by mogły zdobyć się na skuteczny opór, inne zaś, z ową dziecinną niefrasobliwością jutra charakterystyczną dla pierwotnych natur, oczekują na nadejście niebezpieczeństwa, by dopiero wtedy pomyśleć o obronie. Jedni zatem nie mogą, a inni nie chcą działać.

Nietrudno przewidzieć, że Indianie nie zechcą się cywilizować bądź że zechcą zrobić to wtedy, kiedy już będzie za późno.

Cywilizacja jest wynikiem długotrwałego procesu społecznego, dokonującego się w jednym kraju dzięki przekazywaniu sobie przez kolejne generacje rezultatów ich wysiłków. Cywilizacja najtrudniej rozwija się u ludów łowieckich. Plemiona pasterskie zmieniają miejsce, lecz ich wędrówki odbywają się według pewnego porządku — depczą one stale po własnych śladach. Siedziby plemion łowieckich zmieniają się natomiast zależnie od ostoi zwierzyny.

Kilkakrotnie próbowano Indian kształcić, nie naruszając ich wędrownych zwyczajów. Jezuici podjęli ten trud w Kanadzie, purytanie — w Nowej Anglii. Ani jednym, ani drugim nie udało się uzyskać trwałych rezultatów. Cywilizacja rodziła się w chacie, lecz w lesie umierała. Nauczyciele ci popełniali wielki błąd, nie rozumiejąc, że aby ucywilizować jakiś lud, trzeba przede wszystkim skłonić go do życia osiadłego. Należało więc najpierw uczynić z Indian rolników.

Indianie nie tylko nie znają tej sztuki, bez której nie ma cywilizacji, lecz zdobycie jej przychodzi im z wielkim trudem. Ludzie, którzy raz przywykli do próżniaczego i pełnego przygód życia myśliwych, czują nieprzepartą niechęć do stałej i regularnej pracy, jaka jest niezbędna na roli. Można to zauważyć nawet w naszych społeczeństwach, lecz jeszcze lepiej widać to u ludów, u których nawyki łowieckie stały się narodowymi zwyczajami.

Poza tą podstawową przyczyną niepowodzenia istnieje i inna, specyficzna dla Indian. Wspominałem już o niej, i teraz do niej powrócę.

Tubylcy z Ameryki Północnej uważają pracę nie tylko za zło, lecz i za dyshonor. Ich duma walczy więc z cywilizacją niemal równie zażarcie jak ich lenistwo.

Najnędzniejszy nawet Indianin kultywuje w swym szałasie z kory nader wysokie wyobrażenie o własnej indywidualnej wartości. Niezbędne prace uważa za zajęcie poniżające, rolnika porównuje z wołem przewracającym bruzdy, wszystkie nasze zatrudnienia bierze za wysiłki niewolników. Wprawdzie ma bardzo wysokie pojęcie o sile białych i o wielkości ich inteligencji, lecz podziwiając rezultaty naszych wysiłków, pogardza środkami, które pozwalają nam je uzyskiwać; doświadczając naszej przewagi, ma się wciąż za wyższego od nas. Polowanie i wojna to dla niego jedyne zajęcia godne mężczyzny. Indianin, który wiedzie nędzną egzystencję w lasach, żywi więc te same idee, te same poglądy co średniowieczny szlachcic w swoim zamku. Gdyby jeszcze został zdobywcą, nic by już nie mąciło tego podobieństwa. Tak oto, rzecz szczególna, w lasach Nowego Świata, nie zaś wśród Europejczyków osiedlających się na jego wybrzeżach, odnajdujemy dziś dawne feudalne idee Europy.

W książce tej wielokrotnie próbowałem wyjaśnić niezwykły wpływ, jaki układ społeczny wydaje mi się wywierać na ludzkie prawa i obyczaje. Niechaj więc wolno mi będzie dorzucić kilka zdań na ten temat.

Kiedy odkrywam podobieństwo między instytucjami politycznymi naszych przodków Germanów i owych wędrownych plemion amerykańskich, podobieństwo między obyczajami opisywanymi przez Tacyta i tymi, których niejednokrotnie byłem świadkiem, wówczas skłonny jestem mniemać, że na obu półkulach ta sama przyczyna wywołała te same skutki, że zatem wśród zewnętrznej różnorodności ludzkich spraw można odnaleźć nieliczne podstawowe fakty, z których wynikają wszystkie inne. W tym więc, co zwykliśmy nazywać instytucjami germańskimi, skłonny jestem odnajdywać jedynie barbarzyńskie nawyki, a w tym, co mamy za pojęcia feudalne — poglądy ludzi dzikich.

Bez względu na to, jakie są wady i przesądy, które nie pozwalają Indianom z Ameryki Północnej przekształcić się w rolników i ucywilizować, konieczność zmusza ich do tego niejednokrotnie.

. . . . . .

Przyszłość tubylców z Ameryki Północnej, z którejkolwiek strony by ją rozpatrywać, przedstawia się źle: jeśli pozostaną dzicy, będą spychani coraz dalej w miarę posuwania się naprzód cywilizacji, jeśli zaś będą chcieli się cywilizować, zetknięcie z ludźmi bardziej od nich cywilizowanymi odda ich na pastwę przemocy i nędzy. Jeśli w dalszym ciągu będą krążyć po pustko-

wiach — zginą, jeśli spróbują się osiedlić — również zginą. Oświecić się mogą tylko dzięki pomocy Europejczyków, wszelako zetknięcie z Europejczykami deprawuje ich i spycha ku barbarzyństwu. Póki żyją w odosobnieniu, nie chcą zmieniać swoich obyczajów, kiedy zostają wreszcie do tego zmuszeni, jest już za późno.

Hiszpanie szczują Indian psami jak dzikie bestie, grabią Nowy Świat niczym miasto zdobyte w szturmie — niepoczytalnie i bezlitośnie. Nie można jednak zniszczyć wszystkiego i szał ma swój kres. Ta część ludności indiańskiej, której udało się uniknąć masakry, miesza się w końcu ze zwycięzcami oraz przyjmuje ich religię i obyczaje.

Stosunek Amerykanów ze Stanów Zjednoczonych do tubylców jest — przeciwnie — przepojony najczystszym uwielbieniem form i legalności. Jeśli tylko Indianie pozostają w stanie dzikości, Amerykanie nie mieszają się do ich spraw i traktują ich jako ludy niepodległe. Nie zajmują ich ziem, dopóki ich nie nabędą na mocy odpowiedniego kontraktu, a jeżeli przypadek zdarzy, że jakieś plemię indiańskie nie może już żyć na swoim terytorium, wówczas po bratersku biorą je za rękę i wyprowadzają na śmierć poza granice kraju ojców.

Hiszpanie dopuszczali się bezprzykładnych okrucieństw i okryli się wieczystą hańbą, a jednak nie zdołali wymazać rasy indiańskiej z powierzchni ziemi, ani nawet zepchnąć jej poza granice prawa. Amerykanie ze Stanów Zjednoczonych osiągnęli jedno i drugie z nadzwyczajną łatwością, spokojnie, bez trudu, filantropijnie, nie przelewając krwi i pozornie nie naruszając żadnej podstawowej zasady moralności. Trudno byłoby nieść zagładę ludziom lepiej przestrzegając praw ludzkości.

Sytuacja czarnej rasy w Stanach Zjednoczonych oraz niebezpieczeństwa, na jakie jej obecność wystawia białych

Indianie wymrą w odosobnieniu, tak jak i żyli, ale przyszłość Murzynów jest w pewnej mierze spleciona z przyszłością Europejczyków. Obie te rasy, choć nie połączyły się ze sobą, pozostają jednak związane i równie trudno jest im się zjednoczyć, jak całkowicie od siebie oderwać.

Obecność czarnych jest najpoważniejszym niebezpieczeństwem zagrażającym przyszłości Stanów Zjednoczonych. Kiedy rozważamy przyczyny obecnych trudności i przyszłych niebezpieczeństw, na jakie narażone są Stany Zjednoczone, niezależnie od obranego punktu wyjścia zawsze dochodzimy do tego problemu.

Do stworzenia trwałego zła trzeba w zasadzie wielkich i długotrwałych wysiłków ludzi. Istnieje wszakże taki rodzaj zła, który wnika w świat ukradkiem. Początkowo ledwo zauważalne pośród codziennych nadużyć władzy, zaczyna się od jakiegoś człowieka, którego imię nie pozostaje w historii,

i jak przeklęte ziarno rzucone na skrawek ziemi czerpie soki samo z siebie, rozrasta się i rozwija razem ze społeczeństwem, które je nosi w swym łonie. Tym złem jest niewolnictwo.

Chrześcijaństwo zniszczyło niewolnictwo, lecz chrześcijanie szesnastego wieku przywrócili je i włączyli do swego systemu społecznego, jednakże li tylko na zasadzie wyjątku. Ograniczyli je do jednej rasy. Zadali tym samym ludzkości ranę wprawdzie mniejszą, lecz znacznie trudniejszą do uleczenia.

Należy starannie odróżniać dwie rzeczy: niewolnictwo jako takie i jego skutki.

Bezpośrednie zło sprawione przez niewolnictwo u starożytnych było mniej więcej takie samo jak u nowożytnych, lecz konsekwencje tego zła były różne. U starożytnych niewolnik należał do tej samej rasy co jego pan, a często przewyższał go wykształceniem. Dzieliła ich tylko niewola — po uzyskaniu wolności różnice natychmiast znikały.

Starożytni dysponowali więc prostym sposobem na pozbycie się problemu niewolnictwa i jego konsekwencji: wyzwalaniem. Kiedy posłużyli się nim na szerszą skalę, odnieśli sukces.

Przez jakiś jeszcze czas po zniesieniu niewolnictwa jego ślady były jednak w starożytności trwałe. Człowiek ma naturalną skłonność do pogardzania tym, kto stał od niego niżej, nawet jeżeli wiele czasu upłynęło już od chwili zrównania. Następstwem faktycznej nierówności wobec prawa czy nierówności majątków jest zawsze nierówność urojona, zakorzeniona w obyczaju. U starożytnych wszakże i ten drugi rodzaj nierówności z czasem znikł. Wyzwoleniec był tak podobny do ludzi wolnych od urodzenia, że wkrótce nie można było go odróżnić.

Największą trudnością, z jaką borykali się starożytni, była sama zmiana prawa; nowożytnym najtrudniej jest zmienić obyczaje. Faktyczny problem zaczyna się więc dla nas tam, gdzie kończył się dla starożytnych.

Bierze się to stąd, że niematerialny i przemijający fakt niewolnictwa w najbardziej zgubny sposób łączy się u nowożytnych z materialnym i trwałym faktem różnicy ras. Wspomnienie niewolnictwa hańbi rasę, ale rasa utrwala to wspomnienie.

Żaden Afrykanin nie przybył z własnej woli na wybrzeża Nowego Świata, a zatem wszyscy, którzy obecnie się tam znajdują, są albo niewolnikami, albo wyzwoleńcami. Tak więc Murzyn wraz z życiem przekazuje wszystkim potomkom zewnętrzną oznakę hańby. Prawo może zniszczyć niewolnictwo, ale Bóg jeden władny jest zatrzeć jego ślady.

Nowożytny niewolnik różni się od swego pana nie tylko brakiem wolności, ale i pochodzeniem. Możecie zwrócić Murzynowi wolność, ale nie możecie sprawić, by wobec Europejczyka nie był obcy.

To jeszcze nie wszystko. Temu człowiekowi podłego urodzenia, obcemu wprowadzonemu do naszego świata jako niewolnik, przyznajemy zaledwie

ogólne cechy człowieczeństwa. Jego twarz wydaje się nam odrażająca, inteligencja ograniczona, a upodobania niskie. Mało brakuje, byśmy go uznali za istotę pośrednią między człowiekiem a zwierzęciem.

Po obaleniu niewolnictwa nowożytni muszą jeszcze zniszczyć trzy przesądy znacznie bardziej nieuchwytne i trwałe: przesąd pana, przesąd rasy i wreszcie przesąd koloru białego.

Niełatwo jest nam, którzyśmy mieli szczęście urodzić się wśród ludzi przez naturę stworzonych na nasze podobieństwo, a przez prawo uczynionych nam równymi, niełatwo jest, powiadam, zrozumieć, jaka przestrzeń nie do pokonania oddziela amerykańskiego Murzyna od Europejczyka. Możemy jednak powziąć pewne przybliżone wyobrażenie na ten temat dzięki rozumowaniu przez analogię.

Istniały niegdyś i wśród nas wielkie nierówności, ale miały one swe podstawy wyłącznie w prawie. Cóż bardziej sztucznego niż czysto prawna nierówność! Cóż bardziej przeciwnego ludzkim instynktom jak różnice trwale ustalone między ludźmi podobnymi do siebie w sposób oczywisty! Różnice te przetrwały jednak przez stulecia i długo jeszcze będą trwały w wielu miejscach na świecie. Wszędzie widać ich nierzeczywiste ślady, których nie Może zatrzeć czas. Skoro nierówność stworzona tylko przez prawo jest tak trudna do wykorzenienia, to jakże można znieść tę, która dodatkowo wydaje się mieć niewzruszone podstawy w samej naturze?

Kiedy widzę, z jakim trudem przychodzi arystokracji zgubić się w masie ludu i jak usilnie stara się ona w ciągu stuleci utrzymać idealne bariery odgradzające ją od ludu, żałuję, że zanika arystokracja oparta na realnych i trwałych wyróżnikach.

Złudne są więc nadzieje ludzi, którzy sądzą, że kiedyś Europejczycy połączą się z Murzynami. Rozum nie pozwala mi w to wierzyć, a nie dostrzegam faktów, które mogłyby to uzasadnić.

Dotychczas biali utrzymywali Murzynów w stanie poniżenia i niewolnictwa wszędzie tam, gdzie byli silniejsi. Murzyni zaś zabijali białych wszędzie tam, gdzie sami mieli przewagę. Dotąd był to jedyny sposób wzajemnego kontaktowania się obu ras.

W niektórych rejonach Stanów Zjednoczonych obserwuję obecnie Zachwianie się prawnej bariery między rasami, ale nie bariery obyczajowej. Niewolnictwo się cofa, ale przesąd, z którego się narodziło, trwa.

Czy w tej części Unii, w której Murzyni nie są już niewolnikami, zbliżyli się oni do białych? Każdy, kto był w Stanach Zjednoczonych, wie, że jest przeciwnie.

Przesąd rasowy wydaje się być silniejszy w stanach, które zniosły niewolnictwo, niż tam, gdzie ono jeszcze istnieje. Nigdzie nie jest jednak tak przemożny jak w stanach, w których niewolnictwa nigdy nie było.

To prawda, że na Północy prawo zezwala na zawieranie mieszanych małżeństw między Murzynami i białymi, lecz opinia publiczna odsądza od czci białego, który ożeniłby się z Murzynką. Dlatego trudno jest przytoczyć jakiś przykład podobnego związku.

We wszystkich niemal stanach, w których zniesiono niewolnictwo, Murzyni otrzymali prawa wyborcze. Jeżeli jednak zechcą głosować, ryzykują życie. Pokrzywdzony Murzyn może wnosić skargi, ale sędziami bywają wyłącznie biali. Prawo co prawda pozwala na to, by Murzyn został ławnikiem, ale nie dopuszcza do tego przesąd. Jego syn nie może wstąpić do szkoły, w której uczą się dzieci Europejczyków. W teatrze za żadną cenę nie otrzyma miejsca obok swego byłego pana, a w szpitalu leży osobno. Wolno mu modlić się do tego samego Boga, do którego modlą się biali, ale nie przy tym samym ołtarzu. Ma swoich kapłanów i swoje świątynie. Bramy niebieskie stoją przed nim otworem, ale ziemska nierówność trwa aż do progu wieczności. Kiedy Murzyn umiera, odmawia mu się pochowku. Nierówność możliwości nie kończy się nawet wobec zrównania w śmierci.

Murzyn jest więc wolny, ale nie może dzielić ani praw, ani rozrywek, ani pracy, ani niedoli, ani nawet grobu człowieka, z którym go zrównano. Murzyn nigdzie nie może zetknąć się z białym — ani w życiu, ani w śmierci.

Na Południu, gdzie istnieje jeszcze niewolnictwo, Murzyni nie są tak starannie trzymani z dala od białych. Zdarza się, że pracują i bawią się wspólnie z nimi, ponieważ dopuszcza się pewne formy zbratania. Prawo jest wobec czarnych surowsze, ale obyczaje bardziej tolerancyjne i łagodniejsze.

Na Południu pan nie obawia się podnieść Murzyna do swego poziomu, ponieważ wie, że zawsze w dowolnym momencie może cofnąć go do dawnego stanu. Na Północy natomiast biały nie widzi już wyraźnej bariery dzielącej go od podłej rasy, więc stara się tym bardziej oddalić od Murzyna, im bardziej się boi, że może zostać z nim utożsamiony.

Na Południu natura, odzyskując czasem swoje prawa, przywraca na jakiś czas stan równości między czarnymi i białymi. Na Północy pycha zagłusza nawet najgwałtowniejsze ludzkie namiętności. Amerykanin z Północy zgodziłby się może uczynić z Murzynki chwilową towarzyszkę przyjemności, gdyby prawo zabraniało jej dzielić jego małżeńskie łoże. Skoro jednak może ona zostać jego żoną, ze wstrętem obchodzi ją z daleka.

Tak więc przesąd, który oddziela czarnych od białych, wydaje się przybierać na sile, w miarę jak czarni przestają być niewolnikami, a nierówność tym bardziej utrwala się w obyczajach, im bardziej zanika w prawach.

Skoro jednak takie są wzajemne stosunki dwóch ras zamieszkujących Stany Zjednoczone, to dlaczego Amerykanie znieśli niewolnictwo na Północy, a zachowali je na Południu, i dlaczego jeszcze je tam pogłębiają? Nietrudno na to odpowiedzieć. W Stanach Zjednoczonych niewolnictwo znosi się nie w interesie czarnych, lecz w interesie białych.

. . . . . .

Wolny robotnik otrzymuje zapłatę, ale pracuje szybciej niż niewolnik — a tempo pracy w dużym stopniu wpływa na zyski. Biały sprzedaje co prawda swą pracę, ale kupuje się ją tylko wtedy, gdy transakcja jest opłacalna dla nabywcy. Czarny nie może się niczego domagać w zamian za swoją służbę, ale trzeba go stale żywić, trzeba go utrzymywać nie tylko w wieku dojrzałym, ale i w starości, nie tylko w okresie produktywnej młodości, ale i w czasie bezproduktywnego dzieciństwa, nie tylko w stanie zdrowia, ale i podczas choroby. Zarówno więc utrzymanie niewolnika, jak i płatnego pracownika kosztuje. Wolny robotnik otrzymuje wynagrodzenie, niewolnik — wykształcenie zawodowe, pokarm, opiekę, ubranie. Pieniądze na utrzymanie niewolnika wydawane są stopniowo i w sposób niemal niedostrzegalny, natomiast pensja robotnika przynosi właścicielowi wyraźny uszczerbek i wydaje się na pozór wzbogacać tylko robotnika. A jednak faktycznie niewolnik kosztuje więcej niż robotnik, zaś jego praca jest mniej efektywna.

Wpływ systemu niewolniczego sięga jeszcze dalej, przenika mianowicie do samej duszy pana, nadając pewien kierunek jego poglądom i upodobaniom.

Ludziom mieszkającym po obu stronach rzeki Ohio natura dała przedsiębiorczy i energiczny charakter, lecz oni rozmaicie wykorzystali owe dary. Biali mieszkający na prawym brzegu, zmuszeni żyć o własnych siłach, uczynili dobrobyt materialny głównym celem swej egzystencji, a ponieważ kraj, który zamieszkują, dostarcza niewyczerpanych zasobów i podsuwa wciąż nowe pokusy działania, ich namiętność posiadania przekroczyła zwyczajne granice ludzkiej chciwości. Ludzie ci, wiedzeni pożądaniem bogactw, śmiało wkraczają na każdą drogę, jaką los przed nimi otwiera, z równym zapałem oddają się pracy marynarza, pioniera, fabrykanta, rolnika i z równą wytrwałością znoszą wysiłki i niebezpieczeństwa związane z tymi różnymi zawodami. Jest coś niezwykłego w ich duchowej sile i coś na kształt heroizmu w ich pragnieniu zysku.

Amerykanie mieszkający na lewym brzegu pogardzają nie tylko pracą, ale i wszystkimi przedsięwzięciami wymagającymi pracy. Żyjąc w próżniaczym dostatku nabierają upodobań próżniaków. Pieniądze utraciły dla nich część swej wartości. Poszukują nie tyle bogactwa, ile podniet i przyjemności, i ku nim kierują energię, inaczej zużywaną przez sąsiadów. Uwielbiają więc namiętnie polowania i wojnę, znajdują upodobanie w najbrutalniejszych ćwiczeniach fizycznych, obznajmieni są z bronią i od dziecka nauczyli się rozgrywać swe życie jako stawkę w walce. Niewolnictwo nie tylko więc nie przeszkadza białym w dorabianiu się, ale odbiera im ochotę zbijania majątku.

Te same przyczyny, działając od dwóch wieków w dwóch różnych kierunkach, doprowadziły w końcu do powstania ogromnej różnicy między możli-

wościami produkcyjnymi Amerykanów z Południa i z Północy. Dzisiaj jedynie Północ posiada statki, fabryki, koleje i kanały wodne.

. . . . . .

Starożytni brali w posiadanie ciało niewolnika, pozostawiali jednak wolność jego duchowi i pozwalali mu się kształcić. Byli w tym konsekwentni wobec samych siebie, niewola miała bowiem swój kres: z dnia na dzień niewolnik mógł się stać wolny i równy swemu panu.

Amerykanie z Południa, nie sądząc, by kiedykolwiek Murzyni mogli się z nimi wymieszać, pod surowymi sankcjami zabronili uczyć ich czytać i pisać. Nie chcąc wznieść ich do własnej pozycji, utrzymują Murzynów możliwie najbliżej poziomu zwierzęcia.

Nadzieja wolności zawsze towarzyszyła niewolnictwu, łagodząc jego surowość.

Amerykanie z Południa zrozumieli, że wyzwalanie jest niebezpieczne, jeśli wyzwoleniec nie może zasymilować się w społeczeństwie swych dawnych panów. Dając człowiekowi wolność i pozostawiając go zarazem w nędzy i sromocie, przygotowujemy po prostu przywódcę przyszłej rewolty niewolników. Zauważono już zresztą dawno, że obecność wolnych Murzynów budzi niejasny niepokój w głębi duszy czarnych niewolników i sprawia, że zaczyna do nich docierać idea ich praw. Amerykanie z Południa pozbawili w zasadzie właścicieli prawa wyzwalania.

Na Południu spotkałem starca, który niegdyś żył w nieprawym związku z jedną ze swoich Murzynek. Miał z nią kilkoro dzieci, które przychodząc na świat stawały się niewolnikami własnego ojca. Ojciec wielokrotnie myślał o tym, by choć w testamencie uczynić ich wolnymi, lecz wiele lat upłynęło i nie zdołał pokonać przeszkód prawnych utrudniających wyzwolenie. Nadeszła starość i bliska śmierć. Wyobrażał sobie wówczas swych synów ciąganych z targu na targ i przechodzących spod władzy ojcowskiej pod kij obcego. Z takich straszliwych obrazów składały się majaki jego gasnącej wyobraźni. Widziałem go wydanego na pastwę trwogi i rozpaczy i pojąłem wówczas, jak natura potrafi się mścić za rany zadane jej przez prawo.

Oto straszliwe zło, lecz czyż nie jest ono konieczną i z góry dającą się przewidzieć konsekwencją samej zasady niewolnictwa u nowożytnych?

Zdobywając niewolników odrębnej rasy przez wielu uważanej za niższą od innych ras ludzkich, i myśląc zarazem z przerażeniem o jej asymilacji, Europejczycy założyli wieczne istnienie niewolnictwa. Albowiem nie ma trwałych form pośrednich między skrajną nierównością, będącą wytworem niewolnictwa, a pełną równością, w sposób naturalny uzyskiwaną przez ludzi dzięki wolności. Europejczycy mgliście przeczuwali tę prawdę, ale nigdy jej wprost nie sformułowali. Ich stosunek do Murzynów był zawsze oparty albo na interesie własnym i dumie, albo na litości. Zniewalając Murzynów

pogwałcili wszystkie prawa ludzkie, a potem pouczali ich o wartości i nienaruszalności tych praw. Otworzyli swój świat dla niewolników, a kiedy ci spróbowali się weń włączyć, haniebnie ich przepędzili. Pragnęli niewolnictwa, lecz nieświadomie lub wbrew własnej woli dali się skłonić ku ideom wolności, nie mając odwagi zostać ani zupełnie niesprawiedliwymi, ani w pełni sprawiedliwymi.

Skoro trudno wyobrazić sobie, że Amerykanie z Południa kiedykolwiek zmieszają swą krew z krwią czarnych, to czyż mogą oni dać Murzynom wolność, nie narażając się na zagładę? Jeżeli zaś w celu zachowania własnej Rasy trzymają czarnych w okowach, to czyż nie należałoby ich usprawiedliwiać, gdy posługują się najskuteczniejszymi w tej mierze środkami?

To, co dzieje się na południu Unii, wydaje mi się najpotworniejszą i zarazem najbardziej naturalną konsekwencją niewolnictwa. Kiedy widzę zakłócony porządek natury, kiedy widzę, jak mimo istnienia praw ludzie zwalczają się nawzajem, to jednak nie znajduję w sobie dosyć oburzenia, by napiętnować tych przedstawicieli naszej epoki, którzy przyczynili się do istnienia tego nonsensu. Całą moją nienawiść kieruję przeciwko tym, którzy po upływie ponad tysiąca lat równości ponownie wprowadzili na świecie niewolnictwo.

Nawet największe wysiłki nie pozwolą Amerykanom z Południa na wieczne utrzymywanie niewolnictwa. Istniejące w jednym tylko miejscu na świecie, zwalczane przez chrześcijaństwo jako niesprawiedliwe, a jako zgubne atakowane przez ekonomię polityczną, wśród wolności demokratycznej i oświecenia naszej epoki niewolnictwo nie może być instytucją trwałą. Kres położy mu albo sam niewolnik, albo pan. W obu wypadkach należy oczekiwać wielkich nieszczęść.

Jeżeli Murzynom z Południa odmówi się wolności, sami zdobędą ją gwałtem. Jeżeli się ją im przyzna — wkrótce jej nadużyją.

Jakie są szanse trwałości Unii amerykańskiej i jakie jej zagrażają niebezpieczeństwa

Od faktu trwania Unii uzależnione jest częściowo utrzymanie tego wszystkiego, co zostało osiągnięte w poszczególnych stanach. Trzeba się więc zastanowić nad tym, jakie jest prawdopodobieństwo przetrwania Unii. Musimy jednak przede wszystkim zgodzić się co do jednego — gdyby rozpadła się obecna federacja, stany nie mogłyby już powrócić do swej pierwotnej odrębności. Na miejscu jednej Unii powstałoby ich kilka. Nie mam zamiaru rozważać zasad, na których mogłyby się one oprzeć; chcę tylko rozpatrzyć przyczyny, które mogą doprowadzić do rozpadu obecnej federacji.

. . . . . .

Istnieją dwa narzucające się w sposób oczywisty powody, dla których obecna federacja przynosi pożytek Amerykanom.

Chociaż Amerykanie są odosobnieni na swoim kontynencie, za pośrednictwem handlu stają się sąsiadami tych wszystkich krajów, z którymi prowadzą interesy. Mimo pozornej izolacji muszą więc być silni, a siłę może im zapewnić jedynie zjednoczenie.

Rozdzielając się stany nie tylko osłabiłyby się w stosunku do innych krajów, ale na własnym terytorium stworzyłyby obce sobie kraje. Musiałyby wprowadzić system ceł wewnętrznych, przeprowadzić sztuczne granice przez doliny, uczynić niespławnymi rzeki i utrudnić na wszelkie możliwe sposoby eksploatację wielkiego kontynentu — daru Opatrzności.

Amerykanie nie muszą się obecnie obawiać napaści i dzięki temu nie muszą utrzymywać stałej armii ani ściągać podatków. Gdyby Unia się rozpadła, wszystkie te posunięcia stałyby się niezbędne.

Amerykanie są więc poważnie zainteresowani w trwałości Unii.

Z drugiej strony trudno wyobrazić sobie realną korzyść, jaką mogłaby odnieść jakaś część Unii, oddzielając się od federacji.

. . . . . .

Materialne interesy wszystkich stanów Unii są więc ze sobą ściśle powiązane.

Z równą słusznością można to samo powiedzieć o przeświadczeniach i uczuciach, stanowiących coś w rodzaju niematerialnych interesów ludzi.

Mieszkańcy Stanów Zjednoczonych wiele mówią o swej miłości ojczyzny. Wyznaję, że nie mam wielkiego zaufania do tego przemyślanego patriotyzmu, opartego na interesowności, a więc narażonego na zanik z chwilą zmiany przedmiotu potrzeb.

Nie przywiązuję też większej wagi do słów Amerykanów, którzy stale podkreślają swą intencję utrzymania systemu federalnego przyjętego przez przodków. Tym, co pozwala wielkiej liczbie ludzi rządzić się wspólnie, nie jest fakt, iż chcą oni z rozsądku pozostać zjednoczeni, lecz zjawisko instynktownej i jakby spontanicznej zgody — rezultatu podobieństwa uczuć i bliskości poglądów.

Nigdy się nie zgodzę, że społeczeństwo powstaje wyłącznie na zasadzie uznawania tej samej władzy i tych samych praw. Społeczeństwo może zaistnieć dopiero wtedy, kiedy ludzie tak samo patrzą na wiele zjawisk i mają te same poglądy na wiele spraw, kiedy wreszcie te same fakty wzbudzają w nich te same wrażenia i te same myśli.

Obserwując z tego punktu widzenia rzeczywistość społeczną Stanów Zjednoczonych, wkrótce odkryjemy, że ich mieszkańcy, choć podzieleni na dwadzieścia cztery suwerenne części, tworzą jeden naród, a nawet być może uznamy, że Unia angloamerykańska jest lepszym przykładem jednolitego

społeczeństwa niż niektóre narody w Europie, które mają jedno tylko prawo i pozostają pod władzą jednego człowieka.

Chociaż w Ameryce istnieje kilka wyznań, to jednak wszyscy w ten sam sposób zapatrują się na religię.

Nie zawsze zgadzają się co do środków niezbędnych do dobrego rządzenia i różnią się w poglądach na niektóre formy władzy, lecz są zgodni co do ogólnych zasad, które powinny rządzić ludzkimi społeczeństwami. Od Maine do Florydy, od Missouri do Oceanu Atlantyckiego panuje przeświadczenie, że wszelka prawowita władza pochodzi od ludu. Panują te same idee na temat wolności i równości, te same poglądy na temat prasy, prawa stowarzyszania się, sądu przysięgłych oraz odpowiedzialności przedstawicieli władzy.

Poza kręgiem idei politycznych i religijnych, podobną jednomyślność odnajdziemy także w dziedzinie przekonań filozoficznych i moralnych, które kierują codziennymi działaniami i całością ludzkich zachowań.

Angloamerykanie przyznają rozumowi zbiorowości moralną władzę, tak jak ogółowi obywateli przyznają władzę polityczną, i uważają, że należy się odwołać do opinii ogółu obywateli, by odróżnić to, co jest dozwolone, od tego, co zakazane, to, co jest prawdziwe, od tego, co fałszywe. Większość z nich mniema, że człowiek dobrze pojmujący swoje interesy będzie działał sprawiedliwie i uczciwie. Sądzą też, że każdy przynosi na świat zdolność rządzenia samym sobą i że nikt nie ma prawa na siłę uszczęśliwiać swego bliźniego. Wszyscy Amerykanie głęboko wierzą w ludzką zdolność do Doskonalenia się. Są przekonani, że upowszechnienie oświaty musi przynieść korzystne skutki, ignorancja zaś — zgubne. Społeczeństwo traktują jako stale ulepszający się organizm, ludzkość zmienia się dla nich nieustannie i dlatego nic nie jest i nie powinno być ustalone raz na zawsze. Przyznają więc, że to, co dziś wydaje im się dobre, jutro może zostać zastąpione przez coś lepszego, czego jeszcze nie znają.

Nie twierdzę, że wszystkie te przeświadczenia są słuszne, ale że są one właściwe Amerykanom.

Angloamerykanów jednoczą we wspólny organizm te właśnie idee, a narodowa duma, którą odczuwają, oddziela ich jednocześnie od reszty świata.

Mieszkańcy Stanów Zjednoczonych od pięćdziesięciu lat są nieustannie przekonywani o tym, że stanowią jedyny lud oświecony, religijny i wolny. Widzą, że podczas gdy u nich instytucje demokratyczne funkcjonują znakomicie, we wszystkich pozostałych krajach świata rzeczy mają się inaczej. Powzięli więc wysokie wyobrażenie o sobie i nie są zbyt dalecy od przekonania, że stanowią odrębny rodzaj w ramach gatunku ludzkiego.

Tak więc niebezpieczeństwa zagrażające Unii amerykańskiej nie biorą się ani z różnic opinii, ani z różnic interesów. Ich źródła należy szukać w różnorodności charakterów oraz w namiętnościach Amerykanów.

Niemal wszyscy mieszkańcy rozległego terytorium Stanów Zjednoczonych wywodzą się ze wspólnego pnia, lecz długotrwałe oddziaływanie klimatu, a przede wszystkim instytucji niewolnictwa, spowodowało powstanie znacznych różnic w charakterze Anglików z Południa i Anglików z Północy.

W Europie panuje przekonanie, że w wyniku istnienia niewolnictwa powstała sprzeczność między interesami obu części Unii. Nie zauważyłem takiego zjawiska. Niewolnictwo nie zrodziło na Południu interesów, które byłyby sprzeczne z interesami Północy, lecz przekształciło charakter mieszkańców Południa i wpoiło im inne przyzwyczajenia.

Mówiłem już o tym, jak wpłynęło niewolnictwo na przedsiębiorczość Amerykanów z Południa. To samo stało się z obyczajami.

Niewolnik to sługa, który podporządkowuje się bez oporu i bez szemrania. Czasem co prawda morduje swego pana, ale nigdy mu się nie sprzeciwia. Na Południu najbiedniejsza nawet rodzina ma niewolników. Amerykanin z Południa od dzieciństwa uczy się więc czegoś w rodzaju domowej dyktatury; jednym z pierwszych wpajanych mu pojęć jest to, że urodził się do rozkazywania, a jego pierwszym nawykiem jest nawyk rządzenia ludźmi, którzy nie stawiają oporu. Wychowanie czyni więc z Amerykanina z Południa człowieka wyniosłego, porywczego, popędliwego, gwałtownego, o namiętnych pragnieniach, nie znoszącego przeszkód, lecz łatwo rezygnującego w wypadku niepowodzenia.

Amerykanin z Północy nie ogląda Murzynów ze swej kołyski. Nie ma także do czynienia z wolnymi służącymi, ponieważ najczęściej sam musi zajmować się sobą. Wkrótce po przyjściu na świat zaczyna rozumieć, czym jest konieczność. Wcześnie więc dowiaduje się, dokąd sięga jego władza, i nie próbuje siłą zmuszać opornych do posłuszeństwa, albowiem wie, że najpewniejszym sposobem zyskania poparcia bliźnich jest zdobycie ich przychylności. Jest więc cierpliwy, rozważny, tolerancyjny, działa powoli i uporczywie trzyma się swych zamiarów.

W południowych stanach najważniejsze potrzeby człowieka są zawsze zaspokajane, Amerykanin z Południa nie jest więc obciążony materialnymi troskami — wyręcza go ktoś inny. Wobec tego jego wyobraźnia kieruje się ku innym, wspanialszym i mniej konkretnym przedmiotom. Amerykanin z Południa ceni okazałość, luksus, chwałę, rozgłos, przyjemności, a przede wszystkim próżniactwo. Nic nie zmusza go do czynienia wysiłków, by utrzymać się przy życiu, i ponieważ nie musi wykonywać prac niezbędnych, staje się bierny i nie podejmuje nawet prac użytecznych.

Równość majątków i brak niewolnictwa sprawiają, że na Północy człowiek musi podejmować wszystkie te trudy materialne, którymi tak pogardza biały z Południa. Od dziecka walczy z biedą i uczy się przenosić dostatek nad wszystkie radości ducha i serca. Ponieważ musi się skupiać na drobnych szczegółach życia, jego wyobraźnia przygasa, jego filozofia jest prostsza

i mniej ogólna, ale za to bardziej praktyczna, jasna i precyzyjna. Ponieważ jego umysł nastawiony jest na jeden cel, na osiągnięcie dostatku, szybko uzyskuje znaczne rezultaty, znakomicie potrafi wykorzystać w tym celu ludzi i naturę, umie też tak pokierować społeczeństwem, by działało na rzecz dobrobytu wszystkich obywateli i by z indywidualnego egoizmu czyniło źródło szczęśliwości powszechnej.

Amerykanin z Północy posiada nie tylko doświadczenie, ale i wiedzę. Nie traktuje jednak wiedzy jako przyjemności, lecz jako środek do osiągnięcia celu, i interesuje się wyłącznie jej praktycznymi zastosowaniami.

Amerykanin z Południa jest bardziej spontaniczny, otwarty, wspaniałomyślny, bardziej błyskotliwy i bardziej rozwinięty intelektualnie.

Amerykanin z Północy jest bardziej czynny, rozważny, bardziej oświecony i zręczniejszy w działaniu.

Pierwszy ma upodobania, przesądy, słabości i okazałość wszelkiej arystokracji.

Drugi ma cnoty i wady charakterystyczne dla klasy średniej.

Jeżeli dwaj ludzie tworzący pewną społeczność mają takie same interesy i częściowo te same poglądy, a różnią się charakterem, oświeceniem i cywilizacją, wiele wskazuje na to, że nie będą się łatwo zgadzali. To samo stosuje się do narodów.

Niewolnictwo zagraża więc amerykańskiej konfederacji nie o tyle, o ile wywiera wpływ na interesy, lecz — pośrednio — poprzez wpływ, jaki wywiera na obyczaje.

Do paktu federalnego w 1790 roku przystąpiło trzynaście stanów. Dziś do federacji należą dwadzieścia cztery. W 1790 roku było prawie cztery miliony ludności — ta liczba wzrosła trzykrotnie podczas czterdziestu lat i w 1830 roku federacja liczyła około trzynastu milionów obywateli.

Tak wielkie zmiany muszą pociągać za sobą niebezpieczeństwa.

Stowarzyszenie narodów, podobnie jak stowarzyszenie ludzi, może trwać dzięki trzem czynnikom: dzięki mądrości stowarzyszonych, dzięki temu, że każdy z nich, osobno wzięty, jest słaby i dzięki temu, że jest ich niewielu.

Amerykanie, którzy oddalają się od wybrzeży Oceanu Atlantyckiego, by iść na zachód, to awanturnicy niezdolni do znoszenia jakiejkolwiek dyscypliny, ludzie spragnieni bogactw, często odrzuceni przez stany, w których się urodzili. Osiedlają się oni wewnątrz puszczy, nie znając siebie nawzajem. Ich swobody nie ogranicza ani tradycja, ani rodzinne uczucia, ani żadne wzory. Ludzie ci w niewielkim stopniu uznają prawo, a obyczaje w jeszcze mniejszym. Tak więc ci, którzy nieustannie osiedlają się w dorzeczu Missisipi, pod wszystkimi względami stoją niżej od Amerykanów mieszkających w dawnych granicach Unii. Mimo to wywierają już w niej znaczny wpływ i uczestniczą w rządzeniu państwem, zanim nauczyli się rządzić sami sobą.

Szanse stowarzyszenia na przetrwanie są tym większe, im indywidualnie słabsi są stowarzyszeni, ponieważ ich bezpieczeństwo zależy od jedności. Kiedy w 1790 roku najludniejsze republiki amerykańskie miały co najwyżej pięćset tysięcy mieszkańców, obywatele każdej z nich zdawali sobie sprawę z tego, że jako niepodległy naród nie odgrywaliby żadnej roli. To przekonanie ułatwiało podporządkowanie się władzy federalnej. Wszelako teraz, kiedy na przykład stan Nowy Jork ma ponad dwa miliony ludności i zajmuje powierzchnię równą jednej czwartej terytorium Francji, czuje się on silny sam przez się i chociaż przynależność do Unii jest czynnikiem jego dobrobytu, nie jest już niezbędna dla jego istnienia. Taki stan może się obejść bez Unii, a godzi się w niej pozostać pod tym warunkiem, że jego głos będzie decydujący.

Już samo pomnożenie się liczby stanów członkowskich Unii mogłoby wpłynąć zasadniczo na osłabienie więzów federalnej wspólnoty. Nawet ludzie patrzący na sprawy z tego samego punktu widzenia wcale nie muszą tak samo o nich myśleć. Różnice poglądów są jeszcze większe wtedy, kiedy punkty widzenia są różne. W miarę więc jak liczba amerykańskich republik rośnie, maleją szanse na ich porozumienie się w kwestii wspólnych praw.

W chwili obecnej interesy poszczególnych części Unii nie są sprzeczne, lecz któż może przewidzieć zmiany, jakie przyniesie najbliższa przyszłość w kraju, w którym każdego dnia powstają miasta, a co pięć lat rodzą się nowe stany?

Od czasu założenia kolonii angielskich liczba mieszkańców podwaja się mniej więcej co dwadzieścia dwa lata i nie widzę powodów, dla których w następnym stuleciu ten postępujący wzrost ludności angloamerykańskiej miałby ulec wstrzymaniu. Nim upłynie sto lat, terytorium Stanów Zjednoczonych będzie, jak sądzę, zamieszkane przez ponad sto milionów ludzi i podzielone na czterdzieści stanów.

Zakładam, że owe sto milionów ludzi nie będzie miało sprzecznych interesów, a nawet że wszyscy będą równie zainteresowani w utrzymaniu Unii. Powiadam wszakże, że choćby tylko dlatego iż będzie ich sto milionów, tworzących czterdzieści nierównych narodów, utrzymanie rządu federalnego może być jedynie dziełem szczęśliwego przypadku.

Skłonny jestem uwierzyć w doskonalenie się istoty ludzkiej, aczkolwiek póki ludzie nie odmienią własnej natury i nie przeobrażą jej całkowicie, nie będę w stanie uwierzyć w trwałość rządu, którego zadanie polega na utrzymywaniu w jedności czterdziestu różnych narodów rozrzuconych na powierzchni równej połowie Europy, na zapobieganiu rywalizacji między nimi, poskramianiu ich ambicji i tendencji do wzajemnego zwalczania się, na jednoczeniu ich niezależnej woli we wspólnym działaniu zmierzającym do tych samych celów.

Największym jednak niebezpieczeństwem wynikającym ze stałego wzrostu Unii jest nieustanne przemieszczanie się wewnątrz niej sił politycznych.

. . . . . .

W ciągu ostatnich czterdziestu lat liczba mieszkańców całych Stanów Zjednoczonych uległa niemal potrojeniu. Jednocześnie zaś liczba mieszkańców dorzecza Missisipi powiększyła się trzydzieści jeden razy.

Każdego dnia centrum władzy federalnej ulega przesunięciu. Przed czterdziestu laty większość obywateli Unii mieszkała nad brzegami morza, w okolicy dzisiejszego miasta Waszyngton, obecnie przesunęła się na zachód i na północ, i na pewno za dwadzieścia lat przekroczy Apallachy. Jeśli Unia będzie trwała, to dorzecze Missisipi dzięki swej płodności i rozległości stanie się bez wątpienia stałym centrum władzy federalnej. Za trzydzieści lub czterdzieści lat dorzecze Missisipi uzyska należną mu rangę. Łatwo można obliczyć, że wówczas liczba jego ludności będzie się miała do liczby ludności stanów nadatlantyckich jak czterdzieści do jedenastu. Jeszcze kilka lat, a stany, które założyły Unię, stracą wpływ na jej politykę, a w zgromadzeniach federalnych górę wezmą mieszkańcy dorzecza Missisipi.

To stałe ciążenie centrum władzy i wpływów federalnych w kierunku północno-zachodnim ujawnia się co dziesięć lat, kiedy po sporządzeniu powszechnego spisu ludności ustala się liczbę reprezentantów, których każdy stan ma prawo wysłać do Kongresu.

W 1790 roku Wirginia miała dziewiętnastu reprezentantów w Kongresie. Liczba ta wzrastała do 1813 roku, kiedy stan ten miał dwudziestu trzech reprezentantów. Od tego czasu zaczęła się zmniejszać. W 1833 było już tylko dwudziestu jeden reprezentantów. W tym samym czasie stan Nowy Jork przeżywał odwrotny proces. W 1790 miał w Kongresie dziesięciu reprezentantów, w 1813 — dwudziestu siedmiu, w 1823 — trzydziestu czterech, w 1833 — czterdziestu. Stan Ohio w 1803 roku miał tylko jednego reprezentanta, w 1833 — już dziewiętnastu.

Trudno jest wyobrazić sobie trwałą unię dwóch społeczeństw, z których jedno byłoby biedne i słabe, a drugie bogate i silne, nawet gdyby dowiedzione zostało, że siła i bogactwo jednego nie są przyczyną słabości i nędzy drugiego. Jeszcze trudniej jest utrzymać jedność w sytuacji, kiedy pierwsze traci siły, a drugie ich nabiera.

Szybki i nieproporcjonalny wzrost pewnych stanów zagraża niepodległości innych. Gdyby Nowy Jork, ze swoimi dwoma milionami mieszkańców i czterdziestoma reprezentantami, chciał decydować w Kongresie o prawach, to zapewne by mu się to udało. Ale jeśliby nawet potężniejsze stany nie próbowały gnębić słabszych, to niebezpieczeństwo nie przestałoby istnieć, ponieważ tkwi ono nie tylko w fakcie wykorzystywania możliwości, ale i w samej możliwości.

Słabi rzadko mają zaufanie do sprawiedliwości i rozumu silnych. Stany, które rozwijają się wolniej, skłonne są więc do nieufności i do zawiści. Stąd owo głębokie niezadowolenie i niejasny niepokój, dające się zauważyć w jednej części Unii, zjawisko tak kontrastujące z dobrobytem i powszechnym zaufaniem, które panują w drugiej. Myślę, że wroga postawa, jaką przyjęło Południe, wynika właśnie z tego.

Ludziom z Południa powinno najbardziej zależeć na zjednoczeniu, ponieważ to właśnie oni, pozostawieni samym sobie, najbardziej by ucierpieli. A jednak tylko oni grożą, iż wystąpią z federacji.

. . . . . .

Po rozważeniu przyczyn, które mogą skłonić Amerykanów do rozwiązania Unii, wypada zastanowić się nad tym, czy w wypadku przetrwania Unii rząd federalny będzie rozszerzał swój zakres działania, czy też go zawęży — stanie się silniejszy, czy też słabszy.

Amerykanie mają podstawy do obaw. Obserwując inne kraje widzą mianowicie, że suwerenna władza koncentruje się z czasem w rękach niewielkiej grupy ludzi. Obawiają się więc u siebie podobnego procesu. Sami politycy dzielą te obawy, a przynajmniej udają, iż je odczuwają, ponieważ w Ameryce, gdzie centralizacja nie jest popularna, najlepszym sposobem przypochlebienia się większości jest występowanie przeciwko domniemanym uzurpacjom władzy centralnej. Amerykanie nie dostrzegają faktu, iż w krajach, w których ujawnia się owa tendencja do centralizacji, istnieje tylko jedna społeczność, podczas gdy Unia jest federacją rozmaitych społeczności i ten jeden fakt wystarcza, by obalić wszelkie rozumowanie oparte na analogii. Wyznam, że uważam te obawy za najzupełniej urojone. Nie obawiam się, tak jak Amerykanie, skupiania się władzy w rękach Unii, sądzę natomiast, że władza rządu federalnego wyraźnie słabnie.

Aby to udowodnić, nie będę sięgał do przeszłości. Wystarczą fakty, które wydarzyły się w naszych czasach i których byłem świadkiem.

Jeżeli przyjrzeć się uważnie rzeczywistości Stanów Zjednoczonych, można w niej dostrzec dwie przeciwne tendencje, podobne dwóm prądom płynącym w przeciwnych kierunkach wewnątrz jednego koryta.

Unia istnieje czterdzieści pięć lat i czas uporał się z wieloma prowincjonalnymi uprzedzeniami, które kiedyś z nią wojowały. Osłabiły się uczucia patriotyczne wiążące Amerykanina z jego stanem. Różne części Unii, poznając się lepiej, stały się sobie bliższe. Poczta, ułatwiająca porozumiewanie się ludzi, dociera dziś w głąb puszczy, statki parowe umożliwiają komunikację między różnymi punktami wybrzeża. Nadzwyczaj szybka żegluga handlowa zapewnia dobrą komunikację rzeczną. Z tymi ułatwieniami, jakie dała Amerykanom natura oraz ich umiejętności, łączy się właściwa im niestałość pragnień, niepokój ducha oraz upodobanie do bogactwa, które to czynniki

nieustannie każą Amerykaninowi opuszczać dom i pozwalają mu nawiązywać liczne kontakty ze współobywatelami. Amerykanin przemierza swój kraj we wszystkich kierunkach i styka się z różnymi jego mieszkańcami. We Francji nie ma prowincji, której mieszkańcy równie dobrze znaliby siebie nawzajem jak trzynaście milionów ludzi żyjących w Stanach Zjednoczonych.

Krążąc po kraju Amerykanie mieszają się ze sobą i wzajemnie upodabniają w miarę zanikania różnic wynikłych z działania klimatu, z odmiennego pochodzenia i odmiennych instytucji. Każdego roku tysiące ludzi opuszcza Północ i rozprasza się po wszystkich częściach Unii. Przynoszą ze sobą swoją wiarę, swoje poglądy i swoje obyczaje, a ponieważ są bardziej oświeceni od ludzi, wśród których zamieszkali, biorą niebawem sprawy publiczne w swoje ręce i kształtują społeczeństwo w sposób dla siebie korzystny. Dzięki tej stałej emigracji z Północy na Południe nikną wszystkie prowincjonalne różnice i powstaje jeden charakter narodowy. Cywilizacja Północy wydaje się więc kształtować ów wspólny wzór, do którego stopniowo dopasowuje się reszta kraju.

Kontakty handlowe łączące poszczególne stany zacieśniają się w miarę postępów czynionych w Ameryce przez przemysł i Unia, oparta dotychczas na wspólnych poglądach, znajduje teraz oparcie we wspólnych zwyczajach.

Upływ czasu zaciera niezliczone fantastyczne obawy, które dręczyły wyobraźnię ludzi w 1789 roku. Władza federalna nie stała się władzą ciemięską, nie zniszczyła niepodległości stanów, nie doprowadziła federacji do monarchii. Unia nie przyczyniła się do uzależnienia małych stanów od dużych. Federacja nieustannie pomnaża swą ludność, bogactwo, siłę.

Jestem przekonany, że w naszych czasach Amerykanie mają mniej trudności z faktem istnienia federacji niż w 1789 roku i że obecnie jest wśród nich mniej przeciwników Unii niż kiedyś.

A jednak, jeśli uważnie przyjrzymy się historii Stanów Zjednoczonych w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu lat, przekonamy się, że władza federalna słabnie.

. . . . . .

Myślę jednak, że wciąż odległa jest chwila, w której władza federalna, niezdolna do obrony swojej własnej egzystencji i do zapewnienia krajowi pokoju, wygaśnie sama z siebie. Unia utrwaliła się już w obyczajach i Pragnieniach społeczeństwa — jej osiągnięcia są niewątpliwe, jej dobrodziejstwa widoczne. Kiedy Amerykanie spostrzegą, że słabość rządu federalnego zagraża istnieniu Unii, wówczas — nie wątpię — zrodzi się tendencja przeciwna, zmierzająca do przywrócenia mu siły.

Rząd Stanów Zjednoczonych jest bardziej niż którykolwiek ze znanych nam dotychczas rządów federalnych stworzony do działania. Dopóki więc

nie zostanie zaatakowany pośrednio przez opaczną interpretację praw, dopóki jego istota nie zostanie zasadniczo naruszona, dopóty zmiana opinii publicznej, kryzys wewnętrzny lub wojna będą mogły mu przywrócić całą niezbędną siłę.

Chciałem powiedzieć tylko tyle: wielu ludzi we Francji sądzi, że w Stanach Zjednoczonych istnieje silny nurt polityczny, popierający centralizację władzy w rękach prezydenta i Kongresu. Uważam, że rzuca się w oczy tendencja przeciwna. Starzejąc się, rząd federalny bynajmniej nie staje się silniejszy i nie zaczyna zagrażać suwerenności stanów — odwrotnie, słabnie z dnia na dzień i można mówić tylko o zagrożeniu suwerenności Unii. Tak wygląda dzień dzisiejszy. Co wyniknie z tej tendencji, jakie zdarzenia mogą ją powstrzymać, jakie mogą zwolnić lub przyspieszyć opisany przeze mnie proces? Przyszłość to okaże, ja nie pretenduję do rozwikłania jej zagadki.

O instytucjach republikańskich w Stanach Zjednoczonych. Jakie są szanse ich trwałości

Gdyby Unia się rozpadła, powstałaby tym samym możliwość wybuchu wojny między dziś zjednoczonymi stanami, a zatem i konieczność utrzymywania stałych armii oraz dyktatura podatkowa. Rozpad Unii zagroziłby więc istnieniu instytucji republikańskich.

Nie należy jednak utożsamiać przyszłości republiki z przyszłością Unii.

Istnienie Unii jest wynikiem przypadku i będzie ona trwała dopóty, dopóki pozwolą jej na to okoliczności, republika natomiast wydaje mi się naturalnym stanem politycznym Amerykanów. Jedynie dłuższe i uporczywe działanie tendencji przeciwnej mogłoby doprowadzić do zastąpienia republiki monarchią.

Istnienie Unii zawarte jest przede wszystkim w systemie prawnym, który ją powołał do życia. Jedna rewolucja, jedna zmiana kierunku ciążenia opinii publicznej może ją zniszczyć raz na zawsze. Istnienie republiki wsparte jest na silniejszych podstawach.

Zasada republikańska pojmowana jest w Stanach Zjednoczonych jako powolne i spokojne samokształtowanie się społeczeństwa, jako regularny i faktycznie oparty na oświeconej woli ludu stan rzeczy, jako rządy kompromisu, którego decyzje dojrzewają powoli, rozważane są długo i wykonywane z chwilą osiągnięcia dojrzałości.

W Stanach Zjednoczonych republikanie przywiązują dużą wagę do obyczajów, szanują religię, uznają prawa. Wyznają pogląd, iż społeczeństwo powinno być równie moralne, religijne i umiarkowane jak wolne. W Stanach Zjednoczonych mianem republiki określa się spokojne panowanie większości, której pozostawiono czas na to, by mogła poznać samą siebie oraz zdobyć pewność własnego istnienia i stać się jedynym źródłem wszystkich władz.

Sama większość nie jest jednak wszechwładna. Ponad nią w rzeczywistości moralnej panuje człowieczeństwo, sprawiedliwość i rozum, a w rzeczywistości politycznej — prawa obywatelskie. Większość uznaje te ograniczenia i jeżeli je przekracza, to dzieje się tak, ponieważ podobnie jak ludzie posiada namiętności i może czynić zło będąc świadomą tego, gdzie leży dobro.

W Europie dokonaliśmy jednakowoż zadziwiających odkryć. Republika, wedle niektórych naszych myślicieli, nie polega na panowaniu większości, jak dotąd sądzono, lecz na panowaniu tych, którzy uważają się za większość. Nie lud sprawuje władzę w takim ustroju, lecz ci, którzy wiedzą, co jest dobre dla ludu — oto szczęśliwe doprawdy rozróżnienie, które pozwala działać w imię narodu bez porozumiewania się z nim oraz domagać się jego wdzięczności poniewierając jego prawami. Zdaniem tych myślicieli rząd republikański jest jedynym, który ma prawo czynić, co tylko zapragnie, i pogardzać wszystkim, co ludzie dotąd szanowali — od najwyższego prawa moralnego po zwyczajne zasady zdrowego rozsądku.

Dotąd panowało przekonanie, że despotyzm jest wstrętny niezależnie od tego, w jakie szaty się przystraja. W naszych czasach dokonano jednak odkrycia, że istnieją prawowite tyranie oraz święta niesprawiedliwość, pod warunkiem, by rządziła w imieniu ludu.

Amerykanie pojmują republikę w sposób, który szczególnie ułatwia im praktykowanie zasad tego ustroju oraz zapewnia mu trwałość. Nawet jeśli praktyka ustroju republikańskiego bywa u nich zła, to przynajmniej jego teoria jest dobra i lud zawsze w końcu wedle niej postępuje.

W Ameryce stworzenie scentralizowanej administracji było niemożliwe na początku istnienia stanów, a i dziś byłoby jeszcze bardzo trudne. Ludzie rozproszeni są tam na zbyt wielkiej przestrzeni i dzieli ich zbyt wiele naturalnych przeszkód, by jeden człowiek mógł podjąć się decydowania o szczegółach ich życia. Ameryka jest więc zdecydowanie krajem rządów prowincjonalnych i gminnych.

Obok tej przyczyny naturalnej, która miała jednakowe znaczenie dla wszystkich Europejczyków osiedlających się w Nowym Świecie, były i inne, szczególnie charakterystyczne dla Angloamerykanów.

W czasach gdy w Ameryce Północnej zostały założone pierwsze kolonie, do angielskich praw i obyczajów przeniknęły już zasady wolności gminnej. Angielscy emigranci zastosowali je u siebie nie tylko jako konieczność, ale i jako ideę, której dobrodziejstwa bardzo dobrze znali.

Śledziliśmy już poprzednio proces zakładania kolonii. W każdej prowincji i w każdej części kraju osiedlały się grupy ludzi obce sobie i przybywające do Ameryki w odmiennych celach.

Angloamerykanie od początku byli zatem podzieleni na wiele małych, odrębnych społeczności i nie posiadali wspólnej stolicy. Każda z tych ma-

łych społeczności musiała sama zajmować się wszystkimi swoimi sprawami, ponieważ nie było żadnej władzy centralnej.

Do niezwykłego rozwoju gminnych i prowincjonalnych swobód przyczyniły się więc w Ameryce warunki naturalne kraju, okoliczności założenia angielskich kolonii oraz obyczaje pierwszych emigrantów.

W Ameryce wszystkie instytucje są w swojej istocie republikańskie. Aby obalić prawa decydujące o ustroju republikańskim Ameryki, trzeba by właściwie obalić wszystkie jej prawa.

Stronnictwu politycznemu, które zechciałoby wprowadzić w Ameryce monarchię, trudniej byłoby zrealizować swoje cele niż stronnictwu, które we Francji chciałoby od zaraz wprowadzić republikę. Monarchia w Ameryce nie znajdowałaby żadnego oparcia w istniejących prawach i musiałaby działać wśród republikańskich instytucji.

Zasady systemu monarchicznego z wielkim trudem przenikałyby również do amerykańskich obyczajów.

Dogmat suwerenności ludu nie jest bynajmniej w Stanach Zjednoczonych abstrakcyjną teorią, obcą przyjętym zwyczajom oraz powszechnie panującym opiniom. Jest on raczej ostatnim ogniwem tego łańcucha idei, który jakby związał cały świat angloamerykański. Opatrzność dała każdemu człowiekowi tyle rozumu, ile mu trzeba, by mógł decydować o własnych sprawach. Oto wielka maksyma, na której w Stanach Zjednoczonych opiera się życie społeczne i polityczne. Ojciec rodziny stosuje ją w wychowaniu dzieci, pan — w traktowaniu sług, gmina — wobec podległych jej obywateli, hrabstwo — wobec gmin, stan — wobec swoich hrabstw, Unia — wobec tworzących ją stanów. Maksyma ta, obowiązująca cały naród, staje się jednoznaczna z dogmatem suwerenności ludu.

W Stanach Zjednoczonych zasada, która legła u podstaw republiki, dominuje zatem w większości indywidualnych działań. Ustanowiona w dziedzinie prawa, zasada republikańska przenika więc jednocześnie do poglądów i do wszystkich obyczajów Amerykanów. Zmiana praw musiałaby zatem pociągnąć za sobą całkowitą zmianę ich samych. W Stanach Zjednoczonych nawet religia wyznawana przez większość obywateli ma republikański charakter: prawdy wiary powierza indywidualnemu rozumowi, podobnie jak polityka zdrowemu rozsądkowi wszystkich powierza dbałość o sprawy doczesne. Religia pozwala, by każdy szukał własnej drogi zbawienia, podobnie jak prawo daje każdemu obywatelowi szansę wyboru własnego rządu.

Tylko długotrwałe wydarzenia o jednolitej tendencji mogłyby doprowadzić w Ameryce do tego, by istniejący zespół obyczajów, opinii i praw został zastąpiony przez inny, jemu przeciwny.

Jeśli zasady republikańskie mają w Ameryce upaść, może to nastąpić jedynie w wyniku długotrwałego oddziaływania na społeczeństwo tendencji przeciwnej. Wielokrotnie będą się one odradzały, zanim przepadną ostatecz-

nie. Bezpowrotnie przepadną zaś dopiero wtedy, gdy miejsce dzisiejszego społeczeństwa amerykańskiego zajmie jakieś całkowicie odmienne społeczeństwo. Otóż nic nie każe spodziewać się podobnej rewolucji i żadne znaki jej nie zapowiadają.

Tym, co najbardziej zdumiewa w Stanach Zjednoczonych podróżnika, jest nieustanne i burzliwe poruszenie panujące w życiu publicznym. Prawa ulegają tu stałym zmianom i na pierwszy rzut oka wydaje się niemożliwe, by lud o tak nieustabilizowanych pragnieniach nie miał wkrótce zastąpić aktualnej formy ustroju jakąś formą całkowicie nową. Obawy te są przedwczesne.

Należy odróżnić dwa rodzaje niestabilności instytucji politycznych. Niestabilność pierwszego rodzaju dotyczy praw drugorzędnych i może długo panować w ramach trwałej organizacji społecznej. Niestabilność drugiego rodzaju podważa natomiast nieustannie same podstawy konstytucji i pierwsze zasady prawa. Jej konsekwencją są zawsze zamieszki i rewolucje, a naród, który cierpi jej skutki, narażony jest na gwałtowne zmiany. Doświadczenie uczy, że te dwa rodzaje niestabilności prawodawczej nie są ze sobą związane. Zdarzało się, że występowały jednocześnie, zdarzało się również, że występowały niezależnie. W Ameryce istnieje tylko niestabilność pierwszego rodzaju — Amerykanie często zmieniają prawa, ale podstawy konstytucji nie są u nich naruszane.

Ustrój republikański obowiązuje w Ameryce tak, jak we Francji Ludwika XIV obowiązywał ustrój monarchiczny. Ówcześni Francuzi nie tylko byli zwolennikami monarchii, ale również nie wyobrażali sobie, by jakikolwiek inny ustrój mógł ją zastąpić. Uważali ją za rzecz równie naturalną jak bieg słońca po niebie i następowanie po sobie pór roku. Władza królewska nie miała tam ani obrońców, ani przeciwników.

Amerykanie tak właśnie przyjmują republikę — bez walk, bez sprzeciwów, bez dowodów, na mocy milczącej zgody i czegoś w rodzaju consensus universalis.

Sądzę jednakowoż, że zmieniając tak często formy administracji, Amerykanie podważają przyszłość rządów republikańskich.

Można żywić obawy, że ludzie nieustannie skrępowani w swoich poczynaniach przez zmienność praw uznają w końcu republikę za niewygodny sposób życia w społeczeństwie. Zło wynikające z nietrwałości drugorzędnych praw może wówczas zagrozić istnieniu praw podstawowych, a więc pośrednio doprowadzić do rewolucji. Wszelako przez długi czas nie ma jeszcze powodu się tego obawiać.

Już teraz jednak można przewidzieć, że odchodząc od ustroju republikańskiego Amerykanie stworzyliby system despotyczny, a monarchia mogłaby tu stanowić jedynie etap przejściowy. Montesquieu pisał, iż najbardziej despotyczna jest taka władza, która następuje po republice, jako że władza, którą — nie określając ściśle jej granic — powierzano przedtem wybieralnemu

urzędnikowi, dostaje się teraz w ręce dziedzicznego przywódcy. Dotyczy to wszystkich ustrojów, w szczególności zaś republik demokratycznych. Urzędnicy w Stanach Zjednoczonych, jako wybierani nie przez jedną warstwę obywateli, ale przez większość, reprezentują bezpośrednio namiętności tłumu i są odeń całkowicie uzależnieni. Nie budzą więc ani nienawiści, ani strachu. Mówiłem już o tym, w jak niewielkim stopniu zadbano o ograniczenie ich zakresu władzy i jak wiele pozostawiono im swobody. Taki porządek rzeczy wytworzył nawyki, które mogą być trwalsze od niego samego. Amerykański urzędnik zachowa władzę o nie określonych granicach, przestając ponosić za nią odpowiedzialność. Trudno przewidzieć, jak daleko w tej sytuacji może posunąć się tyrania.

Niektórzy oczekują, że w Ameryce powstanie arystokracja, a nawet próbują dokładnie przewidzieć, kiedy zdobędzie ona władzę.

Powtarzam raz jeszcze: obecny kierunek rozwoju społeczeństwa amerykańskiego wydaje mi się coraz bardziej demokratyczny.

Nie powiedziałbym z całą pewnością, że nigdy nie nadejdzie dzień, w którym Amerykanie postanowią ograniczyć zakres praw obywatelskich, a nawet znieść je na korzyść uprawnień jednego człowieka. Nie wierzę jednak, by mieli kiedykolwiek je przyznać jednej warstwie obywateli, czyli — innymi słowy — stworzyć arystokrację.

Warstwa arystokratyczna składa się z pewnej liczby obywateli, którzy żyjąc obok masy ludu są jednak na stałe wyniesieni ponad nią, których można dosięgnąć, ale nie można uderzyć, z którymi żyje się wspólnie, ale z którymi nie można się utożsamić.

Tego rodzaju poddaństwo jest wielce sprzeczne z ludzką naturą i odruchami ludzkiego serca. O ile tylko będzie to w ich mocy, ludzie zawsze będą woleli despotyczną władzę monarchy od stałych rządów arystokracji.

Trwałość rządów arystokratycznych wymaga uczynienia z nierówności zasady oraz uprawomocnienia tej zasady, która zostaje potem wprowadzona zarówno do rodu, jak i do społeczeństwa. Wszystko to jest tak przeciwne naturalnemu poczuciu sprawiedliwości, że trzeba użyć siły, by ludzi skłonić do przyjęcia tej zasady.

Myślę, że od zarania ludzkiej historii nie było ani jednego społeczeństwa, które własnym wysiłkiem i z własnej woli powołałoby do życia arystokrację. Średniowieczna arystokracja powstawała zawsze w wyniku podboju. Zwycięzca zostawał szlachcicem, zwyciężony — poddanym. Nierówność wprowadzana była przemocą, a samoistnie trwała i przenikała w naturalny sposób do praw dopiero wtedy, kiedy ustaliła się już w obyczajach.

Znamy społeczeństwa, które w rezultacie wydarzeń poprzedzających ich istnienie narodziły się jako arystokratyczne i które stopniowo się potem demokratyzowały. Tak było z Rzymianami i tak było z barbarzyńcami, którzy przyszli po nich. Natomiast zjawiskiem w dziejach zupełnie nowym byłoby

społeczeństwo, które wyszedłszy od stadium cywilizacji i demokracji, stopniowo tworzyłoby nierówność możliwości i w końcu ustanowiło nienaruszalne przywileje oraz zamknięte kasty.

Nic nie wskazuje na to, by Ameryka pierwsza miała dać taki przykład.

. . . . . .

KONKLUZJA

Zbliżam się do kresu moich rozważań. Zajmując się przyszłymi losami Stanów Zjednoczonych usiłowałem dotąd dzielić przedmiot moich badań na części, by móc precyzyjnie go opisywać.

Chciałbym teraz spojrzeć na całość z jednego punktu widzenia. To, co powiem, będzie mniej szczegółowe, ale bardziej pewne. W moich rozważaniach będzie mniej drobiazgowych rozróżnień, ale więcej jasności co do ogólnych zjawisk. Będę jak podróżnik, który właśnie opuścił wielkie miasto i teraz wspina się na pobliskie wzgórze. W miarę jak się oddala od miasta, poszczególni ludzie znikają mu z oczu, domy zlewają się w jeden kształt, nie widać już miejskich placów, ledwie można odróżnić bieg ulic, lecz dopiero teraz wyraźnie widać kontury miasta i jego sylwetkę. Wydaje mi się, że tak właśnie ogarniam w tej chwili całą przyszłość rasy angielskiej w Nowym Świecie. Szczegóły rozległego obrazu nikną w cieniu, ale obejmuję jego całość i jasno go pojmuję.

Obecne terytorium Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej stanowi mniej więcej jedną dwudziestą wszystkich zamieszkanych lądów. Obszar ten jest rozległy, lecz rasa angloamerykańska nie ograniczy się do niego — już dzisiaj rozprzestrzenia się na dalsze tereny.

Był czas, w którym i my mieliśmy szansę stworzenia na amerykańskich pustkowiach wielkiego francuskiego społeczeństwa i dzielenia z Anglikami przyszłości Nowego Świata. Francja posiadała niegdyś w Ameryce Północnej terytorium równe niemal całej Europie. Trzy największe rzeki kontynentu płynęły wówczas po ziemi, na której panowały nasze prawa. Plemiona indiańskie zamieszkujące terytorium zamknięte między ujściem rzeki Św. Wawrzyńca a deltą Missisipi słyszały tylko nasz język, a wszystkie europejskie kolonie położone na tej olbrzymiej przestrzeni nazwane zostały na pamiątkę ojczyzny i nosiły imiona drogie i bliskie Francuzom: Louisbourg, Montmorency, Duquesne, Saint-Louis, Vincennes, La Nouvelle-Orléans.

Wszelako zbieg okoliczności, na których opisanie nie ma tutaj miejsca, pozbawił nas tego wspaniałego dziedzictwa. Francuzi znikali niebawem wszędzie tam, gdzie byli nieliczni i źle im się wiodło. Reszta skupiła się na niewielkiej przestrzeni i zmuszona była poddać się cudzym prawom. Czterysta tysięcy Francuzów mieszkających dziś w Kanadzie to pozostałość dawnego ludu, który zniknął pod naporem nowego narodu. Wokół nich wzrasta nieustannie obca ludność, otacza ich ze wszystkich stron, przenika do społeczności dawnych panów tego kraju, zdobywa przewagę w ich miastach i zniekształca ich język. Jest to taka sama ludność jak w Stanach Zjednoczo-

nych. Dlatego właśnie powiadam, że rasa angielska nie zatrzymuje się w granicach Unii, ale wykracza poza nie daleko na północny wschód.

Na północnym zachodzie istnieją tylko nieliczne i drobne kolonie rosyjskie, natomiast na południowym zachodzie granica meksykańska stanowi zaporę dla inwazji Angloamerykanów.

A więc właściwie tylko dwie rywalizujące rasy dzielą między siebie Nowy Świat: Hiszpanie i Anglicy.

Granicę oddzielającą jednych od drugich określił odpowiedni traktat. Choć jego warunki są korzystne dla Angloamerykanów, nie wątpię, iż wkrótce go naruszą.

Po meksykańskiej stronie granicy leżą rozległe tereny pozbawione jeszcze mieszkańców. Amerykanie dotrą do tych ziem, zanim uda się to ich właścicielom. Amerykanie zawłaszczą ziemię i stworzą tam społeczeństwo, a kiedy na pustkowiu pojawią się wreszcie prawowici właściciele — zastaną uprawioną ziemię i obcych, którzy spokojnie osiedlili się na ich dziedzictwie.

W Nowym Świecie ziemia należy do tego, kto pierwszy ją będzie uprawiał — bogactwo jest tam nagrodą w wyścigu.

Nawet zasiedlone już ziemie niełatwo obronią się przed inwazją.

Mówiłem już wcześniej o Teksasie. Mieszkańcy Stanów Zjednoczonych stale tam docierają, nabywają ziemię i podporządkowując się miejscowym prawom, wprowadzają swoje obyczaje i swój język. Na razie Teksas należy jeszcze do Meksyku, lecz wkrótce nie będzie w nim Meksykanów. Podobnie dzieje się wszędzie tam, gdzie Angloamerykanie spotkali się z ludnością innego pochodzenia.

W Nowym Świecie rasa angielska uzyskała niewątpliwie wielką przewagę nad wszystkimi innymi rasami europejskimi. Przewyższa je pod względem cywilizacji, przedsiębiorczości i siły. Dopóki będzie natrafiała wyłącznie na bezludne lub słabo zaludnione tereny, dopóki nie napotka na swej drodze większych skupisk ludzkich, dopóty będzie się swobodnie rozprzestrzeniała. Nie zatrzyma się na granicach określonych przez umowy, ale będzie przekraczała te sztuczne bariery.

Usytuowanie geograficzne w ogromnym stopniu ułatwia ten dynamiczny rozwój rasy angielskiej w Nowym Świecie.

Poza północnymi granicami Stanów Zjednoczonych rozciąga się kraina lodów, zaś poza granicami południowymi panują równikowe upały. Amerykańscy Anglicy zajmują więc część kontynentu położoną w strefie umiarkowanej, najbardziej nadającą się do zamieszkania.

Niesłusznie wyobrażamy sobie, że nadzwyczajny przyrost ludności Stanów Zjednoczonych rozpoczął się dopiero z chwilą uzyskania niepodległości. W epoce kolonialnej liczba ludności wzrastała równie szybko jak za naszych czasów i podwajała się mniej więcej co dwadzieścia dwa lata. Wszelako mieszkańców Ameryki liczono wówczas na tysiące, a dzisiaj liczymy ich

na miliony. Zjawisko, które przed stu laty uchodziło naszej uwagi, dzisiaj wszystkich zdumiewa.

Anglicy kanadyjscy, którzy w dalszym ciągu są wierni królowi, równie szybko wzrastają w liczbę jak Anglicy, którzy przyjęli rządy republikańskie.

Nawet w ciągu ośmiu lat wojny o niepodległość przyrost ludności następował zgodnie z powyższą prawidłowością.

Choć na zachodnich rubieżach Stanów Zjednoczonych żyły jeszcze duże indiańskie plemiona sprzymierzone z Anglikami, emigracja na zachód nigdy nie słabła. Podczas gdy nieprzyjaciel pustoszył wybrzeża Atlantyku, Kentucky, zachodnie połacie Pensylwanii, stany Vermont i Maine stale się zapełniały. Wzrostowi ludności nie przeszkodził również rozgardiasz, jaki panował po wojnie. Nie stanął on także na zawadzie emigracji na zachód. Zatem ani odmienność praw, ani wojna, ani pokój, ani ład, ani anarchia nie wpływały wyraźniej na stały rozwój Angloamerykanów.

Jest to zrozumiałe: nie ma wydarzeń na tyle powszechnych, by wywierały wpływ na życie we wszystkich rejonach tak ogromnego terytorium. Zawsze pozostaje część kraju, w której łatwo można schronić się przed nieszczęściami gnębiącymi inne prowincje, i niezależnie od rozmiarów zła w wielkim kraju zawsze znajdą się jeszcze potężniejsze środki zaradcze.

Nic nie może powstrzymać dynamicznego rozwoju rasy angielskiej w Nowym Świecie. Rozbicie Unii, prowadzące być może do wojny domowej, zniesienie republiki, prowadzące do tyranii, mogłyby ją osłabić, ale nie zdołają jej przeszkodzić w wypełnianiu swego przeznaczenia. Nie istnieje na świecie siła zdolna zabronić emigrantom wstępu na urodzajne, dziewicze ziemie, otwarte dla przemyślnej woli człowieka i dające schronienie ludziom cierpiącym niedolę. Żadne przyszłe wydarzenia nie pozbawią Amerykanów ich klimatu, olbrzymich jezior, wielkich rzek i urodzajnej ziemi. Ani złe prawa, ani rewolucje, ani anarchia nie potrafią zniszczyć ich umiłowania dobrobytu i osłabić przedsiębiorczego ducha, tak charakterystycznego dla tej rasy. Nic nie zdoła również odebrać im oświecenia.

Jedno jest pewne w owej niepewnej skądinąd przyszłości: w okresie czasu, który mówiąc o egzystencji społeczeństw możemy nazwać niedługim, Angloamerykanie sami zaludnią olbrzymi teren rozciągający się od lodów polarnych do tropików i od Oceanu Atlantyckiego do Pacyfiku.

Sądzę, że terytorium, które zajmie kiedyś rasa angloamerykańska, będzie równe trzem czwartym Europy. Klimat Ameryki Północnej jest w sumie lepszy od klimatu europejskiego, a jej warunki naturalne korzystniejsze. Ameryka bez wątpienia dorówna nam w przyszłości pod względem liczby mieszkańców. W Europie, podzielonej między tyle narodów, narażonej na nieustanne wojny i mającej za sobą epokę średniowiecznego barbarzyństwa, na milę kwadratową przypada czterystu dziesięciu mieszkańców. Cóż mogłoby przeszkodzić Stanom Zjednoczonym w tym, by kiedyś dorównały Europie?

Wiele stuleci przeminie, zanim rozmaite odgałęzienia angielskiej rasy zamieszkującej Amerykę utracą wspólne cechy. Nie sposób przewidzieć epoki, w której człowiek wprowadzi w Nowym Świecie trwałą nierówność możliwości.

Niezależnie więc od różnic, jakie pokój lub wojna, wolność lub tyrania, dobrobyt lub nędza stworzą między różnymi szczepami angloamerykańskiej rodziny, zachowają one podobny układ społeczny i będą miały podobne idee i obyczaje, które są jego następstwem.

Sama więź religijna wystarczyła, by w średniowieczu w granicach tej samej cywilizacji połączyć rozmaite rasy zamieszkujące Europę. Anglików z Nowego Świata łączy tysiąc innych więzów, żyją zaś w epoce, która jest epoką równości.

Średniowiecze było epoką podziałów. Każdy naród, każda prowincja, każde miasto, każdy ród starały się zachować całkowitą odrębność. W naszych czasach występuje tendencja przeciwna — społeczeństwa wydają się zmierzać do jedności. Życie umysłowe spaja ze sobą najodleglejsze części ziemi, ludzie poznają się szybko i wiedzą, co się dzieje w najbardziej oddalonym zakątku świata. Europejczycy i ich potomkowie w Nowym Świecie, choć oddziela ich ocean, mają dzisiaj ze sobą więcej wspólnego niż niektóre miasta w XIII wieku, które przedzielała rzeka.

Skoro dążność do upodobnienia zbliża nawet obce narody, tym trudniej sobie wyobrazić, by przedstawiciele tego samego narodu stali się sobie obcy.

Nadejdą więc czasy, kiedy w Ameryce Północnej będzie żyło sto pięćdziesiąt milionów równych sobie nawzajem ludzi, należących do jednej rodziny. Wspólne będzie ich pochodzenie, wspólna cywilizacja, wspólny język, religia, zwyczaje i obyczaje. Ten sam ruch umysłowy będzie obejmował wszystkich. Cała reszta jest wątpliwa, ale to jedno można powiedzieć z całą pewnością. Jesteśmy świadkami całkiem nowego zjawiska w świecie i nawet wyobraźnia nie potrafi objąć jego znaczenia.

Żyją dzisiaj na ziemi dwa wielkie narody, które — choć odmienne były ich początki — zdają się zmierzać ku jednym celom. Są to Rosjanie i Anglo-amerykanie.

Oba rozwinęły się niepostrzeżenie i podczas gdy uwaga świata zaprzątnięta była czym innym, nagle znalazły się w pierwszym szeregu narodów. Ludzkość dowiedziała się o ich narodzinach niemal w tej samej chwili, w której dowiedziała się o ich potędze.

Rzec by można, że wszystkie inne narody osiągnęły już to, co miały osiągnąć, podczas gdy te dwa ciągle pną się w górę. Wszystkie inne narody zatrzymały się już w miejscu lub rozwijają się z największym wysiłkiem — one zaś lekko i pospiesznie kroczą ku potędze, której granic umysł ludzki nie potrafi przewidzieć...

Ich punkty wyjścia są różne i odmienne są ich drogi, lecz na mocy tajemnych planów Opatrzności zdają się powołani do tego, by kiedyś w rękach każdego z nich znalazły się losy połowy świata.

TOM DRUGI

PRZEDMOWA

Demokratyczny układ społeczny Amerykanów stał się źródłem określonych praw oraz określonych politycznych obyczajów.

Co więcej, ten sam układ społeczny obudził w amerykańskim społeczeństwie wiele uczuć i narodził wiele poglądów nie znanych w starych, arystokratycznych społeczeństwach Europy. Zburzył albo przekształcił niegdyś istniejące stosunki, ustanawiając nowe. Zmieniło się nie tylko oblicze rzeczywistości politycznej, ale i charakter życia społecznego.

Rzeczywistością polityczną Ameryki zajmowałem się w opublikowanej pięć lat temu książce o demokracji amerykańskiej. Przedmiotem niniejszej pracy jest życie społeczne Stanów Zjednoczonych. Obie te części uzupełniają się nawzajem tworząc razem jedno dzieło.

Chcę zawczasu ostrzec czytelnika przed nieporozumieniem, którego należałoby uniknąć.

Widząc, jak wiele znaczenia przypisuję zjawisku równości, czytelnik mógłby nabrać przekonania, że uważam równość za jedyną przyczynę wszystkiego, co dzieje się w naszych czasach. Posądziłby mnie tym samym o przyjęcie zbyt wąskiego punktu widzenia.

Funkcjonuje dzisiaj mnóstwo poglądów, uczuć i instynktów, które zawdzięczają swoje istnienie zupełnie innym zjawiskom, niezależnym od zjawiska równości, a nawet sprzecznym z nim. Na przykładzie Stanów Zjednoczonych dałoby się łatwo pokazać, że na sposób myślenia i odczuwania mieszkańców tego kraju ogromny wpływ wywarły i dalej wywierają warunki naturalne, pochodzenie ludności, religia pierwszych założycieli kolonii, ich oświecenie oraz wcześniej nabyte zwyczaje. Także i w Europie bardzo wiele zjawisk można wytłumaczyć przyczynami nie mniej odrębnymi od równości, choć odmiennymi niż w Ameryce.

Zdaję sobie sprawę z istnienia oraz roli wszystkich tych pozostałych przyczyn, lecz się nimi nie zajmuję. Nie mam zamiaru rozważać źródeł wszystkich naszych skłonności i poglądów — chcę tylko pokazać, w jakiej mierze przekształciło je pojawienie się równości.

Czytelnikowi może wydać się dziwne, że żywiąc głębokie przekonanie, iż rewolucja demokratyczna, której jesteśmy świadkami, jest faktem nieodpartym, a walka z nią — ani pożądana, ani też rozsądna, nieraz tak surowo oceniam społeczeństwa demokratyczne przez tę rewolucję stworzone.

Odpowiem po prostu, iż właśnie dlatego, że nie jestem przeciwnikiem demokracji, chcę być wobec niej szczery.

Ludzie nie przyjmują prawdy z ust swoich wrogów, a przyjaciele jej skąpią — dlatego ja postanowiłem ją powiedzieć.

Wiem, że wielu ludzi skwapliwie podejmie się głosić dobro, jakie równość przynosi ludzkości, ale mało kto ośmieli się zwrócić zawczasu uwagę na niebezpieczeństwa, jakie nam z jej strony zagrażają. Dlatego właśnie przede wszystkim na nie skierowałem swoją uwagę i ponieważ mam wrażenie, że je rozpoznałem, uznałem, iż tchórzostwem byłoby je przemilczeć.

Mam nadzieję, że ta druga książka odznacza się taką samą bezstronnością, jaka cechowała pierwszą. Obcując ze sprzecznymi poglądami politycznymi dzielącymi dziś ludzi, starałem się chwilowo zapomnieć o sympatii, jaką odczuwam dla niektórych z nich, oraz o odruchach niechęci, jakie budzą we mnie inne. Niech mnie publicznie oskarży ten, kto napotka w mojej książce bodaj jedno zdanie mające za cel wychwalanie któregokolwiek z dawnych wielkich francuskich stronnictw politycznych lub którąkolwiek z małych frakcji, jakie dzisiaj sieją we Francji niepokój.

Podjąłem temat ogromny, obejmujący większość uczuć i idei powstałych dzięki zmienionemu obliczu świata. Temat taki z pewnością przerasta moje siły i rozważając go nie osiągnąłem rezultatów, które by mnie zadowoliły.

Jeżeli jednak nie zdołałem osiągnąć celu, czytelnicy oddadzą mi przynajmniej tę sprawiedliwość, iż duch, w jakim podjąłem i prowadziłem moje dzieło, dawał wszelkie szanse powodzenia.

Część pierwsza
WPŁYW DEMOKRACJI NA ŻYCIE UMYSŁOWE W STANACH ZJEDNOCZONYCH

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O metodzie filozoficznej Amerykanów

Myślę, że w całym świecie cywilizowanym nie ma kraju, w którym mniej zajmowano by się filozofią niż w Stanach Zjednoczonych.

Amerykanie nie mają własnej szkoły filozoficznej i niewiele się przejmują sporami filozoficznymi Europy. Europejskie kierunki znają zaledwie z nazwy.

Łatwo wszak zauważyć, że niemal wszyscy mieszkańcy Stanów Zjednoczonych myślą w ten sam sposób i wedle tych samych zasad. Oznacza to, iż posiadają pewną wspólną wszystkim metodę filozoficzną, choć nie zadali sobie nigdy trudu, by określić jej reguły.

A oto podstawowe cechy charakteryzujące to, co nazwałbym metodą filozoficzną Amerykanów: unikanie myślenia systemowego, skrępowanego przez obyczaj, przez maksymy rodowe, poglądy klasowe oraz — do pewnego stopnia — przez narodowe przesądy; pojmowanie tradycji wyłącznie jako źródła informacji, a teraźniejszości jako pożytecznego doświadczenia pozwalającego w przyszłości postąpić inaczej i lepiej; poszukiwanie przyczyn zjawisk na własną rękę, zmierzanie do rezultatu bez popadania w niewolę środków; odrzucanie form na rzecz sięgnięcia do istoty.

Poszukując dalej cechy głównej, do której można sprowadzić wszystkie pozostałe, dochodzę do przekonania, że w większości operacji umysłowych każdy Amerykanin odwołuje się wyłącznie do indywidualnej pracy własnego rozumu.

Ameryka jest więc krajem, w którym najmniej się filozofuje i najlepiej przestrzega wskazań Kartezjusza. Nie powinno to nikogo dziwić.

Amerykanie nie czytają dzieł Kartezjusza, ponieważ ich układ społeczny nie skłania ich do filozoficznych spekulacji, ale z drugiej strony stosują jego zasady, albowiem ten sam układ społeczny usposabia umysły do ich przyjęcia.

Stały ruch panujący w demokratycznym społeczeństwie powoduje, że więzy łączące pokolenia rozluźniają się lub zrywają, ludzie zaś łatwo gubią ślad, którym posuwała się myśl przodków, bądź wcale nie starają się nań trafić.

Ludzie żyjący w takim społeczeństwie nie zwykli również wzorować swych przekonań na poglądach warstwy, do której należą, ponieważ właściwie nie ma tam klas społecznych, te zaś, które istnieją, złożone są z tak

zmiennych elementów, że zbiorowość nie jest w stanie wywierać rzeczywistego wpływu na swych przedstawicieli.

Co do wpływu, jaki umysł jednego człowieka zdolny jest wywierać na inne umysły, jest on nieuchronnie ograniczony w kraju, gdzie obywatele stali się podobni i obserwują siebie z bliska; i nie znajdując u nikogo oznak wielkości i niezaprzeczonej wyższości, na każdym kroku zmuszeni są odwoływać się do własnego rozumu jako do najwyraźniejszego i najbliższego źródła prawdy. Nie oznacza to wyłącznie braku zaufania do określonych ludzi, ale dowodzi również, że nie ma tam zwyczaju wierzyć komukolwiek na słowo.

Każdy człowiek zamyka się więc w kręgu własnych myśli i stamtąd zamierza osądzać świat.

Nawyk samodzielnego ustanawiania reguł osądu wytwarza u Amerykanów inne jeszcze zwyczaje intelektualne. Skoro widzą, że udaje im się samodzielnie rozwiązać wszystkie małe problemy praktyczne podsuwane przez życie, wyciągają z tego prosty wniosek, że wszystko w świecie da się wytłumaczyć i że żaden problem nie przekracza możliwości rozumu.

Dlatego chętnie zaprzeczają temu, czego nie mogą zrozumieć; niechętnie wierzą w rzeczy nadzwyczajne i czują nieprzezwyciężoną niemal odrazę do rzeczy nadprzyrodzonych.

Ponieważ mają zwyczaj odwoływać się do własnego świadectwa, lubią mieć wyraźnie przed oczami przedmiot, który ich zaprząta. Pozbawiają go więc, na ile to możliwe, wszelkich osłonek, usuwają wszystko, co ich od niego dzieli, i wszystko, co go ukrywa przed ich wzrokiem, po to by widzieć go z bliska i w pełnym świetle. Takie nastawienie umysłu powoduje u nich niechęć do wszelkich form, które uważają za zbędną i niewygodną przeszkodę dzielącą ich od prawdy.

Amerykanie nie mieli więc potrzeby czerpać metody filozoficznej z książek, albowiem znaleźli ją w sobie. Podobny proces miał miejsce w Europie.

Metoda ta powstała i rozpowszechniła się w Europie, dopiero w miarę jak ludzie stawali się równi i upodabniali się do siebie. Zastanówmy się chwilę nad dziejami tej przemiany.

W XVI wieku twórcy reformacji podporządkowują indywidualnemu rozumowi niektóre dogmaty dawnej wiary, ale w dalszym ciągu niedopuszczalna jest dyskusja nad pozostałymi. W XVII wieku Bacon w dziedzinie nauk przyrodniczych, Kartezjusz zaś w dziedzinie ścisłej filozofii, znoszą zastane formuły, niszczą siłę tradycji i obalają autorytet scholastycznych szkół.

Uogólniając tę metodę filozofowie XVIII wieku poddają indywidualnemu osądowi każdego człowieka przedmiot wszystkich jego wierzeń.

Któż nie zauważy, że Luter, Kartezjusz i Wolter posłużyli się tą samą metodą i że różni ich wyłącznie to, jak szeroki zalecali czynić z niej użytek?

Dlaczego twórcy reformacji ograniczali się tak ściśle do kręgu idei religijnych? Dlaczego Kartezjusz, pragnąc posługiwać się swoją metodą tylko w pewnych dziedzinach — choć nadawała się do zastosowania we wszystkich —oświadczył, że samodzielnie należy osądzać tylko sprawy filozofii, a nie polityki? Jak to się stało, że w XVIII wieku wyciągnięto nagle z tej metody wnioski ogólne, których Kartezjusz i jego poprzednicy nie zauważyli lub wzbraniali się powziąć? Jak to się wreszcie stało, że w tej epoce metoda, o której mowa, nagle opuściła akademie, by przeniknąć do całego społeczeństwa i stać się przyjętą regułą myślenia, oraz że, rozpowszechniwszy się we Francji, została potem jawnie lub skrycie zastosowana przez wszystkie Społeczeństwa Europy?

Ta metoda filozoficzna mogła narodzić się w XVI wieku, sprecyzować i rozszerzyć w XVII, lecz nie mogła zostać powszechnie przyjęta. Stały temu na przeszkodzie prawa polityczne i układ społeczny oraz wynikłe z nich obyczaje życia umysłowego.

Została odkryta w epoce, w której ludzie zaczęli stawać się sobie równi i upodabniać się do siebie. Rozpowszechnić się mogła dopiero w epoce, w której możliwości stały się niemal równe i ludzie niemal identyczni.

Metoda filozoficzna XVIII wieku jest więc nie tylko francuska, lecz demokratyczna, co — tłumaczy, dlaczego łatwo przyjęła się w całej Europie, gdzie tak bardzo przyczyniła się do zmiany oblicza społeczeństw. Francuzi wstrząsnęli światem nie dlatego, że zmienili swoje dawne przekonania i przeobrazili dawne obyczaje, ale dlatego, że pierwsi uogólnili i wydobyli na światło dzienne metodę filozoficzną, przy pomocy której można było z łatwością zaatakować wszystko, co dawne, i utorować drogę wszystkiemu, co nowe.

Jeżeli ktoś mnie teraz zapyta, dlaczego owa metodą jest dzisiaj ściślej przestrzegana i częściej stosowana we Francji niż w Ameryce, gdzie równość jest także całkowita, a w dodatku panuje dłużej — odpowiem, że wiąże się to po części z dwiema okolicznościami, które muszę najpierw wyjaśnić.

Społeczeństwom angloamerykańskim początek dała religia, i nie należy o tym nigdy zapominać. W Stanach Zjednoczonych religia spleciona jest więc ze wszystkimi narodowymi zwyczajami i ze wszystkimi uczuciami, jakie ludzie żywią wobec ojczyzny. To nadaje jej szczególną siłę.

Dodać należy jeszcze jeden, nie mniej istotny aspekt sprawy: w Ameryce religia sama sobie, by tak rzec, zakreśliła granice — porządek religii został całkowicie oddzielony od porządku polityki, można zatem było z łatwością zmieniać dawne prawa, nie podważając przy tym dawnej wiary.

Chrześcijaństwo zachowało więc znaczny wpływ na amerykańską umysłowość i, co przede wszystkim zasługuje na uwagę, panuje ono tam nie tylko jako doświadczalnie sprawdzona filozofia, lecz jako religia, którą przyjmuje się bez zastrzeżeń.

W Stanach Zjednoczonych istnieje ogromna liczba sekt chrześcijańskich, które nieustannie się przeobrażają, lecz chrześcijaństwo jako takie jest faktem przyjętym i nieodpartym, którego nikt nie zamierza ani atakować, ani bronić.

Przyjąwszy bez zastrzeżeń główne dogmaty religii chrześcijańskiej, Amerykanie zmuszeni są przyjąć również wszystkie prawdy moralne, które z nich wynikają. Ogranicza to znacznie pole działania indywidualnego rozumu i wyłącza spod jego władzy wiele idei o podstawowym znaczeniu.

A oto okoliczność druga:

Amerykanie mają demokratyczny układ społeczny i demokratyczną konstytucję, ale nie mieli demokratycznej rewolucji. Nie zmienili się prawie wcale od czasu przybycia na ziemię amerykańską. To bardzo istotne.

Rewolucja musi naruszyć dawne wierzenia, musi zachwiać podstawami władzy i wprowadzić zamęt do ludzkich przekonań. Rezultat wszelkiej rewolucji sprowadza się więc do pozostawienia ludzi sobie samym i do otwarcia przed każdym z nich nieograniczonej niemal przestrzeni, w której panuje pustka.

Kiedy możliwości ludzi stają się równe w wyniku długotrwałej walki między klasami dawnego społeczeństwa, ich serca zostają na pewien czas bez reszty opanowane przez zawiść, pogardę i nienawiść dla bliźnich, przez pychę i nadmierne zaufanie do siebie. Chociaż zapanowała równość, ten stan rzeczy dzieli ludzi oraz każe im wystrzegać się wiary w cudze opinie i tylko z własnego umysłu czerpać wiedzę o świecie.

Każdy człowiek stara się wówczas wystarczyć samemu sobie i szczyci się tym, że na wszystko ma własny pogląd. Ludzi nie łączą już idee, ale interesy, i powiedzieć można, że poglądy ludzkie zamieniają się wtedy w coś na kształt intelektualnego pyłu, który wzbija się wszędzie, nie mogąc zebrać się ni osiąść.

Dlatego wynikła z równości niezależność umysłów jest największa i najbardziej wybujała w momencie, kiedy równość obejmuje panowanie. Nie należy więc mieszać wolności intelektualnej, jaką może przynieść równość, i anarchii, jaką pociąga za sobą rewolucja. Rozróżnienie tych zjawisk pozwala uniknąć wygórowanych nadziei oraz przesadnych obaw w stosunku do przyszłości.

Ludzie nowych społeczeństw będą — jak sądzę — częstokroć czynili użytek z indywidualnego rozumu; nie myślę jednak, by go mieli zbytnio nadużywać.

Wiąże się to z okolicznością mającą znaczenie dla wszystkich krajów demokratycznych, która działając przez dłuższy czas, musi spowodować ścisłe ograniczenie indywidualnej wolności myślenia.

Poświęcam tej sprawie następny rozdział.

ROZDZIAŁ DRUGI

Główne źródła wierzeń w społeczeństwach demokratycznych

Zależnie od epoki, ludzkie wierzenia są bardziej lub mniej dogmatyczne. Powstają one na różne sposoby, zmienia się ich forma lub przedmiot — nie można jednak sprawić, by wierzenia dogmatyczne, czyli poglądy, które ludzie przyjmują na wiarę i bez dyskusji, w ogóle nie istniały. Gdyby każdy człowiek samodzielnie budował swoje poglądy i samotnie poszukiwał prawdy na drodze przez siebie samego utorowanej, nie byłoby prawdopodobne, by znaczna liczba ludzi mogła kiedykolwiek połączyć się w jakiejkolwiek wspólnej wierze.

Łatwo zauważyć, że nie ma społeczeństw, które mogłyby dobrze funkcjonować bez wspólnych przeświadczeń, lub raczej że nie ma społeczeństw, które mogą bez nich istnieć. Dzieje się tak dlatego, że bez wspólnych idei nie ma wspólnego działania, a z kolei bez wspólnego działania istnieć mogą jednostki, ale nie społeczeństwa. Istnienie, a w szczególności dobrobyt społeczeństwa wymaga, by umysły wszystkich obywateli łączyło i trwale spajało ze sobą kilka zasadniczych idei. Ten stan rzeczy może zaś powstać jedynie w wypadku, kiedy wszyscy ludzie czerpią niektóre opinie ze wspólnego źródła i godzą się przyjmować pewną liczbę zastanych przeświadczeń.

Przyglądając się każdemu człowiekowi z osobna dochodzę do przekonania, że wiara w dogmaty jest mu równie niezbędna w samotnym jak i w zbiorowym życiu.

Człowiek nie jest w stanie samodzielnie przeprowadzić dowodu wszystkich prawd, z których czyni użytek w codziennym życiu. Gdyby musiał to robić, zatrzymałby się już przy wstępnych dociekaniach i nie potrafił posunąć dalej. Skoro więc krótkie trwanie ludzkiego życia oraz ograniczenie ludzkiego umysłu sprawia, że człowiek nie ma ani czasu, ani możliwości, by postępować inaczej, musi on przyjąć za pewne mnóstwo faktów i opinii, których nie mógł sam zbadać i sprawdzić, lecz do których doszli zdolniejsi od niego lub które zostały przyjęte powszechnie. Na takich właśnie fundamentach człowiek opiera swoje poglądy. Nie postępuje tak z własnej woli — zmusza go do tego nieugięte prawo ludzkiej kondycji.

Najwięksi filozofowie wierzą innym na słowo w tysiącu spraw i znacznie więcej prawd przyjmują, niż sami ustalają.

Jest to nie tylko konieczne, ale i pożądane. Człowiek, który zechciałby sam wszystko zbadać, bardzo mało czasu mógłby poświęcić poszczególnym

sprawom. Tego rodzaju praca utrzymywałaby jego umysł w stanie ustawicznego rozproszenia, które staje na przeszkodzie głębszemu wniknięciu w jakikolwiek temat i zdobyciu pewności co do czegokolwiek. Umysł takiego człowieka byłby niezależny, lecz i bezsilny. Musi więc dokonać wyboru pomiędzy różnymi przedmiotami rozważań i przyjąć wiele opinii na wiarę, by głębiej wniknąć w pozostałe.

Prawdą jest, że człowiek, który wierzy innym na słowo, oddaje swój umysł w niewolę, lecz jest to niewola zbawienna, która pozwala czynić dobry użytek z wolności.

W świecie intelektualnym i moralnym musi więc istnieć zasada autorytetu. Autorytet może być różnie umiejscowiony, ale jest niezbędny. Indywidualna wolność może być mniejsza lub większa, ale nie może być nieograniczona. Dlatego problem nie polega na tym, by stwierdzić, czy w epoce demokracji istnieje autorytet intelektualny, lecz na tym, by dowiedzieć się, gdzie się znajduje i jaki ma zasięg.

W poprzednim rozdziale mówiłem, że równość możliwości zrodziła u ludzi coś w rodzaju odruchu niewiary w stosunku do wszystkiego, co nadprzyrodzone, oraz stała się źródłem wygórowanego i często przesadnego wyobrażenia o możliwościach ludzkiego rozumu.

Ludzie żyjący w epoce równości z trudem poddają się autorytetowi duchowemu znajdującemu się poza i ponad człowieczeństwem. Źródeł prawdy poszukują zazwyczaj w sobie i w innych ludziach. To wystarczyłoby za dowód, że w epoce równości nie może powstać nowa religia oraz że wszelkie próby stworzenia jej byłyby nie tylko bluźniercze, ale śmieszne i niedorzeczne. Można przewidywać, że społeczeństwa demokratyczne nie zechcą wierzyć w nadprzyrodzone posłannictwo, wyśmiewać będą nowych proroków, a potwierdzenia swoich przeświadczeń będą szukać w granicach świata ludzkiego, nie zaś poza nim.

W czasach nierównych możliwości i niepodobnych do siebie ludzi istnieją, z jednej strony, wykształcone, oświecone i wybitne jednostki, z drugiej zaś ograniczony i ciemny tłum. Ludzie żyjący w czasach panowania arystokracji przyjmują więc za intelektualnego przewodnika wyższą umysłowość jakiegoś człowieka lub jakiejś warstwy społecznej, nie są natomiast skłonni przyznawać nieomylności masom.

W czasach równości dzieje się odwrotnie. W miarę jak obywatele stają się równi i podobni, każdy z nich mniej jest skłonny ślepo zawierzyć jakiemuś człowiekowi lub warstwie ludzi. Wzrasta wiara w masy i opinia publiczna obejmuje rządy nad światem.

Opinia publiczna jest w społeczeństwie demokratycznym nie tylko jedynym przewodnikiem umysłowym jednostki, ale zyskuje tam bez porównania większe znaczenie niż gdziekolwiek indziej. W epoce równości ludzie nie wierzą sobie nawzajem, ponieważ są zbyt podobni, ale ów fakt podobieńst-

wa sprawia zarazem, że nabierają bezgranicznego niemal zaufania do opinii publicznej. Wydaje im się bowiem, że skoro wszyscy są jednakowo oświeceni, prawda musi znajdować się po stronie większości.

Porównując siebie z innymi, człowiek żyjący w demokratycznym kraju z dumą stwierdza, że jest równy każdemu spośród współobywateli. Kiedy jednak porównuje siebie z otoczeniem pojętym jako zbiorowość, czuje się przytłoczony własną słabością i niemocą.

Ta sama równość, która czyni go niezależnym od poszczególnych współobywateli, powoduje jego osamotnienie i bezradność wobec większości.

Zbiorowość posiada więc w demokratycznych republikach władzę szczególną, nie znaną narodom, w których panuje arystokracja. Zbiorowość nie uzasadnia swoich przeświadczeń, lecz je narzuca i wpaja, korzystając z ogromnego nacisku, jaki powszechna umysłowość wywiera na indywidualne inteligencje.

W Stanach Zjednoczonych większość bierze na siebie trud dostarczania każdemu obywatelowi gotowych opinii, a zatem zwalnia go z obowiązku poszukiwania własnych. Istnieje tam wiele rozmaitych teorii filozoficznych, moralnych i politycznych, które człowiek przyswaja sobie bez sprawdzania i przyjmuje na wiarę. Przyjrzawszy się rzeczom z bliska można dojść do przekonania, że nawet religia panuje tam raczej na zasadzie powszechnie przyjętego poglądu niż prawdy objawionej.

Wedle przyjętych w Ameryce praw politycznych społeczeństwem rządzi suwerennie większość, a to znacznie wzmaga jej intelektualne wpływy. Przypisywanie wyższości intelektualnej temu, kto nas ciemięży, jest bowiem naszą najbardziej naturalną postawą.

Polityczna wszechwładza większości powiększa w Ameryce wpływ, jaki i bez niej opinia publiczna wywiera na umysł każdego obywatela, ale bynajmniej go nie wywołuje. Źródeł tego wpływu należy szukać w samej równości, nie zaś w mniej lub bardziej rozpowszechnionych instytucjach, jakie tworzyć może demokracja. Intelektualne panowanie większości byłoby prawdopodobnie mniej bezwzględne w społeczeństwie demokratycznym podległym władzy króla niż w społeczeństwie czysto demokratycznym, niemniej zawsze będzie ono absolutne i można przewidywać, że niezależnie od tego, jakie prawa polityczne będą w czasach równości rządziły ludźmi, wiara w opinię publiczną stanie się formą religii, a większość — tej religii prorokiem.

Autorytet intelektualny będzie inny, ale nie będzie słabszy. Nie tylko nie sądzę, że mógłby zniknąć, lecz przepowiadam, że bardzo łatwo może stać się zbyt potężny i narzucić indywidualnemu rozumowi ograniczenia nie licujące z godnością i szczęściem rodzaju ludzkiego. W społeczeństwie ludzi równych istnieją dwie odmienne tendencje: jedna, która pobudza umysł ludzki do myślenia, i druga, która prowadzi do całkowitej bezmyślności. I wyobrażam sobie, że pod naciskiem określonych praw demokracja mogłaby stłumić

wolność intelektualną, jaką demokratyczny układ społeczny zakłada, jako że może się zdarzyć, iż umysł ludzki, zerwawszy pęta nałożone nań niegdyś przez klasę społeczną lub poszczególnych ludzi, podda się ściśle woli większości.

Jeśli społeczeństwa demokratyczne zastąpią wszystkie te rozmaite moce, które krępowały i opóźniały rozwój indywidualnego rozumu, absolutną władzą większości — zło zmieni tylko swój charakter. Ludzie nie znajdą sposobu na zapewnienie sobie wolności — odkryją tylko, co wydawałoby się niełatwym zadaniem, nowe oblicze poddaństwa. Ci, dla których wolność umysłu jest rzeczą świętą i którzy nienawidzą nie tylko despoty, ale i samego despotyzmu, doprawdy mają się tutaj nad czym zastanowić. Co do mnie, kiedy czuję na ramieniu ciężką rękę władzy, mało mnie wówczas obchodzi, kto mnie gnębi, i wcale nie bardziej kwapię się włożyć głowę w jarzmo, kiedy podaje mi je milion rąk.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dlaczego Amerykanie w porównaniu z przodkami siwymi, Anglikami, wykazują więcej pojętności i upodobania do idei ogólnych

Bóg nie rozważa wcale rodzaju ludzkiego jako całości. Z osobna ujmuje każdą spośród istot składających się na ludzkość wraz z podobieństwami i różnicami, jakie ją łączą z innymi i od innych dzielą.

Idee ogólne nie są więc Bogu potrzebne, to znaczy, że nie musi obejmować większej liczby spraw przy pomocy jednego pojęcia, by dogodniej o nich rozmyślać.

Z człowiekiem jest zupełnie inaczej. Gdyby umysł ludzki próbował osobno zbadać i osądzić wszystkie poszczególne wypadki, zgubiłby się szybko wśród nieskończonej mnogości szczegółów i nie dostrzegałby już niczego. Ucieka się więc do niedoskonałego, lecz koniecznego postępowania, które wspiera go w jego słabości i jest zarazem tej słabości świadectwem.

Ująwszy powierzchownie pewną liczbę przedmiotów oraz spostrzegłszy, że są do siebie podobne, określa je wszystkie tym samym mianem, odkłada na bok i przechodzi do następnych.

Potrzeba idei ogólnych nie świadczy o sile umysłu ludzkiego, ale o jego nieudolności. Nie ma bowiem istot naprawdę podobnych, nie ma identycznych zdarzeń, nie ma reguł, które dałyby się w ten sam sposób stosować do większej liczby przedmiotów naraz.

Idee ogólne posiadają tę zaletę, że pozwalają człowiekowi szybko osądzić wiele spraw jednocześnie. Pojęcia, jakich dostarczają, są jednak zawsze niepełne, wprawdzie rozszerzają zasięg spojrzenia, ale odbywa się to kosztem dokładności.

Życie społeczne ciągle przynosi nową wiedzę i każdego dnia ludzie zdobywają jakieś prawdy szczegółowe.

Im więcej prawd tego rodzaju człowiek poznaje, tym więcej powstaje idei ogólnych. Obserwując z osobna mnóstwo poszczególnych faktów, człowiek odnajduje w końcu łączące je wspólne cechy. Większa liczba poszczególnych wypadków składa się na pojęcie rodzaju, większa liczba rodzajów składa się na pojęcie gatunku. Nawyk tworzenia idei ogólnych jest zawsze w społeczeństwie wprost proporcjonalny do stopnia oświecenia obywateli.

Ale inne jeszcze powody skłaniają ludzi do uogólniania swoich myśli lub odstręczają ich od tego.

Amerykanie posługują się ideami ogólnymi znacznie częściej niż Anglicy i robią to z większym upodobaniem. Wydaje się to dziwne, jeśli zważyć, że oba te społeczeństwa łączy wspólne pochodzenie, że wieki całe żyły one pod jednymi prawami i że ciągle jeszcze przekazują sobie idee i obyczaje. Kiedy porównamy dwa najbardziej oświecone społeczeństwa Europy, kontrast stanie się jeszcze bardziej uderzający.

Wydaje się, że umysł angielski ma to do siebie, iż z wielkim żalem odrywa się od poszczególnych faktów, by dochodzić ich przyczyn, oraz że tylko wbrew sobie podejmuje wysiłek uogólniania.

Wydaje się natomiast, że we Francji upodobanie do idei ogólnych przerodziło się w nieokiełznaną namiętność, nieustannie domagającą się zaspokojenia. Ledwie rano otworzę oczy, dowiaduję się, że odkryto właśnie jakieś ogólne i odwieczne prawo, o którym dotąd nie słyszałem. Byle pisarzyna nie zadowala się odkrywaniem prawd tyczących ogromnego kraju i jest bardzo z siebie niekontent, jeśli nie wygłosi poglądu na temat rodzaju ludzkiego w ogólności.

Zdumiewa mnie ta różnica między dwoma oświeconymi społeczeństwami. Przypatrując się temu, co się dzieje w Anglii od pół wieku, stwierdzam, że upodobanie do idei ogólnych rozwija się tam w miarę słabnięcia dawnej konstytucji.

Sam poziom wykształcenia społeczeństwa nie wystarcza więc za wytłumaczenie, co mianowicie sprawia, że ludzki umysł miłuje się w ideach ogólnych, a co go od nich odstręcza.

Kiedy możliwości ludzkie są bardzo nierówne, a ta nierówność jest trwała, ludzie stają się stopniowo tak bardzo różni, że wydaje się, iż istnieje tyleż rodzajów człowieczeństwa co klas społecznych. Za każdym razem dostrzegamy zatem wyłącznie jedną z nich i tracąc z oczu ogólne cechy jednoczące je wszystkie pod nazwą rodzaju ludzkiego, możemy traktować o poszczególnych ludziach, ale nie o człowieku.

W społeczeństwach arystokratycznych ludzie nie stosują więc nigdy idei o wielkim stopniu ogólności w odniesieniu do siebie samych, co wystarcza, by wzbudzić nieufność oraz instynktowną niechęć do tego sposobu myślenia.

Natomiast w kraju demokratycznym człowiek widzi dokoła siebie tylko podobne mu istoty. Kiedy więc rozważa jakąś cząstkę ludzkości, jego myśl obejmuje coraz szersze rejony i dotąd się rozciąga, aż obejmie całość. Wszystkie prawdy, które stosują się do niego samego, wydają mu się równie dobrze określać każdego współobywatela i każdego bliźniego. Nabrawszy nawyku tworzenia idei ogólnych w najbardziej interesującej go dziedzinie, przenosi go na wszystkie pozostałe i w ten sposób potrzeba odkrywania wszędzie wspólnych reguł, obejmowania różnych przedmiotów jednym mianem, wyjaśniania zespołu faktów za pomocą jednej przyczyny staje się namiętną, ślepą nieraz pasją ludzkiego umysłu.

Prawdziwość powyższego najlepiej potwierdzają poglądy starożytnych na kwestię niewolnictwa.

Najgłębsze i najbardziej wszechstronne umysły Rzymu i Grecji nigdy nie wpadły na tę ogólną, lecz zarazem jakże prostą myśl, iż ludzie są tacy sami i przychodzą na świat z tym samym prawem do wolności. Myśliciele ci usiłowali dowieść, że niewolnictwo jest zjawiskiem właściwym naturze oraz że będzie istniało zawsze. Co więcej, wszystko wskazuje na to, że ci spośród starożytnych, którzy sami byli kiedyś niewolnikami — a niektórzy z nich pozostawili po sobie wspaniałe dzieła — tak samo zapatrywali się na niewolnictwo.

Wszyscy wielcy pisarze starożytni należeli do arystokratycznej warstwy panów albo przynajmniej nie sprzeciwiali się jej istnieniu. Umysły ich, tak skądinąd otwarte, tutaj okazały się ograniczone. Dopiero Chrystus ogłosił ludziom, iż są równi.

W czasach równości wszyscy ludzie są od siebie niezależni, odosobnieni i słabi; nie ma takiego, czyja wola kierowałaby poruszeniami tłumów; w czasach tych ludzkość wydaje się iść naprzód jakby sama z siebie. To, co dzieje się w świecie, daje się wówczas wyjaśnić jedynie za pomocą kilku potężnych przyczyn, które w ten sam sposób działając na każdego człowieka sprawiają, że wszyscy w rezultacie dobrowolnie podążają tą samą drogą. Jest to jeszcze jeden powód, dla którego umysł ludzki dąży wtedy do tworzenia idei ogólnych i znajduje w nich upodobanie.

Mówiłem już o tym, że równość możliwości nakłania ludzi do poszukiwania prawdy na własną rękę. Łatwo zauważyć, że taki sposób myślenia nieuchwytnie kieruje umysły ku ideom ogólnym. Kiedy odrzucam tradycje klasowe, zawodowe i rodzinne, kiedy nie czerpię z nikogo przykładu i zdaję się wyłącznie na wysiłki własnego rozumu, uzasadnień dla moich przeświadczeń zaczynam poszukiwać w samej naturze ludzkiej, co z kolei każe mi posługiwać się nader ogólnymi pojęciami.

Wszystko to wyjaśnia, dlaczego Anglicy są mniej zdolni do uogólniania myśli i mniejsze znajdują w tym upodobanie od Amerykanów, a przede wszystkim od Francuzów, oraz dlaczego dzisiejsi Anglicy bardziej są do tego skłonni od dawnych Anglików.

Anglicy od dawna stanowili społeczeństwo nader oświecone i wysoce arystokratyczne zarazem. Wykształcenie kierowało ich ku bardzo ogólnym ideom, zaś arystokratyczne obyczaje zamykały w kręgu myślenia szczegółowego. Stąd właśnie wzięła się angielska filozofia — zarazem śmiała i skromna, obejmująca szerokie horyzonty i ciasna — która do dziś w tym kraju panuje, nie pozwalając umysłom wyjść poza ograniczony i nieruchomy krąg.

Niezależnie od wyżej przytoczonych powodów, które sprawiają, że niemal wszystkie społeczeństwa demokratyczne znajdują namiętne upodobanie

w ogólnym myśleniu, istnieją i inne, mniej może rzucające się w oczy, ale nie mniej skutecznie działające przyczyny.

Należy odróżnić dwa rodzaje idei ogólnych. Po pierwsze takie, które są wynikiem długotrwałej, precyzyjnej i sumiennej pracy umysłu i rozszerzają zakres ludzkiego poznania. Po drugie zaś takie, które łatwo powstają w pierwszym i pospiesznym wysiłku umysłowym oraz dostarczają jedynie powierzchownych i bardzo niepewnych pojęć.

Ludzie żyjący w czasach równości są bardzo ciekawi świata, ale mają mało wolnego czasu. Ich życie jest tak praktyczne, tak skomplikowane, tak ożywione i aktywne, że na myślenie pozostawia bardzo mało miejsca. Ludzie czasów demokracji cenią sobie idee ogólne, ponieważ one zwalniają ich od zgłębiania szczegółowych wypadków, oświetlają jednocześnie wiele różnych spraw i w krótkim czasie przynoszą znaczne wyniki. Kiedy więc po nieuważnej i krótkotrwałej refleksji wydaje się ludziom, że odnaleźli wspólne cechy pewnych przedmiotów, nie kwapią się już szukać dalej i nie wnikając szczegółowo w to, co mianowicie stanowi o ich odmienności lub podobieństwie, pospiesznie wkładają oba do jednej szuflady, by zaraz zająć się czymś innym.

Jedną z charakterystycznych cech epoki demokracji jest skłonność do łatwych sukcesów i doraźnych zaspokojeń. Widać to zarówno w życiu umysłowym, jak i w innych dziedzinach. Większością ludzi żyjących w czasach równości rządzą gwałtowne, lecz wątłe ambicje, a zatem i pisarze pragną z miejsca odnosić wielkie sukcesy, ale chcieliby uniknąć wielkiego wysiłku. Te sprzeczne odruchy prowadzą ich do szukania idei ogólnych, za pomocą których udaje im się wielkie sprawy oddać małym kosztem i zwrócić na siebie powszechną uwagę bez zadawania sobie zbytniego trudu.

Nie wiem zresztą, czy postępując tak nie mają racji — ponieważ ich czytelnicy również wzdragają się przed pogłębieniem czegokolwiek i w życiu umysłowym poszukują zazwyczaj wyłącznie łatwych przyjemności oraz wiedzy, która nie wymaga wkładu pracy.

O ile narody, w których panuje system arystokratyczny, nie robią dostatecznego użytku z idei ogólnych i nierozważnie nimi pogardzają, o tyle społeczeństwa demokratyczne, przeciwnie, zawsze są gotowe ich nadużywać i entuzjazmować się nimi w sposób nieumiarkowany.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dlaczego Amerykanie nigdy nie przejawiali charakterystycznej dla Francuzów pasji do ogólnych idei politycznych

Powiedziałem poprzednio, że Amerykanie mniejsze mają upodobanie do idei ogólnych niż Francuzi. Dotyczy to przede wszystkim idei ogólnych odnoszących się do polityki.

Choć Amerykanie wprowadzają do swego prawodawstwa nieskończenie więcej idei ogólnych niż Anglicy i choć w znacznie większym stopniu zajmuje ich dostosowanie praktyki życia społecznego do teorii, w Stanach Zjednoczonych nigdy nie istniały organizmy polityczne równie rozmiłowane w ideach ogólnych jak nasza Konstytuanta i Konwencja. Naród amerykański nigdy nie pasjonował się tego rodzaju ideami tak jak społeczeństwo francuskie XVIII wieku i nigdy równie ślepo nie zawierzył żadnej teorii. Różne są przyczyny tej odmienności, ale oto przyczyna zasadnicza. Amerykanie są społeczeństwem demokratycznym, które zawsze samodzielnie kierowało sprawami publicznymi, my zaś jesteśmy społeczeństwem demokratycznym, które przez długi czas mogło najwyżej marzyć o lepszych sposobach rządzenia.

Już sam nasz układ społeczny skłaniał do poszukiwania ogólnych zasad sposobu rządzenia, a organizacja polityczna państwa stała na przeszkodzie sprawdzaniu tych zasad na drodze praktycznej i stopniowemu ujawnianiu ich ułomności. Natomiast u Amerykanów oba te procesy odbywają się jednocześnie i w naturalny sposób uzupełniają.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to niezgodne z poprzednim stwierdzeniem. Mówiłem mianowicie, że narody demokratyczne czerpią swoją skłonność do teoretyzowania z samego rozbudzenia życia praktycznego. Nie ma tu jednak sprzeczności.

To prawda, że ludzie żyjący w krajach demokratycznych są bardzo zachłanni na idee ogólne, ponieważ one pozwalają im nie tracić czasu na szczegółowe rozważania, ale dotyczy to jedynie spraw, o których myślenie nie jest codzienną koniecznością. Kupiec skwapliwie i bezkrytycznie przyjmie wszystkie idee ogólne dotyczące filozofii, polityki, nauk i sztuk, jakie zechcemy mu podsunąć. Ale dopiero po sprawdzeniu oraz z dużą powściągliwością przyjmie te, które będą miały związek z handlem.

Tak samo zachowa się mąż stanu wobec ogólnych idei politycznych.

Ponieważ jest rzeczą szczególnie niebezpieczną, by jakieś społeczeństwo demokratyczne ślepo i bez umiarkowania oddawało się uogólniającym rozważaniom jakiejś sprawy, najlepszym na to lekarstwem jest zmuszenie ludzi do zajmowania się nią praktycznie i na co dzień. Siłą rzeczy wnikną wówczas w szczegóły sprawy, one zaś pozwolą im dostrzec słabe strony teorii.

Zabieg ten bywa bolesny, ale jest niezawodnie skuteczny.

Dzięki temu właśnie instytucje demokratyczne, które zmuszają każdego obywatela do praktycznego zajmowania się rządzeniem, temperują zrodzone przez równość przesadne upodobanie do ogólnych teorii politycznych.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W jaki sposób religia wykorzystuje w Stanach Zjednoczonych demokratyczne instynkty

W jednym z poprzednich rozdziałów ustaliłem, że ludzie nie potrafią się obejść bez dogmatycznych wierzeń oraz że jest nawet wskazane, by takowe posiadali. Dodam teraz, że najbardziej pożądanymi ze wszystkich dogmatycznych wierzeń wydają mi się wierzenia religijne. Łatwo to uzasadnić nawet wówczas, kiedy weźmiemy pod uwagę wyłącznie interesy tego świata.

Wszelkie niemal ludzkie działania, najbardziej nawet konkretne, wywodzą się z powziętej przez ludzi ogólnej idei Boga, idei stosunków, jakie łączą go z rodzajem ludzkim, idei natury ludzkiej oraz obowiązków człowieka wobec swych bliźnich. Idee te są i zawsze będą źródłem, z którego pochodzą wszystkie inne.

Istnieje więc ogromna potrzeba, by idee Boga, duszy ludzkiej i głównych obowiązków człowieka wobec Stwórcy oraz bliźnich były niezachwiane — ponieważ zwątpienie w te pierwsze zasady pozostawiłoby przypadkowi wszystkie ludzkie działania oraz skazałoby je na bezład i niemoc.

Ważne jest więc, by każdy z nas miał w tym przedmiocie ustalone pojęcia. Niestety to właśnie najtrudniej przychodzi człowiekowi pozostawionemu samemu sobie i własnemu rozumowi.

Tylko umysły uwolnione od trosk codzienności, umysły wnikliwe i wytrawne są zdolne w wyniku długich rozmyślań dotrzeć do owych tak niezbędnych prawd.

Zważmy, że nawet filozofowie są zazwyczaj pogrążeni w niepewności, że światło ich wiedzy nieustannie przygasa, że — mimo wszystkich wysiłków — nie udało im się dotąd odkryć niczego oprócz niewielkiej liczby sprzecznych pojęć, wśród których umysł ludzki błądzi od tysięcy lat, nie mogąc jasno uchwycić prawdy ani nawet odkryć własnych błędów. Podobne studia przerastają przeciętne możliwości człowieka i gdyby nawet większość ludzi była zdolna im się poświęcić — jest rzeczą oczywistą, że nie mieliby na to czasu.

Codzienna praktyka życiowa wymaga ustalonych pojęć Boga i natury ludzkiej, i ta sama praktyka nie pozwala człowiekowi ich zdobyć.

Jest to sytuacja jedyna w swoim rodzaju. Istnieją nauki, które są przydatne masom i w pełni dla nich dostępne. Pozostałe dostępne są tylko dla niewielkiej liczby osób i w ogóle nie są uprawiane przez większość ludzi, ponieważ większość zadowala się tylko ich dalszymi zastosowaniami. Ta nauka nato-

miast jest niezbędna wszystkim w codziennej praktyce, lecz zgłębienie jej jest niedostępne dla większości.

Właśnie idee ogólne dotyczące Boga i natury ludzkiej należy więc wyłączyć spod władzy indywidualnego rozumu, który więcej zyska, niż straci, jeżeli podda się w tej dziedzinie autorytetowi.

Głównym zadaniem i zarazem jedną z największych zalet religii jest dostarczanie jasnej, precyzyjnej, zrozumiałej dla mas oraz trwale obowiązującej odpowiedzi na każde z tych podstawowych pytań.

Istnieją religie fałszywe i absurdalne. Można jednak powiedzieć, że wszelka religia, która pozostaje w kręgu podstawowych pytań i która nie usiłuje, jak się to zdarzało, wyjść z niego, aby powstrzymywać swobodny rozwój ludzkiego umysłu, nakłada na rozum człowieka jarzmo zbawienne. I trzeba jej przyznać, że nawet jeżeli nie zbawia człowieka w życiu wiecznym, to jest przynajmniej bardzo użyteczna dla szczęścia i godności człowieka w życiu doczesnym.

Jest użyteczna przede wszystkim człowiekowi żyjącemu w kraju, w którym panuje wolność.

Kiedy w jakimś społeczeństwie religia zostaje obalona, do ludzkiego myślenia o sprawach najważniejszych zakrada się zwątpienie, paraliżując przy tym częściowo myślenie o wszystkich pozostałych. Człowiek przyzwyczaja się do niejasnych i zmiennych pojęć w sprawach podstawowej wagi. Ludzie albo nie potrafią wówczas bronić swych poglądów, albo je porzucają, i tracąc nadzieję na samodzielne rozwiązanie największych problemów ludzkiego losu, małodusznie rezygnują z myślenia o nich.

Taki stan rzeczy musi wpływać na osłabienie ducha, działa hamująco na wolę i przysposabia ludzi do niewoli. Wówczas zdarza się, że ludzie nie tylko pozwalają się pozbawić wolności, ale sami się jej wyrzekają.

Kiedy nie ma już ani autorytetu religijnego, ani politycznego, ludzi zaczyna przerażać ich własna bezgraniczna niezależność. Ciągła niepewność niepokoi ich i męczy. Skoro w świecie duchowym wszystko nieustannie się zmienia, pragną przynajmniej, by w rzeczywistości społecznej wszystko było wyraźne i stabilne. Dlatego, nie mogąc wskrzesić dawnej wiary, dają sobie narzucić władzę.

Co do mnie, wątpię, by człowiek kiedykolwiek zdołał żyć jednocześnie w stanie całkowitej niezależności religijnej i całkowitej wolności politycznej. Myślę zatem, że jeżeli brak mu wiary — musi być zniewolony, jeżeli zaś jest wolny — musi wierzyć.

Myślę również, że ta wielka użyteczność religii szczególnie daje o sobie znać w społeczeństwach, w których panuje równość możliwości.

Trzeba przyznać bowiem, że równość, która jest dla świata dobroczynna, budzi jednak w ludziach, jak to zaraz wyjaśnię, bardzo niebezpieczne instyn-

kty — izolując ich mianowicie od siebie sprawia, że każdy zajmuje się wyłącznie sobą. Wpaja ludziom nieopanowane pragnienie korzyści materialnych.

Największą zaletą religii jest to, iż wzbudza u ludzi dwie przeciwne tendencje. Każda religia umieszcza przedmiot pragnień człowieka ponad dobrami ziemskimi i unosi jego duszę ku rejonom znacznie wyższym od świata zmysłowego. Ale każda religia narzuca również człowiekowi obowiązki wobec innych ludzi oraz, co za tym idzie, nie pozwala poświęcać zbyt wiele uwagi własnej osobie. Te cechy posiadają nawet fałszywe i niebezpieczne religie.

A więc siłę społeczeństw religijnych stanowi to, co decyduje o słabości społeczeństw demokratycznych. To dowodzi, że ludzie, stając się równymi, powinni zachować religię.

Nie mam ani prawa, ani ochoty zgłębiać nadprzyrodzonych sposobów, przy pomocy których Bóg wzbudza wiarę w sercu człowieka. Rozważam w tej chwili religie z punktu widzenia czysto ludzkiego i zastanawiam się nad tym, w jaki sposób mogą one zachować znaczenie w epoce demokracji, u której progu stoimy.

Mówiłem już o tym, dlaczego w czasach oświecenia i równości umysł ludzki jest niechętny dogmatycznym wierzeniom i odczuwa ich potrzebę tylko w dziedzinie religii. Jest to wskazówka, że w takich czasach religie szczególnie rygorystycznie powinny wystrzegać się wykraczania poza swoje granice. Chcąc bowiem rozszerzyć krąg swego oddziaływania poza dziedzinę religii narażają się na to, że ludzie przestaną wierzyć im w ogóle. Winny więc starannie określić granice swego wpływu na umysły, by poza nimi pozostawić rozumowi całkowitą wolność.

Mahomet w Koranie przekazał ludziom przesłanie od Boga, które zawierało nie tylko zasady religijne, ale również maksymy polityczne, prawo cywilne i karne oraz teorie naukowe. Natomiast Ewangelia mówi tylko o ogólnych związkach ludzi z Bogiem oraz ludzi między sobą. Poza tym niczego nie naucza i w nic nie każe wierzyć. Sam ten fakt, prócz tysiąca innych, dowodzi, że pierwsza z tych religii nie mogłaby długo panować w czasach oświecenia i demokracji, podczas gdy przeznaczeniem drugiej wydaje się być panowanie we wszystkich epokach.

Rozważając dalej tę myśl dochodzę do przekonania, że po to, by religie mogły zachować znaczenie w epoce demokracji, nie wystarczy ograniczyć ich do zagadnień czysto religijnych. Siła ich oddziaływania zależy jeszcze w dużym stopniu od rodzaju wiary, którą głoszą, od form obrzędowych, jakie stosują, oraz od obowiązków, jakie nakładają na ludzi.

To, co powiedziałem poprzednio, a mianowicie że równość skłania ludzi ku ogólnym ideom o szerokim zasięgu, stosuje się w pierwszym rzędzie do spraw religijnych. Ludzie równi i sobie podobni łatwiej przyjmują ideę jedynego Boga, który nakłada na każdego człowieka te same obowiązki i każ-

demu za tę samą cenę obiecuje szczęście wieczne. Idea jedności rodzaju ludzkiego kieruje ludzi ku idei jedynego Stwórcy, podczas gdy nierówność i podziały społeczne przyczyniają się do powstania tyluż bóstw oraz dróg do zbawienia, ile jest narodów, kast, warstw i rodów.

Niepodobna zaprzeczyć, że chrześcijaństwo samo podlegało wpływom, jakie układ społeczny i polityczny wywiera na wierzenia religijne.

W chwili kiedy religia chrześcijańska została objawiona światu, Opatrzność, która niewątpliwie przygotowała świat na jej przyjście, na podobieństwo wielkiej owczarni skupiła ogromną część ludzkości pod berłem cezarów. Tworzący te rzesze ludzie różnili się wielce jedni od drugich, łączyło ich jednak to, że byli podporządkowani tym samym prawom, a każdy z nich był tak słaby i tak mały wobec potęgi władcy, że w porównaniu z nim wszyscy wydawali się sobie równi.

Ten nowy i wyjątkowy stan ludzkości przysposobił wszystkich do przyjęcia ogólnych prawd, których naucza chrześcijaństwo. Pozwala on wytłumaczyć fakt, iż chrześcijaństwo z taką łatwością i tak szybko zapanowało nad umysłami.

Potwierdza to również sytuacja, jaka zapanowała po upadku cesarstwa.

Gdy świat rzymski rozpadł się, by tak rzec, na tysiąc odłamków, każdy z narodów odzyskał swą dawną osobowość. Wewnątrz tych narodów powstała niebawem nieskończenie zróżnicowana hierarchia, zaznaczyły się różnice ras, a kasty podzieliły każdy z nich na wiele różnych społeczności. Pośród tego powszechnego dążenia, które zdawało się popychać ludzi do dzielenia społeczeństw na największą możliwą liczbę elementów, chrześcijaństwo nie porzuciło podstawowych idei ogólnych, które przyniosło. Przychylało się wszelako do nowych tendencji zrodzonych z powstałych w świecie podziałów. Ludzie w dalszym ciągu wielbili jedynego Boga, Stwórcę i opiekuna wszechrzeczy, ale każdy naród, każdy gród i niemal każdy człowiek ufał, że zdobędzie szczególne łaski, i poszukiwał sobie specjalnych protektorów u stóp bożego tronu. Nie mogąc podzielić istoty boskiej, pomnożono bez miary liczbę pośredników między Bogiem a ludźmi. Oddawanie czci aniołom i świętym zamieniło się u większości chrześcijan w niemal bałwochwalczy kult i można się było obawiać, że religia chrześcijańska cofnie się do stadium religii, które zwyciężyła.

Wydaje mi się oczywiste, że w miarę zanikania barier, które oddzielały dotąd narody i obywateli, umysł ludzki jakby sam z siebie kieruje się ku idei jedynej i wszechmocnej istoty przyznającej wszystkim ludziom równe prawa. A więc szczególnie w czasach demokracji nie należy mylić czci oddawanej aniołom i świętym z kultem, który należny jest jedynie Stwórcy.

I to również wydaje mi się oczywiste, że w czasach demokracji, bardziej niż w jakichkolwiek innych, religie winny poświęcać mniej uwagi zewnętrznym praktykom.

Omawiając metodę filozoficzną Amerykanów dowodziłem, że w czasach równości nic bardziej nie buntuje umysłu ludzkiego jak myśl o podporządkowaniu się formom. Ludzie żyjący w tych czasach niecierpliwością reaguje na formuły, a symbole wydają im się naiwnymi podstępami służącymi tylko do zaciemniania prawdy, którą prościej byłoby ukazać w pełnym świetle. Są obojętni wobec zewnętrznych form obrządku i niewielkie znaczenie przywiązują do szczegółów kultu.

Ludzie, na których w czasach demokracji spoczywa obowiązek decydowania o zewnętrznych formach religii, powinni liczyć się z tymi naturalnymi odruchami, by nie zmagać się z nimi niepotrzebnie.

Doceniam potrzebę form i wiem, że przybliżają człowiekowi abstrakcyjne prawdy. Pomagając w lepszym ich uchwyceniu, pozwalają je przyjąć z większą żarliwością. Nie wyobrażam sobie, by mogła przetrwać religia nie posiadająca zewnętrznych praktyk, lecz jednocześnie sądzę, że w epoce, w którą właśnie wkraczamy, mnożenie ich ponad miarę jest szczególnie niebezpieczne, że trzeba je raczej ograniczać i zachować tylko to, co jest niezbędne dla przekazywania samych dogmatów, które stanowią substancję religii, podczas gdy obrządek kultowy jest jedynie jej formą. Religia, która mając do czynienia z ludźmi równymi, stałaby się drobiazgowa, nieugięta i pedantyczna, sprowadziłaby się niebawem do praktyk grupy fanatyków, zagubionej wśród niewierzących mas.

Narażam się na zarzut, że religie, których przedmiotem są przecież prawdy ogólne i wieczne, utraciłyby w oczach ludzi swoją cechę pewności, gdyby ulegały zmiennym tendencjom epok. Odpowiem, że trzeba dobrze odróżniać podstawowe idee, które stanowią o religii oraz tworzą to, co teologowie nazywają artykułami wiary, od związanych z nimi idei dodatkowych. Niezależnie od ducha epoki religie muszą być nieugięte co do spraw podstawowych, lecz winny wystrzegać się takiej samej postawy w sprawach drugorzędnych w czasach, kiedy wszystko jest w ciągłym ruchu i kiedy rozum, nawykły do zmienności spraw ludzkich, niechętnie poddaje się ustalaniu czegokolwiek raz na zawsze. Stałość w dziedzinie rzeczy zewnętrznych i drugorzędnych wydaje mi się być skuteczną tylko w czasach, w których społeczeństwo samo jest niezmienne — we wszystkich innych uważałbym ją za niebezpieczną.

Przekonamy się, że rozmiłowanie w dobrobycie jest w czasach równości namiętnością szczególnie żywą w sercach wszystkich ludzi. Przywiązanie do dobrobytu jest szczególnie wyrazistą cechą epoki demokracji.

Wolno przypuszczać, że religia, która postanowiłaby zniszczyć tę podstawową pasję, zostałaby w rezultacie sama przez nią zniszczona. Można przewidywać, że gdyby zechciała całkowicie oderwać ludzi od myślenia o dobrach tego świata, po to by nakłonić ich do kontemplacji dóbr wiecznych, ich

dusze wymknęłyby się jej i pogrążyły wyłącznie w przyjemnościach materialnych i doczesnych.

Głównym zadaniem religii jest uszlachetnianie oraz ograniczanie właściwego czasom równości umiłowania dobrobytu. Myślę jednak, że niesłusznie postępowałyby, gdyby usiłowały całkowicie je poskromić lub zniszczyć. Religiom nie uda się odwieść ludzi od kochania się w bogactwie — mogą natomiast nakłonić ich do bogacenia się w sposób uczciwy.

W ten sposób doszedłem do ostatniej refleksji, która zawiera w sobie wszystkie poprzednie. W miarę jak ludzie stają się równi i podobni, trzeba przede wszystkim, by religie, trzymając się ściśle na uboczu spraw publicznych, nie obrażały bez potrzeby ogólnie przyjętych idei i interesów, które rządzą masami, ponieważ opinia publiczna staje się najważniejszą i najtrwalszą potęgą, a walka z nią jest z góry skazana na niepowodzenie. Dotyczy to zarówno społeczeństwa demokratycznego rządzonego przez despotę, jak i republiki. W czasach równości władcy często zmuszają ludzi do posłuszeństwa, lecz siłą, która zmusza ludzi do wierzenia, jest większość. Należy więc dostosować się do większości we wszystkim, co nie jest przeciwne wierze.

W pierwszym tomie mówiłem o tym, że amerykańscy księża trzymają się na uboczu spraw publicznych. Jest to najlepszy, ale nie jedyny przykład ich powściągliwości. W Ameryce religia tworzy odrębny świat, w którym kapłan panuje, ale z którego stara się nigdy nie wychodzić. W granicach tego świata przewodzi umysłom, ale poza nim pozostawia ludzi samym sobie oraz niezależności i zmienności, które są żywiołem ich czasów. Nie widziałem kraju, w którym chrześcijaństwo byłoby otoczone mniejszą liczbą form, praktyk i formuł i w którym proponowałoby ludziom idee bardziej czyste, proste i ogólne. Wszyscy chrześcijanie amerykańscy, choć podzieleni między mnóstwo sekt, tak samo pojmują religię. Stosuje się to zarówno do katolików, jak i do wiernych innych wyznań. Katoliccy księża Stanów Zjednoczonych są najmniej spośród wszystkich kapłanów katolickich przywiązani do wszelkich drobiazgowych praktyk indywidualnych oraz nadzwyczajnych gwarancji zbawienia. Nieporównanie większą wagę przywiązują do ducha zasad religijnych niż do ich litery. W Ameryce najlepiej przestrzegana jest doktryna kościoła, która zabrania oddawania świętym czci należnej tylko Bogu. A przecież amerykańscy katolicy są bardzo oddani i pełni szczerej wiary.

Do duchowieństwa wszystkich wyznań stosuje się natomiast następująca uwaga: amerykańscy kapłani bynajmniej nie starają się skierować uwagi wiernych wyłącznie na sprawy życia wiecznego, ale pozostawiają człowiekowi swobodę zabiegów o życie doczesne. Dobra tego świata wydają się traktować jako sprawy istotne, choć drugorzędne, i o ile sami nie podejmują czysto ziemskich przedsięwzięć, o tyle przynajmniej interesują się rozwojem gospodarki i przyklaskują jej postępom. Stale ukazując wiernym życie przy-

szłe jako główny przedmiot obaw i nadziei, nie zabraniają im dochodzić do dobrobytu za pomocą uczciwych sposobów. Nie dowodzą ludziom, że są to światy odległe i wzajemnie sprzeczne, lecz starają się raczej szukać między nimi związku.

Wszyscy księża amerykańscy zdają sobie sprawę z umysłowego panowania większości i respektują je. Walczą z nią tylko wtedy, kiedy jest to niezbędne. Nie mieszają się do walki stronnictw, ale chętnie przyjmują ogólne poglądy swojego kraju i swojej epoki i bez oporu pozwalają się nieść nurtowi emocji i idei, który unosi wszystko wokół. Starają się kierować ludźmi, ale się od nich nie izolują. Opinia publiczna nie jest więc nigdy ich wrogiem — podtrzymuje ich raczej oraz ochrania, co sprawia, że wiara panuje nie tylko dzięki własnej sile, ale i dzięki sile, której udziela kapłanom poparcie większości.

W ten sposób religia, szanując wszystkie instynkty demokracji, które nie są jej przeciwne, i wykorzystując wiele spośród nich, skutecznie walczy z duchem indywidualnej niezależności, który stanowi dla niej największe zagrożenie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

O tym, ze równość budzi u Amerykanów przekonanie o nieograniczonej zdolności człowieka do doskonalenia się

Równość podsuwa ludzkiemu umysłowi wiele pojęć, których nie pozyskałby bez niej, a ponadto przekształca niemal wszystkie pojęcia, które już sobie przyswoił. Biorę za przykład ideę doskonalenia się człowieka, jest to bowiem jedna z podstawowych idei ludzkich i wynika z niej wielka teoria filozoficzna, której konsekwencje dają o sobie znać na każdym kroku.

Człowiek pod wieloma względami jest podobny do zwierząt, jedna wszelako cecha jest jemu tylko właściwa. Mianowicie człowiek się doskonali, a zwierzęta nie. Ludzkość od początku znała tę różnicę. Idea doskonalenia się jest więc stara jak świat i nie tyle narodziła się z równości, ile równość nadała jej nową postać.

Kiedy obywatele jakiejś społeczności są klasyfikowani według pozycji, zawodu, pochodzenia i kiedy wszyscy muszą postępować drogą, na którą dziełem przypadku wkroczyli w chwili narodzin, wówczas każdy uważa, że ostateczne granice ludzkich możliwości zawarte są w jego własnych losach i nikt nie próbuje walczyć z nieuchronnym przeznaczeniem. Nie znaczy to, że społeczeństwa arystokratyczne odmawiają człowiekowi całkowicie zdolności doskonalenia się. Nie uważają jej tylko za nieograniczoną; dopuszczają ulepszenie, lecz nie zmianę; potrafią sobie wyobrazić lepsze warunki życia społecznego, ale nie potrafią wyobrazić sobie warunków odmiennych. Przyznając więc, że ludzkość dokonała już wielkich postępów i że może dokonać jeszcze dalszych, zamykają ją wszakże z góry w nieprzekraczalnym kręgu.

Nie utrzymują, że osiągnęły najwyższe dobro lub absolutną prawdę (bo czy jakiekolwiek społeczeństwo lub człowiek może być do tego stopnia szalony, by tak twierdzić?), lubią jednak wmawiać sobie, że niemal osiągnęły stopień wielkości i wiedzy, jaki dopuszcza nasza niedoskonała natura, a ponieważ wszystko wokół jest nieruchome, są przekonane, że wszystko znajduje się na właściwym miejscu. W takich czasach prawodawca chce ogłaszać wieczyste prawa, królowie i narody pragną wznosić jedynie niezniszczalne pomniki, a żyjące pokolenie postanawia oszczędzić przyszłym pokoleniom troski o kierowanie swoim losem.

W miarę jak znikają kasty, a klasy zbliżają się do siebie, jak ludzie, zwyczaje, obyczaje i prawa mieszają się i zmieniają, jak powstają nowe fakty i wydobywane są nowe prawdy, jak miejsce dawnych zanikających pogląd-

ów zajmują nowe — wyobrażenie idealnej, lecz niedościgłej doskonałości pojawia się w ludzkim umyśle.

Przed oczami każdego człowieka dokonują się wówczas ciągłe zmiany. Pozycja niektórych ludzi ulega pogorszeniu i stąd dowiaduje się on aż za dobrze, że ani najbardziej oświecone społeczeństwo, ani najbardziej oświecony człowiek nie jest niezwyciężony. Inni natomiast polepszają swój los i stąd z kolei wnosi, że człowiek posiada nieograniczoną zdolność doskonalenia się. Niepowodzenia pouczają człowieka o tym, że nikt nie odkrył jeszcze absolutnego dobra, sukcesy natomiast pobudzają go do wiecznego pościgu za owym dobrem. Tak oto, wciąż poszukując, upadając, by się zaraz podnieść na nowo, często rozczarowany, nigdy nie zniechęcony, człowiek nieprzerwanie zmierza ku owej wspaniałej wielkości, która niejasno majaczy u kresu długiej drogi, jaką ludzkość ma jeszcze do pokonania.

Trudno uwierzyć, jak wiele zjawisk stanowi naturalną konsekwencję tej teorii filozoficznej, która powiada, że człowiek ma nieograniczone możliwości doskonalenia się. Trudno także wyobrazić sobie, jak niezwykły wpływ wywiera ona nawet na tych, którzy zajęci wyłącznie działaniem, a nie myśleniem, wydają się bezwiednie dostosowywać do «niej swoje postępowanie.

Spotykam oto amerykańskiego marynarza i pytam go, dlaczego statki są w jego kraju tak budowane, że mają krótki żywot. Odpowiada mi bez wahania, że sztuka żeglarska czyni każdego dnia takie postępy, iż najpiękniejszy statek staje się bezużyteczny, jeżeli jego żywot trwa dłużej niż kilka lat.

W tych słowach, przypadkowo wypowiedzianych przez prostego człowieka w związku z konkretną sprawą, dostrzegam ogólną i systematyczną ideę, która we wszystkim powoduje owym wielkim społeczeństwem.

Narody arystokratyczne z naturalnych względów są skłonne nadmiernie ograniczać możliwości ludzkiego doskonalenia się, zaś narody demokratyczne rozszerzają niekiedy te granice ponad wszelką miarę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

O tym, że przykład Ameryki nie dowodzi wcale, by społeczeństwo demokratyczne nie mogło posiadać uzdolnień i zamiłowania do literatury, nauk oraz sztuk

Trzeba przyznać, że spośród wszystkich społeczeństw naszych czasów Stany Zjednoczone zrobiły najmniejsze postępy w dziedzinie nauk teoretycznych oraz wydały najmniej artystów, świetnych poetów i sławnych pisarzy.

Wielu Europejczyków uznało to zjawisko za naturalny i nieuchronny rezultat panowania równości oraz osądziło, że jeżeli układ społeczny i instytucje demokratyczne zwyciężą w całym świecie, umysł ludzki zacznie stopniowo obniżać swój lot i ludzkość znów pogrąży się w mrokach niewiedzy.

Ludzie rozumujący w ten sposób mylą, jak sądzę, pojęcia, które należy rozdzielić i rozważyć osobno. Mylą mianowicie to, co demokratyczne, z tym, co amerykańskie.

Sytuacja Amerykanów jest zupełnie wyjątkowa i należy przypuszczać, że nie powtórzy się ona w żadnym innym demokratycznym społeczeństwie. Purytańskie tradycje Amerykanów, ich czysto kupieckie obyczaje, nawet kraj, który zamieszkują i który wydaje się odwodzić ten naród od naukowych studiów oraz pielęgnowania literatury i sztuk, obecność kultury europejskiej, która pozwala Amerykanom zaniechać tych zainteresowań bez popadania w barbarzyństwo — tysiące swoistych przyczyn, spośród których przytoczyłem jedynie podstawowe, przyczyniło się do tego, że wysiłki amerykańskich umysłów skupione są wokół zagadnień materialnego bytu. Namiętności, potrzeby, wychowanie, okoliczności - wszystko wydaje się kierować uwagę mieszkańca Stanów Zjednoczonych ku sprawom ziemskim. Jedynie religia pozwala mu co pewien czas podnieść ku niebu przelotne i nieuważne spojrzenie.

Porzućmy więc utożsamianie społeczeństwa amerykańskiego z wszelką demokracją i spróbujmy rozważyć każdy z narodów demokratycznych w jego swoistym kształcie.

Można sobie wyobrazić społeczeństwo bez kast, hierarchii społecznej czy klas, w którym prawo, nie uznając przywilejów, rozdziela spadki na równe części, a które jednocześnie jest pozbawione kultury i wolności. Nie jest to pusta hipoteza — despota, by łatwiej niewolić ludzi, może mieć interes w uczynieniu poddanych równymi i pozostawieniu ich w ciemnocie.

Takie społeczeństwo demokratyczne nie tylko nie będzie posiadało uzdolnień i zamiłowań do nauk, literatury i sztuk, ale jak można przypuszczać, nie ujawni ich nigdy.

Prawo spadkowe będzie wraz z każdym pokoleniem rozbijało majątki, a nikt nie będzie tworzył nowych. Człowiek biedny, pozbawiony oświaty i wolności, nie będzie nawet próbował się wzbogacić, a człowiek bogaty, pozostając bezbronnym, da się doprowadzić do stanu ubóstwa. Niebawem obaj obywatele — biedny i bogaty — staną się całkowicie i ostatecznie równi. Nikt nie będzie już miał czasu ani ochoty na poświęcanie się pracom i radościom umysłu. Wszyscy gnuśnieć będą w jednakowej ignorancji i niewoli.

Kiedy wyobrażam sobie takie demokratyczne społeczeństwo, odnoszę wrażenie, że znalazłem się w niskim, ciemnym i dusznym pomieszczeniu, w którym blednie i gaśnie nawet światło dochodzące z zewnątrz. Wydaje mi się, że nagle przygniótł mnie jakiś ciężar i miotam się w ciemnościach, usiłując znaleźć wyjście na powietrze i światło dzienne. Ale wszystko to nie stosuje się do oświeconych ludzi, którzy świadomie znieśli u siebie stanowe i dziedziczne przywileje, pozwalające na utrzymanie dóbr w rękach pewnych osób lub grup społecznych, i zachowali wolność.

Jeśli w demokratycznym społeczeństwie żyją ludzie oświeceni, to są oni świadomi faktu, że nic ich nie ogranicza i nic im nie każe zadowalać się dotychczasowymi osiągnięciami.

Wszyscy myślą więc o pomnożeniu dóbr dotąd zyskanych i jeżeli są wolni — próbują myśl zamienić w czyn. Ale nie wszystkim udaje się to w tym samym stopniu. Prawodawstwo nie przyznaje już nikomu przywilejów, ale daje je natura. I ponieważ naturalna nierówność ludzi jest bardzo znaczna, a każdy człowiek dla zdobycia bogactwa czyni użytek ze wszystkich swych zdolności, majątki stają się nierówne.

Prawo spadkowe przeciwdziała powstawaniu bogatych rodzin, ale nie stoi na przeszkodzie temu, by istnieli bogaci ludzie. Stara się ono nieustannie sprowadzić wszystkich obywateli do jednego poziomu, ci zaś ciągle się odeń oddalają i tym bardziej stają się nierówni, im szersze jest ich wykształcenie i im większa jest ich wolność.

W naszych czasach powstała znana ze swych idei i ekstrawagancji sekta, która uznała, iż należy skoncentrować wszystkie dobra w rękach władzy centralnej i upoważnić ją do rozdzielania majątku między ludzi wedle zasług. Pomyślane to zostało jako sposób uniknięcia całkowitej i wieczystej równości, która wydaje się zagrażać społeczeństwom demokratycznym.

Istnieje prostszy i bezpieczniejszy sposób rozwiązania tej kwestii: nikomu nie przyznawać przywilejów, wszystkim dać równe wykształcenie oraz swobodę i każdemu człowiekowi pozostawić troskę o swoją własną pozycję. Wtedy szybko ujawnią się skutki nierówności naturalnej i bogactwo znajdzie się po stronie ludzi działających zręczniej.

W demokratycznych społeczeństwach, w których panuje wolność, znajdzie się więc zawsze wielu ludzi bogatych lub żyjących w dostatku. Tej grupy bogatych ludzi nie będą już łączyły tak silne więzy jak członków dawnej arystokracji; będą mieli inne instynkty i nigdy ich niezależność życiowa nie będzie równie pewna i niepodważalna, lecz będą nieporównanie liczniejsi od arystokracji. Ludzie ci nie będą związani materialnymi potrzebami i będą mogli w pewnym stopniu poświęcić się pracom i radościom ducha. Tak też się stanie. Umysł ludzki bowiem, z jednej strony dążąc ku wszystkiemu, co ograniczone, materialne i użyteczne, z drugiej zwykł wznosić się ku temu, co nieskończone, niematerialne i piękne. Potrzeby fizyczne wiążą go z ziemią, ale z chwilą gdy staje się od nich wolny, sam wznosi się ku górze.

Nie tylko więcej będzie ludzi mających sposobność interesowania się sprawami umysłowymi, ale i zamiłowanie do radości duchowych będzie zstępować coraz niżej, aż ku ludziom, którzy w społeczeństwach arystokratycznych byli całkowicie pozbawieni czasu oraz pojętności dla tego rodzaju spraw.

Kiedy nie ma już dziedzicznych majątków, przywilejów klasowych i prerogatyw, jakie daje urodzenie, i kiedy każdy człowiek może liczyć tylko na własne siły, staje się oczywiste, że podstawowym czynnikiem, który stwarza różnice majątkowe, jest ludzka inteligencja. W wielkiej cenie jest więc wówczas wszystko, co umacnia, rozszerza i wzbogaca możliwości intelektualne człowieka.

Nawet w oczach mas użyteczność wiedzy staje się oczywista. Ludzie, którym obce są jej uroki, doceniają rezultaty wiedzy i starają się ją zdobyć.

W czasach demokracji ludzie, będąc wykształconymi i wolnymi, nie są od siebie oddzieleni żadnymi barierami i nic nie zmusza ich do pozostawania na swoim miejscu. Dlatego też wznoszą się i upadają ze szczególną łatwością. Wszystkie warstwy społeczne obserwują się nieustannie. Mają wiele wspólnych spraw, mieszają się między sobą, naśladują się i sobie zazdroszczą. Wszystko to podsuwa ludowi idee, pojęcia i pragnienia, do których nie miałby dostępu, gdyby pozycje były raz na zawsze ustalone, a społeczeństwo nieruchome. W takim społeczeństwie służącemu nigdy nie są całkowicie obce rozrywki i zatrudnienia pana, a biednemu — zajęcia człowieka bogatego. Człowiek ze wsi pragnie się upodobnić do człowieka z miasta, a prowincja do metropolii.

Dlatego nikt nie pozwala się łatwo sprowadzić do rzędu istoty zajętej wyłącznie materialnymi zabiegami i nawet najskromniejszy rzemieślnik od czasu do czasu przejawia zainteresowanie sprawami umysłowymi. Lektura książek ma inny sens niż w czasach arystokracji, ale krąg czytelników nieustannie się rozszerza, aż wreszcie obejmie wszystkich obywateli.

Z chwilą gdy masy zaczynają interesować się życiem umysłowym, przekonują się, że jednym ze znakomitych sposobów zdobycia sławy, siły i bo-

gactwa jest osiągnięcie mistrzostwa w jakiejś jego dziedzinie. Zrodzone ze stanu równości niespokojne ambicje ludzi szukają zaspokojenia i tutaj. Liczba uprawiających naukę, literaturę i sztuki ogromnie wzrasta. W świecie ducha pojawia się wspaniałe ożywienie; każdy człowiek toruje sobie w nim drogę i czyni wysiłki, by zwrócić na siebie uwagę. Powstaje zjawisko analogiczne do tego, co w Stanach Zjednoczonych dzieje się w dziedzinie życia politycznego: poszczególne dokonania są często niedoskonałe, ale liczba ich jest nieprzebrana; rezultaty indywidualnych wysiłków są skromne, ale rezultat ogólny jest imponujący.

Nie jest więc prawdą, że ludzie żyjący w czasach demokracji są obojętni wobec nauki, literatury i sztuk — trzeba tylko zrozumieć, że uprawiają je po swojemu, tak jak im na to pozwalają właściwe im zalety i ułomności.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dlaczego Amerykanie przywiązują większą wagę do praktycznego zastosowania nauki niż do teorii

O ile jest pewne, że układ społeczny i instytucje demokratyczne nie wstrzymują wcale postępów umysłu ludzkiego, o tyle nie da się zaprzeczyć, że kierują go na określone tory. Wpływ ten, choć tak ograniczony, pozostaje jednak bardzo znaczny i dlatego warto, jak sądzę, zatrzymać się nieco nad tą sprawą.

Skorzystajmy teraz z uwag, jakie poczyniliśmy poprzednio o metodzie filozoficznej Amerykanów.

Równość budzi w każdym człowieku pragnienie samodzielnego osądzania wszystkiego, rozwija w nim zamiłowanie do rzeczy realnych i namacalnych, z drugiej zaś strony pogardę dla form i tradycji. Te podstawowe instynkty dają o sobie znać przede wszystkim w dziedzinie, o której traktuje niniejszy rozdział.

Ludzie uprawiający naukę w demokratycznych społeczeństwach obawiają się zawsze myślenia utopijnego. Wystrzegają się systemów, lubią trzymać się blisko faktów i badać je samodzielnie. Ponieważ nie robią na nich żadnego wrażenia autorytety, nie twierdzą niczego w oparciu o cudze zapewnienia. Przeciwnie, są ciągle zajęci wyszukiwaniem słabych stron cudzych koncepcji. Tradycje naukowe niewiele dla nich znaczą; nie wdają się nigdy w długotrwałe badania subtelności jakiejś teorii i nisko sobie cenią wielkie słowa; wnikają w podstawowe aspekty tematu i lubią o nich mówić w języku codziennym. Nauka przybiera swobodniejsze, a zarazem bardziej pewne formy, ale jest mniej teoretyczna.

Sądzę, że ogólnie można podzielić naukę na trzy działy.

Pierwszy zawiera najbardziej teoretyczne zasady i najbardziej abstrakcyjne pojęcia, które nie znajdują żadnych zastosowań lub których zastosowania są bardzo odległe.

Drugi składa się z ogólnych prawd, które choć jeszcze związane z czystą teorią, wiodą wprost do praktyki.

Trzeci obejmuje zastosowania i sposoby praktycznego postępowania.

Każdy z tych trzech działów nauki może być uprawiany osobno, jakkolwiek rozsądek i doświadczenie wskazują na to, że żaden z nich nie może długo się rozwijać w odosobnieniu od pozostałych.

W Ameryce czysto praktyczny dział nauki jest uprawiany w sposób godny podziwu; wiele uwagi poświęca się działowi teoretycznemu, mającemu zna-

czenie dla zastosowań. W tej sferze naukowych badań amerykańska umysłowość jest jasna, swobodna, oryginalna i płodna. W Stanach Zjednoczonych nie ma jednak prawie nikogo, kto poświęcałby się ściśle teoretycznej i abstrakcyjnej dziedzinie ludzkiej wiedzy. Amerykanie dają tu krańcowy przykład tendencji którą — choć w mniejszym nasileniu — da się odnaleźć we wszystkich społeczeństwach demokratycznych.

W uprawianiu nauk wyższych czy też teoretycznego działu nauki niezwykle istotny jest element medytacji; tymczasem społeczeństwo demokratyczne stanowi najmniej dogodny dla niej teren. Nie istnieje tu, tak jak w społeczeństwach arystokratycznych, liczna warstwa ludzi, której dobrobyt umożliwia bezczynność, ani też inna, która o nic nie zabiega, ponieważ nie liczy na poprawę bytu. Tutaj wszyscy oddają się jakiejś intensywnej działalności: jedni chcą osiągnąć władzę, inni zdobyć bogactwo. Gdzież wśród tego powszechnego poruszenia, wśród ścierania się sprzecznych interesów, wśród nieustającego wyścigu po majątki znaleźć spokój niezbędny do głębokich rozważań? Jakże zatrzymać myśl na jednym temacie, kiedy wokół nas wszystko się porusza i nas samych unosi i miota rwący strumień, któremu nic się nie ostaje?

Tego stałego ożywienia, które panuje wewnątrz spokojnej i ukształtowanej już demokracji, nie należy mylić z gwałtownymi i rewolucyjnymi ruchami, które prawie zawsze towarzyszą narodzinom i rozwojowi społeczeństwa demokratycznego.

Gwałtowna rewolucja odbywająca się w społeczeństwie wysoce cywilizowanym zawsze stanowi silny impuls dla emocji i poglądów.

Tyczy się to przede wszystkim rewolucji demokratycznych, które ruszając z posad wszystkie warstwy społeczeństwa jednocześnie, wzbudzają ogromne ambicje w sercu każdego obywatela.

Jeśli w okresie rozpadania się resztek dawnego społeczeństwa feudalnego Francuzi dokonali tak pięknych postępów w zakresie nauk ścisłych, to ową nieoczekiwaną wydajność przypisać należy nie samej demokracji, ale bezprzykładnej rewolucji, jaka towarzyszyła jej nadejściu i rozwojowi. Jest to więc przypadek szczególny i nieostrożnością byłoby upatrywać w nim przesłankę ogólnej prawidłowości.

Wielkie rewolucje nie zdarzają się częściej w społeczeństwach demokratycznych niż w jakichkolwiek innych, a myślę nawet, że zdarzają się w nich rzadziej. Jednakże w tych społeczeństwach panuje dokuczliwe poruszenie, coś w rodzaju nieustannej szarpaniny, która mąci i rozprasza umysł, nie inspirując go ani nie budując.

Ludzie żyjący w społeczeństwach demokratycznych nie tylko nie są skłonni oddawać się medytacji, ale nie odczuwają dla niej szacunku. Układ społeczny i demokratyczne instytucje zmuszają większość ludzi do ciągłego działania. Otóż te zwyczaje życia umysłowego, które sprzyjają działaniu, nie

zawsze sprzyjają myśleniu. Człowiek, który działa, musi niejednokrotnie zadowolić się cząstkowymi wynikami, ponieważ nigdy nie dotarłby do celu, gdyby chciał wydoskonalić każdy szczegół. Stale opiera się na ideach, których nie miał sposobności zgłębić, ponieważ posługuje się nimi raczej ze względu na ich funkcję niż niezawodną słuszność. Krótko mówiąc, mniej ryzykuje posługując się co pewien czas fałszywą zasadą niż tracąc czas na weryfikowanie wszystkich zasad. Świat nie postępuje naprzód dzięki długim i uczonym dowodom. O wszystkim decyduje pospieszna obserwacja jakiegoś zdarzenia, doraźne wykorzystanie zmiennych namiętności tłumu, przypadek, jaki niesie chwila, i jego zręczne wykorzystanie.

W czasach kiedy wszyscy niemal ludzie oddają się działaniu, pojawia się tendencja do przedkładania bezpośrednio skutecznych przedsięwzięć i powierzchownych koncepcji umysłowych nad głęboką i powolną pracę intelektu, która nie jest wcale ceniona.

Ta powszechna opinia wpływa na poglądy ludzi uprawiających naukę, przekonuje ich o tym, że mogą osiągnąć wyniki bez pomocy głębokich rozmyślań, albo zniechęca ich do tematów, które wymagają dłuższych medytacji.

Istnieje wiele sposobów uprawiania nauk. Mnóstwo ludzi znajduje w pracach umysłu egoistyczne, merkantylne i doraźne upodobanie, którego nie należy mylić z bezinteresowną pasją ożywiającą nielicznych. Istnieje pragnienie wykorzystania wiedzy i czyste pragnienie poznania. Z rzadka można spotkać u ludzi żarliwe i niewyczerpane umiłowanie prawdy, które żywi się sobą samym i rozkoszuje nieustannie poznawaniem, nigdy nie doznając zaspokojenia. Właśnie to żarliwe, dumne i bezinteresowne umiłowanie prawdy doprowadza ludzi do jej źródeł, by tam czerpali podstawowe idee.

Nie wierzę, by Pascal mógł kiedykolwiek do tego stopnia skupić wszystkie siły swego ducha dla odkrycia najgłębiej ukrytych tajemnic Stwórcy, gdyby przyświecała mu idea jakiegoś znacznego zysku lub chociaż pragnienie sławy. Kiedy widzę, jak oderwał się od spraw życia, by się poświęcić bez reszty rozmyślaniom, i przedwcześnie zrywał więzy łączące jeszcze jego ducha z ciałem, by umrzeć ze starości przed czterdziestym rokiem życia, wtedy ogarnia mnie zadziwienie i zaczynam rozumieć, że przyczyny, które wywołały tak niezwykły wysiłek, nie mogły być zwyczajne.

Przyszłość pokaże, czy te tak rzadkie i płodne namiętności z równym powodzeniem jak za arystokracji mogą się rozwinąć w społeczeństwie demokratycznym. Przyznaję, że trudno mi w to uwierzyć.

Warstwa, która w społeczeństwie arystokratycznym kształtuje opinię i prowadzi sprawy publiczne, będąc w sposób trwały i dziedziczny umieszczoną ponad tłumem, nabiera pewności swojego wysokiego przeznaczenia i wysokiego przeznaczenia człowieka w ogóle. Przyznaje mu chwalebne posłannictwo i wzniosłe pragnienia. Arystokracja często działa w sposób ty-

rański i głęboko nieludzki, ale rzadko przyświecają jej niegodne myśli i okazuje pełną dumy pogardę dla pospolitych przyjemności, nawet wtedy, kiedy im się oddaje. Wszystko to sprawia, że dusze zostają nastrojone na wysoki ton. W czasach arystokracji powszechnie panują rozległe idee godności, mocy i wielkości człowieka. Takie poglądy wpływają na ludzi uprawiających nauki i torują umysłom drogę ku wysokim rejonom refleksji, przepełniając je przy tym wzniosłym i niemal boskim umiłowaniem prawdy.

Uczeni zwracają się więc ku teorii i często im się zdarza nierozważnie pogardzać praktyką. «Archimedes — powiada Plutarch — miał tak wzniosłą duszę, że nie zniżył się nigdy do napisania dzieła o sposobie budowania machin wojennych, i mieniąc podłą, niską i przedajną całą tę wiedzę o wymyślaniu i budowaniu machin, i w ogóle wszelką sztukę, która przynosi praktyczny pożytek, używał swego umysłu i swych umiejętności jedynie do pisania dzieł, których piękno i subtelność nie wiązały się z jakąkolwiek użyte cnością.» Oto arystokratyczne pojmowanie nauki. W krajach demokratycznych nie ma na nie miejsca.

Większość ludzi wchodzących w skład demokratycznego społeczeństwa jest chciwa materialnych i doraźnych zysków, a jako że są oni zawsze niezadowoleni z zajmowanej pozycji i zawsze mogą ją porzucić, myślą tylko o sposobach powiększania majątku. Każda nowa metoda, która krótszą drogą prowadzi do zdobycia bogactwa, każde urządzenie, które ułatwia pracę, każdy przyrząd, który zmniejsza koszta produkcji, każde odkrycie, które umożliwia i potęguje przyjemności, wydaje się im najwspanialszym przykładem dokonań ludzkiego ducha. Z tego źródła wywodzi się zrozumienie i poważanie dla nauk w społeczeństwach demokratycznych. W czasach arystokracji od nauki żąda się zaspokojenia potrzeb umysłu, w czasach demokracji — potrzeb ciała.

Zważmy, że im bardziej demokratyczne jest społeczeństwo, im bardziej jest oświecone i im większa panuje w nim wolność, tym bardziej rośnie liczba ludzi zainteresowanych w naukowych osiągnięciach i tym więcej zysku, sławy i nawet władzy przynoszą wynalazcom odkrycia dające się bezpośrednio zastosować. Dzieje się tak, ponieważ w demokracji klasa pracująca bierze udział w sprawach publicznych, a ci, którzy jej służą, mogą się spodziewać w nagrodę zarówno zaszczytów, jak i pieniędzy.

Nietrudno się domyślić, że w społeczeństwie w ten sposób zorganizowanym umysł ludzki będzie wykazywał tendencję do pomijania zagadnień teoretycznych na rzecz niezwykle energicznego rozwijania sztuki zastosowań czy też przynajmniej takich dziedzin teorii, które są niezbędne do wiedzy o zastosowaniach.

Jeżeli nawet instynkt będzie go unosił ku wyższym sferom ducha — interes sprowadzi go na ziemię. Tutaj właśnie rozwijają się siły umysłu i jego niespokojna aktywność, tutaj dokonuje on cudów. Ci sami Amerykanie, któ-

rzy nie odkryli żadnego ogólnego prawa mechaniki, zastosowali w żegludze nową maszynę, która zmienia oblicze świata.

Jestem oczywiście daleki od przekonania, że społeczeństwa demokratyczne naszych czasów będą świadkami upadku ludzkiej wiedzy czy też że same nie potrafią jej rozwinąć. W obecnych czasach, zważywszy wielką liczbę wykształconych narodów, które gorączkowo prześcigają się w wynalazczości, związki, jakie łączą między sobą poszczególne działy nauki, nie mogą ujść uwagi. Samo przecież zamiłowanie do praktyki, jeżeli tylko ma charakter oświecony, nie pozwala na lekceważenie teorii. Niemożliwe, aby w trakcie tylu prób zastosowania nauki, w trakcie tylu nieustannie ponawianych doświadczeń nie ujawniły się oczom badaczy jakieś ogólne prawa. Toteż dużo będzie wielkich odkryć, choć może nieliczni będą wielcy odkrywcy.

Wierzę zresztą we wzniosłe powołanie naukowe. O ile demokracja nie sprzyja uprawianiu nauk dla samego poznania, o tyle niepomiernie rozszerza krąg ludzi, którzy się nauką zajmują. Jest rzeczą nieprawdopodobną, by w tak wielkim zastępie ludzi nie ujawnił się od czasu do czasu jakiś geniusz, ożywiony li tylko czystym umiłowaniem prawdy. Taki człowiek — możemy być pewni — zrobi wszystko, by dotrzeć do najgłębszych tajemnic natury, niezależnie od ducha swego kraju i swych czasów. Nie trzeba będzie mu pomagać — wystarczy go nie powstrzymywać. Chcę powiedzieć tylko tyle: stała nierówność możliwości zamyka ludzi w kręgu szlachetnego, lecz jałowego poszukiwania prawd abstrakcyjnych, podczas gdy układ społeczny i instytucje demokracji skłaniają człowieka do żądania od nauki jedynie natychmiastowego i pożytecznego rezultatu.

To żądanie jest naturalne i nieuchronne. Zbadanie go jest interesujące, a ukazanie może stać się konieczne.

Gdyby ci, którzy za naszych dni są powołani do kierowania życiem narodów, jasno zdali sobie sprawę z nowo powstałych instynktów, których niedługo nie da się pohamować, zrozumieliby, że oświecenie oraz równość budzą w czasach demokracji zainteresowanie tym działem nauki, który wiąże się z przemysłem, i że cały wysiłek władzy społecznej powinien być skupiony na popieraniu studiów wyższej natury oraz budzeniu wielkich pasji naukowych.

W naszych czasach trzeba nakłaniać umysł ludzki ku teorii, ponieważ ku praktyce ciąży własną siłą, i zamiast zmuszać go ciągle do szczegółowego analizowania drugorzędnych wyników, lepiej jest go pobudzić do kontemplacji pierwszych przyczyn.

Ponieważ cywilizacja rzymska upadła wskutek najazdu barbarzyńców, zbyt łatwo przyjmujemy, że cywilizacja może zginąć tylko w taki sposób.

Gdyby światło naszej kultury zaczęło kiedykolwiek gasnąć, odbywałoby się to stopniowo i bez udziału zewnętrznej przyczyny. Poświęcając się wyłą-

cznie stosowaniu nauki, moglibyśmy stracić z oczu zasady; zapomniawszy zasad, moglibyśmy zatracić wiedzę o metodach, które z zasad wynikają; nie będąc już w stanie wynaleźć nowych, w sposób bezmyślny i nieumiejętny używalibyśmy mądrych starych procedur, o których rozumieniu nie byłoby już mowy.

Gdy trzysta lat temu Europejczycy przybyli do Chin, wszystkie umiejętności były tam bardzo rozwinięte. Zdziwienie ich budził wszelako brak dalszego postępu przy tak wysokim stopniu osiągniętej doskonałości. Potem dopiero napotkali szczątki wyższej wiedzy, której zaniechano. Naród był przemyślny, większość naukowych metod zachowano, ale nauka jako taka już nie istniała. To wyjaśniało Europejczykom, dlaczego w społeczeństwie panował szczególny umysłowy bezruch. Chińczycy, postępując drogą wskazaną przez przodków, stracili z oczu racje, które tamtymi kierowały. Posługiwali się jeszcze starą formułą, nie zastanawiając się nad jej znaczeniem; zachowali instrument, ale zatracili już sztukę przekształcania go i odtwarzania. Nie mogli więc niczego zmienić i musieli zrezygnować z udoskonalania. Musieli niewolniczo naśladować swoich przodków, aby — porzuciwszy wskazaną przez nich drogę — nie znaleźć się nieoczekiwanie w całkowitych ciemnościach. Źródło wiedzy wyschło. I choć rzeka płynęła jeszcze, nie mogła już wezbrać ani zmienić biegu.

A jednak Chiny trwały spokojnie przez wieki; najeźdźcy przejęli obyczaje kraju; panował ład. Istniał swego rodzaju dobrobyt. Rewolucje były nader rzadkie, a wojny właściwie nieznane.

Nie trzeba więc być zbyt pewnym tego, że nie grozi nam barbarzyństwo, istnieją bowiem społeczeństwa, które dają sobie wyrwać z rąk światło, ale są i takie, które zadeptują je własnymi stopami.

. . . . . .

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Literatura epoki demokracji

Kiedy w Stanach Zjednoczonych wejdziemy do księgarni i przyjrzymy się wypełniającym półki amerykańskim książkom, ich liczba wyda nam się bardzo pokaźna, natomiast liczba znanych autorów — skromna.

Znajdziemy tam przede wszystkim mnóstwo podstawowych podręczników przeznaczonych do dostarczania rudymentów wiedzy. Większość z nich została napisana w Europie. Amerykanie przedrukowują je, przystosowując do własnych potrzeb. Jest także bardzo dużo książek religijnych, wydań Biblii, zbiorów kazań, nabożnych historii, religijnych dysput, opisów działalności zakładów dobroczynnych. Wreszcie długa lista politycznych pamfletów, w Ameryce bowiem walka stronnictw nie toczy się za pomocą książek, ale niewielkich broszur, które krążą z niewiarygodną szybkością, żyją jeden dzień, po czym umierają.

Wśród tych poślednich wytworów umysłowej działalności znaleźć można godne uwagi dzieła nielicznych autorów, którzy są znani lub powinni być znani w Europie.

Jakkolwiek Ameryka najmniej ze wszystkich cywilizowanych krajów zajmuje się literaturą, żyje tam jednak wielu ludzi, którym sprawy ducha nie są obce. Jeżeli nawet nie są dla nich przedmiotem rozważań całego życia, to przynajmniej stanowią o uroku wolnych chwil. Większość pożądanych książek dostarczają im jednak Anglicy. Prawie wszystkie wielkie angielskie dzieła są wydawane w Stanach Zjednoczonych. Duch literacki Wielkiej Brytanii promieniuje aż w głąb lasów Nowego Świata. W każdej niemal chacie pioniera znajdzie się bodaj kilka pojedynczych tomów Szekspira. Przypominam sobie, że *Henryka V* przyszło mi przeczytać po raz pierwszy właśnie w takim log-house.

Amerykanie nie tylko stale czerpią ze skarbnicy literatury angielskiej, ale wręcz można powiedzieć, że literaturę angielską mają u siebie. Większość spośród tych niewielu ludzi, którzy w Stanach Zjednoczonych zajmują się twórczością literacką, to Anglicy przez treść, a nade wszystko przez formę swoich książek. Pisarze ci przenoszą w warunki demokracji idee i obyczaje literackie właściwe narodowi arystokratycznemu, który sobie przyjęli za wzór. Malują więc świat za pomocą zapożyczonych barw i ponieważ prawie nigdy nie przedstawiają rzeczywistości kraju, w którym żyją, rzadko zdobywają w nim popularność.

Obywatele Stanów Zjednoczonych wydają się do tego stopnia przekonani, że książki publikuje się tam wcale nie dla nich, iż zanim osądzą wartość jakiegoś swojego pisarza, czekają, by przedtem uznano go w Anglii. Podobnie jest z obrazami: prawo osądzenia kopii pozostawia się autorowi oryginału.

Ściśle rzecz biorąc, mieszkańcy Stanów Zjednoczonych nie mają jeszcze literatury. Jedynymi autorami, których można uważać za amerykańskich, są dziennikarze. Nie są oni wielkimi pisarzami, ale wyrażają się w języku kraju i są tam rozumiani. Wszystkich innych można uznać za cudzoziemców. Ci ostatni są dla Amerykanów tym, czym dla nas byli naśladowcy Greków i Rzymian w czasach odrodzenia literatury — przedmiotem zaciekawienia, ale nie powszechnej sympatii. Dostarczają umysłowej rozrywki, lecz nie oddziaływają na obyczaje.

Mówiłem już, że tego stanu rzeczy nie zawdzięczamy wyłącznie demokracji i że jego przyczyn szukać należy w wielu specyficznych i niezależnych od niej okolicznościach.

Gdyby Amerykanie, zachowując ten sam układ społeczny i to samo prawodawstwo, posiadali jednak inne pochodzenie i żyli w innym kraju, sądzę, że już w tej chwili mieliby literaturę. I tak zresztą będą ją mieli, ale literatura okaże się całkowicie różna od tego, go się dziś w Ameryce pisze. Będzie to własna literatura Amerykanów. Można spróbować z góry przepowiedzieć, jaki będzie jej charakter.

Wyobraźmy sobie jakieś społeczeństwo arystokratyczne, w którym uprawia się literaturę: prace umysłu, tak samo jak sprawy administracyjne, są kontrolowane przez klasę sprawującą władzę. Literatura, jak i życie polityczne, niemal bez reszty skoncentrowana jest w ręku tej klasy lub warstw jej najbliższych. Ten podstawowy fakt pozwala już przewidzieć skutki.

Jeżeli niewielka liczba zawsze tych samych ludzi w tym samym czasie zajmuje się tymi samymi sprawami, to osoby te z łatwością dochodzą do porozumienia i wspólnie tworzą pewne zasadnicze reguły postępowania. Jeżeli przedmiotem zainteresowań tych osób jest literatura, twórczość intelektualna zostanie niebawem podporządkowana pewnym ścisłym przepisom, z których nie będzie wolno się wyłamywać.

Jeżeli ludzie ci zajmują w kraju dziedziczne pozycje, nie poprzestaną na samodzielnym ustaleniu pewnej liczby obowiązujących reguł, ale będą również akceptowali reguły wprowadzone przez przodków. Ich reguły będą zatem jednocześnie rygorystyczne i tradycyjne.

Ponieważ ludzie ci nie muszą się zajmować sprawami materialnymi i nigdy, podobnie jak i ich przodkowie, nie musieli się nimi zajmować, od wielu pokoleń mogli się interesować życiem umysłowym. Przyswoili sobie sztukę literacką, co pozwala im teraz kochać ją dla niej samej oraz czerpać przyjemność z faktu, że jej regułom podporządkowują się wszyscy.

To jeszcze nie wszystko: ludzie, o których mówię, rozpoczęli swe życie i dokonują go w dostatku lub bogactwie — dlatego naturalne jest u nich upodobanie do wyszukanych uciech oraz wyrafinowanych i delikatnych przyjemności.

Co więcej, pewna miękkość umysłu i serca — ślad życia od pokoleń toczącego się wśród tylu dóbr — każe im odsuwać od siebie, a nawet wykluczać ze swoich rozrywek wszystko, co nieoczekiwane i zbyt gwałtowne. Nad gwałtowne wzruszenia przedkładają zabawę; chcą odczuwać zaciekawienie, ale nie chcą dać się porwać pasji.

Wyobraźmy sobie teraz literaturę pisaną przez podobnych ludzi lub pisaną dla nich; w tej literaturze wszystko będzie regularne i z góry ustalone. Najdrobniejszy utwór wycyzelowany zostanie we wszystkich szczegółach; rzemiosło i praca wszędzie zostawią swe ślady; każdy rodzaj literacki będzie posiadał osobne reguły, od których nie będzie wolno odstąpić i które będą go odróżniały od wszystkich pozostałych.

Styl będzie niemal równie ważny jak myśl, forma równie ważna jak treść; ton utworów będzie gładki, umiarkowany, jednolity. Ich duch zachowa szlachetną i godną postawę, a pisarze bardziej będą zajęci doskonaleniem niż tworzeniem.

Może się zdarzyć, że członkowie warstwy wykształconej, żyjąc wyłącznie we własnym kręgu i pisząc tylko dla siebie, stracą całkowicie z oczu resztę świata, co sprawi, że ich utwory będą zbyt wyszukane i fałszywe. Tworząc drobiazgowe reguły literackie na własny użytek, oddalą się tym samym od zdrowego rozsądku i ulegną wynaturzeniu.

Nie chcąc mówić pospolitym językiem, stworzą arystokratyczny żargon, który wcale nie będzie bliższy pięknej mowy niż ludowa gwara.

Oto rafy literatury ustroju arystokratycznego.

Każda arystokracja, która całkowicie odsuwa się od ludu, staje się bezsilna. Dotyczy to zarówno świata polityki, jak i literatury.

Odwróćmy teraz obraz i popatrzmy na jego odwrotną stronę. Przenieśmy się do demokratycznego kraju, którego dawne tradycje i obecna kultura sprawiają, iż radości duchowe nie są ludziom obce. Pozycje społeczne zmieszały się tutaj, wiedza, tak samo jak władza, podzielona jest nieskończenie i, jeżeli wolno tak powiedzieć, rozrzucona po całym kraju.

Mamy więc przemieszany tłum, którego potrzeby intelektualne należy zaspokoić. Ci nowi amatorzy duchowych radości nie odebrali takiego samego wychowania i wykształcenia, nie są podobni do swoich przodków i na każdym kroku sami się zmieniają, ponieważ nieustannie zmienia się ich miejsce pobytu, ich uczucia oraz stan majątkowy. Nie łączą ich tradycje i wspólne obyczaje, nigdy bowiem nie mieli ani możliwości, ani ochoty, ani czasu, by wzajemnie się rozumieć.

Tymczasem w tym właśnie niespójnym i ruchliwym tłumie rodzą się autorzy książek, to ten tłum rozdziela między nich zyski i sławę.

W tej sytuacji nie dziwię się wcale, że w literaturze takiego społeczeństwa nie będzie miejsca na reguły uznawane przez pisarzy i czytelników w czasach arystokracji. Jeżeli nawet się zdarzy, że ludzie jakiegoś okresu zgodzą się na określone reguły, to fakt ten niczego nie dowodzi na przyszłość, ponieważ w krajach demokratycznych każde nowe pokolenie staje się nowym społeczeństwem. W takich krajach literatura z wielkim trudem podda się zatem ścisłym regułom, a w ogóle jest niemożliwe, by poddała się jakimkolwiek regułom stałym.

W demokracji daleko jest jeszcze do tego, by wszyscy ludzie, którzy zajmują się literaturą, posiadali literackie wykształcenie. Ci zaś, którzy posiedli jej powierzchowną znajomość, w większości robią polityczne kariery lub wykonują zawód, od którego z rzadka tylko mogą się oderwać do ukradkowych przyjemności intelektualnych. Ludzie Ci nie traktują radości literackich jako głównego uroku swego życia, ale uważają je za niezbędne wytchnienie po trudach pracy. Ludzie tego pokroju nigdy nie zdobędą dostatecznie głębokiej znajomości sztuki literackiej, by wyczuwać jej subtelności — niuanse umkną im zawsze. Mogąc poświęcić literaturze jedynie niewielką ilość czasu, chcą go w pełni wykorzystać. Lubią książki, które łatwo zdobyć, które szybko się czyta i których lektura nie wymaga uczonych studiów. Żądają łatwego piękna, które oddaje się bez oporu i którym można cieszyć się na poczekaniu. Przede wszystkim jednak pożądają tego, co nowe i zaskakujące. Nawykli do praktycznego, monotonnego życia, odczuwają potrzebę gwałtownych emocji, nagłych objawień, jaskrawych prawd i fałszów, które na chwilę każą im zapomnieć o wszystkim i jakby gwałtem wprowadzają ich w sam środek tematu.

Czy trzeba coś dodawać? Któż nie pojmie, co z tej sytuacji wynika?

Literatura czasów demokracji rozważana w całości nie przedstawia, tak jak literatura arystokracji, obrazu porządku, regularności, wiedzy i rzemiosła. Forma będzie w niej lekceważona, czasem nawet pogardzana. Styl często dziwaczny, niepoprawny, ciężki i słaby, ale prawie zawsze śmiały i gwałtowny. Autorom bardziej będzie zależało na szybkim tempie tworzenia niż na doskonaleniu szczegółów. Małe utwory będą częstsze od grubych ksiąg, więcej będzie błyskotliwości niż erudycji, wyobraźni niż głębi. Literaturą tą będzie rządzić myśl o dzikiej, prymitywnej niemal sile, a jej owoce będą liczne i różnorodne. Pisarze zechcą raczej zadziwiać niż się podobać i raczej rozbudzać namiętności niż oczarować poczucie smaku.

Znajdą się na pewno pisarze, którzy wybiorą inną drogę. Jeżeli będą to ludzie o wielkich zaletach, ich książki znajdą czytelników niezależnie od swych złych i dobrych stron. Wyjątki takie będą jednak rzadkie, i nawet ci,

którzy w całej twórczości wyłamią się z panujących literackich obyczajów, zawsze podporządkują się im w jakichś szczegółach.

Opisałem dwie skrajne sytuacje. Narody jednak nigdy nie przechodzą raptownie od jednej do drugiej, ale posuwają się z wolna, poprzez nieskończenie wiele stopni pośrednich. Podczas procesu przechodzenia oświeconego społeczeństwa od pierwszej sytuacji do drugiej prawie zawsze zdarza się taki moment, w którym duch literatury narodów demokratycznych spotyka się z duchem literatury arystokracji i oba wydają się dążyć do zgodnego panowania nad umysłami.

Są to epoki przejściowe, ale nader świetne: odznaczają się płodnością, która wszakże nie zamienia się w rozpasanie, oraz ożywieniem, które nie oznacza chaosu. Taka była literatura francuska XVIII wieku.

Posunąłbym się zbyt daleko, gdybym twierdził, że literatura narodu jest zawsze podporządkowana jego społecznemu układowi i politycznej organizacji. Wiem, że niezależnie od tych przyczyn istnieje jeszcze wiele innych, które określają charakter dzieła literackiego. Te jednak wydają mi się podstawowe.

Relacje istniejące między układem społecznym i politycznym społeczeństwa a duchem jego literatury są zawsze liczne; kto poznaje społeczeństwo, zdobywa tym samym pewną wiedzę o jego literaturze.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

O literaturze pojętej jako interes

Demokracja nie tylko rozbudza zamiłowanie do literatury u ludzi zajmujących się interesami, ale również kojarzy zmysł interesu z działalnością literacką.

W czasach arystokracji czytelnicy są nieliczni i wymagający. W demokracji nietrudno jest im się podobać, a ich liczba jest ogromna. Dlatego w czasach arystokracji można osiągnąć sukces jedynie za cenę ogromnych wysiłków, jednakowoż wysiłki te, przynosząc wielką sławę, nie przynoszą pieniędzy. Natomiast w krajach demokratycznych pisarz jest w stanie niewielkim kosztem osiągnąć średni rozgłos i wielką fortunę. Żeby to osiągnąć, nie musi być podziwiany; wystarczy, że jest lubiany.

Stale wzrastający tłum czytelników i ich nieustanne zapotrzebowanie na nowości zapewnia powodzenie książkom, których nikt wysoko nie ceni.

W czasach demokracji publiczność tak traktuje pisarzy, jak królowie traktują zazwyczaj swoich dworzan: pozwala im się bogacić i pogardza nimi. Czegóż więcej trzeba sprzedajnym duszom, które urodziły się na dworaków?

W literaturze krajów demokratycznych roi się zawsze od autorów, którzy w pisaniu widzą interes. Na kilku wielkich pisarzy przypadają tysiące sprzedawców myśli.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Dlaczego studia nad literaturą grecką i łacińską są w społeczeństwach demokratycznych szczególnie pożyteczne

To, co w najbardziej demokratycznych republikach starożytności rozumiano pod mianem ludu, nie przypomina wcale naszego rozumienia tego słowa. W Atenach wszyscy obywatele uczestniczyli w sprawach publicznych, ale na ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców było zaledwie dwadzieścia tysięcy obywateli — wszyscy inni byli niewolnikami i spełniali funkcje, które w większości należą dziś do ludu albo nawet do warstw średnich.

Ateny ze swym powszechnym głosowaniem były więc właściwie tylko arystokratyczną republiką, w której wszyscy obywatele mieli równe prawo do udziału w rządach.

Tak samo należy rozumieć walkę patrycjuszy i plebejuszy w Rzymie. Były to jedynie wewnętrzne spory rodzinne między młodszym i starszym pokoleniem. Wszyscy oni należeli w końcu do arystokracji i mieli jej przeświadczenia.

W dodatku należy pamiętać i o tym, że w całej starożytności książki były rzadkimi i drogimi przedmiotami i że nadzwyczaj trudno było je powielać oraz rozprowadzać. Te okoliczności sprawiały, że zamiłowanie i obyczaj zajmowania się literaturą istniał jedynie w wąskim kręgu ludzi oraz że w ramach wielkiej arystokracji politycznej powstała mała, elitarna arystokracja ducha. Nic też nie wskazuje na to, by u Greków i Rzymian literatura była kiedykolwiek traktowana jako interes.

Te społeczeństwa, które nie tylko były społeczeństwami arystokratycznymi, ale również głęboko kulturalnymi i naprawdę wolnymi narodami, wycisnęły na swej literaturze piętno specyficznych ułomności i zalet, właściwych arystokratycznej literaturze.

Wystarczy przejrzeć dzieła pozostawione przez starożytnych, by przekonać się, że o ile pisarzom ówczesnym brakowało czasem różnorodnych i płodnych tematów, śmiałości, dynamiczności i ogólniejszego sposobu myślenia, o tyle wykazywali nadzwyczajny artyzm i staranność w szczegółach. W ich dziełach nic nie wydaje się być zrobione pospiesznie i przypadkowo — wszystko jest tu pisane dla znawców i nieustannie przejawia się poszukiwanie idealnego piękna. Żadna literatura nie uwydatnia lepiej wartości, jakich brakuje pisarzom demokracji. Żadnej więc nie warto bardziej zgłębiać w de-

mokratycznych czasach. Studiowanie literatury starożytnej może być najwłaściwszym sposobem zwalczania braków literatury naszych czasów. Co do jej zalet — pojawią się same.

W tym miejscu musimy się dobrze zrozumieć.

Studia jakiegoś rodzaju mogą być przydatne dla literatury danego społeczeństwa i zarazem zupełnie niedostosowane do jego potrzeb społecznych i politycznych.

Gdyby w społeczeństwie, w którym każdy jest stale popychany do gorączkowych zabiegów o powiększenie lub utrzymanie majątku, nauczać tylko literatury pięknej, jego obywatele staliby się bardzo kulturalni i zarazem bardzo niebezpieczni, ponieważ układ społeczny i polityczny budziłby u nich potrzeby, których zaspokajania nie uczyłby przyjęty system wychowania. Tak wychowani obywatele, zamiast wzbogacać państwo swą wynalazczością, zakłócaliby jego życie w imię greckich i rzymskich ideałów.

Jest oczywiste, że w społeczeństwach demokratycznych interes jednostek oraz bezpieczeństwo państwa wymaga, by sposób kształcenia większości ludzi miał raczej charakter naukowy, handlowy i przemysłowy niż literacki.

Greka i łacina nie muszą być nauczane w każdej szkole, chodzi jednak o to, by ludzie, których zdolności oraz majątek predestynują do uprawiania literatury lub do rozmiłowania się w niej, mieli do dyspozycji szkoły, w których można zyskać biegłość w literaturze starożytnej i przesycić umysł jej duchem. Kilka znakomitych uniwersytetów lepiej osiągnie w tym wypadku cel niż wielka liczba złych gimnazjów, w których źle nauczane zbyteczne przedmioty przeszkadzają w dobrym prowadzeniu koniecznych studiów.

Wszyscy, którzy w krajach demokratycznych mają ambicje w dziedzinie literatury, powinni obficie czerpać z dzieł starożytności. Jest to rodzaj zbawiennej higieny.

Nie znaczy to, że literacką twórczość starożytnych uważam za nienaganną. Sądzę tylko, że posiada ona szczególne wartości, które znakomicie mogą posłużyć do zrównoważenia naszych własnych ułomności. Wartości owe podtrzymują nas z tej strony, w którą się niebezpiecznie chylimy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jak demokracja amerykańska przeobraziła język angielski

Jeżeli czytelnik dobrze zrozumiał wszystko, co poprzednio mówiłem o literaturze w ogólności, łatwo teraz pojmie, jaki wpływ instytucje demokratyczne mogą wywierać na sam język, który jest głównym narzędziem myśli.

Duch społeczeństw demokratycznych przejawia się zarówno w wielkiej liczbie nowych słów, jakie zostają tam wprowadzone do języka, jak i w naturze idei, jakie te nowe słowa wyrażają.

W takich społeczeństwach prawa języka, podobnie jak wszystkie inne, tworzy większość. Jej duch wyraża się i w tej dziedzinie. Otóż większość zajmuje się raczej interesami niż studiami, raczej sprawami politycznymi i handlowymi niż filozoficznymi spekulacjami czy literaturą. Przeważająca liczba uznanych przez nią czy powołanych do życia słów będzie więc nosiła piętno jej obyczajów. Słowa te będą przede wszystkim służyły do wyrażenia spraw wiążących się z działalnością gospodarczą, z namiętnościami stronnictw politycznych lub ze szczegółami publicznej administracji. Ta właśnie dziedzina języka będzie rozwijała się nieustannie, podczas gdy język metafizyki i teologii powoli ulegnie zaniedbaniu.

Nietrudno wyśledzić źródła, z jakich demokratyczne narody czerpią swoje nowe słownictwo, oraz sposób, w jaki ono powstaje.

Ludzie żyjący w krajach demokratycznych nie znają zupełnie języka, którym mówiono w Rzymie i w Atenach, i nie zadają sobie bynajmniej trudu poszukiwania w starożytności potrzebnych im wyrażeń. Jeżeli czasem odwołują się do uczonych etymologii, należy to sobie tłumaczyć próżnością, która każe im czerpać z języków martwych, a nie erudycją, która w naturalny sposób podsuwa słowa ich umysłom. Zdarza się nawet, że właśnie najmniej wykształceni ludzie najczęściej posługują się łacińskimi i greckimi słowami. Demokratyczne pragnienie wyjścia z własnej sfery nakazuje im przy pomocy greckiego lub łacińskiego słowa nadawać wyższą rangę jakiejś bardzo pospolitej profesji. Im bardziej niski i odległy od nauki jest ich zawód, tym chętniej nadają mu górnolotną i uczoną nazwę. Na takiej właśnie zasadzie nasi linoskoczkowie przeistoczyli się nagle w akrobatów i ekwilibrystów.

Wobec nieznajomości języków martwych społeczeństwa demokratyczne chętnie zapożyczają słowa z języków żywych. Dzieje się tak dlatego, że lu-

dzie nieustannie stykają się ze sobą, a mieszkańcy różnych krajów nawzajem naśladują, gdyż z każdym dniem stają się do siebie podobniejsi.

Społeczeństwa demokratyczne starają się jednak znaleźć nowe formy przede wszystkim w swoim własnym języku. Wprowadzają więc do swego słownika i wyciągają na światło dzienne dawne, zapomniane wyrażenia, bądź zapożyczają od jakiejś warstwy słowo, które jest jej właściwe, po czym wtłaczają je do powszechnego języka, nadając mu jednocześnie sens przenośny. Mnóstwo wyrażeń, które poprzednio należały wyłącznie do języka jakiegoś stronnictwa lub zawodu, wchodzi w ten sposób do powszechnego obiegu.

Najbardziej pospolity zabieg stosowany przez demokratyczne społeczeństwa w celu przekształcania języka polega na nadaniu wyrażeniu będącemu w użyciu znaczenia, którego dotąd nie miało. Ta metoda jest bardzo prosta, szybka i wygodna. Skuteczne posługiwanie się nią nie wymaga wiedzy, a niewiedza ułatwia nawet jej używanie. Lecz stanowi ona dla języka wielkie niebezpieczeństwo. Społeczeństwa demokratyczne, podwajając w ten sposób znaczenie słowa, czynią nieraz wątpliwym zarówno sens, jaki ono posiadało, jak i ten, który mu nadano.

Jakiś autor lekko zmienia pierwotne znaczenie znanego wyrażenia i w tym stanie stosuje je w swoich utworach. Drugi naciąga znaczenie słowa w innym kierunku. Trzeci używa go w jeszcze inny sposób — i ponieważ nie istnieje żaden rozjemca, żaden stały trybunał powołany do ostatecznego ustalania znaczeń słów, słowo to pozostaje bez wyraźnego przydziału. W konsekwencji pisarze nie opowiadają się jasno po stronie określonej myśli, ale wydają się krążyć wokół zespołu myśli, czytelnikowi pozostawiając trud osądzenia, o którą chodzi.

Jest to jedna z przykrych konsekwencji demokracji. Wolałbym raczej, by najeżono język słowami chińskimi, tatarskimi lub indiańskimi, niż by słowa francuskie miały stracić pewność swych znaczeń. Harmonia i jednorodność stanowią drugorzędne wartości języka. Jest w nich wiele z konwencji i można się śmiało bez nich obejść. Ale bez jasnych terminów nie ma porządnego języka.

Równość przynosi językowi także różne inne przeobrażenia. W czasach arystokracji, kiedy każdy naród stara się zachować swoją tożsamość i odrębną, własną fizjonomię, zdarza się często, że społeczeństwa, które łączy wspólne pochodzenie, stają się do tego stopnia obce sobie, że ciągle jeszcze nie przestając się rozumieć, posługują się już odmienną mową.

W takich czasach każdy naród jest podzielony na pewną liczbę warstw, które mało mają ze sobą wspólnego i w ogóle się nie mieszają; każda z tych warstw tworzy i niezmiennie zachowuje sobie tylko właściwe obyczaje intelektualne oraz przyswaja sobie pewne słowa i terminy, które potem przechodzą z pokolenia na pokolenie niby rodzaj dziedzictwa. Wewnątrz jednego ję-

zyka istnieje więc język biednych i język bogatych, język nieszlachty i język arystokracji, język uczony i język pospolity. Im głębsze są podziały i trudniejsze do pokonania bariery, tym większe powstają różnice językowe. Chętnie założyłbym się o to, że język kast indyjskich jest niesłychanie zróżnicowany i że między językiem, jakim posługuje się parias, a językiem bramina jest taka sama różnica jak między ich ubiorami.

Kiedy natomiast ludzie, których nie wiąże trwała pozycja społeczna, nieustannie stykają się ze sobą, kiedy zniszczone zostają podziały kastowe, a skład warstw społecznych odnawia się i zmienia, zmieszane zostają również wszystkie słowa języka. Te, które nie odpowiadają większości, zanikają, reszta zaś tworzy jedną masę, z której każdy może czerpać, jak chce. Prawie wszystkie różnice między dialektami istniejącymi w ramach języków europejskich zdają się zacierać. W Nowym Świecie nie istnieją gwary, a w starym znikają one z każdym dniem.

Wstrząs, jaki nastąpił w układzie społecznym, wpływa nie tylko na język, ale i na styl.

Wszyscy posługują się tymi samymi słowami, ale oprócz tego uczą się używać słów jako odizolowanych znaków. Nie obowiązują już reguły narzucone przez styl. Nie ma prawie wyrażeń, które byłyby z natury wulgarne czy też dystyngowane. Ponieważ jednostki pochodzące z różnych warstw społecznych wnoszą ze sobą własne wyrażenia i terminy wszędzie, dokąd przychodzą, pochodzenie słów zatraca się tak samo jak pochodzenie ludzi i takie samo pomieszanie, jakie panuje w społeczeństwie, obejmuje i język.

Owszem, istnieją zasady klasyfikacji słów, które nie są związane z określoną formą życia społecznego, lecz wynikają z samej natury rzeczy. Niektóre wyrażenia i zwroty są wulgarne, ponieważ uczucia, jakie wyrażają, są rzeczywiście niskie, inne wyrażenia są wzniosłe — ponieważ sprawy, o których mówią, są sprawami wyższego rzędu.

Mieszające się szyki społeczne nigdy nie zniosą tych różnic. Wszelako równość na pewno zniszczy wszystko, co w wyrażaniu myśli jest wynikiem konwencji. Być może nawet ten naturalny system klasyfikacji, o którym przed chwilą mówiłem, w mniejszym stopniu obowiązuje w społeczeństwie demokratycznym, ponieważ nie ma tam ludzi, którzy dzięki swemu wychowaniu, oświeceniu oraz dzięki wolnemu czasowi, jakim dysponują, oddawaliby się studiowaniu naturalnych praw języka i którzy, stosując się do nich, wymuszaliby dla nich szacunek.

Nie chciałbym pominąć jeszcze jednej, być może najbardziej charakterystycznej cechy języka demokracji.

Pokazywałem poprzednio, że społeczeństwa demokratyczne mają upodobanie, a nawet namiętność do idei ogólnych oraz że wiąże się to z właściwymi im wadami i zaletami. To zamiłowanie do idei ogólnych wyraża się w demokratycznym języku przez stałe używanie ogólnych terminów i abstrak-

cyjnych słów oraz przez sposób ich stosowania. W tym leży wielka zasługa i wielka słabość demokratycznego języka.

Społeczeństwa demokratyczne namiętnie kochają ogólne terminy i abstrakcyjne słowa, ponieważ tego rodzaju wyrażenia przydają myśli lotu, a umysłowi ułatwiają pracę, pozwalając zawrzeć wiele spraw w niewielkiej liczbie słów.

Demokratyczny pisarz chętnie użyje abstrakcyjnego wyrażenia «zdolności ludzkie» na określenie ludzi zdolnych, niezależnie od przedmiotu owych zdolności. Będzie mówił o «aktualnościach» chcąc powiedzieć o wszystkich sprawach, które dzieją się właśnie na jego oczach, a pod mianem «ewentualności» będzie rozumiał wszystko, co może się w świecie zdarzyć począwszy od chwili obecnej.

Pisarze demokratyczni na każdym kroku powołują do życia abstrakcyjne słowa tego rodzaju lub używają w coraz bardziej abstrakcyjnym sensie abstrakcyjnych słów istniejących w języku.

Co więcej, by uczynić swoje wypowiedzi bardziej zwięzłymi, personifikują przedmiot tych abstrakcyjnych słów i każą mu działać jak realnej osobie. Powiedzą na przykład, że «siła rzeczy wymaga, by zdolności ludzkie kierowały państwem».

Wytłumaczę to na własnym przykładzie:

Niejednokrotnie czyniłem użytek ze słowa «równość» w jego absolutnym sensie, co więcej, wielokrotnie równość personifikowałem, co pozwalało mi mówić, że równość robiła pewne rzeczy czy nie robiła innych. Ludzie czasów Ludwika XIV na pewno nie mówiliby w ten sposób i żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy używać słowa «równość», nie odnosząc go do jakiegoś szczególnego wypadku. Raczej zrezygnowaliby z posługiwania się nim, niż zgodzili się na uczynienie z równości żywej istoty.

Te abstrakcyjne słowa, których pełno w demokratycznych językach i których używa się na wszystkie sposoby bez związku z konkretnymi sprawami, powiększają wymiar myśli, jednocześnie ją zaciemniając. Sprawiają, że wyrażenie jest bardziej zwięzłe, ale myśl mniej jasna. Społeczeństwa demokratyczne wolą mieć niejasny język niż nad nim pracować.

Być może zresztą to, co mgliste, posiada pewien tajemny urok dla wszystkich, którzy piszą i przemawiają w demokracji.

Ludzi, pozostawionych własnym intelektualnym wysiłkom, wciąż nęka zwątpienie. Ich sytuacja nieustannie się zmienia, a to nie sprzyja trzymaniu się własnych poglądów.

Ludzie zamieszkujący demokratyczne kraje mają więc często chwiejne myśli i potrzebują bardzo szerokich określeń, by móc owe myśli w nich zawrzeć. Ponieważ nigdy nie wiedzą, czy idea, którą dziś wyrażają, będzie odpowiednia dla nowej sytuacji, w której znajdą się jutro, nabierają skłonności do abstrakcyjnych wyrażeń. Abstrakcyjne słowo jest jak pudełko o podwój-

nym dnie: wkłada się doń różne idee, by potem niepostrzeżenie wyciągnąć tę, która jest akurat potrzebna.

We wszystkich społeczeństwach ogólne i abstrakcyjne terminy tworzą podstawę języka, nie twierdzę więc bynajmniej, że spotyka się je tylko w językach społeczeństw demokratycznych. Powiadam jedynie, że w czasach równości ludzie szczególnie mnożą słowa tego rodzaju, że stosują je przypadkowo i to w najbardziej abstrakcyjnym znaczeniu oraz używają ich przy każdej okazji — nawet wtedy, gdy wywód wcale tego nie wymaga.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

O niektórych źródłach poezji w rzeczywistości narodów demokratycznych

Słowu «poezja» nadawano wiele różnych znaczeń. Nie chcę męczyć czytelnika rozważaniami nad tym, które z nich jest najwłaściwsze, toteż od razu przedstawię własny pogląd.

Według mnie poezja jest poszukiwaniem oraz wyobrażaniem tego, co idealne.

Poetą jest ten, kto biorąc pewne elementy rzeczywistości przydaje ich wyobrażeniu znamion fantazji, zestawia jakieś rzeczywiste okoliczności w sposób dotąd nie spotykany; uzupełnia naturę i czyni ją okazalszą. Celem poezji nie jest tedy przedstawianie prawdy, lecz ozdabianie jej po to, by stworzyć wyobrażenie wyższe.

Wiersze są pięknym ideałem mowy i w tym sensie są utworami ściśle poetyckimi. Wszelako same wiersze nie stanowią jeszcze o poezji.

Chcę się zastanowić nad tym, czy wśród czynów, uczuć i idei społeczeństw demokratycznych nie ma przypadkiem takich, które mogłyby służyć wyobrażaniu tego, co idealne, a więc stanowić naturalne źródła poezji.

Trzeba .przede wszystkim przyznać, że upodobanie do tego, co idealne, oraz przyjemność doznawana w obcowaniu z wyobrażeniami owego ideału nigdy nie są w społeczeństwach demokratycznych równie żywe i powszechne jak w czasach arystokracji.

W czasach arystokracji z ludźmi bywa tak, że ciało ich żyje własnym życiem, podczas gdy dusza pogrążona jest w stanie bierności, który pragnie przezwyciężyć. Nawet lud ujawnia tam często zamiłowanie do poezji, a jego duch wznosi się niekiedy ponad otaczającą rzeczywistość.

W demokracji natomiast zamiłowanie do materialnych korzyści, dążenie do poprawy losu, konkurencja i urok bliskich sukcesów są bodźcami, które popychają człowieka na drodze jego życiowej kariery i nie pozwalają mu porzucić jej bodaj na chwilę. Tutaj skupia się cały wysiłek ludzkiego ducha. Wyobraźnia bynajmniej nie ginie, ale oddaje się wyłącznie uchwyceniu tego, co pożyteczne, oraz przedstawianiu tego, co realne.

Równość nie tylko odstręcza ludzi od opisywania ideału, lecz ogranicza liczbę przedmiotów godnych opisu.

System arystokratyczny, utrzymując społeczeństwo w stanie bezruchu, sprzyja zarówno stabilności instytucji politycznych, jak i sile oraz trwałości religii pozytywnych.

System ten nie tylko podtrzymuje wiarę w duszach ludzi, ale nakłania ich do przyjęcia określonej wiary. Społeczeństwo arystokratyczne zawsze będzie miało skłonność do mnożenia bytów nadprzyrodzonych, pośredniczących między Bogiem a ludźmi.

Można powiedzieć, że w tej mierze system arystokratyczny bardzo poezji sprzyja. Kiedy wszechświat jest zaludniony przez nadprzyrodzone istoty, których nie można postrzec przy pomocy zmysłów, ale których istnienie odkrywa umysł, wówczas wyobraźnia znajduje ogromne pole do popisu i poeci, mając do dyspozycji tysiące różnych tematów, mogą liczyć na wielu odbiorców.

W czasach demokracji bywa natomiast, że wiara okazuje się równie ulotna jak prawa. Zwątpienie sprowadza wtedy imaginację poetów na ziemię, zamykając ich w świecie widzialnym i rzeczywistym.

Jeśli równość nawet nie niszczy religii, to je upraszcza. Odwraca uwagę od niebieskich pośredników, by zwrócić ją wyłącznie na Boga.

System arystokratyczny z natury skłania umysł ludzki ku kontemplacji przeszłości. Demokracja natomiast daje ludziom instynktowną niechęć do wszystkiego, co dawne. I tutaj system arystokratyczny znacznie bardziej sprzyja poezji — sprawy ludzkie rosną bowiem i zarazem okrywają się mgłą niejasności, w miarę jak się od nas oddalają. Pod tym względem nadają się lepiej do wyobrażania tego, co idealne.

Pozbawiwszy poezję przeszłości, równość odbiera jej po części i teraźniejszość.

W społeczeństwie arystokratycznym istnieje pewna liczba uprzywilejowanych osób, których życie toczy się, rzec można, ponad ludzką kondycją; władza, bogactwo, sława, esprit, subtelność i dystynkcja wydają się być ich wyłączną własnością; tłum nigdy nie ogląda ich z bliska ani nie śledzi szczegółów ich życia. Niewiele trzeba, by stworzyć poetycki wizerunek takich ludzi.

Z drugiej znowu strony istnieją w tym społeczeństwie warstwy ciemne, pokorne i zniewolone, które mogą służyć poezji za temat właśnie dlatego, że ludzie ci pogrążeni są w pospolitości i nędzy, tak jak tamci w wyrafinowaniu i wzniosłości. Ponieważ różne warstwy społeczeństwa arystokratycznego są od siebie nawzajem wyraźnie oddzielone i źle znają się między sobą, wyobraźnia przedstawiając je może zawsze dodać do rzeczywistości lub ująć z niej jakiś element.

W społeczeństwach demokratycznych, gdzie ludzie są mali i podobni, każdy z nich myśląc o sobie widzi natychmiast wszystkich innych. Poeci czasów demokracji nie mogą więc wziąć jakiegoś człowieka za przedmiot swego opisu, ponieważ przedmiot przeciętnej miary, którego kopii wszędzie pełno, nie da się przedstawić w sposób idealny.

Tak więc, kiedy równość zapanuje na ziemi, wysychają dawne źródła poezji.

Spróbujmy teraz pokazać, jak równość odkrywa nowe źródła poezji.

Skoro zwątpienie opustoszyło niebo, a postęp równości sprowadził każdego człowieka do pospolitego wymiaru, poeci, nie znajdując niczego, czym dałoby się zastąpić wielkie tematy ginące wraz ze światem arystokracji, zwrócili swe zainteresowania ku naturze nieożywionej. Straciwszy z oczu herosów i bogów, zaczęli przedstawiać góry i rzeki.

W ostatnim stuleciu dało to początek poezji, która nosi nazwę poezji opisowej.

Mniemano, że to upiększone przedstawienie przedmiotów materialnych i nieożywionych, które znajdują się na ziemi, jest poezją właściwą czasom demokracji. Ja jednak myślę, że jest to błędne. Sądzę, że to poezja epoki przejściowej.

Jestem przekonany, że na dłuższą metę demokracja odwraca wyobraźnię od wszystkiego, co jest wobec człowieka zewnętrzne, po to by ją skupić wyłącznie na samym człowieku.

Społeczeństwa demokratyczne mogą zabawiać się przez pewien czas kontemplacją natury, ale prawdziwe ożywienie ogarnia je tylko na ich własny widok. I tylko ten temat może być w demokracji naturalnym źródłem poezji. Można zatem przypuszczać, że wszyscy poeci, którzy nie zechcą z niego czerpać, utracą wszelki wpływ na dusze tych, których chcieliby oczarować, i będą w nich mieli tylko chłodnych świadków własnych uniesień.

Mówiłem o tym, do jakiego stopnia idea postępu i nieograniczonego doskonalenia się rodzaju ludzkiego jest właściwa czasom demokracji.

Społeczeństwa demokratyczne w ogóle nie zajmują się tym, co było, chętnie zaś marzą o tym, co będzie, i tutaj ich wyobraźnia nie zna granic — rozwijać się może w nieskończoność.

Daje to wielkie szanse poetom i pozwala im sięgać w odległe rejony. Demokracja, zamykając przed poezją świat przeszłości, otwiera przed nią przyszłość.

Ponieważ wszyscy obywatele są w demokratycznym społeczeństwie mniej więcej równi i podobni, poezja nie znajduje tematów w życiu któregokolwiek z nich; za to cały naród może z powodzeniem służyć jej za temat. Podobieństwo ludzi, które sprawia, że każdy z nich wzięty osobno nie może stać się przedmiotem poezji, pozwala poetom na obejmowanie ich wszystkich w jednym wizerunku i na przedstawianie całego narodu. Społeczeństwa demokratyczne jaśniej od innych widzą własną postać, a ten potężny wizerunek świetnie nadaje się do tworzenia idealnych wyobrażeń.

Przyznam chętnie, że Amerykanie nie mają poetów, ale nie mógłbym zgodzić się z poglądem, że nie mają poetycznych idei.

Dziewicze ziemie Ameryki ogromnie zajmują Europejczyków, ale sami Amerykanie wcale się nimi nie interesują. Są niewrażliwi na wszelkie cuda natury i, jeżeli można tak powiedzieć, swoje wspaniałe puszcze zauważają dopiero w momencie, kiedy padają one pod ciosami siekiery. Zaprząta ich natomiast inny widok. Lud amerykański przygląda się sobie samemu, jak idzie przez dziewicze ziemie, osusza bagna, prostuje koryta rzek, zaludnia pustkowia i ujarzmia przyrodę. Ten wspaniały wizerunek własny nie pojawia się w oczach Amerykanina tylko od czasu do czasu. Można powiedzieć, że towarzyszy mu on zarówno w najmniej ważnych, jak i w podstawowych poczynaniach i zawsze jest obecny w jego umyśle.

Trudno wyobrazić sobie coś równie małego, nijakiego i pospolitego, jednym słowem — równie niepoetycznego jak życie człowieka w Stanach Zjednoczonych. Lecz wśród myśli przyświecających mu w życiu zawsze znajdzie się taka, która jest pełna poezji, i ona właśnie stanowi ów ukryty nerw pobudzający wszystkie inne.

W czasach arystokracji każde społeczeństwo, tak samo jak każdy człowiek, ma skłonność do tego, by trwać w bezruchu i trzymać się z dala od innych.

W czasach demokracji wybitna ruchliwość ludzi oraz ich niecierpliwe pragnienia sprawiają, że ciągle przenoszą się oni z miejsca na miejsce i że mieszkańcy różnych krajów stykają się, słuchają siebie nawzajem, mieszają ze sobą i naśladują jedni drugich. Podobni stają się nie tylko ludzie wewnątrz jednego narodu; całe narody przystosowują się do siebie, tworząc razem jedną wielką demokrację, której obywatelami są całe społeczeństwa. Po raz pierwszy ukazuje się w pełnym świetle rodzaj ludzki w całości.

Wszystko, co wiąże się z egzystencją rodzaju ludzkiego, ze zmiennymi kolejami losu całej ludzkości, z jej przyszłością, staje się złotą żyłą dla poezji.

Poeci epoki arystokracji wspaniale malowali wydarzenia z życia jakiegoś narodu lub jakiegoś człowieka, ale żaden z nich nigdy nie ośmielił się przedstawić losu ludzkości; poeci demokracji mogą podjąć takie zadanie.

W czasach, w których każdy człowiek, wznosząc wzrok ponad własny kraj, zaczyna dostrzegać coś takiego jak ludzkość, Bóg ukazuje się umysłom w całej pełni swego majestatu.

Wiara w religie pozytywne jest w czasach demokracji często chwiejna, a wiara w różne nadprzyrodzone istoty, jakkolwiek je nazwiemy, zanika; ale za to rodzi się znacznie szersza idea samej istoty Boga, a jego interwencja w sprawy ludzkie jawi się teraz w innym świetle i zarazem wydaje się potężniejsza. Pojmując rodzaj ludzki jako jedność, człowiek przekonuje się, że ten sam zamiar rządzi losami całej ludzkości, a w czynach każdej jednostki widzi ślady tego ogólnego i konsekwentnego planu, według którego Bóg kieruje światem.

To również można uważać za niezwykle bogate źródło poezji, odkryte w czasach demokracji.

Poeci demokracji zawsze wydadzą się mali i zimni, jeżeli bogom, demonom i aniołom zechcą nadać formy cielesne, a potem, sprowadziwszy ich z nieba, każą im wieść spory o sprawy ziemskie.

Jeżeli jednak zechcą powiązać opisywane przez siebie wielkie wydarzenia na ziemi z planem Opatrzności oraz nie zajmując się ukazywaniem dowodów boskiej interwencji, spróbują wniknąć w myśl Boga, wówczas będą podziwiani i rozumiani, ponieważ wyobraźnia współczesnych podąża podobnymi drogami.

Można także przewidzieć, że poeci demokracji będą przedstawiali raczej namiętności i idee niż osoby i czyny.

Język, ubiór oraz zwykłe działania ludzi w demokracji nie nadają się do wyobrażania tego, co idealne. Sprawy te same przez się nie są poetyczne, a nawet gdyby były, utraciłyby powab z tej racji, że są zbyt dobrze znane czytelnikom. Zmusza to poetów do nieustannego przebijania się przez warstwę zewnętrzną, która jawi się zmysłom, i wnikania we wnętrze duszy. Otóż nic nie służy lepiej za przedmiot poezji niż człowiek pojmowany w całej głębi swej niematerialnej natury.

Nie trzeba wcale przebiegać nieba i ziemi, by odkryć ów wspaniały temat, pełen kontrastów, patosu i nieskończonej nędzy, pogrążony w głębokich ciemnościach i raz po raz rozbłyskujący szczególnym światłem, zdolny budzić jednocześnie litość, podziw, pogardę i grozę. Wystarczy przyjrzeć się sobie samemu. Człowiek wyłania się z nicości i przechodzi przez czas, by zniknąć na zawsze w objęciach Boga. Zobaczyć go można tylko przez małą chwilę, jak błądzi na granicy dwóch otchłani, by się niebawem pogrążyć bezpowrotnie.

Człowiek nie byłby tematem dla poezji, gdyby nic o sobie nie wiedział, nie można bowiem przedstawiać tego, czego się nie pojmuje. Gdyby zaś człowiek dobrze rozumiał siebie samego, jego wyobraźnia pozostawałaby bezczynna i nie potrafiłaby wzbogacić obrazu. Wszelako istota człowieka jest na tyle odsłonięta, że może on dowiedzieć się czegoś o sobie, i zarazem na tyle zakryta, że reszta gubi się dla niego w nieprzeniknionych ciemnościach, w których pogrążony poszukuje ciągle na próżno, nie mogąc do końca zrozumieć.

Nie należy więc oczekiwać, by w społeczeństwach demokratycznych poezja żyła legendą, karmiła się tradycją i wspomnieniami, by próbowała zaludniać wszechświat nadprzyrodzonymi istotami, w które poeci i czytelnicy już nie wierzą, albo żeby zajmowała się chłodnym personifikowaniem cnót i przywar, które rzucają się w oczy i bez personifikacji. Wszystkie te zasoby się wyczerpały, ale pozostał człowiek — i człowiek poezji wystarcza. Losy ludzkie, człowiek pojęty niezależnie od swoich czasów i swojego kraju,

umieszczony w obliczu natury i Boga, człowiek ze swymi namiętnościami, wątpliwościami, pogrążony w niesłychanym dostatku i niepojętej nędzy, stanie się dla demokracji głównym i niemal jedynym źródłem poezji. Zważywszy to, co napisali najwięksi poeci, jacy pojawili się od chwili, kiedy świat zwrócił się ku demokracji, można nabrać w tym względzie pewności.

Poeci, którzy w naszych czasach tak wspaniale opisali postaci Childe Harolda, René i Jocelyna, nie starali się opowiedzieć o czynach jakiegoś człowieka — pragnęli oświetlić i podkreślić pewne strony ludzkiego serca, które są jeszcze dla nas ciemne.

To są właśnie poematy demokracji.

Równość nie niszczy zatem wszystkich tematów poezji. Sprawia, że jest ich mniej, ale te, które pozostają, są rozleglejsze.

. . . . . .

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kilka uwag o teatrze społeczeństw demokratycznych

Kiedy skutki rewolucji, która przekształciła układ społeczny i polityczny społeczeństwa arystokratycznego, zaczynają ujawniać się w twórczości literackiej, to pierwsze widoczne jej ślady znaleźć można najczęściej w teatrze. Tam też dzieło rewolucji zawsze pozostaje widoczne.

Widz, który ogląda dzieło dramatyczne, jest zawsze w pewnym stopniu zaskakiwany przez wrażenia, jakie odbiera. Nie ma czasu ani na to, by sięgnąć do swojej pamięci, ani na to, by zapytać znawców. Nie stara się więc zwalczać nowych instynktów literackich, które w nim wzbudzono, i ulega im, zanim je pozna.

Autorzy szybko odkrywają utajone jeszcze upodobania publiczności i dostosowują do nich swoją twórczość. W ten sposób sztuki teatralne, które były pierwszym hasłem przewrotu literackiego, wkrótce przyczyniają się do jego tryumfu. Jeżeli chcemy zatem się dowiedzieć, jaka będzie literatura społeczeństwa, które zwraca się ku demokracji, zbadajmy najpierw jego teatr.

Sztuki teatralne stanowią zresztą nawet w czasach panowania arystokracji najbardziej demokratyczną część literatury. Oglądanie przedstawień jest najbardziej dostępnym dla tłumu literackim przeżyciem. Aby go doświadczyć, nie trzeba ani przygotowania, ani studiów. Przedstawienie zaskakuje człowieka całkowicie pogrążonego w przesądach i niewiedzy. Kiedy na poły jeszcze prymitywne zamiłowanie do radości duchowych zaczyna pojawiać się w jakiejś warstwie społecznej, popycha ono ludzi przede wszystkim do teatru. Teatry narodów arystokratycznych zawsze były wypełnione widzami, którzy wcale nie należeli do arystokracji. Tylko w teatrze klasy wyższe mieszały się z klasami średnimi i niższymi i tylko tam arystokracja godziła się, jeżeli nie podzielać, to przynajmniej znosić reakcję klas niższych. Właśnie w teatrze najtrudniej przychodziło ludziom wykształconym i obytym ze sztuką narzucić swoje gusta ludowi i uchronić się przed przyjęciem upodobań ludu. Parter często dyktował swoje prawa lożom.

Skoro arystokracji trudno jest nie dopuścić do tego, by teatr został opanowany przez lud, łatwo przewidzieć, że lud musi tam królować niepodzielnie w czasach, kiedy zasady demokratyczne, przenikając do praw oraz obyczajów, doprowadziły do przemieszania pozycji społecznych, zbliżenia umysłów i majątków oraz do tego, że wyższe warstwy wraz z dziedzicznymi bogactwami utraciły swoją władzę, swoje tradycje i porzuciły swój styl życia.

Upodobania i instynkty literackie właściwe społeczeństwom demokratycznym ujawniają się więc najpierw w teatrze i można się spodziewać, że wtargną doń gwałtownie. W twórczości pisarskiej prawa literackie epoki arystokracji będą przekształcać się powoli, stopniowo, w sposób, by tak rzec, legalny. W teatrze zostaną burzliwie obalone.

Teatr stanowi odzwierciedlenie większości zalet i niemal wszystkich ułomności właściwych literaturze epoki demokracji.

Społeczeństwa demokratyczne niewielkie mają poważanie dla erudycji i w ogóle nie zaprząta ich to, co działo się w Rzymie czy Atenach. Oczekują, by mówiono im o nich samych, i domagają się przedstawiania teraźniejszości.

Tam, gdzie starożytni bohaterowie i starożytne obyczaje często ukazywane są na scenie, gdzie trwa wierność antycznym tradycjom, demokratyczne warstwy nie opanowały jeszcze teatru.

W przedmowie do *Brytannika* Racine tłumaczy się pokornie z tego, że umieścił Junię w gronie westalek, gdzie według Geliusza — jak powiada — «nie przyjmowano nikogo poniżej sześciu ani powyżej dziesięciu lat». Można przypuszczać, że Racine nie uważałby za stosowne oskarżać się o podobne przestępstwo, gdyby pisał w naszych czasach.

Tego rodzaju fakt wiele mi mówi nie tylko o literaturze tamtych czasów, ale i o samym społeczeństwie. Istnienie teatru demokratycznego nie dowodzi, że w społeczeństwie panuje demokracja, ponieważ jak się przekonaliśmy, nawet w systemie arystokratycznym może się zdarzyć, że demokratyczne gusta wywierają wpływ na scenę. Kiedy jednak duch arystokracji wyłącznie panuje w teatrze, świadczy to niezbicie, że całe społeczeństwo jest społeczeństwem arystokratycznym i można śmiało wnosić, że ta sama wykształcona warstwa, która kieruje ręką autorów, panuje także nad ludem i prowadzi sprawy publiczne.

Kiedy arystokracja włada teatrem, rzadko się zdarza, by jej wyrafinowane gusta i wzniosłe skłonności nie prowadziły jej do pewnego wyboru pośród tematów traktujących o ludzkiej naturze. Interesują ją przede wszystkim określone warunki społeczne i na scenie lubi oglądać ich wizerunek; pewne cnoty, a nawet niektóre słabości ludzkie wydają się jej godne przedstawiania; te wprowadza więc do swych sztuk, odwracając wzrok od innych. W teatrze, jak i gdzie indziej, pragnie spotykać wyłącznie wielkich panów i wzruszają ją tylko losy królów. To samo dotyczy stylu. Arystokracja chętnie narzuca autorom dramatycznym pewien styl i domaga się, by wszystko było powiedziane w ten właśnie sposób.

W rezultacie teatr ukazuje człowieka jednostronnie lub nawet przedstawia to, co w ogóle w ludzkiej naturze nie istnieje. Porzuca ją i wznosi się ponad nią.

W społeczeństwach demokratycznych widzowie nie mają podobnych upodobań i rzadko przejawiają podobne antypatie. Lubią odnajdywać na scenie chaotyczną mieszaninę losów, uczuć i idei, z którą mają do czynienia we własnym życiu. Teatr staje się wówczas bardziej zajmujący, bardziej prymitywny — i prawdziwszy.

Autorzy, którzy pisują dla teatru w społeczeństwie demokratycznym, również niejednokrotnie wykraczają poza ludzką naturę, ale czynią to na innej zasadzie niż ich poprzednicy. Chcąc mianowicie pieczołowicie oddać drobne szczegóły aktualnych wydarzeń oraz osobliwości poszczególnych postaci, zapominają o oddaniu charakteru całego rodzaju ludzkiego.

Kiedy w teatrze panują warstwy demokratyczne, pozostawiają one autorom pełną swobodę zarówno w sposobie podejścia do tematu, jak i w samym jego wyborze.

Ponieważ zamiłowanie do teatru jest najbardziej demokratycznym spośród wszystkich artystycznych upodobań, w demokracji nieustannie wzrasta liczba autorów, widzów i przedstawień. Niepodobna, by takie mnóstwo przedstawień, zbudowanych z tak różnych elementów i odbywających się w tak różnych miejscach, poddawało się tym samym regułom i prawom. Zgodność opinii bardzo licznych sędziów, którzy nie mogą się spotkać i swoje wyroki wydają niezależnie od siebie, jest niepodobieństwem. Jeżeli rezultatem demokracji jest, ogólnie rzec biorąc, podanie w wątpliwość reguł i konwencji literackich, to w teatrze zostają one całkowicie obalone i zastąpione kaprysem konkretnego autora lub publiczności.

W teatrze daje się również najlepiej zauważyć zjawisko, o którym mówiłem na innym miejscu przy okazji omawiania stylu i rzemiosła literatury demokratycznej. Kiedy zapoznajemy się z krytyką, jaką wzbudziły dzieła dramatyczne epoki Ludwika XIV, zdumiewa nas przywiązanie publiczności do zasady prawdopodobieństwa akcji oraz do tego, by postacie pozostawały zawsze w zgodzie z sobą i nie popełniały niezrozumiałych i niewytłumaczalnych czynów. Zadziwia również znaczenie, jakie przypisywano formom językowym, i boje o pojedyncze słowa, jakie toczono z autorami dramatycznymi.

Wydaje się, że ludzie epoki Ludwika XIV przypisywali przesadne znaczenie szczegółom, które dają się zauważyć przy biurku, ale umykają na scenie. Celem sztuki teatralnej jest w końcu wystawienie, a największą zasługą — wzruszanie. Widzowie tamtej epoki byli wszelako jednocześnie czytelnikami. Po wyjściu z przedstawienia powracali do tekstu sztuki, by osądzić ją do końca.

W czasach demokracji ogląda się sztuki teatralne, ale się ich nie czyta. Większość ludzi chodzących do teatru szuka żywych emocji, a nie doznań duchowych. Nie oczekują, że znajdą tam dzieło literackie, lecz spektakl, i są zadowoleni, jeżeli autor posługuje się poprawnym i zrozumiałym językiem,

a jego bohaterowie wzbudzają ciekawość oraz sympatię. Niczego więcej nie wymagają od fikcji i natychmiast łączą ją z rzeczywistością. Styl nie ma więc zbytniego znaczenia, ponieważ jego reguły umykają na scenie uwagi publiczności.

Co się tyczy prawdopodobieństwa akcji, to nie sposób ciągle zaskakiwać nowością i szybkością nieoczekiwanych wydarzeń, pozostając wiernym jego nakazom. Autorzy lekceważą więc prawdopodobieństwo, a publiczność to wybacza. Mogą być pewni, że publiczność nie będzie się interesowała sposobami, jakich użyto, by pokazać jej coś, co ją wzrusza. Nigdy nie będzie wyrzucała autorowi, że wzruszał ją wbrew regułom.

Amerykanie mają taki właśnie stosunek do teatru. Trzeba jednak przyznać, że na razie niewielu spośród nich chodzi do teatru. Wprawdzie liczba widzów i przedstawień nadzwyczajnie wzrosła w Stanach Zjednoczonych od czterdziestu lat, ale ludzie są ciągle jeszcze nader powściągliwi wobec tego rodzaju rozrywek.

Wiąże się to ze szczególnymi okolicznościami, które czytelnik już zna — wystarczy więc przypomnieć je w kilku słowach.

Purytanie, którzy założyli republiki amerykańskie, byli nie tylko przeciwnikami uciech; do teatru żywili szczególną nienawiść. Uważali go za odrażającą rozrywkę i dopóki duch purytanizmu panował bez reszty, przedstawienia dramatyczne były zupełnie nieznane. Owe poglądy założycieli kolonii odcisnęły głębokie ślady w umysłach ich potomków.

Bezwzględna surowość moralna i sztywna obyczajowość, panujące w Stanach Zjednoczonych, nie sprzyjały rozwojowi sztuki teatralnej.

Trudno też o dramatyczne tematy w kraju, który nie zaznał wielkich katastrof politycznych i w którym miłość prostą i łatwą drogą wiedzie zawsze do małżeństwa. Ludzie poświęcający cały tydzień na robienie majątku, a niedzielę na modlitwę do Boga, nie mogą stanowić obiektu zainteresowania dla muzy komicznej.

Dla ukazania niewielkiej popularności teatru w Stanach Zjednoczonych wystarczy przytoczyć jeden fakt.

Amerykanie, których prawa gwarantują wolność słowa, a nawet dopuszczają jej nadużywanie, poddali jednak autorów dramatycznych swego rodzaju cenzurze. Przedstawienia teatralne nie mogą się odbywać bez pozwolenia administracji gminnej. Społeczeństwa są bowiem jak ludzie — nieumiarkowanie oddają się swoim największym namiętnościom, pilnując się bacznie, by za bardzo nie ulec innym, których akurat nie odczuwają.

Dramat jest taką dziedziną literatury, którą szczególnie silne i liczne związki łączą z aktualnym stanem społeczeństwa.

Teatr jakiejś epoki nigdy nie będzie odpowiadał następnej, jeżeli rewolucja zmieni obyczaje i prawa.

Twórczość wielkich pisarzy dawnych epok bywa przedmiotem rozważań, ale nie chodzi się na sztuki napisane dla innej publiczności. Autorzy dramatyczni przeszłości żyją tylko w książkach.

Tradycyjne gusta pewnych ludzi, próżność, moda, geniusz aktora mogą przez pewien czas utrzymać przy życiu arystokratyczny teatr w czasach demokracji, ale niebawem upada on sam z siebie. Nie obala się go, lecz po prostu porzuca.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

O tendencjach właściwych historykom w czasach demokracji

Historycy piszący w czasach arystokracji wyprowadzają zwykle wszystkie wydarzenia z aktów woli i z charakteru jednostek, a najpoważniejsze rewolucje polityczne traktują jako skutek najdrobniejszych wydarzeń. Z wielką przenikliwością śledzą drobne przyczyny, nie zauważając często wielkich.

Historycy żyjący w czasach demokracji przejawiają wręcz przeciwne skłonności. Większość z nich nie przypisuje pojedynczemu człowiekowi żadnego wpływu na losy rodzaju ludzkiego ani też obywatelom wpływu na losy społeczeństwa, wszystkie zaś drobne i partykularne wydarzenia powiązane zostają z wielkimi przyczynami ogólnymi.

Te przeciwstawne tendencje historyków są zrozumiałe.

Historycy czasów arystokracji, przyglądając się widowisku świata, dostrzegają w nim przede wszystkim kilku głównych aktorów, którzy prowadzą całe przedstawienie. Te wielkie postacie działające w przodzie sceny przyciągają ich wzrok. Zajęci odgadywaniem tajemnych motywów skłaniających je do działania, zapominają o całej reszcie.

Waga czynów tych kilku osób daje im wyolbrzymione pojęcie o wpływie, jaki może wywierać jeden człowiek, i wpaja im przekonanie, że powodem poruszeń tłumu są zawsze czyny jednostek.

Kiedy natomiast wszyscy obywatele są niezależni i słabi, nie ma wśród nich takich, którzy mogliby wywierać większy, a w szczególności trwały wpływ na masy. Jednostki wydają się wówczas na pierwszy rzut oka całkowicie wobec mas bezsilne. Wyłania się stąd obraz społeczeństwa, którego rozwój jest wynikiem swobodnego i spontanicznego współdziałania wszystkich obywateli.

To naturalnie skłania do poszukiwania ogólnej przyczyny, która mogła poruszyć tylu ludzi jednocześnie i jednakowo ukierunkować działanie wszystkich.

Jestem przekonany, że nawet w narodach demokratycznych geniusz, przywary i cnoty pewnych osób opóźniają lub przyspieszają naturalny bieg losów społeczeństwa, wszelako te przypadkowe i drugorzędne przyczyny są nieskończenie bardziej różnorodne, ukryte, skomplikowane, mniej potężne i w konsekwencji trudniejsze do odróżnienia i do zbadania w czasach rów-

ności niż w czasach arystokracji, kiedy to wystarczy zanalizować poszczególne działania jednej lub kilku osób na tle ogólnych wydarzeń.

Taki wysiłek szybko męczy historyka: jego myli zatraca się w tym labiryncie, on zaś sam, nie mogąc wyraźnie dojrzeć i wystarczająco naświetlić indywidualnych wpływów, zaprzecza ich istnieniu. Woli mówić o cechach ras, o naturalnych warunkach kraju lub o duchu cywilizacji, co pozwala mu dać czytelnikowi więcej zadowolenia kosztem mniejszej pracy.

Pan de La Fayette napisał gdzieś w swoich *Mémoires*, że przesadne stosowanie zasady ogólnych przyczyn przynosi wielką pociechę miernym politykom. Dodam od siebie, ze przynosi ją również miernym historykom. Zawsze dostarcza bowiem wielkich racji, które wybawiają ich z kłopotu w najtrudniejszym momencie książki i sprzyjają słabości oraz lenistwu myśli, pozornie demonstrując ich głębię.

Co do mnie, uważam, że w każdej epoce część wydarzeń wypada przypisać zjawiskom bardzo ogólnym, część zaś partykularnym wpływom. Te dwie przyczyny są obecne zawsze, różne bywają tylko ich wzajemne proporcje. Ogólne zjawiska tłumaczą więcej w epokach demokratycznych, a partykularne wpływy — mniej. Odwrotnie w czasach arystokracji: partykularne wpływy są silniejsze, a ogólne przyczyny słabsze, pod warunkiem, że nie przyjmujemy za przyczynę ogólną samego zjawiska nierównych możliwości, które pozwala kilku ludziom przeciwstawić się naturalnym tendencjom wszystkich innych.

Historycy pragnący opisać dzieje społeczeństwa demokratycznego mają więc słuszność, kiedy dużo miejsca poświęcają przyczynom ogólnym i te przede wszystkim starają się odkryć. Lecz nie mają racji, kiedy całkowicie zaprzeczają indywidualnym wpływom dlatego tylko, że szukanie i badanie ich sprawia im kłopot.

Historycy piszący w czasach demokracji nie tylko mają skłonność do szukania ogólnej przyczyny dla każdego faktu, ale wykazują również tendencję do wiązania faktów ze sobą i do konstruowania z nich systemów.

Ponieważ w czasach arystokracji uwaga historyków jest stale zwrócona na poszczególnych ludzi, umyka im związek wydarzeń czy też raczej nie wierzą, by takowy istniał. Wątek historii zdaje im się rwać co chwila skutkiem interwencji jakiegoś człowieka.

Przeciwnie w czasach demokracji, gdy historyk, znacznie mniej zwracając uwagę na aktorów, a znacznie więcej na działania, łatwo może ustalić ich związek oraz ułożyć je wedle metodycznego porządku.

Literatura starożytna, która pozostawiła nam tak piękne dziejopisarstwo, nie stworzyła ani jednego wielkiego historycznego systemu, podczas gdy obfitują w nie najskromniejsze spośród współczesnych literatur narodowych. Wydaje się, że starożytni historycy nie wykorzystywali odpowiednio ogólnych teorii, których nasi zawsze są gotowi nadużyć.

Dziejopisowie demokracji mają jeszcze jedną, bardziej niebezpieczną skłonność.

Gubiąc ślad oddziaływania poszczególnych ludzi na narody, stajemy przed wizerunkiem świata, który porusza się, choć nigdzie nie udaje nam się dostrzec przyczyny ruchu. Ponieważ bardzo trudno jest wtedy odkryć i zanalizować przyczyny, które działając na wolę każdego obywatela z osobna doprowadzają do działań społecznych, dochodzimy do przekonania, że ruchy te nie są dobrowolne i że społeczeństwa nieświadomie posłuszne są wyższej sile która nad nimi panuje.

Nawet odkrycie faktu ogólnego, który kieruje wolą wszystkich jednostek, nie ratuje bynajmniej ludzkiej wolności. Przyczyna dostatecznie rozległa, by można ją było stosować jednocześnie do milionów ludzi, i dostatecznie silna, by ich wszystkich skłonić ku temu samemu, wydaje się nieprzezwyciężona. Fakt, że ludzie jej ulegają, budzi przekonanie, że oprzeć się jej niepodobna.

Demokratyczni historycy nie tylko zatem odmawiają pojedynczym obywatelom mocy oddziaływania na losy narodu, ale również samym społeczeństwom odbierają zdolność kształtowania swego własnego losu, podporządkowując je albo nieugiętej Opatrzności, albo jakiejś ślepej konieczności. Przez swą pozycję, swoje pochodzenie, historię, i warunki naturalne każdy naród jest ich zdaniem nieuchronnie związany jakimś nieubłaganym przeznaczeniem. Prawidłowość tę rozciągają na wszystkie pokolenia i posuwając się w ten sposób od stulecia do stulecia, i od jednego nieuchronnego wydarzenia do drugiego, docierają aż do początku świata, tworząc nierozerwalny i ogromny łańcuch, który obejmuje i łączy cały rodzaj ludzki.

Nie zadowalają się pokazaniem, w jaki sposób doszło do pewnych wydarzeń — z upodobaniem dowodzą, że nie mogło stać się inaczej. Ukazują naród, który osiągnął jakiś etap swojej historii, i twierdzą, że był on zmuszony do przyjęcia drogi, która go doprowadziła do tego punktu. To jest łatwiejsze od powiedzenia, co mianowicie mógł był zrobić, by obrać lepszą.

Kiedy czytamy historyków epoki arystokracji, a szczególnie historyków starożytnych, wydaje nam się, że człowiekowi wystarczy zostać panem samego siebie, by stać się zarazem panem swego losu i losu bliźnich. Czytając dzieła historyczne naszych czasów można by przypuszczać, że człowiek nie ma wpływu ani na własny los, ani na otoczenie. Historycy starożytni uczyli rządzić, historycy naszych czasów uczą tylko słuchać. W ich książkach autor często wydaje się wielki, ale ludzkość jest zawsze mała.

Jeżeli owa doktryna konieczności historycznej, tak pociągająca dla demokratycznych historyków, przedostałaby się z książek do umysłów czytelników i zawładnęła duchem publicznym, niebawem sparaliżowałaby nowe społeczeństwa i chrześcijan zamieniłaby w Turków.

Powiem też, że ta doktryna jest szczególnie niebezpieczna właśnie w naszych czasach. Nasi współcześni są aż nazbyt skłonni wątpić w wolną wolę,

ponieważ każdy z nich czuje się we wszystkim skrępowany przez własną słabość, lecz przyznają jeszcze siłę i niezależność ludziom zjednoczonym w społeczeństwie. Strzeżmy się, byśmy nie zatracili tej idei, ponieważ chodzi o to, by wznieść dusze wyżej, nie zaś o to, by je złamać.

. . . . . .

Część druga
WPŁYW DEMOKRACJI NA UCZUCIA AMERYKANÓW

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dlaczego społeczeństwa demokratyczne są bardziej rozmiłowane w równości niż w wolności

Najpierwszą i najwyższą spośród namiętności zrodzonych przez równość możliwości jest oczywiście umiłowanie tej równości. Dlatego o niej najprzód będę mówił.

Każdy widzi, że w naszych czasach, szczególnie we Francji, owa namiętność równości z każdym dniem zajmuje więcej miejsca w ludzkich sercach. Powtarzano setki razy, że nasi współcześni znacznie bardziej żarliwie i uparcie rozmiłowali się w równości niż w wolności, nie sądzę jednak, aby dotąd wystarczająco wyjaśniono przyczyny tego zjawiska. Spróbuję to uczynić.

Wyobraźmy sobie taką sytuację, w której wolność i równość spotykają się i łączą.

Zakładam, że wszyscy obywatele biorą udział w rządzeniu i że każdy z nich ma równe do tego prawo.

Skoro nikt nie będzie tedy różnił się od swych bliźnich, nikt nie będzie mógł sprawować władzy tyrańskiej. Ludzie będą doskonale wolni, ponieważ wszyscy będą całkowicie równi, i będą doskonale równi, ponieważ będą całkowicie wolni. Ku takiemu właśnie ideałowi zmierzają społeczeństwa demokratyczne.

Oto najpełniejszy kształt, jaki równość może przybrać na ziemi: istnieje jednak tysiąc innych, które nie będąc aż tak doskonałymi, są jednak równie bliskie społeczeństwom demokratycznym.

Równość może na przykład zapanować w życiu społecznym, nie obejmując rzeczywistości politycznej. Ludzie mogą mieć prawo oddawania się tym samym rozrywkom, obierania tych samych zawodów, spotykania się w tych samych miejscach — jednym słowem życia i dorabiania się w ten sam sposób, nie biorąc jednocześnie takiego samego udziału w rządzeniu.

Pewnego rodzaju równość może nawet zaistnieć w życiu politycznym, w którym brak będzie wolności. Wszyscy ludzie mogą być równi, wyjąwszy jednego człowieka, który panuje nad wszystkimi bez różnicy i który spośród wszystkich obywateli dobiera sobie urzędników.

Można bez trudu przytoczyć wiele jeszcze innych hipotez, według których równość może się łączyć z mniej lub bardziej wolnymi instytucjami, czy też z instytucjami, które wcale nie są wolne.

Chociaż ludzie nie mogą stać się absolutnie równi nie będąc całkowicie wolnymi i choć równość łączy się ostatecznie z wolnością, odróżnianie jednej od drugiej jest zabiegiem uzasadnionym.

Upodobanie, jakie ludzie mają dla równości, oraz to, jakie żywią dla wolności, to przecież dwie różne sprawy. Co więcej, stwierdzam, że w społeczeństwach demokratycznych są to sprawy niewspółmierne.

Zauważmy, że w każdej epoce istnieje jakiś fakt szczególny i dominujący, z którym wiążą się wszystkie pozostałe; fakt ten daje zawsze początek pewnej podstawowej myśli lub zasadniczej namiętności, która w końcu pociąga za sobą wszystkie uczucia i myśli. Jest jak wielka rzeka, ku której wydają się zmierzać wszystkie strumyki.

Wolność objawiała się ludziom w różnych czasach i w różnych kształtach; nie związała się ściśle z jednym tylko układem społecznym i istnieje nie tylko w ustroju demokratycznym. Nie stanowi ona zatem cechy wyróżniającej epoki demokracji.

Szczególnym i dominującym zjawiskiem, jakie wyróżnia epokę demokracji, jest równość możliwości. Główną namiętnością, jaka rządzi ludźmi tych czasów, jest umiłowanie owej równości.

Nie pytajmy, jaki urok posiada dla ludzi epoki demokracji życie w stanie równości; nie pytajmy też o szczególne powody, jakie im nakazują upierać się przy równości bardziej niż przy jakichkolwiek innych dobrach dostępnych w życiu społecznym; równość jest wyróżniającą cechą czasów, w których żyją — to samo wystarczy, by wytłumaczyć, dlaczego przedkładają ją nad wszystkie inne.

Niezależnie jednak od tych powodów istnieją i inne liczne przyczyny, które we wszystkich czasach skłaniają ludzi do przedkładania równości nad wolność.

Gdyby jakieś społeczeństwo chciało kiedykolwiek zniszczyć lub tylko ograniczyć równość w nim panującą, kosztowałoby to je wiele długotrwałych i ciężkich wysiłków. Musiałoby ono przekształcić swój układ społeczny, obalić swoje prawa, odnowić idee, przeobrazić zwyczaje, przekształcić obyczaje. Natomiast wolność polityczną jest łatwiej utracić: wystarczy jej nie zatrzymywać — sama ucieknie.

Ludzie obstają więc przy równości nie tylko dlatego, że jest im droga; przywiązują się do niej także dlatego, że wierzą w jej trwałość.

Nie ma ludzi tak ograniczonych i tak lekkomyślnych, by nie zdawali sobie sprawy, że wynaturzenia wolności politycznej narażają spokój, własność oraz życie poszczególnych obywateli. Natomiast tylko ludzie myślący i przewidujący dostrzegają niebezpieczeństwa, jakie kryje w sobie równość, ale na ogół ich nie sygnalizują. Wiedzą, że nieszczęścia, jakich się obawiają, są na razie odległe, i łudzą się, że dotkną one dopiero przyszłe pokolenia, o które nie muszą się troszczyć. Zło, jakie przynosi czasem wolność, jest naty-

chmiastowe, dla wszystkich widoczne i przez wszystkich mniej lub bardziej doświadczane. Natomiast zło, jakie może przynieść krańcowa równość, objawia się stopniowo i stopniowo zakrada się do organizmu społecznego — najpierw jest ledwie widoczne, a potem, kiedy staje się wyraźne, ludzie na tyle się już doń przyzwyczaili, że go nie odczuwają.

Dobro, jakie przynosi wolność, ujawnia się dopiero po dłuższym czasie, a jego przyczyna pozostaje częstokroć zapoznana.

Dobrodziejstwa równości dają się odczuć natychmiast, a ich źródło jest wyraźnie widoczne.

Wolność polityczna daje od czasu do czasu głębokie satysfakcje pewnej liczbie obywateli.

Równość co dzień dostarcza wielu małych korzyści każdemu obywatelowi. Uroki równości dają o sobie znać na każdym kroku i są dostępne dla wszystkich. Najszlachetniejsze serca nie pozostają na nie obojętne, lubują się w nich także najpospolitsze dusze. Namiętność zrodzona przez równość jest więc zarazem intensywna i powszechna.

By móc cieszyć się wolnością, trzeba ją zdobyć za cenę wyrzeczeń i wielkich wysiłków. Za to radości, jakie daje równość, narzucają się same. Wydaje się, że przynosi je każde małe wydarzenie prywatnego życia i wystarczy tylko żyć, by ich zaznać.

Społeczeństwa demokratyczne zawsze są rozmiłowane w równości, wszelako zdarzają się epoki, w których ta namiętność graniczy ze stanem upojenia. Dzieje się tak w chwili, gdy od dawna zagrożona hierarchia społeczna po ostatniej próbie oporu zostaje nareszcie zburzona, a bariery społeczne, które dotąd dzieliły obywateli, znikają. Ludzie cieszą się wówczas z równości jak ze zdobycznych dóbr i przywiązują się do niej jak do skarbu, który ktoś zamierza im wydrzeć. Namiętność równości przenika do głębi serc i zagarnia je bez reszty. Nie próbujcie wtedy mówić ludziom, że oddając się tak ślepo tej wyłącznej namiętności, narażają swoje najbardziej żywotne interesy — są głusi. Nie próbujcie im pokazać, jak wolność wymyka się im z rąk, podczas gdy są zajęci czym innym — są ślepi, czy raczej nie widzą nic oprócz jednego dobra godnego pożądania.

Dotyczy to wszystkich społeczeństw demokratycznych; natomiast to, co teraz powiem, dotyczy jedynie Francji.

W większości nowoczesnych narodów, a w szczególności we wszystkich narodach kontynentu europejskiego, umiłowanie i idea wolności narodziły się i rozwinęły dopiero wtedy, kiedy możliwości zaczęły stawać się równe. Narodziły się więc jako konsekwencja równości. Absolutni władcy usilnie starali się zrównać swoich poddanych. W tych społeczeństwach równość poprzedzała wolność i była już dawno znana, kiedy wolność pojawiła się jako coś nowego. Równość stworzyła już odpowiednie poglądy, nawyki i prawa, kiedy wolność po raz pierwszy, całkowicie osamotniona, ukazała się lu-

dziom. Wolność istniała dopiero w sferze idei oraz upodobań, kiedy równość przeniknęła już do zwyczajów, wrosła w obyczaje i nadała swoisty obrót najdrobniejszym zjawiskom życia społecznego. Jakże tu się dziwić, że ludzie naszych czasów wyżej cenią równość od wolności?

Społeczeństwa demokratyczne mają naturalne upodobanie do wolności. Pozostawione sobie samym poszukują — jej, kochają ją i z bólem się z nią rozstają. Lecz dla równości żywią gwałtowną, nienasyconą, trwałą i nieprzezwyciężoną namiętność. Pragną równości w stanie wolności, a jeżeli nie mogą tego osiągnąć, to pragną jej także w zniewoleniu. Będą znosiły nędzę, jarzmo niewoli, barbarzyństwo, ale nie ścierpią arystokracji.

Ta prawda odnosi się do wszystkich czasów, a zwłaszcza do naszych. Wszyscy ludzie i wszelkie siły, które zechcą walczyć przeciwko tej nieodpartej potędze, zostaną przez nią obalone i zniszczone. W naszych czasach wolność nie może istnieć bez oparcia w równości, a nawet sam despotyzm nie jest w stanie panować bez jej pomocy.

ROZDZIAŁ DRUGI

O indywidualizmie w krajach demokratycznych

Mówiłem o tym, że w czasach równości każdy człowiek czerpie swoje przeświadczenia z samego siebie. Teraz chcę pokazać, jak ku sobie samemu zwraca również uczucia.

«Indywidualizm» to nowy termin, powstały z całkiem nowej idei. Nasi przodkowie znali tylko egoizm.

Egoizm jest to namiętna i przesadna miłość własna, która sprawia, że człowiek odnosi wszystko do siebie i że własna osoba interesuje go najbardziej.

Indywidualizm to uczucie spokojne i umiarkowane, które sprawia, że każdy obywatel izoluje się od zbiorowości i trzyma się na uboczu wraz ze swą rodziną i przyjaciółmi. Stwarzając sobie w ten sposób na własny użytek swoje małe społeczeństwo pozostawia wielkie społeczeństwo jego własnym losom.

Egoizm rodzi się ze ślepego instynktu; indywidualizm powstaje raczej z niewłaściwego sposobu myślenia niż z deprawacji uczuć. Indywidualizm bierze początek zarówno w ułomności serca, jak i w błędach umysłu.

Egoizm wysusza źródła wszelkich cnót, indywidualizm natomiast najpierw zabija tylko zalążek cnót publicznych. Po dłuższym czasie atakuje jednak i niszczy wszystkie inne i w końcu przeistacza się w egoizm.

Egoizm jest wadą starą jak świat i nie łączy się z jakimiś określonymi formami społecznymi.

Indywidualizm ma źródło w demokracji i rośnie w miarę rozwoju równych możliwości.

W społeczeństwach arystokratycznych rody zachowują w ciągu wieków tę samą pozycję i częstokroć życie ich upływa w tym samym miejscu. To sprawia, że wszystkie pokolenia są, jeżeli można tak powiedzieć, sobie współczesne. Człowiek prawie zawsze zna swoich przodków i szanuje ich, zda mu się, że widzi już swoich prawnuków, i kocha ich. Czuje się odpowiedzialny za jednych i drugich, często mu się też zdarza poświęcać swoje osobiste korzyści dla tych istot, których już nie ma lub których jeszcze nie ma.

Instytucje arystokratyczne mają również to do siebie, że ściśle wiążą każdego człowieka z wieloma współobywatelami.

Ponieważ w społeczeństwie arystokratycznym warstwy społeczne wyraźnie odróżniają się od siebie i trwają w bezruchu, każda z nich staje się dla

swoich przedstawicieli czymś w rodzaju bliższej i droższej od całego kraju małej ojczyzny.

Z tego, że w społeczeństwie arystokratycznym wszystkim obywatelom przysługuje stała pozycja w hierarchii, wynika również, że każdy z nich ma zawsze ponad sobą człowieka, którego wsparcia potrzebuje, a poniżej siebie ludzi, od których może domagać się pomocy.

Ludzie żyjący w czasach arystokracji są więc niemal zawsze ściśle powiązani z czymś, co znajduje się poza nimi, i dlatego często zdarza im się zapominać o sobie. To prawda, że w takich czasach pojęcie bliźniego jest mętne i że nikt nie poświęca się dla sprawy ludzkości — ludzie poświęcają się jednak dla pewnych ludzi.

W czasach demokracji, kiedy każdy człowiek wyraźniej widzi swoje obowiązki wobec ludzkości, poświęcanie się dla określonego człowieka jest rzadkością — związki emocjonalne między ludźmi rozszerzają się, ale są luźniejsze.

W społeczeństwach demokratycznych ciągle pojawiają się nowe rody, a zanikają dawne; te, którym udaje się przetrwać, przeobrażają się nieustannie; wątek dziejów zrywa się co chwila, zacierają się ślady poprzednich pokoleń. Ludzie łatwo zapominają o tych, którzy żyli przed nimi, a o tych, którzy po nich przyjdą, nie myślą ani trochę. Interesują się tylko swoimi najbliższymi.

Skoro każda warstwa zbliża się do pozostałych i miesza z nimi, jej członkowie stają się obojętni i obcy sobie wzajem. System arystokratyczny połączył wszystkich obywateli w długi łańcuch, który ciągnął się od chłopa do króla. Demokracja zerwała ten łańcuch i rozdzieliła wszystkie jego ogniwa.

W miarę jak możliwości stają się równe, przybywa ludzi, którzy nie będąc już dosyć bogatymi i silnymi, by wywierać wielki wpływ na losy bliźnich, zdobyli jednak czy też zachowali dostateczne wykształcenie oraz majątek, by wystarczyć samym sobie. Ludzie ci nikomu nic nie zawdzięczają i od nikogo niczego nie oczekują; przywykli do tego, by myśleć o sobie, i są przekonani, że ich los leży w ich własnych rękach.

W ten sposób demokracja nie tylko każe ludziom zapominać o przodkach, ale również pozbawia ich myśli o potomkach i odsuwa ich od współczesnych. Demokracja stale sprowadza człowieka do niego samego i może go skazać na całkowite zamknięcie w kręgu własnej samotności.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dlaczego indywidualizm jest najsilniejszy w końcowym okresie rewolucji demokratycznej

Izolowanie się ludzi i wynikający stąd egoizm najbardziej rzucają się w oczy w momencie, kiedy społeczeństwo demokratyczne właśnie się uformowało na ruinach arystokratycznego świata.

Obywatele tego społeczeństwa to nie tylko ludzie od siebie niezależni. To ludzie, którzy niezależność uzyskali dopiero co i teraz upajają się swoją nowo zdobytą potęgą. Ich charakterystyczną cechą jest pełna zarozumialstwa wiara we własne siły. Ponieważ nie wyobrażają sobie, by kiedykolwiek musieli liczyć na pomoc innych, nie ukrywają faktu, że interesują się wyłącznie sobą.

System arystokratyczny upada dopiero po dłuższej walce, podczas której pomiędzy poszczególnymi warstwami rodzą się nieprzejednane nienawiści. Namiętności te są trwalsze od samej walki i ślady ich odnaleźć można jeszcze po zwycięstwie demokracji, wśród chaosu nowo powstałej rzeczywistości.

Obywatele, którzy zajmowali pierwsze miejsca w obalonej hierarchii społecznej, nie od razu potrafią zapomnieć o swojej minionej wielkości i długo jeszcze uważają się w nowym społeczeństwie za obcych. We wszystkich równych im obywatelach tego społeczeństwa widzą prześladowców; tych zaś, którzy kiedyś byli im równi, stracili z oczu i nie czują się związani z ich losem wspólnotą interesów. Każdy z nich trzyma się więc na uboczu i zajmuje się wyłącznie własnymi sprawami. Natomiast ludzie, którzy kiedyś zajmowali niskie miejsce w hierarchii społecznej i których rewolucja gwałtownie podniosła do poziomu wszystkich obywateli, z nowo zdobytej niezależności korzystają z pewnym ukrywanym niepokojem. Znajdując teraz obok siebie swoich dawnych panów patrzą na nich z tryumfem i obawą zarazem i trzymają się od nich z daleka.

Zazwyczaj więc najbardziej skłonni do odsuwania się od innych ludzi są obywatele nowo powstałych społeczeństw demokratycznych.

Demokracja odstręcza ludzi od zbliżania się do bliźnich, ale rewolucja demokratyczna każe im wręcz od siebie uciekać i pośród równości podtrzymuje nienawiści zrodzone przez nierówność.

Wielka przewaga Amerykanów polega na tym, że osiągnęli demokrację nie doświadczywszy rewolucji demokratycznej oraz urodzili się równi, miast dopiero równymi się stawać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W jaki sposób Amerykanie zwalczają indywidualizm za pomocą wolnych instytucji

Despotyzm, który z natury swojej jest tchórzliwy, w izolowaniu ludzi od siebie widzi najpełniejszą rękojmię własnej trwałości i zwykle dokłada wszelkich starań, by ich dzielić. Ze wszystkich ludzkich wad egoizm najbardziej mu sprzyja: despota łatwo wybacza rządzonym, iż go nie kochają, byleby tylko nie kochali się między sobą. Nie wymaga od nich pomocy w rządzeniu państwem; wystarczy, żeby nie dążyli do przejęcia władzy. Ludzi, którzy pragną połączyć swe wysiłki dla tworzenia wspólnego dobra, uważa za duchy wichrzycielskie i niespokojne, a przeinaczając właściwy sens słów dobrymi obywatelami nazywa tych, którzy zamykają się we własnych czterech ścianach.

Tak więc wady, które rodzi despotyzm, to dokładnie te same wady, którym sprzyja równość. Te dwie rzeczy w sposób zgubny uzupełniają się i wspomagają nawzajem.

Równość umieszcza ludzi w jednym rzędzie, nie wiążąc ich ze sobą w żaden sposób. Despotyzm wznosi między nimi bariery i dzieli ich. Równość pozbawia ludzi myśli o bliźnich, despotyzm z obojętności czyni cnotę publiczną.

Despotyzm, który jest zawsze niebezpieczny, szczególne obawy winien wzbudzać w epoce demokracji. Łatwo bowiem dostrzec, że w tej epoce ludzie szczególnie potrzebują wolności.

Obywatele, zmuszeni do zajmowania się sprawami publicznymi, zostają wyrwani z kręgu spraw prywatnych i na pewien czas porzucają myśl o sobie.

Z chwilą gdy wszystkie wspólne sprawy zaczynają być wspólnie rozważane, każdy człowiek zdaje sobie sprawę, że nie jest tak niezależny od innych, jak to sobie początkowo wyobrażał, oraz zaczyna pojmować, że aby zdobyć w innych oparcie, trzeba samemu ich wspierać.

Kiedy rządzi całe społeczeństwo, każdy obywatel poznaje cenę społecznej życzliwości i zabiegając o szacunek i sympatię ludzi, wśród których przyszło mu żyć, usiłuje sobie tę życzliwość zjednać.

Wówczas wiele spośród uczuć, które prowadzą do społecznej obojętności, chroni się i zataja w głębi duszy. Duma ukrywa się, pogarda nie śmie się ujawnić. Egoizm lęka się samego siebie.

W kraju rządzonym przez wolność, gdzie funkcje publiczne są w większości wybieralne, ludzie, którym wygórowane ambicje lub niespokojne pra-

gnienia nie pozwalają zamykać się w kręgu spraw prywatnych, zaczynają zdawać sobie sprawę z tego, że nie obejdą się bez pomocy otoczenia.

Zdarza się wówczas, że ambicja kieruje myśl ludzi ku bliźnim i że w zapomnieniu o sobie widzą oni swój interes. Wszystkie intrygi powstające przy okazji wyborów, wszystkie niegodne środki, jakimi często posługują się kandydaci, wszystkie oszczerstwa, jakie rozpowszechniają ich wrogowie, wydają się temu zaprzeczać. Są to okazje, w których budzą się nienawiści; takie okazje zdarzają się tym częściej, im częściej następują wybory.

Jest to niewątpliwie wielkie zło, ale zło przemijające; dobro, które rodzi się razem z nim, jest natomiast trwałe.

Pragnienie zdobycia mandatu może chwilowo popychać niektórych ludzi do zwalczania innych, ale to samo pragnienie sprawia w końcu, że ludzie udzielają sobie pomocy. I jeżeli nawet wybory poróżnią przypadkiem dwóch przyjaciół, to system wyborczy w ogólności ma to do siebie, że trwale zbliża obywateli, którzy w przeciwnym razie pozostaliby sobie obcy. Wolność rodzi partykularne nienawiści, despotyzm natomiast — powszechną obojętność.

Za pomocą wolności Amerykanie wypowiedzieli walkę indywidualizmowi zrodzonemu przez równość, i walkę tę wygrali.

Amerykańscy prawodawcy wiedzieli, że nie wystarczy przyznać całemu narodowi reprezentacji parlamentarnej, by uleczyć tak zgubną i tak ściśle związaną z życiem demokratycznego społeczeństwa chorobę. Zdawali sobie sprawę, iż należy ponadto dać życie polityczne każdemu regionowi kraju i tą drogą podsunąć obywatelom możliwie najwięcej okazji do współdziałania oraz na każdym kroku wzbudzać u nich poczucie wzajemnej zależności.

Było to mądre postępowanie.

Ogólne sprawy kraju zajmują tylko polityków. Ci zaś jedynie z rzadka spotykają się, po czym wkrótce tracą się z oczu. Nie powstają więc między nimi żadne trwałe więzy. Natomiast kiedy chodzi o załatwienie wewnętrznych spraw jakiejś gminy, ludzie pozostają ze sobą w ciągłym kontakcie i są niejako zmuszeni do tego, by znać się i sobie sprzyjać.

Człowieka trudno jest zainteresować losem całego państwa, gdyż nie dostrzega on wpływu, jaki los państwa może wywrzeć na jego własne życie. Kiedy jednak zechcemy przeprowadzić obok jego domu publiczną drogę, od razu dostrzeże związek istniejący między tą drobną sprawą publiczną a jego najżywotniejszymi sprawami prywatnymi i sam zrozumie ścisłą zależność interesu osobistego od interesu społecznego.

Obywateli można więc zainteresować dobrem publicznym i wywołać u nich zrozumienie dla współdziałania raczej wtedy, kiedy się im powierzy administrowanie drobnymi sprawami niż kiedy się ich powoła do rządzenia całym państwem.

Łaski społeczeństwa można sobie zjednać za pomocą jednego efektownego posunięcia, ale po to, by zdobyć miłość i szacunek otoczenia, trzeba wielu drobnych i nie przynoszących rozgłosu przysług, stałej życzliwości i dobrze ugruntowanej reputacji człowieka bezinteresownego.

Lokalne swobody, które sprawiają, że większość obywateli ceni sobie życzliwość sąsiadów, zbliżają więc ludzi do siebie i wbrew instynktom, jakie zwykły ich dzielić, zmuszają do wzajemnej pomocy.

. . . . . .

ROZDZIAŁ PIĄTY

O użytku, jaki w życiu społecznym Amerykanie czynią ze stowarzyszeń

Nie mam zamiaru mówić tu o stowarzyszeniach politycznych, za pomocą których ludzie bronią się przed despotyzmem większości bądź przed uroszczeniami władzy królewskiej. Temat ten poruszałem już wcześniej. Jest rzeczą jasną, że gdyby w miarę osłabiania się indywidualnego znaczenia obywateli, a w konsekwencji i ich zdolności do samodzielnej ochrony własnej wolności, każdy z nich nie uczył się sprzymierzać w tym samym celu z bliźnimi, tyrania wzrastałaby nieuchronnie wraz z równością. Zajmę się tutaj wyłącznie stowarzyszeniami społecznymi, których cele nie mają nic wspólnego z polityką.

Stowarzyszenia polityczne stanowią jedynie cząstkę ogromnego systemu stowarzyszeń wszelkiego rodzaju istniejących w Stanach Zjednoczonych.

Niezależnie od wieku, pozycji i poziomu umysłowego Amerykanie nieustannie się stowarzyszają. Mają nie tylko towarzystwa handlowe i przemysłowe, do których należą wszyscy, ale również mnóstwo innych: istnieją stowarzyszenia religijne i moralne, stowarzyszenia o poważnym i błahym charakterze, stowarzyszenia zajmujące się ogólnymi i bardzo szczegółowymi sprawami, stowarzyszenia wielkie i małe. Amerykanie stowarzyszają się w celu organizowania zabaw, tworzenia seminariów, budowania zajazdów, wznoszenia kościołów, rozpowszechniania książek, wysyłania misjonarzy na antypody. W ten właśnie sposób zakłada się w Ameryce szpitale, więzienia, szkoły. Amerykanie stowarzyszają się również i po to, by głosić jakąś prawdę lub przez dostarczenie przykładu rozwijać w społeczeństwie jakieś uczucia. Wszędzie tam, gdzie na czele jakiegoś przedsięwzięcia ujrzycie we Francji rząd, a w Anglii wielkiego pana, w Stanach Zjednoczonych spodziewajcie się ujrzeć stowarzyszenie.

Przyznam, że spotkałem w Ameryce stowarzyszenia, jakich istnienia nie podejrzewałem, i częstokroć przyszło mi podziwiać niezwykłą sztukę, z jaką mieszkańcom Stanów Zjednoczonych udawało się skupić wielu ludzi wokół jednego celu i sprawić przy tym, by dążyli doń dobrowolnie.

Przebywałem później w Anglii, skąd Amerykanie zapożyczyli niektóre prawa oraz liczne zwyczaje, i wydało mi się, że Anglikom daleko jest do tak powszechnego i umiejętnego wykorzystywania stowarzyszeń.

Anglikom często zdarza się dokonywać indywidualnie rzeczy wielkich. Tymczasem w Ameryce nie masz tak niewielkiego przedsięwzięcia, dla któ-

rego ludzie nie założyliby stowarzyszenia. Anglicy uważają stowarzyszenia za skuteczny środek działania, Amerykanie wydają się widzieć w nich jedyny środek, jaki istnieje.

W ten sposób najbardziej demokratycznym krajem na świecie okazuje się ten, w którym ludzie najbardziej udoskonalili sztukę zbiorowego dążenia do celu wspólnych pragnień i tę nowo powstałą wiedzę stosują najczęściej. Czy należy to traktować jako zjawisko przypadkowe, czy też trzeba uznać, że między instytucją stowarzyszeń a równością istnieje konieczny związek?

Społeczeństwa arystokratyczne składają się z ogromnej liczby ludzi, którzy sami nie mogą nic, oraz z niewielu obywateli posiadających wielkie znaczenie i majątki, obywateli, z których każdy zdolny jest dokonywać wielkich przedsięwzięć.

W społeczeństwach arystokratycznych ludzie nie muszą jednoczyć się dla działania, ponieważ są mocno ze sobą związani.

Każdy bogaty i potężny obywatel stoi tam na czele czegoś w rodzaju stałego i przymusowego stowarzyszenia, składającego się ze wszystkich zależnych odeń ludzi, których zmusza on do współdziałania w wykonywaniu swoich zamiarów.

W społeczeństwach demokratycznych natomiast wszyscy obywatele są niezależni i słabi; sami nie mogą dokonywać prawie niczego, a żaden z nich nie jest w stanie zmusić innych do współdziałania. Wszyscy są więc bezradni, o ile nie nauczą się pomagać sobie dobrowolnie.

Gdyby ludzie żyjący w demokratycznym kraju nie mieli ani prawa, ani ochoty do jednoczenia się w celach politycznych, ich niezależność narażona byłaby na wielkie ryzyko, ale mogliby długo zachować swój majątek i wykształcenie. Gdyby zaś nie mieli nawyku stowarzyszania się w celach społecznych, w niebezpieczeństwie znalazłaby się sama cywilizacja. Społeczeństwo, w którym ludzie straciliby możliwość indywidualnego dokonywania wielkich rzeczy nie zyskując możliwości osiągania ich wysiłkiem zbiorowym, szybko powróciłoby do stanu barbarzyństwa.

Niestety, ten sam układ społeczny, który sprawia, że społeczeństwom demokratycznym tak potrzebne są stowarzyszenia, utrudnia jednocześnie ich powstawanie.

Kiedy kilku arystokratów pragnie się stowarzyszyć, przychodzi im to bez trudu. Ponieważ każdy z nich udziela towarzystwu potężnej siły, liczba stowarzyszonych może być bardzo niewielka, skoro zaś stowarzyszeni są nieliczni, łatwo mogą poznać się, rozumieć i przyjąć wspólne zasady działania.

W społeczeństwie demokratycznym nie jest to tak łatwe, ponieważ stowarzyszenie, aby miało tutaj jakiekolwiek znaczenie, musi gromadzić bardzo wiele osób.

Wiem, że wielu moich współczesnych nie zważa na tę trudność. Sądzą oni, że kiedy obywatele stają się słabsi i bezradni, rząd musi być zręczniej-

szy i aktywniejszy, by społeczeństwo robiło to, czego pojedynczy obywatele dokonać już nie potrafią. To stwierdzając, uważają sprawę za rozwiązaną. Ja jednak sądzę, iż się mylą.

Rząd mógłby w Ameryce zastąpić niektóre wielkie stowarzyszenia i w poszczególnych stanach podjęto już takie próby. Lecz jakaż władza polityczna mogłaby kiedykolwiek ogarnąć nieprzebraną liczbę małych przedsięwzięć, które obywatele amerykańscy podejmują nieustannie za pomocą stowarzyszeń?

Łatwo przewidzieć, że zbliżają się czasy, kiedy człowiek nie będzie w stanie samodzielnie wytwarzać najzwyklejszych i niezbędnych do życia przedmiotów. Zadania władzy społecznej zwiększą się więc ogromnie i będą z każdym dniem nadawały jej większe znaczenie. Im skuteczniej władza będzie zastępowała stowarzyszenia, tym bardziej poszczególni ludzie, tracąc nawyk stowarzyszania się, będą potrzebowali jej pomocy, i tak zamknie się łańcuch przyczyn i skutków. Czy dojdzie do tego, że administracja publiczna będzie kierowała wszystkimi przedsięwzięciami, z którymi pojedynczy obywatel nie będzie mógł sobie poradzić? I jeżeli nadejdzie czas, że w konsekwencji podziału własności ziemskiej grunty zostaną tak rozdrobnione, że będą mogły je uprawiać jedynie stowarzyszenia rolników, to czy szef rządu będzie musiał porzucić ster państwa, by stanąć za pługiem?

Gdyby rząd we wszystkim zastąpił stowarzyszenia, moralność i poziom umysłowy demokratycznego społeczeństwa narażone zostałyby na nie mniejsze ryzyko niż jego handel i przemysł.

Tylko w wyniku wzajemnego oddziaływania ludzi na siebie rozwijają się uczucia i idee, rośnie serce i rozkwita umysł człowieka.

Mówiłem o tym, że w krajach demokratycznych to oddziaływanie właściwie nie istnieje. Trzeba więc sztucznie je stworzyć, a tego mogą dokonać tylko stowarzyszenia.

Kiedy arystokraci przyswajają sobie nowe idee lub uczucia, umieszczają je poniekąd na wielkiej scenie, na której sami się ukazują, i wystawiając je w ten sposób na widok tłumu, bez trudu zaszczepiają w umysłach i sercach ludzi.

W krajach demokratycznych tylko władza społeczna jest w stanie działać w podobny sposób, ale jej działanie jest zawsze niewystarczające i często niebezpieczne.

Rząd nie zdoła samodzielnie podtrzymywać i odnawiać obiegu uczuć i idei w wielkim społeczeństwie, tak jak nie jest w stanie brać na siebie wszystkich przedsięwzięć przemysłowych. Jeżeli wkroczy w tę dziedzinę rzeczywistości, wkrótce narzuci społeczeństwu nieznośną tyranię. Dzieje się tak dlatego, że rząd potrafi dyktować jedynie ściśle określone zasady — narzuca więc uczucia i idee, które faworyzuje, i wtedy niełatwo jest odróżnić jego rady od rozporządzeń.

Gorzej, jeżeli uważa, że w jego interesie jest, by wszystko stało w miejscu. Sam będzie trwał wówczas w bezruchu i pogrąży się w dobrowolnej senności. Jest więc niezbędne, by nie działał sam.

W społeczeństwach demokratycznych właśnie stowarzyszenia winny zająć miejsce potężnych jednostek, które przestały istnieć wraz z nastaniem równości.

Skoro tylko jakąś grupę mieszkańców Stanów Zjednoczonych opanuje uczucie lub idea, którą pragną rozpowszechniać, zaczynają poszukiwać się nawzajem, a znalazłszy jednoczą się. Odtąd nie są już oddzielnymi ludźmi, ale widoczną siłą, której działalność służy jako przykład, siłą, która przemawia i której się słucha.

Kiedy pierwszy raz usłyszałem w Stanach Zjednoczonych, że sto tysięcy ludzi publicznie zobowiązało się, że nie będą używać alkoholu, rzecz wydała mi się raczej zabawna i nie mogłem z początku zrozumieć, dlaczego ci tak wstrzemięźliwi obywatele nie zadowolili się po prostu piciem wody we własnym domowym zaciszu.

W końcu pojąłem, że sto tysięcy Amerykanów, zaniepokojonych wzrastającym wokół pijaństwem, postanowiło dać przykład abstynencji. Działali dokładnie tak samo jak wielki pan, który ubierałby się bardzo skromnie, aby wpoić prostym obywatelom pogardę dla luksusu. Można przypuszczać, że gdyby te sto tysięcy ludzi żyło we Francji, każdy z nich osobno zwróciłby się do rządu z prośbą o sprawowanie nadzoru nad karczmami na całym terenie królestwa.

Zdaniem moim nie istnieje nic, co zasługiwałoby na większą uwagę z naszej strony niż intelektualne i moralne stowarzyszenia w Ameryce. Amerykańskie towarzystwa polityczne i przemysłowe są dla nas zrozumiałe; innych jednak nie możemy pojąć. Kiedy zetkniemy się z jednym z nich, nie umiemy zrozumieć jego sensu, ponieważ nigdy przedtem nie widzieliśmy niczego, co by je przypominało. Tymczasem dla społeczeństwa amerykańskiego są one równie ważne jak te pierwsze, a może nawet ważniejsze.

W krajach demokratycznych umiejętność stowarzyszania się jest umiejętnością podstawową — od niej zależą postępy wszystkich innych.

Pośród praw rządzących ludzkimi społeczeństwami istnieje jedno, które wydaje mi się bardziej wyraźne i jasne niż wszystkie inne. By ludzie pozostali cywilizowani lub by się tacy stali, sztuka stowarzyszania się musi rozwijać się i doskonalić wśród nich jednocześnie ze wzrastaniem równości możliwości.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O związkach między stowarzyszeniami a prasą

Kiedy ludzi nie łączą już silne i trwałe więzy, można skłonić ich do współdziałania tylko przekonując każdego z osobna, że jego osobisty interes wymaga dobrowolnego połączenia wysiłków z wysiłkami innych ludzi.

Ten cel można w pełni osiągnąć jedynie za pomocą prasy — tylko gazeta może w tym samym momencie zaszczepić jedną myśl w tysiącach umysłów.

Gazeta jest doradcą, którego nie trzeba szukać, bo sam się zjawia i co dzień zwięźle informuje o sprawach publicznych, nie odciągając od spraw prywatnych.

Prasa staje się tym potrzebniejsza, im bardziej równi są ludzie i im większe jest niebezpieczeństwo indywidualizmu. Umniejszałby znaczenie prasy, kto by utrzymywał, że służy ona jedynie za rękojmię wolności. Prasa stanowi bowiem oparcie dla cywilizacji.

Nie przeczę, iż w krajach demokratycznych gazety często prowadzą ludzi do wspólnego podejmowania nader nierozważnych przedsięwzięć, ale gdyby nie było gazet, nie byłoby prawie zbiorowego działania. Zło, które przynoszą, jest więc znacznie mniejsze od zła, któremu zapobiegają.

Gazeta nie tylko podsuwa wielu ludziom te same dążenia, lecz również sugeruje im środki potrzebne do wspólnego wykonania planów, które przedsięwzięli sami.

Najważniejsi obywatele krajów arystokratycznych są dobrze widoczni na scenie działań i łatwo mogą połączyć swe siły; za sobą pociągają tłumy.

W krajach demokratycznych zdarza się natomiast często, że wielu ludzi, którzy odczuwają chęć czy też potrzebę stowarzyszenia się z innymi, nie może tego dokonać, ponieważ słabi i zagubieni w wielkiej masie, nie wiedzą, jak się odnaleźć. Wtedy z pomocą przychodzi gazeta, ukazując ludziom ideę czy uczucie, które wszyscy powzięli jednocześnie, lecz niezależnie od siebie. Oni zaś podążają ku temu światłu, które pozwala ich błądzącym umysłom spotkać się wreszcie i zjednoczyć.

Gazeta sprawiła, że się spotkali, i w dalszym ciągu jest im potrzebna, by mogli trzymać się razem.

Jeżeli w społeczeństwie demokratycznym stowarzyszenie ma mieć jakiekolwiek znaczenie, musi być liczne. Jego członkowie są zatem rozproszeni na wielkiej przestrzeni, ponieważ skromna ich fortuna i zatrudnienia codziennego życia wiążą każdego z własnym miejscem zamieszkania. Muszą więc znaleźć sposób na to, by stale się porozumiewać nie widując się i by wspól-

nie działać nie gromadząc się w jednym miejscu. Dlatego właśnie demokratyczne stowarzyszenie nie może się obejść bez własnej gazety.

Istnieje więc konieczny związek między stowarzyszeniami a prasą: gazety powołują do życia stowarzyszenia, a stowarzyszenia — gazety, i tak jak prawdą jest, że stowarzyszenia mnożą się w miarę zrównywania się możliwości, jest rzeczą równie pewną, że liczba gazet wzrasta w miarę mnożenia się stowarzyszeń.

Toteż Ameryka jest krajem, w którym istnieje najwięcej stowarzyszeń, a zarazem najwięcej gazet.

. . . . . .

ROZDZIAŁ SIÓDMY

O związkach między stowarzyszeniami społecznymi a stowarzyszeniami politycznymi

Na świecie istnieje tylko jeden naród, który korzysta z nieograniczonej swobody zakładania stowarzyszeń politycznych. Jest to również jedyny naród, którego obywatele stale stowarzyszają się w celach społecznych, osiągając dzięki temu wszelkie dobrodziejstwa, jakie dać może cywilizacja.

We wszystkich społeczeństwach, w których zabronione jest zakładanie stowarzyszeń politycznych, stowarzyszenia społeczne należą do rzadkości.

Jest rzeczą mało prawdopodobną, aby to było dziełem przypadku. Należy raczej wnioskować, iż istnieje pewien naturalny i być może konieczny związek między tymi dwoma rodzajami stowarzyszeń.

Gdy jacyś ludzie mają wspólny interes — na przykład przedsięwzięcie handlowe lub operację przemysłową — spotykają się i jednoczą, oswajając się w ten sposób z zasadą działania stowarzyszenia.

Im więcej jest tych małych wspólnych spraw, tym bardziej ludzie, może nawet bezwiednie, nabywają umiejętności zbiorowego działania w sprawach wielkiej wagi.

Stowarzyszenia społeczne ułatwiają więc powstawanie stowarzyszeń politycznych; wszelako z drugiej strony stowarzyszenia polityczne wyjątkowo rozwijają i udoskonalają stowarzyszenia społeczne.

W życiu społecznym każdy człowiek może sobie w gruncie rzeczy wyobrazić, że jest w stanie sam sobie wystarczyć. W dziedzinie polityki jest to nie do pomyślenia. Jeżeli jakieś społeczeństwo posiada życie polityczne, idea i pragnienie stowarzyszania się funkcjonują w sposobie myślenia obywateli; i niezależnie od tego, jak wielką odruchową niechęć żywią dla wspólnego działania, będą doń zawsze gotowi w imię dobra stronnictwa.

W ten sposób życie polityczne sprawia, że nawyk stowarzyszania się staje się powszechny. Budzi pragnienie wspólnoty i uczy sztuki stowarzyszania się wielu ludzi, którzy w przeciwnym razie żyliby w odosobnieniu.

Życie polityczne nie tylko doprowadza do powstania wielu stowarzyszeń, ale również tworzy stowarzyszenia wielkie.

W życiu społecznym rzadko się zdarza, by jakaś sprawa w sposób naturalny przyciągała do wspólnego działania wielką liczbę ludzi, i niemałej sztuki wymaga stworzenie takiego interesu, który byłby wspólny dla wszystkich.

W życiu politycznym okazja co chwila nastręcza się sama. Toteż wartość samej idei stowarzyszenia wychodzi na jaw dopiero w wypadku wielkich

stowarzyszeń. Obywatele indywidualnie słabi nie potrafią z góry wyobrazić sobie siły, jaką mają zyskać w wyniku zjednoczenia — trzeba ją im ukazać. Stąd często łatwiej jest zgromadzić wokół wspólnego celu wielki tłum niż kilku ludzi — tysiąc obywateli nie widzi powodu, dla którego mieliby się jednoczyć — dziesięć tysięcy dostrzeże go z łatwością. W polityce ludzie jednoczą się dla wielkich przedsięwzięć, a korzyści, jakie z tego ciągną, praktycznie przekonują ich o tym, że warto stowarzyszać się również dla mniej ważnych celów.

Stowarzyszenie polityczne odwodzi od prywatnych spraw bardzo wielu ludzi jednocześnie i — niezależnie od tego, jak bardzo różnią się oni wiekiem, poziomem umysłowym, majątkiem — zbliża ich i łączy. Raz się spotkawszy, odtąd zawsze będą szukać porozumienia.

Do większości stowarzyszeń społecznych nie można wejść nie wnosząc ze sobą części swego majątku — tak się dzieje na przykład we wszystkich towarzystwach handlowych i przemysłowych. Jeżeli ludzie są jeszcze mało wprawni w sztuce zakładania stowarzyszeń i nie znają jej podstawowych reguł, obawiają się, iż zbyt drogo przyjdzie im zapłacić za to pierwsze doświadczenie. Wolą więc raczej wyrzec się potężnego czynnika sukcesu niż narazić się na towarzyszące mu niebezpieczeństwa. Za to z mniejszą obawą przystępują do stowarzyszeń politycznych, które wydają im się bezpieczne, gdyż nie zawierają elementu ryzyka finansowego. Wkrótce po wejściu do stowarzyszenia politycznego ludzie poznają sposoby utrzymania porządku wśród licznej grupy jego członków oraz środki, za pomocą których osiąga się zgodne i konsekwentne dążenie do wspólnego celu. Stowarzyszenie polityczne uczy również podporządkowywać własną wolę woli wszystkich, a własne wysiłki dostosowywać do potrzeb wspólnego działania; uczy rzeczy, które są równie niezbędne w stowarzyszeniu politycznym jak i w społecznym.

Stowarzyszenia polityczne można więc uważać za wielkie bezpłatne szkoły, w których wszyscy obywatele uczą się zasad działania stowarzyszeń.

Nawet gdyby stowarzyszenia polityczne nie służyły bezpośrednio rozwojowi stowarzyszeń społecznych, zniszczenie ich przyniosłoby tamtym szkodę.

Jeżeli obywatele mogą się stowarzyszać tylko w niektórych wypadkach, uważają stowarzyszenia za wyjątkowy i szczególny środek działania i nie mają zwyczaju uciekać się do niego.

Kiedy zaś wolno im stowarzyszać się dla wszelkich celów, dochodzi do tego, że w stowarzyszeniu widzą uniwersalny i właściwie jedyny środek służący do ich osiągania. Każda nowa potrzeba budzi natychmiast myśl o stowarzyszeniu. Sztuka stowarzyszania się zostaje, jak rzekłem, sztuką podstawową — wszyscy ją zgłębiają i wszyscy ją praktykują.

Jeżeli zakładanie jednych stowarzyszeń jest zabronione, a innych dozwolone, trudno je w pierwszej chwili od siebie odróżnić. Te wątpliwości sprawiają, że ludzie powstrzymują się w ogóle od tworzenia stowarzyszeń i w powszechnej opinii ustala się pogląd, że zakładanie jakiegokolwiek stowarzyszenia jest przedsięwzięciem ryzykownym i właściwie niedozwolonym.

Na złudzeniu opiera się przekonanie, że obyczaj zakładania stowarzyszeń, ograniczony do pewnej dziedziny, będzie równie prężnie rozwijał się we wszystkich innych i że wystarczy pozwolić ludziom na wspólne dokonywanie niektórych tylko przedsięwzięć, by spieszyli łączyć się w stowarzyszenia. Kiedy ludzie zdobędą umiejętność oraz nawyk stowarzyszania się dla wszelkiego rodzaju spraw, równie chętnie będą się stowarzyszać dla spraw wielkich jak i małych. Jeżeli jednak wolno im będzie stowarzyszać się tylko w sprawach małej wagi, nie będą mogli ani chcieli tego czynić. Na próżno zostawimy im całkowitą wolność wspólnego działania w zakresie handlu — zlekceważą przyznane im prawa i po wielkich wysiłkach zmierzających do tego, by ich zniechęcić do zakładania stowarzyszeń zakazanych, ze zdziwieniem stwierdzimy, że nie jesteśmy w stanie ich nakłonić do tworzenia stowarzyszeń legalnych.

Nie twierdzę bynajmniej, że w kraju, w którym zakładanie stowarzyszeń politycznych jest zakazane, nie mogą istnieć stowarzyszenia społeczne, gdyż ludzie żyjący w społeczeństwie zawsze muszą podejmować jakieś wspólne działania. Utrzymuję jednak, że w takim kraju stowarzyszenia społeczne zawsze będą nieliczne, źle pomyślane, nieudolnie prowadzone i że albo nie będą podejmowały wielkich zadań, albo też nie potrafią ich wykonywać.

Skłania mnie to do refleksji, iż wolność stowarzyszania się w celach politycznych wcale nie jest tak niebezpieczna dla spokoju publicznego, jak się to zwykło sądzić, oraz że może się zdarzyć, iż mimo że początkowo zachwieją one państwem, przyczynią się następnie do jego umocnienia.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

O zamiłowaniu Amerykanów do materialnego dobrobytu

Namiętność do dobrobytu nie jest w Ameryce namiętnością jedyną, lecz powszechną, i jeżeli nawet nie u wszystkich jednakowo się objawia, żywią ją wszyscy. Umysł Amerykanów bez reszty pochłaniają zabiegi zmierzające do zaspokojenia wszystkich potrzeb ciała i wprowadzanie drobnych udogodnień życiowych.

Podobne zjawisko daje się coraz częściej obserwować w Europie.

Wiele spośród okoliczności tkwiących u podłoża tego zjawiska, analogicznego w Starym i Nowym Świecie, dotyka tematu mojej pracy i zasługuje na omówienie.

Kiedy prawo spadkowe pozwala na utrzymywanie bogactw w rękach tych samych rodzin, wielu ludzi korzysta z materialnego dobrobytu, jaki dają bogactwa, nie mając jednak dla dobrobytu tak wyłącznego upodobania.

Ludzi nie ożywia bynajmniej chęć spokojnego posiadania cennych dóbr, ale nigdy nie zaspokojone pragnienie posiadania, połączone z nie słabnącym strachem przed utratą majątku.

W społeczeństwach arystokratycznych ludzie bogaci, nie zaznawszy nigdy gorszego losu, nie obawiają się żadnej odmiany i w ogóle ledwie potrafią sobie wyobrazić inną sytuację. Materialny dobrobyt nie stanowi więc dla nich celu życia, jest tylko sposobem życia. Uważają go poniekąd za samo życie i korzystają z niego nie zastanawiając się na tym wcale.

Ponieważ naturalne i instynktowne upodobanie człowieka dla dobrobytu zostaje dzięki temu zaspokojone bez wysiłku i obawy, ludzie ci interesują się czym innym i oddają się trudniejszym i większym przedsięwzięciom, które ich pobudzają i wciągają.

Dlatego, choć pogrążeni w materialnym używaniu, przedstawiciele arystokracji przejawiają dlań często pełną dumy pogardę i znajdują w sobie nieoczekiwane siły, gdy muszą się go wyrzec. Wszystkie rewolucje, które naruszyły lub zniszczyły świat arystokratyczny, pokazały, z jaką łatwością ludzie przyzwyczajeni do zbytku potrafili wyrzec się rzeczy niezbędnych, podczas gdy ludzie, którzy przy pomocy własnej pracy osiągnęli zamożność, po utracie majątku tracili ochotę do życia.

W niższych warstwach społecznych pojawia się to samo zjawisko, wszelako spowodowane przez odmienne przyczyny.

W narodach, w których arystokracja dominuje i utrzymuje społeczeństwo w bezruchu, lud przyzwyczaja się do swej biedy tak samo jak bogaci do swej zamożności. Jedni więc nie troszczą się w ogóle o swój dobrobyt, bo przychodzi im bez wysiłku, inni zaś dlatego, że nie mają nadziei na zdobycie bogactwa i nie znają go na tyle, by go pragnąć.

W takich społeczeństwach wyobraźnia biedaka kieruje się ku tamtemu światu; prześladowany przez niedole życia, stara się od nich oderwać, szukając pociechy gdzie indziej.

Kiedy zaś pozycje społeczne zostają przemieszane, a przywileje obalone, kiedy podziałowi ulegają dziedziczne majątki i rozszerza się oświata oraz wolność, w umyśle biedaka pojawia się pragnienie zdobycia dobrobytu, a w umyśle bogacza — obawa przed utratą majątku. Powstaje wówczas bardzo wiele małych majątków; ich posiadacze są dostatecznie zamożni, by zasmakować w dobrobycie, ale nie dosyć, by się zadowolić stanem posiadania. Dobrobyt osiągają z największym wysiłkiem, a korzystają z niego z obawą.

Nieustannie są więc zajęci pogonią za tym dobrem tak drogocennym, niepełnym i nietrwałym.

Namiętność do dobrobytu jest najbardziej naturalną pasją ludzi, których pospolite pochodzenie i skromny majątek pchają do poszukiwania bogactwa i ograniczają zarazem. Namiętność do materialnego dobrobytu jest nade wszystko namiętnością klasy średniej, wzrasta i upowszechnia się razem z nią, i razem z nią zdobywa przewagę. Stąd przedostaje się do wyższych warstw społecznych oraz do ludu.

Nie spotkałem w Ameryce obywatela, który byłby aż tak biedny, by nie patrzeć z nadzieją i zawiścią na bogactwo innych i którego wyobraźnia nie ogarniałaby dóbr, jakich odmawia mu los.

Z drugiej strony, u bogatych ludzi w Ameryce nigdy nie spotkałem owej dumnej pogardy dla dóbr materialnych, którą czasem napotkać można u najbogatszej i najbardziej zepsutej arystokracji.

Większość spośród bogatych ludzi demokracji to ludzie niegdyś biedni, którzy pchani niedostatkiem długo walczyli z wrogim losem, a namiętność towarzysząca tej walce przetrwała i po zwycięstwie. Żyją więc teraz jakby oszołomieni pośród drobnych radości dostatku, za którym uganiali się czterdzieści lat.

W Stanach Zjednoczonych, tak samo jak w innych krajach, są ciągle jeszcze bogaci ludzie posiadający odziedziczony majątek i cieszący się bogactwem, którego sami nie musieli zdobywać. Ale nawet oni równie mocno przywiązani są do materialnego dostatku. Zamiłowanie do dobrobytu stało się upodobaniem ogólnonarodowym i dominującym; w tym kierunku płynie bowiem wielki nurt ludzkich namiętności, porywając ze sobą wszystko.

. . . . . .

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dlaczego niektórzy Amerykanie przejawiają namiętne zainteresowanie sprawami ducha

Jakkolwiek pragnienie zdobycia dóbr tego świata jest dominującą pasją Amerykanów, bywa, iż w momentach wytchnienia dusza ich wydaje się nagle zrywać krępujące ją materialne więzy i gwałtownie unosić się ku niebu.

We wszystkich stanach Unii, a zwłaszcza w mało zaludnionych krainach Zachodu, spotkać czasem można wędrownych kaznodziejów, którzy wszędzie głoszą słowo boże.

Całe rodziny, starcy, kobiety i dzieci, przedzierając się przez dzikie lasy i przemierzając pustkowia, przybywają z bardzo daleka, by ich słuchać. Na wiele dni i nocy zapominają wówczas o własnych sprawach, a nawet o najżywotniejszych potrzebach ciała.

W amerykańskim społeczeństwie zdarzają się ludzie przepełnieni egzaltowanym i gwałtownym spirytualizmem, jakiego nie spotyka się w Europie. Od czasu do czasu powstają dziwaczne sekty poszukujące oryginalnych dróg do szczęścia wiecznego. Powszechne są też różne formy religijnego szaleństwa.

Nie powinniśmy się temu dziwić. To nie człowiek wynalazł upodobanie do rzeczy nieskończonych i miłość do nieśmiertelnych. Te wzniosłe instynkty nie są kaprysem jego woli. Leżą u podstaw jego natury i istnieją niezależnie od jego wysiłków. Może je hamować i zniekształcać, ale nie może ich zniszczyć.

Dusza ludzka ma potrzeby, które wymagają zaspokojenia i mimo największych wysiłków zmierzających do tego, by o nich zapomniała, pośród zmysłowego używania nuży się szybko, niepokoi i rozdrażnia.

Można przypuszczać, że gdyby umysł większości ludzi pochłonęło kiedyś wyłącznie zdobywanie dóbr materialnych, w duszach kilku osób nastąpiłaby nadzwyczajna reakcja. Z obawy, że zostaną zniewoleni przez potrzeby ciała, ludzie ci z zapamiętaniem rzuciliby się w nurt życia duchowego.

Nie należy się więc dziwić osobom pragnącym zajmować się wyłącznie sprawami nieba w społeczeństwie pochłoniętym egzystencją ziemską. Byłbym zdumiony, gdyby w społeczeństwie oddanym bez reszty sprawie dobrobytu nie pojawił się niebawem i nie rozwijał mistycyzm.

Powiadają, że zaludnienie pustyni Tebaidy nastąpiło w wyniku prześladowań pierwszych chrześcijan. Ja zaś mniemam, że był to raczej skutek nieumiarkowanych uciech Rzymu i epikurejskiej filozofii greckiej.

Gdyby układ społeczny, okoliczności i prawa nie zamykały tak ściśle umysłu Amerykanów w kręgu poszukiwania dobrobytu, prawdopodobnie przejawialiby oni więcej rezerwy, doświadczenia i umiarkowania w stosunku do spraw duchowych. Lecz umysł Amerykanów czuje się uwięziony w kręgu, z którego zda się, nie ma ucieczki. Z chwilą więc gdy go przekracza, nie wie już, na czym się oprzeć, i dlatego często opuszcza granice zdrowego rozsądku.

. . . . . .

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dlaczego w Ameryce każdy uczciwy zawód jest uważany za godny szacunku

W krajach demokratycznych, gdzie nie ma dziedzicznych bogactw, każdy człowiek pracuje na swoje życie albo też pracował na nie on bądź jego rodzice. Idea pracy jako niezbędnej, naturalnej i uczciwej kondycji człowieka narzuca się więc wszystkim.

W tych społeczeństwach praca nie tylko nie hańbi człowieka, ale przynosi mu zaszczyt, przesąd zaś przemawia tu nie przeciwko pracy, lecz za nią. W Stanach Zjednoczonych opinia publiczna zobowiązuje człowieka bogatego do udziału w jakimś przedsięwzięciu przemysłowym lub handlowym albo do przyjęcia na siebie pewnych obowiązków publicznych. Byłby źle widziany, gdyby poprzestał na używaniu życia. Bogaci Amerykanie przyjeżdżają do Europy, by uchylić się od obowiązku pracy; tu znajdują pozostałości społeczeństwa arystokratycznego, w którym bezczynność wzbudza jeszcze szacunek.

Równość nie tylko rehabilituje pojęcie pracy w ogóle, ale przyznaje szczególną wartość pracy przynoszącej zysk.

W społeczeństwach arystokratycznych pogardza się nie tyle pracą, ile pracą podjętą z uwagi na zysk. Praca jest chwalebna, jeżeli przyświeca jej tylko ambicja lub wyższe cele. W systemie arystokratycznym ci, którzy pracują dla honoru, nie są jednak obojętni na pokusę zysku. Te dwa pragnienia spotykają się wszelako tylko w głębi ich duszy. Ludzie bardzo się starają ukryć ten związek przed oczami innych, a także i przed sobą. W krajach, w których panuje arystokracja, nie ma urzędników publicznych, którzy nie utrzymywaliby, iż pracują dla państwa bezinteresownie. Pensja jest dla nich drobiazgiem, o którym niektórzy rzeczywiście niewiele myślą, a wszyscy udają, że nie myślą wcale.

Pojęcie zysku jest więc tam oddzielone od pojęcia pracy. I choć faktycznie oba te pojęcia są najczęściej nierozłączne, rozdziela je tradycja.

W społeczeństwach demokratycznych oba te pojęcia wyraźnie się wiążą. Ponieważ pragnienie dobrobytu jest powszechne, a majątki niewielkie i niepewne, ponieważ każdy chce powiększyć swoje dochody lub zapewnić dochody swoim dzieciom, wszyscy jasno zdają sobie sprawę z tego, że jeżeli nie wyłącznie to przynajmniej przede wszystkim pracują dla zysku. Nawet ci, którzy pracują głównie dla sławy, przyzwyczajają się do myśli, że nie

pracują tylko dla niej, i stwierdzają, że pragnienie dostatniego życia towarzyszy u nich pragnieniu okrycia się chwałą.

Z chwilą gdy, z jednej strony, praca wydaje się wszystkim obywatelom godną koniecznością kondycji ludzkiej, z drugiej zaś jest podejmowana wyłącznie lub po części dla zarobku, przepaść, jaka w społeczeństwach arystokratycznych dzieliła różne zawody, przestaje istnieć. I choć wszystkie zawody nie są całkowicie zrównane, mają przynajmniej jedną wspólną cechę.

Nie ma zawodu, którego nie uprawiano by dla pieniędzy. Zarobek upodabnia do siebie wszystkie zawody.

To wyjaśnia poglądy Amerykanów na sprawę zawodu.

W Ameryce nawet służba nie czuje się poniżona z powodu swojej pracy, ponieważ dokoła wszyscy pracują. Nie czuje się poniżona przez to, że otrzymuje zapłatę, ponieważ prezydent Stanów Zjednoczonych także otrzymuje zapłatę za swoją pracę. Jemu płaci się za rządzenie, tak jak im — za posługi.

W Stanach Zjednoczonych są zawody łatwiejsze i trudniejsze, bardziej lub mniej dochodowe, ale nie ma zawodów lepszych i gorszych. Każdy uczciwy zawód jest godny szacunku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Co skłania prawie wszystkich Amerykanów do podejmowania działalności gospodarczej

. . . . . .

Stany Zjednoczone Ameryki dopiero przed pół wiekiem pozbyły się zależności kolonialnej, w jakiej utrzymywała je Anglia. Niewiele jest tam znacznych majątków i kapitały są nieliczne. Na świecie nie istnieje jednak społeczeństwo, które czyniłoby tak szybkie postępy w dziedzinie handlu i przemysłu. Amerykanie są dziś drugą morską potęgą świata, a ich manufaktury, choć muszą walczyć z wielkimi przeszkodami naturalnymi, rozwijają się z chwili na chwilę.

W Stanach Zjednoczonych łatwo powstają wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, ponieważ cała ludność zajmuje się działalnością gospodarczą i zarówno najbiedniejsi jak i najzamożniejsi obywatele na niej skupiają swoje wysiłki. Zadziwiające jest, jakie ogromne prace podejmuje i wykonuje bez trudu naród, w którym nie ma właściwie bogatych. Amerykanie od niedawna zamieszkują swoją ziemię, a już wstrząsnęli tam całym porządkiem natury, by móc ciągnąć z niej korzyści. Połączyli Hudson z Missisipi i Ocean Atlantycki z Zatoką Meksykańską przecinając ponad pięćset mil kontynentu, który dzieli te dwa morza. Najdłuższe linie kolejowe, jakie dotąd zbudowano, znajdują się w Ameryce.

Tym jednak, co mnie najbardziej w Ameryce uderza, nie jest nadzwyczajny ogrom niektórych przedsięwzięć, ale nieprzebrana mnogość małych.

Prawie wszyscy farmerzy poza rolnictwem zajmują się handlem; większość z samego rolnictwa uczyniła zajęcie handlowe.

Rzadko się zdarza, by amerykański rolnik osiadał na stałe na swojej ziemi, szczególnie w nowych prowincjach Zachodu, gdzie karczuje się ziemię mając na celu jej sprzedaż, a nie uprawianie. Buduje się farmę, przewidując, że będzie można ją dobrze sprzedać, kiedy wzrośnie liczba mieszkańców regionu.

Mrowie mieszkańców północnych stanów ciągnie corocznie na południe i osiedla się w okolicach, w których rośnie bawełna i trzcina cukrowa. Ludzie ci uprawiają ziemię po to, aby się szybko dorobić. Cały czas myślą o dniu, w którym będą mogli wrócić do domu i korzystać ze zdobytego majątku.

Zmysł handlowy zwycięża więc i w rolnictwie, a przedsiębiorczość daje tu o sobie znać podobnie jak we wszystkich innych dziedzinach życia.

Amerykanie czynią w działalności gospodarczej ogromne postępy, ponieważ wszyscy się nią zajmują, i z tego samego powodu narażeni są na nieoczekiwane i wielkie kryzysy gospodarcze.

Ponieważ handlem zajmują się wszyscy, podlega on tak licznym i tak skomplikowanym wpływom, iż nie sposób z góry przewidzieć ewentualnych zakłóceń. Ponieważ ponadto każdy Amerykanin jest jakoś związany z działalnością produkcyjną, najmniejszy wstrząs w dziedzinie interesów powoduje zachwianie się wszystkich fortun, a zatem i całego państwa.

Myślę, że nawroty kryzysów gospodarczych są w naszych czasach chorobą typową dla krajów demokratycznych. Można zmniejszyć wynikające z niej niebezpieczeństwa, ale nie można jej wyleczyć, ponieważ nie jest ona dziełem przypadku. Bierze się z samego temperamentu tych społeczeństw.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

O tym, że przemysł może zrodzić arystokrację

Mówiłem o tym, w jaki sposób ustrój demokratyczny sprzyja rozwojowi przemysłu i sprawia, że klasa industrialna stale rośnie. Zobaczymy teraz, w jaki sposób, okrężną drogą, przemysł może z kolei wprowadzić na nowo arystokratyczne stosunki.

Stwierdzono, że produkcja jest łatwiejsza, szybsza i bardziej oszczędna, kiedy jeden robotnik stale wytwarza tylko jeden element produkowanego przedmiotu.

Stwierdzono również, że im większe jest przedsiębiorstwo przemysłowe, im większymi obraca kapitałami i im większymi dysponuje kredytami, tym tańsze są jego produkty.

Istnienia tych zasad domyślano się od dawna, ale dopiero w naszych czasach zostały one dowiedzione. Są już stosowane w wielu ważnych dziedzinach przemysłu i stopniowo przejmują je mniejsze przedsiębiorstwa.

Myślę, że prawodawca powinien zwrócić uwagę przede wszystkim na te dwa nowe pewniki wiedzy o przemyśle.

Kiedy robotnik stale i wyłącznie wytwarza tylko jeden przedmiot, dochodzi z czasem do wykonywania swojej pracy z wyjątkową zręcznością. Jednocześnie traci jednak ogólną zdolność kierowania swoją pracą. Z każdym dniem staje się zręczniejszy i zarazem mniej przedsiębiorczy i można powiedzieć, że człowiek ulega degradacji, w miarę jak doskonali się robotnik.

Czegóż można bowiem oczekiwać po człowieku, który przez dwadzieścia lat życia robił łebki od szpilek? I do czego może mu służyć owa potężna inteligencja ludzka, która nieraz wstrząsała posadami świata, jeśli nie do poszukiwania lepszego sposobu produkowania łebków od szpilek?

Jeżeli robotnik strawił w ten sposób znaczną część swojego życia, myśl jego na zawsze zatrzymała się na poziomie wytworu jego pracy, a jego ciało nabrało nawyków, od których już się nie wyzwoli. Krótko mówiąc, nie należy już do siebie samego, ale do zawodu, jaki wybrał. Na próżno prawa i obyczaje usunęły przed tym człowiekiem wszystkie przeszkody i otworzyły mu tysiąc dróg do majątku. Potężniejsza od obyczajów i praw zasada produkcji przemysłowej przywiązała go do zawodu, a częstokroć i do miejsca, z którego nie może się ruszyć. Przydzieliła mu w społeczeństwie pozycję, której nie może zmienić. I oto pośród powszechnego ruchu został on unieruchomiony.

W miarę jak zasada podziału pracy jest szerzej praktykowana, robotnik staje się słabszy, bardziej ograniczony i zależny. Sztuka wytwarzania czyni

postępy, wytwórca cofa się. Nadto w miarę jak staje się oczywiste, że produkty są tym lepsze i tym tańsze, im większa jest manufaktura i kapitał, ludzie bardzo bogaci i bardzo wykształceni zaczynają się zajmować tymi dziedzinami gospodarki, które dotąd były w rękach niewykształconych bądź ubogich rzemieślników. Przyciąga ich perspektywa niezwykle trudnych zadań i rozmiary rezultatów, jakie można osiągnąć.

Tak więc wiedza o przemyśle, obniżając nieustannie poziom robotników, podnosi jednocześnie poziom właścicieli.

Podczas gdy robotnik skupia całą swą inteligencję na zgłębianiu jednego elementu, właściciel z każdym dniem rozszerza swoje horyzonty i jego umysł rozwija się, w miarę jak umysł robotnika się zacieśnia. Robotnikowi nie będzie niebawem przydatna inteligencja, a tylko siła, właścicielowi natomiast do sukcesu potrzebna jest wiedza i niemal geniusz. Właściciel upodabnia się coraz bardziej do zarządcy rozległej domeny, robotnik zaś — do zwierzęcia.

Właściciel i robotnik nie mają więc ze sobą nic wspólnego i przepaść między nimi pogłębia się z każdym dniem. Wzajemny ich stosunek odpowiada położeniu krańcowych ogniw długiego łańcucha. Żaden z nich nie opuszcza miejsca, które przypadło mu w udziale. Jeden znajduje się w stanie ciągłej, ścisłej i koniecznej zależności od drugiego i wydaje się stworzony do słuchania, tak jak tamten do rozkazywania.

Jakże inaczej można to określić, jeżeli nie mianem stosunków arystokratycznych?

Możliwości ludzi zrównują się w społeczeństwie coraz bardziej, zapotrzebowanie na produkty manufaktur upowszechnia się i rośnie, a niska cena tych przedmiotów, która pozwala je nabywać nawet niezbyt zamożnym, staje się coraz ważniejszym czynnikiem ekonomicznego sukcesu.

Ludzie bogaci i wykształceni coraz częściej wkładają w przedsiębiorstwo przemysłowe swoje pieniądze i wiedzę. Otwierają wielkie zakłady oraz ściśle stosują zasadę podziału pracy, starając się zaspokoić wciąż rodzące się potrzeby.

W miarę jak cały naród zwraca się ku demokracji, grupa ludzi związanych z przemysłem nabiera cech społeczeństwa arystokratycznego. W całym społeczeństwie ludzie coraz bardziej upodabniają się do siebie, w warstwie industrialnej — coraz bardziej się różnią. Nierówność rośnie w tej małej społeczności proporcjonalnie do tego, jak maleje w wielkiej.

Tak oto w samym łonie demokracji w naturalny sposób rodzi się arystokracja.

Ale arystokracja ta jest niepodobna do dawnej. Zauważmy przede wszystkim, że jest ona wyjątkiem, dziwacznym tworem w całości układu społecznego, ponieważ istnieje tylko w przemyśle i tylko w niektórych jego dziedzinach.

Te małe arystokratyczne społeczności, jakie powstają w niektórych gałęziach przemysłu wśród wszechogarniającej demokracji naszych czasów, obejmują, podobnie jak dawne społeczeństwa arystokratyczne, niewielką liczbę ludzi bardzo zamożnych i mnóstwo bardzo biednych. Ci biedacy nie mogą zmienić swojej kondycji i wzbogacić się; bogaci natomiast albo biednieją, albo też dorobiwszy się, porzucają interesy. Dzięki temu klasa biednych składa się w zasadzie z tych samych ludzi, czego nie można powiedzieć o klasie bogatych. Prawdę mówiąc, jakkolwiek są tam ludzie bogaci, nie istnieje klasa bogatych, ponieważ nie łączy ich wspólny duch ani wspólne cele, ani też tradycje czy widoki na przyszłość. Są więc poszczególne członki, ale nie ma organizmu.

Nie tylko bogaci nie są między sobą trwale związani, ale rzec można, że nie istnieją również ściślejsze więzy między bogatymi a biednymi.

Nie są na stałe uzależnieni od siebie — nieustannie zbliża ich i dzieli interes. Robotnik w zasadzie jest zależny od właścicieli, ale nie od określonego właściciela. Ci dwaj ludzie spotykają się wyłącznie na terenie fabryki, a poza nią się nie znają, i stykając się w pewnej dziedzinie, pozostają obcy we wszystkich innych. Fabrykant wymaga od robotnika jedynie pracy, robotnik oczekuje od niego jedynie zapłaty. Fabrykant nie roztacza nad robotnikiem opieki, a robotnik nie ma zamiaru bronić fabrykanta. Nie wiąże ich trwale ani zwyczaj, ani obowiązek.

Arystokraci interesów nie mieszkają wśród zatrudnionych przez siebie robotników — ich celem nie jest rządzenie, lecz posługiwanie się robotnikami.

Powstała w ten sposób arystokracja nie może mieć wielkiego wpływu na ludzi, których zatrudnia, i jeżeli nawet uda się jej przez jakiś krótki czas na nich oddziaływać, szybko wymykają się jej z rąk. Arystokracja ta nie chce i nie potrafi trwale na nich wpływać.

Arystokracja dawnych czasów była zobowiązana przez prawo lub czuła się zobowiązana na mocy obyczaju przychodzić z pomocą swym ubogim poddanym i nieść im ulgę w niedoli. Natomiast przemysłowa arystokracja naszych czasów, doprowadziwszy do biedy i ogłupienia ludzi, których wykorzystuje, w chwili kryzysu pozostawia ich staraniom publicznej dobroczynności. Jest to naturalną konsekwencją stanu, który przedstawiłem. Między właścicielem a robotnikiem istnieją stałe powiązania, ale nie ma między nimi prawdziwej wspólnoty.

Zważywszy wszystko myślę, że arystokracja przemysłowa, która powstaje właśnie na naszych oczach, jest jedną z najbardziej bezwzględnych arystokracji, jakie kiedykolwiek pojawiły się na świecie, wszelako jednocześnie jest jedną z najbardziej ograniczonych i najmniej niebezpiecznych.

Tak czy owak, zwolenników demokracji powinna przede wszystkim niepokoić ta właśnie sprawa. Jeżeli bowiem trwała nierówność możliwości oraz

ustrój arystokratyczny miałyby na nowo powrócić, wejdą one tymi właśnie drzwiami.

Część trzecia
WPŁYW DEMOKRACJI NA OBYCZAJE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O tym, że im bardziej równe są możliwości ludzi, tym łagodniejsze stają się obyczaje

Od kilku wieków obserwujemy dwa zjawiska: możliwości ludzi stają się równe, obyczaje zaś łagodnieją. Czy te zjawiska są tylko jednoczesne, czy też istnieje między nimi jakiś ukryty związek, który sprawia, że rozwój jednego pociąga za sobą drugie?

Wiele okoliczności może przyczyniać się do złagodzenia obyczajów jakiegoś społeczeństwa, ale najważniejszą spośród nich wydaje mi się równość możliwości. Równość możliwości i łagodność obyczajów są więc w moim pojęciu nie tylko jednocześnie występującymi, ale również wzajemnie zależnymi zjawiskami.

Bajkopisarze, chcąc nas zainteresować życiem zwierząt, przypisują im ludzkie myśli i uczucia. Tak postępują również i poeci, kiedy opowiadają o duchach i aniołach. Największe niedole ani najdoskonalsze szczęście nie poruszą naszych umysłów i serc, jeżeli pod inną postacią nie odnajdziemy w nich siebie samych.

Wiąże się to ściśle z moimi obecnymi rozważaniami.

W społeczeństwie arystokratycznym, gdzie pozycje wszystkich ludzi są nieodwołalnie określone wedle zasad zawodu, majątku i urodzenia, przedstawicieli jednej warstwy społecznej, uważających się za dzieci tej samej rodziny, łączy trwały i głęboki związek, którego próżno szukać wśród obywateli demokratycznego kraju.

Inaczej zgoła układają się wzajemne stosunki poszczególnych warstw.

W społeczeństwie arystokratycznym każda kasta ma swoje odmienne poglądy, uczucia, uprawnienia, obyczaje, swoje własne życie. Dlatego tworzący ją ludzie nie są podobni do wszystkich innych; myślą i czują inaczej niż pozostali i zaledwie uważają się za przedstawicieli jednego ludzkiego rodzaju.

Nie potrafią więc zrozumieć cudzych doświadczeń ani nie mogą osądzać innych wedle siebie.

Zdarza się czasem, że gorąco popierają się nawzajem, i fakt ten nie stoi w sprzeczności z tym, co powiedziałem poprzednio.

Te same arystokratyczne instytucje, które stworzyły takie różnice między istotami tego samego gatunku, połączyły je ciasnym węzłem związków społecznych.

Chociaż poddani nie interesowali się losem szlachty, uważali za swój obowiązek okazywać przywiązanie temu szlachcicowi, który był ich panem.

Z drugiej zaś strony szlachcic, choć miał się za istotę inną niż poddany, uważał, że obowiązek i honor nakazują mu z narażeniem własnego życia bronić ludzi zamieszkujących jego włości.

Oczywista, że te wzajemne zobowiązania nie wynikały z prawa naturalnego, lecz społecznego, i że społeczeństwo narzucało ludziom dalej idące zobowiązania niż mogła to uczynić ludzkość. To nie człowiekowi udzielano oparcia, lecz wasalowi bądź panu. Instytucje feudalne czyniły ludzi wrażliwymi na krzywdę dziejącą się określonym osobom, nie zaś na niedole ludzkości. Przydawały one obyczajom raczej wspaniałomyślności niż łagodności i mimo że nakazywały wzajemne oddanie, nie rodziły między ludźmi prawdziwej wspólnoty. Rzeczywista wspólnota może bowiem istnieć tylko między ludźmi do siebie podobnymi, a w epoce arystokracji podobnych sobie widziano tylko w członkach własnej kasty.

Średniowieczni kronikarze, którzy z racji swego urodzenia lub przyjętych obyczajów należeli wszyscy do arystokracji, o tragicznej śmierci szlachcica opowiadają w sposób pełen żalu, natomiast o wymordowaniu tysięcy prostych ludzi donoszą jednym tchem i bez żadnego wzruszenia.

Kronikarze ci nie odczuwali żadnej zasadniczej nienawiści i pogardy dla ludu. Były to czasy, kiedy warstwy społeczne nie wypowiedziały sobie jeszcze wojny. Kronikarzami kierował raczej instynkt niż namiętność — ponieważ nie mieli jasnego wyobrażenia o cierpieniach biedaka, nie interesowali się jego losem.

W okresach rwania się więzów feudalnych podobnie było z ludem. Te same czasy, które były świadkiem heroicznego oddania dla panów, były również świadkiem straszliwych okrucieństw, jakich dopuszczały się co pewien czas warstwy niższe na wyższych.

. . . . . .

Kiedy pozycje są w jakimś społeczeństwie niemal całkowicie zrównane, wszystkim ludziom właściwy jest mniej więcej ten sam sposób myślenia i odczuwania i dlatego każdy człowiek w jednej chwili może zrozumieć przeżycia innych — wystarczy, by przyjrzał się sobie samemu. Nie ma więc takich niedoli, których nie mógłby pojąć, i zawsze pewien tajemny instynkt pozwoli mu ocenić ich rozmiary. Nawet jeśli są to niedole obcych i wrogów, wyobraźnia sprawi, że wczuje się w ich sytuację. Wyobraźnia wzbogaca jego litość o osobisty ton i każe mu cierpieć na widok męczarni bliźniego.

W czasach demokracji ludzie rzadko poświęcają się dla kogoś, ale za to wszystkim przedstawicielom rodzaju ludzkiego okazują współczucie. Nie zadają zła bez powodu i kiedy mogą ulżyć innemu człowiekowi nie przynosząc sobie większej szkody, robią to z przyjemnością. Nie są bezinteresowni, ale są ludzcy.

Choć Amerykanie z egoizmu uczynili prawie teorię społeczną i filozoficzną, uczucie litości nie jest im obce.

. . . . . .

ROZDZIAŁ DRUGI

W jaki sposób demokracja upraszcza i ułatwia w Ameryce codzienne stosunki między ludźmi

. . . . . .

W Ameryce, gdzie nigdy nie istniały przywileje urodzenia i gdzie bogactwo nie daje żadnych szczególnych uprawnień, obcy ludzie chętnie spotykają się ze sobą i nie obawiają się swobodnej wymiany myśli. Ludzie, którzy zeszli się przypadkiem, nie stronią od siebie, ale również nie silą się na rozmowę. Są naturalni, szczerzy i otwarci; widać, że niczego od siebie nie oczekują, ale się siebie nie obawiają; nie starają się ani demonstrować, ani ukrywać własnej pozycji; choć często przybierają chłodną i poważną postawę, nie wywyższają się ani też nie czują się poniżeni. Jeżeli nie odzywają się do siebie, nie znaczy to, by w zachowaniu milczenia widzieli swój interes, a tylko tyle, że po prostu nie mają ochoty na rozmowę.

Amerykanie, którzy spotkali się na obczyźnie, natychmiast stają się przyjaciółmi tylko dlatego, że są Amerykanami. Żadne przesądy nie odpychają ich od siebie, a łączy ich wspólna ojczyzna. Anglikom nie wystarcza wspólnota krwi — zbliża ich dopiero przynależność do tej samej klasy.

Amerykanie, tak samo jak i my, dostrzegają nietowarzyskie nastawienie Anglików i również dla nich jest ono dziwne. A przecież Amerykanów łączy z Anglią pochodzenie, religia, język oraz po części obyczaje, dzieli zaś tylko układ społeczny. Można więc powiedzieć, że rezerwa Anglików wynika raczej z charakteru ich kraju niż z charakteru obywateli.

. . . . . .

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wpływ demokracji na zarobki

. . . . . .

W miarę jak zasady hierarchii społecznej są coraz mniej przestrzegane, jak zniżają się wielcy, podnoszą mali, a zarówno bieda, jak i bogactwo przestają być dziedziczne, z każdym dniem zmniejsza się rzeczywista i zwyczajowa przepaść, która dzieliła robotnika i właściciela.

Robotnik staje się bardziej świadomy swych uprawnień, swojej przyszłości, siebie samego; wypełniają go nowe ambicje i nowe pragnienia, osaczają nowe potrzeby. Pożądliwym okiem spogląda na zyski pracodawcy i pragnie je dzielić. Dlatego stara się podnieść cenę swej pracy, co mu się zazwyczaj udaje.

W krajach demokratycznych, jak zresztą wszędzie, większość dziedzin przemysłu prowadzą ludzie pod względem majątku i wykształcenia wcale nie stojący znacznie wyżej od tych, których u siebie zatrudniają. Takich przedsiębiorców jest bardzo wielu i mają oni różne interesy. Dlatego nie jest im łatwo porozumieć się między sobą i wspólnie działać.

Z drugiej strony, prawie wszyscy robotnicy mają jakieś zasoby, które pozwalają im odmówić wykonywania pracy, jeśli nie otrzymują godziwego wynagrodzenia.

W wiecznej wojnie o wysokość zarobków, jaką toczą między sobą te dwie klasy, siły są więc podzielone i zbliżone są szanse obu stron na zwycięstwo.

Można nawet przypuszczać, że w końcu przeważy interes robotników, ponieważ wyższe zarobki, które udało im się już zdobyć, czynią ich coraz mniej zależnymi od właścicieli, im bardziej zaś są niezależni, tym łatwiej przychodzi im wywalczenie dalszych podwyżek.

Wezmę za przykład tę dziedzinę działalności produkcyjnej, która w naszych czasach jest jeszcze najbardziej powszechna na całym świecie: uprawę ziemi.

We Francji większość ludzi, którzy wynajmują się do pracy na roli, posiada działki, które w ostateczności pozwalają im przetrwać bez pracy na cudzej ziemi. Kiedy więc chcą wynająć się wielkiemu właścicielowi ziemskiemu lub farmerowi z sąsiedztwa, a ten odmawia im określonej zapłaty, wycofują się do swego małego gospodarstwa i czekają na lepszą okazję.

Zasadniczo można powiedzieć, iż powolny i stały wzrost zarobków jest jednym z ogólnych praw rządzących społeczeństwami demokratycznymi. W

miarę jak zrównują się możliwości, zarobki się podnoszą, a w miarę jak podnoszą się zarobki, możliwości się zrównują.

W naszych czasach istnieje jednak poważny i niedobry wyjątek od tej reguły.

W poprzednim rozdziale mówiłem o tym, jak arystokracja, którą wygnano z życia politycznego, ujawniła się w pewnych dziedzinach gospodarki i tam na nowo, choć w odmienny sposób, zapanowała.

Wpływa to ogromnie na wysokość zarobków.

Ponieważ po to, by przedsięwziąć działalność produkcyjną na wielką skalę, trzeba być człowiekiem bardzo bogatym, podejmuje ją niewielu ludzi. Jako że są nieliczni, łatwo mogą nawiązać porozumienie i ustalić między sobą dowolną wysokość zarobków.

Robotników natomiast jest bardzo wielu. Co więcej, liczba ich stale rośnie, ponieważ od czasu do czasu przychodzi okres nadzwyczajnej koniunktury, podczas której zarobki niepomiernie wzrastają, przyciągając do manufaktur całą okoliczną ludność. Otóż jeżeli człowiek raz podejmie tego rodzaju pracę, nie może już jej porzucić, ponieważ jego ciało i umysł nabierają nawyków, które czynią go niezdolnym do wszelkiego innego zajęcia. Ludzie ci mają na ogół niewiele wykształcenia, przedsiębiorczości i majątku, są więc zdani na łaskę właściciela. Jeżeli konkurencja lub inne przypadkowe okoliczności wpływają na zmniejszenie zysków tego ostatniego, może on dowolnie obniżyć zarobki, aby na robotnikach zarobić to, co stracił gdzie indziej.

Jeśli nawet wszyscy robotnicy solidarnie odmówią pracy, właściciel, który jest człowiekiem bogatym, może nie narażając się na ruinę czekać chwili, kiedy wrócą do niego, zmuszeni przez konieczność. Robotnicy tymczasem, których jedyną własnością są ich ręce, muszą codziennie pracować, by nie umrzeć z głodu. Wieloletni ucisk wpędził ich w nędzę, a im się biedniejsi, tym łatwiej ich ciemiężyć. Jest to błędne koło, z którego żadną miarą wyjść nie mogą.

Nie należy więc się dziwić, że zarobki, choć czasem ulegają gwałtownemu podwyższeniu, obniżają się tutaj nieustannie, podczas gdy w innych zawodach cena pracy rośnie w. zasadzie tylko nieznacznie, ale nieustannie.

Ten stan zależności i nędzy, który jest w naszych czasach udziałem pewnej grupy ludności pracującej w przemyśle, jest zjawiskiem wyjątkowym i stojącym w sprzeczności ze wszystkim, co dzieje się dokoła. Niemniej z tego właśnie powodu stanowi poważne niebezpieczeństwo i zasługuje na szczególną uwagę prawodawcy. W społeczeństwie, w którym panuje ciągły ruch, trudno jest bowiem utrzymać jakąś klasę w stanie bierności i sprawić, by kiedy przed większością ludzi otwierają się stale nowe drogi do zdobycia majątku, niektórzy cierpliwie znosili swoje nie zaspokojone potrzeby i pragnienia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wpływ demokracji na rodzinę

Mówiliśmy o tym, w jaki sposób równość możliwości przeobraziła stosunki panujące między obywatelami w społeczeństwach demokratycznych, a w szczególności w Ameryce.

Chcę teraz postąpić krok dalej i przyjrzeć się rodzinie. Celem moim nie jest odkrywanie nowych zjawisk, ale poszukiwanie związków istniejących między znanymi już zjawiskami a tematem, który podejmuję.

Wszyscy wiemy, że w naszych czasach stosunki między poszczególnymi członkami rodziny się zmieniły, że zmniejszył się dystans dzielący niegdyś ojca i syna oraz że władza ojcowska, jeżeli nie zanikła, to przynajmniej straciła na znaczeniu.

Zjawisko analogiczne, jakkolwiek jeszcze bardziej uderzające, daje się obserwować w Stanach Zjednoczonych.

Rodzina, w rzymskim bądź arystokratycznym tego słowa znaczeniu, w Ameryce w ogóle nie istnieje. Jej pozostałości odnaleźć można jeszcze w rodzinie amerykańskiej w ciągu pierwszych kilku lat po urodzeniu się dzieci. Ojciec sprawuje wówczas domową dyktaturę, jakiej wymaga niedojrzałość dzieci i jaką usprawiedliwia zarówno interes dzieci, jak niezaprzeczona wyższość ojca.

Kiedy jednak młody Amerykanin zbliża się do wieku męskiego, więzy synowskiego posłuszeństwa rozluźniają się z każdym dniem. Będąc już panem swoich myśli niebawem staje się również panem swojego postępowania. W Ameryce w życiu człowieka nie istnieje właściwie okres młodzieńczy. Ledwie kończy się dzieciństwo, zaczyna się wiek dojrzały i człowiek zaczyna samodzielnie iść przez życie.

Niesłusznie sądzilibyśmy, że jest to następstwem walki między ojcem i synem, w której syn za pomocą moralnej presji wywalcza sobie wolność, jakiej mu ojciec odmawiał. Te same zwyczaje i te same zasady, które popychają syna ku pełnej niezależności, skłaniają ojca do uznania jej za niezaprzeczalne prawo.

U syna nie przejawiają się żadne spośród owych nienawistnych i chaotycznych namiętności, które zazwyczaj rządzą ludźmi długo jeszcze po wyłamaniu się spod jakiejś władzy. Ojcowie nie doświadczają natomiast owych uczuć pełnych żalu, goryczy i gniewu, które są zwykle trwalsze od utraconej władzy. Ojciec zdaje sobie sprawę z granic swojej władzy i abdykuje bez oporu, kiedy czas kładzie jej kres. Syn z góry przewidział, kiedy własna wo-

la stanie się zasadą jego postępowania, i wolność swą bierze bez pośpiechu i wysiłku, jak dobro, które mu się należy i którego nikt nie ma zamiaru go pozbawić.

Warto przyjrzeć się temu, jak zmiany, które zaszły wewnątrz rodziny, pozostają ściśle związane ze społeczną i polityczną rewolucją, dokonującą się na naszych oczach.

Istnieją pewne wielkie zasady społeczne, które społeczeństwo przyjmuje ze wszystkimi ich konsekwencjami lub w całości odrzuca.

W krajach arystokratycznych władza nie oddziałuje nigdy bezpośrednio na wszystkich poddanych. Ponieważ ludzie są od siebie uzależnieni, władza ogranicza się do kierowania najbardziej liczącymi się obywatelami. Reszta idzie w ich ślady. Tak jak do wszystkich grup ludzi posiadających przywódcę, stosuje się to i do rodziny. W krajach arystokratycznych społeczeństwo w gruncie rzeczy uznaje tylko ojca rodziny. Do syna dociera za pośrednictwem ojca — społeczeństwo rządzi ojcem, a ojciec rządzi swymi synami. Ojciec posiada więc nie tylko prawo naturalne. Społeczeństwo przyznaje mu także jakby polityczne prawo do rządzenia. Będąc założycielem i podporą rodziny, ojciec jest również jej sędzią.

W demokracji, gdzie ramię władzy dosięga pośród tłumu każdego człowieka z osobna, nie istnieje potrzeba pośrednictwa. W oczach prawa ojciec jest takim samym obywatelem jak jego synowie, tyle że starszym i zamożniejszym.

Kiedy możliwości ludzkie są bardzo nierówne i kiedy ta nierówność jest zjawiskiem stałym, idea zwierzchnictwa nabiera w wyobraźni ludzi większego znaczenia i nawet jeżeli prawo nie przyznaje zwierzchnikowi prerogatyw, czyni to obyczaj oraz opinia. Kiedy natomiast ludzie mało się różnią, ogólne pojęcie zwierzchnictwa staje się słabsze i mniej oczywiste. Na próżno prawodawca stara się przydzielić temu, kto słucha, pozycję znacznie niższą od pozycji tego, kto rządzi — obyczaje zbliżają obu tych ludzi i nieustannie sprowadzają ich do jednego poziomu.

Chociaż więc w prawodawstwie społeczeństwa arystokratycznego głowie rodziny nie przyznaje się żadnych szczególnych przywilejów, jej władza jest tam wielce szanowana i znacznie większa niż w demokracji. Niezależnie bowiem od charakteru praw, w społeczeństwie arystokratycznym wyższą i niższą pozycję dzieli zawsze znacznie większy dystans niż w społeczeństwie demokratycznym.

Kiedy ludzie żyją raczej przeszłością niż teraźniejszością i kiedy bardziej niż własnymi poglądami kierują się poglądami przodków, ojciec staje się łącznikiem między przeszłością a chwilą obecną, ogniwem, które wiąże oba łańcuchy czasu. W arystokracji ojciec jest więc nie tylko politycznym zwierzchnikiem rodziny; jest nosicielem tradycji, interpretatorem zwyczajów, ar-

bitrem obyczaju. Słucha się go z respektem, przystępuje doń z uszanowaniem, a miłości do niego zawsze towarzyszy lęk.

Kiedy układ społeczny nabiera cech demokracji, a ludzie przyjmują jako zasadę, że słusznie jest i dobrze, posługując się dawnymi ideami jako nauką, nie zaś jako regułą, mieć własny o wszystkim sąd, poglądy ojca przestają mieć dla synów większe znaczenie, podobnie jak i jego władza.

Bardziej od wszystkich innych przyczyn na zmianę stosunków między ojcem a dziećmi wpłynął być może wprowadzony przez demokrację podział majątków.

Kiedy ojciec posiada niewielki majątek, życie rodziny koncentruje się w jednym miejscu i ojciec z synem wspólnie pracują. Przyzwyczajenie i potrzeba zbliża ich i zmusza do porozumiewania się we wszystkim, a ich wzajemne stosunki nabierają tonu rodzinnej intymności, która sprawia, że władza ojca staje się mniej bezwzględna, i która nie godzi się z zewnętrznymi formami poszanowania.

Otóż w społeczeństwach demokratycznych warstwa ludzi średnio zamożnych jest warstwą kształtującą idee i obyczaje. Wszystkim narzuca swoje poglądy oraz wolę i nawet ci, którzy najbardziej skłonni są opierać się jej przewodnictwu, idą w końcu za jej przykładem. Widziałem zapamiętałych wrogów demokracji, którzy pozwalali, by ich dzieci mówiły do nich «ty».

Kiedy więc władza zaczyna wymykać się arystokracji, zanika zarazem surowy, konwencjonalny i prawny charakter władzy ojcowskiej i swego rodzaju równość zadomawia się w rodzinnym kręgu.

Nie wiem, czy społeczeństwo traci na tej odmianie, jestem jednak skłonny przypuszczać, że zyskuje na niej jednostka. Myślę, iż w miarę jak obyczaje i prawa stają się bardziej demokratyczne, stosunki między ojcem a synem stają się bardziej intymne i ciepłe. Zasady i autorytet ustępują miejsca zaufaniu oraz afektowi i wydaje się, że podczas gdy rozluźniają się więzy społeczne, więzy naturalne ulegają zacieśnieniu.

W demokratycznej rodzinie ojciec sprawuje tylko taką władzę, jaką ludzie chętnie przyznają miłości ojcowskiej oraz doświadczeniu człowieka leciwego. Nie przyjęto by może jego rozkazów, ale jego rady są zwykle nader skuteczne. Ojciec nie jest otoczony oficjalnym respektem, ale za to synowie odnoszą się doń z całym zaufaniem. Zwracając się do niego nie używają żadnej obowiązującej formuły, ale za to stale z nim rozmawiają i radzą się go na każdym kroku. Zniknął pan i sędzia — pozostał ojciec.

By ocenić różnicę, jaka w tej mierze istnieje między dwoma społecznymi układami, wystarczy przejrzeć korespondencję rodzinną arystokratów. Jej styl jest zawsze poprawny, ceremonialny, sztywny, surowy i tak chłodny, że naturalne uczucia z trudem przebijają przez słowa.

Natomiast w słowach, jakie do ojca kieruje syn w kraju demokratycznym, jest pewna swoboda, poufałość i serdeczność, która dowodzi, że zapanowały tam inne stosunki.

Podobnej przemiany doznały wzajemne stosunki między dziećmi.

W arystokratycznej rodzinie, podobnie jak w arystokratycznym społeczeństwie, każdy ma z góry wyznaczone miejsce. Nie tylko ojciec zajmuje tam szczególną pozycję i cieszy się wielkimi przywilejami; także i dzieci nie są między sobą równe. Wiek oraz płeć nieodwołalnie określają pozycję każdego i każdemu dają inne prerogatywy. Demokracja obala bądź narusza większość tych barier.

Ponieważ w rodzinie arystokratycznej najstarszy syn dziedziczy większość dóbr i niemal wszystkie uprawnienia, staje się on zwierzchnikiem, a nawet w pewnej mierze panem swoich braci. Jemu pisana jest wielkość i władza — im przeciętność i zależność. Niesłusznie jednak sądzilibyśmy, że w społeczeństwie arystokratycznym przywileje najstarszego syna służą tylko jemu samemu, a w jego otoczeniu budzą jedynie zazdrość i nienawiść.

Najstarszy stara się zwykle zapewnić bogactwo i władzę swoim braciom, ponieważ świetność rodziny opromienia tego, kto ją reprezentuje. Młodsi ze swej strony starają się ułatwić najstarszemu wszystkie przedsięwzięcia, ponieważ wielkość i siła głowy rodziny przydaje blasku wszystkim jej potomkom.

Wszyscy członkowie arystokratycznej rodziny są więc ze sobą ściśle związani: pokrywają się ich interesy, zgodny jest ich sposób myślenia; rzadko jednak rozumieją się ich serca.

Demokracja również przywiązuje braci do siebie, ale czyni to w inny zgoła sposób.

W oczach demokratycznego prawa dzieci są doskonale równe, a co za tym idzie — niezależne. Nie zbliża ich żadna konieczność, ale też nic ich nie oddala; ponieważ łączy ich wspólne pochodzenie, ponieważ wychowują się pod tym samym dachem i są przedmiotem tych samych trosk, a żadne szczególne prerogatywy nie dzielą ich ani nie wyróżniają, powstaje między nimi ciepła atmosfera dziecinnego przywiązania. Więzów powstałych w ten sposób u zarania życia nie zrywa się i później, ponieważ zbliżają one ludzi nieustannie, wcale im nie ciążąc.

Demokracja przywiązuje do siebie braci węzłem nie wspólnoty interesów, ale wspólnoty doświadczeń i dobrowolnej zgodności poglądów i zamiłowań. Demokracja dzieli przypadającą dzieciom schedę, ale jednoczy ich dusze.

Łagodność owych demokratycznych obyczajów jest tak wielka, że sami obrońcy arystokracji dają się im uwieść, a zaznawszy ich nie chcą już powrócić do pełnych szacunku i zimnych form arystokratycznej rodziny. Chętnie zachowaliby rodzinne zwyczaje demokracji, gdyby tylko mogli odrzucić jej

układ społeczny i jej prawa. Ale rzeczy te idą w parze i nie da się korzystać z dobrodziejstw jednych, nie tolerując innych.

To, co powiedziałem o synowskiej miłości i o czułości braterskiej, odnosi się do wszystkich uczuć, które spontanicznie rodzą się między ludźmi, biorąc początek w naturze.

Jeżeli jakiś sposób myślenia i odczuwania jest wynikiem określonego układu społecznego, z chwilą zmiany tego układu na jego miejscu powstaje pustka. Tak na przykład prawo wiąże ściśle dwóch obywateli: gdy tylko prawo zostaje obalone, ludzie ci się rozłączają. Nie było nic silniejszego nad więzy, jakie w świecie feudalnym łączyły wasala z panem. Dzisiaj ci dwaj ludzie nie mają nic wspólnego. Zniknął lęk, wdzięczność i miłość, które łączyły ich dawniej. Nie ma po nich śladu.

Nie dotyczy to jednak naturalnych uczuć właściwych rodzajowi ludzkiemu. Prawo osłabia je, kiedy stara się je złamać, ale również odbiera im ich własną siłę, kiedy z kolei usiłuje je wzmocnić. Pozostawione samym sobie są zawsze silniejsze.

Demokracja, która obala lub osłabia wszystkie dawne konwencje obyczajowe i która utrudnia ludziom tworzenie w ich miejsce nowych, unicestwia większość uczuć zrodzonych z konwencji. Co do innych — przeobraża je jedynie i daje im często nie spotykaną przedtem siłę i delikatność.

Sens niniejszego rozdziału oraz rozdziałów poprzednich można zamknąć w jednym zdaniu. Demokracja rozluźnia więzy społeczne, ale zacieśnia więzy naturalne. Oddalając od siebie obywateli, zbliża członków rodziny.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wychowanie dziewcząt w Stanach Zjednoczonych

Obyczaje zawsze stanowiły o istnieniu wolnych społeczeństw. Mówiłem już w pierwszej części tego dzieła, że obyczaje są dziełem kobiet. Wszystko, co wpływa na kondycję kobiet, na ich zwyczaje i poglądy, posiada więc w moim przekonaniu wielkie znaczenie społeczne.

W prawie wszystkich narodach protestanckich młode dziewczęta są znacznie bardziej samodzielne niż w narodach katolickich.

Ich niezależność jest jeszcze większa w tych krajach protestanckich, które — tak jak Anglia — zachowały lub wywalczyły sobie prawo rządzenia się samodzielnie. Za pośrednictwem zwyczajów politycznych i wierzeń religijnych wolność przeniknęła tam do wnętrza rodziny.

W Stanach Zjednoczonych doktryny protestanckie zostały skojarzone z wolnością polityczną i wysoce demokratycznym układem społecznym. Toteż nigdzie indziej młode dziewczęta nie są tak wcześnie i tak całkowicie samodzielne.

Na długo przed dniem, w którym młoda Amerykanka osiąga dojrzałość, stopniowo uwalnia się ją od matczynej kurateli. Będąc jeszcze prawie dzieckiem myśli, wypowiada się oraz działa samodzielnie. Nikt nie stara się ukryć przed nią prawdziwego obrazu świata, przeciwnie, wychowanie zmierza do ujawnienia prawdy i uczy przyjmować ją ze spokojem i odwagą. Toteż ułomności i niebezpieczeństwa życia społecznego zostają jej wcześnie ukazane — widzi je jasno, ocenia bez złudzeń i śmiało stawia im czoło. Wierzy bowiem we własne siły i zaufanie to wydaje się dzielić całe otoczenie.

Od amerykańskiej dziewczyny nie należy prawie nigdy spodziewać się owego dziewiczego wstydu, jaki towarzyszy budzącym się pragnieniom, ani owego wdzięku naiwności i prostoty, który charakteryzuje zwykle u Europejki okres przejścia od dzieciństwa do młodości. Rzadkością jest, by Amerykanka, niezależnie od swego wieku, okazywała dziecinną nieśmiałość i nieświadomość. Pragnie się podobać tak samo jak młoda dziewczyna w Europie, ale dokładniej wie, za jaką cenę. Choć nie oddaje się złu, to na pewno jest świadoma jego istnienia, i raczej można powiedzieć, że ma czyste obyczaje niż niewinny umysł.

Bywałem często zdziwiony i niemal przerażony widząc, z jaką zręcznością i śmiałością młode Amerykanki lawirowały wśród raf dowcipnej konwersacji — niejeden filozof sto razy potknąłby się w rozmowie, która im przychodziła z największą łatwością.

Korzystając ze swojej niezależności, młoda Amerykanka nie przestaje nigdy całkowicie panować nad sobą. Cieszy się wszystkimi dostępnymi jej przyjemnościami, ale żadnej z nich nie oddaje się bez reszty. Jej rozsądek nigdy nie wypuszcza cugli, choć często zdaje się je trzymać nader luźno.

We Francji, gdzie w poglądach i upodobaniach dziwacznie mieszają się szczątki rozmaitych dawnych tradycji, kobietom daje się, jak za czasów arystokracji, skromne, zacofane i niemal klasztorne wychowanie, po czym pozostawia się je nagle, bezbronne i zagubione, pośród nieuchronnego chaosu demokratycznego społeczeństwa.

Amerykanie są bardziej konsekwentni.

Zdali sobie sprawę z tego, że demokracja wymaga indywidualnej niezależności, że młodzi szybko muszą tam zyskiwać samodzielność, że zamiłowania ludzi są jeszcze nie wyrobione, a obyczaje ulegają przeobrażeniom, że opinia publiczna jest częstokroć niepewna i słaba, że władza ojcowska ma już niewielkie znaczenie, a władza męża nad żoną została podana w wątpliwość.

Zważywszy ten stan rzeczy, Amerykanie uznali, że małe są szanse na to, by zwalczyć u kobiety najgwałtowniejsze namiętności i lepiej nauczyć ją, by zwalczała je sama. Ponieważ nie mogli chronić jej cnoty przed niebezpieczeństwami, uznali że powinna sama umieć jej bronić, i bardziej liczą na jej wolę niż na nie istniejące już bariery obyczajowe. Miast podtrzymywać w dziewczynie nieufność do siebie samej, starają się wzmocnić jej wiarę we własne siły. Nie mając możliwości ani też nie chcąc utrzymywać młodej dziewczyny w stanie całkowitej nieświadomości, postarali się wcześnie wtajemniczyć ją we wszystko. Wcale nie kryją przed nią panującego na świecie zepsucia, przeciwnie — chcą, by ujrzała je jak najwcześniej i by sama umiała od niego się uchronić. Zdecydowali się uświadomić ją i tym samym zapewnić jej uczciwość, miast zbytnio szanować jej niewinność.

Jakkolwiek Amerykanie są bardzo religijnym społeczeństwem, broniąc cnoty kobiet nie odwoływali się wyłącznie do religii — starają się uzbroić ich umysły. Zastosowali tutaj tę samą metodę co w wielu innych dziedzinach życia. Zrobili ogromny wysiłek, by skłonić indywidualną niezależność do kontrolowania samej siebie, i dopiero potem wezwali na pomoc religię.

Wiem, że podobna edukacja nie jest wolna od niebezpieczeństw. Zdaję sobie także sprawę, że rozwija ona umiejętność oceny kosztem wyobraźni i sprawia, że kobieta staje się raczej istotą uczciwą i chłodną niż czułą i miłą towarzyszką mężczyzny. W społeczeństwie panuje dzięki temu większy ład i jest ono lepiej zorganizowane, ale prywatne życie posiada mniej uroków. Lecz cel przesłania owo drugorzędne zło. W sytuacji, w której się znaleźliśmy, nie ma już wyboru: demokratyczne wychowanie jest konieczne, by uchronić kobietę przed niebezpieczeństwami, wobec których stawiają ją instytucje i obyczaje demokracji.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jak młoda Amerykanka przyjmuje rolę żony

W Ameryce zawarcie związku małżeńskiego raz na zawsze kładzie kres niezależności kobiety. O ile młoda dziewczyna jest tam mniej skrępowana niż gdzie indziej, o tyle swoboda kobiety zamężnej zostaje poważnie ograniczona. Dla dziewczyny dom rodzicielski jest miejscem swobody i przyjemności, dla żony dom mężowski jest czymś w rodzaju klasztoru.

Te dwie różne kondycje kobiety nie są być może tak sprzeczne, jak by się wydawało, i Amerykanki przechodzą z jednej w drugą naturalną koleją rzeczy.

Religijne narody oraz uprzemysłowione społeczeństwa bardzo poważnie traktują instytucję małżeństwa. Pierwsze w dyscyplinie życia kobiety upatrują najlepszą gwarancję i najważniejszą oznakę czystości jej obyczajów, drugie zaś — rękojmię ładu i pomyślności domowego ogniska.

Amerykanie są zarazem purytańskim narodem i społeczeństwem kupieckim. Ich religijne wierzenia, podobnie jak ich zwyczaje, wynikłe z produkcyjnego nastawienia społeczeństwa, każą im wymagać od kobiety poświęcania własnych przyjemności dla obowiązków, czego rzadko oczekuje się od niej w Europie. Toteż w Stanach Zjednoczonych nieubłagana opinia publiczna zamyka kobietę w ciasnym kręgu domowych zajęć i obowiązków, którego nie wolno jej opuścić.

Wchodząc w życie, młoda Amerykanka znajduje się wobec tych dobrze ugruntowanych pojęć i widzi wynikające z nich zasady. Szybko się przekonuje, że uchylając się choć na chwilę od panujących zwyczajów naraziłaby na niebezpieczeństwo swój spokój, honor, a nawet mogłaby utracić swoje miejsce w społeczeństwie. Podporządkowuje się więc tym zwyczajom, czerpiąc siły ze stanowczości umysłu oraz dzielności, jakie dało jej wychowanie.

Można powiedzieć, że okres niezależności jest dla niej szkołą odwagi — niezbędnej, by bez oporu i bez skargi potrafiła znosić potem poświęcenie.

Zresztą Amerykanka nigdy nie popada w więzy małżeńskie jak w sidła zastawione na jej nieświadomość i niewinność. Amerykańską dziewczynę z góry pouczono, czego się od niej oczekuje — dobrowolnie zatem przyjmuje na siebie jarzmo i dzielnie znosi swą nową kondycję, gdyż ją sama wybrała.

Ponieważ ojcowska dyscyplina jest łagodna, a więzy małżeńskie nader ciasne, młoda dziewczyna przyjmuje je na siebie ostrożnie i z obawą. Nie zdarzają się tam związki przedwczesne. Amerykanki wychodzą za mąż dopiero wtedy kiedy ich umysł jest już doświadczony i dojrzały, podczas gdy

w innych krajach większość kobiet dopiero w małżeństwie zaczyna zdobywać umysłowe doświadczenie.

Jestem zresztą daleki od przekonania, że ta wielka przemiana, jaka z chwilą zamążpójścia dokonuje się we wszystkich zwyczajach amerykańskich kobiet, wynika jedynie z nacisku opinii publicznej. Kobiety częstokroć z własnej woli nakładają na siebie owe więzy.

Kiedy nadchodzi czas wyboru męża, chłodny i surowy rozsądek, z jakim nauczyła się patrzeć na świat, podpowiada Amerykance, że pełen swobody i niezależności stosunek do życia stałby się w małżeństwie powodem wiecznego niepokoju, a nie rękojmią szczęścia, że dziewczęce radości nie są właściwą rozrywką dla żony i że źródłem radości kobiety dojrzałej jest ognisko domowe. Widząc jasno jedyną drogę, jaka może prowadzić do domowego szczęścia, na niej stawia swe pierwsze kroki i nią podąża już do końca, nie oglądając się za siebie.

Ta sama siła woli, którą okazują młode amerykańskie mężatki poddając się bez skargi surowym obowiązkom nowej kondycji, przejawia się zresztą we wszystkich ciężkich próbach życia.

W Stanach Zjednoczonych sytuacja majątkowa poszczególnych rodzin jest bardziej niestabilna niż gdziekolwiek na świecie. Nie należy do rzadkości, by ten sam człowiek w trakcie swojego życia przebył w górę i w dół wszystkie stopnie fortuny prowadzące od ubóstwa do bogactwa.

Kobiety amerykańskie znoszą wszystkie te wstrząsy ze spokojem i siłą. Rzec by można, że z łatwością dostosowują swoje pragnienia do kolejnych odmian losu.

Większość śmiałków, którzy corocznie przybywają na pustkowia Zachodu, należy, jak to już mówiłem w pierwszym tomie, do dawnej rasy anglo-amerykańskiej wywodzącej się z Północy. Wielu spośród tych ludzi, którzy z takim zapamiętaniem podejmują walkę o bogactwo, cieszyło się w swym kraju zamożnością. Ich towarzyszki dzielą z nimi niezliczone niebezpieczeństwa i niedole, nieodłączne od początków tego rodzaju przedsięwzięć. Nawet u progu zupełnie dzikich krain spotykałem młode kobiety wychowane wśród wszelkich wygód wielkich miast Nowej Anglii, które zamieniły bogaty dom rodziców na prymitywny szałas w głębi lasu. Choroby, samotność i nuda nie potrafiły złamać ich odwagi. Rysy ich wydawały się zmienione i przywiędłe, ale spojrzenie pozostawało śmiałe. Robiły wrażenie istot smutnych i zdecydowanych zarazem.

Nie wątpię, iż te młode Amerykanki w pierwszych latach życia zgromadziły ową wewnętrzną siłę, z której teraz oto czyniły użytek.

W roli kobiety zamężnej odnajdujemy więc ciągle tę samą dziewczynę — jej zadanie i zwyczaje się zmieniły, ale duch pozostał ten sam.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W jaki sposób równość możliwości przyczynia się w Ameryce do utrzymania dobrych obyczajów

Pewni filozofowie i historycy twierdzili bądź wyrażali przypuszczenie, że surowość obyczajów kobiet jest zależna od położenia ich kraju względem równika. Ci wykręcili się tanim kosztem. Wynikałoby z tego, że wystarczy globus i kompas, by wyjaśnić jeden z najtrudniejszych ludzkich problemów.

Nie wydaje mi się, by fakty potwierdzały tę materialistyczną teorię. Te same narody okazywały się w różnych okresach obyczajne lub rozwiązłe. Surowość czy też rozkład ich obyczajów wynikały zatem z jakichś czasowo występujących przyczyn, a nie tylko z naturalnych warunków kraju, które przecież pozostawały niezmienne.

Nie przeczę, iż w niektórych klimatach namiętności miłosne są szczególnie gwałtowne. Sądzę jednak, że układ społeczny i instytucje polityczne mogą powściągać lub podsycać ten naturalny temperament.

Jakkolwiek świadectwa podróżników, którzy odwiedzali Amerykę Północną, różnią się pod wieloma względami, pozostają one wszystkie w zgodzie co do tego, że panujące tam obyczaje są nieporównanie bardziej surowe niż gdziekolwiek indziej.

Pod tym względem Amerykanie z pewnością znacznie przewyższyli swoich angielskich przodków. Aby to dostrzec, wystarczy przyjrzeć się pobieżnie obu narodom.

W Anglii, tak jak i w całej Europie, złośliwość opinii wyżywa się bez przerwy na słabościach kobiet. Filozofowie i mężowie stanu zwykli skarżyć się, że obyczaje nie są dostatecznie surowe, a i literatura nie przestaje poruszać tego tematu.

W Ameryce wszystkie książki, nie wyłączając powieści, przedstawiają kobiety czystych obyczajów i nikt nie opisuje tam miłosnych przygód.

Wielka poprawność amerykańskich obyczajów po części związana jest na pewno z warunkami, jakie dyktuje kraj, rasa i religia. Lecz wszystkie te okoliczności, występujące przecież i gdzie indziej, nie wystarczają do wyjaśnienia tego zjawiska. Muszą istnieć zatem jakieś racje szczególne.

Taką szczególną racją jest, jak sądzę, równość oraz stworzone przez nią instytucje.

Równość możliwości nie jest jedyną i bezpośrednią przyczyną surowości obyczajów, ale na pewno ułatwia jej przestrzeganie.

W społeczeństwach arystokratycznych różnice urodzenia i majątku częstokroć czynią z kobiety i mężczyzny istoty tak odmienne, że ich związek jest niemożliwy. Zbliżają ich namiętności, ale układ społeczny i wynikające z niego przeświadczenia nie dopuszczają do zawarcia trwałego i jawnego związku. Dlatego istnieje wiele związków przelotnych i ukrywanych. Natura potajemnie wetuje sobie rygory prawa.

Zjawisko to zanika, kiedy równość możliwości obala wszystkie rzeczywiste oraz imaginacyjne bariery dzielące mężczyznę i kobietę. Każda młoda dziewczyna może wtedy stać się żoną mężczyzny, którego jest wybranką. Wielce to ogranicza przedmałżeńskie rozluźnienie obyczajów, albowiem niezależnie od całej łatwowierności uczuć, nie ma sposobu, by kobieta uwierzyła, iż jest kochana, jeżeli mężczyzna, mogąc ją poślubić, nie decyduje się na małżeństwo.

Te same przyczyny, choć w sposób pośredni, wpływają na charakter instytucji małżeństwa.

Nic nie służy lepiej usprawiedliwieniu nielegalnej miłości w oczach tych, którzy się jej dopuszczają, oraz ich otoczenia, jak związki zawarte w wyniku przymusu lub przypadku.

W kraju, w którym kobieta dobrowolnie dokonuje wyboru i w którym wychowanie nauczyło ją wybierać właściwie, opinia publiczna jest nieubłagana dla jej uchybień.

Stąd wynika po części surowość Amerykanów. Pojmują oni małżeństwo jako umowę, która choć często uciążliwa, musi być skrupulatnie dotrzymana, ponieważ zainteresowani z góry znają jej warunki i korzystają z całkowitej swobody decyzji.

Te same okoliczności, które sprawiają, że wierność małżeńska jest surowo nakazana, ułatwiają zarazem jej dochowanie.

W krajach arystokratycznych celem małżeństwa jest raczej połączenie dóbr niż osób. Zdarzają się więc związki zawierane już w dzieciństwie. To oczywiste, że związek małżeński, którego jedynym celem jest połączenie majątków małżonków, skazuje ich na poszukiwanie miłosnej przygody. Wynika to z natury umowy, która została zawarta.

Kiedy jednak każdy samodzielnie, bez przeszkód i przymusu, wybiera swoją towarzyszkę, tym, co zbliża do siebie mężczyznę i kobietę, jest jedynie podobieństwo upodobań i przekonań. Ono również na stałe wiąże ich potem ze sobą.

Nasi przodkowie mieli osobliwe poglądy w materii małżeństwa.

Ponieważ zauważyli, że te nieliczne małżeństwa z miłości, które bywały w ich czasach zawierane, kończyły się zawsze źle, czym prędzej wywnioskowali, że w tych sprawach niebezpiecznie jest kierować się wyborem serca. Przypadek wydawał im się bardziej nieomylny niż wybór.

Nietrudno jednak zauważyć, że przykłady, jakie mieli przed oczami, niczego nie dowodziły.

Przypomnę najpierw, że społeczeństwa demokratyczne, przyznając kobietom prawo swobodnego wyboru męża, zapewniają im uprzednio wykształcenie oraz dojrzałość woli niezbędne do dokonania takiego wyboru. Tymczasem w społeczeństwach arystokratycznych młode dziewczęta uciekające spod władzy ojcowskiej, by rzucić się w ramiona mężczyzny, którego nie miały sposobności poznać ani też nie umiały ocenić, są pozbawione wszystkich tych gwarancji. Trudno się dziwić, że czynią zły użytek ze swojej wolnej woli, skoro w ogóle czynią z niej użytek po raz pierwszy; że popełniają tak tragiczne pomyłki, skoro usiłują naśladować demokratyczne zwyczaje nie odebrawszy demokratycznego wychowania.

Ale to jeszcze nie wszystko.

Kiedy kobieta i mężczyzna chcą połączyć się wbrew nierówności, jaką stworzył między nimi arystokratyczny układ społeczny, muszą przezwyciężyć ogromne przeszkody. Wypowiedziawszy posłuszeństwo rodzicom, muszą jeszcze stawić czoło panującym obyczajom i tyrańskiej opinii. Kiedy zaś wreszcie dobrną do kresu tego trudnego przedsięwzięcia, stają się obcy swym własnym przyjaciołom i bliskim, albowiem przesąd, który przezwyciężyli, oddziela ich od otoczenia. To łamie ich odwagę i napełnia goryczą ich serca.

Jeżeli więc małżonkowie, którzy połączyli się w ten sposób, są przede wszystkim nieszczęśliwi, a poza tym uważani za występnych, nie należy tego przypisywać ich wolnemu wyborowi, ale raczej temu, że żyją w społeczeństwie, które tego rodzaju wyborów nie uznaje.

Nie należy zresztą zapominać i o tym, że ów wysiłek, który sprawia, że człowiek gwałtownie zrywa z błędami swojej epoki, zmusza go do porzucenia granic zdrowego rozsądku, że wypowiadanie słusznej skądinąd wojny poglądom własnego wieku i własnego kraju wymaga gwałtownego i awanturniczego ducha, że wreszcie ludzie tego pokroju rzadko osiągają szczęście i cnotę, niezależnie od tego, w jakim pójdą kierunku. Nawiasem mówiąc, dowodzi to, dlaczego podczas najbardziej uzasadnionych i najbardziej szczytnych rewolucyjnych przewrotów pojawia się tak niewielu rozsądnych i prawych rewolucjonistów.

Trudno się więc dziwić, że kiedy w czasach arystokracji człowiek decyduje się na zawarcie małżeństwa wyłącznie na mocy własnych poglądów i własnych upodobań, do jego domu wkracza niedola i rozprzężenie. Kiedy jednak takie samo postępowanie pozostaje w zgodzie z naturalnym i przyjętym porządkiem rzeczy, kiedy ułatwia je układ społeczny, kiedy władza ojcowska mu się nie przeciwstawia, a opinia publiczna je akceptuje, życie rodziny jest bez wątpienia spokojniejsze, a ludzie łatwiej dochowują sobie w małżeństwie wiary.

Niemal wszyscy mężczyźni czasów demokracji biorą udział w życiu politycznym bądź wykonują jakiś zawód i z tego powodu, a także z powodu niskiego poziomu zamożności, kobieta musi ciągle pozostawać w domu, by osobiście i z bliska czuwać nad gospodarstwem.

Te konieczne a odmienne zatrudnienia tworzą jakby naturalne przegrody między przedstawicielami obu płci oraz sprawiają, że zabiegi jednej strony są mniej natarczywe, a opór drugiej łatwiejszy.

Równość możliwości nie czyni ludzi cnotliwymi, lecz czyni mniej niebezpiecznym rozwichrzenie obyczajów. Skoro nikt nie ma już sposobności nastawania na cnotę kobiet gotowych się bronić, powstaje taka sytuacja, że z jednej strony jest mnóstwo uczciwych kobiet, z drugiej zaś — wiele kurtyzan.

Taki stan rzeczy staje się przyczyną niedoli poszczególnych ludzi, ale nie nadwereża siły i zdrowia organizmu społecznego. Nie rozbija związków rodzinnych i nie osłabia narodowych obyczajów. Naprawdę groźne dla społeczeństwa nie jest bowiem wielkie zepsucie niektórych ludzi, lecz powszechne rozluźnienie obyczajów. Dla prawodawcy prostytucja jest mniej groźna niż lekkie obyczaje.

Burzliwe i niespokojne życie będące następstwem równości nie tylko dlatego odwraca uwagę ludzi od miłosnych przygód, że nie pozostawia im na nie czasu. Czyni to również bardziej ukrytym i pewnym sposobem.

Wszyscy ludzie żyjący w czasach demokracji w większym lub mniejszym stopniu nabierają umysłowych nawyków warstw industrialnych i kupieckich. Ich nastawienie jest poważne, wyrachowane i trzeźwe. Odwracają się oni od ideału i dążą ku widocznym i osiągalnym celom, które jawią się jako naturalny i niezbędny przedmiot pożądania. Równość nie unicestwia tym samym wyobraźnią lecz zakreśla jej granice, nie pozwalając wzlatywać zbyt wysoko.

Obywatele demokracji nie należą do marzycieli i żaden z nich nie ma zwyczaju oddawać się owym próżniaczym i samotnym rozmyślaniom, które bywają warunkiem wielkich uniesień serca.

To prawda, iż wielką wagę przywiązują do owych głębokich, konsekwentnych i statecznych uczuć, które stanowią o uroku i bezpieczeństwie życia, nie poszukują jednak emocji gwałtownych i kapryśnych, które to życie zakłócają i skracają.

Wiem, że wszystko to stosuje się tylko do Ameryki i nie może na razie w pełni zostać odniesione do Europy.

Prawa i obyczaje z bezprzykładną gwałtownością popychają od półwiecza wiele europejskich społeczeństw ku demokracji, a mimo to stosunki między kobietą a mężczyzną nie zyskały na obyczajności. Nieraz dzieje się nawet przeciwnie. Pewne klasy społeczne stały się bardziej obyczajne, ale powszechna moralność wydaje się słabnąć. Nie waham się tego stwierdzić, bowiem

nie widzę powodu, dla którego miałbym raczej wychwalać niż ganić moich współczesnych.

Ten obraz społeczeństwa jest przygnębiający, ale nie powinien zaskakiwać. Pozytywny wpływ, jaki demokratyczny układ społeczny wywiera na stan obyczajów, należy do zjawisk, które można dostrzec dopiero po dłuższym czasie. O ile równość możliwości sprzyja dobrym obyczajom, o tyle przeobrażenia społeczne, które do tej równości prowadzą, są dla nich zgubne.

Od pięćdziesięciu lat, odkąd Francja zaczęła się przeobrażać, rzadko mieliśmy wolność, ale za to zawsze chaos. Pośród tego powszechnego pomieszania idei i zachwiania poglądów, pośród niezbornej mieszaniny tego, co słuszne, i tego, co niesłuszne, tego, co prawdziwe, i tego, co fałszywe, cnoty społeczne stały się niepewne, a moralność życia prywatnego chwiejna.

Lecz wszystkie rewolucje, niezależnie od tego, o co walczyły i kim byli ich wyznawcy, powodowały na początku te same skutki. Nawet te spośród nich, które w końcu wprowadziły surowe obyczaje, zrazu je rozluźniały.

Chaos, którego jesteśmy świadkami, nie wydaje mi się więc zjawiskiem trwałym. Zapowiadają to już pewne interesujące oznaki.

Trudno o coś bardziej żałośnie rozwiązłego od arystokracji, która utraciła władzę, zachowując bogactwo. Pozostają jej już tylko niższe uciechy i ma na nie więcej czasu. Zanikają gwałtowne namiętności i wielkie myśli, które niegdyś ją ożywiały, i tylko małe występki toczą jej ciało niczym robaki trupa.

Nikt nie przeczy, iż w poprzednim stuleciu arystokracja francuska była bardzo zepsuta, podczas gdy w innych warstwach społecznych dawne zwyczaje i wiara podtrzymywały jeszcze poszanowanie obyczajów.

Bez trudu też zgodzimy się, że w naszych czasach jest odwrotnie. Pewna surowość zasad daje się zauważyć wśród szczątków tej samej arystokracji, natomiast w średnich i niższych warstwach społeczeństwa zapanował chaos obyczajów. Rody, których przedstawiciele pięćdziesiąt lat temu należeli do najbardziej rozwiązłych, dzisiaj żyją najbardziej przykładnie. Odnosi się wrażenie, że demokracja umoralniła jedynie arystokratów.

Dzieląc majątki arystokratów, ograniczając ich do zajmowania się wyłącznie własnymi i rodzinnymi interesami, zmuszając ich do zamieszkiwania wraz z dziećmi pod jednym dachem, nadając wreszcie więcej rozwagi ich sposobowi myślenia, rewolucja wzbudziła w nich szacunek dla religii, umiłowanie ładu, spokojnych przyjemności, domowego życia i dobrobytu. Co do reszty narodu, która z natury posiadała takie właśnie skłonności, już sam wysiłek, jakiego dokonała w celu obalenia praw i zasad politycznych, wtrącił ją w stan chaosu.

Dawna arystokracja francuska poniosła konsekwencje rewolucji, nie dzieląc jednakże rewolucyjnych namiętności ani anarchicznego porywu, z które-

go rewolucja powstała. Dlatego właśnie w pierwszej kolejności rewolucja wywarła zbawienny wpływ właśnie na jej obyczaje.

Można więc powiedzieć, choć w pierwszej chwili wydaje się to zaskakujące, że w naszych czasach najbardziej antydemokratyczne warstwy narodu dają przykład tego rodzaju moralności, której możemy po demokracji oczekiwać.

Wierzę wszelako, że kiedy osiągniemy już wszystkie zdobycze rewolucji demokratycznej i kiedy otrząśniemy się z zamieszania, jakie spowodowała, to, co dzisiaj można powiedzieć tylko o niektórych ludziach, będzie można powiedzieć o wszystkich.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jak Amerykanie pojmują równość kobiety i mężczyzny

Mówiłem o tym, w jaki sposób demokracja zwalcza powstające w społeczeństwie nierówności. Czy jednak na tym poprzestaje? Czy nie wkracza również w dziedzinę owej wielkiej nierówności między kobietą i mężczyzną, która dotychczas wydawała się być na zawsze ustanowiona przez samą naturę?

Myślę, że ruch społeczny, który stawia na równi ojca i syna, służącego i pana oraz podwładnego i zwierzchnika w ogólności, podnosi także pozycję kobiety i musi w coraz większym stopniu czynić ją równą mężczyźnie.

Tutaj jednak chciałbym, żeby mnie dobrze zrozumiano, ponieważ jest to temat, w którym płaski i chaotyczny sposób myślenia naszego wieku pozwala sobie na największe dowolności.

Są w Europie ludzie, którzy myląc atrybuty płci, chcą z kobiety i mężczyzny zrobić istoty nie tylko równe, ale identyczne. Powierzają obojgu te same funkcje, narzucają te same obowiązki i przyznają te same uprawnienia — utożsamiają kobietę i mężczyznę we wszystkich dziedzinach: w pracy, w zabawie, w interesach. Łatwo się domyślić, że tak usilnie zrównując ich ze sobą, degraduje się jedno i drugie, i że to prymitywne naruszenie porządku natury może sprawić tylko tyle, że mężczyźni będą słabi, a kobiety bez czci.

Amerykanie inaczej zgoła pojmują demokratyczną równość kobiety i mężczyzny. Uznali, że natura, stwarzając tak wielkie różnice w ich konstytucji fizycznej i moralnej, miała widocznie na celu uczynienie z tych różnych cech odmiennego użytku. Amerykanie pojęli tedy, że postęp nie polega na tym, by tak różnym istotom kazać robić to samo, ale na tym, by każda z nich możliwie najlepiej spełniała swoje własne zadania. Do kwestii płci zastosowali tę samą zasadę ekonomii politycznej, która w naszych czasach rządzi działalnością produkcyjną. Starannie rozróżnili zadania kobiety i mężczyzny, przyjąwszy za cel lepsze funkcjonowanie społeczeństwa.

Ameryka jest krajem, gdzie starano się konsekwentnie wyznaczyć obu płciom wyraźnie odrębne dziedziny działania i gdzie postanowiono, że kobieta i mężczyzna mają iść równym krokiem, ale inną drogą. Nie zdarza się, by Amerykanka reprezentowała rodzinę na zewnątrz, by prowadziła handlowe interesy lub wkraczała do życia politycznego. Ale nie zdarza się również, by ciężko pracowała na roli bądź podejmowała jakąkolwiek inną uciążliwą pracę wymagającą siły fizycznej. Nawet najbiedniejsze rodziny nie stanowią

w tej mierze wyjątku. Amerykanka nie może się wydostać poza krąg domowych zajęć, lecz z drugiej strony nigdy nie jest zmuszana do ich porzucenia.

Dlatego właśnie Amerykanki, które częstokroć przejawiają iście męską umysłowość i męską energię, zachowują na ogół delikatną powierzchowność i choć niejednokrotnie z umysłu i z serca podobne są mężczyznom, ze sposobu bycia pozostają zawsze kobietami.

Amerykanie nie uważali również nigdy, że konsekwencją demokratycznych zasad ma być zniesienie władzy mężowskiej i zakłócenie hierarchii autorytetu w rodzinie. Przyjęli, iż każda wspólnota, jeżeli ma skutecznie działać, winna posiadać przywódcę oraz że naturalnym przywódcą wspólnoty, jaką stanowi małżeństwo, jest mężczyzna. Nie odmawiają mu więc prawa rządzenia w małżeństwie. Demokratyczne pojmowanie małej społeczności małżeńskiej, podobnie jak i wielkiego społeczeństwa politycznego, nie polega dla nich na zniesieniu wszelkiej władzy, ale na zalegalizowaniu władzy, która jest niezbędna.

Nie są to li tylko poglądy mężczyzn. Nie zauważyłem, by Amerykanki uważały władzę małżeńską za uzurpowaną ani by podporządkowanie się jej było dla nich poniżające. Miałem wręcz przeciwne wrażenie, że dobrowolne wyrzeczenie się własnej woli traktują jako tytuł do chwały. Takie jest przynajmniej nastawienie najcnotliwszych kobiet. Inne natomiast milczą i w Stanach Zjednoczonych nie słyszy się, by wiarołomna żona, podeptawszy swoje najświętsze obowiązki, głośno upominała się o prawa kobiet.

Łatwo zauważyć, że pewna pogarda towarzyszy w Europie nawet pochwałom, które mężczyźni kierują pod adresem kobiet, i chociaż Europejczyk nieraz staje się niewolnikiem kobiety, widać, że szczerze nie uważa jej za równą sobie.

W Stanach Zjednoczonych nie wychwala się kobiet, ale na każdym kroku okazuje się im szacunek.

Amerykanie żywią pełne zaufanie do rozsądku swoich towarzyszek i głębokie poszanowanie ich wolności. Uważają, że umysł kobiety jest tak samo jak umysł mężczyzny zdolny odkryć prawdę, a serce dosyć dzielne, by Wedle niej postępować. Nie usiłowali nigdy chronić cnoty kobiet za pomocą przesądów, nieświadomości i strachu.

W Europie, gdzie mężczyźni tak łatwo oddają się w despotyczną władzę kobiet, odmawia się jednak kobietom podstawowych cech człowieczeństwa i uważa się je za istoty pociągające, lecz niedoskonałe. Trudno się tedy dziwić, że w końcu kobiety widzą się w tym samym świetle i uważają sobie za przywilej przypisywaną im lekkomyślność, słabość i lękliwość. Amerykanki nie ubiegają się bynajmniej o podobne prawa.

Rzec można, iż przyznaliśmy mężczyźnie w dziedzinie obyczajów szczególny immunitet, na mocy którego istnieje inny rodzaj moralności dla męż-

czyzny i inny dla kobiety. Dlatego w oczach opinii publicznej ten sam czyn może być osądzony dwojako: jako zbrodnia lub tylko jako uchybienie.

To niesprawiedliwe rozróżnienie obowiązków i praw nie jest znane Amerykanom. Uwodziciel jest dla nich równie zhańbiony jak jego ofiara.

Prawda, że Amerykanie nie otaczają kobiet tego rodzaju względami, jakie skwapliwie świadczy im się w Europie, lecz swoim sposobem bycia okazują im zawsze, iż mają je za istoty cnotliwe i subtelne. Tak wielce szanują moralną wolność kobiet, że w ich obecności czuwają nad wypowiadanymi słowami, aby im oszczędzić wysłuchiwania rzeczy, które mogłyby je urazić. W Ameryce młoda dziewczyna może bez obaw wyruszyć samotnie w daleką podróż.

Prawodawcy Stanów Zjednoczonych, którzy złagodzili niemal wszystkie wyroki kodeksu karnego, za gwałt skazują na śmierć i nie ma zbrodni, którą opinia publiczna ścigałaby w sposób bardziej nieubłagany. Jest to zrozumiałe: ponieważ nie ma dla Amerykanów rzeczy cenniejszej nad honor kobiety i bardziej godnej poszanowania niż jej niezależność, uważają oni, że nie istnieje zbyt surowa kara na kogoś, kto odbiera je kobiecie wbrew jej woli.

We Francji, gdzie to samo przestępstwo karane jest znacznie łagodniej, z trudnością nieraz znaleźć można taki sąd, który zechce wydać wyrok skazujący. Jestże to pogarda dla cnoty, czy pogarda dla kobiet? Wydaje mi się, niestety, że jedno i drugie.

Amerykanie nie sądzą, by mężczyzna i kobieta mieli prawo i obowiązek robienia tych samych rzeczy. Wszelako mają jednakowy szacunek dla roli obojga, uważając kobietę i mężczyznę za istoty równej wartości, choć różnych przeznaczeń. Odwaga kobiety nie wyraża się dla nich w ten sam sposób co dzielność mężczyzny i służy innym celom. Nie wątpią jednak w dzielność kobiet i choć uważają, że mężczyzna i jego towarzyszka nie muszą wcale czynić tego samego użytku ze swojej inteligencji i rozsądku, niemniej sądzą, że rozsądek kobiety jest równy rozsądkowi mężczyzny, zaś inteligencja obojga równie żywa.

Amerykanie, którzy utrzymali zasadę niższości kobiety w życiu społecznym, w rzeczywistości intelektualnej i moralnej wznieśli ją całkowicie do poziomu mężczyzny, czym według mnie udowodnili, że doskonale rozumieją prawdziwy sens demokratycznego postępu.

Nie zawaham się powiedzieć, że chociaż w Ameryce kobieta nie opuszcza domowego ogniska i pozostaje w pewnym sensie bardzo zależna, nigdzie na świecie jej pozycja nie jest wyższa. I jeżeli w chwili, kiedy zbliżam się oto do końca mojej książki, w której ukazałem tyle ważnych dokonań Amerykanów, ktoś zadałby mi pytanie, co mianowicie uważam za przyczynę szczególnego powodzenia i rosnącej siły tego narodu, odpowiedziałbym, iż upatruję je w wyższości amerykańskich kobiet.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

O tym, jak równość dzieli Amerykanów na mnóstwo małych i odrębnych grup towarzyskich

Można by sądzić, że ostateczną konsekwencją i nieuchronnym skutkiem demokratycznych instytucji jest przemieszanie obywateli zarówno w dziedzinie życia publicznego, jak i prywatnego i zmuszenie ich do prowadzenia wspólnej egzystencji.

Oznaczałoby to pojmowanie równości, którą rodzi demokracja, jako gruboskórnej i tyrańskiej.

Nie istnieje taki układ społeczny ani takie prawo, które mogłoby uczynić ludzi do tego stopnia jednakowymi, by wykształcenie, majątek i upodobania nie tworzyły między nimi jakichś różnic. Ludzie mogą czasem widzieć interes we wspólnym działaniu, ale na pewno nie znajdują w tym przyjemności. Niezależnie od wszelkich wysiłków prawodawcy zmierzających do ujednolicenia życia, korzystają z każdej okazji, by wyrwać się z narzuconych ograniczeń, i wewnątrz wielkiego społeczeństwa tworzą małe prywatne społeczności, których spoiwem są podobne warunki, zwyczaje i obyczaje.

W Stanach Zjednoczonych obywatele nie mają żadnej przewagi jedni nad drugimi, nie są wobec siebie zobowiązani ani do posłuszeństwa, ani do szacunku, wspólnie zarządzają wymiarem sprawiedliwości oraz państwem i w ogóle wspólnie zajmują się sprawami dotyczącymi losu wszystkich. Nigdy wszelako nie słyszałem, by ktokolwiek zamierzał narzucić im wszystkim te same rozrywki i kazał wspólnie bawić się w tym samym miejscu.

Amerykanie, którzy tak chętnie jednoczą się w politycznych zgromadzeniach i w trybunałach, dzielą się jednak skwapliwie na wiele małych i bardzo odmiennych kręgów towarzyskich, by w odosobnieniu kosztować radości życia prywatnego. Każdy obywatel uznaje wszystkich innych za równych sobie, ale bardzo niewielu zalicza do przyjaciół i przyjmuje we własnym domu.

Jest to zjawisko bardzo naturalne. Należy oczekiwać, iż w miarę rozrastania się życia publicznego społeczeństwa, krąg związków prywatnych będzie się zacieśniał. Nie wydaje mi się, by obywatele nowych społeczeństw mieli żyć w wielkiej wspólnocie — obawiam się, że raczej dojdzie do tego, iż utworzą bardzo małe koterie.

W społeczeństwach arystokratycznych klasy tworzą jakby wielkie kręgi, z których nie można się wyrwać i do których nie można się dostać. Poszczególnych klas nic nie łączy, ale wewnątrz każdej z nich ludzie siłą rzeczy ut-

rzymują stałe stosunki. Nawet kiedy wcale sobie nawzajem nie odpowiadają, zbliża ich konwenans tej samej sfery.

Kiedy jednak ani prawo, ani obyczaj nie sprzyjają powstawaniu stałych i zwyczajowych stosunków między ludźmi, decyduje o nich przypadkowe podobieństwo poglądów i skłonności. One właśnie mnożą w nieskończoność odrębne grupy towarzyskie.

W demokracji, gdzie obywatele nigdy nie różnią się zbytnio i żyją tak blisko siebie, że łatwo mogą się zmieszać we wspólnym tłumie, powstaje mnóstwo sztucznych i dowolnych podziałów, za pomocą których każdy usiłuje odseparować się od innych bojąc się wchłonięcia przez anonimowe masy ludzkie.

Tak będzie zawsze, można bowiem zmienić ludzkie instytucje, ale nie można zmienić człowieka, i niezależnie od powszechnego wysiłku, zmierzającego do zrównania i upodobnienia ludzi, ich osobista duma zawsze będzie poszukiwała okazji wzniesienia się nad ogólny poziom i stwarzała w tym celu elementy nierówności.

W społeczeństwie arystokratycznym ludzi dzielą wielkie i trwałe bariery, w demokracji zaś tylko niewidoczne i rwące się nitki, które każdego dnia przebiegają inaczej.

Chociażby równość czyniła największe postępy w demokratycznym społeczeństwie, zawsze będzie powstawać mnóstwo małych prywatnych społeczności. Żadna z nich nie będzie jednak swoimi manierami przypominała klasy, która rządzi w społeczeństwie arystokratycznym.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kilka spostrzeżeń na temat amerykańskich manier

Wydawałoby się, że nie ma nic bardziej pozbawionego znaczenia niż zewnętrzne formy ludzkiego działania, i zarazem nie ma rzeczy, do której ludzie przywiązywaliby większą wagę. Przyzwyczają się do wszystkiego, z wyjątkiem życia w społeczeństwie, w którym panują inne formy. Warto zatem zainteresować się wpływem, jaki układ społeczny i polityczny wywiera na owe zewnętrzne formy zachowania.

Maniery wyrastają na ogół z ludzkiej natury, a czasem wynikają też z dowolnej umowy między pewnymi ludźmi. Są wrodzone i nabyte zarazem.

Kiedy ludzie zdają sobie sprawę, że bez wysiłku i bez niczyjego oporu zajmują pierwsze miejsca w społeczeństwie, kiedy nieustannie przyświecają im wielkie cele, podczas gdy troska o szczegóły pozostaje innym, i gdy żyją pośród bogactw, których nie musieli zdobywać i których nie obawiają się utracić, odczuwają wówczas dumną pogardę dla drobnych zatrudnień i materialnych kłopotów życia, a szlachetność ich myśli znajduje odzwierciedlenie w ich języku oraz manierach.

W krajach demokratycznych maniery są zazwyczaj mało wytworne, ponieważ takie jest i codzienne życie. Często są pospolite, ponieważ myśl niewiele ma okazji, by wznieść się ponad poziom domowych trosk.

Prawdziwie godne maniery polegają na tym, by zawsze pozostawać na swoim miejscu — ani wyżej, ani niżej. Jest to osiągalne zarówno dla chłopa, jak i dla władcy. W demokracji wszystkie miejsca w społeczeństwie są wątpliwe i dlatego maniery, które często są tam pyszałkowate, rzadko bywają pełne godności. Co więcej, nigdy nie są ani ułożone, ani wyszukane.

Ludzie żyjący w demokracji zbyt często zmieniają swoje miejsce w społeczeństwie, by mogli ustanowić jakiś kodeks savoir-vivre'u i czuwać nad jego przestrzeganiem. Każdy postępuje więc po swojemu i w dziedzinie manier zawsze panuje pewna niejednolitość; są one dostosowane raczej do indywidualnych odczuć i poglądów każdego człowieka niż do idealnego wzoru przedłożonego wszystkim do naśladowania.

Ów stan rzeczy znacznie bardziej rzuca się w oczy w okresie następującym bezpośrednio po upadku arystokracji, niż wtedy gdy jest ona już od dawna obalona.

Nowe instytucje polityczne i nowe obyczaje gromadzą wówczas i zmuszają do wspólnej egzystencji ludzi, których wykształcenie oraz zwyczaje znacznie jeszcze się różnią. Wynika z tego przedziwna mieszanina. Ludzie pa-

miętają jeszcze, iż istniał kiedyś dokładny kodeks manier, ale nie wiedzą już, co zawierał i gdzie go szukać. Stracili już z oczu ogólne prawo określające formy zachowania, ale jeszcze nie chcą się go wyrzec. Ze szczątków dawnych nawyków każdy próbuje sklecić jakieś dowolne i zmienne reguły postępowania. Skutkiem tego formy zachowania nie mają już ani układności i szlachetności, jakie można spotkać w społeczeństwach arystokratycznych, ani też prostoty i swobody, jakimi czasem cechują się demokracje. Są zbyt swobodne i nadto skrępowane zarazem.

Ten stan rzeczy jest wyjątkowy.

W czasach, w których równość jest już faktem dokonanym, wszyscy ludzie, posiadając zbliżone poglądy i podobne zatrudnienia, nie muszą już się porozumiewać i naśladować nawzajem, by móc działać i mówić w ten sam sposób. Ich maniery na każdym kroku różnią się w drobiazgach, ale nie ma między nimi różnic zasadniczych. Ludzie nie są doskonale identyczni, ponieważ nie mają wspólnego wzorca, wszelako z racji jednakowej kondycji społecznej nie są również zdecydowanie odmienni. W pierwszej chwili ma się wrażenie, że maniery wszystkich Amerykanów są dokładnie takie same, potem jednak można się przekonać o istnieniu odrębności, dzięki którym każdy z nich różni się od pozostałych.

Anglicy zwykli bawić się kosztem amerykańskich manier i co szczególne, większość spośród ludzi, którzy stworzyli ów pocieszny wizerunek Amerykanów, należy do angielskich klas średnich, do których ten sam wizerunek znakomicie się stosuje. Ci bezlitośni kpiarze sami stanowią przykład wad, które ganią u Amerykanów. Nie zauważają, że ku wielkiej uciesze angielskiej arystokracji, śmieją się w ten sposób z samych siebie.

Nic bardziej nie zniechęca ludzi do demokracji niż zewnętrzne formy jej obyczajów. Wielu ludzi chętnie pogodziłoby się z jej ułomnościami, ale nie mogą znieść jej manier.

Nie mogę jednak powiedzieć, by w manierach społeczeństw demokratycznych nie było nic godnego pochwały.

W społeczeństwach arystokratycznych wszyscy ludzie, którzy żyją blisko samej arystokracji, starają się zwykle do niej upodobnić, co daje nader pocieszne i płaskie imitacje. Społeczeństwa demokratyczne, nie mając wprawdzie do dyspozycji wzoru wielkich manier, nie są przynajmniej zmuszone do oglądania ich kiepskich kopii.

W demokracji maniery nie są nigdy tak wyrafinowane jak w społeczeństwie arystokratycznym, ale nigdy również nie są tak grubiańskie. Nie słyszy się tam ani ordynarnego języka motłochu, ani podniosłych i wyszukanych zwrotów wielkich panów. Obyczaje często bywają trywialne, ale nigdy nie są brutalne i nikczemne.

Powiedziałem już, że w demokracji nie może powstać ścisły kodeks savoir-vivre'u. Ta sytuacja ma swoje złe strony, ale ma i zalety. W arysto-

kracji reguły tego, co stosowne, narzucają wszystkim ludziom taką samą powierzchowność. Niezależnie od indywidualnych cech ludzkich czynią podobnymi wszystkich przedstawicieli jednej klasy. Przyozdabiają i zasłaniają to, co w człowieku naturalne. W społeczeństwach demokratycznych maniery nie są ani równie układne, ani równie jednolite, lecz częstokroć są bardziej szczere. Stanowią jakby lekką przesłonę, poprzez którą łatwo można zobaczyć prawdziwe uczucia i indywidualne poglądy każdego człowieka. Forma i treść ludzkich czynów współistnieją tu ściśle ze sobą, a obraz człowieczeństwa, choć mniej ozdobny, jest prawdziwszy. Dlatego w pewnym sensie można powiedzieć, że demokracja nie daje ludziom określonych manier, lecz pozbawia ich manier w ogóle.

W demokracji można czasem napotkać uczucia, namiętności, cnoty oraz występki właściwe arystokracji — ale nie jej maniery. Te ostatnie zanikają bezpowrotnie, kiedy rewolucja demokratyczna staje się faktem.

Wydaje się, że nie ma nic trwalszego nad maniery arystokracji, ponieważ zachowuje je ona jeszcze przez pewien czas po utracie dóbr i władzy; ale też nic nie jest równie kruche, bo ledwie znikną, nie masz po nich ani śladu; a kiedy już nie istnieją, trudno w ogóle powiedzieć, na czym polegały. Tego cudu dokonuje zmiana układu społecznego — wystarczy, by minęło kilka pokoleń.

Po upadku arystokracji jej naczelne idee pozostają wyryte w historii, ale stworzone przez nią subtelne formy obyczajowe bardzo szybko wymazują się z ludzkiej pamięci. Straciwszy je z oczu, ludzie nie mogą ich już pojąć. Umykają im one, zanim to zauważą i odczują. Człowiek bowiem, by mógł doświadczyć owej wyrafinowanej przyjemności płynącej z dystynkcji i wytwornych manier, potrzebuje odpowiedniego przygotowania, jakie dać może nawyk oraz wychowanie. Natomiast traci do nich upodobanie, kiedy przestaje ich używać.

Społeczeństwa demokratyczne nie tylko nie mogą posiadać arystokratycznych manier, ale nawet nie wiedzą, na czym one polegają, i wcale ich nie pragną, a nawet nie potrafią sobie ich wyobrazić, tak jakby nigdy nie istniały.

Nie należy tej stracie przypisywać zbyt wielkiego znaczenia, wolno nam jednak jej żałować.

Niejednokrotnie się zdarzało, że dystyngowane obyczaje łączyły się z bardzo pospolitymi uczuciami: na dawnych dworach wielu było ludzi, którzy pod pozorami wielkości kryli nikczemne serca, to prawda. O ile jednak maniery arystokracji nie stanowiły o jej cnocie, to jednak czasem cnotę ozdabiały. Niezwykły zaiste widok przedstawiała owa liczna i potężna warstwa ludzi, której czyny wydawały się na każdym kroku dowodzić naturalnej szlachetności uczuć i myśli, subtelności upodobań oraz światowości obyczajów.

Maniery arystokracji dawały piękne złudzenia na temat ludzkiej natury. I choć ten obraz był często fałszywy, oglądanie go sprawiało szlachetną przyjemność.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

O tym, że Amerykanie są poważni, oraz o tym, dlaczego mimo tej powagi często postępują nierozważnie

Ludzie demokracji nie cenią sobie wcale naiwnych, hałaśliwych i pospolitych rozrywek, jakim w ustroju arystokratycznym zwykł oddawać się lud. Mają je za dziecinne albo niesmaczne. Nie znajdują również upodobania w inteligentnych i wyrafinowanych zabawach arystokracji. Cenią sobie przyjemności praktyczne, treściwe oraz łączące się z jakimiś korzyściami.

W społeczeństwie arystokratycznym lud chętnie daje się porwać zgiełkliwej wesołości, która pozwala mu zapomnieć o niedolach życia, natomiast mieszkańcy demokratycznego kraju nie lubią odrywać się tak od swoich spraw i zawsze żałują momentów podobnego zapomnienia. Nad lekkomyślne uniesienia przedkładają wytchnienie w atmosferze powagi i spokoju, która przypomina atmosferę ich pracy i nie wymaga całkowitego zapomnienia o interesach.

Amerykanin, zamiast w wolnych chwilach tańczyć na placu publicznym, jak to czynią ludzie jego pokroju w całej niemal Europie, woli pić we własnym domu. Czerpie z tego podwójny zysk: myśli o interesach i przyzwoicie upija się na łonie rodziny.

Sądziłem, iż najpoważniejszym narodem świata są Anglicy, ale zmieniłem zdanie, kiedy ujrzałem Amerykanów.

Nie chcę przez to powiedzieć, że mieszkańcy Stanów Zjednoczonych są pozbawieni temperamentu. Myślę wszakże, że na ich charakter bardziej niż temperament wpływają instytucje polityczne.

Sądzę, że powaga Amerykanów wynika częściowo z ich dumy. W krajach demokratycznych nawet biedny człowiek ma wysokie wyobrażenie o własnej wartości. Myśli o sobie z upodobaniem i chętnie wierzy, że inni się z nim liczą. W związku z tym starannie czuwa nad własnymi słowami oraz czynami i pilnuje się, żeby nie ujawnić innym swoich ułomności. Wyobraża sobie, że musi być poważny, by uchodzić za osobę godną.

Owa zadziwiająca powaga Amerykanów wydaje się posiadać inną jeszcze, głębiej tkwiącą i ważniejszą przyczynę.

Społeczeństwa, w których panuje despotyzm, oddają się od czasu do czasu wybuchom szalonej radości, ale na ogół są posępne i zamknięte w sobie, ponieważ żyją w strachu.

W monarchiach absolutnych, w których panują łagodne obyczaje, ludzie są zazwyczaj pogodni i weseli, ponieważ mając zapewnioną niejaką swobo-

dę oraz bezpieczeństwo, są pozbawieni najpoważniejszych trosk. Natomiast wszystkie społeczeństwa, w których panuje wolność, są pełne powagi, ponieważ umysły ludzi są tam zwykle pochłonięte planowaniem trudnych i ryzykownych przedsięwzięć.

Tak jest przede wszystkim w wolnych społeczeństwach, które przyjęły ustrój demokratyczny. We wszystkich warstwach społecznych spotyka się tam bardzo wielu ludzi, którzy stale zajęci są poważną działalnością administracyjną; ludzie nie zajmujący się sprawami publicznymi poświęcają się bez reszty zabiegom o powiększenie własnego majątku. W takim społeczeństwie powaga nie jest już cechą właściwą pewnym osobom, ale staje się postawą ogólnonarodową.

Czyta się o małych demokratycznych społeczeństwach starożytności, których obywatele, uwieńczeni różami, udawali się na plac publiczny i tam, wśród tańców i widowisk, spędzali niemal cały swój czas. Nie wierzę w istnienie takich republik, tak jak nie wierzę w istnienie republiki opisanej przez Platona, i jeżeli rzeczy miały się tak, jak się je dziś przedstawia, nie obawiam się twierdzić, iż owe demokracje składały się z zupełnie innych elementów niż dzisiejsze oraz że wspólna była im jedynie nazwa.

Nie należy zresztą sądzić, że ludzie żyjący w demokracjach skłonni są skarżyć się na swój pracowity los. Jest wręcz przeciwnie. Są oni szczególnie przywiązani do swojej kondycji. Gdyby uwolnić tych ludzi od nękających ich trosk, życie straciłoby dla nich smak. Są bardziej przywiązani do swoich kłopotów niż społeczeństwa arystokratyczne do swoich przyjemności.

Zastanawiam się, dlaczego społeczeństwa demokratyczne, tak pełne powagi, postępują nieraz w sposób nader nierozważny.

Amerykanie, którzy zwykle zachowują opanowanie i zimną krew, nieraz jednak dają się unieść jakiejś nagłej namiętności lub nierozważnej idei daleko poza granice rozsądku. Zdarza im się z całą powagą popełniać szczególne głupstwa.

Ta sprzeczność nie powinna zdumiewać.

Istnieje rodzaj ignorancji, która jest wynikiem nadmiaru informacji. W krajach despotycznych ludzie nie wiedzą, jak zabierać się do działania, ponieważ nic się im nie mówi. W krajach demokratycznych działają często na chybił trafił, gdyż chce się powiedzieć im wszystko. Pierwsi nie wiedzą, a drudzy zapominają. Ważne sprawy gubią się im wśród mnogości szczegółów.

Dziwimy się wszystkim nieostrożnym uwagom, na jakie bezkarnie pozwalają sobie mężowie stanu w krajach, w których panuje wolność, a szczególnie w krajach demokratycznych; w monarchiach absolutnych kilka przypadkowo wypowiedzianych słów wystarcza, by ich autor na zawsze został zdemaskowany i zgubiony bez ratunku.

Teraz możemy już wytłumaczyć to zjawisko. Wiele spośród słów wypowiedzianych wobec ożywionego tłumu nie dochodzi do uszu słuchaczy bądź natychmiast znika z ich pamięci, podczas gdy w ciszy milczących i nieruchomych mas najmniejszy szept rozlega się głośnym echem.

W demokracjach ludzie nigdy nie mają swoich stałych miejsc — tysiąc przypadkowych okoliczności sprawia, że bez przerwy są w ruchu a ich życiem rządzi niespodzianka i improwizacja. Toteż często muszą robić rzeczy, których robić nie potrafią, mówić o sprawach, których wcale nie rozumieją, i wykonywać pracę, do której nie przygotowała ich długa praktyka.

W arystokracji każdy człowiek ma stale na widoku tylko jeden cel. W demokracji życie ludzkie jest bardziej skomplikowane; umysł ludzki obejmuje wiele spraw jednocześnie, i to spraw nieraz bardzo od siebie odległych. Ponieważ nie może dobrze pojąć ich wszystkich, chętnie zadowala się wiedzą powierzchowną.

Jeżeli nawet w demokracji człowiek nie ma nie zaspokojonych potrzeb, ciągle dręczą go rozmaite pragnienia, żadne bowiem z otaczających go dóbr nie wydaje mu się całkowicie nieosiągalne. Toteż wszystko robi w pośpiechu, zadowala się częściowymi wynikami i nigdy długo nie zastanawia się nad swymi posunięciami.

Jego ciekawość jest nienasycona, a zarazem można ją zaspokoić małym kosztem, ponieważ zależy mu raczej na tym, by wiedzieć dużo i szybko, niż na tym, by wiedzieć dobrze.

Nie ma czasu, a wkrótce traci i ochotę na pogłębianie swojej wiedzy.

A więc narody demokratyczne są pełne powagi, ponieważ ich układ społeczny i polityczny skłania je do stałego zajmowania się poważnymi sprawami, jednocześnie zaś działają lekkomyślnie, ponieważ niewiele czasu i uwagi poświęcają każdej spośród nich.

Nieumiejętność skupiania uwagi jest największą wadą demokratycznej umysłowości.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dlaczego duma narodowa Amerykanów jest bardziej drażliwa i agresywna niż duma Anglików

Wszystkie wolne społeczeństwa są z siebie dumne, ale nie u wszystkich ta duma objawia się jednakowo.

W rozmowie z cudzoziemcami Amerykanie wydają się niesyci pochwał i zniecierpliwieni najmniejszymi przejawami krytyki. Chętnie przyjmą każdy komplement, ale w pełni nie zadowoli ich choćby i największa pochwała. Natarczywie dopominają się o nie, a jeżeli nalegania nie odnoszą skutku, chwalą się sami. Rzekłbyś, iż wątpią w swoją wartość i dlatego w każdej chwili chcą mieć przed oczami jej dowody. Próżność ich jest nie tylko zachłanna, ale pełna niepokoju i zawiści. Bez przerwy żąda, sama niczego nie ofiarując. Doprasza się — i jednocześnie napastuje.

Posiadam Amerykaninowi, że jego kraj jest piękny, a on na to: «To prawda, drugiego takiego nie ma na świecie!» Podziwiam wolność, jaką cieszą się jego mieszkańcy, a on rzecze: «Wolność jest wielkim dobrodziejstwem! Ale jakże mało jest narodów, które są jej godne.» Czynię uwagę na temat panującej w Ameryce czystości obyczajów: «Wierzę — powiada on — że cudzoziemiec, przyzwyczajony do widoku zepsucia wszystkich innych narodów, może się temu dziwić.» Pozostawiam go wreszcie zachwytom nad sobą samym, ale oto wraca — nie puści mnie, zanim nie powtórzę jeszcze raz wszystkiego, co przed chwilą powiedziałem. Trudno sobie przedstawić bardziej uciążliwy i gadatliwy rodzaj patriotyzmu. Męczy nawet tych, którzy go szanują.

Inaczej Anglicy. Anglik spokojnie cieszy się z rzeczywistych lub wyimaginowanych zalet swojego kraju. Niczego nie przyznaje innym narodom, ale też nie żąda, by cokolwiek przyznawano jego własnemu. Krytyka obcych go nie wzrusza, a ich komplementy mu nie pochlebiają. Do całego świata odnosi się z pełną wzgardy rezerwą i ignoruje go. Jego pycha nie potrzebuje pożywek, syci się sama sobą.

Jest rzeczą znamienną, iż dwa narody niedawno wyrosłe z tego samego pnia tak inaczej czują i mówią.

W krajach arystokratycznych duma ludzi możnych karmi się ich ogromnymi przywilejami i nie potrzebuje szukać innych przewag. Ponieważ przywileje te otrzymali wraz z dziedzictwem, uważają je poniekąd za cząstkę siebie samych, a przynajmniej za prawa należne im z natury. Mają więc spokojne poczucie własnej wyższości i ani im w głowie pysznić się przywilejami,

które każdy widzi i których nikt im nie odmawia. Są one zbyt oczywiste, by mieli o nich mówić. Nieruchomo tkwią w stanie swej samotnej wyższości, pewni, że świat patrzy na nich, nawet kiedy o to nie zabiegają i że nikt nie będzie próbował ich z tego stanu wytrącić.

Gdy arystokracja prowadzi sprawy publiczne, jej narodowa duma przyjmuje formę pełną rezerwy, spokoju i wyniosłości, a wszystkie inne warstwy ją naśladują.

Kiedy natomiast możliwości ludzkie niewiele się różnią, najmniejsze przewagi nabierają znaczenia. Każdy człowiek widzi dookoła siebie miliony ludzi odnoszących podobne lub identyczne korzyści i jego duma staje się wymagająca i zazdrosna: gotów chwycić się nawet własnej niedoli i z uporem jej bronić.

Ponieważ w demokracji kondycja ludzka jest zmienna, wszelkie przewagi są tam świeżej daty. Dlatego też ludzie czerpią nieskończoną przyjemność z wystawiania ich na widok publiczny. W ten sposób pokazują je innym i siebie samych upewniają o ich posiadaniu. A ponieważ w każdej chwili mogą je stracić, pozostają zawsze w stanie pogotowia i starają się pokazać, że jeszcze je mają. Ludzie demokracji kochają swój kraj tak samo jak siebie, a ich indywidualna próżność ma odpowiednik w próżności narodowej.

Niespokojna i nienasycona próżność, która cechuje demokratyczne społeczeństwa, tak dalece wynika ze zjawisk równości i z niepewności kondycji, że można ją odnaleźć nawet u najdumniejszych arystokratów, jeżeli w jakiej dziedzinie poczują się nie zaspokojeni i zagrożeni.

Warstwa arystokratyczna zawsze różni się wyraźnie od innych warstw narodu rozległością i trwałością swoich prerogatyw, lecz bywa niekiedy, że niektórych jej przedstawicieli różnią jedynie niewielkie i ulotne przewagi, które można zdobyć lub stracić w każdej chwili.

Nieraz widywano, jak przedstawiciele potężnej arystokracji żyjący w stolicy lub na dworze zaciekle walczyli o błahe przywileje zależne od kaprysu mody lub zachcianki władcy. Przejawiali wówczas dokładnie tę samą dziecinną zazdrość, jaka ożywia ludzi w demokracji, tę samą gwałtowność w pogoni za korzyściami, o które spierali się z nimi ludzie podobnej kondycji, oraz tę samą potrzebę demonstrowania wszystkim zdobytych przywilejów.

Jeżeli dworacy mieliby kiedykolwiek przejawiać narodową dumę, nie wątpię, iż byłaby ona dokładnie taka sama jak w demokratycznych społeczeństwach.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dlaczego amerykańskie społeczeństwo robi wrażenie ożywionego i monotonnego zarazem

Widok, jaki przedstawiają Stany Zjednoczone, jest nader ciekawy. Fortuny, idee i prawa zmieniają się tam nieustannie. Również natura tak dalece przeobraża się tam pod dotknięciem ludzkiej ręki, iż chciałoby się powiedzieć, że i ona znajduje się w stanie ciągłego ruchu.

Tymczasem po pewnym czasie obraz tego tak ożywionego społeczeństwa zaczyna wydawać się monotonny i nuży obserwatora.

W społeczeństwie arystokratycznym każdy ma stałą pozycję w swojej sferze, lecz poszczególni ludzie są tam nadzwyczaj różni: mają zasadniczo odmienne namiętności, idee, zwyczaje i upodobania. Całość jest nieruchoma, ale jej elementy są różnorodne.

Przeciwnie w demokracji, gdzie wszyscy ludzie są podobni i robią to samo. To prawda, że podlegają wielkim i nieustannym zmianom, lecz bez przerwy powtarzają się te same sukcesy i te same niepowodzenia. Trwa to samo przedstawienie, choć pojawiają się nowi aktorzy. Obraz amerykańskiego społeczeństwa jest ożywiony, bo ludzie i rzeczy stale się zmieniają; jest monotonny — bo wszystkie odmiany są do siebie podobne.

Ludzie żyjący w czasach demokracji mają wiele namiętności, lecz większość tych namiętności wiąże się z pieniędzmi. Nie bierze się to z ich duchowej niższości, lecz z tego, że znaczenie pieniędzy jest rzeczywiście o wiele większe.

Kiedy wszyscy obywatele są niezależni i obojętni wobec siebie, ich współdziałanie można uzyskać tylko za pomocą pieniędzy, co z kolei pomnaża funkcje pieniądza i powiększa jego wartość.

Skoro zniknęło poszanowanie tego, co dawne, i ani urodzenie, ani stan, ani zawód nie wyróżniają już zdecydowanie ludzi, tylko pieniądze mogą stworzyć między nimi wyraźne różnice. Różnice, jakie rodzi bogactwo, rosną wraz z osłabieniem i zanikaniem wszystkich innych.

W społeczeństwach arystokratycznych pieniądze pozwalają zaspokoić tylko niektóre spośród pragnień, w demokracji, jak się wydaje, pozwalają osiągnąć wszystko.

Jednym z podstawowych motywów postępowania wszystkich Amerykanów okazuje się więc zwykle miłość do pieniędzy, co upodabnia do siebie ich namiętności i rychło nuży obserwatora.

Wrażenie monotonii powoduje nie tylko ciągłe ujawnianie się tej samej namiętności, ale i jednolitość sposobów jej zaspokajania.

W ustabilizowanej i spokojnej demokracji, jaką jest demokracja Stanów Zjednoczonych, gdzie człowieka nie może wzbogacić ani wojna, ani publiczny urząd, ani polityczne konfiskaty, umiłowanie bogactwa skierowuje uwagę ludzi na dziedzinę produkcji. Otóż przemysł, który często wprowadza tak wielki chaos i powoduje wielkie katastrofy, może jednak prosperować wyłącznie w oparciu o ustalone zasady i ciągłe ponawianie bardzo jednostajnych działań. Im silniejsza jest namiętność do pieniędzy, tym bardziej ustabilizowane są owe zasady i tym bardziej jednostajne działania. Można wręcz powiedzieć, że to właśnie wielka gwałtowność pragnień czyni Amerykanów tak metodycznymi. Niepokoi ich dusze, ale porządkuje ich życie.

To, co powiadam o Amerykanach, stosuje się zresztą do prawie wszystkich ludzi naszych czasów. Ród ludzki staje się jednolity. Na całym świecie pojawiają się te same sposoby działania, myślenia i odczuwania. Nie bierze się to tylko stąd, że różne narody lepiej się znają i wierniej naśladują, ale również i stąd, że w każdym kraju ludzie, porzucając idee i uczucia właściwe kastom, profesjom i rodzinom, jednocześnie dochodzą do przeświadczeń właściwych samej naturze istoty ludzkiej, która wszędzie jest taka sama. W ten sposób stają się podobni, choć wcale nie usiłowali się naśladować. Są jak wędrowcy rozproszeni po wielkim lesie, którego wszystkie ścieżki zbiegają się w jednym punkcie. Wszyscy jednocześnie dostrzegają ten punkt i zmierzają doń nie zdając sobie sprawy z obecności innych, by w końcu nieoczekiwanie spotkać się w jednym miejscu. Wszystkie społeczeństwa, których przedmiotem zainteresowania i naśladowania nie jest jakiś określony człowiek, lecz człowiek jako taki, spotkają się wreszcie na gruncie tych samych obyczajów, jak owi wędrowcy u zbiegu dróg.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

O pojmowaniu honoru w Stanach Zjednoczonych i w społeczeństwach demokratycznych w ogólności

Ludzie na dwa sposoby oceniają postępowanie bliźnich: już to wedle prostych i rozpowszechnionych na całym świecie pojęć sprawiedliwości i niesprawiedliwości, już to wedle specyficznych pojęć właściwych wyłącznie określonemu społeczeństwu i określonej epoce. Każda z tych metod prowadzi częstokroć do odmiennych ocen; niekiedy konkurują one ze sobą, nigdy zaś nie są identyczne ani też nie wykluczają się wzajemnie.

W czasach, w których wielkie znaczenie przywiązuje się do pojęcia honoru, kieruje on ludzką wolą w znacznie większym stopniu niż poglądy. A jednak nawet kiedy ludzie bez wahania poddają się jego nakazom, niejasny, lecz potężny instynkt podpowiada im, że istnieje jakieś ogólniejsze, dawniejsze i bardziej jeszcze uświęcone prawo. Niektóre czyny osądzane są jako uczciwe i niegodne zarazem. Za przykład może tu służyć uchylenie się od pojedynku.

Myślę, że to zjawisko da się wytłumaczyć inaczej niż kaprysem jakichś ludzi lub społeczności.

Ludzie doznają stale i powszechnie występujących potrzeb, z których zrodziły się prawa moralne. We wszystkich krajach i we wszystkich czasach naruszanie tych praw określane było jako naganne i przynoszące wstyd. Uchylanie się od nich nazywano złem, przestrzeganie ich — dobrem.

W wielkiej zbiorowości ludzkiej istnieją mniejsze, które nazywamy narodami, w nich zaś z kolei jeszcze mniejsze, noszące miano klas lub kast.

Każda z tych zbiorowości tworzy jakby gatunek rodzaju ludzkiego i choć nie różni się od reszty zasadniczo, jest w jakiś sposób odrębna i doświadcza specyficznych potrzeb. Te właśnie potrzeby powodują różnice w ocenie ludzkich czynów.

Powszechny i stały interes rodzaju ludzkiego polega na tym, by ludzie nie zabijali się nawzajem. Może się jednak zdarzyć, że partykularny i doraźny interes danego społeczeństwa lub klasy będzie sprawiał, że zabójstwo będzie w pewnych wypadkach usprawiedliwiane, a nawet otaczane szacunkiem.

Pojęcie honoru stanowi taką właśnie szczególną, zrodzoną ze szczególnej sytuacji regułę, za pomocą której społeczeństwo lub jakaś klasa rozdziela pochwały i nagany.

Abstrakcyjne rozważania są jednak jałowe, przejdźmy zatem do faktów. Posłużę się przykładem, by wyjaśnić, o co mi chodzi.

Wybiorę w tym celu najbardziej niezwykłe pojęcie honoru, jakie kiedykolwiek istniało na świecie, i które zarazem znamy najlepiej: arystokratyczny honor istniejący w łonie feudalnego społeczeństwa.

Nie będę tu rozważał, kiedy i jak powstała średniowieczna arystokracja, dlaczego tak głęboko odizolowała się od reszty narodu oraz co legło u podstaw jej władzy. Widzę ją oto już ukształtowaną i będę się starał zrozumieć, dlaczego w tak osobliwy sposób oceniała większość czynów ludzkich.

Przede wszystkim uderza mnie to, że w świecie feudalnym czyny ludzkie nie zawsze chwalono lub ganiono dla ich wewnętrznej wartości, lecz że czasem oceniano je wyłącznie w zależności od człowieka, który je popełniał lub przeciwko któremu były skierowane, co z ludzkiego punktu widzenia jest niegodne. Pewne czyny, które przynosiły hańbę szlachcicowi, były obojętne, jeśli dopuszczał się ich nieszlachcic. Inne zmieniały charakter w zależności od tego, czy osoba, w którą godziły, należała do arystokracji czy też nie.

W czasie kiedy powstały te poglądy, szlachta stanowiła osobny organizm wśród ludu, nad którym panowała z niedosiężnych wyżyn. Aby podtrzymać tę pozycję, która stanowiła o jej sile, potrzebowała nie tylko przywilejów politycznych, ale również własnych kryteriów dobra i zła.

To, że dana cnota lub wada właściwa była raczej szlachcie niż nieszlachcie, że dane działanie było obojętne, kiedy miało za przedmiot prostaka, a godne potępienia w wypadku szlachcica, było często dowolne. Lecz to, że pewne czyny były honorowe lub haniebne zależnie od kondycji człowieka, który się ich dopuszczał, wynikało z samej natury arystokratycznego społeczeństwa. Tak się rzeczy miały we wszystkich krajach, w których była arystokracja, i do dziś istnieją wszędzie, gdzie tylko pozostał choćby jej ślad: uwiedzenie kolorowej dziewczyny niewiele szkodzi reputacji Amerykanina, poślubienie jej jest dla niego hańbą.

W pewnych wypadkach honor feudalny nakazywał zemstę i piętnował darowanie zniewagi, w innych bezwzględnie nakazywał przezwyciężenie własnych namiętności. Zasadą nie było mu współczucie czy łagodność, ale cenił wspaniałomyślność. Nad dobroczynność przedkładał hojność. Dopuszczał bogacenie się na wojnie i grze, lecz nie za pomocą pracy; od drobnych zysków wolał wielkie zbrodnie. Pożądliwość mniej go obrażała niż skąpstwo; często pochwalał przemoc, podczas gdy zawsze gardził przebiegłością i zdradą.

To szczególne pojmowanie honoru nie powstało z samego tylko kaprysu ludzi, którzy je wyznawali. Klasa, której udało się wznieść ponad wszystkie inne i która chce się utrzymać na swoich wyżynach, musi najbardziej cenić cnoty wielkie i pełne blasku, godzące się z dumą oraz umiłowaniem władzy. Stawiając te cnoty przed wszystkimi innymi, nie obawia się zakłócić naturalnego porządku sumienia. Można nawet pojąć, iż nad umiarkowane i skrom-

ne cnoty przedkłada śmiałe i efektowne grzechy. Zmusza ją do tego poniekąd jej społeczna sytuacja.

Na czele wszystkich cnót, i w miejsce wielu z nich, szlachta średniowieczna stawiała wojenną odwagę.

To jeszcze jeden osobliwy pogląd, zrodzony ze szczególnego charakteru układu społecznego.

Arystokracja feudalna powstała w wyniku wojny i dla wojny. W walce zyskała swoją władzę i utrzymywała ją dzięki walce. Niczego nie potrzebowała bardziej niż odwagi wojennej, toteż ceniła ją ponad wszystko. Wszelkie zewnętrzne formy odwagi, choćby dowodziły braku rozsądku i człowieczeństwa, były więc pochwalane i często zalecane. Indywidualny pogląd mógł decydować tylko o szczegółach.

Oto przykład kaprysu czy dowolności: ktoś może potraktować policzek jako obrazę i zabić w walce człowieka, który go lekko uderzył. Szlachcicowi nie wolno było jednak ze spokojem przyjąć obelgi i zniesienie jej bez walki okrywało go hańbą; wynikało to z samych zasad i potrzeb arystokracji wojennej.

Do pewnego stopnia było więc prawdą, że honor miał pozory kaprysu, ale kaprysy honoru nigdy nie wykraczały poza granice konieczności. Ta szczególna zasada, określana przez naszych przodków mianem honoru, wcale nie wydaje mi się dowolna i chętnie podjąłbym się wywieść najbardziej niespójne i najdziwaczniejsze zasady panujące w społeczeństwie feudalnym z kilku podstawowych potrzeb tego społeczeństwa.

Bez trudu mógłbym także wyjaśnić rolę honoru feudalnego w dziedzinie polityki.

Układ społeczny i instytucje polityczne średniowiecza miały to do siebie, że władza ogólnonarodowa nigdy bezpośrednio nie rządziła obywatelami. Toteż dla obywateli ta władza w pewnym sensie w ogóle nie istniała. Każdy miał tylko jednego zwierzchnika, któremu był winien posłuszeństwo. Poprzez niego, nawet o tym nie wiedząc, był związany ze wszystkimi innymi. W społeczeństwach feudalnych wszelki ład publiczny opierał się więc na wierności wobec osoby pana. Kiedy ta wierność zawodziła, społeczeństwo natychmiast popadało w anarchię.

Cenę wierności politycznemu zwierzchnikowi przedstawiciele arystokracji znali zresztą bardzo dobrze, ponieważ każdy z nich był jednocześnie panem i wasalem, a zatem musiał i przewodzić, i służyć.

W polityce pierwszym nakazem honoru feudalnego było dochowanie wierności panu, poświęcenie dla niego życia w razie potrzeby, dzielenie z nim doli i niedoli, pomoc w każdym przedsięwzięciu. Opinia z niezwykłą surowością potępiała wasala, który dopuścił się zdrady. Taką zdradę określano słowem szczególnie obelżywym: felonia.

W średniowieczu znajdujemy natomiast niewiele śladów namiętności, która stanowiła o życiu starożytnych społeczeństw. Mam na myśli patriotyzm. Samo to słowo od niedawna istnieje w naszym języku.

Instytucje feudalne przesłaniały ojczyznę i miłość do niej usuwały na dalszy plan. Kochając jednego człowieka, ludzie zapominali o narodzie. Toteż honor feudalny nie nakazywał ścisłego dochowania wierności krajowi.

Nie oznacza to, że uczucie miłości do ojczyzny było obce sercom naszych przodków. Przejawiało się u nich jednak w postaci słabego i niejasnego instynktu, który przybierał na sile, w miarę jak zanikały podziały klasowe i centralizowała się władza.

Dowodzą tego sprzeczne oceny faktów z własnej historii, wydawane przez kolejne pokolenia społeczeństw europejskich. Konetabl de Bourbon okrył się hańbą w oczach swoich współczesnych przede wszystkim dlatego, że powstał przeciwko swojemu królowi. W naszych oczach najbardziej kompromituje go fakt, iż walczył przeciwko własnemu krajowi. Potępiamy go podobnie jak nasi przodkowie, ale z innych powodów.

Wybrałem pojęcie honoru feudalnego, ponieważ jego cechy są najbardziej wyraziste i najlepiej znane; mógłbym posłużyć się innym przykładem, który odmienną drogą doprowadziłby mnie do tego samego celu.

. . . . . .

Wśród amerykańskich poglądów można jeszcze znaleźć pewne oderwane elementy dawnego arystokratycznego honoru Europy. Wszelako te tradycyjne pojęcia są bardzo nieliczne, słabo zakorzenione i wątłe. To religia, po której zachowało się kilka świątyń, lecz w którą nikt już nie wierzy.

Obok tych zatartych i egzotycznych pojęć honoru istnieją pewne nowe poglądy, które stanowią to, co można by nazwać honorem amerykańskim.

Mówiłem o tym, że Amerykanie zajmują się przede wszystkim handlem i przemysłem. Popycha ich ku temu pochodzenie, układ społeczny, instytucje polityczne i charakter kraju, który zamieszkują. Tworzą więc jak dotąd zbiorowość o charakterze niemal wyłącznie produkcyjnym, żyjącą w kraju nowym i ogromnym i mającą za główny cel eksploatację jego zasobów naturalnych. Ta cecha szczególnie wyróżnia dziś społeczeństwo amerykańskie.

Jest więc zrozumiałe, że takie społeczeństwo głęboko szanuje wszelkiego rodzaju umiarkowane cnoty, które sprzyjają utrzymaniu ładu społecznego oraz interesom; nie można ich zlekceważyć bez narażenia się na publiczne potępienie.

Wszystkie cnoty, które są efektowne, ale sieją niepokój w społeczeństwie, zajmują natomiast w jego hierarchii moralnej miejsce podrzędne. Lekceważąc je, człowiek nie ryzykuje utraty szacunku; raczej może się społeczeństwu narazić, jeżeli będzie im hołdował.

Amerykanie przyjęli równie osobliwą hierarchię występków.

Istnieją pewne skłonności naganne z punktu widzenia ogólnych zasad rozumu i sumienia, które jednak pozostają w zgodzie ze specyficznymi i doraźnymi potrzebami amerykańskiej zbiorowości. Toteż nie potępia ich ona zbytnio, a niejednokrotnie je pochwala. Za przykład może tu służyć umiłowanie bogactwa i wiążące się z nim skłonności. Karczowanie, użyźnianie i przeobrażanie wielkiego kontynentu jest wysiłkiem, który wymaga bodźców, jakie dać może tylko wielka namiętność. Tą namiętnością jest pasja bogactwa. Nie jest ona zatem w Ameryce potępiana i jeżeli tylko nie przekracza granic wyznaczonych przez zasady społecznego porządku, cieszy się uznaniem. Mianem szlachetnej i godnej szacunku ambicji Amerykanin nazywa to, co dla naszych średniowiecznych przodków było służalczą chciwością, a zdobywczy zapał wojenny, który nie pozwalał im ustawać w walce, jest dla niego tylko ślepym i barbarzyńskim szaleństwem.

W Stanach Zjednoczonych łatwo powstają i upadają fortuny. Kraj jest wielki i pełen niewyczerpanych zasobów. Społeczeństwo posiada wszystkie potrzeby i wszystkie pragnienia istoty, która rośnie; nieustannie otoczone jest większą ilością dóbr, niż potrafi zagarnąć. Takie społeczeństwo nie powinno obawiać się ruiny poszczególnych ludzi, ta bowiem łatwo może zostać powetowana, lecz raczej bierności i słabości wszystkich obywateli. Śmiałość gospodarczych przedsięwzięć jest pierwszą przyczyną szybkich postępów, siły i wielkości tego narodu. Przemysł jest dlań niby wielka loteria, na której na co dzień przegrywają poszczególni ludzie, ale państwo zawsze zarabia. Takie społeczeństwo musi więc popierać i otaczać szacunkiem śmiałość w podejmowaniu gospodarczych przedsięwzięć. Otóż każde śmiałe przedsięwzięcie naraża majątek tego, kto mu się oddaje, oraz wszystkich, którzy mu zawierzyli. Amerykanie, dla których rozmach w robieniu interesów jest cnotą, nigdy nie potępiają zuchwalców.

Dlatego właśnie w Stanach Zjednoczonych tak łatwo o pobłażliwość dla kupca, który bankrutuje — jego honor wcale na tym nie cierpi. Amerykanie różnią się w tym nie tylko od społeczeństw europejskich, lecz od wszystkich współczesnych narodów, które zajmują się interesami. Ale też ich pozycja jako narodu i ich społeczne potrzeby są również odmienne.

Z nie znaną innym społeczeństwom surowością traktuje się w Ameryce wszystkie występki, które naruszają czystość obyczajów i przyczyniają się do rozbicia związków małżeńskich. Na pierwszy rzut oka surowość ta dziwacznie kontrastuje z panującą w innych dziedzinach życia tolerancją. Zadziwiające, jak swobodna i surowa może być zarazem moralność tego samego narodu.

Nie ma tu aż takiej sprzeczności. W Stanach Zjednoczonych opinia publiczna łagodnie gani pasję bogactwa, albowiem sprzyja ona osiągnięciom Gospodarczym i dobrobytowi kraju. Szczególnie natomiast potępia złe obyczaje, które przeszkadzają człowiekowi w dążeniu do dobrobytu i zakłócają tak

nieodzowny dla dobrego funkcjonowania interesów wewnętrzny spokój rodziny. By zdobyć szacunek bliźnich, Amerykanin musi zatem przestrzegać obyczajów. Można więc powiedzieć, że czystość obyczajów jest dla niego sprawą honoru.

Amerykańskie pojmowanie honoru w jednym punkcie pozostaje w zgodzie z dawnym honorem europejskim: stawia odwagę na czele wszystkich cnót i czyni z niej konieczny element moralności. Ta odwaga jest jednak rozumiana inaczej.

W Stanach Zjednoczonych wojenne cnoty są w niewielkiej cenie, a najlepiej znana i najbardziej szanowana jest ta odwaga, która każe stawiać czoło wściekłym porywom oceanu, by wcześniej przybić do portu, bez skargi znosić niedole życia w puszczy oraz okrutniejszą od wszystkich niedoli samotność; odwaga, która pozwala spokojnie przyjąć upadek zdobytej w wielkim trudzie fortuny i natychmiast nakazuje podjąć wysiłki dla zdobycia nowej. Odwaga tego rodzaju jest niezbędna dla prosperowania amerykańskiej zbiorowości i dlatego jest tam szczególnie honorowana i podziwiana. Człowiek, który jest jej pozbawiony, okrywa się niesławą.

Jeszcze jedna, ostatnia już sprawa.

W społeczeństwie demokratycznym, takim jak społeczeństwo Stanów Zjednoczonych, gdzie majątki są małe, a ich los niepewny, wszyscy pracują i pracą zdobywa się wszystko. To sprawia, że pojęcie honoru wymierzone jest przeciwko lenistwu.

Nieraz spotykałem w Ameryce ludzi młodych, bogatych, z temperamentu niechętnych wielkim trudom, którzy byli zmuszeni do podjęcia pracy zawodowej. Natura i majątek pozwalały im oddawać się lenistwu — opinia publiczna zakazywała im tego stanowczo, i jej musieli być posłuszni. Natomiast w Europie, gdzie arystokracja walczy jeszcze z unoszącym ją prądem demokracji, widziałem ludzi odczuwających wielkie potrzeby i pragnienia, którzy w obawie przed utratą szacunku otoczenia oddawali się próżniactwu. Woleli skazywać się na nudę i niewygody niż pracować.

Te dwie tak sprzeczne postawy wynikają z dwóch odmiennych reguł honoru.

To, co nasi przodkowie uważali za honor par excellence, było w gruncie rzeczy tylko jedną z jego form. Ogólną nazwę nadali temu, co było tylko szczególnym przypadkiem. W czasach demokracji pojęcie honoru istnieje więc tak samo, jak istniało w czasach arystokracji, tylko przejawia się w inny sposób.

Dzisiejsze nakazy honoru nie tylko są odmienne, ale jest ich mniej i nie są tak wyraźne ani tak ściśle przestrzegane.

Kasta znajduje się zawsze w specyficznej sytuacji w stosunku do całego społeczeństwa. Cóż bardziej wyjątkowego niż mała społeczność, taka jak na przykład średniowieczna arystokracja, złożona zawsze z tych samych rodzin

i mająca na celu zachowanie wyłącznie dla siebie, jako dziedzicznych dóbr, wykształcenia, bogactwa i władzy.

Otóż im bardziej wyjątkowa jest pozycja danej społeczności, tym liczniejsze są jej specyficzne potrzeby i co za tym idzie, tym większe znaczenie mają dla niej zasady honoru.

Nakazów honoru będzie więc zawsze mniej w narodzie, który nie jest podzielony na kasty. I jeżeli powstaną narody, w których trudno będzie nawet odróżnić jakieś klasy, pojęcie honoru ograniczy się tam do niewielu przepisów, a przepisy te będą coraz bliższe ogólnie przyjętym przez rodzaj ludzki prawom moralnym. Dlatego w społeczeństwie demokratycznym zasady honoru będą mniej dziwaczne i mniej liczne niż w społeczeństwie arystokratycznym.

I co wynika z powyższego, będą również mniej jasne.

Kiedy charakterystyczne cechy honoru są nieliczne i mało osobliwe, trudno je często wyróżnić.

Są jeszcze inne przyczyny odmienności demokratycznego honoru.

W arystokratycznych narodach średniowiecza kolejne pokolenia nie wnosiły żadnych zmian. Każdy ród był jak nieśmiertelny i nie zmieniający się człowiek. Nie zmieniały się warunki, nie zmieniały się zatem i idee.

Każdy człowiek miał stale przed oczami tę samą sytuację i oceniał ją z tego samego punktu widzenia. Jego obserwacje stopniowo stawały się coraz bardziej szczegółowe i dlatego były klarowne i wyraźne. Ludzie czasów feudalnych mieli więc nie tylko niecodzienne poglądy na kwestię honoru, ale poglądy te przybierały w ich umysłach formy czyste i precyzyjne.

Nie byłoby to możliwe w takim kraju jak Ameryka, gdzie sytuacja wszystkich ludzi stale się zmienia, gdzie społeczeństwo z każdym dniem zmienia swoje oblicze i gdzie wraz z potrzebami zmieniają się i poglądy. W takim kraju zasady honoru są ledwie dostrzegalne i nie ma czasu na to, by je dokładnie określić.

Gdyby nawet społeczeństwo trwało w bezruchu, i tak trudno byłoby precyzyjnie ustalić pojęcie honoru.

W średniowieczu, kiedy każda klasa miała własne pojęcie honoru, te same zasady nie były nigdy reprezentowane przez zbyt wielu ludzi, co pozwalało nadać im określoną i precyzyjną formę, tym bardziej że ludzie, którzy je wyznawali, mając identyczną, a zarazem wyjątkową pozycję społeczną, byli zgodni na temat zasad prawa, które powstało wyłącznie na ich użytek.

Pojęcie honoru istniało tedy jako pełny i szczegółowy kodeks, w którym wszystko było z góry przewidziane i ustalone i który stanowił trwałą i uchwytną regułę ludzkiego działania. W społeczeństwie demokratycznym, gdzie nastąpiło pomieszanie pozycji społecznych i gdzie cały naród tworzy jednolitą masę, której elementy są analogiczne, choć nie identyczne, nigdy nie udałoby się z góry porozumieć co do nakazów i zakazów honoru.

W społeczeństwie tym istnieją pewne ogólnonarodowe potrzeby, które dały początek powszechnym poglądom w kwestii honoru, lecz te poglądy nie występują nigdy jednocześnie oraz w ten sam sposób i z podobną siłą w umysłach wszystkich obywateli. Prawo honoru istnieje, ale nieraz brak mu wykładni.

Jeszcze większy chaos panuje w takim kraju demokratycznym jak Francja, gdzie różne klasy, które składały się na dawne społeczeństwo i które jeszcze nie w pełni zmieszały się ze sobą, zapożyczają u siebie odmienne i częstokroć przeciwstawne pojęcia honoru. Każdy człowiek w sposób dowolny porzuca tam część poglądów swoich przodków, zachowując inne. Wśród tak wielu dowolnych miar nie sposób stworzyć wspólnej wszystkim zasady. Jest więc niemal niepodobieństwem przewidzieć, które czyny będą ganione a które pochwalane. Nieszczęsna to epoka, wszelako nie potrwa długo.

Pojęcie honoru, które u narodów demokratycznych jest niedostatecznie jasne, ma z konieczności mniejszą siłę oddziaływania. Trudno bowiem w sposób pewny i konsekwentny stosować prawo, które się mało zna. Opinia publiczna, naturalny i suwerenny interpretator prawa honoru, waha się w swoich orzeczeniach, ponieważ nie widzi wyraźnie, co należy potępić, a co pochwalić. Niekiedy sama sobie przeczy, a często wstrzymuje się od sądu, pozostawiając swobodę działania.

Relatywna słabość pojęcia honoru w demokracji wynika z innych jeszcze przyczyn.

W ustroju arystokratycznym określone pojęcie honoru jest wyznawane przez niewielu ludzi, którzy są odizolowani od reszty społeczeństwa. Pojęcie honoru splata się więc w ich świadomości i miesza ze wszystkimi innymi elementami, które ich dzielą od pozostałych ludzi. Jawi się im jako wyróżniająca cecha ich pozycji. Reguły honoru stosują z całym zapałem ludzi działających we własnym interesie i — jeżeli można tak powiedzieć — przestrzegają ich z pasją.

Łatwo to dostrzec czytając średniowieczne prawa zwyczajowe, dotyczące pojedynków sądowych. Dowiadujemy się stamtąd, że przedstawiciele szlachty musieli w walce posługiwać się lancą i mieczem, podczas gdy prostacy używali pałek, «jako że — dodaje przepis — prostacy nie mają honoru». Nie oznacza to, jak to sobie dziś wyobrażamy, że ludzie prości byli uważani za godnych pogardy, a jedynie, że ich czyny nie były oceniane wedle tych samych reguł co czyny arystokratów.

W pierwszej chwili dziwi nas fakt, że kiedy pojęcie honoru ma wielką siłę jego przepisy są nader dziwne i wydaje się, że ludzie tym pilniej ich przestrzegają, im bardziej oddala się ono od zasad zdrowego rozsądku. Toteż niekiedy wydaje się nawet, że honor był potęgą właśnie dzięki swojej ekstrawagancji.

Oba te zjawiska mają wprawdzie wspólne źródło, ale jedno nie wynika z drugiego.

Pojęcie honoru jest tym dziwaczniejsze i tym silniejsze, im mniejszej grupy ludzi potrzeby reprezentuje i im bardziej specyficzne są te potrzeby. Potęga pojęcia honoru nie wynika więc z jego dziwaczności, ale zarówno jego siła, jak i jego dziwaczność wynikają z tej samej przyczyny.

Jeszcze jedna uwaga.

W społeczeństwie arystokratycznym pozycje są różne, lecz stałe; każdy człowiek zajmuje w swojej sferze miejsce, którego nie może opuścić, i żyje tam pośród innych, związanych tak samo jak on. Nikt nie może więc się obawiać lub łudzić, że jest nie dostrzegany. Pozycja żadnego człowieka nie jest aż tak niska, by nie znalazł się ktoś, kto oceni jego czyny.

Natomiast w państwie demokratycznym, gdzie wszyscy obywatele stanowią jeden ruchliwy tłum, opinia publiczna nie ma punktu zaczepienia — przedmiot oceny ciągle znika jej z oczu. Zasady honoru są więc mniej bezwzględne i wywierają mniejszy nacisk, albowiem honor sprawdza się tylko publicznie, podczas gdy cnota jako taka nie potrzebuje widzów.

Jeżeli czytelnik dobrze śledził mój wywód, na pewno zrozumiał, że pomiędzy nierównością możliwości a tym, co nazwaliśmy honorem, istnieje ścisła i nieuchronna zależność, na którą jeśli się nie mylę, dotąd nie wskazano. Chciałbym ją więc wydobyć na światło dzienne.

Naród zajmuje odrębne miejsce w zbiorowisku, jakim jest ludzkość. Ma swoje własne szczególne interesy i potrzeby, które istnieją niezależnie od ogólnych potrzeb rodzaju ludzkiego. Buduje własne oceny postępowania, które jego obywatele określają mianem honoru.

Wewnątrz tego narodu powstaje kasta, która oddzielając się od innych klas, odczuwa własne, specyficzne potrzeby, a potrzeby te powołują z kolei do życia odrębne poglądy. Pojęcie honoru tej kasty, dziwaczna mieszanina szczególnych pojęć właściwych narodowi i jeszcze bardziej szczególnych pojęć właściwych samej kaście, oddali się bardzo od powszechnych poglądów ludzi. Doszliśmy oto do sytuacji ostatecznej; cofnijmy się teraz.

Pozycje społeczne się pomieszały, przywileje zostały zniesione. Ludzie stanowiący naród stali się podobni i równi, ich interesy i potrzeby się splątały i stopniowo zanikają wszystkie kastowe pojęcia o honorze. Pojmowanie honoru jest już związane wyłącznie z potrzebami całego narodu i staje się oznaką jego indywidualności.

Jeżeli wyobrazimy sobie, że wszystkie rasy się połączą, a wszystkie społeczeństwa na świecie, utraciwszy własne odrębności, będą miały te same interesy i te same potrzeby, dostrzeżemy, że czyny ludzkie stracą wtedy swoją konwencjonalną wartość i będą tak samo traktowane przez wszystkich. Wspólną miarę będą wówczas stanowiły znane każdemu człowiekowi powszechne potrzeby rodzaju ludzkiego. Na świecie pozostaną tylko ogólne

i proste pojęcia dobra i zła, z których w naturalny i konieczny sposób będą wynikały poglądy na to, co godne pochwały, a co nagany.

Ujmując moją myśl w jedną formułę mógłbym powiedzieć, że u podstaw pojęcia honoru leżą odmienności i nierówności między ludźmi — że słabnie ono w miarę ich zanikania i ginie wraz z nimi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dlaczego w Stanach Zjednoczonych jest tak wielu ambitnych ludzi i tak mało wielkich ambicji

W Stanach Zjednoczonych są nieprzebrane masy ludzi, którzy usiłują zmienić swoją kondycję. Jednocześnie niewielu ludzi żywi naprawdę wielkie ambicje. Wszystkich Amerykanów pożera pragnienie wzniesienia się, ale prawie nie ma takich, którzy żyją wielkimi nadziejami czy też mierzą bardzo wysoko. Wszyscy nieustannie starają się zdobyć majątek, reputację, władzę, lecz niewielu wyobraża je sobie w wielkiej skali. Jest to tym bardziej zdumiewające, że w obyczajach i prawach Amerykanów nie da się zauważyć niczego, co ograniczałoby zasięg ludzkich pragnień.

Ten szczególny stan rzeczy trudno przypisać równości możliwości, albowiem u nas ta sama równość rozwinęła u ludzi ambicje niemal nieograniczone. Sądzę więc, że przyczyn tego zjawiska należy poszukiwać przede wszystkim w układzie społecznym i w demokratycznych obyczajach Amerykanów.

Każda rewolucja sprawia, że ambicje ludzkie rosną. Jest to prawdziwe zwłaszcza w odniesieniu do rewolucji, która obala system arystokratyczny.

Ponieważ nagle upadają przeszkody oddzielające dotychczas tłum od rozgłosu i władzy, we wszystkich budzi się gwałtowne pragnienie zdobycia wyżyn, które długo były przedmiotem zawiści i które nareszcie stały się osiągalne. W pierwszym tryumfalnym uniesieniu wszystko wydaje się ludziom możliwe. Nieograniczone stają się nie tylko pragnienia, ale i szanse ich zaspokojenia. Pośród powszechnej i gwałtownej odnowy obyczajów i praw, pośród całkowitego pomieszania osób i zasad, ludzie wznoszą się i upadają z niewiarygodną łatwością, władza zaś tak szybko przechodzi z rąk do rąk, że każdy może mieć nadzieję na jej przechwycenie.

Trzeba skądinąd pamiętać i o tym, że ludzie, którzy obalili arystokrację, żyli poprzednio pod jej prawami. Byli świadkami jej wielkości i nieświadomie przejęli od niej —uczucia oraz idee. Kiedy więc arystokracja ginie, jej duch przenika jeszcze masy, a jej instynkty żyją długo wśród tych, którzy ją zwyciężyli. Podczas rewolucji demokratycznej ambicje są więc zawsze ogromne i tak jest jeszcze przez pewien czas po jej zakończeniu.

Wspomnienie nadzwyczajnych wydarzeń nie zaciera się z dnia na dzień w pamięci ludzi, którzy byli ich świadkami. Namiętności wzbudzone przez rewolucję nie zanikają razem z nią. Poczucie niestabilności sytuacji daje jeszcze znać o sobie po nastaniu porządku. Idea łatwego sukcesu jest trwalsza od

zmian, które ją zrodziły. Pragnienia pozostają ogromne, podczas gdy maleją możliwości ich zaspokojenia. Wielkie bogactwo staje się rzadkością, ale pasja bogacenia się nie słabnie i we wszystkich dziedzinach życia pojawiają się chybione i niewspółmierne do rzeczywistości ambicje, w których ludzie spalają się bezowocnie.

Powoli giną jednak ostatnie ślady rewolucyjnych zmagań, a wraz z nimi szczątki arystokratycznego świata. Zapomniane zostają wielkie wydarzenia, jakie towarzyszyły jego upadkowi, po walce nastaje spokój, w nowym świecie odradza się królestwo zasad, pragnienia dostosowują się do możliwości, potrzeby, idee i uczucia łączą się we wspólną całość, ludzie ostatecznie stają się równi; społeczeństwo demokratyczne jest faktem dokonanym.

Społeczeństwo demokratyczne, które osiągnęło stabilizację, przedstawia się zupełnie inaczej niż w okresie rewolucji i łatwo dostrzeżemy, iż ambicje, które były wygórowane w okresie zrównywania się możliwości, słabną z chwilą, gdy możliwości są już równe.

Wielkie majątki są podzielone, wiedza dostępna wszystkim, a zatem żaden człowiek nie jest całkowicie pozbawiony wykształcenia i dóbr. Przywileje i ograniczenia klasowe przestały istnieć, a ludzie, zerwawszy krępujące ich więzy, przyjmują idee postępu; we wszystkich sercach rodzi się chęć dążenia coraz wyżej. Każdy chce wyrwać się ze swojej dotychczasowej pozycji. Ambicja staje się powszechną namiętnością.

O ile jednak równość możliwości daje wszystkim obywatelom pewne środki, zarazem uniemożliwia ona zgromadzenie środków bardzo wielkich, co siłą rzeczy wyznacza granice pragnieniom. W społeczeństwach demokratycznych ambicje ludzkie są więc żarliwe i trwałe, ale zazwyczaj nie mierzą zbyt wysoko. Życie sprowadza się do zawziętej pogoni za niewielkim majątkiem, znajdującym się w zasięgu człowieka.

Wielkim ambicjom stoi na przeszkodzie nie tyle skromność fortuny, ile ogromny wysiłek, jakiego ludzie muszą stale dokonywać dla jej powiększenia. Wszystkie siły ducha mobilizują do czynów przeciętnych, co w końcu przesłania im ważniejsze cele i ogranicza ich możliwości. Mogliby być znacznie biedniejsi, a sięgać wyżej.

Nieliczni bardzo bogaci obywatele nie stanowią w demokracji wyjątku od tej reguły. Człowiek, który osiąga bogactwo i władzę mozolnie wspinając się stopień po stopniu, uczy się ostrożności i umiarkowania, których niełatwo potem się pozbyć. Dusza ludzka to nie dom, który można stopniowo powiększać.

Dzieci takiego człowieka też nie będą inne. One same rodzą się wprawdzie w zbytku, lecz ich rodzice urodzili się w niedostatku. Dzieci wzrastają więc pośród uczuć i idei, które później trudno im porzucić. Wraz z majątkiem rodziców odziedziczą prawdopodobnie ich instynkty.

Może się natomiast zdarzyć, że najbiedniejszy przedstawiciel potężnej arystokracji będzie się odznaczał wielkimi ambicjami. Jest to możliwe, ponieważ tradycyjne opinie rodu i duch kasty dają mu jeszcze przez pewien czas pozycję wyższą od tej, którą zapewnia mu własny stan majątkowy.

Ludzie demokratycznych czasów nie przejawiają wielkich ambicji również i dlatego, że wiedzą, iż długo musieliby oczekiwać na sposobność ich realizacji. «Jakimż przywilejem jest szlachectwo — powiada Pascal — które od osiemnastego roku czyni człowieka wziętym, znanym i szanowanym, tak jak inny mógłby to sobie zasłużyć w pięćdziesiątym: trzydzieści lat zyskane bez trudu»[*]. Tych właśnie trzydziestu lat brakuje zazwyczaj demokratycznym ambicjom. Równość, która każdemu daje możliwość osiągnięcia wszystkiego, utrudnia jednak szybkie wzrastanie.

W społeczeństwie demokratycznym, tak samo jak i w każdym innym, wielkich majątków jest tylko ograniczona liczba, a ponieważ droga do nich jest tam otwarta dla każdego obywatela bez różnicy, postępy wszystkich muszą być wolniejsze. Ponieważ kandydaci do majątku są do siebie podobni i trudno dokonać wśród nich wyboru bez pogwałcenia zasady równości, która jest najwyższym prawem demokratycznych społeczeństw, najbardziej naturalnym wyjściem z sytuacji jest stworzenie im tych samych szans i poddanie wszystkich tym samym próbom.

W miarę jak ludzie stają się podobni, a zasada równości głębiej przenika do instytucji i obyczajów, reguły awansu są coraz bardziej sztywne, sam zaś awans powolniejszy. Wzrasta trudność szybkiego osiągnięcia wysokiej pozycji

Nienawiść do przywilejów i brak cech wyróżniających sprawiają, że wszyscy ludzie, niezależnie od swego poziomu, muszą przejść przez te same próby; wszystkich bez różnicy poddaje się rozlicznym wstępnym sprawdzianom, pośród których przemija ich młodość i wysycha wyobraźnia. Ludzie tracą nadzieję na osiągnięcie dóbr, po które — wydawałoby się — wystarczy tylko sięgnąć, a kiedy w końcu stają się zdolni do czynienia rzeczy niezwykłych, nie mają już na to ochoty.

W Chinach, gdzie równość możliwości jest wielka i panuje od dawna, człowiek awansuje odbywając konkursowy egzamin. Podobnym próbom poddawany jest na każdym kroku i do tego stopnia zakorzeniły się one w obyczajach, że w pewnej chińskiej powieści bohater po długich trudach zdobywa serce swojej ukochanej dobrze zdając egzamin. Taka atmosfera nie sprzyja wielkim ambicjom.

Zjawisko, które opisuję, nie jest charakterystyczne jedynie dla rzeczywistości społecznej. Równość wszędzie powoduje te same skutki; tam, gdzie awansów nie opóźnia prawo, czyni to konkurencja.

---

[*] PASCAL, *Myśli*, przeł. Tadeusz ŻELEŃSKI (BOY).

W ustabilizowanym społeczeństwie demokratycznym wielkie i szybkie kariery należą więc do rzadkości i stanowią wyjątek od reguły. Ich osobliwość sprawia, iż zwykliśmy zapominać, jak bardzo są nieliczne.

Ludzie demokracji w końcu zdają sobie sprawę z tego stanu rzeczy: po pewnym czasie widzą, że prawo otwiera przed nimi nieograniczone pole działania, na którym każdy człowiek może uczynić kilka kroków, lecz którego nikt nie może przemierzyć z dużą szybkością. Między nimi a głównym przedmiotem ich pragnień stoi mnóstwo małych przeszkód, które muszą pokonywać powoli. Ta świadomość z góry nuży i zraża ich ambicję. Porzucają więc odległe i niepewne nadzieje, by blisko siebie szukać łatwiejszych celów. To nie prawo zacieśnia ludziom horyzonty, lecz oni sami.

Powiedziałem, że w demokracji wielkie ambicje pojawiają się rzadziej niż w czasach arystokracji. Dodam teraz, że kiedy, mimo wszystkich przeszkód, zdarza im się narodzić, mają zupełnie inny charakter.

W społeczeństwie arystokratycznym możliwości ambicji są duże, lecz jej granice określone. W kraju demokratycznym ambicja szamoce się w wąskim kręgu, lecz kiedy raz go opuści, wydaje się, że nic jej już nie ogranicza. Ponieważ ludzie są tu słabi, odizolowani i ruchliwi, ponieważ tradycje mają niewielkie znaczenie, a prawa są nietrwałe, organizm społeczny słabo opiera się temu, co nowe, i nigdy nie tkwi mocno w swych posadach. Kiedy więc człowiek ambitny raz zdobędzie władzę, uważa, że wszystko mu wolno, kiedy zaś ją straci, gotów wstrząsnąć państwem, by ją odzyskać. To nadaje wielkim ambicjom politycznym gwałtowny i wywrotowy charakter. W społeczeństwach arystokratycznych rzadko przybiera on takie nasilenie.

Mnogość małych i rozsądnych ambicji, wśród których trafiają się niekiedy wielkie, lecz chaotyczne pragnienia — oto wizerunek demokratycznej rzeczywistości. Nie spotkamy tam ambicji wielkich i zrównoważonych.

Mówiłem poprzednio, jakie tajemne siły równości sprawiają, iż w sercu ludzkim zaczyna dominować pragnienie korzyści materialnych i umiłowanie teraźniejszości. Instynkty te wywierają wpływ na ambicje i zabarwiają je, by tak rzec, swoimi kolorami.

Myślę, że w demokracji ludzie ambitni niewiele myślą o potomności — dzień dzisiejszy pochłania ich bez reszty. W pośpiechu dokonują licznych przedsięwzięć, a nie tworzą trwałych dzieł. Sukces kochają bardziej niż sławę. Od ludzi wymagają przede wszystkim posłuszeństwa. Bardziej niż czegokolwiek pragną panowania. Ich obyczaje zazwyczaj nie dorównują ich pozycji, co sprawia, że często z wyjątkowym bogactwem łączą nader pospolite upodobania. Wydaje się, że po władzę sięgają tylko dlatego, by mieć łatwiejszy dostęp do małych, prostackich uciech.

Sądzę, że w naszych czasach powinno się dążyć do uzdrowienia, uregulowania i zrównoważenia ambicji, lecz niebezpieczne jest nadmierne jej ograniczenie. Należy nakreślić ambicji granice, których nie wolno jej przekro-

czyć, lecz trzeba wystrzegać się zarazem zbytniego krępowania jej rozwoju w obrębie tych granic.

Przyznaję, że znacznie mniej obawiam się dla społeczeństwa demokratycznego zuchwałości niż skromności pragnień ludzkich. Tego zaś obawiam się najbardziej, że pośród drobnych zajęć życia prywatnego ambicja ludzka utraci swoją siłę i wielkość, że osłabną i spodleją namiętności, że społeczeństwo z każdym dniem będzie spokojniejsze, ale i pospolitsze.

Myślę więc, że przywódcy nowych społeczeństw popełniliby błąd, gdyby zechcieli uśpić obywateli w zbyt jednostajnym i spokojnym dobrobycie, i że powinni w celu rozbudzenia ich ambicji i stworzenia jej pola działania powierzać im czasem trudne i niebezpieczne zadania.

Moraliści nie przestają ubolewać, że wadą naszej epoki jest duma. W pewnym sensie jest to prawdziwe — każdy człowiek uważa, że jest więcej wart od swego bliźniego, i nie lubi podporządkowywać się przełożonym. Jest to jednak fałszywe w innym sensie: ten dumny człowiek, który nie znosi ani subordynacji, ani równości, pogardza jednocześnie sobą samym do tego stopnia, że uważa się za stworzonego do niskich tylko przyjemności. Łatwo poprzestaje na przeciętnych pragnieniach, nie ośmielając się podejmować wielkich przedsięwzięć, które zaledwie umie sobie wyobrazić.

Daleki od przekonania, że współczesnym należy zalecać pokorę, chciałbym, by spróbowano dać im wyższe pojęcie człowieczeństwa. Pokora ludziom nie służy; brakuje im raczej dumy. Za tę wadę chętnie oddałbym wiele naszych małych cnót.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

O pogoni za państwowymi posadami w niektórych społeczeństwach demokratycznych

Każdy obywatel amerykański, który posiada jakieś wykształcenie i majątek, zaczyna dorabiać się na handlu i przemyśle, bądź kupuje kawałek lasu i zostaje pionierem. Od państwa wymaga jedynie, by nie przeszkadzało mu w pracy i zapewniało dochody.

Pierwszym natomiast celem, jaki narzuca się obywatelom społeczeństw europejskich, kiedy postanawiają czegoś dokonać, jest zdobycie publicznego urzędu. Warto zatrzymać się nieco nad tymi odmiennymi zjawiskami, zrodzonymi przez analogiczne pragnienia.

Kiedy funkcje publiczne są nieliczne, źle płatne i niepewne, a działalność gospodarcza rozwinięta i intratna, każdego dnia rodzone przez równość nowe i niecierpliwe pragnienia kierują się ku przemysłowi, nie zaś ku administracji.

Kiedy jednak w epoce postępów równości wykształcenie ludzi i ich przedsiębiorczość są niewielkie, a rozwój handlu i przemysłu jest skrępowany i nie stwarza możliwości łatwego i szybkiego dorobienia się, obywatele, nie mając nadziei, że samodzielnie poprawią swój los, tłumnie domagają się pomocy od państwa. Wzbogacenie się kosztem skarbu publicznego wydaje im się jeżeli nie jedyną, to przynajmniej najłatwiejszą i najbardziej dostępną drogą przezwyciężenia kondycji, która ich przestała zadowalać. Ubieganie się o posadę państwową staje się wówczas najpowszechniejszą formą działalności.

Dzieje się tak szczególnie w wielkich scentralizowanych monarchiach, gdzie płatnych urzędów jest bardzo wiele, a posady urzędnicze pewne. Każdy może liczyć na uzyskanie urzędu i na spokojne korzystanie zeń jak z dziedzicznego dobra.

Nie muszę dowodzić, że ten powszechny i nieumiarkowany pęd do urzędów publicznych jest wielkim złem społecznym, że niszczy u każdego obywatela poczucie niezależności i rozpowszechnia w całym narodzie służalcze nastawienie, że wreszcie zabija w ludziach męstwo. Nie trzeba też dowodzić, że rezultatem tego rodzaju działalności obywateli jest tylko bezproduktywne, jałowe ożywienie. Pragnę jednak zauważyć, że rząd, który sprzyja takiej tendencji, stwarza zagrożenie dla swego spokoju, a nawet dla samego swojego istnienia.

Wiem, że w takich czasach jak nasze, kiedy zanika miłość i poszanowanie władzy, rządzący mogą uznać za konieczne wykorzystanie ludzkich potrzeb i namiętności w celu podporządkowania sobie obywateli i utrzymania ich w posłuszeństwie. Takie zabiegi nie mogą jednak być skuteczne na dłuższą metę. To, co w pewnym momencie może się wydawać czynnikiem siły, staje się w rezultacie powodem niepokojów i słabości.

W społeczeństwach demokratycznych, jak i we wszystkich innych, liczba urzędów publicznych jest ograniczona, lecz liczba ludzi ambitnych jest tam nieograniczona i nieustannie, stopniowo a nieuchronnie, rośnie w miarę zrównywania się możliwości.

Kiedy więc ambicje obywateli znajdują ujście wyłącznie w funkcjach administracyjnych, rząd ma w końcu do czynienia ze stałą opozycją, ponieważ zmuszony jest zaspokajać mnożące się nieustannie pragnienia za pomocą ograniczonych środków. Spośród wszystkich społeczeństw świata najtrudniejszym do rządzenia jest społeczeństwo ludzi ubiegających się o posady państwowe. Żadne wysiłki przywódców państwa nie są w stanie ich zaspokoić. Zawsze należy się strzec, by nie obalono konstytucji kraju i nie spowodowano przewrotu w państwie po to tylko, aby doprowadzić do zwolnienia posad.

Władcy naszych czasów, którzy usiłują wykorzystać do własnych celów i zaspokoić wszystkie nowe pragnienia wzbudzone przez równość, pożałują, jeśli się nie mylę, swego postępowania. Pewnego dnia przekonają się bowiem, że narazili na ryzyko swoją władzę, czyniąc ją tak niezbędną, oraz że uczciwiej i pewniej byłoby nauczyć poddanych samowystarczalności.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Dlaczego wielkie rewolucje staną się rzadkością

Społeczeństwo, które przez całe wieki żyło w systemie kastowym i klasowym, może osiągnąć demokratyczny układ społeczny jedynie za cenę długotrwałych i niełatwych przeobrażeń, gwałtownych wysiłków i zmiennych kolei losu, podczas których majątki, idee i władza będą krążyły bezustannie.

Nawet po zakończeniu tego wielkiego przewrotu długo jeszcze przetrwają stworzone przezeń rewolucyjne obyczaje, a jego następstwem będzie głębokie poruszenie społeczeństwa.

Ponieważ wszystkie te zmiany towarzyszą procesowi zrównywania możliwości, nasuwa się przypuszczenie, że między równością jako taką i rewolucjami istnieje ukryty związek, który sprawia, że istnienie równości wywołuje rewolucję.

Doświadczenie wydaje się potwierdzać spekulację.

W społeczeństwie, w którym pozycje są mniej więcej równe, ludzi nie łączą żadne widoczne więzy i nic nie każe im trzymać się własnej sfery. Nikt nie ma ani stałego prawa do rozkazywania, ani też władzy rozkazywania i nikt nie jest stworzony do posłuszeństwa. Każdy człowiek, posiadając pewne wykształcenie i majątek, może swobodnie wybierać własną drogę życiową.

Te same przyczyny, które sprawiają, że obywatele są niezależni, budzą w nich nowe, niespokojne pragnienia oraz nieustannie przynaglają ich do działania.

Wydawałoby się więc, że w społeczeństwie demokratycznym idee, rzeczy i ludzie powinny wiecznie zmieniać swoje formy i miejsca oraz że czasy demokracji będą epoką szybkich i nieustających przeobrażeń.

Czy tak jest rzeczywiście? Czy równość możliwości stale i niezmiennie prowadzi do rewolucyjnych przemian? Czy zawiera w sobie jakąś wywrotową zasadę, która nie pozwala społeczeństwu na osiągnięcie stabilizacji i każe obywatelom nieustannie odnawiać swoje prawa, poglądy i obyczaje? Nie sądzę. Jest to ważne zagadnienie i dlatego proszę teraz czytelnika o szczególną uwagę.

Niemal wszystkie rewolucje, które zmieniły oblicze społeczeństw, zostały wszczęte w celu utwierdzenia lub obalenia nierówności. Kiedy pominiemy drugorzędne przyczyny, sprzyjające wielkim społecznym poruszeniom, prawie zawsze dojdziemy do problemu nierówności. Już to biedni chcą wydrzeć majątki bogatym, już to bogaci usiłują podporządkować sobie biednych.

Gdyby więc udało się stworzyć taki układ społeczny, w którym każdy obywatel miałby coś do stracenia i niewiele do zyskania, pokój na świecie byłby bardziej prawdopodobny.

Nie zapominam o tym, że w wielkim społeczeństwie demokratycznym zawsze zdarzają się obywatele bardzo biedni i bardzo bogaci. Biedni nie tworzą tam jednak ogromnej większości narodu, jak to jest w społeczeństwie arystokratycznym. Jest ich niewielu i prawo nie skrępowało ich tu pętami nieodwracalnej i dziedzicznej nędzy.

Bogaci natomiast są nieliczni i słabi, nie mają kłujących w oczy przywilejów. Nawet ich majątki, nie wyrażające się w ilości posiadanej ziemi, są nieuchwytne i nie do rozbicia. Jak nie ma rasy ludzi biednych, tak i nie ma rasy ludzi bogatych. Bogacze wyłaniają się z tłumu, by zaraz na nowo się w nim zagubić. Nie tworzą klasy, którą łatwo można wyodrębnić, po czym wyzuć z majątków. Lud nie mógłby zresztą w nich uderzyć nie przynosząc sobie szkody, ponieważ z resztą obywateli łączy tych ludzi bardzo wiele niewidocznych związków. Między tymi dwiema skrajnymi grupami istnieje w społeczeństwie demokratycznym masa niemal identycznych ludzi, którzy nie będąc ani specjalnie biednymi, ani specjalnie bogatymi, mają dostatecznie dużo pieniędzy, by życzyć sobie spokoju, lecz zarazem nie mają ich aż tyle, aby budzić zawiść.

Owi ludzie z natury są wrogami gwałtownych ruchów społecznych. Ich bezruch przyczynia się do utrzymania w spokoju całego ich otoczenia i dzięki temu społeczeństwo mocno tkwi w swoich posadach.

Nie znaczy to, że ci ludzie są zadowoleni ze swego losu ani że rewolucja, której łupy mogliby dzielić nie ponosząc jej negatywnych konsekwencji, budzi w nich naturalną odrazę. Przeciwnie, ogromnie pragnęliby się wzbogacić, lecz kłopot polega na tym, że nie wiadomo, czyim kosztem mieliby to zrobić. Układ społeczny nieustannie podsuwa im pewne pragnienia i jednocześnie zamyka je w granicach istniejących możliwości. Daje ludziom więcej swobody w przeprowadzaniu zmian, lecz zarazem sprawia, że są w nich mniej zainteresowani.

Ludzie demokracji nie tylko nie życzą sobie rewolucji, ale również się ich obawiają.

Każda rewolucja w jakimś stopniu zagraża własności. Większość mieszkańców demokratycznego kraju to właściciele. Nie tylko posiadają, ale żyją w warunkach społecznych, w których fakt posiadania ma ogromne znaczenie.

Jeżeli uważnie przyjrzymy się każdej spośród klas społecznych, zauważymy, że namiętność posiadania jest szczególnie zachłanna i uporczywa w klasach średnich.

Biedni częstokroć w ogóle nie troszczą się o swoją własność, ponieważ znacznie bardziej cierpią z powodu niedostatków, niż cieszą się z tego, co

mają. Bogaci natomiast mają wiele innych potrzeb do zaspokojenia; zresztą długotrwałe korzystanie z wielkiego majątku czyni ich niekiedy niewrażliwymi na jego uroki.

Lecz ludzie, którzy żyją w stanie zamożności równie dalekim od bogactwa jak od nędzy, przywiązują do swojego majątku ogromne znaczenie. Dobrze pamiętają biedę, znają jej dotkliwość i obawiają się jej. Dzieli ich od niej tylko niewielka fortunka, z którą wiążą wszystkie lęki i nadzieje. Nieustanna troska o majątek i codzienny trud wkładany w jego powiększenie sprawiają, że przywiązują się doń coraz bardziej. Nie mogą znieść myśli o pozbyciu się choćby najmniejszej jego cząstki; całkowitą utratę majątku uważają za największe z nieszczęść. Równość możliwości stale mnoży zastępy niespokojnych i lękliwych drobnych właścicieli.

Toteż w społeczeństwach demokratycznych większość obywateli nie bardzo wie, co mogłaby zyskać na rewolucji, natomiast wyraźnie przeczuwa, co mogłaby na niej stracić.

Mówiłem już o tym, że równość możliwości popycha ludzi ku przemysłowym i handlowym karierom, że rozwija i różnicuje własność ziemską, że wreszcie budzi w każdym człowieku gorące pragnienie dobrobytu. Trudno o instynkty bardziej przeciwne rewolucyjnym namiętnościom.

Rewolucja może w rezultacie przyczynić się do rozwoju handlu i przemysłu, lecz jej pierwszym skutkiem prawie zawsze będzie zrujnowanie przemysłowców i kupców. Rewolucja zawsze zmienia ogólne proporcje konsumpcji oraz chwilowo zakłóca równowagę produkcji i potrzeb.

Trudno również o coś bardziej przeciwnego rewolucyjnym obyczajom od obyczajów kupieckich. Handel z natury jest wrogiem wszelkich gwałtownych namiętności. Lubi umiar, ceni sobie kompromis, starannie unika zadrażnień. Jest cierpliwy, giętki, chytry, a do drastycznych środków ucieka się tylko w wypadkach bezwzględnie koniecznych. Handel daje niezależność oraz wpaja wysokie pojęcie własnej wartości, prowadzi ludzi do zajmowania się własnymi interesami i uczy ich, jak osiągać powodzenie. Przysposabia więc ludzi do wolności, ale oddala ich od rewolucji.

Posiadacze majątku ruchomego mają podczas rewolucji najwięcej powodów do obaw, albowiem ich własność jest łatwa do zagarnięcia i z chwili na chwilę mogą ją utracić. Właściciele ziemscy są w lepszej sytuacji — tracąc bowiem dochód ze swoich dóbr, mają przynajmniej nadzieję na zachowanie samej ziemi. Perspektywa rewolucyjnych ruchów mniej ich zatem przeraża.

Społeczeństwa są więc tym mniej skore do rewolucji, im więcej jest majątków ruchomych i im więcej ludzi posiada takie majątki.

Niezależnie zresztą od rodzaju zajęcia i majątku jedna cecha jest w demokracji wspólna wszystkim.

Nikt nie jest w pełni zadowolony ze swojej obecnej sytuacji i wszyscy, na tysiąc różnych sposobów, dążą do zdobycia lepszej. Przypatrzmy się które-

mukolwiek z obywateli w dowolnym momencie jego życia, a zobaczymy, że jest zajęty jakimiś nowymi planami prowadzącymi do zdobycia większego dobrobytu. Nie próbujmy mu mówić o potrzebach i prawach rodzaju ludzkiego — mały prywatny interes pochłania wszystkie jego myśli i każe mu pragnąć, aby polityczne niepokoje zostały odłożone na później

Wszystko to nie tylko powstrzymuje od wszczynania rewolucji lecz nie pozwala ich pragnąć. Gwałtowne pasje polityczne nie imają się ludzi, całą duszą oddanych pogoni za dobrobytem. Cały zapał obraca się ku małym sprawom i nie starcza go na wielkie.

Co pewien czas pojawiają się w społeczeństwach demokratycznych ludzie przedsiębiorczy i ambitni, których ogromne pragnienia nie mogą zostać zaspokojone za pomocą zwykłych sposobów. Ludzie ci uwielbiają rewolucje i pragną ich, lecz bardzo trudno jest im je wywołać, jeśli nie przyjdą im z pomocą jakieś nadzwyczajne okoliczności.

Nie sposób skutecznie walczyć z duchem swoich czasów i swojego kraju. Żaden człowiek, choćby najsilniejszy, nie może łatwo wpoić współczesnym uczuć i idei, które są całkowicie obce ich własnym uczuciom i pragnieniom. Nie należy więc sądzić, że z chwilą gdy równość możliwości, jako fakt ustalony i niezaprzeczalny, odciśnie swoje piętno na obyczajach, ludzie chętnie zaryzykują i pójdą za nieostrożnym przywódcą lub zuchwałym nowatorem.

Nie będą mu się otwarcie opierać, nie będą z nim dyskutować, nie będą, mu się podstępnie wykręcać, nie będą z nim walczyć. Niekiedy nawet mu przyklasną, lecz nie pójdą za nim. Odpowiedzią na jego poryw będzie ich bierność, na jego rewolucyjne instynkty — ich zachowawcze interesy, na jego awanturnicze zapały — ich domatorskie upodobania, na uniesienia jego geniuszu — ich zdrowy rozsądek, na jego poezję — ich proza. Jeżeli wielkim wysiłkiem uda mu się porwać ich na chwilę, zaraz mu się wymkną i opadną z powrotem, jakby pociągnięci własnym ciężarem. Będzie się więc spalał w zabiegach o ożywienie tego obojętnego i biernego tłumu aż do chwili, kiedy uświadomi sobie wreszcie własną bezsilność, której źródłem jest nie klęska, lecz samotność.

Nie chcę wcale powiedzieć, że ludzie żyjący w społeczeństwie demokratycznym są z natury bierni — myślę, że jest wręcz przeciwnie, że panuje wśród nich nieustanny ruch i nikt nie może zaznać wypoczynku. Myślę tylko, że ludzie działają tam w wąskich granicach i że granic tych nie przekraczają. Ciągle zmieniają i odnawiają rzeczy drugorzędne, przy czym starannie omijają zasadnicze. Cenią sobie zmianę, ale boją się rewolucji.

Amerykanie, choć nieustannie przeobrażają lub znoszą niektóre prawa, dalecy są od przejawiania rewolucyjnych namiętności. W chwili największego rozpalenia publicznych namiętności Amerykanie potrafią szybko się uspokoić, jeżeli tylko spostrzegą, że poruszenie zaczyna być groźne. Dowodzi to, iż boją się rewolucji jak największego nieszczęścia i aby jej uniknąć, go-

towi są na wielkie poświęcenia. Nie ma na świecie kraju, w którym instynkt własności byłby bardziej żywy i niespokojny niż w Stanach Zjednoczonych i w którym większość byłaby bardziej niechętna doktrynom niosącym ze sobą niebezpieczeństwo jakichkolwiek zmian w prawie własności.

Nieraz już podkreślałem, że teorie z natury rewolucyjne, czyli takie, które mogą zostać zrealizowane tylko za cenę całkowitych i nieraz gwałtownych zmian w stanie własności i sytuacji ludzi, znajdują w Ameryce znacznie mniejsze poparcie niż w wielkich monarchiach europejskich. Jeżeli nawet wyznaje je kilku ludzi, większość instynktownie je odrzuca.

Nie obawiam się powiedzieć, że demokracja amerykańska potępiłaby większość maksym, które we Francji zwykły nosić miano demokratycznych. Łatwo to zrozumieć. W Ameryce istnieją demokratyczne idee i namiętności. W Europie natomiast mamy na razie namiętności i idee rewolucyjne.

Jeżeli Ameryka kiedykolwiek doświadczy wielkich rewolucji, stanie się to za sprawą obecności czarnych w Stanach Zjednoczonych. Zostaną one zatem wywołane nie przez równość możliwości, lecz — przeciwnie — przez ich nierówność.

Kiedy możliwości są równe, człowiek chętnie zamyka się we własnym domu i zapomina o życiu publicznym. Gdyby prawodawcy społeczeństw demokratycznych nie starali się zapobiec tej zgubnej tendencji lub nawet, w przekonaniu, że odstręcza ona ludzi od politycznych namiętności i powstrzymuje ich od rewolucji, tworzyli sprzyjające jej prawa, mogliby sami spowodować zło, którego właśnie chcieli uniknąć, i nadeszłaby chwila, w której nieumiarkowane namiętności kilku ludzi, wsparte nierozumnym egoizmem oraz małodusznością większości, naraziłyby organizm społeczny na poważne ryzyko.

W społeczeństwach demokratycznych rewolucji pragną tylko mniejszości; ale i mniejszości mogą je czasem wywołać.

Nie twierdzę, że narody demokratyczne nie są narażone na rewolucje, powiadam tylko, że układ społeczny tych narodów nie prowadzi ich do rewolucji, a raczej je od nich oddala. Społeczeństwa demokratyczne, pozostawione sobie samym, nie wdają się łatwo w wielkie awantury. Mogą zostać nieświadomie wciągnięte w rewolucję, ale nigdy same jej nie wywołują. Dodam jeszcze, że kiedy pozwoli im się zdobyć więcej wykształcenia i doświadczenia, do rewolucji nie dopuszczą.

Kiedy możliwości są równe, opinia powszechna ogromnie ciąży na sposobie myślenia każdego człowieka, kieruje nim i wywiera nań nacisk. Wiąże się to bardziej z samą konstytucją społeczeństwa niż z jego politycznymi prawami, W miarę jak ludzie się upodabniają, coraz silniej odczuwają własną słabość w stosunku do zbiorowości. Człowiek poddany naciskowi zbiorowości, który nie widzi nic, co by go korzystnie wyróżniało spośród jej członków, traci wiarę w siebie. Wątpi nie tylko w swoje siły, ale również w swoje

prawa, i gotów uznać, że się myli, jeżeli taki jest pogląd większości. Większość nie musi go nawet przymuszać — ona go przekonuje.

Niezależnie od tego, w jaki sposób zorganizuje się władze społeczeństwa demokratycznego i jak się je zrównoważy, zawsze bardzo trudno będzie ludziom wierzyć w to, co większość odrzuca, i wyznawać coś, co większość potępia.

To ogromnie sprzyja stabilizacji poglądów.

Kiedy w społeczeństwie demokratycznym jakiś pogląd zostanie raz przyjęty przez większość ludzi, utrzymuje się długo, ponieważ nikt nie próbuje go podważyć. Ci, którzy z początku odrzucali go jako fałszywy, przyjmują go w końcu jako uznany przez większość, ci zaś, którzy w gruncie rzeczy dalej się z nim nie zgadzają, nie okazują tego, nie chcąc się wdawać w niebezpieczną i niepotrzebną walkę.

Wprawdzie zmiana poglądów większości może spowodować nagły wstrząs w życiu umysłowym, lecz do zmiany tej dochodzi bardzo trudno i niemal równie trudno jest ją w ogóle odnotować.

Zdarza się niekiedy, że czasy, wydarzenia lub indywidualne i odosobnione wysiłki jakiegoś człowieka w sposób niewidoczny podważają czy stopniowo obalają jakieś przeświadczenie. Takiego przeświadczenia nie zwalcza się otwarcie; nikt nie szuka sprzymierzeńców, by wypowiedzieć mu wojnę. Jego dotychczasowi zwolennicy porzucają je pojedynczo i bez hałasu. I tak co dzień ktoś się wycofuje i w końcu zostaje tylko garstka wyznawców.

Nawet wtedy pogląd taki panuje w dalszym ciągu.

Ponieważ jego przeciwnicy nadal milczą lub tylko ukradkiem wymieniają myśli, sami długo nie są w stanie zyskać pewności, że dokonała się powszechna zmiana poglądów. W niepewności milczą więc i obserwują sytuację. Większość przestała już wierzyć, ale ciągle sprawia wrażenie, że wierzy, i te fałszywe pozory opinii publicznej wystarczają do powstrzymania zapędów nowatorów.

Żyjemy w epoce, która była świadkiem niesłychanie gwałtownych przemian umysłowych. Może się jednak zdarzyć, że podstawowe poglądy ludzi będą niebawem bardziej ustabilizowane niż kiedykolwiek w historii. Ten czas jeszcze nie nadszedł, ale być może już się zbliża.

Im głębiej analizuję potrzeby i instynkty społeczeństw demokratycznych, tym bardziej przekonuję się o tym, że jeśli kiedyś równość zapanuje na świecie w sposób powszechny i trwały, o wielkie rewolucje umysłowe i polityczne będzie trudniej i staną się one rzadsze, niż przypuszczamy.

Ponieważ ludzie czasów demokracji wydają się zawsze podnieceni, niepewni, pełni wahań i gotowi zmieniać swoje zamysły oraz siedziby, wyobrażamy sobie, że nagle obalą swoje prawa, przyjmą nowe przekonania i nowe obyczaje. Zapominamy o tym, że o ile równość skłania ludzi do przeprowadzania zmian, wzbudza w nich przecież potrzeby i upodobania, dla zaspoko-

jenia których potrzebna jest stabilizacja. Równość popycha ludzi do zmian, ale jednocześnie wstrzymuje ich, budzi ambicje, ale sprowadza na ziemię, rozpala pragnienia, ale ogranicza siły.

Namiętności, które izolują demokratycznych obywateli, same rzucają się w oczy; nie widać jednak ukrytej siły, która zbliża i łączy ludzi.

Czy mogę ośmielić się i wypowiedzieć mój pogląd pośród otaczających nas jeszcze ruin? Otóż nie rewolucje są tym, czego obawiam się najbardziej dla przyszłych pokoleń.

Jeżeli obywatele będą się nadal zamykali w kręgu małych prywatnych interesów i poświęcali się im bez reszty, można się obawiać, że nie dosięgną ich wielkie i potężne emocje, które co prawda wstrząsają społeczeństwami, ale przyczyniają się do ich rozwoju i odnowy. Kiedy widzę, jak bardzo ulotna jest własność i jak bardzo niespokojne i gorące staje się pragnienie posiadania, ogarniają mnie obawy, że ludzie każdą nową teorię uznają w końcu za niebezpieczeństwo, każdą innowację za niepotrzebne zamieszanie, wszelki postęp społeczny za pierwszy krok do rewolucji i że z obawy przed tym, by nie dać się w nią wciągnąć, w ogóle nie zechcą działać. Boję się — wyznam — że tchórzliwe upodobanie do doraźnych korzyści do tego stopnia opanuje ludzi, że przestaną interesować się własną przyszłością i przyszłością swojego narodu i będą woleli biernie przyjmować zrządzenia losu niż w razie potrzeby dokonać nagłego i energicznego wysiłku, aby ten los odmienić.

Panuje przekonanie, że nowe społeczeństwa będą się nieustannie przeobrażały. Ja obawiam się raczej, by w końcu nie zastygły w tych samych i raz na zawsze ustalonych instytucjach, przesądach i obyczajach, powstrzymując rozwój rodzaju ludzkiego. Obawiam się, by umysły nie zasklepiły się w jałowej kontemplacji własnych drobnych problemów, zaprzestając tworzenia nowych idei, by człowiek nie wyczerpał się w małych, samotnych i jałowych poczynaniach, wreszcie by ludzkość, pozostając w stanie stałej ruchliwości, nie zatrzymała się w miejscu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Dlaczego społeczeństwa demokratyczne z natury rzeczy pragną pokoju, zaś armie demokratyczne — wojny

Te same interesy, te same namiętności, te same obawy, które zniechęcają społeczeństwa demokratyczne do rewolucji, odstręczają je również od wojny. Duch wojenny i duch rewolucyjny słabną jednocześnie i z tych samych powodów.

Stale rosnąca liczba ceniących spokój właścicieli, rozwój majątków ruchomych, które wojna pochłania tak szybko, łagodność obyczajów i miękkość serca, budzone przez równość odruchy litości, chłodny rozsądek, który czyni człowieka niewrażliwym na wzniosłe i gwałtowne emocje wojennej walki — wszystkie te okoliczności przyczyniają się do upadku wojennego ducha.

Myślę, że można przyjąć za generalną i stałą regułę, iż namiętności wojenne będą rzadziej się pojawiały i będą słabły u narodów cywilizowanych w miarę zrównywania możliwości.

Wojna może jednak dotknąć każdy naród, a zatem i naród demokratyczny. Niezależnie od tego, jak drogi jest tym narodom pokój, muszą być one gotowe do odparcia napaści, innymi słowy, muszą posiadać armię.

Los, który tak sprzyjał mieszkańcom Stanów Zjednoczonych, dał im i to dobrodziejstwo, że właściwie nie mają sąsiadów. Wystarcza im więc parę tysięcy żołnierzy, ale ten fakt wynika z okoliczności naturalnych, nie zaś z demokracji.

Równość możliwości oraz obyczaje i instytucje, które z niej wynikają, nie pozwalają jednak społeczeństwu demokratycznemu zrezygnować z utrzymywania armii, istnienie zaś armii wywiera zawsze duży wpływ na los narodu. Warto zatem zdać sobie sprawę z naturalnych instynktów ludzi, którzy tworzą armię.

W społeczeństwach arystokratycznych, w szczególności tam, gdzie samo urodzenie zapewnia człowiekowi pozycję, w armii, podobnie jak w życiu cywilnym, panuje nierówność: oficer to szlachcic, żołnierz — poddany. Jeden jest powołany do rozkazywania, drugi — do słuchania. W arystokratycznym wojsku ambicje żołnierza są zatem wielce ograniczone.

Ambicje oficerów także mają granice.

Arystokracja nie tylko jest elementem społecznej hierarchii, lecz sama w sobie jest hierarchiczna, a hierarchia ta jest trwała. Jednego arystokratę uro-

dzenie przeznacza do dowodzenia pułkiem, drugiego — do dowodzenia kompanią. Kiedy więc osiągną najwyższe dostępne im funkcje, nie dążą już dalej i uważają się za zadowolonych z losu.

Jest zresztą ważna przyczyna, dla której arystokratyczni oficerowie nie spieszą się zbytnio do awansu.

W społeczeństwie arystokratycznym oficer, niezależnie od swej rangi w wojsku, zajmuje wysoką pozycję w społeczeństwie. Ranga wojskowa ma dla niego tylko drugorzędne znaczenie w stosunku do pozycji społecznej. Podejmując karierę wojskową szlachcic posłuszny jest raczej obowiązkowi, jaki nakłada nań urodzenie, niż ambicji. Wstępuje do wojska, by godnie spędzić próżniaczy czas młodości i po latach chlubić się zaszczytnymi wspomnieniami z życia wojskowego. Lecz celem wstąpienia do wojska nie jest tu zdobycie majątku, uznania i władzy — te dobra posiada i bez tego i korzysta z nich nie opuszczając własnego domu.

W armiach demokratycznych wszyscy żołnierze mogą zostać oficerami, co upowszechnia pragnienie awansu i niemal w nieskończoność rozciąga granice wojskowych ambicji.

Oficera także nic nie powstrzymuje przed dążeniem do wyższego stopnia, a stopień wojskowy ma dla niego wielkie znaczenie, ponieważ jego pozycja w społeczeństwie prawie zawsze zależy od rangi, jaką uda mu się osiągnąć w wojsku.

W społeczeństwach demokratycznych często się zdarza, że jedynym majątkiem oficera jest jego żołd, a uznanie, jakim się cieszy, odpowiada jego honorom wojskowym. Kiedy więc zmienia funkcję w wojsku, zmienia zarazem swoją kondycję społeczną i w pewnej mierze staje się innym człowiekiem. To, co w armii arystokratycznej było tylko dodatkiem, tutaj staje się podstawą, wszystkim, racją bytu.

W dawnej monarchii francuskiej do oficerów zwracano się zawsze używając ich szlacheckich tytułów. Dzisiaj wymienia się tylko ich stopień wojskowy. Ta niewidka zmiana form językowych wystarcza, by przekonać, jak wielka rewolucja dokonała się w organizacji społeczeństwa i armii.

W demokratycznej armii pragnienie awansu jest powszechne. Jest gorące, uparte i trwałe, rośnie z innymi pragnieniami, a gaśnie dopiero wraz z życiem. Otóż łatwo się domyślić, że armia demokratyczna jest tą spośród wszystkich armii świata, w której awans w czasie pokoju odbywa się w sposób najbardziej powolny. Ponieważ liczba stopni jest z natury rzeczy ograniczona, liczba konkurentów ogromna, a nieugięte prawo równości ciąży na wszystkich, nikt nie może awansować szybko, a wielu ludzi nie może w ogóle ruszyć z miejsca. Potrzeba awansu jest tu większa, łatwość zaś awansowania mniejsza niż gdzie indziej.

Wszyscy ambitni wojskowi demokratycznej armii z wielką niecierpliwością oczekują więc wojny, ponieważ wojna opróżnia miejsca oraz pozwala

pogwałcić prawo starszeństwa, które w demokracji stanowi jedyny naturalny przywilej.

Dochodzimy więc do szczególnego wniosku, że najgoręcej ze wszystkich armii pragną wojny armie demokratyczne oraz że społeczeństwa demokratyczne najbardziej ze wszystkich społeczeństw miłują pokój. Co zaś najdziwniejsze, oba te sprzeczne zjawiska są spowodowane przez równość.

Równi obywatele stale pragną zmienić swoją kondycję i powiększyć swój dobrobyt. Dlatego cenią pokój, który sprzyja rozwojowi gospodarki i pozwala każdemu bez zakłóceń zmierzać do celu własnych przedsięwzięć. Z drugiej strony, ta sama równość, podnosząc cenę honorów wojskowych w oczach ludzi podejmujących wojskową karierę i czyniąc je dostępnymi dla wszystkich, każe żołnierzom marzyć o polu bitwy. W obu wypadkach mamy do czynienia z tym samym niepokojem, z tym samym nienasyconym pragnieniem dobrobytu, z tą samą ambicją. Odmienne są tylko środki służące zaspokojeniu tych potrzeb.

Owe przeciwne skłonności narodu i armii narażają społeczeństwo demokratyczne na wielkie niebezpieczeństwa.

Kiedy duch wojenny opuszcza jakieś społeczeństwo, kariera wojskowa przestaje być w nim poważana i wojskowi spadają do najniższego rzędu urzędników publicznych. Nie cieszą się szacunkiem i nie znajdują zrozumienia. Sytuacja jest więc skrajnie różna od tej, którą znamy ze społeczeństwa arystokratycznego. Do armii wstępują już nie najświetniejsi, lecz najbardziej przeciętni z obywateli. Karierze wojskowej poświęcają się ci, przed którymi wszystkie inne drogi są zamknięte. Powstaje błędne koło, z którego trudno znaleźć wyjście. Elita narodu unika kariery wojskowej, ponieważ kariera taka nie cieszy się szacunkiem; kariera wojskowa nie cieszy się szacunkiem, ponieważ nie podejmują jej przedstawiciele elity.

Nie należy się więc dziwić, że demokratyczne armie są często niespokojne, hałaśliwe i niezadowolone ze swego losu, jakkolwiek warunki służby są tam zwykle znacznie łagodniejsze, a dyscyplina mniej surowa niż we wszystkich innych. Żołnierz odczuwa swoją pozycję jako podrzędną i zraniona duma podsyca w nim pragnienie wojny, która może uczynić go niezbędnym, czy też tęsknotę do rewolucji, podczas której ma nadzieję z bronią w ręku zdobyć polityczne wpływy oraz indywidualne uznanie, którego mu odmówiono.

Do powiększenia tego niebezpieczeństwa przyczynia się dodatkowo skład demokratycznych armii.

W demokratycznym społeczeństwie niemal wszyscy obywatele mają jakąś własność, którą chcieliby zachować, lecz armie demokratyczne są zazwyczaj dowodzone przez proletariuszy. Większość z nich ma niewiele do stracenia podczas społecznych wstrząsów. Masa narodu znacznie bardziej obawia się

rewolucji niż w czasach arystokratycznych, lecz dowódcy armii obawiają się jej znacznie mniej.

Co więcej, ponieważ w społeczeństwie demokratycznym, jak to już mówiłem, najbogatsi, najbardziej wykształceni i najzdolniejsi obywatele nie podejmują kariery wojskowej, zdarza się, że armia jako całość przeobraża się w mały odrębny naród, w którym poziom umysłowy jest niższy, a obyczaje bardziej grubiańskie niż w całym kraju. Otóż ten mały niecywilizowany naród posiada broń i tylko on potrafi się nią posługiwać.

Pokojowe usposobienie obywateli zwiększa jeszcze w rezultacie niebezpieczeństwo, na jakie wojenny i wichrzycielski duch armii naraża społeczeństwo demokratyczne. Nic bardziej niebezpiecznego nad wojsko istniejące wewnątrz pokojowo nastawionego społeczeństwa. Nadmierne zamiłowanie obywateli do pokoju sprawia, że konstytucja kraju jest ciągle zdana na łaskę i niełaskę wojskowych.

Można więc ogólnie powiedzieć, że o ile interesy i instynkty społeczeństw demokratycznych nastawiają je pokojowo, o tyle własne armie popychają je ku wojnie i rewolucjom.

Wojskowe przewroty, których prawie nigdy nie ma powodu się obawiać w społeczeństwach arystokratycznych, zawsze zagrażają narodom demokratycznym. Jest to jedno z najpoważniejszych niebezpieczeństw przyszłości i politycy nie powinni ustawać w poszukiwaniu środków zaradczych.

Kiedy niespokojne ambicje wojska drążą naród od środka, pierwszym rozwiązaniem, jakie się nasuwa, jest wywołanie wojny, w której mogłyby się wyżyć.

Nie mam zamiaru całkowicie odmówić wojnie zalet. Wojna częstokroć rozszerza horyzonty myślowe i podnosi serca ludzi. Bywa, że tylko wojna może powstrzymać rozwój pewnych tendencji wynikłych z równości i że jest ona koniecznym lekarstwem na choroby trawiące społeczeństwa demokratyczne.

Wojna ma swoje dobre strony, lecz nie należy się łudzić, że zmniejsza niebezpieczeństwa, o których mówimy. Ona je tylko odwleka. Po jej zakończeniu stają się jeszcze poważniejsze, ponieważ armia, zasmakowawszy w wojnie, z większą jeszcze niecierpliwością znosi pokój. Wojna może być rozwiązaniem jedynie dla takiego społeczeństwa, które nieustannie pragnie wojennej chwały.

Przewiduję, iż wszystkim wojowniczym władcom, którzy staną na czele społeczeństw demokratycznych, znacznie łatwiej będzie prowadzić swoje armie do zwycięstwa niż potem utrzymać je w spokoju. Są dwie rzeczy, które społeczeństwu demokratycznemu będą zawsze przychodziły z trudnością: rozpoczęcie wojny i jej zakończenie.

O ile zresztą wojna ma dla społeczeństw demokratycznych pewne szczególne zalety, o tyle wciąga je w niebezpieczeństwa, których narody arystokratyczne nie muszą się aż tak obawiać. Wymienię tylko dwa.

Wojna zadowala wojsko, lecz utrudnia życie zwykłym ludziom i często unieszczęśliwia nieprzeliczone masy obywateli, którzy swe niewielkie cele mogą osiągnąć tylko w czasie pokoju. Wojna może więc pod inną postacią sprowadzić na społeczeństwo zło, któremu ma zapobiegać.

W społeczeństwie demokratycznym każda przedłużająca się wojna wystawia na ryzyko wolność. Nie chodzi o to, że po każdym zwycięstwie dowódcy mogą siłą zagarnąć władzę, jak to uczynili Sulla i Cezar. Niebezpieczeństwo jest innego rodzaju. Wojna nie zawsze oddaje społeczeństwo demokratyczne we władzę dyktatury wojskowej, lecz ogromnie potęguje znaczenie rządu cywilnego, nieuchronnie centralizując w jego rękach wszelką władzę. I jeżeli nawet nie wprowadza despotyzmu gwałtem, to wiedzie doń powoli, przeobrażając zwyczaje.

Wszyscy, którzy chcieliby zniszczyć demokratyczną wolność, powinni wiedzieć, że najskuteczniejszym na to sposobem jest wojna.

Innym rozwiązaniem, które się nasuwa, kiedy ambicje oficerów i żołnierzy stają się groźne, jest zwiększenie liczebności armii i tym samym pomnożenie funkcji. Taki zabieg doraźnie usuwa zło, lecz stwarza zagrożenie dla przyszłości.

Powiększenie armii może przynieść trwałe skutki w społeczeństwie arystokratycznym, gdzie ambicje wojskowe dotyczą tylko pewnego kręgu ludzi i posiadają pewne naturalne granice. Można zatem zadowolić wszystkich.

Tymczasem w społeczeństwie demokratycznym powiększenie armii nic nie daje, ponieważ liczba ludzi ambitnych rośnie wraz z armią. Ludzie, których życzenia spełniły się dzięki powołaniu nowych funkcji, zostają natychmiast zastąpieni przez innych, których zadowolić już się nie da. Wkrótce i ci, którzy awansowali, zaczną się skarżyć na nowo, ponieważ w armii panuje ten sam niepokój ambicji co w społeczeństwie i każdy chce nie tyle osiągnąć jakiś określony stopień, ile nieustannie posuwać się do przodu. Pragnienia nie są zbyt wygórowane, lecz ustawicznie się odnawiają. Powiększając więc swoją armię, społeczeństwo demokratyczne tylko na pewien czas powściąga ambicje wojskowych. Niebawem staną się one jeszcze groźniejsze, ponieważ rośnie liczba tych, którzy je odczuwają.

Myślę, że niespokojny i wichrzycielski duch jest wrodzoną chorobą demokratycznej armii i że należy z góry zrezygnować z walki z nim. Prawodawcy demokracji nie powinni się łudzić, że uda im się znaleźć taki sposób zorganizowania wojska, by uspokoić i pohamować wojskowych. Byłyby to próżne wysiłki.

Lekarstwa na zło armii należy poszukiwać nie w armii, lecz w społeczeństwie.

Społeczeństwa demokratyczne cechuje naturalny strach przed zamieszkami i despotyzmem. Chodzi jedynie o to, by te instynkty przerodziły się w rozsądne, inteligentne i trwałe upodobania. Kiedy obywatele nauczą się z umiarkowaniem korzystać z własnej wolności oraz odczują jej dobrodziejstwa, kiedy nabiorą upodobania do ładu i dobrowolnie poddadzą się pewnej dyscyplinie, podejmując karierę wojskową wniosą do armii, choćby i nieświadomie, swoje przyzwyczajenia i obyczaje. Powszechne nastawienie narodu, przenikając w ten sposób do wojska, miarkuje właściwe wojskowym poglądy i pragnienia, bądź też tłumi je siłą wszechmocnej opinii publicznej. Jeżeli obywatele będą wykształceni, zdyscyplinowani, odważni i wolni, zdyscyplinowani i karni będą również żołnierze.

Wszelkie prawo, które poskramiając wichrzycielskiego ducha armii dążyłoby do ograniczenia ducha wolności w społeczeństwie oraz do osłabienia idei prawa i uprawnień obywatelskich, zagrażałoby własnym celom. Sprzyjałoby raczej tyranii wojskowej zamiast jej przeciwdziałać.

W końcu cokolwiek by się robiło, wielka armia w społeczeństwie demokratycznym zawsze będzie stanowiła niebezpieczeństwo. Najskuteczniejszym środkiem służącym do zmniejszenia tego niebezpieczeństwa byłoby zredukowanie armii. Nie wszystkie społeczeństwa mogą sobie jednak na to pozwolić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Która z klas społecznych wchodzących w skład armii demokratycznej jest nastawiona najbardziej wojowniczo i rewolucyjnie

Ponieważ lud, z którego rekrutuje się armia demokratyczna, jest liczny, istotną cechą demokratycznego wojska jest jego wielka liczebność. Później będę jeszcze o tym mówił.

Z drugiej strony, ludzie żyjący w społeczeństwach demokratycznych rzadko wybierają wojskową karierę.

Społeczeństwa demokratyczne muszą więc rezygnować z ochotniczego zaciągu na rzecz przymusowego poboru. Ten ostateczny środek jest w demokracji koniecznością i dlatego wszystkie demokratyczne społeczeństwa będą się musiały do niego odwołać.

Kiedy służba wojskowa jest obowiązkowa, wszyscy obywatele są nią jednakowo obciążeni. I to również w sposób konieczny wynika z układu społecznego oraz idei demokratycznych społeczeństw. Rząd może tam przeprowadzić niemal wszystko, co zechce, pod warunkiem wszakże, że zwróci się jednocześnie do wszystkich obywateli. Opór nie wynika bowiem z faktu nałożenia na społeczeństwo ciężaru, lecz z nierównego rozłożenia tego ciężaru.

Jeżeli służbę wojskową muszą odbywać wszyscy obywatele, jest oczywiste, że okres służby nie przekracza kilku lat. Żołnierz przebywa więc w wojsku tylko przejściowo, podczas gdy w narodach arystokratycznych stan wojskowy jest zawodem obranym lub narzuconym na całe życie.

Wynikają z tego poważne konsekwencje. Niektórzy żołnierze demokratycznej armii wiążą się z nią na całe życie, lecz większość z nich, wcielona do wojska przymusowo i zawsze gotowa wrócić do normalnego życia, nie traktuje poważnie kariery wojskowej i chce ją czym prędzej porzucić. Ludzie ci tylko częściowo podzielają namiętności zawodu wojskowego. Wywiązują się ze swoich obowiązków, lecz duszą oddani są sprawom i nadziejom życia cywilnego. Nie ulegają więc duchowi armii, lecz wnoszą do niej postawy społeczeństwa cywilnego. W demokratycznym wojsku właśnie prości żołnierze pozostają obywatelami: to oni są najbardziej przywiązani do zwyczajów narodu i najbardziej zależni od opinii publicznej. Za ich pośrednictwem można starać się zaszczepić w demokratycznej armii umiłowanie wolności i poszanowanie praw, które udało się przedtem wpoić ludowi. Odwrotnie dzieje się w arystokracji, gdzie żołnierze tracą więź ze współobywatelami i żyją wśród własnego narodu jak obcy, a nierzadko jak wrogowie.

Elementem zachowawczym jest w armii arystokratycznej oficer, ponieważ tylko on utrzymuje ścisłe więzy ze społeczeństwem cywilnym i nigdy nie opuszcza go pragnienie, by kiedyś objąć w nim swoje miejsce. W wojsku demokratycznym z tych samych powodów elementem zachowawczym jest żołnierz.

W demokracji natomiast często się zdarza, że oficer nabiera upodobań i pragnień obcych upodobaniom i pragnieniom swojego narodu. Nietrudno to zrozumieć.

W społeczeństwach demokratycznych człowiek, który zostaje oficerem, zrywa wszystkie więzy łączące go z życiem cywilnym. Porzuca to życie na zawsze i nie jest zainteresowany w tym, by do niego wrócić. Jego prawdziwą ojczyzną jest armia, gdyż bez swojej rangi wojskowej byłby niczym. Los armii jest więc jego losem; oficer wznosi się i upada razem z nią, w niej pokłada nadzieje. Ponieważ jego potrzeby są całkowicie różne od potrzeb kraju, może się zdarzyć, że będzie gorąco pragnął wojny lub przygotowywał rewolucję w chwili, kiedy naród dąży właśnie najbardziej do stabilizacji i pokoju.

Wszelako pewne okoliczności osłabiają w nim niespokojnego i wojowniczego ducha. Ambicje, powszechnie i trwale panujące w demokratycznym społeczeństwie, rzadko, jak już widzieliśmy, bywają wielkie. Człowiek, który wyszedł z poślednich warstw narodu i pokonawszy niższe szczeble armii dotarł do stopnia oficerskiego, zrobił już ogromny krok naprzód. Dostał się do sfery wyższej i zdobył prawa, które w większości demokratycznych narodów zawsze są nienaruszalne. Dokonawszy tak wielkiego wysiłku łatwo poprzestaje na biernym korzystaniu ze swej zdobyczy. Obawa przed utratą tego, co zyskał, osłabia w nim pragnienie osiągnięcia czegoś więcej. Pokonawszy pierwszą i największą przeszkodę, która zagradzała mu drogę, z mniejszą niecierpliwością znosi powolność swego awansu. Jego ambicje stają się tym chłodniejsze, im wyższą osiąga rangę i co za tym idzie, im więcej ma do stracenia. Jeśli się nie mylę, najmniej wojowniczym i najmniej rewolucyjnym elementem armii demokratycznej są zawsze jej dowódcy.

To, co powiedziałem o żołnierzach i oficerach, nie dotyczy licznej grupy ludzi, którzy we wszystkich armiach zajmują miejsce pośrednie. Mam na myśli podoficerów.

Warstwa podoficerów, która niedawno w ogóle jeszcze nie istniała, jest moim zdaniem powołana do odegrania w historii pewnej roli.

Podobnie jak oficer, podoficer ma świadomość zerwania wszystkich więzi ze społeczeństwem cywilnym. Tak jak i tamten, traktuje stan wojskowy jako karierę życiową i — być może bardziej jeszcze niż on — w tę stronę zwraca wszystkie swoje pragnienia. Nie osiągnął jednak, tak jak oficer, wysokiej i pewnej pozycji, która pozwala spokojnie żyć w oczekiwaniu na dalszy awans.

Z samej nieodmiennej natury jego funkcji wynika, że jest on skazany na prowadzenie anonimowej, pozbawionej perspektyw, mozolnej i niepewnej egzystencji. Na razie zna tylko same niebezpieczeństwa stanu wojskowego. Losem jego jest wyrzeczenie i posłuszeństwo, trudniejsze jeszcze do zniesienia od niebezpieczeństw. Obecne niedole tym bardziej dają mu się we znaki, iż jest świadom szansy wyzwolenia, jaką stwarza struktura społeczeństwa i armii — z dnia na dzień może wszak stać się oficerem. Wtedy będzie rozkazywał, będzie miał zaszczyty, niezależność i prawa, będzie używał życia. Jego nadzieje są wielkie, lecz nigdy nie jest do końca pewien, czy zdoła je urzeczywistnić. Pozycja, jaką zajmuje w wojsku, nie jest zgoła pewna — jest całkowicie zdany na wolę zwierzchników, takie są bowiem bezwzględne wymogi dyscypliny. Drobne uchybienie lub czyjś kaprys w każdej chwili mogą zaprzepaścić owoc wielu lat pracy i wysiłków. Póki więc nie osiągnie upragnionego stopnia oficerskiego, nie osiągnął nic. Dopiero wtedy rozpoczyna karierę. W duszy człowieka, którego nieustannie popycha własna młodość, potrzeby, namiętności, duch epoki, nadzieje i obawy, muszą rozgorzeć rozpaczliwe ambicje.

Podoficer pragnie więc wojny, pragnie jej zawsze i za wszelką cenę. Jeżeli nie może mieć wojny, pragnie rewolucji, która łamie zasady zwykłego porządku rzeczy i podczas której ma nadzieję, korzystając z zamieszania i walki politycznych namiętności, przegnać swojego oficera i zająć jego miejsce. Podoficer jest w stanie rozniecić rewolucyjne namiętności, albowiem dzięki wspólnocie pochodzenia i zwyczajów posiada wielki wpływ na żołnierzy, choć wielce się od nich różni przez swe pragnienia i namiętności.

Te odmienne postawy oficera, podoficera i żołnierza nie wiążą się z określoną epoką czy też krajem. Będą zawsze istniały we wszystkich demokratycznych narodach.

W każdej demokratycznej armii żołnierz będzie reprezentantem pokojowej postawy społeczeństwa, podczas gdy podoficer będzie jej zaprzeczeniem. Żołnierz będzie wnosił do wojska siłę lub słabość narodowych obyczajów i pozostanie wiernym odzwierciedleniem narodu. Jeżeli naród jest ciemny i słaby, żołnierz pozwoli zwierzchnikom wciągnąć się w wywrotowe poczynania. Jeżeli naród jest wykształcony i silny, żołnierz sam narzuci im potrzebę ładu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Co sprawia, że armie demokratyczne są słabsze od innych u progu wojny, a groźniejsze wtedy, kiedy wojna się przeciąga

Armia, która rozpoczyna kampanię po długim okresie pokoju, ryzykuje, że zostanie pobita. Armia, która walczy od dawna, ma duże szanse na zwycięstwo. Ta prawda odnosi się w szczególności do armii demokratycznych.

Ponieważ stan wojskowy jest w społeczeństwie arystokratycznym uprzywilejowanym rodzajem kariery, jest poważany również w czasie pokoju. Obierają go ludzie wielkich talentów, wielkiego wykształcenia i wielkiej ambicji. Armia dorównuje poziomem narodowi, a często go nawet przewyższa.

W społeczeństwie demokratycznym, jak widzieliśmy, elita narodu odwraca się z wolna od kariery wojskowej, by na innej drodze szukać uznania, władzy, a przede wszystkim bogactwa. Po dłuższym okresie pokoju — a w czasach demokracji okresy pokoju są długie — armia stoi zawsze niżej od samego społeczeństwa. W tym stanie zastaje ją wojna; i dopóki wojna jej nie zmieni, zarówno krajowi, jak i armii zagraża niebezpieczeństwo.

Mówiłem już o tym, że w armii demokratycznej starszeństwo stanowi podczas pokoju główną i bezwzględną zasadę awansu. Wynika to nie tylko z organizacji armii, ale również z organizacji społeczeństwa, i obowiązuje zawsze.

Co więcej, skoro oficer jest kimś tylko dzięki pozycji wojskowej i z niej czerpie cały swój dostatek, występuje z wojska lub jest z niego usunięty dopiero u kresu życia.

Te dwie okoliczności sprawiają, że kiedy po długim okresie odpoczynku społeczeństwo demokratyczne chwyta za broń, wszyscy dowódcy jego armii są starzy. Mam na myśli nie tylko generałów, ale i podoficerów, którzy w większości nie awansowali wcale lub awansowali bardzo wolno. Kiedy po długotrwałym pokoju przyjrzymy się demokratycznej armii, ze zdziwieniem stwierdzimy, że wszyscy żołnierze są prawie dziećmi, a wszyscy oficerowie — starcami. Pierwszym brakuje doświadczenia, drugim zaś energii.

Tutaj właśnie tkwi przyczyna niepowodzeń, głównym bowiem warunkiem skutecznego prowadzenia wojny jest młodość. Ośmielam się tak twierdzić, gdyż przede mną powiedział to największy wódz naszych czasów.

Obie te okoliczności inaczej oddziaływają na armie arystokratyczne.

Ponieważ prawo urodzenia jest tam ważniejsze od wysługi lat, w stopniach oficerskich można spotkać wielu ludzi młodych, którzy wnoszą do walki wszystkie świeże siły swego dała i ducha.

Co więcej, ponieważ ludzie sięgający po zaszczyty w wojsku arystokratycznym mają zapewnioną pozycję w społeczeństwie cywilnym, zazwyczaj nie czekają, aż starość zaskoczy ich w szeregach armii. Poświęciwszy karierze wojskowej najlepsze lata młodości, wycofują się sami i lata wieku dojrzałego spędzają w domowym zaciszu.

Długotrwały pokój nie tylko mnoży w armii demokratycznej wiekowych oficerów, ale u wszystkich oficerów powoduje zanik sprawności ciała i umysłu. Kto długo żył w spokojnej i łagodnej atmosferze demokratycznych obyczajów, z wielkim trudem podejmuje zrazu ciężkie i surowe zadania wojny. I jeżeli nawet nie stracił całkiem ochoty do wojaczki, to w każdym razie prowadzi życie, które nie sprzyja przyszłym zwycięstwom.

W społeczeństwach arystokratycznych wygody życia cywilnego wywierają mniejszy wpływ na wojskowe obyczaje, ponieważ armią dowodzi tam arystokracja. Otóż arystokracja, choć pogrążona jest w rozkoszach, żywi zwykle różne wyższe namiętności i dla ich zaspokojenia gotowa chwilowo poświęcić dobrobyt.

Mówiłem, że w czasach pokoju awanse następują w demokratycznym wojsku bardzo powoli. Z początku oficerowie reagują na to niecierpliwością: gorączkują się, niepokoją i są rozżaleni. Po dłuższym jednak czasie większość z nich godzi się z tym stanem rzeczy. Bardziej ambitni i bogatsi występują z wojska, inni zaś, dostosowując swoje pragnienia do losu, jaki im przypadł, zaczynają traktować stan wojskowy tak jak życie cywilne. To, co w nim cenią najbardziej, to dostatek i stabilizacja. Całą swoją przyszłość budują na tej skromnej fortunie i pragną tylko spokojnie zeń korzystać.

Długotrwały pokój nie tylko więc zaludnia demokratyczną armię starymi oficerami, ale wpaja młodym ludziom nawyki starców.

Powiadałem również, że w narodach demokratycznych podczas pokoju kariera wojskowa jest mało poważana i niezbyt popularna. Owa niełaska opinii publicznej ciąży na morale armii. Ugina się pod nią żołnierski duch i kiedy wreszcie przychodzi wojna, nie może z dnia na dzień nabrać żywotności.

Ta przyczyna moralnego osłabienia nie istnieje w armiach arystokratycznych. Oficerowie nigdy nie czują się poniżeni we własnych i cudzych oczach, ponieważ ich pozycja społeczna jest niezależna od pozycji wojskowej.

Gdyby nawet przedłużający się pokój jednakowo wpływał na obie te armie, skutki byłyby inne.

Kiedy oficerowie armii arystokratycznej tracą wojennego ducha i chęć wyróżnienia się na polu bitwy, pozostaje im jeszcze szacunek dla honoru swojej klasy oraz stary nawyk przodowania we wszystkim i służenia innym

za przykład. Kiedy zaś oficerowie armii demokratycznej tracą zapał wojenny i wojskowe ambicje, nie pozostaje im nic.

Myślę więc, że naród demokratyczny, który po długim pokoju rozpoczyna wojnę, bardziej niż każdy inny ryzykuje klęskę. Pierwsze niepowodzenia nie powinny go jednak zrażać, albowiem szanse armii demokratycznej wzrastają wraz z przedłużaniem się wojny.

Kiedy przedłużająca się wojna oderwie już wszystkich obywateli od normalnego życia i zrujnuje ich małe przedsiębiorstwa, bywa, że te same namiętności, dla których tak cenili pokój, teraz znajdują sobie ujście w wojnie. Wojna, która zniszczyła wszelki przemysł, sama staje się teraz wielkim i jedynym przedsięwzięciem, ku któremu kierują się wszystkie gorące i ambitne pragnienia zrodzone przez równość. Dlatego właśnie te same narody demokratyczne, które tak trudno wyprowadzić na pole walki, czynią tam niekiedy rzeczy nadzwyczajne, kiedy wreszcie udaje się wcisnąć im broń do ręki.

Wojna stopniowo przyciąga ku wojsku uwagę wszystkich ludzi, w krótkim czasie przynosząc niektórym wielkie fortuny i wielkie uznanie. Wówczas elita narodu zaczyna skłaniać się ku karierze wojskowej. Do wojska wstępują wszyscy ludzie obdarzeni przedsiębiorczą, dumną i wojowniczą naturą. Tym razem nie wydaje ich już tylko arystokracja, lecz cały kraj.

Ponieważ liczba kandydatów do honorów wojskowych jest ogromna, a wojna ma to do siebie, że każdego człowieka umieszcza na właściwym miejscu, w końcu zawsze pojawiają się wielcy dowódcy. Długotrwała wojna przynosi armii demokratycznej takie same rezultaty, jakie społeczeństwu przynosi rewolucja. Łamie wszelkie ustalone zasady i pozwala ujawnić się ludziom nieprzeciętnym. Oficerowie, których dusza i ciało zestarzały się w czasie pokoju, zostają odsunięci, ustępują lub umierają. Na ich miejsce wkracza mnóstwo ludzi młodych, których wojna zdążyła już zahartować i w których rozniecіła wielkie pragnienia. Ci ludzie pragną stale i za wszelką cenę iść w górę. Po nich przychodzą inni, którzy mają te same namiętności i te same pragnienia, .a po nich z kolei jeszcze inni, ilu tylko armia może pomieścić. Równość wszystkim daje ambicje, a śmierć — szanse na ich urzeczywistnienie. Śmierć otwiera drogę do stopni, śmierć zwalnia stanowiska, śmierć znaczy koniec i początek karier.

Między obyczajami wojskowymi i obyczajami demokratycznymi istnieje ukryte podobieństwo, które ujawnia wojna.

Ludzie demokracji mają wrodzone i namiętnie pragnienie szybkiego zdobywania pożądanych dóbr i łatwego z nich korzystania. Większość spośród nich kocha ryzyko i mniej boi się śmierci niż trudów. Z tym właśnie nastawieniem prowadzą oni handel i przemysł, a jeżeli przeniosą swoje skłonności na pole bitwy, gotowi są ryzykować życie, byle szybko osiągnąć korzyści zwycięstwa. Nie masz chwały, która lepiej odpowiadałaby wyobraźni

demokratycznego społeczeństwa niż chwała wojenna, chwała efektowna, którą zdobywa się szybko, bez pracy, ryzykując tylko własne życie.

Podczas gdy interesy i upodobania obywateli demokratycznego społeczeństwa zniechęcają ich do wojny, skłonności duchowe dobrze ich do niej przygotowują. Jeżeli uda się ich oderwać od interesów i zabiegów o dobrobyt, łatwo stają się dobrymi żołnierzami.

O ile stan pokoju jest szczególnie szkodliwy dla demokratycznej armii, o tyle wojna zapewnia jej wyjątkowe przewagi. I przewagi te, choć z początku niezbyt widoczne, po dłuższym czasie przynoszą zwycięstwo.

Naród arystokratyczny, któremu podczas wojny z narodem demokratycznym nie udaje się pokonać wroga w czasie pierwszych walk, naraża się na poważną groźbę klęski.

. . . . . .

Część czwarta
O WPŁYWIE, JAKI DEMOKRATYCZNE IDEE I UCZUCIA WYWIERAJĄ NA ŻYCIE POLITYCZNE

Źle wypełniłbym zadanie, które sobie w tej książce postawiłem, gdybym przedstawiwszy idee i uczucia zrodzone przez równość nie ukazał na zakończenie, jaki jest ich ogólny wpływ na rządy demokratyczne.

Nieraz przyjdzie mi w tym celu zawrócić i powtórzyć to, co już mówiłem wcześniej. Mam jednak nadzieję, że czytelnik zechce mi towarzyszyć, skoro drogi, które już zna, zaprowadzić go mają do nowych prawd.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O tym, że równość daje ludziom upodobanie do wolnych instytucji

Równość, która czyni ludzi niezależnymi, wpaja im zwyczaj kierowania się w życiu prywatnym jedynie własną wolą. Taka całkowita niezależność, z jakiej korzystają wobec swojego otoczenia i we wszystkich sprawach życia prywatnego, źle ich usposabia wobec wszelkiej władzy i sprawia, że szczególnie miłują ideę wolności politycznej. Ludzie żyjący w czasach równości są powołani do ustanowienia wolnych instytucji. Spróbujmy odkryć elementarne instynkty dowolnego człowieka, a przekonamy się, że spośród wszystkich ustrojów politycznych wymienia na pierwszym miejscu i najwyżej ceni ten, w którym on sam wybiera rządzącego, a potem sprawuje nad nim kontrolę.

Owo umiłowanie niezależności jest najbardziej widocznym rezultatem równych możliwości, zwraca zatem powszechną uwagę i niepokoi ludzi ostrożnych. Ich obawy nie są całkowicie bezpodstawne, bowiem w krajach demokratycznych anarchia może stać się szczególnie przerażająca. Ponieważ ludzie nie mają żadnego wpływu na poczynania swoich współobywateli, wydaje się, że gdy tylko zabraknie władzy ogólnonarodowej, która ich wszystkich utrzymywała na właściwym miejscu, natychmiast zapanuje nieład, a organizm społeczny się rozpadnie, ponieważ każdy będzie działał na własną rękę.

Sądzę jednakowoż, że anarchia jest najmniejszym, a nie największym spośród niebezpieczeństw, których powinniśmy się obawiać w epoce demokracji.

Z równości wynikają dwie różne tendencje: jedna z nich bezpośrednio daje ludziom niezależność, lecz może nagle popchnąć ich ku anarchii, druga zaś dłuższą i ukrytą, ale bezpośrednią drogą wiedzie ich ku zniewoleniu.

Społeczeństwa łatwo dostrzegają pierwsze niebezpieczeństwo i opierają się mu, drugie natomiast ogarnia ich niezauważalnie i na nie właśnie należy zwrócić uwagę.

Nie zarzucam równości, iż pobudza ludzi do nieposłuszeństwa, przeciwnie — za to przede wszystkim ją pochwalam. Podziwiam ją, gdyż w umyśle i sercu każdego człowieka zaszczepia owo niejasne zrazu pojęcie wolności i ową instynktowną skłonność do niezależności politycznej, przygotowując w ten sposób lekarstwo na zło, które sama rodzi. Ten aspekt równości jest mi najbliższy.

ROZDZIAŁ DRUGI

O tym, że narody demokratyczne są z natury przychylne koncentracji władzy

Idea władz pośrednich, stojących między władcą a poddanymi, była czymś naturalnym w pojęciach społeczeństw arystokratycznych, gdzie istniały jednostki i rody, które z racji urodzenia, oświecenia i bogactwa wyrastały ponad przeciętność i wydawały się przeznaczone do rządzenia. Idea ta jest natomiast czymś nienaturalnym w pojęciu ludzi żyjących w czasach równości. Wprowadzić ją można tylko sztucznie, a utrzymać jedynie siłą. W jej miejsce pojawia się idea jedynej i centralnej władzy, bezpośrednio rządzącej wszystkimi obywatelami.

W dziedzinie polityki, podobnie jak w filozofii i religii, demokratyczny umysł lubuje się w ideach prostych i ogólnych. Niechętny jest zawiłym systemom i z upodobaniem wyobraża sobie społeczeństwo, w którym wszyscy obywatele byliby stworzeni na jedną miarę i wszystkimi rządziłaby jedna władza.

Następne pojęcie, które po idei jedynej i centralnej władzy spontanicznie pojawia się w ludzkich umysłach w czasach równości, to idea jednolitego prawodawstwa. Ludzie nie dostrzegają większych różnic między sobą i nie widzą powodów, dla których zasada stosowana wobec jednego człowieka nie miałaby być stosowana wobec wszystkich. Nienawistne są im zatem najmniejsze nawet przywileje. Drażnią ich najdrobniejsze różnice w instytucjach politycznych tego samego społeczeństwa i jednolitość prawodawstwa wydaje im się podstawowym warunkiem dobrych rządów.

Sądzę natomiast, że w czasach arystokracji pojęcie jednolitej zasady obowiązującej wszystkich członków społeczności jest obce umysłowi ludzkiemu. Albo go wcale nie tworzy, albo po prostu odrzuca.

Owe przeciwstawne skłonności stopniowo przekształcają się w tak ślepe instynkty i tak nieprzezwyciężone nawyki, że kierują ludzkimi działaniami nawet wbrew wyraźnym faktom. W średniowieczu, mimo nieskończonej różnorodności tego wieku, zdarzały się jednostki żyjące w identycznych warunkach, którym istniejące podówczas prawa narzucały jednak różne uprawnienia i różne obowiązki. I przeciwnie, w naszych czasach rządy usiłują narzucić takie same obyczaje i takie same prawa społecznościom, które są jeszcze całkowicie odmienne.

W miarę jak możliwości w danym społeczeństwie ulegają zrównaniu, jednostki wydają się słabsze, a społeczeństwo potężniejsze, czy też może raczej

pojedynczy obywatel, upodobniony do wszystkich innych, traci się w tłumie i widać jedynie wielki i imponujący obraz samego społeczeństwa.

Dlatego ludzie demokracji wierzą, że społeczeństwo powinno mieć wielkie przywileje, a jednostka tylko bardzo skromne prawa. Chętnie przyznają, że interes społeczeństwa jest wszystkim, a interes jednostki niczym. Gotowi są zgodzić się, że reprezentująca społeczeństwo władza jest mądrzejsza i bardziej oświecona od poszczególnych obywateli i że jej obowiązkiem oraz prawem jest prowadzenie każdego obywatela za rękę.

Jeśli przypatrzymy się dokładniej naszym współczesnym i dotrzemy do korzeni ich politycznych poglądów, odnajdziemy niejedno spośród powyższych pojęć. Tak wielka zgodność pomiędzy ludźmi, którzy wciąż ze sobą walczą, wzbudzi zapewne nasze zdumienie.

Amerykanie uważają, że w każdym państwie władza powinna wywodzić się bezpośrednio ze społeczeństwa. Wszelako kiedy władza taka zostanie raz ustanowiona, nie ograniczają jej w żaden sposób i chętnie przyznają, że ma ona prawo czynić, co tylko jej się spodoba.

Amerykanie stracili natomiast nawet pojęcie przywilejów należnych kiedyś miastom, rodzinom czy jednostkom. Obca im jest myśl, że to samo prawo mogłoby nie być jednakowo stosowane do wszystkich części państwa i do wszystkich ludzi, którzy je zamieszkują.

Identyczne poglądy rozpowszechniają się coraz bardziej w Europie i przenikają nawet do narodów, które zdecydowanie odrzucają dogmat suwerenności ludu. Narody te inaczej niż Amerykanie pojmują genezę władzy, ale samą władzę wyposażają w identyczne cechy. Wszędzie więc słabnie i zanika idea władz pośrednich. Idea praw przynależnych niektórym tylko jednostkom nagle znika, a na jej miejsce pojawia się idea wszechmocnej i wyłącznej władzy społeczeństwa. Idea ta zakorzenia się i wzrasta wraz z równością oraz upodabnianiem się ludzi. Rodzi się z równości, by potem z kolei przyspieszać jej postępy.

We Francji, gdzie opisywana przeze mnie rewolucja zaszła najdalej, poglądy te całkowicie zawładnęły umysłami. Przysłuchajmy się uważnie naszym różnym partiom, a dowiemy się, że wszystkie już je przyjęły. Większość owych partii uważa, że rząd działa źle, ale wszystkie są przekonane, że rząd powinien działać nieustannie i wkraczać we wszystko. Nawet najzagorzalsi przeciwnicy zgadzają się w tym punkcie. Jedność, wszechobecność, wszechmoc władzy, jednolitość zasad jej działania — oto charakterystyczne cechy wszystkich systemów politycznych powstałych za naszych czasów. Cechy te odnajdujemy u podstaw najbardziej dziwacznych utopii. Duch ludzki powraca do nich nawet w marzeniach.

Skoro takie idee spontanicznie pojawiają się w umysłach jednostek, to tym wyraźniej rysują się w wyobraźni władców.

Kiedy stary układ społeczny Europy zmienia się i rozpada, władcy wyrabiają sobie nowe poglądy na temat własnych uprawnień i obowiązków. Po raz pierwszy nabierają przeświadczenia, że centralna władza może i powinna rządzić bezpośrednio, jednakowo traktując wszystkie sprawy i wszystkich ludzi. Pogląd ten, który — powiedzmy to śmiało — nigdy przedtem nie pojawił się w głowach europejskich monarchów, głęboko przeniknął umysły współczesnych władców i trwa bez zmian pośród zmienności wszystkich innych opinii.

W naszych czasach poglądy ludzi różnią się zatem znacznie mniej, niż to sobie wyobrażamy. Wszyscy bezustannie spierają się o to, w czyich rękach ma spoczywać władza, ale zgadzają się bez trudu co do obowiązków i uprawnień tej władzy. Wszyscy wyobrażają sobie władzę jedyną, prostą, opatrznościową i twórczą.

Wszystkie pozostałe idee dotyczące polityki są zmienne, ta jedna jest stała. Przyjmują ją publicyści i mężowie stanu, a tłum rzuca się na nią łapczywie. Rządzeni i rządzący zgodnie starają się ją realizować. Ona właśnie narzuca się jako pierwsza i wydaje się wrodzona.

Nie stworzył jej więc kaprys ludzkiego umysłu, lecz jest naturalnie związana z obecnym stanem ludzkości.

ROZDZIAŁ TRZECI

O tym, ze zarówno uczucia, jak i poglądy społeczeństw demokratycznych prowadzą je do koncentracji władzy

Pojęcie silnej władzy centralnej jest bliskie, ludziom w czasach panowania równości; z drugiej strony, do uznania i wspierania takiej władzy skłaniają ich zwyczaje oraz uczucia.

W demokracji ludzie nie mają panów ani poddanych, nie łączą ich między sobą żadne stałe i konieczne związki, toteż chętnie zamykają się w sobie i zajmują się swoimi sprawami. Mówiłem o tym dłużej przy okazji indywidualizmu.

Niechętnie porzucają więc prywatne sprawy na rzecz trosk publicznych; te wolą powierzyć jedynemu, stałemu przedstawicielowi wspólnych interesów, którym jest państwo.

Nie tylko brak im ochoty do zajmowania się sprawami publicznymi, ale często nie mają na to czasu. W demokracji życie indywidualne jest tak czynne, tak ożywione, tak przepełnione dążeniami i pracą, że ludziom nie starcza ani energii, ani sposobności do zajmowania się życiem społecznym.

Nie będę twierdził, że skłonności takich nie można przezwyciężyć, bo głównym celem tej książki jest właśnie ich zwalczanie. Mniemam wszelako, że w naszych czasach jakaś ukryta siła rozwija te skłonności w ludzkim sercu i jeśli się ich nie pohamuje, opanują człowieka bez reszty.

Dowodziłem również, że rosnące upodobanie do dobrobytu oraz zmienny charakter własności powodują, iż społeczeństwa demokratyczne obawiają się wszelkich zamieszek. Umiłowanie spokoju jest często jedyną namiętnością tych społeczeństw, namiętnością, która staje się bardziej żywa i potężna, w miarę jak wszystkie inne słabną i gasną. Dlatego właśnie społeczeństwa takie nadają władzy centralnej lub pozwalają jej zdobywać ciągle nowe uprawnienia. Wydaje im się ona jedyną siłą zainteresowaną w tym, by bronić siebie oraz społeczeństwo przed anarchią, a również jedyną, która ma po temu możliwości.

Ponieważ w czasach równości nikt nie jest zmuszony spieszyć z pomocą drugiemu człowiekowi i nikt nie ma prawa oczekiwać takiego wsparcia, ludzie demokracji są niezależni i słabi zarazem. Oba te stany, których nie należy ani rozważać osobno, ani mylić ze sobą, wywołują u mieszkańców demokratycznych krajów nader sprzeczne instynkty. Niezależność napełnia ich pewnością siebie i dumą; słabość natomiast powoduje, że czasem potrzebują pomocy z zewnątrz, której jednak nie mogą się spodziewać po bliźnich, bez-

silnych i obojętnych jak, oni sami. Spojrzenia ich kierują się zatem ku jedynej potężnej istocie wznoszącej się pośród powszechnej przeciętności. Do niej wiodą ich potrzeby, i nade wszystko pragnienia, i w niej widzą jedyną i niezbędną podporę indywidualnej słabości.

Teraz lepiej może zrozumiemy fakt, że w demokratycznych krajach spotyka się ludzi, nie będących w stanie ścierpieć czyjegoś zwierzchnictwa, którzy spokojnie znoszą najwyższą władzę i pełni są dumy i uniżoności zarazem.

Nienawiść do przywilejów rośnie, w miarę jak stają się one rzadsze i mniejsze; rzekłbyś, iż demokratyczne namiętności rozpalają się tym bardziej, im mniej znajdują pożywki. Wyjaśniłem już to zjawisko. Największa nawet nierówność nie drażni ludzi, jeśli wszystkie możliwości są nierówne; wszelako najmniejsze nawet różnice wydają się szokujące pośród powszechnego zrównania. Ich widok staje się tym bardziej nieznośny, im pełniejsze jest zrównanie. Toteż naturalną jest rzeczą, że umiłowanie równości wzrasta razem z równością. Zaspokajanie tej namiętności wzmacnia samą równość. Ta wieczna i wciąż rosnąca nienawiść, jaką w społeczeństwach demokratycznych budzą najmniejsze nawet przywileje, szczególnie sprzyja stopniowej koncentracji wszystkich uprawnień politycznych w rękach jednego przedstawiciela państwa. Władca, który z natury bezsprzecznie znajduje się ponad wszystkimi obywatelami, nie budzi ich zawiści, wszyscy są bowiem przekonani, że przyznają władcy prerogatywy odebrane współobywatelom.

Człowiek czasów demokracji z najwyższą niechęcią podporządkowuje się innemu, równemu sobie. Odmawia mu większego niż własne wykształcenia, wątpi o jego sprawiedliwości i zazdrośnie patrzy na jego władzę; boi się go i pogardza nim; przy każdej sposobności daje mu odczuć, iż są wspólnie uzależnieni od tego samego władcy.

Każda władza centralna, która posiada te instynkty, ceni i popiera równość. Równość szczególnie ułatwia bowiem działanie takiej władzy, czyni je pewniejszym i rozszerza jego zakres.

Można także powiedzieć, że każdy rząd centralny bardzo ceni sobie jednolitość kondycji, oszczędza mu ona bowiem wgłębiania się w nieskończoną liczbę szczegółów, co byłoby niezbędne, gdyby trzeba było dostosowywać przepisy do poszczególnych ludzi, miast wszystkich ludzi podporządkowywać tym samym przepisom. Rząd ma więc te same upodobania co obywatele i tego samego co oni nienawidzi. Taka wspólnota uczuć łącząca w społeczeństwach demokratycznych każdego obywatela z władcą stwarza między nimi swoiste porozumienie. Rządowi przebacza się wady, mając na uwadze wspólne z nim gusta; mimo jego nadużyć i błędów rzadko odwraca się od niego społeczne zaufanie i ludzie zawsze gotowi są ufać mu od nowa na jego pierwsze skinienie. Społeczeństwa demokratyczne nieraz nienawidzą przedstawicieli władzy centralnej, ale zawsze kochają samą władzę.

Tak oto dwa odmienne rozumowania doprowadziły nas do tego samego rezultatu. Udowodniliśmy mianowicie, że równość podsuwa ludziom ideę jednego, jednolitego i silnego rządu. Pokazaliśmy, że równość daje im upodobanie do niego; toteż do takiego właśnie rządu dążą dzisiejsze społeczeństwa. Wynika to z naturalnych skłonności ich umysłu i serca.

Uważam, że w czasach demokracji niezależność jednostki i lokalne swobody będą zawsze wprowadzone w sposób sztuczny. Zjawiskiem naturalnym będzie centralizacja.

ROZDZIAŁ CZWARTY

O pewnych szczególnych okolicznościach, które prowadzą demokratyczne społeczeństwa do centralizowania władzy lub które je od tego odwodzą

Wszystkie społeczeństwa demokratyczne instynktownie dążą do centralizacji władzy, lecz nie wszędzie odbywa się to jednakowo. Zależy to od szczególnych okoliczności, które mogą potęgować lub ograniczać naturalne skutki układu społecznego. Jest ich bardzo wiele, ja przytoczę tylko niektóre.

Ludzie, którzy byli wolni na długo przedtem, zanim zostali równi, posiadają właściwe wolności instynkty, które częściowo zwalczają instynkty zrodzone z równości. I choć władza centralna zdobywa u nich coraz większe przywileje, poszczególni obywatele nigdy całkowicie nie tracą niezależności.

Kiedy jednak równość nastaje w społeczeństwie, które nigdy nie zaznało wolności lub straciło ją już dawno — a tak właśnie rzeczy się mają na kontynencie europejskim dawne oby czaję narodowe łączą się gwałtownie i jakby na zasadzie wzajemnego przyciągania ze zwyczajami, i doktrynami nowego układu społecznego i wszystkie władze zdają się same z siebie dążyć do centralizacji. Dzieje się to z nadzwyczajną szybkością i państwo w krótkim czasie osiąga największą siłę, podczas gdy poszczególni obywatele w jednej chwili popadają w ostateczną słabość.

Anglicy, którzy trzy wieki temu stworzyli na pustkowiach Nowego Świata demokratyczne społeczeństwo, wynieśli z ojczyzny nawyk uczestniczenia w życiu publicznym. Znana im była instytucja sądu przysięgłych, mieli wolność słowa i wolność prasy, a także wolność indywidualną, posiadali znajomość prawa i potrafili czynić z niej użytek. Przenieśli do Ameryki te wolne instytucje i prawe obyczaje, które obroniły ich przed zakusami państwa.

U Amerykanów wolność jest więc zjawiskiem istniejącym od dawna, a równość — stosunkowo nowym, W Europie, gdzie równość wprowadzona przez absolutnego władcę przeniknęła do zwyczajów społeczeństw na długo przed pojawieniem się idei wolności, sytuacja jest odwrotna.

Mówiłem o tym, że w demokratycznej umysłowości rząd przybiera postać jedynej i centralnej władzy i że obce jej jest pojęcie władz pośrednich. Tyczy się to w szczególności tych demokratycznych narodów, u których zasada równości zatryumfowała w wyniku gwałtownej rewolucji. Warstwy, które zajmowały się prowadzeniem lokalnych spraw publicznych, zniknęły pod-

czas tej zawieruchy, a ponieważ pogrążone w chaosie masy nie posiadają jeszcze ani organizacji, ani zwyczajów, które pozwoliłyby im wziąć w swoje ręce administrację tych spraw, wszystkim musi zająć się państwo. Centralizacja staje się niejako koniecznością.

Nie ma powodu ani chwalić, ani też ganić Napoleona za to, że skupił w swoim ręku niemal całą władzę administracyjną, ponieważ po nagłym zniknięciu szlachty i wyższej burżuazji władza oddała mu się sama i równie trudno byłoby mu jej nie przyjąć, jak przyjąć. Amerykanie nigdy nie stanęli wobec takiej konieczności, ponieważ nie zaznali rewolucji i od początku rządzili się sami. Nie musieli więc nigdy obarczać państwa funkcją opiekuna obywateli.

A więc w demokracji centralizacja nie jest jedynie wynikiem postępów równości, ale zależy także od sposobu, w jaki równość zapanowała.

W początkach wielkiej rewolucji demokratycznej, kiedy wojna klas społecznych dopiero się zaczyna, lud stara się scentralizować administrację publiczną w rękach rządu, gdyż chce odebrać arystokracji władzę lokalną. Natomiast pod koniec tej rewolucji zazwyczaj sama zwyciężona arystokracja stara się przekazać państwu zarządzanie wszelkimi sprawami, ponieważ obawia się tyranii ludu, który stał się jej równym, a nawet jej panem.

Jak widzimy, nie zawsze ta sama klasa społeczna stara się powiększyć prerogatywy władzy. Dopóki jednak trwa demokratyczna rewolucja, zawsze znajdzie się wewnątrz narodu silna liczbą lub bogactwem klasa, którą partykularne namiętności i interesy popychają do centralizowania władzy publicznej. Dzieje się to niezależnie od zawsze obecnej w społeczeństwach demokratycznych nienawiści do władzy równego. Zauważmy, że w naszych czasach właśnie niższe klasy Anglii usilnie starają się zniszczyć niezależność lokalną i oddać całą administrację w ręce władzy centralnej, podczas gdy klasy wyższe usiłują utrzymać dawny stan rzeczy. Ośmielam się przepowiadać, że pewnego dnia role się odwrócą.

Wszystko to pozwala zrozumieć, dlaczego w społeczeństwie demokratycznym, które osiągnęło równość w wyniku długotrwałych społecznych wysiłków, władza społeczna zawsze musi być silniejsza, a obywatel indywidualny słabszy niż w takim społeczeństwie demokratycznym, w którym od początku wszyscy obywatele byli równi. Dowodzi tego przykład Ameryki.

Mieszkańców Stanów Zjednoczonych nigdy nie dzieliły żadne feudalne przywileje, nie znali stosunków łączących pana i poddanego. Ponieważ nie boją się siebie wzajemnie ani nie nienawidzą, nie mieli potrzeby powoływania najwyższej władzy do kierowania szczegółami życia społecznego. Los Amerykanów jest osobliwy: od angielskiej arystokracji zapożyczyli ideę indywidualnych praw i upodobanie do swobód lokalnych, a potem zdołali zachować jedno i drugie, ponieważ nie musieli obalać arystokracji.

Wykształcenie we wszystkich czasach pomaga ludziom bronić własnej niezależności, a szczególnie w czasach demokracji. Kiedy ludzie są do siebie podobni, łatwo jest stworzyć jedyny i wszechpotężny rząd — wystarczą do tego same ich instynkty. Lecz muszą się oni odznaczać wielką inteligencją, wiedzą i umiejętnościami, aby w tych samych okolicznościach zorganizować i dłużej zachować władze pośrednie i aby pośród indywidualnej niezależności i słabości obywateli powołać wolne stowarzyszenia, zdolne walczyć z tyranią bez naruszenia społecznego ładu.

Koncentracja władzy i uzależnienie poszczególnych obywateli będą więc w społeczeństwie demokratycznym wzrastały nie tylko proporcjonalnie do postępu równości, lecz i z powodu ignorancji.

Prawdą jest, że w okresie panowania ciemnoty, gdy obywatele są za mało oświeceni na to, by się bronić przed despotyzmem, rząd jest z kolei za mało oświecony na to, by ten despotyzm udoskonalić. Lecz rezultaty ignorancji obywateli i władcy nie są współmierne.

Niezależnie od tego, jak prymitywne jest demokratyczne społeczeństwo, rządząca nim władza centralna nigdy nie jest całkowicie ciemna, ponieważ z łatwością przyciąga do siebie tych nielicznych wykształconych ludzi, którzy żyją w społeczeństwie, a w razie potrzeby szuka ich poza krajem. W narodzie, który jest demokratyczny i nieoświecony zarazem, wkrótce musi powstać wielka przepaść między intelektualnymi możliwościami najwyższej władzy a poziomem umysłowym poddanych. Ułatwia to koncentrację władzy. Potęga państwa nieustannie rośnie, ponieważ tylko ono potrafi kierować administracją.

W społeczeństwie arystokratycznym, choć uchodzi ono za wielce nieoświecone, nie zdarza się nigdy podobna sytuacja, ponieważ znaczniejsi obywatele są tam równie oświeceni jak władca.

Pasza, który dzisiaj panuje w Egipcie, rządzi narodem złożonym z ludzi równych i bardzo ciemnych, posługując się w tym celu całą wiedzą i inteligencją Europy. I tak, ponieważ wysokiemu poziomowi umysłowemu najwyższego władcy towarzyszy tam ciemnota i słabość poddanych, z łatwością udało się mu osiągnąć krańcową centralizację i zamienić cały kraj we własną manufakturę, a jego mieszkańców w robotników.

Myślę, że krańcowa centralizacja władzy politycznej osłabia w końcu społeczeństwo i tym sposobem po pewnym czasie osłabia i rząd. Nie przeczę jednak, iż scentralizowane siły społeczne są w stanie w określonym czasie i w określonej dziedzinie dokonać wielkich przedsięwzięć. Sprawdza się to zwłaszcza podczas wojny, kiedy sukces w znacznie większym stopniu zależy od możliwości szybkiego użycia wszystkich zasobów kraju dla określonego celu niż od wielkości samych zasobów. Dlatego też właśnie w czasie wojny społeczeństwa odczuwają pragnienie, a często i potrzebę rozszerzenia prerogatyw władzy centralnej. Wszyscy ludzie obdarzeni wojowniczym duchem

cenią centralizację, która potęguje ich siły, wszystkim zaś zwolennikom centralizacji odpowiada stan wojny, który zmusza narody do skupienia całej władzy w rękach państwa. Dlatego demokratyczna skłonność do nieustannego mnożenia przywilejów państwa i ograniczania uprawnień poszczególnych obywateli jest znacznie skuteczniejsza i trwalsza w społeczeństwach demokratycznych narażonych na wielkie i częste wojny, w społeczeństwach, których samo istnienie bywa zagrożone, niż we wszystkich innych.

Mówiłem o tym, że obawa przed naruszeniem ładu społecznego oraz umiłowanie dobrobytu niepostrzeżenie prowadzą społeczeństwo demokratyczne do powiększania uprawnień rządu centralnego, jedynej władzy, która wydaje się ludziom dostatecznie silna, inteligentna i trwała, by skutecznie bronić ich przed anarchią. Nie trzeba dodawać, że wszystkie szczególne okoliczności, które w społeczeństwie demokratycznym powodują zaburzenia oraz stan niepewności, potęgują ten powszechny instynkt i sprawiają, że obywatele dla spokoju gotowi są poświęcić swoje prawa.

Społeczeństwo jest więc szczególnie skłonne powiększać kompetencje władzy centralnej w chwili zakończenia długiej i krwawej rewolucji, która odebrała dobra dawnym właścicielom, zniszczyła wszelkie wierzenia, rozpętała w narodzie wściekłe nienawiści, sprzeczne interesy i walkę frakcji. Upodobanie do publicznego spokoju staje się wtedy ślepą namiętnością. Wszyscy poddają się wówczas wielce bezładnej tęsknocie do ładu.

Omówiłem kilka okoliczności, które przyczyniają się do centralizacji władzy. Nie wspomniałem jednak o najważniejszej.

Podstawową okolicznością, która w społeczeństwie demokratycznym może sprawić, że kierowanie wszystkimi sprawami zostanie powierzone najwyższej władzy, jest pochodzenie tejże władzy i jej skłonności.

Ludzie żyjący w czasach równości mają wrodzoną słabość do władzy centralnej i chętnie rozszerzają jej przywileje, a jeżeli ta władza wiernie reprezentuje ich interesy i dokładnie odzwierciedla instynkty, zaufanie do niej staje się niemal bezgraniczne i obywatele, przyznając jej przywileje, mają wrażenie, iż przyznają je sobie samym.

Tendencja do centralizacji będzie zawsze słabsza i mniej gwałtowna podczas rządów króla, bliskich jeszcze dawnemu porządkowi arystokratycznemu, niż za czasów nowych władców, dziedziców nowego porządku społecznego, których urodzenie, przesądy, instynkty i zwyczaje wynikają z równości. Nie chcę przez to powiedzieć, że władcy arystokratycznego pochodzenia rządzący społeczeństwem demokratycznym nie dążą do centralizacji. Myślę, że zmierzają w tym kierunku równie skwapliwie jak wszyscy inni. Na tym właśnie polegają ich jedyne korzyści płynące z równości. Dzieło centralizacji przychodzi im jednak trudniej, albowiem obywatele nie wychodzą naprzeciw ich pragnieniom, a nawet stawiają im pewien opór. Wynika z tego

następująca reguła: centralizacja w demokratycznym społeczeństwie będzie zawsze tym większa, im mniej arystokratyczny jest najwyższy władca.

Kiedy stara dynastia rządzi w ustroju arystokratycznym, przeświadczenia władcy pozostają w doskonałej zgodzie z przeświadczeniami arystokracji i nikt nie stara się przezwyciężyć niesprawiedliwości porządku społecznego. Inaczej dzieje się, kiedy potomek feudalnego rodu staje na czele społeczeństwa demokratycznego. Wykształcenie, zwyczaje i wspomnienia wiążą władcę ze stanem nierówności, podczas gdy społeczeństwo, na mocy swego układu, ciąży ku obyczajom równości. Zdarza się więc często, że obywatele usiłują ograniczyć władzę centralną, tym razem nie jako tyrańską, lecz jako arystokratyczną, i próbują utrzymać za wszelką cenę swoją niezależność nie tylko dlatego, że chcą pozostać wolnymi, lecz przede wszystkim dlatego, że chcą zachować równość.

Rewolucja, która obala starą dynastię, aby na czele demokratycznego społeczeństwa umieścić nowych ludzi, może chwilowo osłabić władzę centralną, lecz chociaż w pierwszej chwili wydaje się anarchiczna, jej ostatecznym i nieuchronnym skutkiem będzie niewątpliwie rozszerzenie i ugruntowanie prerogatyw tej władzy.

Podstawowym i właściwie jedynym warunkiem koniecznym do scentralizowania władzy w społeczeństwie demokratycznym jest umiłowanie równości lub przynajmniej stwarzanie odpowiednich pozorów. W ten sposób uproszczona zostaje tak niegdyś skomplikowana sztuka despotyzmu — sprowadza się, rzec można, do jednej zasady.

ROZDZIAŁ PIĄTY

O tym, że w naszych czasach najwyższa władza w poszczególnych krajach europejskich zyskuje na sile, mimo że najwyżsi władcy mają słabszą pozycję

Jeżeli zastanowimy się nad tym. co zostało dotąd powiedziane, dojdziemy do niepokojących wniosków. W Europie wszystko zdaje się zmierzać do powiększenia prerogatyw władzy centralnej oraz osłabienia, podporządkowania i uzależnienia jednostek.

Demokratyczne narody Europy mają wszystkie stałe i ogólne tendencje, które Amerykanów prowadzą do centralizacji władzy, a dodatkowo podlegają działaniu wielu okoliczności, które nie występują w Ameryce. Rzec by można, że każdy krok europejskich narodów ku równości jest krokiem ku despotyzmowi.

Aby się o tym przekonać, wystarczy przyjrzeć się temu, co dzieje się dokoła nas.

W arystokratycznej epoce, która poprzedziła nasze czasy, najwyżsi władcy zostali pozbawieni lub sami zrzekli się wielu uprawnień związanych z władzą. Niespełna sto lat temu w większości europejskich narodów istniały jednostki lub prawie niezależne organizmy, które administrowały wymiarem sprawiedliwości, przeprowadzały zaciągi oraz utrzymywały wojsko, ściągały podatki, a często nawet tworzyły lub interpretowały prawo. Teraz państwo zagarnęło wszędzie dla siebie te naturalne atrybuty suwerennej władzy, nie dopuszcza już pośrednictwa między sobą a obywatelami i rządzi nimi samodzielnie. Nie ganię tej koncentracji władzy — ograniczam się do jej opisania.

W tym samym czasie istniał w Europie rozbudowany system władz pośrednich, które reprezentowały lokalne interesy i zajmowały się lokalną administracją. Większość spośród tych władz już zniknęła, reszta zanika lub popada w całkowitą zależność. Jak Europa długa i szeroka, obalone już są lub wkrótce będą obalone przywileje seniorów, niezależność miast, władza organizmów prowincjonalnych.

Od pół wieku Europa doświadczyła wielu rewolucji i kontrrewolucji, które wstrząsały nią na przemian. Lecz wszystkie te ruchy miały jedną wspólną cechę — ograniczały lub znosiły władze pośrednie. Przywileje lokalne, których Francuzi nie znieśli w krajach przez siebie podbitych, zostały jednak obalone za panowania władców, którzy z kolei zwyciężyli Francuzów. Władcy ci odrzucili wszystkie nowości pozostawione u nich przez Rewolucję

Francuską, z wyjątkiem centralizacji. Centralizacja była jedyną rzeczą, którą zgodzili się od niej przejąć.

Zauważmy, że rozmaite prawa, które w naszych czasach zostały kolejno odebrane klasom, cechom i jednostkom, nie posłużyły do stworzenia, na demokratycznej bazie, nowych władz pośrednich, lecz wszystkie skupiły się w rękach władzy najwyższej. Wszędzie państwo w coraz większym stopniu rządzi bezpośrednio wszystkimi obywatelami i samo prowadzi każdego z nich za rękę w najdrobniejszych sprawach.

Prawie wszystkie zakłady dobroczynne dawnej Europy znajdowały się w rękach prywatnych osób lub stowarzyszeń. Teraz wszystkie zależą od najwyższej władzy i w wielu krajach ona nimi zarządza. Państwo samo podjęło się trudu dostarczania chleba dla głodnych, ratunku i schronienia dla chorych, pracy dla bezrobotnych. Samo chce naprawić wszystkie krzywdy.

Tak jak dobroczynność, również i wychowanie stało się w większości dzisiejszych społeczeństw sprawą ogólnonarodową. Państwo odbiera dziecko matce, aby powierzyć je swoim urzędnikom. Samo kształtuje serca i umysły każdego pokolenia. W nauczaniu, tak jak w całym życiu społecznym, panuje jednolitość. Z każdym dniem zanika w nim zarówno różnorodność, jak wolność.

Powiedziałbym nawet, że w prawie wszystkich narodach chrześcijańskich naszych czasów, niezależnie od tego, czy są katolickie czy protestanckie, nawet religii grozi to, że dostanie się w ręce rządu. Nie dlatego, by suwereni życzyli sobie sami ustalać dogmaty wiary, lecz dlatego, że coraz bardziej opanowują wolę ludzi, którzy zajmują się ich wykładnią. Zabierają przedstawicielom kleru majątki, wyznaczają im pensję, wpływy kapłana wykorzystują do swoich własnych celów, robią z niego urzędnika, a często tylko wykonawcę poleceń, i tak jak on wnikają do głębi duszy każdego człowieka.

Jest to wszelako tylko jedna strona medalu. Władza rządu nie tylko rozszerzyła się, jak się o tym przekonaliśmy, na całą sferę kompetencji dawnych władz pośrednich, ale i to jej nie wystarcza, toteż wkracza w domenę indywidualnej wolności. Podporządkowała sobie mnóstwo spraw, które niegdyś całkowicie wymykały się kontroli społecznej, i liczba tych spraw nieustannie rośnie.

U narodów arystokratycznych władza społeczna ograniczała się zazwyczaj do kierowania obywatelami i nadzorowania ich we wszystkim, co miało bezpośredni i oczywisty związek z interesami narodowymi, resztę natomiast pozostawiała swobodnej ocenie. Rząd takiego społeczeństwa nie zważał na to, że błędy i niedole jednostek mogą zagrażać powszechnemu dobrobytowi i że nie dopuszczając do ruiny jakiegoś obywatela można oddać przysługę interesowi publicznemu. Narody demokratyczne naszych czasów popadają w przeciwną krańcowość. Jest rzeczą oczywistą, że większość naszych władców nie tylko pragnie rządzić całym narodem. Rzekłbyś, iż poczuwają się

oni do odpowiedzialności za czyny i losy każdego poddanego oraz że postanowili prowadzić i oświecać każdego obywatela w różnych kolejach życia, a także, w razie potrzeby, uszczęśliwiać go na siłę.

Obywatele ze swej strony zaczynają traktować władzę społeczną w ten sam sposób: przywołują ją na pomoc w każdej potrzebie i nieustannie wpatrują się w nią jak w swojego preceptora lub przewodnika.

Myślę, że we wszystkich krajach europejskich administracja publiczna stała się nie tylko bardziej scentralizowana, lecz również bardziej wścibska i drobiazgowa. Wszędzie bardziej niż dawniej wtrąca się do spraw prywatnych, nadzoruje coraz więcej ludzkich poczynań, i to poczynań coraz mniej ważnych, z każdym dniem dokładniej oplątuje każdego człowieka, by mu towarzyszyć, radzić mu — i by go krępować.

Niegdyś władca utrzymywał się z dochodów ze swoich ziem oraz z podatków. Dziś, kiedy jego potrzeby wzrosły razem z władzą, sytuacja jest inna. W okolicznościach, w których kiedyś władca wprowadzał nowy podatek, dzisiaj rządzący ucieka się do pożyczki. W ten sposób państwo staje się powoli dłużnikiem większości ludzi bogatych i skupia w swoich rękach największe kapitały.

Mniejsze kapitały zagarnia w inny sposób.

W miarę jak ludzie mieszają się ze sobą, a możliwości się zrównują, rosną dochody, oświecenie i pragnienia ludzi ubogich. Postanawiają oni poprawić swój los, a próbują tego dokonać oszczędzając. Powstaje więc nieskończona liczba małych kapitałów, owoców długotrwałych wyrzeczeń i pracy. Kapitały te nieustannie rosną, lecz rozproszone byłyby bezproduktywne. Powstała zatem instytucja filantropijna, która stanie się niebawem, jeśli się nie mylę, jedną z najważniejszych instytucji politycznych. Dobroczynni ludzie wpadli na pomysł, by zebrać oszczędności ludzi ubogich i umieścić je na procent. W kilku krajach owe stowarzyszenia dobroczynne pozostały niezależne od państwa, lecz niemal wszędzie w oczywisty sposób dążą do połączenia się z nim. Są nawet takie kraje, w których rząd zastąpił je całkowicie i sam podjął ogromne zadanie skupienia w jednym miejscu i spożytkowania codziennych oszczędności wielu milionów pracujących ludzi.

Tak więc państwo ściąga pieniądze ludzi bogatych drogą pożyczek, a dzięki kasom oszczędności dowolnie dysponuje groszem ubogich. Całe zasoby kraju spływają więc ustawicznie do jego rąk, a akumulacja wzrasta wraz z równością możliwości. Dzieje się tak dlatego, że w demokratycznym społeczeństwie tylko państwo budzi zaufanie obywateli — tylko ono wydaje im się silne i trwałe.

I tak władza najwyższa nie ogranicza się do zarządzania skarbem publicznym, lecz opanowuje majątki prywatne; będąc już zwierzchnikiem, więcej — panem każdego obywatela, staje się również jego intendentem oraz kasjerem.

Władza centralna, zagarniając, a nawet przekraczając całą sferę działania dawnych władz, rządzi z większą niż one sprawnością, siłą i niezależnością.

Wszystkie rządy europejskie nadzwyczaj udoskonaliły w naszych czasach sztukę administracji. Zajmują się większą liczbą spraw, a każdą z nich prowadzą w sposób bardziej uporządkowany, szybszy i tańszy. Wydają się bogatsze o wszystkie te umiejętności, które odebrały jednostkom. Władcy Europy z każdym dniem bardziej uzależniają od siebie swoich urzędników i udoskonalają sposoby sprawowania nad nimi kontroli. Nie wystarcza im, że poprzez urzędników zarządzają wszelkimi sprawami, chcą jeszcze kierować postępowaniem samych urzędników, co sprawia, że administracja publiczna, będąc już zależną od jednej władzy, zostaje w dodatku skupiona w jednym miejscu i w jednych rękach. Rząd jednocześnie powiększa swoje prerogatywy i centralizuje działania. W ten sposób zyskuje podwójną siłę.

Dwie rzeczy uderzają w dawnym systemie władzy sądowniczej u większości narodów Europy: niezawisłość tej władzy i rozmiary jej atrybutów.

Sądy nie tylko rozsądzały niemal wszystkie spory między poszczególnymi obywatelami. W wielu wypadkach służyły za arbitrów między obywatelem a państwem.

Nie mówię tutaj o uprawnieniach politycznych i administracyjnych uzurpowanych przez trybunały w niektórych krajach, lecz o atrybutach sądowych, które posiadały one wszędzie. We wszystkich społeczeństwach Europy obywatele mieli i ciągle jeszcze mają wiele uprawnień indywidualnych związanych zazwyczaj z prawem własności. Gwarantem tych uprawnień był sędzia i państwo nie mogło ich pogwałcić bez jego zgody.

Ta właśnie na poły polityczna władza odróżniała sądy europejskie od innych, bo choć wszystkie społeczeństwa miały sędziów, nie wszystkie dały im te same przywileje.

Tymczasem zarówno w demokratycznych narodach Europy, które nazywamy wolnymi, jak i w innych obok tych sądów powstają wszędzie nowe, bardziej uzależnione sądy; ich zadaniem jest orzekanie w trybie specjalnym wyłącznie w sprawach spornych między administracją publiczną a obywatelami. Dawna władza sądownicza zachowuje niezawisłość, ale zakres jej orzekania jest zacieśniony i państwo coraz bardziej sprowadza ją do roli arbitra między obywatelami.

Liczba tych specjalnych sądów ciągle rośnie, a ich uprawnienia się rozszerzają. Rząd coraz częściej uchyla się od obowiązku podporządkowania swojej woli i swoich uprawnień sankcji jakiejś innej władzy. Nie mogąc obyć się bez sędziów, rząd chce przynajmniej samodzielnie ich wybierać i mieć ich w swoim ręku. Między sobą a obywatelami umieszcza więc raczej pozory sprawiedliwości nie samą sprawiedliwość.

A więc państwu nie wystarcza, że skupiło w swych rękach wszelkie sprawy — coraz częściej usiłuje decydować o nich samodzielnie i bez żadnej kontroli.

Istnieje jeszcze jedna przyczyna, która w nowoczesnych narodach Europy rozszerza wpływ najwyższej władzy i powiększa jej prerogatywy. Tą przyczyną jest rozwój przemysłu, któremu sprzyjają postępy równości.

Przemysł gromadzi w jednym miejscu bardzo wielu ludzi i zawiązuje między nimi nowe i skomplikowane stosunki. Każe im niebezpiecznie miotać się między nieoczekiwanym bogactwem i równie nagłą nędzą. Podczas tego rodzaju wstrząsów zagrożony jest spokój publiczny. Przemysł naraża zdrowie, a nawet życie ludzi. Dlatego klasa industrialna musi być lepiej nadzorowana niż inne warstwy społeczeństwa i jest rzeczą naturalną, że atrybuty rządu rosną wraz z jej rozwojem.

Jest to prawda ogólna. A oto co dotyczy szczególnie narodów Europy.

W poprzedniej epoce arystokracja posiadała ziemię i potrafiła jej bronić. Majątek nieruchomy był więc otoczony gwarancjami, a jego właściciele korzystali ze znacznej niezależności. Powstały prawa i zwyczaje, które przetrwały po podziale ziemi i upadku arystokracji. Toteż w naszych czasach właściciele ziemscy i rolnicy najbardziej wymykają się kontroli władzy społecznej.

W epoce arystokracji, gdzie należy szukać źródeł teraźniejszości, majątek ruchomy miał niewielkie znaczenie, a jego właściciele byli wzgardzeni i słabi. Przemysłowcy tworzyli grupę zupełnie wyjątkową w arystokratycznym świecie. Nikt za nimi nie stał, a często nie potrafili bronić się sami.

Weszło więc w zwyczaj, by własność przemysłową traktować jako dobro szczególnego rodzaju, które nie wymaga tych samych względów i nie musi mieć tych samych gwarancji co własność w ogóle, a przemysłowców jako wąską warstwę o niewielkim społecznym znaczeniu, której niezależność ma niewielką cenę i którą można pozostawić swobodnym decyzjom władcy. W kodeksach średniowiecznych można zresztą ze zdziwieniem wyczytać, że w owych czasach indywidualnej niezależności przemysł w najdrobniejszych szczegółach zawsze podlegał zarządowi panujących. W tej dziedzinie centralizacja była tak silna i drobiazgowa jak to tylko możliwe.

Potem w świecie nastąpiła wielka rewolucja. Własność przemysłowa, która istniała tylko w zarodku, rozwinęła się i panuje w całej Europie. Klasa industrialna rozprzestrzeniła się i wzbogaciła na ruinach innych klas. Wzrosła w liczbę, znaczenie, bogactwo i rośnie dalej. Prawie wszyscy, którzy do niej nie należą, są w jakiś sposób z nią związani. Kiedyś stanowiła wyjątek, a w tej chwili może stać się najważniejszą i właściwie jedyną. Tymczasem idee i zwyczaje polityczne, które kiedyś powstały za jej sprawą, przetrwały. Te idee i zwyczaje nie zmieniły się, gdyż istnieją od dawna oraz pozostają w

pełnej zgodzie z nowymi ideami i powszechnymi zwyczajami naszych czasów.

Własność przemysłowa, przybierając na znaczeniu, nie zyskuje więc nowych uprawnień. Klasa industrialna, stając się liczebniejszą, nie staje się zarazem mniej zależna. Wręcz przeciwnie — wydaje się, że wraz ze sobą przynosi despotyzm, który rośnie w miarę jej rozwoju.

Im bardziej przemysłowy charakter ma kraj, tym więcej potrzebuje dróg, kanałów, portów i innych na poły publicznych budowli, które służą dochodowym przedsięwzięciom. Im bardziej demokratyczne są stosunki, tym trudniej przychodzi jednostkom podejmowanie takich przedsięwzięć i tym łatwiej może to czynić państwo. Jawną tendencją wszystkich władców naszych czasów jest branie na siebie podobnych przedsięwzięć. Tym sposobem coraz bardziej uzależniają oni od siebie ludność.

Z drugiej strony, w miarę jak rośnie potęga państwa i zwiększają się jego potrzeby, zużywa ono coraz więcej produktów przemysłowych, które wytwarza w swoich fabrykach. W ten sposób władca staje się największym przemysłowcem każdego kraju. Zatrudnia i utrzymuje całe zastępy inżynierów, architektów, mechaników i rzemieślników.

Jest nie tylko pierwszym przemysłowcem kraju — usilnie dąży do tego, by stać się zwierzchnikiem, a raczej panem wszystkich innych.

Obywatele, tym słabsi im bardziej są równi, muszą się stowarzyszać dla podejmowania działalności przemysłowej. Otóż władza publiczna zmierza do kontrolowania tych stowarzyszeń.

Trzeba przyznać, że te zbiorowe istnienia, które nazywamy stowarzyszeniami, są znacznie silniejsze i groźniejsze od jednostek oraz mniej odpowiedzialne za własne czyny. Wynika stąd, że władza społeczna wydaje się postępować rozsądnie, kiedy szczególnie stara się uzależnić je od siebie.

Robi to tym chętniej, że opanowanie stowarzyszeń leży w interesie rządzących. W społeczeństwach demokratycznych stowarzyszenie daje jedyną szansę oporu wobec roszczeń władzy centralnej. Dlatego władza zawsze niechętnie patrzy na stowarzyszenia, które nie są jej podporządkowane. I co szczególnie zasługuje na uwagę, w społeczeństwach demokratycznych sami obywatele z obawą i zawiścią patrzą na stowarzyszenia, tak im skądinąd niezbędne. Dlatego właśnie nie walczą o nie. Na tle ogólnej słabości i braku stabilizacji zaskakuje ich i niepokoi siła oraz trwałość tych małych zamkniętych społeczności, a swobodne działanie stowarzyszenia uważają niemal za niebezpieczny przywilej.

Powstające dzisiaj stowarzyszenia to nowe organizmy, których uprawnień nie uświęcił jeszcze czas. Powstają one w chwili, kiedy uprawnienia jednostek są ograniczone, a władza społeczna wszechmocna. Nic więc dziwnego, że tracą wolność już w momencie narodzin.

We wszystkich społeczeństwach Europy istnieją stowarzyszenia, które mogą się zawiązać dopiero po przedstawieniu państwu swojego statutu i po otrzymaniu zezwolenia. W wielu krajach starano się rozciągać tę regułę na wszystkie stowarzyszenia. Można sobie wyobrazić, do czego by to doprowadziło.

Gdyby najwyższa władza raz zdobyła prawo do zezwalania na zakładanie stowarzyszeń na określonych warunkach, wkrótce zażądałaby prawa do nadzorowania ich i kierowania nimi, po to by nie mogły wykroczyć poza narzuconą im regułę. W ten sposób państwo, uzależniwszy od siebie wszystkich, którzy chcą założyć stowarzyszenie, uzależniłoby także tych, którzy już się stowarzyszyli, to znaczy prawie wszystkich ludzi.

Tak więc rządzący przywłaszczają sobie stopniowo tę nową siłę, jaka pojawia się w naszych czasach wraz z rozwojem przemysłu. Przemysł rządzi naszym życiem, oni zaś rządzą przemysłem.

To, co tu powiedziałem, ma dla mnie tak wielkie znaczenie, że obawiam się, iżbym nie zniekształcił mojej myśli chcąc ją możliwie najlepiej wyłożyć.

Jeżeli więc czytelnik uzna, że przykłady, jakie przytaczam na jej poparcie, są niewystarczające lub źle dobrane, że przeceniam postępy władzy społecznej i ograniczenia indywidualnej wolności, niech zechce odłożyć na chwilę tę książkę i niech sam przyjrzy się wydarzeniom, na które zwracam jego uwagę. Niech uważnie zbada, co dzieje się wśród nas i poza nami, niech zasięgnie opinii innych ludzi, niech w końcu przyjrzy się sobie. Myślę, że samodzielnie i inną drogą dojdzie do tego samego.

Spostrzeże, że od pół wieku centralizacja znacznie posunęła się w każdym kraju. Do jej rozwoju przyczyniły się wojny, rewolucje i podboje, złożyło się nań działanie wszystkich ludzi. Poglądy, interesy i namiętności tych, którzy kolejno obejmowali władzę, z tak oszałamiającą szybkością przechodzącą z rąk do rąk, bywały bardzo różne, niemniej wszystkim wspólne było dążenie do centralizacji, władzy. Instynkt centralizacji stanowił jedyny nieruchomy punkt pośród osobliwej zmienności ich idei i losów.

I jeżeli, zgłębiwszy to szczegółowe zagadnienie, zechce potem uchwycić ogólny obraz rzeczywistości, będzie zaskoczony.

Z jednej strony, obalone zostały najdawniejsze dynastie, społeczeństwa wszędzie gwałtownie wyłamują się spod panowania dawnych praw, znoszą lub ograniczają władzę swoich zwierzchników i panów; wszystkie narody, nawet jeśli nie przeżywają rewolucji, są niespokojne i rozgorączkowane, ponieważ ożywia je ten sam duch buntu. Z drugiej strony, w tych czasach anarchii i u tych niesfornych narodów władza społeczna nieustannie powiększa swoje prerogatywy, staje się bardziej scentralizowana, bardziej przedsiębiorcza, absolutna i rozległa. Obywatele są bez przerwy pod kontrolą administracji publicznej i każdego dnia, sami o tym nie wiedząc, poświęcają na jej rzecz kolejne elementy własnej niezależności. Ci sami ludzie, którzy obalają

trony i depczą królów, coraz częściej bez oporu poddają się woli byle urzędnika.

Wydaje się, że jesteśmy świadkami dwóch rewolucji zmierzających w przeciwnych kierunkach: jedna stopniowo osłabia władzę, druga nieustannie ją wzmacnia. Nigdy jeszcze władza nie była tak słaba i tak silna zarazem.

A jednak, przyjrzawszy się sprawom dokładniej, można zauważyć, że obie te rewolucje są ze sobą ściśle splecione, że mają wspólne źródło i że różnymi drogami prowadzą ludzkość do jednego celu.

Nie zawaham się raz jeszcze powtórzyć tego, co już w tej książce wielokrotnie mówiłem: trzeba się wystrzegać mylenia samego faktu równości z rewolucją, która wprowadza równość do układu społecznego i do praw. Owa rewolucja jest właśnie przyczyną niemal wszystkich zjawisk, które nas zdumiewają.

Wszystkie dawne władze polityczne Europy, zarówno te wielkie, jak najmniejsze, powstały w czasach arystokracji i celem ich było reprezentowanie oraz obrona zasady nierówności i przywileju. Aby nowe interesy i rosnące potrzeby czasów równości mogły wziąć górę, ludzie musieli obalić albo ograniczyć dawną władzę. To właśnie miały na celu rewolucje, które u wielu ludzi rozbudziły owo dzikie upodobanie do anarchii i niezależności, bezpośrednio związane z każdą rewolucją.

Myślę, że nie ma w Europie takiego kraju, w którym rozwoju równości nie poprzedziły jakieś gwałtowne zmiany stosunków ludzkich i stosunków własności. Wszystkim tym zmianom towarzyszyły anarchia i samowola, ponieważ zostały one dokonane przez najmniej oświeconą część narodu i mierzyły w jego warstwy najbardziej oświecone.

Stąd wyniknęły dwie sprzeczne tendencje, o których mówiłem. Dopóki trwała rewolucja demokratyczna, ludzi, którzy walczyli z wrogą rewolucji dawną władzą arystokratyczną, ożywiał potężny duch niezależności, w miarę zaś jak równość zwyciężała, stopniowo poddawali się oni jej naturalnym instynktom, wzmacniając i centralizując władzę społeczną. Potrzebowali wolności, by osiągnąć równość. Równość natomiast, obejmując panowanie za sprawą wolności, stopniowo wolność tę ograniczała.

Te dwa stany nie zawsze następowały po sobie. Nasi ojcowie udowodnili, że naród może doprowadzić do potężnej tyranii właśnie wtedy, kiedy wyłamał się spod władzy arystokracji i przezwyciężył potęgę królów. Pokazali światu, jak można zdobyć wolność i zaraz ją utracić.

Ludzie naszych czasów widzą, jak wszędzie upada dawna władza, zanikają dawne wpływy, opadają dawne bariery społeczne; temu dają się zwieść nawet najinteligentniejsi. Uwagę ich przyciąga wyłącznie zjawisko rewolucji i przewidują, że rodzaj ludzki na zawsze popadnie w anarchię. Gdyby zastanowili się nad ostatecznymi konsekwencjami tej rewolucji, opanowałyby ich może inne obawy.

Co do mnie, nie mam zaufania do ducha wolności, który zdaje się ożywiać moich współczesnych. Widzę, że narody naszych czasów są pełne niepokoju, lecz nie dostrzegam u nich liberalizmu i obawiam się, by po okresie przewrotów, które wstrząsnęły tronami, władza najwyższa nie okazała się potężniejsza niż kiedykolwiek.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jaki rodzaj despotyzmu zagraża demokratycznym narodom

Podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych zrozumiałem, że istniejący tam demokratyczny układ społeczny szczególnie ułatwia powstanie despotyzmu. Po powrocie do Europy stwierdziłem, że większość europejskich władców wykorzystała już demokratyczne idee, uczucia i potrzeby do rozszerzenia zakresu swojej władzy.

Stąd nasunęło mi się przypuszczenie, że narody chrześcijańskie może spotkać taki sam los, jaki zaciążył nad wieloma społeczeństwami starożytności.

Bardziej szczegółowe badania tematu oraz dalsze, pięć lat już trwające rozważania nie osłabiły moich obaw. Zmienił się tylko nieco ich przedmiot.

W dotychczasowych dziejach próżno szukać władcy tak absolutnego i potężnego, że podjąłby się samodzielnie, bez pomocy władz pośrednich, administrować całością wielkiego państwa. Nie było władcy, który próbowałby podporządkować wszystkich poddanych szczegółowym przepisom jedynej reguły czy też bezpośrednio rządzić każdym obywatelem i każdego prowadzić za rękę. Myśl o takim przedsięwzięciu prawdopodobnie nigdy nie przyszła ludziom do głowy, a jeżeli nawet komuś zdarzyłoby się coś podobnego wymyślić, wkrótce brak oświecenia, niedoskonałość procedury administracyjnej, a przede wszystkim nierówność stanęłyby na przeszkodzie wykonaniu jego zamiarów.

Nawet w okresie największej potęgi cezarów różne ludy zamieszkujące imperium zachowały różnorodne obyczaje. Choć wszystkie prowincje podlegały jednemu monarsze, większość z nich była administrowana oddzielnie. Istniały w nich potężne i aktywne rady prowincjonalne i choć cała władza była skoncentrowana w rękach cesarza i on pozostawał arbitrem we wszystkich sprawach, szczegóły indywidualnego i społecznego życia wymykały się jego kontroli.

To prawda, że cesarze posiadali ogromną i niczym nie ograniczoną władzę, która pozwalała im do woli zaspokajać najdziwniejsze skłonności oraz wykorzystywać do tego celu całą siłę państwa. Częstokroć nadużywali swojej władzy, by samowolnie odebrać komuś majątek lub życie. Ich tyrania straszliwie ciążyła na życiu niektórych ludzi, lecz nie rozciągała się na wszystkich. Imała się paru wielkich spraw, nie interesując się resztą. Była dotkliwa, lecz ograniczona.

Wydaje się, że gdyby w dzisiejszych demokratycznych społeczeństwach zapanował despotyzm, miałby on odmienne oblicze. Byłby bardziej wszechobecny i łagodniejszy, degradowałby człowieka nie dręcząc go zbytnio.

Nie wątpię, iż w naszej epoce oświecenia i równości władcom łatwiej będzie skupić całą władzę publiczną we własnych rękach i częściej oraz głębiej wnikać w prywatne życie obywateli, niż mógł to robić którykolwiek z władców starożytności. Wszelako równość, która toruje drogę despotyzmowi, jednocześnie go osłabia: w czasie panowania równości obyczaje publiczne stają się, jak widzieliśmy, bardziej ludzkie i łagodne. Kiedy żaden obywatel nie posiada ani wielkiej władzy, ani wielkich bogactw, tyranii brak okazji do działania. Pośród powszechnej przeciętności fortun namiętności są skrępowane, wyobraźnia ograniczona, a rozrywki nader proste. To ogólne umiarkowanie miarkuje również samego władcę i ogranicza jego samowolne pragnienia.

Obok tych przyczyn, które wynikają z samej natury układu społecznego, mógłbym wskazać na wiele innych, ale to przekraczałoby już granice tematu, który podjąłem.

W momentach wielkiego poruszenia i zagrożenia rządy demokratyczne mogą okazać się gwałtowne i okrutne, lecz takie kryzysy będą rzadkie i przejściowe.

Zważywszy niewielkie namiętności ludzi naszych czasów, miękkość ich obyczajów, ich oświecenie, uduchowienie ich religii, łagodność ich moralności, ich porządne i pracowite zwyczaje, ich umiarkowanie zarówno w cnocie, jak i w grzechu — nie obawiam się tyranii władców, ale raczej ich opiekuńczości.

Myślę więc, że rodzaj ucisku, który zagraża demokratycznym społeczeństwom, w niczym nie przypomina jego dotychczas spotykanych w świecie form i że nie zdołamy znaleźć dla niego odpowiednika w historii. Sam z trudem szukam wyrażenia, które mogłoby precyzyjnie określić zjawisko, o które mi chodzi. Stare słowa, takie jak despotyzm i tyrania, tutaj się nie nadają. Rzecz jest nowa, skoro więc nie potrafię jej nazwać, trzeba, bym ją opisał.

Kiedy próbuję sobie wyobrazić ten nowy rodzaj despotyzmu zagrażający światu, widzę nieprzebrane rzesze identycznych i równych ludzi, nieustannie kręcących się w kółko w poszukiwaniu małych i pospolitych wzruszeń, którymi zaspokajają potrzeby swego ducha. Każdy z nich żyje w izolacji i jest obojętny wobec cudzego losu; ludzkość sprowadza się dla niego do rodziny i najbliższych przyjaciół; innych współobywateli, którzy żyją tuż obok, w ogóle nie dostrzega; ociera się o nich, ale tego nie czuje. Człowiek istnieje tylko w sobie i dla siebie i jeżeli nawet ma jeszcze rodzinę, to na pewno nie ma już ojczyzny.

Ponad wszystkimi panuje na wyżynach potężna i opiekuńcza władza, która chce sama zaspokoić ludzkie potrzeby i czuwać nad losem obywateli. Ta

władza jest absolutna, drobiazgowa, pedantyczna, przewidująca i łagodna. Można by ją porównać z władzą ojcowską, gdyby celem jej było przygotowanie ludzi do dojrzałego życia. Ona jednak stara się nieodwołalnie uwięzić ludzi w stanie dzieciństwa. Lubi, gdy obywatelom żyje się dobrze, pod warunkiem wszakże, by myśleli wyłącznie o własnym dobrobycie. Chętnie przyczynia się do ich szczęścia, lecz chce dostarczać je i oceniać samodzielnie. Otacza ludzi opieką, uprzedza i zaspokaja ich potrzeby, ułatwia im rozrywki, prowadzi ważniejsze interesy, kieruje przemysłem, zarządza spadkami, rozdziela dziedzictwo. Że też nie może oszczędzić im całkowicie trudu myślenia i wszelkich trosk ich żywota!

W ten sposób wolną wolę ludzką czyni z każdym dniem bardziej nieużyteczną i sprawia, że przestaje się ona objawiać. Ogranicza jej teren działania, stopniowo pozbawiając człowieka nawet samego siebie. Równość przygotowała już ludzi: nauczyła ich to znosić, a nawet uważać za dobrodziejstwo.

Wziąwszy w ten sposób w swoje potężne dłonie każdego człowieka po kolei i ulepiwszy go wedle własnego upodobania, władca pochyla się z kolei nad całym społeczeństwem. Oplątuje je siecią małych, zawiłych, drobiazgowych i jednolitych reguł, której zerwać nie potrafią nawet najoryginalniejsze umysły i najżywotniejsze duchy, chcące wznieść się ponad tłum. Nie łamie woli, lecz ją osłabia, nagina i opanowuje. Rzadko zmusza do działania, lecz zawsze staje na przeszkodzie wszelkiemu działaniu. Nie niszczy, lecz dba, by nic się nie rodziło. Nie tyranizuje — krępuje, ogranicza, osłabia, gasi, ogłupia i zamienia w końcu każdy naród w stado onieśmielonych i pracowitych zwierząt, których pasterzem jest rząd.

Zawsze przypuszczałem, że ta uporządkowana, łagodna i spokojna niewola, którą opisuję, może łatwiej, niż sądzimy, łączyć się z pewnymi powierzchownymi formami wolności oraz że nie jest rzeczą niemożliwą, by wyrosła w cieniu suwerenności ludu.

Naszych współczesnych ustawicznie zżerają dwie sprzeczne namiętności: potrzeba, by ktoś prowadził ich za rękę, i pragnienie zachowania wolności. Nie mogąc pozbyć się żadnego z tych przeciwnych instynktów, starają się zaspokoić oba naraz. Marzą więc o jedynej, opiekuńczej i wszechstronnej władzy, którą wybieraliby jednak wszyscy obywatele. Kojarzą centralizację z suwerennością ludu. To im przynosi pewną ulgę. Żyją pod ciągłą kuratelą, ale pociesza ich myśl, że sami wybrali swoich opiekunów. Każdy pozwala się krępować, ponieważ widzi, że to nie jakiś człowiek czy klasa, lecz samo społeczeństwo trzyma w ręku drugi koniec łańcucha.

W systemie tym obywatele zrzucają zależność tylko na chwilę, w której wybierają swego pana, po czym znowu popadają w niewolę.

W naszych czasach bardzo wielu ludzi bez trudu dostosowuje się do tego kompromisu między administracyjnym despotyzmem a suwerennością ludu. Sądzą oni, że stworzyli dostateczne gwarancje indywidualnej wolności odda-

jąc ją w ręce narodowej władzy. Mnie to jednak nie wystarcza. To, dla jakiego pana ludzie poświęcają swoją wolność, ma dla mnie mniejsze znaczenie niż fakt uzależnienia.

Nie zaprzeczę jednak, że tego rodzaju konstytucja jest znacznie lepsza od takiej, która koncentruje wszelką władzę, by potem oddać ją w ręce jakiegoś człowieka lub organizmu, który nie odpowiada przed nikim. Ta ostatnia bowiem wydaje się najgorszą formą, jaką może przybrać demokratyczny despotyzm.

Kiedy najwyższa władza jest wybieralna lub ściśle kontrolowana przez rzeczywiście wybieralne i niezależne ciało ustawodawcze, nacisk, jaki wywiera ona na ludzi, jest często większy, lecz taka władza jest mniej degradująca, ponieważ każdy obywatel, choć skrępowany i bezsilny, może sobie wyobrazić, że będąc posłusznym poddaje się w gruncie rzeczy samemu sobie i poświęca część swojej woli na rzecz innej, ważniejszej jej części.

Kiedy najwyższa władza reprezentuje naród i jest od niego zależna, odebrane obywatelom możliwości i uprawnienia nie służą wyłącznie głowie państwa, ale przydają się samemu państwu. Obywatele odnoszą wówczas jakąś korzyść z tego, że dla sprawy publicznej poświęcili swoją niezależność.

Stworzenie w scentralizowanym kraju przedstawicielstwa narodu zmniejsza zło spowodowane przez krańcową centralizację, ale go nie likwiduje.

Dzięki niemu ludzie mogą zachować wpływ na najważniejsze sprawy, lecz w dalszym ciągu nie mają wpływu na drobne. Zapomina się, że najbardziej niebezpieczne jest zniewolenie obywateli właśnie w dziedzinie spraw małej wagi. Gdybym sądził, że kiedykolwiek można być pewnym swojej niezależności w sprawach dużej miary, kiedy się jej nie posiada w drobnych, uważałbym, że posiadanie wolności w wielkich sprawach jest mniej niezbędne.

Zależność w sprawach drobnych daje o sobie znać na każdym kroku i dotyka wszystkich obywateli bez wyjątku. Nie doprowadza do ostateczności, lecz stale zawadza i każe wyrzekać się własnej woli. Ten rodzaj zniewolenia stopniowo stępia umysł i osłabia ducha, natomiast zależność odczuwana wyłącznie w pewnych bardzo poważnych, lecz nader rzadkich okolicznościach jest tylko chwilowym odebraniem wolności i dotyka tylko niektórych. Na próżno przyznawalibyśmy tym obywatelom, których tak uzależniliśmy od centralnej władzy, prawo wybierania co pewien czas przedstawicieli tej władzy. Tak krótkotrwałe i wyjątkowe korzystanie z wolnej woli nie może skutecznie przeciwdziałać stopniowemu zanikaniu umiejętności samodzielnego myślenia, odczuwania i działania, a tym samym utracie ludzkiej godności.

Co więcej, tacy ludzie szybko staną się niezdolni do korzystania z wielkiego i jedynego przywileju, jaki im pozostał. Społeczeństwa demokratyczne, które zagwarantowały obywatelom wolność polityczną powiększając jednocześnie despotyzm administracyjny, reprezentują bardzo osobliwy sposób

myślenia. Uważa się tam, że obywatelom nie można powierzyć drobnych spraw, do których wystarcza zdrowy rozsądek, natomiast powierza się im wielkie prerogatywy w dziedzinie rządzenia państwem. Są oni na zmianę zabawką w ręku władzy lub jej zwierzchnikami, są czymś więcej niż królowie i czymś mniej niż ludzie zarazem. Wypróbowawszy wszystkie możliwe systemy wyborcze i nie znalazłszy żadnego, który by im odpowiadał, społeczeństwa takie, zdumione, ciągle nie ustają w poszukiwaniach, tak jakby zło nie wynikało z samej konstytucji kraju, lecz z systemu wyborczego.

Trudno zresztą zrozumieć, w jaki sposób ludzie, którzy wyrzekli się rządzenia samymi sobą, mogliby dokonać właściwego wyboru tych, którzy mają nimi rządzić. Trudno uwierzyć, by głosowanie zniewolonych ludzi mogło kiedykolwiek powołać rząd liberalny, silny i mądry.

Konstytucja, która jest z pozoru republikańska, w gruncie rzeczy natomiast ultramonarchiczna, wydawała mi się zawsze efemerycznym dziwactwem. Wady rządzących i głupota rządzonych szybko doprowadziłyby państwo do ruiny. Lud zaś, mając dosyć siebie i własnych reprezentantów, stworzyłby wolne instytucje lub dałby się zniewolić jedynemu władcy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ciąg dalszy rozważań z poprzednich rozdziałów

Myślę, że absolutny i despotyczny system łatwiej stworzyć w społeczeństwie, w którym możliwości są równe, niż w jakimkolwiek innym. Myślę również, że despotyczny system stworzony w takim społeczeństwie nie tylko będzie gnębił ludzi, lecz z czasem odbierze każdemu z nich wiele podstawowych atrybutów człowieczeństwa.

Dlatego despotyzm wydaje mi się szczególnie niebezpieczny w czasach demokracji.

Myślę, że wolność kochałbym w każdej epoce. W naszych czasach jestem wręcz skłonny darzyć ją uwielbieniem.

Z drugiej strony, jestem przekonany, że wszyscy, którzy w nadchodzących czasach będą usiłowali oprzeć wolność o przywilej i arystokratyczne zasady, doznają porażki. Przegrają również ci, którzy zechcą utrzymać władzę w rękach jednej kasty. W naszych czasach nie ma władcy na tyle silnego i na tyle zręcznego, by potrafił stworzyć despotyzm, przywracając zarazem stałą nierówność między poddanymi. Nie istnieje również tak mądry i tak potężny prawodawca, który byłby w stanie utrzymać wolne instytucje nie przyjmując równości za podstawową zasadę i symbol. Wszyscy ludzie, którzy chcą dzisiaj zapewnić swoim bliźnim niezależność i ludzką godność, muszą występować jako zwolennicy równości. Jedynym zaś godnym sposobem występowania w roli sprzymierzeńca równości jest być nim naprawdę. Od tego zależy powodzenie ich szlachetnego przedsięwzięcia.

Nie chodzi więc bynajmniej o odtworzenie społeczeństwa arystokratycznego, lecz o odnalezienie wolności w łonie społeczeństwa demokratycznego, w którym Bóg przeznaczył nam żyć.

Obie te podstawowe prawdy wydają mi się proste, jasne i płodne. One również każą mi zastanowić się nad tym, jaki mianowicie wolny ustrój może powstać w społeczeństwie równych możliwości.

Z samej konstrukcji narodów demokratycznych oraz z ich potrzeb wynika, że władza rządu musi tam być bardziej jednolita, scentralizowana i rozwinięta, głębiej wnikająca w społeczeństwo i potężniejsza niż gdzie indziej. Społeczeństwo jako całość jest tam z natury bardziej czynne i silniejsze, a indywidualny obywatel bardziej podporządkowany i słabszy. Społeczeństwo może więcej, człowiek mniej i tak już musi być.

Nie należy więc liczyć na to, by w demokratycznych krajach krąg indywidualnej niezależności mógł kiedykolwiek być równie szeroki jak w krajach

arystokratycznych. Zresztą wcale nie należałoby sobie tego życzyć, ponieważ w arystokratycznych narodach społeczeństwo bywało poświęcane dla jednostki, a dobrobyt większości dla splendoru niewielu osób.

Jest więc jednocześnie niezbędne i pożądane, by władza centralna kierująca społeczeństwem demokratycznym była aktywna i potężna. Nie chodzi o to, by uczynić ją słabą i nieudolną, lecz o to, by uniemożliwić jej nadużycie własnej sprawności i siły.

Czynnikiem, który najbardziej przyczyniał się do zapewnienia indywidualnej niezależności w czasach arystokracji, był fakt, że władca nie rządził i nie administrował samodzielnie. Był zmuszony pozostawić część tych zadań przedstawicielom arystokracji. Dzięki temu władza społeczna, zawsze podzielona, nie dawała się nigdy bezpośrednio i jednakowo we znaki wszystkim obywatelom.

Władca nie tylko nie zajmował się wszystkimi sprawami, lecz nie sprawował bezpośredniej kontroli nad większością urzędników, którzy działali w jego imieniu, ale zawdzięczali swoją pozycję urodzeniu, nie zaś władcy. Nie mógł w każdej chwili, zależnie od kaprysu, mianować ich lub usuwać i nie mógł wszystkich jednakowo nagiąć do swojej woli. To dodatkowo zabezpieczało indywidualną niezależność.

Rozumiem, że w naszych czasach nie można odwołać się do tego sposobu, dostrzegam jednak sposoby demokratyczne, które mogłyby go zastąpić.

Zamiast składać w ręce rządzącego całą władzę administracyjną odebraną cechom i szlachcie, część władzy można powierzyć pośrednim ciałom społecznym, utworzonym z prostych obywateli. Dzięki temu umocniona zostanie wolność indywidualna, ale nie odbędzie się to kosztem równości.

Amerykanie, którzy do słów przywiązują mniejsze znaczenie niż my, zachowali słowo „hrabstwo" na określenie największego spośród okręgów administracyjnych, lecz jednocześnie częściowo zastąpili hrabiego przez zgromadzenie prowincjonalne.

Chętnie przyznam, że stworzenie dziedzicznych funkcji byłoby w epoce równości posunięciem niesprawiedliwym i nierozważnym. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie temu, by w pewnej mierze zastąpić je funkcjami wybieralnymi. Wybory są zabiegiem demokratycznym, który stwarza urzędnikowi gwarancje niezależności od centralnej władzy, gwarancje równie, a może bardziej pewne od tych, które w społeczeństwie arystokratycznym daje dziedziczenie.

W krajach arystokratycznych jest wielu bogatych i wpływowych ludzi, którzy są samowystarczalni i których nie można bezkarnie gnębić. Oni to właśnie sprawiają, że władza honoruje przyjęte zwyczaje, nakazujące umiarkowanie i powściągliwość.

W krajach demokratycznych nie ma co prawda takich ludzi, lecz można tam sztucznie stworzyć podobną sytuację.

Jestem głęboko przeświadczony, że na świecie nie da się na nowo powołać do życia arystokracji. Myślę jednak, że prości obywatele, zawiązując stowarzyszenia powołują tym samym do życia coś w rodzaju bardzo silnej i wpływowej istoty. Innymi słowy stowarzyszenie jest tym samym, czym jest arystokratyczna jednostka.

Tym sposobem można by osiągnąć większość podstawowych zalet systemu arystokratycznego, unikając jego niesprawiedliwości i jego niebezpieczeństw. Stowarzyszenie polityczne, przemysłowe, handlowe, czy nawet naukowe i artystyczne, jest odpowiednikiem oświeconego i potężnego obywatela, którego nie można w dowolny sposób samowolnie naginać ani po cichu gnębić i który, broniąc swoich własnych praw przed zakusami władzy, ratuje jednocześnie wolność powszechną.

W czasach arystokracji każdy człowiek jest ściśle związany z wieloma innymi ludźmi, nie można go więc zaatakować nie ściągając na siebie całej otaczającej go zbiorowości. W czasach równości ludzie są osamotnieni i nie mają wokół siebie ani przyjaciół rodu, ani klasowych sprzymierzeńców, do których mogliby uciec się o pomoc. Można więc ich deptać bezkarnie, z łatwością oddzieliwszy od innych. W naszych czasach prześladowany obywatel ma tylko jedną ucieczkę: odwołać się do całego narodu, a jeżeli naród pozostaje głuchy, do całej ludzkości. Jedynym sposobem, by tego dokonać, jest prasa. Dlatego właśnie wolność prasy ma w czasach demokracji tak ogromną i wyjątkową cenę. Tylko ona jest lekarstwem na niektóre choroby równości. Równość izoluje i osłabia ludzi — prasa daje im do ręki potężną broń, którą może się posłużyć najsłabsza i najbardziej osamotniona jednostka. Równość odbiera człowiekowi oparcie w tych, którzy żyją obok niego — prasa pozwala mu przyzwać na pomoc wszystkich współobywateli i wszystkich bliźnich. Prasa przyspieszyła postępy równości i pozostała jednym z jej najsprawniejszych regulatorów.

Ludzie żyjący w ustroju arystokratycznym mogą ostatecznie obyć się bez wolności prasy, lecz ludzie demokracji nie mogą bez niej żyć. Wielkie zgromadzenia polityczne, parlamentarne prerogatywy, proklamowanie suwerenności ludu nie zagwarantują osobistej niezawisłości obywateli demokracji. Wszystkie te rzeczy są bowiem w pewnej mierze do pogodzenia ze zniewoleniem jednostek. To zniewolenie nie może jednak nigdy być całkowite, jeżeli prasa jest wolna. Prasa jest par excellence demokratycznym narzędziem wolności.

To samo można powiedzieć o władzy sądowniczej.

Do istoty władzy sądowniczej należy, iż zajmuje się ona interesami jednostek i chętnie wnika w szczegóły ich życia. Do istoty jej należy także, że nie przychodzi sama z siebie na pomoc prześladowanym, lecz jest stale do dyspozycji najskromniejszych ludzi. Najsłabszy obywatel może zawsze skło-

nić sędziego do wysłuchania swojej skargi i do udzielenia odpowiedzi; wynika to z samej konstytucji władzy sądowniczej.

W czasach kiedy oko władcy stale spoczywa na człowieku, a jego rękę znać w najmniejszych szczegółach ludzkiego działania, kiedy jednostka jest zbyt słaba, by mogła się bronić, i zbyt osamotniona, by mogła liczyć na pomoc bliźnich, władza sądownicza bardziej niż kiedykolwiek służy sprawie wolności. Sądy we wszystkich czasach stanowiły najpoważniejszą gwarancję indywidualnej niezależności. Ich rola jest szczególnie ważna w demokracji; jednostkowe uprawnienia i interesy będą tam stale zagrożone, o ile władza sądownicza nie będzie rozszerzała się wraz z postępami równości.

Prawodawcy nie wolno tracić z oczu zagrażających wolności instynktów, które wzbudza w ludziach równość. Przypomnę ważniejsze spośród nich.

Ludzie demokracji nie mają dostatecznego zrozumienia dla przydatności form i instynktownie je lekceważą. Mówiłem już o przyczynach tego stanu rzeczy. Formy wzbudzają w nich pogardę, a nawet nienawiść. Dążą oni do łatwo osiągalnych przyjemności, porywczo sięgają po przedmiot pragnień i irytuje ich najmniejsza zwłoka. W życiu politycznym temperament ów sprawia, że odrzucają formy, opóźniają one bowiem chwilę osiągnięcia celu.

Ponieważ podstawową zaletą form jest to, iż wznoszą barierę pomiędzy silnym i słabym, rządzącym i rządzonym oraz wstrzymują tego pierwszego, by drugiemu dać czas na zorientowanie się w sytuacji — właśnie fakt, że formy są niewygodne ludziom demokracji, czyni je szczególnie pożytecznymi dla sprawy wolności. Formy są tym bardziej niezbędne, im aktywniejsza i potężniejsza jest władza oraz im bardziej niedołężni i osłabieni są obywatele. Dlatego społeczeństwa demokratyczne potrzebują form bardziej od innych i dlatego mniej je poważają. To zasługuje na wielką uwagę.

Nic bardziej zgubnego niż to lekceważenie form w naszych czasach, albowiem nawet najbardziej błahe przejawy form osiągnęły dziś wagę, jakiej nigdy nie posiadały. Formy służą dziś najżywotniejszym interesom ludzkości.

Myślę, że o ile arystokratycznym mężom stanu wolno było czasem bezkarnie lekceważyć formy, o tyle obecni przywódcy społeczeństw powinni szanować najdrobniejsze ich przejawy i pomijać je mogą tylko w wypadkach bezwzględnej konieczności. W czasach arystokracji oddawano formom zabobonną cześć — my powinniśmy mieć dla nich oświecony i rozważny szacunek.

Innym wrodzonym i niebezpiecznym instynktem społeczeństw demokratycznych jest nieliczenie się z prawami jednostki.

Ludzie przywiązują się do swoich uprawnień i szanują je dla ich wagi lub też dlatego, iż korzystają z nich od dawna. W społeczeństwach demokratycznych indywidualne uprawnienia mają zazwyczaj niewielkie znaczenie, są

nowo nabyte i nader niestałe. Dlatego właśnie często poświęca się je bez żalu i zawsze gwałci bez wyrzutów sumienia.

Otóż tak się dzieje, że w tych społeczeństwach, w których panuje lekceważenie praw jednostki, rozszerzają się i potęgują uprawnienia samego społeczeństwa. Ludzie tracą więc przywiązanie do własnych uprawnień właśnie w momencie, kiedy za wszelką cenę powinni starać się utrzymać i obronić te ich resztki, jakie jeszcze pozostały.

W czasach demokracji prawdziwi sprzymierzeńcy wolności i godności ludzkiej powinni stać na straży praw jednostki i nie pozwalać, by władza społeczna poświęcała je lekkomyślnie na rzecz wykonania ogólnych zadań. Nie ma dzisiaj tak niewiele znaczącego obywatela, by można było się zgodzić na jego prześladowanie, ani indywidualnych uprawnień tak nieistotnych, by wolno było bezkarnie powierzać je czyjejś samowoli. Powód tego prosty: gwałcenie indywidualnych praw, w czasach kiedy umysł ludzki powszechnie uznaje ich wagę i świętość, wyrządza zło tylko temu, komu się je odbiera, natomiast gwałcenie tych praw w naszej epoce oznacza głębokie naruszenie narodowych obyczajów i zagrożenie dla całego społeczeństwa, ponieważ sama idea tych praw zaciera się pośród nas i ginie.

Istnieją pewne zwyczaje, idee i występki właściwe sytuacji rewolucyjnej; rodzi je i upowszechnia każda długotrwała rewolucja, niezależnie od swego charakteru, celów i kraju, w którym się rozgrywa.

Jeżeli jakiś naród w krótkim okresie czasu wielokrotnie zmieniał przywódców, poglądy i prawa, ludzie nabierają w końcu upodobania do ciągłych zmian i przyzwyczajają się do tego, że zmiany dokonują się szybko i przy użyciu siły. Zaczynają lekceważyć formy, ponieważ nieustannie widzą dowody ich niemocy, i niecierpliwie znoszą panowanie jakichkolwiek zasad, które tyle razy zostały na ich oczach naruszone.

Ponieważ zwykłe pojęcia sprawiedliwości i moralności nie wystarczają do wytłumaczenia i usprawiedliwienia wszystkich nowych zjawisk zrodzonych przez rewolucję, ludzie chwytają się zasady użyteczności społecznej, tworzą dogmat politycznej konieczności i łatwo przystają na to, by bez skrupułów poświęcać indywidualny interes i deptać prawa jednostki dla szybszego osiągnięcia jakiegoś ogólnego celu.

Zwyczaje i idee, które będę nazywał rewolucyjnymi, gdyż rodzi je każda rewolucja, ujawniają się tak samo w społeczeństwie demokratycznym, jak i arystokratycznym. W czasach arystokracji są jednak często mniej potężne i zawsze mniej trwałe, albowiem zderzają się tam z przeciwnymi zwyczajami, ideami i wadami. Po zakończeniu rewolucji znikają więc same i naród powraca do dawnych form politycznych. Inaczej jest w demokracji, gdzie zawsze istnieje obawa, że przytłumione, lecz nie wygasłe instynkty rewolucyjne prze obrażą się stopniowo w polityczne i administracyjne obyczaje.

Rewolucje są więc szczególnie niebezpieczne w krajach demokratycznych ponieważ obok przypadkowych i przejściowych zakłóceń, które nieuchronnie wywołuje każda rewolucja, mogą tam również spowodować stałe i, jeżeli tak można rzec, wieczne zło.

Uważam, że jest coś takiego jak uczciwa walka i prawowity bunt. Nie twierdzę bynajmniej kategorycznie, że w demokracji ludzie nigdy nie powinni robić rewolucji. Myślę jednak, że powinni głębiej od innych zastanowić się, zanim je wywołają, i że bardziej im się opłaca znosić liczne niedogodności niż odwoływać się do tak groźnego środka zaradczego.

Chciałbym na koniec podzielić się refleksją, która zawiera w sobie wszystkie myśli przekazane w tym rozdziale, jak również większość myśli tej książki.

W czasach arystokracji potęga jednostek była wielka, natomiast władza społeczna bardzo słaba. Sam obraz społeczeństwa był niejasny i gubił się pośród tylu rozmaitych władz, które rządziły obywatelami. Wysiłki ludzi powinny były zmierzać do powiększenia i wzmocnienia władzy społecznej, rozszerzenia i zabezpieczenia jej prerogatyw oraz, z drugiej strony, do ograniczenia indywidualnej niezależności i podporządkowania interesu partykularnego interesom ogólnym.

Przed ludźmi naszych czasów stoją inne niebezpieczeństwa i inne troski Najwyższa władza, niezależnie od swego pochodzenia, ukonstytuowania oraz nazwy stała się u większości nowoczesnych narodów niemal wszechpotężna, jednostki zaś coraz bardziej popadają w stan ostatecznej zależności i słabości.

W dawnych społeczeństwach wszystko działo się inaczej. Nie istniało zjawisko jedności i jednolitości. Dzisiaj wszystko tak dąży do upodobnienia, że jednostka może się niebawem całkowicie zgubić w tłumie. Nasi przodkowie nadużywali zasady poszanowania indywidualnych praw, my natomiast jesteśmy skłonni przesadnie hołdować innej, która głosi, że interes jednostki powinien zawsze ustąpić przed interesem większości.

Rzeczywistość polityczna się zmienia. Na nowy rodzaj zła trzeba więc szukać nowych środków zaradczych.

Oto jak w naszych czasach przedstawia mi się główne zadanie prawodawcy: zamknąć władzę społeczną w szerokich, lecz wyraźnych i nienaruszalnych granicach, dać pewne prawa jednostkom i zagwarantować im swobodne korzystanie z nich, zapewnić jednostce zachowanie tej odrobiny niezależności, siły i indywidualności, jaka jej pozostała, wydzielić ją ze społeczeństwa i podtrzymać w niej przekonanie o własnej niepowtarzalności.

Rzec można, że władcy naszych czasów mają na celu wyłącznie dokonywanie wraz z ludźmi wielkich rzeczy. Wolałbym, aby zainteresowali się bardziej istnieniem wielkich ludzi, aby mniejsze znaczenie przypisywali dziełu, a większe jego twórcy, aby wreszcie stale pamiętali, iż naród nie pozostanie

długo silny, jeżeli jego obywatele będą indywidualnie słabi, i że nie wynaleziono jeszcze takich form społecznych ani politycznych, które pozwalałyby utworzyć potężne społeczeństwo ze słabych i małodusznych obywateli.

Wśród naszych współczesnych występują dwa sprzeczne, lecz jednakowo zgubne przekonania.

Jedni w równości widzą tylko anarchię. Przeraża ich własna wolność — boją się siebie samych.

Inni, nieliczni, ale bardziej oświeceni, myślą odmiennie. Obok drogi, która od równości wiedzie ku anarchii, widzą inną, która wydaje się nieuchronnie prowadzić do zniewolenia. Z góry przysposabiają swoje dusze do tego zniewolenia, które rozumieją jako konieczność. Utraciwszy nadzieję na pozostanie wolnymi, w głębi serca już wielbią pana, który ma wkrótce nadejść.

Jedni rezygnują z wolności, ponieważ uważają ją za niebezpieczną, drudzy dlatego, że wydaje im się ona niemożliwa.

Gdybym podzielał zdanie tych ostatnich, nie napisałbym tej oto książki. Poprzestałbym na cichym ubolewaniu nad losem ludzkości.

Chciałem ukazać zagrożenie ludzkiej niezależności, jakie niesie równość, ponieważ jestem głęboko przeświadczony, że stanowi ono najpoważniejsze i zgoła nieprzewidziane niebezpieczeństwo przyszłości. Nie uważam jednak, by było ono nieprzezwyciężone.

Ludzie czasów demokracji, w które oto wkraczamy, mają naturalne upodobanie do niezależności. Posiadają także wrodzoną niecierpliwość w stosunku do wszelkich reguł — męczy ich nawet ustabilizowanie w tym, czego by sobie życzyli. Kochają władzę, lecz mają w pogardzie i nienawidzą tego, kto ją posiada. Łatwo wymykają się z rąk władcy dzięki temu, że tak są mali i ruchliwi.

Instynkty te będą istniały zawsze, ponieważ wynikają z układu społecznego, który się nie zmieni. Długo jeszcze nie dopuszczą do zwycięstwa despotyzmu i będą dostarczały nowej broni każdemu kolejnemu pokoleniu, które zechce walczyć o ludzką wolność.

Myślmy więc o przyszłości z owym zbawiennym niepokojem, który każe czuwać i walczyć, a wolni od małodusznego i leniwego strachu, który łamie i osłabia serca.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rzut oka na całość tematu

Zanim na zawsze porzucę moje dzieło, chciałbym jeszcze na koniec objąć jednym spojrzeniem cały obraz nowo narodzonego świata i ostatecznie ocenić wpływ, jaki równość wywiera na ludzkie losy. Jest to jednak bardzo trudne i na myśl o tak poważnym zadaniu wzrok mi się mąci i waha umysł.

Nowe społeczeństwo, które starałem się opisać i które chciałbym ocenić, dopiero się rodzi. Czas nie ukształtował jeszcze jego rysów. Ciągle trwa wielka rewolucja, która je powołała do życia, i jest niemal niepodobieństwem odróżnić to, co zniknie razem z samą rewolucją, od tego, co po niej zostanie.

Świat, który powstaje, zawiera wiele jeszcze cech świata, który odszedł, i w owym wielkim pomieszaniu spraw ludzkich nikt nie potrafi powiedzieć, co pozostanie ze starych instytucji i dawnych obyczajów, a co zniknie.

Chociaż daleko jeszcze do końca rewolucji, która dokonuje się w układzie społecznym, w prawach, ideach i odczuciach ludzi, już w tej chwili jej rezultaty nie dają się porównać z niczym, co wydarzyło się dotąd na świecie. W całej historii, aż do starożytności, nie natrafiam na nic, co byłoby podobne do sytuacji, którą oto mam przed oczyma. Skoro zatem historia nie dostarcza wskazówek o tym, co czeka nas w przyszłości, zdani jesteśmy na błądzenie w ciemnościach.

A jednak w tym tak rozległym, tak nowym, tak niewyraźnym obrazie dostrzegam już kilka zaznaczających się z wolna głównych rysów.

Widzę oto, jak dobro i zło równo rozkłada się w całym świecie. Nikną wielkie majątki, rośnie liczba małych, mnożą się pragnienia i płynące z ich zaspokojenia przyjemności, nie ma już ani nadzwyczajnego bogactwa, ani nieodwołalnej nędzy. Ambicja stała się powszechną namiętnością, ale zniknęły wielkie ambicje. Jednostka jest odizolowana i słaba, społeczeństwo jest sprawne, przewidujące i silne. Poszczególni ludzie dokonują rzeczy drobnych, państwo — ogromnych.

Duch obywateli jest osłabiony, lecz panują łagodne obyczaje i ludzkie prawa. Mało jest wielkich poświęceń, wzniosłych, olśniewających i czystych cnót, lecz zwyczaje są umiarkowane i uregulowane, przemoc rzadka, zaś okrucieństwo prawie nieznane. Życie ludzi staje się dłuższe, a ich własność pewniejsza. Egzystencja pozbawiona jest przepychu, lecz jest łatwa i spokojna. Niewiele jest wyrafinowanych przyjemności, ale równie mało prymitywnych rozrywek, rzadkie są eleganckie maniery, lecz nieczęste brutalne upo-

dobania. Nie ma ani wielkich mędrców, ani całkowicie ciemnych społeczeństw. Geniusz staje się rzadszy, ale powszechniejsze jest oświecenie. Umysł ludzki rozwija się dzięki połączonym wysiłkom wielu ludzi, a nie za sprawą potężnej woli kilku jednostek. W dziełach ludzkich jest mniej doskonałości, ale więcej pożytku. Rozluźniają się więzy rasowe, klasowe, patriotyczne — zacieśnia się wielki związek ludzkości.

Kiedy pośród tych różnych cech próbuję teraz znaleźć tę, która zda się najważniejsza i najlepiej widoczna, dochodzę do wniosku, że to samo zjawisko, które występuje w dziedzinie własności, odnaleźć można i w innych. Zacierają się prawie wszystkie krańcowości, prawie wszystko, co niezwykłe, ustępuje miejsca temu, co przeciętne, a co jest zarazem mniej wzniosłe i mniej niskie, mniej wspaniałe i mniej podłe od rzeczy, które dotąd widziano na świecie.

Patrzę na te nieprzebrane tłumy złożone z istot podobnych do siebie, z których żadna nie przekracza granic narzuconych wszystkim. To powszechne ujednolicenie zasmuca mnie i przejmuje obawą i niemal skłonny jestem żałować społeczeństwa, którego już nie ma.

Kiedy na świecie żyli ludzie bardzo wielcy i bardzo mali, bardzo bogaci i bardzo biedni, bardzo uczeni i bardzo ciemni, mogłem, odwróciwszy wzrok od pozostałych, patrzeć tylko na tych pierwszych i radować się ich widokiem. Rozumiem jednak, że ta radość brała się ze słabości: ponieważ nie można jednocześnie widzieć wszystkiego, wybieramy sobie to, na co patrzymy chętnie. Człowiek nie jest podobny wszechmocnej i wiecznej Istocie, która widzi wszystko i która jednocześnie obejmuje cały rodzaj ludzki i każdego człowieka z osobna.

Wolno przypuszczać, że stworzyciel i opiekun ludzkości wcale nie upodobał sobie wielkiego dobrobytu pewnej liczby ludzi, lecz możliwie najlepsze życie wszystkich. To, co mnie wydaje się dekadencją, w jego oczach jest postępem, to, co mnie boli, jemu się podoba. Równość nie jest może bardzo podniosła, lecz jest sprawiedliwa, i ta sprawiedliwość stanowi o jej wielkości i o jej pięknie.

Usiłuję spojrzeć na świat z punktu widzenia Boga i stamtąd staram się rozważać i oceniać sprawy ludzkie.

Nikt na ziemi nie może jeszcze uznać w sposób bezwzględny i ogólny, że nowy układ społeczeństw przewyższa dawny. Widać już jednak, że jest od niego odmienny.

Pewne wady i zalety związane z układem społecznym narodów arystokratycznych, są tak sprzeczne z duchem nowych społeczeństw, iż nie dałoby się ich tam odtworzyć. Istnieją również dobre skłonności i złe instynkty, które były obce tym pierwszym, a są naturalne u drugich. Istnieją idee związane ze sposobem myślenia arystokracji, odrzucane przez demokrację. Oba te społe-

czeństwa są jak dwie różne ludzkości, z których każda ma swoje zalety i ułomności, swoje dobro i zło.

Należy się więc wystrzegać oceniania rodzących się społeczeństw przy pomocy idei zaczerpniętych z życia społeczeństw, których już nie ma. Byłoby to niesprawiedliwe, ponieważ te społeczeństwa tak różnią się między sobą, iż są nieporównywalne.

Nierozsądną rzeczą byłoby również domaganie się od ludzi naszych czasów, by przejawiali cnoty wynikające z układu społecznego przodków, albowiem tamten układ społeczny upadł, pociągając za sobą całe dobro i zło, które w sobie zawierał.

Wszelako ludzie nie rozumieją jeszcze tych spraw.

Wielu ludzi dokonuje wyboru spośród instytucji, poglądów i idei zrodzonych z arystokratycznej natury dawnego społeczeństwa. Chętnie porzucają niektóre z nich, inne natomiast chcieliby zachować w nowym świecie.

Myślę, że ludzie ci tracą czas i siły na szlachetne, lecz jałowe wysiłki.

Nie chodzi już o to, by utrzymać pewne korzyści płynące z nierównych możliwości, lecz o to, by umocnić nowe dobro, które może dać równość. Nie powinniśmy dążyć do upodobnienia się do przodków, lecz próbować osiągnąć tę wielkość i szczęście, które mają być naszym udziałem.

Dotarłem oto do końca mojej drogi i patrzę teraz z daleka na wszystko, co oglądałem idąc — i wypełnia mnie niepokój i nadzieja. Widzę wielkie niebezpieczeństwo, które można zażegnać, wielkie zło, którego da się uniknąć całkowicie lub częściowo, i coraz bardziej utwierdzam się w przeświadczeniu, że narody demokratyczne będą mogły żyć sprawiedliwie i dostatnio, jeżeli tylko tego zechcą.

Wielu z moich współczesnych sądzi, że społeczeństwa nie są na ziemi panami własnych losów i że muszą być posłuszne jakiejś niepokonanej i niezrozumiałej sile, która ukrywa się w przeszłości, w rasie, w ziemi, w klimacie.

Są to fałszywe i tchórzliwe doktryny, które wydać mogą tylko słabych ludzi i małoduszne narody. Opatrzność nie stworzyła rodzaju ludzkiego ani absolutnie wolnym, ani całkowicie zniewolonym. Zakreśliła, to prawda, wokół każdego człowieka fatalny krąg, którego nie można przekroczyć, lecz w jego granicach człowiek jest potężny i wolny; podobnie jest ze społeczeństwem.

Narody naszych czasów nie mogą uniknąć równości, lecz od nich samych zależy, czy równość doprowadzi je do poddaństwa czy do wolności, do oświecenia czy do barbarzyństwa, do dobrobytu czy do nędzy.